

NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

Kobieta i jej magiczna moc. Potężniejsza niż siły natury.

DRAWIDA OGNIA

Maria V. Snyder

Trylogia Twierdza Magów – Księga III

Snyder Maria V.

Twierdza Magów 03

Prawda ognia

Groźna i potężna kasta magów pragnie zawładnąć ziemią i zaświatami. Iksja i Sycja, dwa wrogie państwa, teraz muszą połączyć siły przeciw wspólnemu wrogowi... Yelena nauczyła się w pełni kontrolować magiczne moce. Jako Poszukiwaczka Dusz może decydować o losie zmarłych. Odważna i szlachetna, zyskała wielu oddanych przyjaciół oraz... śmiertelnych wrogów. Teraz, w ogarniętym wojną świecie, jest ostatnią nadzieją bezbronnych. W jej rękach spoczywa los tysięcy istnień. Wraz z grupką najwierniejszych przyjaciół podejmuje heroiczną walkę z wrogiem. Siły zła znają jednak jej słaby punkt i zyskują coraz większą przewagę. Yelena ma tylko jedną szansę, by wygrać. Musi wykorzystać wszystkie magiczne moce i przezwyciężyć największą słabość. Wyrusza w niebezpieczną podróż do krainy umarłych...

Moim rodzicom, Jamesowi i Vincenzy, w podziękę za nieustanne wsparcie i zachętę we wszystkich moich przedsięwzięciach. To wy rozniecacie we mnie ogień.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– To żałosne, Yeleno. Wszechmocna Poszukiwaczka Dusz, która nie potrafi wszystkiego. To wcale nie jest zabawne – poskarżył się Dax, z udawaną irytacją rozkładając długie chude ramiona.

– Przykro mi, że cię rozczarowuję, ale nigdy nie twierdziłam, że jestem wszechmocna. – Niecierpliwym gestem odgarnęłam z oczu kosmyk czarnych włosów.

Dax i ja trudziliśmy się bez powodzenia nad poszerzeniem moich magicznych umiejętności. Ćwiczyliśmy w Twierdzy Magów na parterze wieży Irys, która stała się też moją, odkąd przydzielono mi w niej trzy kondygnacje, i starałam się, by moje zdenerwowanie nie zakłóciło naszych lekcji.

Dax próbował mnie nauczyć poruszania przedmiotów. Posługując się magiczną mocą, ustawił pluszowe fotele w równych rzędach i przewrócił na bok kanapę. Moje starania, by przywrócić obmyślony przez Irys przytulny układ umeblowania i sprawić, żeby stół przestał mnie ścigać, zawiodły, choć wysilałam się tak bardzo, że aż oblał mnie pot i koszula przylgnęła do ciała.

Nagle zadrżałam z zimna. Mimo ognia płonącego w kominku, grubych dywanów i szczelnie zamkniętych żaluzji, w salonie było wręcz mroźno. Białe marmurowe ściany, tak cudownie chłodne w lecie, w zimnej porze roku wysysały z powietrza całe ciepło. Wyobraziłam sobie, że owo ciepło wędruje zielonymi żyłkowaniami marmuru i ucieka na zewnątrz.

Mój przyjaciel Dax Greenblade obciągnął tunikę. Wysoki i szczupły jak większość jego ziomków z klanu Greenblade, istotnie przypominał źdźbło trawy, także i tym, że język miał równie ostry jak jej krawędzie.

– Najwyraźniej nie posiadasz zdolności poruszania przedmiotów, spróbujmy zatem z ogniem. Nawet niemowlę potrafi magią rozpalić płomień! – stwierdził, ustawiając na stole świecę.

– Niemowlę? Doprawdy, znowu przesadzasz – odparłam, jako że zdolność dotarcia do źródła magicznej mocy i posługiwania się nią objawia się dopiero w okresie dojrzewania.

– To nieistotne szczegóły. – Dax machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę. – Skoncentruj się na zapaleniu świecy.

Popatrzyłam na niego sceptycznie, unosząc brwi. Jak dotąd wszystkie moje wysiłki skierowane ku martwym przedmiotom nie dały żadnego rezultatu. Mogłabym uleczyć mojego przyjaciela z najgorszej przypadłości, usłyszeć jego myśli, a nawet ujrzeć jego duszę, lecz kiedy sięgałam po nitkę magicznej energii, by użyć jej do przesunięcia krzesła, nie działało się nic.

– Są aż trzy powody, dla których powinnaś umieć to zrobić. Po pierwsze – zaczął liczyć na palcach – władasz potężną magiczną mocą. Po drugie jesteś nieustępliwa, a po trzecie pokonałaś Ferdego, Złodzieja Dusz.

Który wkrótce potem uciekł i w każdej chwili mógł znowu zacząć kraść kolejne dusze, pomyślałam, po czym spytałam:

– Sądzisz, że pomożesz mi, przypominając Ferdego?

– Owszem, chciałem dodać ci otuchy. Mam wyrecytować całą listę bohaterskich czynów, których dokonałaś?

– Nie. Lepiej wróćmy do lekcji.

Ostatnie, czego sobie życzyłam, to wysłuchiwanie najnowszych

plotek na mój temat. Wieść o tym, że jestem Poszukiwaczką Dusz, rozprzestrzeniła się w Twierdzy Magów jak niesione wiatrem nasiona dmuchawca. A ciągle jeszcze, gdy słyszałam to miano, serce przeszywały mi niepewność i lęk.

Odepchnęłam od siebie natrętne myśli i połączyłam się ze źródłem magicznej mocy, która otula świat jak koc. Jednak tylko magowie potrafią wyciągnąć z niego nitki magii i posłużyć się nimi. Przyciągnęłam do siebie pasmo magicznej energii, a następnie skierowałam je ku świecy, wyrażając w myśli pragnienie, by pojawił się płomień.

Bez skutku.

– Postaraj się bardziej – polecił Dax.

Zwiększyłam magiczną moc i ponownie wymierzyłam ją w świecę, a wtedy Dax spurpurowiał i zakrztusił się, jakby powstrzymywał kaszel. Oślepił mnie błysk, gdy knot świecy zapłonął.

– Tak się nie robi! To niegrzeczne! – zawołał Dax z komicznie oburzoną miną.

– Przecież chciałeś, żeby świeca się zapaliła.

– Tak, ale nie chciałem zapalić jej za ciebie! – Rozejrzał się po pokoju, jakby szukał cierpliwości pozwalającej poradzić sobie z niesfornym dzieckiem. – Wy, Zaltanie, i te wasze dziwaczne moce – narzekał. – Zmusiłaś mnie, żebym zapalił świecę. Też coś! I pomyśleć, że tak się przejmowałem twoimi niebezpiecznymi przygodami.

– Uważaj, co mówisz o moim klanie, bo... – Urwałam, szukając w myśli odpowiednio sugestywnej groźby.

– Bo co?

– Bo powiem drugiemu magowi, gdzie znikasz za każdym razem, gdy bierze z półki którąś z tych starych ksiąg. – Drugi mag Bain, mentor Daksa, uwielbiał zgłębiać starożytną historię, natomiast jego uczeń wolał w tym czasie poznawać najnowsze kroki taneczne.

– No dobra, wygrałaś. Dowiodłaś, że nie masz zdolności rozniecenia ognia. Będę ślęczał nad tłumaczeniami ze starożytnych języków – rzekł z ponurą miną. – A ty zajmij się poszukiwaniem dusz – dodał kpiąco, lecz wyczułam w jego słowach ukryty podtekst.

Nie bez powodu niepokoiły go moje zdolności. Ostatni Poszukiwacz Dusz narodził się w Sycji mniej więcej sto pięćdziesiąt lat temu. Podczas krótkiego życia zmienił swoich wrogów w pozbawionych dusz niewolników zdolnych do wszelkich nieprawości i niewiele brakowało, by zdobył tyrańską władzę nad całym krajem. Dlatego Sycjanie przyjęli z wielkim lękiem wieść o pojawieniu się kolejnego Poszukiwacza Dusz.

Niezręczny moment minął, w ciemnozielonych oczach Daksa zamigotał szelmowski błysk.

– Lepiej już pójdę. Muszę się pouczyć. Pamiętasz, że mamy jutro test z historii? – Gdy jęknęłam na myśl o grubym tomie, który będę musiała przeczytać, Dax dodał: – Twoja znajomość sycjańskiej historii też jest żałosna.

– Z dwóch powodów – odparłam, wyliczając na palcach: – Pierwszy to Ferde Daviian, a drugim jest sycjańska Rada. – Gdy Dax znów machnął ręką, dorzuciłam: – Wiem, wiem. To nieistotne szczegóły.

Z uśmiechem otulił się płaszczem i wyszedł, wpuszczając do środka powiew lodowatego wiatru. Płomienie w kominku zatańczyły, by zaraz się uspokoić. Podeszłam bliżej i ogrzałam dłonie, rozmyślając

o tych dwóch powodach.

Ferde był członkiem nieuznawanego formalnie klanu Daviian, bandy renegatów, którzy opuścili macierzysty klan Sandseed. Daviianów nie zadowalało wędrowanie po Równinie Avibiańskiej i snucie opowieści, pragnęli od życia czegoś więcej. Aby zdobyć władzę, Ferde porwał i torturował dwanaście dziewcząt, a następnie kradł ich dusze, by zwiększyć swoją magiczną moc. Valek i ja powstrzymaliśmy go przed ostatecznym osiągnięciem celu, czyli przechwyceniem dwunastej duszy.

W moim sercu pulsowała bolesna tęsknota za Valkiem. Dotknęłam wisiorka na szyi w kształcie motyla, który dla mnie wyrzeźbił. Valek powrócił do Iksji zaledwie miesiąc temu, ale z każdym dniem coraz bardziej mi go brakowało. Może powinnam wpakować się w kolejną groźną awanturę, gdyż miał dar zjawiania się wtedy, gdy najbardziej go potrzebuję.

Niestety, choć czasy były dość niespokojne, raczej nie było szansy, żebyśmy znów się spotkali. Zapragnęłam więc, by wysłano mnie z jakąś nudną dyplomatyczną misją do Iksji.

Jednak sycjańska Rada nie zgodzi się na taką wyprawę, zanim nie zdecyduje, co ma ze mną zrobić. Tworzy ją jedenastu przywódców klanów oraz czworo mistrzów magii. Całe to szacowne grono przez cały miniony miesiąc spierało się w kwestii mojej nowej roli, roli Poszukiwaczki Dusz. Spośród czworga mistrzów najmocniej wspiera mnie Irys Jewelrose, czwarta magini, natomiast pierwsza magini, Roze Featherstone, jest moim najzacieklejszym wrogiem.

Wpatrując się w ogień trawiący bierwiona, dumiałam o Roze. Nagle spostrzegłam, że płomienie przestały strzelać chaotycznie, tylko wyodrębniły się jak jakieś indywidua, w ich ruchach pojawił się szczególny ład i sens przypominające gesty aktorów na scenie.

Zamrugałam zdziwiona. Zamiast powrócić do normalnej formy, ogień wzrósł i wypełnił całe moje pole widzenia, przesłaniając resztę pokoju. Wzrok przeszyły mi jaskrawobarwne wzory. Zamknęłam oczy, lecz obraz nie zniknął. Poczułam lęk. Mimo mojej mentalnej bariery obronnej, której moc miałam okazję sprawdzić wiele już razy, jakiś mag oplatał mnie nićmi magii.

Przyglądałam się jak urzeczona, gdy ogień przekształcał się w moją uderzająco wierną podobiznę. Płomienista Ja pochylałam się nad jakimś ciałem, które leżało nieruchomo twarzą do ziemi. Uniosła się z niego dusza, którą w siebie wchłonęłam. Pozbawione duszy ciało wstało, a Płomienista Ja wskazała mu inną osobę. Bezduszne ciało podeszło do niej i udusiło ją.

Mocno spanikowana, daremnie próbowałam przerwać tę ognistą wizję. Byłam zmuszona przyglądać się samej sobie, jak tworzę następnych pozbawionych duszy ludzi, którzy zabrali się do masowych mordów. Wroga armia atakowała, błyskały ogniste miecze, bryzgała płomienista krew. Mogłabym podziwiać artystyczny kunszt nieznanego maga wypracowującego tę wizję z najdrobniejszymi szczegółami, gdyby nie przerażała mnie ta ognista masakra.

Wreszcie moje oddziały zostały pokonane, Płomienistą Mnie schwytano w ogniową sieć, zawleczono i przykuto do pala, a potem oblano olejem.

Wskoczyłam z powrotem w swoje ciało. Stojąc przy kominku, nadal czułam oplatającą mnie pajęczą sieć magii. Zacisnęła się mocniej i na moim ubraniu zapłonęły małe płomyczki.

Ogień zaczął się rozprzestrzeniać. Nie potrafiłam go powstrzymać moją magią. Przeklinałam brak umiejętności radzenia sobie z ogniem, złościłam się, dlaczego nie posiadam tego magicznego daru.

W moim umyśle rozbrzmiała echem odpowiedź:

– Ponieważ potrzebujemy jakiegoś sposobu, by cię zabić.

Zachwiałam się od uderzenia żaru. Pot spływał mi po plecach, paliło mnie w gardle, w uszach pulsowała wrząca krew, w ustach czułam okropną suchość, miałam wrażenie, że serce smaży mi się w piersi. Gdy poczułam zapach mojego zwęglonego ciała, ogarnęły mnie mdłości. Wszechogarniający ból stał się nie do wytrzymania.

Nie mogłam krzyknąć, gdyż w płucach brakło mi powietrza.

Poturlałam się po podłodze, usiłując zdusić ogień.

Płonęłam.

Nagle zaprzestano magicznego ataku i skończyła się męka. Osunęłam się na ziemię i łapczywie wdychałam chłodne powietrze.

– Yeleno, co się stało? – zapytała Irys, dotykając mojego czoła lodowatą dłonią. – Dobrze się czujesz? – W szmaragdowych oczach mojej przyjaciółki i mentorki widniała szczerą troska.

– Nic mi nie jest – wychrypiałam, a potem dopadł mnie atak kaszlu.

– Spójrz na swoje ubranie. – Pomogła mi usiąść. – Czy zaproszyłaś na siebie ogień?

Na bezrękawniku i szerokich spodniach przypominających spódnicę widniały czarne smugi sadzy i wypalone dziury. Tego stroju nie da się już naprawić i będę musiała poprosić moją kuzynkę Nutty, żeby uszyła mi następny. Pomyślałam z westchnieniem, że powinnam zamówić hurtem setkę bawełnianych tunik i spódnicospodni. Rozmaite wypadki, w tym także magiczne napaści, jakby się sprzysięgły, by moje życie ani przez chwilę nie było nudne.

– Jakiś mag przysłał mi ogniową wiadomość. – Chociaż wiedziałam, że Roze dysponuje największą magiczną mocą w Sycji i umiałyby ominąć moje mentalne mury obronne, jednak bez dowodu nie chciałam rzucać na nią oskarżeń. Aby uniemożliwić Irys zadanie kolejnych pytań, sama zapytałam: – Jak przebiegło zebranie Rady? – Nie zezwolono mi w nim uczestniczyć. Wprawdzie deszczowa pogoda nie zachęcała do spaceru do siedziby Rady, ale i tak mnie to zabolalo.

Członkowie Rady zdecydowali, że będę codziennie informowana o wszystkich sprawach, którymi się zajmują, a to w ramach przysposobiania mnie do roli rozjemcy między władzami Sycji a Iksji. Wciąż jednak nie wyrażali zgody na mój trening jako Poszukiwaczki Dusz. Według Irys powodem wahania Rady była moja niechęć do rozpoczęcia nauki, lecz ja miałam inne zdanie na ten temat. Radni, jak sądziłam, obawiali się, że gdy odkryję zakres mej magicznej mocy, pójdę w ślady poprzednika, niegodziwego Poszukiwacza Dusz sprzed stu pięćdziesięciu lat.

– Zebranie... – powtórzyła Irys z kpiącym uśmiechem. – Dobrze i źle. Rada zgodziła się na twój trening. – Milczałam, czekając na dalszy ciąg, lecz Irys jakoś się do tego nie kwapiła. Upłynęło naprawdę sporo czasu, nim dodała: – Ta decyzja... rozzłościła Roze.

– Rozzłościła?

– Tak. Gwałtownie protestowała, była wściekła, gdy została przegłosowana – bez ogródek wyjawiała czwarta magini, a ja wreszcie się dowiedziałam, dlaczego otrzymałam ogniowe przesłanie. – Yeleno, Roze Featherstone wciąż uważa cię za zagrożenie, dlatego radni wyrazili zgodę, by to ona cię szkoliła.

Z trudem dźwignęłam się na nogi.

– Nie.

– To jedyna możliwość.

Milczałam przez chwilę. Musiało istnieć inne rozwiązanie. Przebywałam przecież w Twierdzy Magów i miałam wokół siebie wielu magów o rozmaitych poziomach umiejętności. Z pewnością mógłby pracować ze mną ktoś inny.

– A ty albo Bain? – podsunęłam.

– Rada chce, żeby twój mentor był bezstronny, tak więc z czworga Mistrzów pozostaje jedynie Roze.

– Ależ ona wcale nie jest...

– Wiem, pamiętaj jednak, że taki układ może okazać się korzystny. Pracując z Roze, zyskasz okazję, by ją przekonać, że nie zamierzasz zawładnąć naszym krajem. Wówczas zrozumie, że pragniesz pomagać zarówno Iksji, jak i Sycji. – Na moją powątpiewającą minę, Irys dorzuciła: – Wprawdzie Roze cię nie lubi, lecz jej szczerze pragnienie, by w Sycji żyło się bezpiecznie i swobodnie, przeważa nad osobistymi uprzedzeniami. – Wręczyła mi zwój pergaminu, uprzedzając mój sarkastyczny komentarz na temat pierwszej magini. – To nadeszło w trakcie posiedzenia Rady.

Rozwinęłam pergamin. Zawierał wiadomość od Księżycowego Człowieka:

„Yeleno, znalazłem to, czego szukasz. Przyjeżdżaj.”

ROZDZIAŁ DRUGI

Wiadomość, którą otrzymałam, była typowa dla mojego przyjaciela Księżycowego Człowieka, czyli zagadkowa i niejasna. Wyobraziłam sobie, że gdy ją pisał, igrał mu na wargach diaboliczny uśmiech. Jako mój snujący opowieść wiedział, że dążę do wielu celów, a w pierwszym rzędzie pragnę zgromadzić całą wiedzę o Poszukiwaczach Dusz oraz ogromnie mi zależy na osiągnięciu równowagi między Sycją a Iksją. Nie pogardziłabym też miłymi spokojnymi wakacjami, byłam jednak pewna, że Księżycowy Człowiek miał na myśli Ferdego.

Ferde Daviian, Złodziej Dusz i zabójca dwunastu dziewcząt, zbiegł z więzienia w Twierdzy Magów przy pomocy Cahila Iksji. Radzie nie udało się go ponownie schwytać, a później debatowała przez cały miesiąc, w jaki sposób pojmać ich obydwu.

Każdy dzień opóźnienia powiększał moją irytację. Obecnie Ferde był słaby, ponieważ podczas naszego starcia odebrałam mu skradzione dusze, źródło jego magicznej mocy. Jednak wystarczy mu tylko zamordować kolejną dziewczynę, by odzyskać część siły. Jak dotąd nie doniesiono o niczym zniknięciu, jednak dręczyła mnie świadomość, że zabójca pozostaje na wolności.

Aby oderwać myśli od wyobrażania sobie potworności, których może się dopuścić Ferde, skupiłam uwagę na odebranej wiadomości. Księżycowy Człowiek nie określił, czy mam przybyć sama, jednak natychmiast odrzuciłam myśl o poinformowaniu Rady. Zanim radni zdecydują, co robić, Ferde już dawno się ulotni. Pojadę, nie powiadamiając ich o tym. Irys nazwałaby to wpadaniem na oślep w trudną sytuację, gnana nadzieją, że znajdę najlepsze rozwiązanie. Nie licząc jednak kilku drobnych pomyłek, w moim przypadku ta metoda się sprawdziła. A w tym momencie pośpieszny wyjazd wydawał mi się kuszący.

Kiedy rozwinęłam pergamin, Irys usunęła się dyskretnie na bok, jednak widać było, że jest zaciekawiona, dlatego na głos odczytałam wiadomość.

Wtedy stwierdziła:

– Powinnyśmy zawiadomić Radę.

– Po co? Żeby radni przez następny miesiąc dyskutowali o wszystkich możliwych aspektach tej sprawy? Zaproszenie jest skierowane tylko do mnie. Jeżeli będę potrzebowała twojej pomocy, wezwę cię.

Wyczułam, że jej opór słabnie. Dumiała jakiś czas, wreszcie stwierdziła:

– Nie powinnaś jechać sama.

– Więc zabiorę ze sobą Leifa.

Po krótkim wahaniu Irys wyraziła zgodę. Jako członek Rady nie była zachwycona moim pomysłem, ale nauczyła się już ufać memu osądowi.

Leifa, mojego brata, z pewnością tak samo mocno jak mnie ucieszy możliwość wyrwania się zarówno z Twierdzy Magów, jak i w ogóle z Cytadeli. Rosnąca do mnie wrogość Roze Featherstone stawiała go w kłopotliwej sytuacji. W okresie pobierania nauk w Twierdzy był uczniem Roze, a po ukończeniu studiów został jej asystentem. Jego magiczna zdolność wyczuwania ludzkich emocji pomagała Roze określać zakres winy przestępców, a także ułatwiała ofiarom przypomnienie sobie szczegółów tego, co je spotkało.

Pierwszą reakcją Leifa na moje ponowne pojawienie się w Sycji po

czternastu latach nieobecności był gwałtowny wybuch nienawiści. Wmówił sobie, że w dzieciństwie porwano mnie do Iksji wyłącznie po to, by zrobić mi na złość, a powróciłam z północy jako szpieg działający w ramach wrogiego spisku przeciwko Sycji.

– Powinniśmy przynajmniej poinformować o wszystkim mistrzów magii – stwierdziła Irys. – Roze z pewnością chciałaby wiedzieć, kiedy będzie mogła rozpocząć twoje szkolenie.

– No tak, Roze i szkolenie... – mruknęłam tak cicho, że Irys pewnie nie słyszała. Patrzyłam na nią chmurnie, zastanawiając się, czy mam wspomnieć o takim drobiazgu jak ognisty atak. Rozmyśliłam się jednak i zdecydowałam, że sama poradzę sobie z pierwszą maginią. Niestety, będę miała ku temu aż nazbyt wiele okazji, spędzając z nią mnóstwo czasu.

– Dziś po południu w budynku administracyjnym odbędzie się zebranie mistrzów magii. – Gdy gniewnie zmarszczyłam brwi, Irys pozostała nieugięta. – A zatem do zobaczenia.

Tak szybko wyszła z wieży, że nie zdążyłam zaprotestować, choć oczywiście mogłabym skontaktować się z nią mentalnie. Nasze umysły są bowiem stale połączone. Każda z nas ma swoje prywatne myśli, niedostępne dla drugiej, ale jeśli mentalnie przemówię do Irys, to mnie usłyszy, jakbyśmy przebywały w tym samym pokoju. Gdyby jednak spróbowała głębiej wysondować moje myśli czy wspomnienia, uznano by to za naruszenie Kodeksu Etycznego magów.

Taką samą psychiczną łączność nawiązałam z moją klaczką Kiki, wystarczy, że zawołam do niej w myśli, a od razu mnie usłyszy. Natomiast mentalne skontaktowanie się z Leifem lub z moim przyjacielem Daksem jest już trudniejsze. Wtedy muszę wyciągnąć nitkę magicznej mocy i odnaleźć ich, a oni muszą zezwolić, bym przeszła przez mentalne mury obronne i wniknęła w ich myśli.

Wprawdzie potrafię pójść na skróty i dotrzeć do myśli i emocji innych ludzi poprzez ich dusze, jednak w Sycji uważa się to za pogwałcenie Kodeksu Etycznego. Niedawno przeraziłam Roze, używając tej umiejętności, by się przed nią obronić. Mimo całej potężnej magicznej mocy nie zdołała mnie powstrzymać przed dotarciem do najgłębszych pokładów jej jaźni.

Nagle ogarnął mnie lęk. Wciąż ciążył mi mój nowy tytuł Poszukiwaczki Dusz. Nie tylko ciążył, ale i być może zagrażał.

Porzuciłam te rozważania, owinęłam się płaszczem i opuściłam wieżę Irys.

W drodze przez kampus Twierdzy Magów znów zaczęłam rozmyślać o mentalnej komunikacji. Mojej więzi z Valkiem nie można uważać za magiczną łączność. Jego umysł pozostawał dla mnie niedostępny, natomiast Valek posiadał przedziwną zdolność, mianowicie zawsze wiedział, kiedy go potrzebuję, i w takich chwilach zawsze potrafił nawiązać ze mną mentalny kontakt. Dzięki temu talentowi wiele razy ocalił mi życie.

Obróciłam na nadgarstku bransoletkę w kształcie węża, którą dostałam od Valka, i rozmyślałam o naszym związku, aż gwałtowny poryw lodowatego wichru wywiał ze mnie wszystkie ciepłe myśli o ukochanym. W północnej Sycji już na dobre zapanowała zimna pora roku. Brnęłam przez błotniste kałuże, osłaniając twarz przed zacinającym deszczem ze śniegiem. Białe marmurowe budynki Twierdzy Magów były ochłapane błotem, a w mdłym świetle wydawały się szare, co jeszcze bardziej podkreślało mój posepny nastrój.

Większość dwudziestoletniego życia spędziłam na północy, w Iksji, gdzie taka pogoda panuje jedynie przez kilka dni w roku, w krótkiej przejściowej porze jesiennej, aż zimne wiatry przegnają wilgoć i deszcze, zastępując je śniegiem. Jak jednak usłyszałam od Irys, ta paskudna aura jest w Sycji typowa dla zimnej pory roku. Śnieg należy

do rzadkości, a nawet jeśli już spadnie, utrzymuje się nie dłużej niż przez noc.

Począpałam w kierunku budynku administracyjnego Twierdzy, ignorując nienawistne spojrzenia studentów, którzy przebiegali pośpiesznie na kolejne zajęcia.

Jednym ze skutków pojmania przeze mnie Ferdego była natychmiastowa zmiana mojego statusu z szeregowej praktykantki na asystentkę czwartej magini. Kiedy Irys i ja określiliśmy naszą relację jako partnerską współpracę, zaproponowała mi zamieszkanie w jej wieży. Przyjęłam tę propozycję z ulgą, zadowolona, że uwolnię się od chłodnych lub wręcz wrogich spojrzeń studentów.

Jednak ich pogarda była niczym w porównaniu z furją Roze, którą ujrzałam na jej twarzy, gdy weszłam do sali zebrań mistrzów magii.

Jak zawsze czujna Irys, zrywając się zza długiego stołu, wyjaśniła, dlaczego tu się zjawiłam:

– Yelena otrzymała wiadomość od snującego opowieść z klanu Sandseed. Być może ustalił miejsce pobytu Ferdego i Cahila.

– To wykluczone. – Roze skrzywiła się pogardliwie. – Gdyby Ferde ruszył przez Równinę Avibiańską, żeby powrócić do swego klanu na płaskowyżu Daviian, pozornie działałby zgodnie z logiką, lecz tak naprawdę byłoby to równoznaczne z samobójstwem. Przecież wybór takiego kierunku byłby zbyt oczywisty, właśnie z uwagi na ową pozorną logikę. A przecież Ferde nie jest głupcem. Najpewniej przedyskutował sprawę z Cahilem i pojechał z nim na terytorium klanu Stormdance lub Bloodgood, gdzie Cahil ma wielu stronników.

Roze do niedawna była w Radzie orędowniczką Cahila. Został wychowany przez żołnierzy, którzy po przewrocie zbiegli z Iksji. Wmówili w niego, że jest siostrzeńcem zamordowanego króla

i powinien zasiąść na tronie. Cahil usilnie starał się pozyskać zwolenników i utworzyć armię, by pokonać komendanta Ambrose'a, który obecnie władał Iksją. Jednak kiedy odkrył, że tak naprawdę jest synem prostego żołnierza, uwolnił z więzienia Ferdego i obaj zniknęli bez śladu.

Pierwsza magini Roze Featherstone dotychczas wspierała dążenia Cahila, bo jak i on uważała, że komendant Ambrose wkrótce rozpocznie wojnę, by podbić Sycję.

– Cahil mógł dotrzeć do płaskowyżu, omijając równinę – podsunęła trzecia magini Zitora Cowan. W jej miodowobrazowych oczach widniał niepokój. Ponieważ jednak była najmłodsza z czworga mistrzów magii, pozostali zwykle ignorowali jej uwagi.

– Zatem skąd Księżycowy Człowiek by się o tym dowiedział? – spytała Roze. – Członkowie klanu Sandseed nie wyprawiają się poza Równinę Avibiańską, o ile nie jest to absolutnie konieczne.

– Albo raczej chcą, byśmy tak sądzili – odparła Irys. – Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby gdzieś tu mieli kilku zwiadowców.

– Tak czy owak, trzeba rozważyć wszystkie opcje – odezwał się Bain Bloodgood, drugi mag. – Oczywiście czy nie, ktoś będzie musiał sprawdzić, czy Cahil i Ferde nie dotarli jednak na płaskowyż.

Z siwymi włosami i w rozwianej todze, Bain odpowiadał moim wyobrażeniom o wyglądzie maga. Jego pomarszczone oblicze emanowało mądrością.

– Ja pojedę – oświadczyłam.

– Powinniśmy wysłać z nią żołnierzy – zaproponowała Zitora.

– Może też jej towarzyszyć Leif – dorzucił Bain. – Jako

spokrewnieni z klanem Sandseed, mogą liczyć na życzliwe przyjęcie.

Głęboko zadumana Roze przegarnęła palcami krótko obcięte białe włosy. Wraz z nastaniem chłodniejszej aury porzuciła przewiewne letnie sukienki, teraz miała na sobie suknię z długimi rękawami. Ten strój w kolorze głębokiego granatu pochłaniał światło i był niemal równie ciemny jak jej cera. Księżycowy Człowiek miał skórę o tym samym odcieniu. Ciekawe, jakiego koloru byłyby jego włosy, gdyby nie golił głowy?

– Nikogo tam nie wyślę – rzekła wreszcie. – To strata czasu i zachodu.

– Pojadę. Nie potrzebuję twojego pozwolenia. – Wstałam, aby wyjść.

– Bez mojego zezwolenia nie możesz opuścić Twierdzy – odparła Roze. – Ja tu rządę. Jestem zwierzchniczką wszystkich magów, zatem również twoją. – Walnęła dłońmi w poręczę fotela. – Gdybym to ja kierowała Radą, zamknięto by cię w więziennej celi, gdzie czekałabyś na egzekucję. Po Poszukiwacze Dusz można spodziewać się tylko najgorszego. – Pozostali mistrzowie patrzyli na nią wstrząśnięci, lecz Roze, nie zważając na to, dalej się sierdziła: – Spójrzmy tylko na naszą historię. Każdy Poszukiwacz Dusz pożądał władzy, dążył do zdobycia potęgi magicznej i politycznej, pragnął panować nad ludzkimi duszami. Yelena nie będzie inna. Z pewnością tylko udaje, że chce zostać rozjemcą i jest gotowa poddać się mojemu szkoleniu. To tylko kwestia czasu. – Roze wskazała na drzwi. – Ona już chce uciec, zanim w ogóle zaczęłyśmy lekcje.

Te słowa rozbrzmiały echem pośród osłupiałego milczenia pozostałych mistrzów. Pierwsza magini, spoglądając na zszokowane twarze, wygładziła fałdki sukni. Dobrze wiedziano o jej niechęci do mnie, lecz tym razem posunęła się za daleko.

– Roze, to było całkiem...

Nie pozwoliła dokończyć kazania Bainowi, powstrzymując go stanowczo uniesioną dłonią.

– Doskonale znasz historię. Wiele razy zostałeś już ostrzeżony, dlatego nic więcej nie powiem. – Wstała z fotela i zmierzyła mnie pogardliwym spojrzeniem, górując o dobrych dwadzieścia centymetrów. – A więc jedź. I zabierz ze sobą Leifa. Potraktuj to jako pierwszą lekcję... lekcję daremności. A kiedy wrócisz, wezmę się za ciebie.

Gdy ruszyła do wyjścia, pochwyciłam nić jej myśli:

– ...powinnam stale wynajdywać jej jakieś zajęcia i trzymać jak najdalej od siebie.

Roze przystanęła w progu, obejrzała się przez ramię, popatrzyła na mnie znacząco i przesłała mentalny komunikat:

– Nie wtrącaj się w sprawy Sycji, a być może uda ci się zostać pierwszym Poszukiwaczem Dusz, który pożyje dłużej niż dwadzieścia pięć lat.

– Przejrzyj jeszcze raz historyczne księgi, Roze – odparłam. – Upadkowi Poszukiwacza Dusz towarzyszyła zawsze śmierć mistrza magii.

Zignorowała moją uwagę, ogłosiła koniec zebrania i opuściła salę.

Udałam się na poszukiwanie Leifa. Jego kwatery mieściła się w pobliżu skrzydła dla praktykantów, we wschodniej części kampusu Twierdzy Magów. Mieszkali tam ci, którzy już ukończyli studia i albo uczyli nowych studentów, albo byli asystentami któregoś z mistrzów magii.

Pozostałych świeżo upieczonych magów rozsyłano po całym kraju, by służyli swymi umiejętnościami i wiedzą obywatelom Sycji. Rada dbała o to, aby w każdej miejscowości znajdował się uzdrowiciel, natomiast magowie o rzadszych talentach, takich jak znajomość starożytnych języków lub umiejętność odnajdywania zaginionych przedmiotów, przenosili się z miejsca na miejsce w zależności od potrzeb.

Magowie dysponujący wielką mocą przed opuszczeniem Twierdzy przystępowali do egzaminu mistrzowskiego. W ciągu minionych dwudziestu lat jedynie Zitora zdała ten egzamin, powiększając liczbę mistrzów magii do czworga. Na przestrzeni dziejów Sycji nigdy nie było ich jednocześnie więcej niż właśnie tylu.

Irys uważała, że Poszukiwacz Dusz posiada wystarczająco wielką moc, by przystąpić do egzaminu, jednak ja byłam odmiennego zdania. Magowie zostawali mistrzami, gdy po procesie szkolenia potrafili wykorzystać maksimum swych zdolności, natomiast mnie wciąż brakowało podstawowych magicznych umiejętności wzniesienia ognia i poruszania przedmiotów, co potrafi każdy mistrz magii.

Poza tym już wystarczająco mocno dręczył mnie fakt, że jestem Poszukiwaczką Dusz, i nie zniosłabym dodatkowych cierpień związanych z egzaminem oraz jego oblaniem. A przynajmniej tak sądziłam, jako że o tej próbie krążyły naprawdę przerażające pogłoski.

Nim doszłam do kwatery Leifa, drzwi uchyliły się i mój brat wytknął głowę na zewnątrz. Zagoniłam go do środka i sama pośpiesznie weszłam do saloniku. Błotnista breja ściekała z moich butów na nieskazitelnie czystą podłogę.

Mieszkanie Leifa było schludne, lecz skąpo umeblowane. Jedyne osobiste akcent stanowiło kilka obrazów, które przedstawiały rzadki kwiat ylang-ylang rosnący jedynie w dżungli Illiais, lamparta przyczajonego na gałęzi oraz drzewo figowca dusiciela oplatające

w zabójczym uścisku pień mahoniowca.

Leif z rezygnacją popatrzył na moje przemoczone i brudne ubranie. Jego zielonkawe oczy były jedyną naszą wspólną cechą fizyczną. Krępa sylwetka i kanciasta szczęka brata były całkiem inne od mojej owalnej twarzy i szczupłej postaci.

– Przypuszczam, że przynosisz złą wiadomość – rzekł. – W tak paskudną pogodę raczej nie wybrałaś się tutaj tylko po to, żeby się ze mną przywitać.

– Otworzyłeś drzwi, nim zdążyłam zapukać. Musiałeś wiedzieć, że coś się święci.

– Poczułem, że nadchodzisz. – Otarł z twarzy krople deszczu.

– Jak to poczułeś?

– Śmierdzisz lawendą. Kąpiesz się w perfumach od matki czy tylko pierzesz w nich płaszcz? – rzucił kpiąco.

– Jakie to prozaiczne. Sądziłam, że posłużyłeś się magicznymi zdolnościami.

– Po co niepotrzebnie tracić siły na używanie magii? Chociaż... – Gdy urwał, poczułam lekkie mrowienie, które świadczyło, że zaczerpnął odrobinę magicznej mocy. – Lęk, ekscytacja, poirytowanie i gniew – oznajmił po chwili. – Domyślam się, że Rada nie wybrała cię jeszcze na królową Sycji? – Gdy milczałam, dorzucił: – Nie martw się, siostrzyczko, w naszej rodzinie wciąż jesteś księżniczką. Obydwoje wiemy, że matka i ojciec ciebie kochają najbardziej. – W jego głosie zabrzmiała ostra nuta.

Cóż, jeszcze niedawno Leif pragnął mojej śmierci.

– Esau i Perl darzą nas jednakową miłością. Naprawdę potrzebujesz mnie przy sobie, żebym prostowała twoje błędne wyobrażenia. Już wcześniej dowiodłam, że się mylisz, i mogę uczynić to ponownie. – Nie przejęłam się, gdy Leif z powątpiewaniem uniósł brwi, tylko mówiłam dalej: – Twierdziłeś, że obawiam się wrócić do Twierdzy. Więc patrz. – Szeroko rozłożyłam ręce, rozpryskując krople wody na zieloną tunikę Leifa. – Oto jestem.

– Przyznaję, wróciłaś. Ale czy się nie boisz?

– Mam już matkę i snującego opowieść. Tobie przypadła rola irytującego starszego brata, więc się jej trzymaj.

– Och, widzę, że trafiłem w czuły punkt.

– Nie chcę się z tobą kłócić. Masz, zobacz. – Podałam mu list od Księżycowego Człowieka.

– Ferde – stwierdził Leif, gdy tylko rzucił okiem na tekst. Innymi słowy, doszedł do tego samego wniosku co ja. – Powiadomiłaś Radę?

– Nie, tylko mistrzów. – Zrelacjonowałam przebieg zebrania, jednak pominęłam moje starcie z Roze Featherstone.

Leif przygarbił szerokie ramiona, wreszcie po długim namyśle oznajmił:

– Mistrzynie Featherstone nie wierzy, że Ferde i Cahil pojechali na płaskowyż Daviian. Ona już mi nie ufa.

– Nie wiesz tego na...

– Sądzi, że Cahil udał się w innym kierunku. W normalnej sytuacji wysłałaby mnie, żebym ustalił miejsce jego pobytu, a potem ją wezwał, i razem stawilibyśmy mu czoło. Teraz jednak każe mi szukać w polu

dzikiego valmura.

– Valmura? – Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że miał na myśli niewielkie zwierzę z długim ogonem żyjące w dżungli.

– Pamiętasz, jak w dzieciństwie ścigaliśmy je po drzewach? Są tak szybkie i zwinne, że nigdy nie udało się nam żadnego złapać. Ale wystarczy usiąść z klonowym cukierkiem w dłoni, a valmur skoczy ci prosto na kolana i będzie łaził za tobą przez cały dzień. – Gdy milczałam, zakłopotany Leif mruknął: – To musiało być już później...

Czyli po tym, jak porwano mnie i uprowadzono do Iksji. Mogłam sobie jednak wyobrazić małego Leifa gnającego po konarach za rączym valmurem. Twierdzą klanu Zaltana zbudowano wysoko pośród koron drzew. Mój ojciec żartował, że dzieci najpierw wspinają się po gałęziach, dopiero potem uczą się chodzić.

– Roze może się mylić co do zamiarów Cahila, dlatego zabierz kilka klonowych cukierków – powiedziałam. – Mogą się nam przydać.

Leif zadrżał z zimna.

– Na równinie przynajmniej będzie cieplej niż tutaj, a płaskowyż leży jeszcze dalej na południe.

Opuściłam kwaterę Leifa i pośpieszyłam do mojego mieszkania w wieży, żeby się spakować. Zacinał deszcz ze śniegiem, w twarz kłuły drobne igiełki lodu. Irys czekała na mnie w holu. Płomienie w kominku zatańczyły niespokojnie w zimnym podmuchu, gdy zamykałam atakowaną przez wiatr bramę. Kiedy się już z tym uporałam, podeszłam do ognia, by ogrzać zmarznięte ręce. Perspektywa podróżowania w taką pogodę nie była zbyt pociągająca.

– Czy Leif potrafi rozniecać magią ogień? – zapytałam Irys.

– Tak sędę, choć jednak jest bardzo utalentowany, mokrego drewna nie zapali.

– Wspaniale – mruknełam.

Z przemoczonego płaszcza unosiła się para. Powiesiłem go na krześle i podsunęłam bliżej ognia.

– Kiedy wyruszacie? – spytała Irys.

– Natychmiast. – Zaburczało mi w brzuchu, ale co się dziwić, skoro nie jadłam obiadu. Kolację spożyję już w drodze, będę się musiała zadowolić plastrem zimnego sera i kawałkiem gąbczastego chleba. – Spotkam się z Leifem w stajni. Och, na jad węża! – zawołałam, przypomniawszy sobie swoje zobowiązania. – Irys, czy mogłabyś zawiadomić Gelsi i Daksa, że rozpocznę z nimi lekcje dopiero po powrocie?

– Co za lekcje? Chyba nie magii?

– Nie, nie. Szkolenie w sztuce samoobrony. – Wskazałam tkwiący w uchwycie przy moim plecaku półtorametrowy hebanowy kij pokryty lśniącymi kroplami wody. Wyjęłam go, wając w rękach solidny ciężar. Na czarnej powierzchni widniały wyryte małe rysunki pociągnięte złotą farbą. Przedstawiały mnie jako dziecko, dżunglę, rodzinę i całą historię mojego życia, a nawet moją uroczą klacz Kiki. Kij dobrze leżał mi w dłoniach. Był to podarunek od mistrzowskiej rzemieślniczki z klanu Sandseed, która wcześniej wychowała Kiki.

– Natomiast Bain wie, że nie zjawisz się u niego jutro na porannej lekcji – oznajmiła Irys. – Ale powiedział...

– Tylko mi nie mów – zaczęłam błagalnym tonem – że zadał mi jakąś pracę domową. – Na samą myśl o dźwiganiu opasłego tomu z dziedziny historii rozboleł mnie kręgosłup.

– Powiedział, że kiedy wrócisz, pomoże ci nadrobić stracony czas nauki – odparła z uśmiechem Irys.

– To dobrze. – Z ulgą podniosłam plecak i przejrzałam jego zawartość, zastanawiając się, czego będziemy potrzebować.

– Coś jeszcze? – spytała Irys.

– Nie. Co powiesz członkom Rady?

– Że Roze wysłała cię, abys nauczyła się magii od snujących opowieść. Pierwszy znany nam Poszukiwacz Dusz wywodził się z klanu Sandseed. Wiedziałaś o tym?

– Nie. – Ta informacja bardzo mnie zaskoczyła, choć właściwie nie powinna. Przecież cała moja wiedza o Poszukiwaczach Dusz nie zapełniłaby nawet jednej stroniczki.

Skończyłam pakowanie, pożegnałam się z Irys i ruszyłam ku sali jadalnej, z trudem stawiając czoło porywom wichru. Personel kuchni zawsze trzymał dla magów zapasy prowiantu na drogę. Zabrałam dość jedzenia, by starczyło nam na tydzień.

Gdy podeszłam do stajni, kilka koni wystawiło głowy ze swoich boksów. Nawet w ponurym mdłym świetle od razu rozpoznałam miedziano-biały łeb Kiki.

Zarżała na powitanie, a ja otworzyłam przed nią swój umysł. Od razu usłyszałam w głowie pytanie klaczki:

– Jedziemy?

– Tak. Przepraszam, że wyprowadzam cię w taką paskudną pogodę.

– Z Lawendową Panią nie jest zła.

Lawendową Panią nazwały mnie konie. Nadają ludziom imiona tak samo jak my im. Uśmiechnęłam się, przypomniawszy sobie uwagę Leifa o mojej kąpieli w mocno pachnących ziołach.

– Lawenda pachnie jak... – Kiki urwała, bo brakowało jej słów na opisanie doznawanych emocji. W umyśle klaczy pojawił się obraz gęstego niebieskoszarego krzewu lawendy ze skupiskami fioletowych kwiatów. Temu obrazowi towarzyszyły poczucie zadowolenia i bezpieczeństwa.

Gdy szłam głównym korytarzem stajni, moje kroki rozbrzmiewały echem, jakby był pusty, chociaż leżały w nim sterty worków z obrokiem. Grube belki nośne pomiędzy boksami wyglądały jak żołnierze stojący na warcie, a koniec korytarza ginął w mroku.

– Gdzie Leif? – zapytałam Kiki.

– Smętny Człowiek w siodlarni – odpowiedziała.

Ruszyłam wolnym krokiem w głąb stajni, wdychając znajomy zapach skóry i maści do czyszczenia siodeł. W gardło drapała mnie sucha woń siana zmieszana z ostrym odorem końskiego nawozu.

– Tropiciel też – dodała klacz.

– Kto?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, dostrzegłam w siodlarni kapitana Marroka i Leifa. Ostry czubek miecza Marroka mierzył w pierś mojego brata.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Nie podchodź, Yeleno – rozkazał Marrok. – Leif, odpowiadaj.

Mój brat był blady, lecz z uporem zaciskał szczęki, zarazem zerkając na mnie pytająco. Sama jednak nie rozumiałam postępowania kapitana.

– O co ci chodzi, Marrok? – rzuciłam.

Sińce znikły już z jego twarzy, jednak mimo starań uzdrowiciela Hayesa, który robił wszystko, by wyleczyć złamaną kość policzkową, oko wciąż miał podpuchnięte.

– Muszę odnaleźć Cahila – odparł.

– My też chcemy go znaleźć. Dlaczego grozisz mojemu bratu? – Mówiłam surowym tonem, by przypomnieć Marrokowi, że teraz ma do czynienia ze mną. Posiadanie złej reputacji bywa czasem przydatne.

Popatrzył na mnie, po czym oznajmił:

– On jest asystentem pierwszej magini, która kieruje poszukiwaniami. Gdyby natrafiła na ślad Cahila, wysłałaby Leifa. – Wskazał wodze, które trzymał mój brat. – W taką pogodę z pewnością nie zamierzał pojechać na targ ani na przejażdżkę dla przyjemności. Ale nie chce mi powiedzieć, dokąd się wybiera.

Wciąż nie przestaje mnie zadziwiać, jak szybko nowiny i plotki rozchodzą się wśród strażników Twierdzy.

– Zapytałeś go, zanim dobyteś broni, czy dopiero potem?

Czubek miecza Marroka zakołysał się niepewnie.

– Co za różnica?

– Taka, że większość ludzi jest bardziej skora do współpracy, jeśli nie mierzy się w nich bronią. – Zaraz jednak do mnie dotarło, że Marrok jako zawodowy żołnierz przywykł używać argumentu miecza, zmieniłam więc taktykę. – Dlaczego działasz w taki sposób, zamiast śledzić Leifa? – Tropicielski talent Marroka tak bardzo zaimponował koniom, że nazwały go, jakżeby inaczej, Tropicielem.

Dotknął policzka i skrzywił się. Mogłam z łatwością odgadnąć jego myśli. Marrok przez lata z bezgraniczną lojalnością służył Cahilowi, ten jednak niedawno pobił go i torturował, by wydobyć prawdę o swym pochodzeniu, a potem pozostawił go, jak mniemał, na pewną śmierć.

Kapitan szybkim ruchem wsunął miecz do pochwy, po czym oznajmił:

– Nie mogę śledzić Leifa. Dzięki magii zawsze wyczuje moją obecność i może zmać mi umysł.

– Nie potrafię tego robić – zaproponował Leif.

– Naprawdę? – spytał w zamyśleniu Marrok, wciąż trzymając dłoń w pobliżu miecza.

– Ale ja potrafię. – Kiedy kapitan spojrział na mnie, mówiłam dalej: – W tym stanie zdrowia nie nadajesz się do podróży, poza tym nie mogę pozwolić, żebyś zabił Cahila. Sycjańska Rada pragnie go najpierw przesłuchać. – Nie dodałam, że również ja pragnę rozmówić się z Cahilem.

– Nie szukam zemsty – powiedział Marrok.

– Więc czego chcesz?

– Chcę mu pomóc – oznajmił, ściskając rękojeść miecza.

– Co takiego? – zawołaliśmy równocześnie ja i Leif.

– Sycja go potrzebuje. Tylko radni i mistrzowie magii wiedzą, że Cahil nie pochodzi z królewskiego rodu, wśród Sycjan nadal więc uchodzi za legalnego pretendenta do tronu Iksji. Natomiast Iksja stanowi realne zagrożenie dla sycjańskiego modelu życia. Sycja potrzebuje przywódcy symbolizującego tradycyjny porządek, który zjednoczy siły i poprowadzi do walki z wrogiem – wyrecytował swój program polityczny.

– Przecież pomógł uciec Ferdemu – powiedziałam – który być może w tej chwili torturuje i gwałci kolejną dziewczynę.

– Cahil był po prostu oszołomiony i zdruzgotany poznaniem prawdy o swym niskim pochodzeniu. Wychowałem go od małego i poznałem lepiej niż ktokolwiek inny. Przypuszczalnie już żałuje nierozważnego postępu, a Ferde najprawdopodobniej nie żyje. Jestem pewien, że jeśli zyskam szansę porozmawiania z Cahilem, zdołam po dobroci przekonać go do powrotu, a wtedy wszystko wyjaśnimy Radzie.

Musnął mnie powiew magicznej mocy Leifa.

– On ma uczciwe zamiary – orzekł mój brat.

Tylko jakie zamiary żywi Cahil? Wiedziałałam, że bezwzględnie i konsekwentnie dążył do zgromadzenia armii, ale nigdy nie działał pochopnie i lekkomyślnie. Jednak znam go zaledwie od dwóch pór roku. Rozważyłam wysondowanie wspomnień Marroka dotyczących Cahila, jednak uczynienie tego bez jego zgody stanowiłoby pogwałcenie Kodeksu Etycznego, dlatego poprosiłam go o pozwolenie.

– No, jazda – zachęcił, spoglądając mi prosto w twarz.

Od czasu napaści Cahila w oczach Marroka zagościł ból, a włosy kompletnie posiwiały. To, że wyraził zgodę, przekonało mnie o jego szczerości, jednak Marrok, choć nie był mrocznym złem i kierował się czystymi intencjami, nadal zamierzał stworzyć armię i zaatakować Iksję. To zaś było całkowicie sprzeczne z moimi przekonaniem. Uważałam, że władze i narody Iksji oraz Sycji powinny się poznać, zrozumieć i podjąć współpracę. Natomiast wojna nie przyniesie nic dobrego.

Nie wiedziałam, czy zostawić Marroka w Cytadeli, gdzie będzie namawiał Radę do walki z Iksją, czy też zabrać go ze sobą. Ostatecznie zdecydowałam się na to drugie, zwłaszcza że jego umiejętność tropienia śladów mogła się nam przydać.

– Jeśli pozwolę ci pojechać z nami, będziesz musiał podporządkować się moim rozkazom. Zgadzasz się?

– Tak jest. – Marrok wyprężył się po wojskowemu.

– Na tyle już się wykurowałeś, by pojechać konno?

– Tak, ale nie mam wierzchowca.

– Nie szkodzi, znajdę ci konia z hodowli klanu Sandseed. Będziesz tylko musiał mocno trzymać się w siodle – dodałam z rozbawieniem, przypomniawszy sobie rączy jak poryw wiatru bieg Kiki.

Leif wreszcie się rozluźnił.

– Życzę ci powodzenia w negocjacjach z koniuszym – rzekł z uśmiechem – by pożyczył swojego konia.

– A to dlaczego? – spytałam.

– Garnet to jedyny pozostały w stajniach Twierdzy wierzchowiec pochodzący z hodowli klanu Sandseed.

Oklapałam z przygnębienia na myśl o upartym i zrzędlwym koniuszym. I co teraz? Koń żadnej innej rasy nie dorówna w biegu mojej Kiki i Rusałce Leifa.

– Miód – odezwała się Kiki w moim umyśle.

– Miód?

– Avibiański miód. Człowiek Wódz go uwielbia.

Przekaz był oczywisty. Jeśli obiecuję koniuszemu, że przywiozę mu trochę avibiańskiego miodu, być może pożyczę mi konia.

Wyjechaliśmy z Cytadeli południową bramą i ruszyliśmy drogą biegnącą wzdłuż doliny. Po prawej stronie były pola kukurydzy i koleiny wyjeżdżone przez wozy, a po lewej rozciągała się Równina Avibiańska.

Porastające ją wysokie trawy zmieniły barwę pod wpływem zimna z rudawożółtej na brązową. Deszcze utworzyły rozległe kałuże, przekształcając równinę w moczary. Powietrze przesycone było wilgotnymi oparami butwiejącej roślinności.

Leif dosiadał Rusałki, a Marrok jechał na Garnecie, kurczowo ściskając wodze. Jego napięcie udzieliło się wysokiemu koniowi, który płoszył się nerwowo przy każdym hałasie.

Moja klaczka zwolniła, żebym mogła porozmawiać z kapitanem.

– Odpręż się, Marrok. To ja obiecałam przywieźć koniuszemu skrzynkę avibiańskiego miodu, a także przez trzy tygodnie czyścić uprząż jego konia.

Wybuchnął ponurym śmiechem, wciąż mocno ściskając wodze.

Postanowiłam zmienić taktykę. Sięgnęłam do otulającego świat koca magicznej energii, wyciągnęłam z niego nić magii i połączyłam się z umysłem Garneta. Koń tęsknił za Człowiekiem Wodzem i nie darzył sympatią dosiadającego go obcego jeźdźca, ale uspokoił się, gdy ukazałam mu cel naszej wyprawy.

– Dom – rzekł z radością. Wyczułam, że chciałby przyśpieszyć, lecz się poskarżył: – Boli.

Marrok tak mocno ściągał wodze, że ranił mu pysk. Wiedziałam, że kapitan nie rozluźni chwytu, nawet jeśli zagrozę, że zostawimy go w tyle. Z westchnieniem nawiązałam delikatny kontakt z jego umysłem. Marrok niepokoił się o Cahila, nie o siebie. Dodatkowo frustrowało go to, że nie panował nad silnym wierzchowcem, chociaż trzymał wodze, a także fakt, że nie kontrolował sytuacji i musiał słuchać rozkazów „tej dziewczyny”.

Zaniepokoiły mnie jego mroczne myśli na mój temat, dlatego bardzo chciałam wysondować go głębiej. Jednak choć zgodził się, bym wejrzała w jego wspomnienia o Cahilu, to przecież nie zezwolił mi na pełny, nieskrępowany dostęp do swego umysłu. Tak więc wysłałam mu tylko kilka uspokajających myśli. Nie mógł usłyszeć moich słów, ale był w stanie odebrać kojący ton.

Po chwili przestał trzymać wodze tak sztywno i dopasował ruchy ciała do rytmu wierzchowca. Kiedy Garnet poczuł się swobodniej, Kiki skręciła na wschód w głąb równiny i przyśpieszyła, a spod jej kopyt bryznęło błoto. Dałam znak Leifowi i Marrokowi, by pozwolili koniom przejąć kontrolę.

– Proszę, znajdź Księżycowego Człowieka. Szybko – rzekłam do Kiki.

Klacz płynnie przeszła w swój bieg szybki jak poryw wiatru, pozostałe konie poszły w ślad za nią. Poczułam, że opływa mnie rwący strumień powietrza, ziemia rozmazywała się w pędzie pod kopytami Kiki, która gnała dwukrotnie szybciej niż pełny galop.

Jedynie konie klanu Sandseed potrafią osiągnąć taką zawrotną prędkość, i to tylko wtedy, kiedy przemierzają Równinę Avibiańską. To z pewnością magiczna umiejętność, jednak nie zauważyłam, by klacz wyciągnęła nitkę magii. Będę musiała zapytać o to Księżycowego Człowieka.

Równina Avibiańska zajmuje olbrzymią część obszaru wschodniej Sycji. Leży na południowy wschód od Cytadeli i rozciąga się w kierunku wschodnim aż do podnóża Gór Szmaragdowych, a na południu dochodzi do płaskowyżu Daviian.

Przebycie równiny na zwykłym koniu zajmuje od pięciu do siedmiu dni. Zamieszkuje ją jedynie klan Sandseed, a snujący opowieść chronią ten obszar potężną magią. Każdy obcy, który ośmieli się wkroczyć tam bez zezwolenia, błądzi i gubi się, gdyż magia mąci mu umysł. Intruz krąży w kółko i albo udaje mu się ostatkiem sił opuścić równinę, albo umiera z pragnienia.

Potężni magowie nie ulegają destrukcyjnemu wpływowi tej magii, dlatego mogą swobodnie podróżować przez Równinę Avibiańską, jednak snujący opowieść zawsze wiedzą, kiedy ktoś wkracza na ich ziemię. Zaltanian łączy odległe pokrewieństwo z klanem Sandseed, dlatego również mogą bez szkody dla siebie poruszać się po równinie. Natomiast inne klany starannie omijają ten rejon.

Ponieważ Marrok jechał na koniu hodowli klanu Sandseed, ochronna magia nie oddziaływała na niego i podróżowaliśmy przez całą noc. Dopiero o wschodzie słońca Kiki zatrzymała się na popas.

Wytarłam konie, a Leif poszukał drewna na opał. Marrok starał się mu pomagać, lecz spostrzegłam, że twarz ma bladą z ogromnego znużenia.

Padający nieustannie deszcz ze śniegiem trochę zelżał w nocy, ale niebo wciąż zasnuwały szare chmury. W miejscu naszego popasu rosło mnóstwo trawy dla koni, a także kilka drzew. Zatrzymaliśmy się na niewielkim skalistym wzniesieniu, dzięki czemu nie musieliśmy grzęznąć po kostki w błocie.

Mieliśmy przemoczone ubrania, więc by je wysuszyć, rozwiesiłam sznur między dwoma drzewami. Leif i Marrok znaleźli trochę suchego opału. Mój brat zrobił szałas z gałęzi, a potem wpatrzył się intensywnie w drewno przeznaczone na ognisko i natychmiast buchnęły małe płomyki.

– Popisujesz się – rzuciłam.

– Jesteś zazdrosna – odparł z uśmiechem, napełniając garnek wodą na herbatę.

– Owszem – burknęłam z irytacją.

Leif i ja mamy tych samych rodziców, ale odmienne magiczne talenty. Nasz ojciec Esau nie posiada żadnych magicznych zdolności, choć jest utalentowany w innych dziedzinach. Potrafi wyszukiwać i przetwarzać rośliny rosnące w dżungli w potrawy i lekarstwa oraz dokonuje szczególnych wynalazków. Perl, nasza matka, znana powszechnie z wytwarzanych przez siebie perfum, też była pozbawiona magicznych zdolności, może poza tym, że dość niejasno wyczuwała je u innych ludzi.

Zatem skąd Leif zyskał magiczne umiejętności rozniecania ognia i głęboko odczytywał ludzkie siły życiowe, natomiast ja potrafię oddziaływać na ludzkie dusze? Za pomocą magii mogłabym zmusić

Leifa, aby rozpałił ogień, jednak sama nie umiałabym tego uczynić. Ciekawe, czy ktokolwiek w dziejach Sycji zbadał zależność między magią a biologicznymi rodzicami? Najpewniej będzie to wiedział Bain Bloodgood, drugi mag, jako że w swojej bibliotece zgromadził niemal wszystkie książki wydane w Sycji.

Gdy skończyliśmy jeść śniadanie złożone z chleba i sera, Marrok natychmiast usnął. Leif i ja pozostaliśmy przy ognisku.

– Czy dodałeś coś do jego herbaty? – zapytałam.

– Trochę zmielonej kory drzewa z rodziny werbenowatych, żeby przyspieszyć proces zdrowienia.

Twarz Marroka była poorana licznymi zmarszczkami i szramami. Pod żółknącymi sińcami na szczęce dostrzegłam białą szczecinę zarostu. Podpuchnięte oko nabiegło krwią i łzawiło. Na prawym policzku widniały ciemnoczerwone smugi zaschłej krwi. Uzdrowiciel Hayes nie zgodził się, żebym pomogła mu w uzdrawianiu Marroka. Pozwolił mi jedynie asystować, gdy zajmował się pomniejszych obrażeniami. Kolejny człowiek, który lęka się moich magicznych zdolności.

Dotknęłam czoła Marroka. Było suche i rozpalone. Roztaczał cuchnącą woń gnijącego ciała. Sięgnęłam do źródła magicznej mocy i poczułam, że ochronna magia klanu Sandseed obserwuje mnie, szukając oznak zagrożenia. Zacerpnęłam magiczną energię i skierowałam ją ku Marrokowi, odsłaniając ukryte pod skórą mięśnie i kości. Jego rany pulsowały czerwonym światłem. Kość policzkowa została strzaskana, a jej odłamki dostały się do oka, ograniczając widzenie. W zmienionym przez chorobę obszarze dostrzegłam ciemne ogniska zakażeń.

Skoncentrowałam się na ranie i sprawiłam, że ból przeniósł się do mojej twarzy. Miałam wrażenie, że prawe oko przeszły ostra igła. Zaczęło łzawić, wzrok mi się zamglił. Zwinęłam się w kłębek

i odparłam atak bólu, przesyłając magiczną energię ze źródła przez moje ciało. Strumień zawirował i znieruchomiał. Wytężyłam siły i nagle potok energii popłynął zupełnie swobodnie szeroka strugą, jakby ktoś usunął na rzece tamę zbudowaną przez bobry, splukując ze mnie ból. Poczułam wielką ulgę, odprężyłam się.

– Sądysz, że to był dobry pomysł? – zapytał Leif, gdy otworzyłam oczy.

– Rana uległa zakażeniu.

– Ale zużyłaś całą swoją energię.

– Ja... – Usiadłam, czując zmęczenie, ale nie wyczerpanie. – Ja...

– Ja pomogłem.

Zaskoczony Leif poderwał się gwałtownie, lecz ja rozpoznałam ten głęboki męski głos. Księżycowy Człowiek pojawił się przy ognisku, jakby zmaterializował się z żaru i popiołu. Jego ogolona głowa lśniła w świetle słońca.

Dla ochrony przed przenikliwym zimnem włożył jasnobrązową tunikę z długimi rękawami i ciemnobrązowe spodnie harmonizujące z kolorem skóry, lecz był bosy.

– Żadnej farby? – zapytałam żartobliwie. Gdy pierwszy raz go spotkałam, jego skóra przypominała promień księżyca ponieważ nagie ciało pokryte było farbą indygo. Oznajmił wtedy, że jest moim snującym opowieść, a następnie ukazał historię mojego życia i odblokował we mnie wspomnienia z dzieciństwa. Pamięć o moich pierwszych sześciu latach, gdy mieszkałam z rodzicami i bratem, wymazał mi z umysłu mag Mogkan, żebym nie tęskniła za rodziną i nie próbowała uciec, po tym jak mnie porwał i uprowadził.

– Nie miałem czasu pomalować skóry – z uśmiechem powiedział Księżycowy Człowiek, po czym dodał z nutą dezaprobaty: – Dobrze, że zdążyłem w porę, zanim zużyłaś całą swoją energię.

– Nie całą – sprzeciwiłam się z dziecinną zapalczywością.

– Czyżbyś już stała się wszechmocną Poszukiwaczką Dusz? – Księżycowy Człowiek szeroko otworzył oczy w udawanym podziwieniu. – W takim razie złożę ci hołd, o Najwspanialsza. – Pokłonił się nisko.

– No już dobrze, wystarczy – odparłam ze śmiechem. – Powinnam była się zastanowić, zanim zabrałam się do uzdrawiania Marroka. Teraz jesteś zadowolony?

– Byłbym zadowolony, gdybym miał pewność, że nauuczka poskutkowałam i już więcej tego nie zrobisz. – Westchnął teatralnie. – Lecz zdaję sobie sprawę, że nadal będziesz działać spontanicznie i bez namysłu. To jest wplecione w twój życiowy wzór. Jesteś beznadziejnym przypadkiem.

– Wezwałeś mnie tylko w tym celu, by mi to powiedzieć? spytałam zrzędlawie.

– Chciałbym, aby tak było. – Spoważniał gwałtownie. – Dowiedzieliśmy się, że Złodziej Dusz przy pomocy Cahila uciekł z Twierdzy Magów. Jeden z naszych snujących opowieść podczas patrolowania płaskowyżu spostrzegł jakiegoś nieznanego podróżnika, któremu towarzyszył Daviian Vermin.

– To znaczy, że Cahil i Ferde dotarli na płaskowyż? – zapytał Leif.

– Tak sądzimy, jednak chcemy, by Yelena zidentyfikowała Złodzieja Dusz.

– Dlaczego? – Wiedziałam doskonale, że klan Sandseed nie

zawraca sobie głowy procesami sądowymi i skazywaniem na uwięzienie, tylko niezwłocznie dokonuje egzekucji pojmanych przestępców.

Tyle że Verminów, którzy władają potężną magiczną mocą, bardzo trudno jest wytropić. Daviianie Verminowie to grupa młodych członków klanu Sandseed, którzy odrzucili tradycyjny sposób życia polegający na trzymaniu się na uboczu i ograniczaniu kontaktów z innymi klanami. Verminowie chcą, aby snujący opowieść z klanu Sandseed wykorzystali olbrzymią magiczną potęgę do zdobycia władzy nad całą Sycją, a nie tylko nad Równiną Avibiańską.

Verminowie odłączyli się od macierzystego klanu, osiedli na płaskowyżu Daviian i nazwali się klanem Daviian. Ziemia płaskowyżu jest sucha i kamienista, więc dla pozyskania plonów trzeba by ją uprawiać w pocie i znoju, toteż Daviianie woleli atakować i rabować klan Sandseed, czym zyskali sobie przydomek „Vermin”, co znaczy kanalia lub szkodnik. Klan Sandseed nazywa też ich magów warperami, czyli wykoślawiającymi, ponieważ używają magii do egoistycznych celów.

– Musisz zidentyfikować Złodzieja Dusz, bo być może porwał następne ofiary, a tylko ty potrafisz uwolnić ich dusze, zanim go zabijemy – powiedział Księżycowy Człowiek beznamiętnym tonem.

– Czy znaleźliście – chwyciłam go za ramię – martwe ciała?

– Nie, ale już się boję na myśl, co możemy odkryć, gdy przeprowadzimy nalot na obóz Verminów.

Na chwilę znów obezwładniła mnie groza na wspomnienie tego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch pór roku. Ferde torturował i zgwałcił jedenaście dziewcząt, by móc skraść ich dusze i w ten sposób powiększyć swą magiczną moc. Valek i ja powstrzymaliśmy go, zanim zdążył osiąść ostatnią, dwunastą duszę. Gdyby mu się powiodło,

rzadziłby dziś Sycją i Iksją. Jednak udało mi się uwolnić wszystkie uwięzione dusze i wysłać je do niebios. Na samą myśl, że Ferde mógł zacząć wszystko od nowa, ogarnęło mnie przerażenie.

– Zlokalizowaliście ich obóz? – spytał Leif.

– Tak. Dbamy o nasze bezpieczeństwo – oświadczył Księżycowy Człowiek. – Nasi wojownicy dokładnie przeczesał płaskowyż i znaleźli wielkie obozowisko na południowym krańcu, blisko skraju dżungli Illiais. – Czyli niedaleko od miejsca zamieszkania mojej rodziny, pomyślałam. Gdy Księżycowy Człowiek dostrzegł wyraz lęku na mojej twarzy, uspokajająco ścisnął mnie za ramię i dodał: – Nie martw się o swój klan. Wszyscy wojownicy Sandseed są gotowi do ataku, gdyby Verminowie objawili chęć opuszczenia obozu. My wyruszamy, jak tylko konie odpoczną.

Przechadzałam się wokół ogniska. Wiedziałam, że powinnam się trochę zdrzemnąć, ale nie mogłam opanować gonitwy myśli. Leif oporządzał konie, a Marrok spał. Księżycowy Człowiek wyciągnął się koło ognia i zapatrzył w niebo.

O zmierzchu Marrok się obudził. Jego oko nie było już przekrwione, a opuchlizna zniknęła. Nie kryjąc zdumienia, delikatnie obmacał policzek, a gdy spostrzegł stojącego obok Księżycowego Człowieka, zerwał się na nogi, wyciągnął miecz i zamierzył się na niego. Lecz nawet z bronią w ręku wyglądał niepozornie przy muskularnym snującym opowieść, który górował nad nim wzrostem o dobrych piętnaście centymetrów.

– Widzę, że czujesz się lepiej – rzekł ze śmiechem Księżycowy Człowiek. – Chodź, musimy opracować plan działania.

Cała nasza czwórka zasiadła wokół ogniska i Leif przyrządził kolację. Marrok usiadł obok mnie. Widziałam, jak co jakiś czas dotykał policzka, a potem spoglądał na Księżycowego Człowieka z lękliwą

fascynacją, wciąż trzymając dłoń w pobliżu rękojeści miecza.

– Wyruszymy o świcie – autorytatywnie oznajmił Księżycowy Człowiek.

– Dlaczego wszystko musi zawsze zaczynać się o świcie? – zapytałam. – Nasze konie świetnie widzą w nocy.

– To da im całą dobę na odzyskanie sił. Pojadę z tobą na Kiki, bo jest najsilniejsza. Kiedy dotrzemy do płaskowyżu, nie będzie już okazji do odpoczynku, dopóki nie dołączymy do reszty.

– I co wtedy?

– Zaatakujemy. Ty masz się trzymać blisko mnie i pozostałych snujących opowieść. Złodzieja Dusz będą strzec warperzy. Kiedy przebijemy się przez zewnętrzną linię straży, zostanie nam najtrudniejsza część zadania.

– Uporanie się z warperami – powiedziałam.

– Tak... – Księżycowy Człowiek skinął głową.

– Może być ciężko. A jeśli znów byście przesunęli Otchłań? – spytał Leif.

Otchłań to dziura w kocu magicznej energii, w której nie działa magia. Gdy ostatnim razem klan Sandseed odkrył kryjówkę Verminów, chroniła ją tarcza magii stwarzająca złudzenie, że przebywa tam zaledwie kilku wojowników. Kiedy snujący opowieść przesunęli Otchłań nad obozowisko, iluzja się rozwiła i okazało się, że znajduje się w nim czterokrotnie więcej żołnierzy, czyli nieprzyjaciel znacznie przewyższał nas liczebnie.

– Verminowie poznali już ten fortel, więc jeśli spróbujemy

przemieścić koc magicznej energii, ostrzeże ich to o naszej obecności – odpowiedział Księżycowy Człowiek.

– Więc jak pokonamy warperów? – spytałam z niepokojem. Jeżeli Verminowie będą mieli dostęp do magii, czeka nas niełatwe zadanie.

– Wszyscy snujący opowieść z klanu Sandseed połączą swoje siły i utworzą mocną magiczną sieć, która oplecie nieprzyjaciół i uniemożliwi im posłużenie się magią. Przytrzymamy ich wystarczająco długo, abyś mogła odnaleźć Złodzieja Dusz.

– A co z Cahilem? – spytał Marrok, przerywając milczenie.

– Pomógł Złodziejowi Dusz w ucieczce, więc powinien zostać ukarany – odrzekł Księżycowy Człowiek.

– Rada chce z nim porozmawiać – oznajmiłam.

– I to ona zadecyduje o jego losie – dorzucił Leif.

– On nie jest Verminem. – Księżycowy Człowiek wrzucił ramionami. – Powiem moim ludziom, żeby go oszczędzili, ale w bitewnym zamęcie może się to okazać trudne.

– Cahil najpewniej przebywa z przywódcami klanu Daviian – powiedział Marrok.

– Marrok, ty i Leif odnajdźcie Cahila i odprowadźcie go na północ od pola walki – poleciłam. – Dołączę tam do was po bitwie.

– Tak jest – odrzekł kapitan.

Leif kiwnął głową, lecz w jego wzroku dostrzegłam wahanie.

– Masz jakieś wątpliwości? – zapytałam go mentalnie.

– A jeśli Cahil przekona Marroka, żeby nie zabierał go do Cytadeli? Jeśli się sprzymierzą i obezwładnią mnie?

– Masz rację. Poproszę Księżycowego Człowieka, żeby...

– Przydzielę Leifowi jednego z moich wojowników – oznajmił Księżycowy Człowiek.

Drgnęłam zaskoczona, gdyż nie poczułam, żeby zaczerpnął ze źródła magicznej mocy, by mentalnie połączyć się z nami.

– Co jeszcze możesz dla nas zrobić? – zapytałam go.

– Nie powiem ci, gdyż odarłoby to mnie z tajemniczego nimbu, tak właściwego dla snujących opowieść.

Nazajutrz rano osiodłaliśmy konie i wyruszyliśmy na południe w kierunku płaskowyżu Daviian. Kiki z łatwością niosła dwoje jeźdźców. Dotarliśmy tam po dwóch dniach, zatrzymując się pod drodze tylko raz, by zjeść gorącą kolację i przespać się. Drugiego dnia o zachodzie słońca rozbiliśmy obóz na skraju równiny, by dać odpocząć koniom.

Na horyzoncie rysował się olbrzymi masyw płaskowyżu. Podczas gdy na Równinie Avibiańskiej można znaleźć trochę drzew, łagodne wzgórza, kamienie i skalne występy z piaskowca, to na spalonej słońcem i piaszczystej ziemi płaskowyżu Daviian rosną tylko rzadkie kępy brązowej trawy, kolczaste krzewy i karłowate kaktusy.

Pozostawiliśmy za sobą zimną pochmurną aurę. Popołudniowe słońce przygrzewało tak mocno, że zdjęłam płaszcz. Jednak o zmierzchu powiał chłodny wiatr.

Księżycowy Człowiek pojechał odnaleźć zwiadowcę. Wprawdzie

byliśmy dość daleko od obozu Verminów, jednak rozpalenie ognia byłoby zbyt ryzykowne, toteż trzęsłam się z zimna, jedząc kolację złożoną z twardego sera i czerstwego chleba.

Snujący opowieść powrócił z jakimś człowiekiem z klanu Sandseed.

– To jest Tauno – przedstawił go. – Poprowadzi nas przez płaskowyż.

Przyjrzałam się drobnemu mężczyźnie uzbrojonomu w łuk i strzały. Był tylko trochę wyższy ode mnie. Mimo zimna nosił krótkie spodnie, a ciało miał pokryte farbą, jednak w słabym świetle nie zdołałam rozróżnić kolorów.

– Wyruszymy, gdy księżyc przemierzy jedną czwartą drogi – oznajmił.

Podróżowanie nocą było dobrym pomysłem, ale zastanawiałam się, co poczną nasi wojownicy w ciągu dnia.

– W jaki sposób ludzie z klanu Sandseed ukryją się na płaskowyżu? – zapytałam.

– Wtopimy się w tło. – Tauno wskazał swoją skórę. – A nasze myśli skryjemy za neutralizującą tarczą snujących opowieść.

Popatrzyłam na Księżycowego Człowieka.

– Neutralizująca tarcza blokuje magię – wyjaśnił. – Jeżeli ktoś przeszuka płaskowyż, posługując się magią, nie wykryje za tą tarczą żadnej żywej istoty.

– Czy utworzenie tarczy neutralizującej nie zaalarmuje Verminów? – zapytałam.

– Nie, jeśli zrobi się to w odpowiedni sposób. Snujący opowieść zbudowali tę tarczę jeszcze przed opuszczeniem równiny.

– A czy snujący opowieść ukryci za tarczą mogą posługiwać się swoją magią? – dociekał Leif.

– Tarcza zapobiega wniknięciu magii z zewnątrz. Nie blokuje naszych magicznych zdolności widzenia i słyszenia, a jedynie chroni nas przed wykryciem.

Gdy przygotowywaliśmy się do drogi, rozmyślałam o słowach Księżycowego Człowieka i uświadomiłam sobie, że wciąż jeszcze nie wiem bardzo wielu rzeczy o magii. Zbyt wielu. Jednak perspektywa uczenia się ich od Roze mroziła moją ciekawość.

Kiedy księżyc przebył czwartą część nieba, Tauno oznajmił:

– Pora ruszać.

Księżycowy Człowiek usiadł za mną na Kiki. Nagle przebiegł mnie dreszcz lęku. A jeśli niedostatek mojej magicznej wiedzy narazi na szwank naszą misję?

Lecz było za późno, by się tym martwić. Odetchnęłam głęboko, żeby uspokoić nerwy, i zerknęłam na towarzyszy. Tauno jechał z Marrokiem na Garnecie. Ze zbolalej miny kapitana poznałam, jak bardzo mu się nie podoba, że musi dzielić siodło z wojownikiem z klanu Sandseed. Co gorsza, Tauno uparł się, by siedzieć z przodu i trzymać wodze.

Aby pozostać przez cały czas pod osłoną neutralizującej tarczy, musieliśmy przemierzać płaskowyż ściśle wyznaczoną trasą. Prowadził nas Tauno. W panującej ciszy jedynym dźwiękiem był chrzęst twardego piasku pod końskimi kopytami.

Księżyc powoli pełził po niebie. W pewnym momencie zapragnęłam krzykiem przynaglić Kiki do galopu tylko po to, by przerwać przygniatające nas niemal fizycznie wyczuwalne napięcie.

Gdy na wschodzie ciemne niebo zaczęło blednąć, Tauno wstrzymał wierzchowca i zeskoczył z siodła. Zjedliśmy śniadanie i nakarmiliśmy konie. Kiedy wstał dzień, spostrzegłam, jak doskonale Tauno wtapia się w pejzaż płaskowyżu dzięki temu, że ma skórę pomalowaną kamuflującymi barwami szarości i brązu.

– Tutaj zostawimy konie i dalej pójdziemy pieszo – powiedział. – Zabierzcie ze sobą tylko to, co niezbędne.

Bezchmurne niebo zapowiadało ciepły dzień, więc zdjęłam płaszcz i schowałam go do plecaka. W gardle drapał mnie drobny pył niesiony powiewami suchego powietrza. Postanowiłam, że wezmę nóż sprężynowy. Przymocowałam paskami pochwę do prawego uda, po czym natarłam czubek noża kurarą. Ten paraliżujący mięśnie środek przyda się, jeśli Cahil odmówi współdziałania z nami. Wsunęłam broń do pochwy przez specjalną dziurę w kieszeni spodnicospodni. Zwinęłam długie czarne włosy w kok i spięłam je spinkami, a potem chwyciłam kij.

Byłam ubrana i wyekwipowana do walki, lecz nie znaczyło to jeszcze, że jestem do niej gotowa. Miałam nadzieję, że uda mi się odnaleźć i pojmać Cahila i Ferdego bez konieczności uśmiercenia któregokolwiek z nich, jednak mroczna świadomość, że nie zawaham się zabić w obronie własnej, boleśnie ścisnęła mi serce.

Tauno uważnie zlustrował nasze stroje i broń. Leif, ubrany w zielone spodnie i tunikę, przypasał maczetę. Marrok nosił miecz w brązowej skórzanej pochwie u pasa, odpowiadającej barwą spodniom. Zdałam sobie sprawę, że wszyscy jesteśmy ubrani w kolory ziemi, i chociaż nie stapiamy się z tłem tak doskonale jak Tauno, to jednak nie

będziemy zbyt rzucić się w oczy.

Przytroczyliśmy plecaki i torby z prowiantem do siodeł i puściliśmy konie wolno, żeby pasły się tą odrobiną mizernej trawy, którą zdołają tu znaleźć. Następnie ruszyliśmy na południe. Płaskowyż wydawał się opustoszały. Korciło mnie, żeby przeszukać teren za pomocą magii, lecz odepchnęłam tę pokusę. Niemal instynktownie pragnęłam nawiązać mentalną łączność z otaczającymi mnie żywymi istotami, gdyż czułam się niepewnie, nie wiedząc, co czai się w pobliżu.

Tauno wiódł nas krętą trasą, aż wreszcie przystanął, wskazał kępę karłowatych kaktusów i oznajmił:

– Za nimi znajduje się obóz Verminów.

Omiotłam wzrokiem płaskowyż. Gdzie się podziewa armia klanu Sandseed? Nagle piaszczysty grunt zafalował, jakby zmienił się w morze. Fale na powierzchni ziemi narastały. Zakryłam usta dłonią, by stłumić okrzyk zdumienia. Oto rząd za rzędem wstawali wojownicy klanu Sandseed. Gdyśmy tu nadeszli, leżeli przed nami, lecz byli tak świetnie zamaskowani piaskowymi barwami, że ich nie dostrzegłam.

Księżycowy Człowiek uśmiechnął się, ubawiony moją konsternacją.

– Tak bardzo przywykłaś polegać na magii, że zapomniałaś o fizycznych zmysłach.

Zanim zdołałam odpowiedzieć, dołączyło do nas czterech członków klanu Sandseed. Byli ubrani tak samo jak wojownicy, jednak odznaczali się władczą postawą, wydawali rozkazy i emanowali aurą magicznej potęgi. Domyśliłam się, że byli to snujący opowieść.

Jeden z nich podał Księżycowemu Człowiekowi szablę, a potem przyjrzał mi się uważnie, przeszywając przenikliwym wzrokiem.

– To jest Poszukiwaczka Dusz? – Nie zdołał ukryć w głosie powątpiewającej nuty. – Nie wyglądasz tak, jak się spodziewałem.

– A czego się spodziewałeś? – spytałam.

– Potężnej kobiety o ciemnej skórze. Wyglądasz jak ktoś, kto nigdy by nie przeżył burzy piaskowej, nie mówiąc już o tym, by miał uwolnić czyjąś duszę.

– Dobrze, że nie jesteś moim snującym opowieść. Dajesz się łatwo zwieść wzorowi ubrania, a nie dostrzegasz jakości materiału.

– Doskonale powiedziane – pochwalił mnie Księżycowy Człowiek, a potem zwrócił się do przybysza: – Reed, pokaż, gdzie jest ich obóz.

Mag poprowadził nas do kępy krzewów, skąd przez kolczaste gałęzie dostrzegłam Verminów.

Powietrze wokół obozowiska drżało, jakby przy gruncie uwięzły bąble żaru. Pośrodku płonął wielki ogień, na którym gotowano strawę. Niektórzy krzatali się, szykując śniadanie, inni już jedli. Namioty ciągnęły się aż do skraju płaskowyżu.

Mrużąc oczy przed blaskiem słońca, popatrzyłam poza kraniec obozowiska, lecz dostrzegłam tylko szczyty drzew dżungli Illiais. Ten widok przypominał mi chwilę, gdy stanęłam na platformie zbudowanej przy wierzchołku najwyższego drzewa w osadzie klanu Zaltana i po raz pierwszy ujrzałam ten rozległy płaskowyż. Skalny uskoki schodził stromo ku dżungli. Wyglądało na to, że niemożliwe jest wspięcie się po nim. Po co więc rozbijać tutaj obóz? – zachodziłam w głowę.

Księżycowy Człowiek oparł się o drzewo obok mnie i powiedział:

– Ten obóz to złudzenie.

– Czy macie wystarczająco wielu wojowników, by przypuścić atak? – spytałam, domyślając się, że iluzja skrywa znacznie większą liczbę Verminów.

– Owszem.

– A czy wszyscy... – Urwałam, gdyż wojownicy klanu Sandseed wznieśli okrzyk bitewny i pognali w kierunku nieprzyjacielskiego obozowiska.

Księżycowy Człowiek chwycił mnie za ramię i polecił:

– Trzymaj się blisko mnie.

Mając tuż za plecami Leifa i Marroka, ruszyliśmy w ślad za wojownikami. Gdy pierwsi z nich wkroczyli w złudę obozu, przez moment zniknęli nam z oczu. Dobiegł mnie szum wartko płynącej wody i iluzja rozwiąła się w powietrzu.

Zamrugałam, usiłując dostrzec to, co ukryli Daviianie. Umieszczone centralnie ognisko pozostało bez zmian, jednak zamiast krążących wokół niego licznych Verminów, stał tam tylko jeden mężczyzna. Reszta obozu była pusta.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wraz z rozwianiem się iluzji zniknęli też wszyscy Daviianie i namioty. Samotny mężczyzna stojący przy ognisku upadł, zanim wojownicy Sandseed zdążyli go dopaść.

Jedynie ślady na ziemi świadczyły o tym, że niedawno obozowała tu wielka armia, lecz zanim przywódcy klanu zdołali przywrócić porządek wśród kłębiących się wojowników, wiele tropów Verminów zdeptano.

A jedyny świadek zażył truciznę.

– To jeden z warperów – stwierdził Księżycowy Człowiek, trącając ciało bosą stopą. – Utrzymywał iluzję, a gdy się rozwiała, popełnił samobójstwo.

– Jeśli oczyścicie teren, być może zdołam się zorientować, dokąd poszli – odezwał się Marrok.

Wojownicy wycofali się do kolczastych zarośli. Księżycowy Człowiek i ja pozostaliśmy przy ognisku, a Marrok i Leif zaczęli obchodzić teren obozu. Kapitan szukał materialnych śladów, natomiast mój brat starał się za pomocą magii wyczuć zamiary Daviianów.

Wysłałam duchową świadomość najdalej, jak potrafiłam. Jeżeli szukam konkretnej osoby, potrafię dotrzeć do niej myślą na wielką odległość, lecz jeśli dokonuję ogólnego przeglądu terenu, moja magia sięga tylko w promieniu piętnastu kilometrów. Na płaskowyżu nie wykryłam nikogo, a w dżungli występowało zbyt wielkie bogactwo różnorodnych form życia, bym mogła się w nich rozeznąć.

Zakończywszy obchód obozowiska, Marrok i Leif wrócili do nas. Ich ponure miny nie wróżyły pomyślnych wieści.

– Verminowie odeszli stąd już przed wieloma dniami. Większość śladów prowadzi na wschód i zachód – oznajmił Marrok – ale przy skraju płaskowyżu znalazłem na ziemi kilka metalowych haków z przyczepionymi włóknami sznurów. Niektórzy Verminowie mogli spuścić się po linach do dżungli.

Dotknęłam ramienia Leifa.

– Czy Zaltanianom coś grozi?

– Nawet jeśli Verminowie odkryją siedzibę klanu Zaltana, nasi ziomkowie są przed nimi dobrze chronieni – odrzekł.

– Także przed warperami? – Gdy Leif pobladł, spytałam Marroka:
– Czy liny są nadal przytwierdzone do haków?

– Nie. Widocznie inni zaczekali i odcięli je lub zabrali ze sobą.

– Potrafisz ocenić, ilu zeszło na dół? – dociekał Księżycowy Człowiek.

– Nie.

– W powietrzu unosi się mnóstwo zmieszanych zapachów i emocji – powiedział Leif – ale dominuje potrzeba ostrożności i pośpiechu. Verminowie poruszali się pewnie i zdecydowanie. Większość mężczyzn znalazła się w grupie kierującej się na wschód. Oni... – Przymknął oczy i wciągnął w nozdrza powiew wiatru. – Nie wiem. Muszę przez chwilę podążyć ich tropem.

Marrok zaprowadził Leifa do śladów wiodących na wschód, a ja myślą przywołałam Kiki i pozostałe konie. Gdy na nie czekaliśmy, Księżycowy Człowiek i inni snujący opowieść podzielili wojowników na dwa oddziały i wysłali dwóch zwiadowców, jednego na zachód,

drugiego na wschód.

Ale co z Verminami, którzy spuścili się po linach do dżungli? Co z Cahilem i Ferdem? Czy w ogóle jeszcze są razem z Davianami? A jeśli tak, to do której grupy dołączyli?

Kiedy zjawiły się konie, zdjęłam z siodła Kiki plecak, wyjęłam linę i udałam się na kraniec płaskowyżu. Znalazłam jeden z metalowych haków, o których wspomniał Marrok, i przywiązałam do niego koniec liny. Następnie podczołgałam się do skraju przepaści i ostrożnie wyjrzałam na leżącą w dole dżunglę.

Ściana urwiska wydawała się gładka, bez żadnych występów czy uchwytów dla rąk. Spuściłam sznur, ale wiedziałam, że nie dosięgnie ziemi. Koniec zawisł w jednej czwartej wysokości, ale nawet z dłuższą liną zejście wyglądało na skrajnie niebezpieczne. Mniej więcej w połowie skalnej ściany ze szczelin tryskała woda, a w dole lśniły mokre głazy.

Tylko ktoś zdesperowany mógłby podjąć próbę zejścia, ale według oceny Leifa Verminowie nie przejawiali oznak desperacji.

Księżycowy Człowiek czekał na mnie przy koniach.

– Wyruszymy, jak tylko wrócą zwiadowcy – oznajmił.

Od jakiegoś czasu nurtowała mnie mglista wątpliwość, którą wreszcie uchwyciłam.

– Wasi ludzie przeszukali płaskowyż i obserwowali obóz. Jak zatem Verminowie zdołali się wymknąć bez waszej wiedzy?

– Kilku spośród warperów było w przeszłości snującymi opowieść. Widocznie nauczyli się budować neutralizującą tarczę.

– Taka tarcza ochroniłaby ich jedynie przed odnalezieniem za pomocą magii. Dlaczego nikt ich nie zobaczył?

Zanim Księżycowy Człowiek zdołał odpowiedzieć, rozległ się krzyk. Ujrzałam, że biegną ku nam Leif, Marrok i jeden ze zwiadowców.

– Znalazł rów – wydyszał Marrok.

– Prowadzi na wschód, a potem na północ – wyjaśnił zwiadowca, wskazując ręką kierunek.

– Mają złe zamiary – powiedział Leif.

Na północy leżała Równina Avibiańska, a na niej znajdowały się ziemie klanu Sandseed, obecnie pozbawione obrony, ponieważ wszyscy wojownicy byli tutaj, na płaskowyżu.

Księżycowy Człowiek zakrył twarz dłońmi, jakby chciał w skupieniu przemyśleć sytuację.

Tymczasem z zachodu przybył drugi zwiadowca. Jeszcze zanim się zjawił, dotarły do nas kłęby pyłu unoszącego się spod jego stóp.

– Odkryłeś drugi rów? – zapytał Marrok.

– Trop się urywa. Wrócili po własnych śladach – zaraportował.

Księżycowy Człowiek opuścił ręce i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Wysłał wojowników w kierunku północno-wschodnim, a snującym opowieść polecił, by porozumieli się mentalnie z członkami klanu Sandseed, którzy pozostali na równinie.

– Chodź – rzekł do mnie, zamierzając dołączyć do swoich ludzi.

– Nie – odparłam.

Znieruchomiał.

– Dlaczego? – Patrzył na mnie zdumiony.

– Ich plan jest zbyt oczywisty. Nie sądzę, by Cahil na niego przystał.

– Zatem dokąd się udał?

– Większość Daviianów wyruszyła na wschód, ale myślę, że mniejsza grupa skierowała się na zachód lub południe.

– Mojemu ludowi grozi niebezpieczeństwo – rzekł Księżycowy Człowiek.

– Mojemu również. Idź z wojownikami. Jeśli się pomyliłam, dogonimy was.

– A jeśli się okaże, że miałaś rację?

– Hm... – No właśnie, co wtedy? Będzie nas tylko troje.

– Pojadę z wami – oświadczył Księżycowy Człowiek.

Gdy wezwał jednego ze snujących opowieść, poczułam na skórze mrowienie magicznej energii, kiedy nawiązali kontakt.

Nie chciałam im przeszkadzać podczas mentalnej konwersacji, więc zajęłam się rozważaniem, jak odnaleźć Cahila. Gdy obejrzałam skraj płaskowyżu, dostrzegłam, że konar jednego z wysokich drzew rosnących w dżungli sięga w kierunku ściany urwiska. Gdybym zdołała zaczepić o niego hak z liną...

– Nie – odezwał się w mojej głowie Leif. – To samobójstwo.

Zmierzyłam go gniewnym spojrzeniem.

– Mogłabym zarzucić linę...

– Nie – powtórzył stanowczo.

– Nutty potrafiłaby to zrobić. – Nasza kuzynka wspina się po drzewach tak zręcznie, jakby w jej żyłach płynęła krew valmurów.

– Nie jesteś Nutty.

Niechętnie porzuciłam ten pomysł. Nawet gdyby udało mi się dotrzeć do drzewa, raczej nie poszedłby w moje ślady, więc zostałabym sama. Zaraz jednak skarciłam się w duchu za obawę przed poleganiem na własnych siłach. Pobyt w Sycji mnie rozmiękczył.

– Uczynił cię rozsądniejszą – zaproponował Leif, po czym dodał: – Wprawdzie tylko troszkę rozsądniejszą, ale możemy mieć nadzieję na dalszy postęp.

– Dokąd idziecie? – zapytał Tauno, dołączając do nas.

Popatrzyłam na Księżycowego Człowieka, który rzekł z przekonaniem:

– On jest o wiele lepszy w tropieniu niż w walce. Przyda się nam.

Westchnęłam na myśl o tym, co wynikało z tych słów, po czym odpowiedziałam:

– Na zachód. – Być może znajdziemy łatwiejszy i bezpieczniejszy sposób dotarcia do dżungli, lecz jeśli nie, to podążymy skrajem płaskowyżu na zachód w kierunku terenów klanu Cowan. Gdy się tam

znajdziemy, skrećimy na południe do lasu, a potem na wschód i wejdziemy do dżungli Illiais. Miejmy nadzieję, że nie przybędziemy za późno.

Dosiedliśmy koni. Tauno i Marrok znów pojechali na czele. Nawet ja bez trudu dostrzegłam miejsce, w którym Daviianie skrećili na północ. Twardo ubity piasek był zryty tam, gdzie się zatrzymali, a na zachód rozciągały się nieskalane piaszczyste wydmy.

Tauno wstrzymał konia, czekając na dalsze polecenia.

– To podstęp – orzekł Leif. – Wyczuwam oszustwo i samozadowolenie.

– Z czego mieliby się tak cieszyć? – zapytałam. – Pozostawienie fałszywego tropu to elementarna strategia.

– Może tu chodzić o Cahila – stwierdził Marrok. – Uważa się za sprytniejszego od wszystkich. Być może sądził, że zwiedzie przywódców klanu Sandseed i sprawi, iż poślą połowę wojowników fałszywym śladem.

Wysłałam świadomość nad gładkimi połaciami piasku. Zobaczyłam kilka myszy, które przemknęły przez otwartą przestrzeń w poszukiwaniu pożywienia. Wąż zwinięty w kłębek na ciepłej skale wygrzewał się w popołudniowym słońcu. Potem natrafiłam na obcy przyćmiony umysł.

Wycofałam świadomość i omiotłam wzrokiem najbliższą okolicę. W odległości mniej więcej dwóch metrów dostrzegłam niewielki obszar, gdzie piasek był miękki, jakby wykopano go, a potem znowu usypano. Ześliznęłam się z grzbietu Kiki i podeszłam do tego miejsca. Grunt pod moimi butami uginał się jak gąbka.

– Jeden z Verminów musiał coś tu zakopać – orzekł Marrok.

– Pewnie znaleźliście dół na odpadki. – Tauno parsknął ze wstrętem.

Kiki podeszła bliżej, wciąż niosąc na sobie Księżycowego Człowieka.

– Pachnie wilgocią – powiedziała w mojej głowie.

– Złą wilgocią czy dobrą? – spytałam.

– Po prostu wilgocią.

Wyjęłam z plecaka hak i zaczęłam kopać. Księżycowy Człowiek, Tauno i Leif przyglądali mi się, choć każdy z nich inaczej: pierwszy z rozbawieniem, drugi z niesmakiem, trzeci z ciekawością.

Gdy wykopałam dziurę głębokości trzydziestu centymetrów, hak uderzył o coś twardego.

– Pomóżcie mi odgarnąć piasek – poprosiłam.

Przyłączyli się do mnie niechętnie, aż w końcu odsłoniliśmy płaski kawałek drewna. Marrok popukał w nie i oznajmił, że to wieko skrzyni. Zaczęliśmy szybciej usuwać piasek i odkopaliśmy brzegi. Okrągła pokrywa miała średnicę sześćdziesięciu centymetrów.

Podczas gdy Tauno i Księżycowy Człowiek rozprawiali o tym, dlaczego jakiś Vermin miałby zakopać owalne pudło, podważyłam pokrywę. Wtedy syknęło powietrze, omal nie wciągając jej z powrotem.

Milczeliśmy oszołomieni. Wieko przykrywało dziurę w ziemi, a sądząc z pędu powietrza, była to bardzo głęboka dziura.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Blask słońca oświetlał dziurę na jakiś metr w głąb. Pod pokrywą widniało kilka nierównych stopni wykutych w piaskowcu.

– Wyczuwasz tam kogoś? – zapytał Leif.

Wyciągnęłam nic magicznej mocy i wysłałam w ciemną czeluść. Moja świadomość dotknęła wielu umysłów, mrocznych, ale nie ludzkich.

– Nietoperze – oznajmiłam. – Całe mnóstwo nietoperzy. A ty?

– Tylko satysfakcję i zadowolenie z siebie.

– Czy to może być kolejny fałszywy trop? – spytał Marrok.

– Albo pułapka. – Tauno rozejrzał się ukradkiem jakby w obawie, że z piasku podniosą się zastępy Verminów.

– Jeden z nas musi wejść tam i sprawdzić – rzekł Księżycowy Człowiek, spoglądając na Tauna. – Uważam, że to powinien być zwiadowca.

Tauno wzdrygnął się, jakby stanął na rozżarzonych węglach. Po jego twarzy ściekały strugi potu. Przełknął z wysiłkiem, wreszcie powiedział:

– Będę potrzebował światła.

Leif przyniósł juki, wyjął szczapę na podpałkę, wzniecił płomień i podał ją Taunowi.

– Nie będzie płonąć długo – ostrzegł.

Zwiadowca wczołgał się do jamy, świecąc sobie szczapą. Kusiło mnie, żeby wniknąć do jego umysłu i zobaczyć, co znalazł, jednak zmusiłam się, by skoncentrować się na gruncie pod stopami i spróbować odkryć coś żywego, co wskazywałoby na koniec pieczary.

W mojej duszy pulsował rytm życia, ale nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy dochodzi z jamy pod ziemią, czy z pobliskiej dżungli u stóp płaskowyżu.

Czekanie okazało się udręką. Wyobrażałam sobie wszelkiego rodzaju zagrożenia czyhające na Tauna. Byłam pewna, że upadł i złamał nogę lub przytrafiło mu się coś jeszcze gorszego, gdy w końcu wyłonił się z dziury.

– Stopnie prowadzą do wielkiej grotty z licznymi skalnymi występami, od której odchodzi wiele tuneli. Dostrzegłem w pyle kilka śladów stóp, lecz musiałem zawrócić, zanim zgaśnie łuczywo – oznajmił Tauno. – Słyszałem też w pobliżu chlupot wody.

Teraz już wiedzieliśmy, że Verminowie wydostali się z płaskowyżu przez tę jaskinię.

– Leif, czego potrzebujesz, by sprokurować coś, co będzie dłużej świecić? – zapytałam brata.

– Chyba nie myślisz, że tam wejdziemy, co? – Marrok nawet nie próbował ukryć przerażenia.

– Oczywiście, że tak. Przecież chcesz znaleźć Cahila, prawda?

– Skąd masz pewność, że wybrał tę drogę?

Spojrzałam na brata i odpowiedzieliśmy razem:

– Aura samozadowolenia.

Leif i Tauno zawrócili do obozu Daviian po drewno na opał, a ja omówiłam z Księżycowym Człowiekiem kwestię, co zrobić z końmi. Aby odnaleźć drogę w jaskini, będziemy potrzebowali zdolności tropicielskich Marroka i orientacji w terenie Tauna. Leif i ja musieliśmy doprowadzić Cahila przed oblicze Rady. Tak więc pozostał tylko Księżycowy Człowiek.

– Nie zostanę tutaj – oświadczył stanowczo.

– Ktoś musi karmić i poić konie.

Gdy Kiki parsknęła na mnie, otworzyłam przed nią umysł.

– Nie potrzeba – powiedziała. – Zaczekamy, a potem pójdziemy.

– Dokąd?

– Na targ.

W moim umyśle uformował się obraz Targu Illiais. Jest najważniejszym ośrodkiem handlowym w południowej Sycji, leży między zachodnim krańcem dżungli Illiais a terenami klanu Cowan.

– Skąd wiesz o tym targu? – spytałam.

– Znam tę ziemię tak jak znam trawę – odparła z dumą.

Uśmiechnęłam się. Nieskomplikowany światopogląd Kiki wciąż zaskakiwał mnie bogactwem emocji. Wiedziałam, że gdybym potrafiła patrzeć na świat tak jak ona, moje życie byłoby znacznie prostsze i łatwiejsze.

Księżycowy Człowiek przyglądał mi się uważnie.

- Może to Kiki powinna zostać twoją mentorką?
- W czym? Jak stać się Poszukiwaczką Dusz?
- Nie, przecież już nią jesteś. Ale mogłaby ci pomóc w czym innym. Jak być Poszukiwaczką Dusz.
- Kolejna zagadkowa rada snującego opowieść?
- Nie, jasna jak słońce – odparł z uśmiechem, po czym odetchnął głęboko. – Przygotujmy konie.

Zdjęliśmy im uzdy i wodze i schowaliśmy uprząż do juków. Kiedy wrócili Leif i Tauno, rozdzieliliśmy między siebie prowiant. Konie pozostaną osiodłane, ale upewniliśmy się, że nic nie zwisa z siodeł, co utrudniałoby poruszanie się.

Mój plecak stał się cięższy niż zwykle, ale miałam niejasne przeczucie, że kilka spośród znajdujących się w nim przedmiotów może nam się przydać.

Gdy byliśmy gotowi, Leif zapalił pochodnie ze szczap drewna opałowego, zanurzonych uprzednio w oleju roślinnym. W jukach zostawił większość swych dziwacznych mikstur i leków, gdyż twierdził, że zawsze znajdzie w dżungli to wszystko, czego będziemy potrzebować.

– O ile znajdziemy wyjście z tych jaskiń – mruknął Marrok. – A co będzie, jeżeli zabłądzimy?

– Nie zabłądzimy – zapewnił go Księżycowy Człowiek. – Będę znał drogę farbą. Jeśli nie znajdziemy wyjścia, wrócimy na płaskowyż. Nasze konie zaczekają, dopóki Yelena nie poleci im odejść. – Objął muskularnym ramieniem plecy Marroka, który zeszywniał,

jakby spodziewał się ciosu. – Uwierz w siebie, Tropicielu – mówił dalej.
– Jeszcze nigdy się nie zgubiłeś.

– Ale nigdy nie byłem w jaskini.

– Zatem nas obu czeka nowe doświadczenie – stwierdził
podekscytowany Księżycowy Człowiek.

Marrok zgarbił się z przygnębienia.

Ja byłam oswojona z ciemnymi ciasnymi pomieszczeniami. Zanim zostałam testerką i zaczęłam sprawdzać, czy potrawy dla komendanta nie są zatrute, spędziłam cały długi rok w lochu, oczekując na egzekucję. Nie obawiałam się więc pobytu w pieczarze, jednak będę musiała opanować nerwy i działać z rozwagą, by ponownie schwytać Ferdego.

– W dżungli jest kilka grot – odezwał się Leif. – Zwykle ich się unika, bo można się natknąć na legowiska lampartów, ale niektóre spenetrowałem.

Napotkał mój wzrok. Ze smutnego uśmiechu brata domyśliłam się, że przeszukiwał te pieczary, gdy poszukiwał mnie.

Tauno i Marrok trzymali pochodnie. Zwiadowca pierwszy wpełzł do ciasnego otworu, druga wczołgałam się ja, za mną Leif i Marrok, wreszcie na końcu Księżycowy Człowiek.

Blask pochodni oświetlił tunel szeroki na metr. Na chropowatych ścianach widniały ślady łopat świadczące o tym, że wydrążyli go ludzie. Stopnie zastąpiły skalne występy, ułatwiające poruszanie się korytarzem schodzącym stromo w dół. Rozkaszałam się, gdy wzbite przez nas kłęby pyłu poniósł prąd zimnego wilgotnego powietrza.

Kiedy dotarliśmy do jaskini, odetchnęłam swobodniej. Blask

poходni Tauna odbijał się od głazów przypominających zęby. Niektóre z nich zwisały ze stropu, a inne wyrastały z podłoża. Odnosiliśmy wrażenie, że stoimy wewnątrz paszczy olbrzymiej bestii.

– Nie ruszajcie się – polecił Marrok, oglądając uważnie grunt.

Rzucane przez pochodnie cienie tańczyły na nierównych ścianach, gdy szukał śladów. Głębokie czeluście wskazywały wyloty innych tuneli, a na ziemi było mnóstwo niewielkich kałuż. Ściekająca ze ścian woda szemrała łagodnie, lecz w powietrzu unosił się nieprzyjemny wilgotny mineralny zapach zmieszany z ostrym piżmowym odorem zwierzęcym.

Księżycowy Człowiek przygarbił się. Oddychał płytko i urywanie.

– Źle się czujesz? – spytałam.

– Mam wrażenie, że ściany napierają na mnie. Cóż, to tylko gra mojej wyobraźni. – Podszedł do wylotu tunelu prowadzącego na powierzchnię i oznaczył go farbą.

– Tędy – powiedział Marrok, wskazując stopnie wiodące w dół skalnej rynny. Jego głos, wzmocniony przez kamienne ściany lub strach, zabrzmiał o wiele głośniejszy niż zwykle.

Odór wydobywający się z rynny stał się jeszcze bardziej ostry i cuchnący. Zakrztusiłam się. Tauno zaczął schodzić. Stopnie okazały się wielkimi odłamkami skał, ustawionymi nierówno jedno na drugim. W niektórych miejscach zwiadowca zawisał na rękach i opuszczał się na dół. Podążyliśmy za nim, mamrocząc i przeklinając, aż w końcu dołączyliśmy do niego.

Czekał na nas na ostatniej widocznej skalnej półce. Dalej ronna kończyła się czarną czeluścią. Tauno upuścił swoją pochodnię. Wylądowała na skalistym podłożu daleko w dole.

– Za wysoko, żeby skoczyć – ocenił.

Wyjęłam z plecaka linę z metalowym hakiem i zaczepiłam go o szczelinę w ścianie. Byłam zadowolona, że zdecydowałam się zabrać ten sprzęt. Szarpnęłam linę, sprawdzając, czy hak tkwi mocno. Wydawało się, że trzyma bezpiecznie, ale Księżycowy Człowiek na wszelki wypadek zaparł się nogami i mocno chwycił linę, podczas gdy Tauno opuścił się ze skraju skalnej półki i zaczął schodzić.

Mimo panującego zimna z czoła snującego opowieść ściekał pot, a odgłos nierównego oddechu odbijał się echem od kamiennych ścian. Kiedy Tauno był już blisko dna, Księżycowy Człowiek puścił linę. Hak utrzymał ciężar zwiadowcy, który zeskoczył na ziemię, podniósł pochodnię i zbadał teren, a potem dał nam znak, że możemy schodzić. Kolejno dołączyliśmy do niego na dnie skalnej rynny. Zostawiliśmy wbity hak, na wypadek gdybyśmy musieli wrócić tą samą drogą.

– Mam dobrą i złą wiadomość – oznajmił Tauno.

– Gadaj – warknął Marrok.

– Z tej komory jest wyjście, ale wątpię, czy Księżycowy Człowiek i Leif się tamtędy przecisną. – Zwiadowca wskazał niewielki otwór. Płomień pochodni zamigotał w podmuchu powietrza z kanału.

Popatrzyłam na Leifa. Marrok przewyższał go wzrostem, ale mój brat był bardziej barczysty. Jak Cahil i Ferde zmieścili się w tym otworze? A może wybrali inną drogę? Choć tak naprawdę nie pamiętałam ich postury i być może przeszli tędy z łatwością.

– Najpierw zbadaj tunel i zobacz, co jest po drugiej stronie – poleciłam zwiadowcy.

Tauno zwinnie prześlizgnął się przez otwór, natomiast Leif

przykucnął u wylotu tunelu, przyjrzał mu się uważnie, po czym powiedział:

– Mam jeszcze trochę oleju roślinnego. Gdybyśmy natłuszcili sobie skórę, może się przecięniemy.

Cofnął się, gdy kanał oświetliła pochodnia Tauna.

– Po trzech metrach tunel się rozszerza, a kończy się w następnej grocie. – Zwiadowca miał stopy uwalane czarnym cuchnącym błotem. – Łajno nietoperzy – wyjaśnił. – To ono tak śmierdzi. Jest go tam pełno.

Najtrudniejsze okazało się przebycie trzymetrowego wąskiego odcinka korytarza. Wpadłam w rozpacz, gdyż przepychanie dwóch dorosłych mężczyzn przez ciasny tunel trwało okropnie długo i znacznie opóźniło pościg za Cahilem i jego kompanami. A gdy Księżycowy Człowiek utknął na moment w najwęższym miejscu i dostał ataku paniki, jeszcze bardziej rozstroiły się nam nerwy.

Wyglądaliśmy żałośnie, stojąc po kostki w odchodach nietoperzy. Mój niepokój, spowodowany nie tylko obrzydliwym smrodem, odbijał się na twarzach moich towarzyszy. Ramiona Leifa mocno krwawiły, Księżycowy Człowiek miał rozoraną skórę na rękach i oddychał chrapliwie.

– Wracajcie. Powinniśmy... Wrócić – wydyszał. – To był zły pomysł... zły pomysł.

Połączyłam się ze źródłem magicznej mocy, chwyciłam włókno magii i odszukałam umysł Księżycowego Człowieka. Klaustrofobiczny lęk wyparł z niego rozsądek i zdolność logicznego myślenia. Wniknęłam głębiej, by odnaleźć silnego i niezłomnego snującego opowieść, i przypomniałam mu, jak ważna jest nasza wyprawa. Powiedziałam, że snujący opowieść z klanu Sandseed nie może sobie pozwolić na panikę. Oddech Księżycowego Człowieka wyrównał się, a jego rozhuśtane

emocje się wyciszyły. Wtedy wycofałam się z jego umysłu.

– Przepraszam. Po prostu nie podoba mi się ta jaskinia – powiedział.

– Nikomu z nas się nie podoba – mruknął Leif.

Wciąż trzymając nić magii, skoncentrowałam się na poranionych rękach Księżycowego Człowieka, z których zeszły całe płaty skóry. Moje ręce przeszył palący ból. Kiedy stał się nie do zniesienia, użyłam magii, by odepchnąć go od siebie. Zachwiałam się z ulgi i bym upadła, gdyby Leif mnie nie podtrzymał.

Księżycowy Człowiek przyjrzał się swoim rękom, po czym powiedział:

– Tym razem nie mogłem użyć ci mojej siły, Yeleno. Twoja magia mnie unieruchomiła.

– Co ci się stało? – spytał Leif, podnosząc moje ręce do światła.

Spływała po nich krew, ale nie dostrzegłam żadnych ran. Kiedy pomogłam jednej z ofiar Ferdego, Tuli, siostrze Opal, Irys wyraziła domysł, że przejęłam jej rany, a potem wyleczyłam siebie. Tak również musiało się stać ze złamaną kością policzkową Marroka, a teraz zobaczyłam na własne oczy dowód na prawdziwość hipotezy Irys. Z oszołomienia zakreśliło mi się w głowie.

– To interesujące – mruknął Leif.

– W dobrym czy złym sensie?

– Nie wiem. Dotąd nikt tego nie robił.

Popatrzyłam pytająco na Księżycowego Człowieka.

– Kilku snujących opowieść ma moc leczenia, ale nie w taki sposób – powiedział. – Być może potrafi to tylko Poszukiwacz Dusz.

– Być może? Nie jesteś tego pewien? Więc dlaczego kazałeś mi uwierzyć, że wiesz o mnie wszystko? – spytałam napastliwym tonem.

W zamyśleniu potarł świeżo wyleczone ramię.

– Jestem twoim snującym opowieść i rzeczywiście wiem o tobie wszystko, jednak nie wiem wszystkiego o Poszukiwaczach Dusz. Czy określasz samą siebie tym mianem?

– Nie. – W istocie go unikałam.

– A więc dobrze – rzekł, jakby to rozwiązywało problem.

– Chodźmy – wymamrotał Marrok przez skraj swojej koszuli, którym zakrywał nos i usta, by nie czuć smrodu. – Łatwo wyśledzić trop Daviiianów w tym łajnie.

Ruszyliśmy naprzód, prowadzeni przez Marroka. W połowie drogi przez grootę nietoperzy wyczułam, że coś się budzi. Wysłałam cienkie pasemko magicznej mocy w górę, w kierunku przyćmionych umysłów, które zlewały się w zbiorową świadomość. Poczułam ich głód, a potem poprzez te stworzenia mogłam już zlokalizować każdego nietoperza, każdą skalną ścianę, każdy wylot tunelu, każdy kamień i każdą ludzką postać w dole. Nagle nietoperze zerwały się do lotu.

– Schylcie się! – krzyknęłam, kiedy chmara runęła w dół.

Szum łopoczących skrzydeł narastał, gdy czarne stworzenia fruwały wokół nas. Wirujące nietoperze wypełniły przestrzeń jaskini, lecz każdy z nich zręcznie unikał zderzenia z nami i z pobratymcami. Po chwili skierowały się ku wyjściu z groty, by w dżungli poszukać

owadów i jagód.

Mój umysł wędrował wraz z nimi. Wylot tysięcy nietoperzy frunących przez wąskie tunele był zorganizowany równie precyzyjnie, jak perfekcyjnie przygotowany manewr wojskowy. Oczywiście musiało minąć trochę czasu, zanim wszystkie nietoperze opuściły jaskinię.

Gdy wreszcie się wyprostowałam, w mięśniach nóg czułam palący ból. Spojrzałam na moich towarzyszy. Wyglądało na to, że nikt nie odniósł obrażeń, chociaż niektórzy byli powaleni łajnem.

Kiedy rozpoczął się przelot nietoperzy, Marrok upuścił pochodnię i zakrył głowę rękami. Jeszcze teraz dyszał z przerażenia.

– Kapitanie Marrok – powiedziałam stanowczo, chcąc go uspokoić. – Proszę mi podać swoją pochodnię.

Moje polecenie przebiło się przez jego panikę. Podniósł zgasłą pochodnię i spytał:

– Po co?

– Ponieważ nietoperze wskazały drogę wyjścia. – Wzdrygnęłam się, gdy ujęłam w dłoń szczapę drewna upapraną łajnem. – Leif, możesz ją znowu zapalić?

Kiwnął głową i po chwili buchnął płomień.

– Jak daleko do dżungli? – spytał mój brat.

– Niedaleko. – Ruszyłam na czele grupy w szybkim tempie.

Nikt się nie skarżył, bo wszyscy równie mocno jak ja pragnęli opuścić grootę.

Jedynie bulgot wartko płynącej wody i cudownie świeże powietrze świadczyły o tym, że dotarliśmy do wyjścia, bowiem w trakcie naszej wędrówki zapadła noc. Zdołałam jednak zorientować się, że woda płynie po dnie tunelu i z wysokości około siedmiu metrów spada na skalne rumowisko w dżungli.

Zatrzymaliśmy się niedaleko wylotu podziemnego potoku, zgasiliśmy pochodnie i zaczekaliśmy, aż nasz wzrok przywyknie do bladej poświaty księżyca. Za pomocą magii przeczesalam leżącą pod nami dżunglę, szukając zasadzki, a także drzewnych lampartów. Wężę boa również stanowiły dla nas zagrożenie. Jednak natrafiłam tylko na małe leśne stworzenia przemykające przez poszycie.

– Przygotujcie się na to, że się zamoczycie. – Weszłam do zimnej wody sięgającej do kolan. Buty natychmiast przesiąkły, gdy brodziłam w kierunku wylotu tunelu. W dole dostrzegłam mnóstwo kamieni, po których można by zejść, ale albo znajdowały się pod wodą, albo były mokre. Zdjęłam plecak i cisnęłam go w dół, celując w suche miejsce na kamienistym brzegu. – Bądźcie ostrożni – ostrzegłam.

Odwróciłam się i przykucnęłam, opierając się wartkiemu nurtowi wody. Utrzymując twarz nad kaskadą, wystawiłam nogę poza skraj skały i wymacałam stopą najbliższy występ. Gdy w końcu dotarłam na dół, byłam kompletnie przemoczona, ale przynajmniej woda spłukała wstrętny smród łajna nietoperzy.

Kiedy już wszyscy zeszli, stanęliśmy na brzegu, ociekając wodą i trzęsąc się z zimna.

– Co teraz? – zapytał Leif.

– Jest zbyt ciemno, by odnaleźć trop Verminów – powiedział Marrok. – Chyba że zrobimy więcej pochodni.

Popatrzyłam na naszą żalną gromadkę. Miałam w plecaku suche

ubranie na zmianę, ale Tauno i Księżycowy Człowiek nie zabrali ze sobą niczego. Brzeg był wystarczająco duży, by rozpalić ogień.

– Musimy się wysuszyć i trochę odpocząć – zdecydowałam.

– Musicie umrzeć – odezwał się z dżungli gromki głos.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zasypał nas grad strzał. Tauno krzyknął z bólu, gdy dostał w bark.

– Ukryjmy się! – rozkazał Marrok, któremu z uda sterczała strzała.

Rzuciliśmy się w kierunku zarośli. Księżycowy Człowiek włókł za sobą zwiadowcę Tauna. Strzała świsnęła mi koło ucha i wbiła się w pień drzewa. Druga trafiła w mój plecak, zanim zanurkowałam pod krzak.

Za pomocą magii przepatrzyłam wierzchołki drzew, lecz nikogo nie odkryłam.

– Tarcza neutralizująca! – zawołał Księżycowy Człowiek. – Magia nie działa.

Marrok leżał bez ruchu na otwartej przestrzeni. Strzały nadal śmigaly, lecz omijały go.

– Kurara! – wrzasnęłam. – Groty są posmarowane kurarą.

Napastnicy, którzy urządzili tę zasadzkę, chcieli nas sparaliżować, a nie zabić. Nagle napłynęło do mnie wspomnienie, jak pod wpływem tego środka stałam się całkowicie bezradna. Alea Daviian pragnęła pomścić śmierć brata, więc ukuła mnie ostrzem zanurzonym w kurarze i zawiozła na płaskowyż, gdzie zamierzała mnie torturować, a potem zabić.

Gdzieś w pobliżu jęczał Leif, któremu strzała zadrasnęła policzek.

– Theobroma? – zdołał jeszcze zapytać, zanim twarz mu stężała.

Chodziło mu o sporządzony przez naszego ojca specyfik, który uratował mnie przed zemstą Alei. Jednym szarpnięciem otworzyłam

plecak i poszukałam antidotum przeciwko kurarze. Deszcz strzał zelżał, a dochodzący z góry szelest świadczył, że nasi prześladowcy schodzą na dół, zapewne po to, by lepiej wycelować. Znalazłam brązowe bryłki theobromy i szybko jedną przeżułam i połknęłam.

Księżycowy Człowiek zaklął. Opuściłam moją kryjówkę pod krzakiem i podbiegłam do niego. W tym momencie strzała trafiła mnie w plecy. Siła uderzenia cisnęła mnie na ziemię, poczułam ostry ból.

– Yeleno! – Księżycowy Człowiek chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

– Masz – wydyszałam, gdy kurara stępiła ból w dolnej części pleców. – Połknij to.

Bez chwili wahania połknął grudkę theobromy. Ostrze strzały przygwoździło jego tunikę do pnia drzewa.

Straciłam czucie w nogach.

– Trafili cię? – spytałam.

Uwolnił się, zrywając z siebie koszulę, i obejrzał prawy bok.

– Nie.

– Udawaj, że jesteś ranny – szepnęłam. – Czekać na mój znak.

W jego ciemnobrązowych oczach błysnęło zrozumienie. Odłamał drzewce strzały wbitej w pień i starł dłonią krew z moich pleców. Potem legł na ziemi, trzymając drzewce między dwoma zakrwawionymi palcami lewej dłoni, którą położył sobie na brzuchu. Wyglądało to, jakby strzała przebiła mu wnętrzności. Prawą ręką ścisnął rękojeść szabli.

Napastnicy nawoływali się, zeskakując z drzew. Zanim mogli mnie dostrzec, włożyłam prawą rękę do kieszeni spodni i ujęłam trzonek noża sprężynowego. Odrętwienie rozprzestrzeniło się na tułów, ale theobroma niwelowała działanie kurary, dzięki czemu zachowałam ograniczoną zdolność poruszania się. Mimo to leżałam nieruchomo, udając kompletnie sparaliżowaną.

– Znalazłem jednego – powiedział jakiś mężczyzna.

– Tam jest drugi.

– Ja znalazłem dwoje – odezwał się chrapliwy głos tuż nade mną.

– Więc mamy już wszystkich. Upewnijcie się, że są obezwładnieni, zanim ich z stąd wyciągniecie. Rzućcie ich obok ich kompana na polanie – polecił ktoś czwarty.

Mężczyzna o chrapliwym głosie kopnął mnie w zębra. Fala bólu zalała mi pierś i żołądek. Zacisnęłam zęby, by stłumić jęk. Kiedy chwycił mnie za stopy i powłókł przez krzaki, a potem po kamienistym brzegu, poczułam odrobinę wdzięczności za działanie kurary, która stępiła palący ból, gdy moje ucho i lewy policzek szorowały po nierównym gruncie.

Kurara stępiła też moje emocje. Wiedziałam, że powinnam być przerażona, jednak odczuwałam tylko lekki niepokój. Najgroźniejsze było to, że kurara paraliżowała moje zdolności magiczne. Choć theobroma zniwelowała oddziaływanie trucizny, jednak antidotum miało niepożądany skutek uboczny, a mianowicie otwierało mój umysł na wpływ obcej magii. Wprawdzie mogłam posłużyć się swymi magicznymi zdolnościami, lecz zostałam pozbawiona wszelkiej ochrony przed magią innych ludzi.

Marrok wciąż leżał tam, gdzie upadł. Usłyszałam głośnie tarcie szabli Księżycowego Człowieka o grunt, aż wreszcie rzucono go obok

mnie.

– Jego dłoń stężała zaciśnięta na rękojeści broni – powiedział jeden z napastników.

– Nie na wiele mu się to przyda – zadrwił drugi.

Słuchając ich głosów, doliczyłam się pięciu mężczyzn. Dwoje przeciwko pięciu. Nie najlepsza proporcja, chyba że moje nogi pozostały bezwładne. Wówczas Księżycowy Człowiek będzie zdany tylko na siebie.

Kiedy napastnicy przywlekli na brzeg Leifa i Tauna, dowódca opuścił tarczę neutralizującą. Doznałam wrażenia, jakby gwałtownie odsunięto kurtynę, odsłaniając to, co się za nią czaiło. Zyskałam swobodny dostęp do myśli wszystkich pięciu wrogów.

Dowódca głośno wykrzykiwał rozkazy.

– Przygotujcie więźniów do rytuału kirakawy – rozkazał dowódca.

– Nie powinniśmy karmić ich krwią tamtych ludzi – powiedział Chrapliwy Głos. – Wykorzystajmy ją dla siebie. Zostańmy tutaj.

Napotkałam wzrok Księżycowego Człowieka. Musieliśmy szybko działać. Powściągnęłam chęć nawiązania mentalnego kontaktu ze snującym opowieść. Dowódca napastników musi być potężnym warperem, skoro stworzył wyrefinowaną tarczę neutralizującą, więc mógłby nas „usłyszeć”.

Gdy dobiegł mnie narastający chrzęst żwiru pod butami, poczułam nerwowy skurcz w żołądku.

– Otrzymałem rozkaz, by pojmać i przyprowadzić tę kobietę – rzekł dowódca, stojąc nade mną. – Jaj ma wobec niej specjalne plany.

Bez ostrzeżenia wyszarpięto strzałę z moich pleców. Zacisnęłam zęby, by powstrzymać okrzyk bólu. Dowódca uklęknął przy mnie ze strzałą w rękę i obejrzał poplamiony krwią metalowy grot. Dobrze przynajmniej, że jest bez zadziorów, pomyślałam, jakbym nie miała innych zmartwień.

– To niedobrze – odezwał się znowu Chrapliwy Głos. – Pomyśl o mocy, którą byś zyskał, gdybyś to ty odprawił na niej rytuał kirakawy. Mógłbyś się stać potężniejszy niż Jal i zostać wodzem naszego klanu.

W moich plecach zaczął pulsować ból, co było oznaką działania theobromy. Jeszcze chwila i odzyskam władzę w nogach.

– Ona rzeczywiście jest potężna – przyznał dowódca – ale jeszcze nie potrafię odprawić obrzędu wiązania. Mam nadzieję, że kiedy ją przyprowadzę, Jal w nagrodę zezwoli mi wstąpić na następny poziom. – Odgarnął mi z twarzy kosmyki włosów. Wysiłkiem woli pohamowałam się, by się nie wzdrygnąć, gdy pieszczotliwie pogładził mnie po policzku. – Czy te plotki są prawdziwe? Naprawdę jesteś Poszukiwaczką Dusz? – szepnął do mnie. – Może utoczę kubek twojej krwi, zanim Jal dostanie cię w swoje ręce. – Sięgnął po sztylet u pasa.

Wyciągnęłam z kieszeni nóż sprężynowy, otworzyłam ostrze, przewróciłam się na bok i rozerznęłam dowódcy brzuch. Spodziewałam się, że upadnie do tyłu, lecz zamiast tego pochylił się naprzód i złapał mnie za gardło.

Kątem oka dostrzegłam błyskawiczny ruch. To Księżycowy Człowiek zerwał się na nogi i wykorzystując swą nadludzką siłę, rozciął szablą na pół właściciela chrapliwego głosu.

Szamotałam się z dowódcą. Swym ciężarem unieruchomił mi ręce, a kciukami coraz mocniej ścisnął tchawicę, próbował też wniknąć w mój umysł za pomocą magii. Powiodłoby mu się, gdyby nie to, że kurara

z ostrza mego noża podziałała szybko i sparaliżowała jego zdolności magiczne. Lecz nie mogłam oddychać, przygnieciona ciężarem bezwładnego Vermina.

– Księżycowy Człowieku! – zawołałam mentalnie. – Pomóż mi!

– Za chwilę.

Powietrze przeciął świst jego szabli.

– Za chwilę się uduszę – nalegałam. – Tylko zepchnij go ze mnie.

Rozległ się brzęk stali uderzającej o stal, a po chwili leżący na mnie mężczyzna został ściągnięty na bok. Uwolniłam ręce i oderwałam jego dłonie od mojej szyi.

Księżycowy Człowiek ponownie rzucił się w wir walki z trzema przeciwnikami. Trzema, bo odcięta głowa czwartego z nich leżała obok mnie. Doprawdy urocze.

Krótkie ostrze noża nie sprostałoby szablom napastników, a moja najgroźniejszą broń, kij, zostawiłam w plecaku w dżungli. Zebrałam magiczną energię i lekko musnęłam nią umysł jednego z wrogów. Ogarnęła mnie ulga, gdy okazało się, że nie jest warperem. Wysłałam mu mgliste obrazy, by go zdeorientować.

Gdy się do niego zbliżyłam, oderwał się od walki z Księżycowym Człowiekiem i zdumiony zagapił się na mnie. Uniósł miecz o sekundę za późno. Przyskoczyłam i drasnęłam go w ramię nożem, mając nadzieję, że na ostrzu pozostała jeszcze odrobina kurary. Mężczyzna, niezdolny już użyć miecza, upuścił go i rzucił się naprzód. Wyraźnie wyczuwałam jego agresywne zamiary, lecz to tylko pomogło mi głębiej wniknąć w umysł napastnika i zmusić go, by zapadł w sen.

Walcząc już tylko z dwoma przeciwnikami, Księżycowy Człowiek

szybko odrąbał im głowy. Następnie energicznym krokiem podszedł do mężczyzny, który leżał uśpiony u moich stóp, i wznosił szablę.

– Zaczekaj – powstrzymałam go. – Kiedy się obudzi, będziemy mogli wypytać go o plany Cahila.

– A co z tym drugim?

– Jest sparaliżowany.

Snujący opowieść odwrócił dowódcę na plecy. Krew z rany brzucha utworzyła kałużę na skale. Dotknął jego szyi i twarzy, po czym oznajmił:

– Nie żyje.

Widocznie cięłam go głębiej, niż sądziłam. Popatrzyłam na trupa zarazem gniewnie, jak i z lekkim poczuciem winy. Pośpieszyłam się z egzekucją, gdyż dowódca mógłby nam udzielić więcej informacji niż ten drugi Vermin.

– Dobrze, że go zabiłaś – stwierdził Księżycowy Człowiek. – Był warperem. Nic byśmy z niego nie wydobyli, a jedynie przysporzyłyby nam kłopotów.

Ogarnęłam spojrzeniem krwawą jatkę. Pozbawione głów ciała rzucały w bladej poświacie księżyca makabryczne cienie. Czułam pulsujący ból w lewym policzku i w ranie na plecach. Moje ubranie wciąż było mokre, toteż powiew zimnego nocnego powietrza przejął mnie lodowatym dreszczem. Tauno i Marrok potrzebowali opieki medycznej, poza tym nie mogliśmy się stąd ruszyć, dopóki nie ustanie działanie kurary. A perspektywa spędzenia nocy pośród trupów...

– Zajmę się nimi – oświadczył Księżycowy Człowiek, odczytując moje myśli. – I rozpalę ogień. Ty zaopiekuj się rannymi, w tym także

sobą.

Wyciągnęłam strzały z uda Marroka i barku Tauna. Zaczerpnęłam magiczną moc, lecz nie potrafiłam ocenić obrażeń, gdyż kurara blokowała magii dostęp do ciał. Dokonałam zatem interesującego odkrycia. Wyglądało na to, że osoba, na którą oddziałuje kurara, ani nie może użyć magii, ani ulec jej wpływowi.

Zamyśliłam się nad konsekwencjami tego faktu, jednocześnie szperając w swoim plecaku. Znalazłam kilka grudek theobromy, które wręczyłam Księżycowemu Człowiekowi, by stopił je nad ogniem i podał do połknięcia sparaliżowanym towarzyszom. Z własnych doświadczeń z kurarą wiedziałam, że nie upośledza zdolności połykania, oddychania i słyszenia. Poinformowałam ich więc, co zamierzam zrobić.

Wyleczenie własnych ran wyzuło mnie z resztek energii. Zwinęłam się na ziemi w kłębek i zasnąłam.

Kiedy się obudziłam, świt malował niebo pierwszymi wodnistymi barwami. Księżycowy Człowiek siedział ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku i piekł rozkosznie pachnące mięsiwo. W żołądku mi zaburczało, przełknęłam ślinkę.

Spojrzałam na innych. Leif, Marrok i Tauno nadal spali. Rozcięcie na policzku brata zabiłniło się, ale czekało mnie jeszcze wykurowanie dwóch rannych towarzyszy. Księżycowy Człowiek skrępował ręce i nogi naszego więźnia pnączami rosnącymi w dżungli, chociaż Vermin wciąż jeszcze nie odzyskał przytomności.

Skinął na mnie, żebym usiadła obok niego.

– Najpierw zjedz, zanim zaczniesz ich leczyć. – Podał mi plaster mięsa nadziany na patyk. Kiedy go powąchałam, dorzucił: – Nie staraj się odgadnąć, co to takiego. Jest gorące i pożywne, nic więcej nie musisz wiedzieć.

– Dlaczego stale decydujesz o tym, co powinnam wiedzieć? Czemu nie możesz zwyczajnie udzielić mi informacji, o którą proszę? – rzekłam z irytacją, która zdecydowanie wykraczała poza przypadek z zagadkowym mięsem.

– To byłoby zbyt proste.

– A co jest złego w prostocie? Mogłam zrozumieć twoje podejście, gdy moim największym zmartwieniem był kolejny test z historii u Baina, ale teraz stawką jest ludzkie życie. Niejedno ludzkie życie! Ferde być może w tej chwili kradnie następną duszę, a ja mogę potrzebować magicznej mocy, by go powstrzymać.

– Więc czego chcesz? Mam ci mówić, że masz zrobić to lub tamto? – Przeciął powietrze zamaszystym gestem ręki. – Oczekujesz natychmiastowego sukcesu?

– Tak, właśnie o to mi chodzi. Powiedz mi, proszę.

Zamyślił się na chwilę, wreszcie powiedział:

– Kiedy szkolilaś się na testerkę żywności komendanta, czy byś wiedziała, jak smakuje trucizna Moja Miłość, gdyby Valek tylko ci ją opisał?

– Tak. – To akurat było łatwe, bo nie sposób z niczym pomylić tego smaku kwaśnego jabłka, nawet gdy się go znało tylko z opisu.

– Ale czy zaufałaś tej wiedzy na tyle, by zaryzykować swoje życie? Albo życie innych ludzi?

Otworzyłam usta, by odpowiedzieć, ale zrezygnowałam. Obecnie nie potrafiłam sobie przypomnieć trucizn, których nie spróbowałam lub nie powąchałam, a tylko o nich czytałam. Lecz nigdy nie zapomnę

cierpkiego posmaku Mojej Miłości, zjełczałego pomarańczowego smaku Motylego Pyłku i ostrej goryczy Białego Strachu.

– Mówię o magii. Próbowanie jedzenia w poszukiwaniu trucizny to co innego.

– Czyżby?

Walnęłam pięścią w ziemię.

– Czy snujący opowieść składają jakąś przysięgę lub podpisują własną krwią deklarację, że będą nieznośni, uparci i upierdliwi?

Na jego obliczu pojawił się pogodny uśmiech.

– Nie. Każdy snujący opowieść sam decyduje o tym, w jaki sposób kieruje podopiecznymi. Przemyśl to, Yeleno. Ty nie lubisz otrzymywać rozkazów. A teraz zjedz mięso, zanim wystygnie.

Pohamowałam chęć, by cisnąć jedzenie w ogień, gdyż bym dowiodła, że ten irytująco zadowolony z siebie snujący opowieść miał rację i istotnie nie potrafię słuchać rozkazów.

Ugryzłam wielki kawał mięsa. Było przyprawione pieprzem, tłuste i smakowało jak kaczką. Księżycowy Człowiek skłonił mnie do zjedzenia jeszcze dwóch kawałków, zanim pozwolił mi wrócić do śpiących mężczyzn i wyleczyć ich rany. Później zdrzemnąłam się znużona przy ognisku.

Kiedy wszyscy wreszcie obudziliśmy się i zasiedliśmy do posiłku, omówiliśmy następne posunięcie.

– Sądzisz, że urządzili w dżungli więcej zasadzek? Zostawili na naszej drodze kolejnych warperów? – zapytałam Księżycowego Człowieka.

– To możliwe – odparł po namyśle. – Przecież zostawili w obozie warpera, który poświęcił swoje życie. Ten zaś – zerknął w kierunku trupa – miał wrócić żywy. Nasi szpiedzy ustalili, że Daviianie Verminowie mają dziesięciu warperów, czyli teraz już tylko ośmiu. Dwaj spośród nich są bardzo potężni, natomiast reszta posiada pomniejsze magiczne zdolności.

– Dowódca oddziału, który urządził tę zasadzkę, dysponował wystarczająco dużą magiczną mocą, by stworzyć i utrzymać tarczę neutralizującą.

Księżycowy Człowiek w zadumie obrócił mięso piekące się nad ogniem, po czym powiedział:

– To ważne i niepokojące spostrzeżenie. Oznacza, że Verminowie być może już od jakiegoś czasu odprawiają rytuał kirakawy.

– Co to jest kirakawa? – zapytał Leif.

– To pradawny rytuał składający się z wielu etapów i obrzędów. Kiedy rytuał kirakawy zostanie właściwie odprawiony, przenosi życiową energię z jednej osoby do drugiej. Wszystkie żywe istoty są zdolne do używania magii, jednak większość nie potrafi łączyć się ze źródłem magicznej mocy. Człowiek odprawiający rytuał kirakawy albo powiększa swą magiczną potęgę, albo zyskuje możliwość dotarcia do źródła magicznej energii, i w ten sposób staje się warperem. Ich dowódca wspominał coś o kolejnych poziomach i obrzędzie wiązania. Prawdopodobnie wykorzystują rytuał kirakawy, by udzielać wybranym członkom klanu magicznych zdolności i powiększać potęgę niektórych warperów. Przywódca klanu z pewnością nie chce, by wszyscy jego członkowie byli równie potężni.

– Czym różni się rytuał kirakawy od rytuału ludu Efe, którego używał Ferde? – spytał Leif, trąc rozcięcie na policzku.

– Rytuał ludu Efe przywiązuje duszę ofiary do odprawiającego, zwiększając jego potęgę. Chociaż ten rytuał wymaga krwi, jednak to nie ona jest nośnikiem magicznej mocy, tylko dusza. A osoba odprawiająca rytuał musi być magiem.

– Czyli w przeciwieństwie do rytuału ludu Efe, każdy może się posłużyć rytuałem kirakawy, by zdobyć magiczną moc? – spytał Leif.

– O ile zna odpowiednie kroki postępowania. W rytuale kirakawy dusza ofiary jest uwięziona we krwi. Ten rytuał odznacza się też przerażającym okrucieństwem. Żyjącej ofierze rozcina się brzuch i wyjmuje serce. Rytuał kirakawy jest także bardziej skomplikowany niż rytuał ludu Efe.

– Czy rytuał ludu Efe może odprawić każdy mag, czy tylko Złodziej Dusz? – zapytałam.

– Mógłby go odprawić również Poszukiwacz Dusz, ale już nikt inny. Czy to wystarczająco prosta i jasna odpowiedź na twoje pytanie, Yeleno?

Zignorowałam jego uszczypliwą uwagę i zapytałam o Mogkana, brata Alei. Gdy zamieszkał w Iksji, porwał przeszło trzydziestu ludzi i zmienił ich w pozbawionych duszy bezwolnych niewolników, by wyssać z nich magię i pomnożyć swą magiczną potęgę. Ostatecznie Valek i ja uniemożliwiliśmy mu zdobycie władzy nad Iksją. Właśnie za to chciała się zemścić Alea.

– Dużo o nim wiesz, Yeleno. Mogkan torturował swoje ofiary zarówno fizycznie, jak i psychicznie, aż wreszcie nie mogły już dłużej znieść potwornej sytuacji, w jakiej się znalazły. Wycofywały się w głąb siebie, przez co ułatwiały Mogkanowi dostęp do magicznej mocy, która pozostawała w ich ciałach. Tak to działało w jego przypadku.

Przez głowę przemknęły mi implikacje faktu istnienia różnych sposobów znęcania się nad ludźmi i odzierania ich z magicznej mocy.

– Wróćmy do rytuału kirakawy – powiedziałam. – Jeżeli Daviianie Verminowie odprawiają go już od jakiegoś czasu, mogą mieć więcej niż ośmiu warperów.

– Znacznie więcej. – Księżycowy Człowiek skinął głową.

Nagle ogarnął mnie atak paranoi. Byłam przekonana, że jestem otoczona mrowiem warperów, i z całej mocy zapragnęłam wrócić do moich przyjaciół na bezpieczny płaskowyż.

Jednakże Daviianie zamierzają zdobyć więcej ofiar do odprawienia krwawego rytuału, a w klanie Zaltana jest mnóstwo magów i zwykłych ludzi. Jeżeli warperzy użyją tarczy neutralizującej, klan nie zostanie w żaden sposób ostrzeżony przed atakiem. Serce ścisnęły mi strach i rozpacz, gdy wyobraziłam sobie moich rodziców okaleczonych i zabitych.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– W jaki sposób zniwelujesz działanie tarczy neutralizującej? – zapytałam Księżycowego Człowieka, niezdolna ukryć paniki w głosie. W dżungli zapadła ciemność i wyobrażałam sobie drapieżniki czające się za każdym drzewem czy krzakiem. Jedyne światło rzucało niewielkie ognisko, wokół którego się skupiliśmy.

– Magia nie potrafi przebić tarczy, ale znajduje okreśną drogę za jej brzegami, dzięki czemu możesz się posłużyć magicznymi zdolnościami.

– Jak wielka jest tarcza?

– To zależy od mocy twórcy. Ta, której użyliśmy na płaskowyżu, miała wysokość jeźdźca na koniu i szerokość trzydziestu mężczyzn, ale do jej zbudowania wykorzystaliśmy połączone siły czterech snujących opowieść. W przypadku jednego warpera tarcza musi być mniejsza.

Podniosłam wzrok na wierzchołki drzew. Napastnicy zaatakowali z góry. Czy w następnej zasadzce posłużą się tą samą taktyką? Zapewne nie. Skoro pierwsza próba się nie powiodła, użyją innej metody. Ja jednak mogłam z niej skorzystać. Zajęcie pozycji wyżej niż przeciwnik daje lepszy punkt wyjścia, a jeśli wdrapię się na szczyt drzewa, zdołam ominąć brzegi następnej tarczy neutralizującej i ustalić, gdzie urządzono kolejną zasadzkę.

Wiedziałam, że działanie pomoże mi zwalczyć obezwładniający lęk o rodzinę, dlatego wysłałam moją świadomość w kierunku płaskowyżu i nawiązałam mentalny kontakt z Kiki.

– Jakież kłopoty? – zapytałam.

– Nie. Nuda. Jechać?

– Tak. Spotkamy się w umówionym miejscu na Targu Illiais.

Następnie przedstawiłam towarzyszom mój plan.

– Nie zrobisz tego beze mnie – zaproponował stanowczo Leif. – Dorastałem w dżungli, znam tam każde drzewo i liść.

– Właśnie dlatego powinieneś zostać z resztą, wskazać drogę do wioski klanu Zaltana i pomóc uniknąć drapieżnych zwierząt.

Leif z irytacją skrzyżował ramiona na piersi. Wiedział jednak, że mam rację, więc już dłużej się ze mną nie spierał.

– Zanim odejdę, muszę przesłuchać jeńca – mówiłam dalej. – Być może istnieje szansa, że Verminowie nie dybią na moją rodzinę.

Kiedy obudziłam więźnia z głębokiego snu, jęknął, zamrugał i popatrzył na mnie. Księżycowy Człowiek słusznie postąpił, wiążąc go, bo na ostrzu mojego noża nie pozostało dość kurary, by sparaliżować jeńca.

Jego tunika i spodnie były podarte, dzięki czemu dostrzegłam na brązowej skórze fragmenty czarno-czerwonego tatuażu. Księżycowy Człowiek oderwał prawy rękaw tuniki i wskazał symbole na ramieniu.

– Spełnił już stosowną ofiarę krwi, by przygotować się do rytuału kirakawy. Atrament na jego skórze zmieszano z krwią. – Snujący opowieść przygarbił się z przygnębieniem. – Klan Sandseed postąpił rozsądnie, wyplenając te dawne obrzędy.

– Zwiedziono cię i oszukańczo nakłoniono, abyś kierował się naukami Guyana – odezwał się jeńiec. – To nie świadectwo rozsądku, tylko godnej politowania słabości, gdy rezygnuje się ze swojej potęgi, by zostać potulnym żalonym snującym opowieść, zamiast...

Księżycowy Człowiek chwycił Vermina za gardło i podniósł go z ziemi. W żadnym razie nie nazwałabym tego snującego opowieść potulnym czy słabym.

– Gdzie zdobyłeś instrukcje? – zapytał więźnia, potrząsając nim.

– Nie powiem – rzucił Vermin z uśmiechem.

– Jakie instrukcje? – spytałam.

– Szczegóły dawnych rytuałów z upływem czasu zostały zapomniane – rzekł Księżycowy Człowiek. – W pewnym okresie naszej historii potrafiliśmy odprawiać wiele rozmaitych obrzędów, by zwiększać magiczną moc. Członkowie klanu Sandseed ustnie przekazywali tę wiedzę dzieciom w formie dydaktycznych opowieści. Kiedy przywódcą klanu został Guyan, rozkazał, aby zabito tych spośród nas, którzy znali szczegóły rytuałów i ulegli złu. Ta wiedza powinna była umrzeć razem z nimi. – Cisnął jeńca na ziemię.

Przypomniałam sobie, że Dax przewertował stertę starożytnych ksiąg, kiedy usiłowaliśmy rozszyfrować tatuaże Ferdego, by się dowiedzieć, dlaczego gwałci i zabija porwane przez siebie dziewczyny.

– W siedzibie Magów jest kilka książek na ten temat – oznajmiłam. – Ktoś z klanu Sandseed mógł przed śmiercią zapisać instrukcje i symbole. Możliwe, że istnieją inne egzemplarze tych ksiąg i Verminowie z nich korzystają. – Odwróciłam się do jeńca. – Przypuszczam, że nie zdradzisz nam też, co planują twoi pobratymcy?

Spojrzał mi w oczy i prychnął pogardliwie. To mi wystarczyło, by zrozumieć, że mojej rodzinie grozi niebezpieczeństwo. Wysłałam do umysłu Vermina grube pasmo magicznej energii i przetrząsnęłam jego myśli oraz wspomnienia, by wydobyć potrzebne mi informacje. Stłumiłam poczucie winy wywołane pamięcią o tym, jak Roze

Featherstone próbowała w podobny sposób wysondować mój umysł. Wprawdzie tego rodzaju praktyki są zabronione, lecz sądziła, że szpieguję na rzecz Iksji, a zakazy Kodeksu Etycznego nie stosują się do szpiegów i przestępców. Mogłam na swoją obronę przytoczyć ten sam argument. W takim razie czy to czyniło mnie podobną do Roze? Cóż, możliwe... Ta myśl bardzo mnie zaniepokoiła, lecz musiałam zająć się tym, co najważniejsze.

W pamięci więźnia nie znalazłam nic istotnego oprócz kilku przerażających wspomnień, gdy obserwował wstępny etap rytuału kirakawy. Polecono mu, by pozostał tutaj i schwytał w zasadzkę każdego, kto wyjdzie z jaskiń. Później jego oddziałek miał dołączyć do większego zgrupowania przebywającego w dżungli. Jednak nasz jeńiec nie miał pojęcia, gdzie i kiedy miało się odbyć to połączenie. A co ważniejsze, w ogóle nie znał planów reszty Verminów.

Jednak wydobyłam z jego umysłu kilka okruchów informacji. Uzyskałam potwierdzenie, że Cahil i Ferde przeszli tą drogą wraz z dwunastoma Verminami.

– Czternastu ludzi nie wystarczy, by zwyciężyć klan Zaltana – stwierdził Leif z dumą w głosie.

Potwierdziłam skinieniem głowy, lecz dodałam:

– Ale zwycięstwo to nie wszystko.

Jeszcze mocniej zapragnęłam wyruszyć w drogę, gdyż wiedziałam, że Verminowie wkroczyli do dżungli i mojemu klanowi może grozić niebezpieczeństwo. Wciąż na nowo stawał mi przed oczami obraz ojca i matki pojmanych i ciśniętych na ziemię. Na myśl o nich i o tym, że moja kuzynka Nutty, wspinając się beztrąsko na drzewa, wpadnie w pułapkę, przyśpieszyłam przygotowania do opuszczenia obozu.

Energicznie zarzuciłam na ramiona plecak, a w uchwyt wetknęłam

kij.

– Co zrobimy z jeńcem? – zagadnęłam Księżycowego Człowieka.

– Zajmę się nim.

– Jak?

– Lepiej nie pytaj.

– Kiedy właśnie pytam i chcę usłyszeć odpowiedź!

Księżycowy Człowiek westchnął.

– Niegdyś Verminowie należeli do klanu Sandseed. Są dla nas krewnymi odszczepieńcami, dokonują napaści na terenie całej Sycji. Postąpimy z nimi odpowiednio, zgodnie z naszymi prawami.

– To znaczy?

– Wytępimy ich.

Chciałam zaprotestować. A co z tymi Verminami, których być może zwiedziono i oszukano? Jednak zamilczałam. To nie była odpowiednia pora na spieranie się o zbrodnię i karę.

Zamiast tego spojrzałam w górę na wysokie drzewa, szukając drogi na ich wierzchołki. Żałowałam, że nie mam już liny z hakiem. Znalazłam długą winorośl i wspięłam się po niej na wyższe konary. Ustaliłam kierunek – siedziba klanu Zaltana leżała na zachodzie – i przeskoczyłam na sąsiednie drzewo.

Zmierzając ku domowi, magicznymi zmysłami nieustannie wypatrywałam przejawów życia w poszukiwaniu Verminów i innych drapieżników. Wędrówkę spowalniały splątane gałęzie rosnących gęsto

drzew. Po kilku godzinach moje prze pocone ubranie było w strzępach, a skóra paliła i swędziała od niezliczonych zadrapań i ukąszeń owadów.

Przysiadłam na konarze i z badałam teren między mną a Księżycowym Człowiekiem. Nie dostrzegłam żadnego śladu ludzkich istot, więc połączyłam się mentalnie z nim i Leifem.

– Aż do tego miejsca droga jest bezpieczna. – Przesłałam im obraz polanki w dole. – Gdy tu dotrzecie, zaczekajcie, aż się z wami znów skontaktuję.

Gdy potwierdzili, ruszyłam dalej przez gęsty zielony baldachim dżungli, czujnie wypatrując śladów Daviiianów. Monotonny rytm wędrówki przez kolejne wierzchołki drzew mieszał się w mojej świadomości ze stałym miarowym pulsem dzikiego pierwotnego życia dżungli. Nagle wyczułam, że ten puls zakłóciła w oddali czyjaś obecność, więc skupiłam magiczną energię, by ją zlokalizować. Odkryłam w koronie drzew jakiegoś mężczyznę. Zanim zdołałam się zorientować, czy to przyjaciel, czy wróg, moja lewa dłoń zacisnęła się na gładkiej sprężystej gałęzi. Zaskoczona pośpiesznie wycofałam duchową świadomość, a następnie nawiązałam kontakt z umysłem myśliwego czającego się pośród koron drzew.

Zaszeleściły liście i dobiegł mnie przerażający odgłos pełznącego węża. Gałąź pod moimi stopami się zakołysała. Zeskoczyłam z niej, szukając solidniejszego konaru, lecz wyładowałam na zwiniętym węzowym cielsku. Ubarwienie boa dusiciela tak doskonale stapiało się z zieloną roślinnością dżungli, że nie potrafiłam rozróżnić, gdzie kończy się jego ciało.

Zamknęłam oczy i wniknęłam w umysł węża. Jakiś czas temu boa rozwiesił się między dwiema gałęziami, tworząc rodzaj pętli, która za chwilę zaciśnie się wokół mnie. Wyciągnęłam z kieszeni nóż sprężynowy i otworzyłam ostrze.

Kiedy ciężkie zwoje węzowego cielska spadły mi na plecy, wiedziałam, że mam tylko kilka sekund, zanim drapieżnik owinie się wokół mojego gardła jak naszyjnik i zadusi mnie. Wyczułam satysfakcję węża, gdy zaczął wzmacniać uścisk.

Wbiłam pociągnięty kurarą nóż w grube cielsko. Czy trucizna podziała na tego gada? Odebrałam w jego umyśle wrażenie lekkiego bólu, lecz uznał ten cios za nieznaczne draśnięcie.

Owinał się mocno wokół mnie, unieruchamiając nogi i lewą rękę. Zdałam sobie sprawę, że gad unosi mnie. Jeśli teraz go przetnę, runę z wysoka na ziemię.

Cielsko węża otarło się o moją twarz, a potem ześlizgnęło po plecach, gdy znów spróbował opleść mi szyję.

Uznałam, że wolę spaść z drzewa niż zginąć uduszona przez węża. Głęboko wbiłam nóż w najbliższy zwój, zamierzając go przerznąć. Lecz zanim do tego doszło, gad znieruchomiał.

Pomyślałam, że być może sparaliżowała go kurara, lecz gdy wyszarpnęłam ostrze, wąż wzmocnił uścisk. A zatem kurara nie zadziałała. Jednak gdy ponownie wbiłam nóż, gad znów przestał się ruszać. Dziwne. Widocznie trafiłam w czułe miejsce. Tak więc znaleźliśmy się w impasie.

Wciąż miałam mentalny kontakt z wężem i wyczułam, że głód toczy w nim walkę z pragnieniem ocalenia życia. Usiłowałam zapanować nad wolą drapieżnika, ale nasze umysły były zbyt odmienne. Mogłam wprawdzie wyczuwać jego zamiary, lecz nie potrafiłam nim kierować.

Nie chciałam zabić węża, jednak nie widziałam innego wyjścia z sytuacji. Kiedy będzie martwy, przypuszczalnie zdołam się wyswobodzić i wznowię wędrówkę przez wierzchołki drzew.

Nagle usłyszałam:

– Hej, jest tam ktoś?

Przeklełam się w duchu za to, że pochłonięta zmaganiem z wężem, zapomniałam o mężczyźnie, którego obecność przed chwilą wykryłam. Wysłałam świadomość w kierunku korony drzew i natrafiłam na dobrze chronione myśli maga, nie umiałam się jednak zorientować, czy to warper, czy snujący opowieść.

– Czyżby ten wąż odgryzł ci język? – Roześmiał się ze swojego żartu. – Wiem, że tam jesteś. Wyczuwam twoją moc. Jeśli nie pochodzisz z dżungli, z radością pozwolę, by węże zjadły cię na obiad.

– Węże? – powtórzyłam. Mowa tego człowieka brzmiała w moich uszach znajomo. Nie był Daviianinem ani członkiem klanu Sandseed. Miałam nadzieję, że pochodzi z klanu Zaltana.

– Ten wąż wysłał wezwanie o pomoc. Mogłabyś go zabić i wyswobodzić się, ale wówczas zjawią się jego pobratymcy i dokończą dzieło.

Za pomocą magii przeszukałam koronę drzew i rzeczywiście wykryłam pięć węży pełznących w moim kierunku.

– A jeśli pochodzę z dżungli? – spytałam.

– W takim razie ci pomogę. Ale musisz mnie przekonać, gdyż ostatnio zdarzają się tutaj dziwne rzeczy.

Zastanowiłam się szybko, po czym powiedziałam:

– Jestem Yelena Liana Zaltana, córka Esaua i Perl, siostra Leifa.

– Każdy mógłby tak powiedzieć, gdyż wielu ją zna. Musisz się bardziej postarać.

Mogłabym dodać, że jestem przyjaciółką Valka i plagą Sycji, lecz to by mi w niczym nie pomogło. Przetrzęsłam zakamarki pamięci, usiłując znaleźć jakąś informację znaną jedynie klanowi Zaltana. Sęk w tym, że wychowałam się w Iksji i niewiele wiedziałam o rodzinnym klanie.

– Mogłabym wysłać cię w pościg za dzikim valmurem, ale czy nie byłoby prościej, gdybym ci dała klonowy cukierek, żebyś go nim zwabił? – Czekałam w napięciu, wstrzymując oddech.

Gdy już doszłam do wniosku, że będę musiała się uwolnić, rozcinając zwoje węża, zanim zjawią się jego bracia, rozbrzmiały niskie dźwięki bębna. Ich wibracje przepływały falami przez ciało gada.

Wąż rozluźnił uścisk. Nad moją głową w gęstwinie liści pojawił się prześwit i ujrzałam uśmiechniętą twarz pomalowaną na zielono.

Mężczyzna wyciągnął do mnie rękę, również pokrytą kamuflującą farbą.

– Chwyć ją – polecił.

Złapałam go za przegub, a on wyciągnął mnie z wężowego splotu na gruby konar. Z wielkiej ulgi nogi ugięły się pode mną i musiałam usiąść.

Mężczyzna miał na sobie maskujący ubiór w kolorach dżungli. Umieścił na gałęzi bęben ze skórzaną membraną i zagrał inny rytm. Wąż wyprostował się i po chwili zniknął w leśnej gęstwinie.

– To powinno go przez jakiś czas powstrzymać – stwierdził mój wybawiciel.

Po stroju i kolorze włosów ufarbowanych na oliwkowo poznałam, że należy do klanu Zaltana. Podziękowałam mu za pomoc. W odpowiedzi kiwnął głową i ten gest kogoś mi przypomniał.

– Kim jesteś? – spytałam.

– Twoim kuzynem. Nazywam się Chestnut. Podczas twojej wizyty w klanie byłem na zwiadzie, więc nie miałem okazji cię poznać.

Przeżywszy czternaście lat w Iksji, powróciłam do rodzinnego domu, o którego istnieniu wcześniej nawet nie wiedziałam. Ogarnięta emocjami, poznałam mnóstwo kuzynów, ciotek i wujów, więc pewnie nie zapamiętałabym Chestnuta, nawet gdyby mi go przedstawiono.

– Jestem jednym z braci Nutty – dodał.

Nutty opowiadała mi zabawne historie o swoim rodzeństwie, pamiętałam też, że zanim mnie porwano, często bawiłam się z nią i jej braćmi.

– W jaki sposób okiełznałeś tego gada? – spytałam.

– Jestem zaklinaczem węży. – Gdy milczałam, czekając na bliższe wyjaśnienia, dodał: – To część moich magicznych zdolności. Niełatwo wytropić węże boa. Nie tylko wtapiają się w otoczenie dzięki ubarwieniu skóry, lecz także maskują życiową energię. Przypuszczalnie nie zdołałby ich odkryć nawet mag, który dzięki magii potrafi wyczuć obecność innych zwierząt w dżungli, a w każdym razie nie wtedy, gdy już jest za późno. – Z satysfakcją zatarł ręce. – Zwykle polują samotnie, ale jeśli któryś wpadnie w tarapaty, wzywa towarzyszy, wydając niski dźwięk, którego ludzie nie słyszą, jednak dzięki magicznym talentom umiem odnajdywać te węże i słyszę ich wezwania. A za pomocą bębna mogę się z nimi porozumieć, chociaż jego brzmienie nie działa na inne zwierzęta. – Wzruszył ramionami. – W każdym razie trzymam węże

z dala od naszej wioski.

– I patrolowałeś okolicę, kiedy usłyszałeś zew tego węża? –
Dziwne, jak bardzo zaczął mnie obchodzić los stworzenia, które
usiłowało mnie udusić i pożreć.

– Tak. Chociaż gdy dziś rano wyszedłem na zwiad, miałem
nadzieję znaleźć nie tylko węże. – Obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem.
– I właśnie mi się to udało. Po co tu przybyłaś, Yeleno?

– Śledzę ludzi, którzy mieszkali na płaskowyżu. Przeszli tędy. Czy
ktoś z was ich widział? – zapytałam, jednak w istocie chciałam się
dowiedzieć, czy zaatakowali klan Zaltana i czy moim rodzicom nic się
nie stało.

– Czy ich widzieliśmy? Nie. Wiemy, że w dżungli pojawili się
obcy, ale nie potrafimy ich znaleźć i... – Przerwał, zapewne rozważając,
ile może mi zdradzić. – Może najlepiej będzie, jeśli porozmawiasz ze
starszyzną. Czy jesteś sama?

– Są ze mną brat i kilku członków klanu Sandseed.

– Czy też wędrują po drzewach?

– Nie, po ziemi. – Opowiedziałam Chestnutowi, że nas napadnięto,
a ja pełnię rolę zwiadowcy.

Zaprowadził mnie do wioski klanu Zaltana ulokowanej wysoko na
drzewach. Składała się z wielu budynków mieszkalnych z salonami,
kuchniami i sypialniami, połączonych siecią mostków. Trudno ją było
dostrzec w gęstej koronie drzew, a gdy w niej przebywałam, nieustannie
mnie zdumiewało, że można tak świetnie zamaskować taką dużą osadę.

Wszystkie budynki zbudowano z drewna i umieszczono na
grubych szerokich konarach, a zewnętrzne ściany porastał bluszcz,

czyniąc je niewidocznymi z ziemi. Również niemal całe umeblowanie było drewniane, a funkcję łóżek pełniły wygodne sznurowe hamaki. Pomieszczenia ozdabiałały wyroby rękodzielnicze wykonane z tego, co dawała dżungla, na przykład nasiona i patyki. Szczególnie lubiłam figurki zwierząt lepiące z barwnych kamyków.

Główny pasaż rozległej osady pełnił rolę wspólnej przestrzeni dla wszystkich rodzin. Przylegały do niego pomieszczenia prywatne.

Wioska była doskonale chroniona przez magów klanu Zaltana, którzy czujnie wypatrywali obcych.

Gdy dotarliśmy na miejsce, Chestnut pośpieszył do starszyny klanu, a ja za pomocą magii zbadalam szlak wiodący do polany, na której czekali Księżycowy Człowiek i pozostali towarzysze. Upewniwszy się, że droga jest bezpieczna, połączyłam się z umysłem snującego opowieść.

– Przybywajcie szybko – poleciłam.

– Już wyruszamy – odrzekł.

Pobiegłam do mieszkania rodziców, mieszczącego się w kwartale Liana. Kilka osób posłało mi zaskoczone i zdziwione spojrzenia, ale nie zwracałam na nie uwagi.

Moja matka Perl przechadzała się po salonie. W powietrzu unosił się intensywny zapach imbiru i cynamonu, ale jej aparat do destylacji perfum, stojący na długim stole przy tylnej ścianie, wydawał się pusty.

– Yelena! – Rzuciła mi się w ramiona. Szczupła i niższa ode mnie o kilkanaście centymetrów, uchwyciła się mnie kurczowo, jakby w obawie, że upadnie.

– Mamo, co się stało? – zapytałam.

– Esau... – Zalała się łzami.

Pohamowałam chęć potrząśnięcia nią, gdy szlochała w moich objęciach. Zamiast tego odczekałam, aż się wypłacze, a potem odsunęłam się nieco i spojrzałam w jasnozielone oczy matki.

– Co z ojcem?

– Zaginął.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Oparłam się pokusie, by uspokoić matkę za pomocą magii. Przez głowę przemknęły mi przerażające domysły, zanim Perl trochę się opanowała i opowiedziała, co się stało. Ojciec miał wrócić wczoraj z wyprawy do dżungli, ale do dziś się nie pojawił.

– Zwołano zebranie klanu – wyjąkała pośród łkań. – Zaginęło dwóch zwiadowców i Esau wyruszył, aby ich odszukać.

– Zaginęli zwiadowcy? – powtórzyłam zdziwiona.

Matka uśmiechnęła się przez łzy.

– Niektórym świeżo upieczonym zwiadowcom zdarza się zabłądzić, a Esau zawsze ich odnajduje. Nikt nie zna dżungli lepiej od niego.

– Może któryś ze zwiadowców został ranny i ojciec go kuruje – podsunęłam w nadziei, że matkę to uspokoi, a mnie powstrzyma przed wyobrażaniem sobie Esaua jako ofiary rytuału kirakawy. – Dlaczego spodziewano się go wczoraj?

– Ponieważ miało się odbyć zebranie klanu. Zwierzęta w dżungli stały się niespokojne i rozdrażnione, a my nie potrafimy dociec przyczyny. Kiedy zwiadowcy nie powrócili z patrolu, starszyzna poleciła, by nie zapuszczano się zbyt daleko poza wioskę. Każdego wieczoru zbieramy się w świetlicy, by mieć pewność, że nikogo nie brakuje. Esau miał opuścić osadę tylko na kilka godzin. – Po jej policzkach ciekły łzy.

Widać było, jak strasznie się boi i zamartwia. Nie pierwszy raz w swym życiu. Nie była jeszcze stara, lecz czarne włosy już posiwiały. Nie mogłam zostawić matki samej, ale musiałam zdobyć więcej

informacji.

– Pomówię ze starszyzną klanu – oświadczyłam. – Możesz pójść ze mną, ale tylko jeśli obiecasz, że zachowasz spokój.

Zgodziła się, jednak w jej oczach dostrzegłam niepewność. Przycisnęła dłoń do piersi. Może jednak nie powinnam brać jej ze sobą? Może Nutty mogłaby z nią zostać?

Perl drgnęła, jakby nagle coś sobie uświadomiła.

– Zaczekaj. – Pobiegła do windy.

Przyglądałam się, jak pociągnęła sznury i wjechała na piętro, na którym było mieszkanie. Serce ścisnął mi skurcz strachu. To Esau skonstruował tę windę, wprawianą w ruch za pomocą pnączy winorośli oraz systemu bloków. Nigdy sobie nie daruję, jeśli stanie mu się coś złego.

Panika gnała mnie do działania. Już miałam zawołać do Perl, żeby się pośpieszyła, gdy winda zjechała na dół. Matka na górze spryskała twarz wodą i związała włosy z tyłu, a także włożyła na szyję mój amulet ognia. Uśmiechnęłam się na jego widok.

– Oby dodał mi sił. – Gdy spojrzała mi w oczy, dostrzegłam w jej wzroku jedynie upartą determinację. – Chodźmy.

Po drodze do sali zebrań rozmyślałam o amulecie. Wygrałam go w zawodach akrobatycznych w Iksji podczas święta ognia. Przeżyłam wówczas chwilę czystej radości pośród przerażającego piekła. Reyad – jeden z moich porywaczy, a zarazem pierwszy człowiek, którego zabiłam – zakazał mi udziału w konkursie, więc zostałam surowo ukarana za nieposłuszeństwo, ale niczego nie żałowałam i drugi raz postąpiłabym tak samo. Obecnie zdałam sobie sprawę, że to dzięki uporowi odziedziczonemu po rodzicach nie poddałam się i wciąż

walczyłam mimo usiłowań Mogkana i Reyada, by zyskać nade mną władzę.

Wprawdzie nasz klan nazywa się Zaltana, lecz moja rodzina nosi nazwisko Liana, co w dawnym języku Illiais oznacza winorośl. Takie winorośle rosną wszędzie w dżungli i dążąc do słońca, obalają drzewa, a gdy się je zetnie i wysuszy, stają się twarde jak skała.

Widząc stanowczy wyraz twarzy matki, wiedziałam, że w chwili próby zdoła opanować emocje i zrobi wszystko, by pomóc w odnalezieniu męża.

Największym pomieszczeniem w osadzie była świetlica. Pośrodku owalnej sali, wystarczająco obszernej, by pomieścić wszystkich członków klanu, znajdowało się kamienne palenisko. Czarne drobiny popiołu unosiły się w powietrzu w smudze słonecznego światła wpadającego przez kominowy otwór w drewnianym suficie. Wokół paleniska stały ławki z drewna i utwardzonych pnączy. Gdy poczułam woń rozmaitych perfum, przypomniałam sobie poprzedni pobyt w tym miejscu. Wówczas w świetlicy zgromadzili się wszyscy członkowie klanu. Przygnani ciekawością, pragnęli ujrzeć zaginione dziecko, które już uznali za martwe, i gapili się na mnie z mieszaniną nadziei, radości i podejrzliwości. Wszelkie nadzieje na spokojne, niczym niezmacone spotkanie z bliskimi rozwiały się, gdy mój brat oznajmił publicznie, że cuchną krwią i jestem zabójczynią.

Z tych wspomnień wyrwał mnie Chestnut, przedstawiając starszych klanu:

– Oto Oran Cinchona Zaltana i Violet Rambutan Zaltana.

Przywitali mnie formalnym sycjańskim ukłonem. Na ich śniadych twarzach widniały troska i lęk. Kierowali codziennym życiem wioski podczas nieobecności przywódcy klanu, Bavola, który przebywał w Cytadeli. Zaginięcie zwiadowców i przybycie nieoczekiwanych gości

oznaczały dla nich poważne kłopoty.

– Twoi przyjaciele są już przy palmowej drabinie – oznajmiła Violet. – Kiedy wejdą na górę, zostaną przyprowadzeni tutaj.

Poczułam ulgę na wieść, że dotarli bezpiecznie, i wysłałam duchową świadomość, by ponaglić Leifa. Gdy otworzył przede mną umysł, wyczułam jego wyraźną irytację.

– Powinnaś była wziąć mnie ze sobą na poszukiwanie Verminów – powiedział. Bolały go mięśnie po całodziennej wędrówce przez dżunglę. W wilgotnym gorącym klimacie ścieżki szybko zarastają, dlatego Leif musiał torować drogę maczetą.

– Możemy pokłócić się o to później – odparłam. – Teraz potrzebuję cię tutaj.

– Nie mogę zostawić Tauna.

Leif i Marrok wspięli się już do korony drzew, ale oczami brata ujrzałam Tauna, który utkwiał w połowie sznurowej drabinki, kurczowo trzymając się szczebli.

Wniknęłam w umysł zwiadowcy. Wprawdzie nie mógł mnie usłyszeć, ale wysłałam mu kojące emocje, przypominając, jak schodził po kamiennych występach w ciemnościach jaskini. Pochwyciłam jego wspomnienie tamtego epizodu i pojęłam, dlaczego wówczas się nie bał.

– Zamknij oczy – poleciłam.

Usłyszał, a potem rozluźnił kurczowy chwyt i podjął wspinaczkę po drabinie.

Wycofałam się z jego umysłu i znów połączyłam się z Leifem:

– Pośpieszcie się – nalegałam.

Gdy brat i pozostali dołączyli do nas, poczułam, że rozpiera mnie przemożne pragnienie działania. Pokrótce zrelacjonowałam starszym klanu Oranowi i Violet przebieg ostatnich wydarzeń, lecz w zamian potrafili powiedzieć mi tylko tyle, że zaginionych zwiadowców wysłano w kierunku południowo-wschodnim, a Esau udał się na ich poszukiwanie na wschód.

– Niewątpliwie schwytali ich Daviianie – orzekłam. – Musimy ich uratować, zanim staną się ofiarami rytuału kirakawy.

– Chodźmy – rzucił Leif, mocno ujmując rękę moją. Na jego twardej kanciastej twarzy widniała zawzięta determinacja.

– Nie macie pewności, czy to Verminowie pojмали waszego ojca – rzekł Księżycowy Człowiek. – Ani gdzie są, ilu mają warperów i jaką obroną dysponują. – Wyrzucał z siebie słowa szybko, ściągając brwi. Wyraźnie czuł się niepewnie w zamkniętym pomieszczeniu.

– No dobrze, panie Roztropny – powiedziałam. – Więc w jaki sposób według ciebie mamy się tego dowiedzieć?

– Marrok i Tauno zbadają trop i zawiadomią nas.

– Jaki trop? – spytałam.

– Wiodący na wschód.

– Po to, by wpaść w tę samą pułapkę co mój ojciec? Zostaną schwytani i zabici – zripostowałam. – Wysyłanie tam kogokolwiek jest zbyt ryzykowne. Dżungla to doskonale miejsce na urządzenie zasadzek. Chyba że... – Urwałam, gdyż nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Zastanowiłam się nad nim, szukając słabych punktów. Jeśli Daviianie skryją się za tarczą neutralizującą, nie przebijie jej żadna

magia, ale można tego dokonać za pomocą środków fizycznych, takich jak dźwięk i światło.

– Chyba że co? – ponaglił mnie Leif.

– Chyba że zyskamy widok z lotu ptaka – dokończyłam.

– Daviianie niewątpliwie umieścili obserwatorów na drzewach – rzekł Marrok. – Zapewne właśnie dzięki temu pojмали zwiadowców.

– Tak, ale mówiłam dosłownie. Mogłabym połączyć się mentalnie z jakimś ptakiem i obejrzeć okolicę jego oczami.

– W ciągu dnia niewiele zobaczysz – stwierdził Księżycowy Człowiek. – Verminowie z pewnością dobrze się zamaskują. A w nocy będą potrzebowali tylko niewielkiego ogniska i blasku księżyca, by odprawić przynajmniej pierwszy etap rytuału kirakawy.

Przebiegł mnie lodowaty dreszcz.

– Księżyc świecił już ubiegłej nocy.

– Było dla nich za wcześnie. Potrzebują czasu, by się odpowiednio przygotować.

– Jak na kogoś, kto twierdzi, że pradawne rytuały zostały bezpowrotnie zapomniane, wiesz o nich mnóstwo – zauważył Marrok oskarżycielskim tonem.

– Szczegóły rytuału kirakawy uległy zapomnieniu, jednak ogólna wiedza o nim jest zawarta w dydaktycznych opowieściach – odparł Księżycowy Człowiek, patrząc kapitanowi prosto w oczy. – To pozwala nam uniknąć powielania dawnych błędów.

Nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy było to ostrzeżenie pod adresem

Marroka, czy tylko kolejna zagadkowa uwaga snującego opowieść. Kapitan potarł wyleczony policzek, jak zaczął ostatnio to czynić, ilekroć coś go zdenerwowało lub przestraszyło. Rany zadane przez Cahila były głębsze i nie ograniczały się tylko do strzaskanej kości. Trudniej naprawić zdradę i zniszczone zaufanie niż pękniętą szczękę. Ciekawe, czy Marrok zmieni opinię o Księżycowym Człowieku, gdy się dowie, że to on pomógł uleczyć jego obrażenia?

– Czy są ptaki, które widzą w nocy? – spytał Leif, znów skupiając naszą uwagę na bieżącym problemie.

– Będzie tam światło ogniska – przypomniał Marrok.

– Ale co ze strażnikami na drzewach lub trzymającymi wartę daleko od ognia? – wtrącił Tauno. – Musimy wiedzieć dokładnie, ilu tam jest Verminów.

Rozważyłam te wątpliwości i znalazłam rozwiązanie.

– Nietoperze – powiedziałam.

– Gdzie? – Tauno aż się skulił.

– Połączę się z ich umysłami, by wysledzić wszystkich Verminów – wyjaśniłam. – Ognisko powinno przywabić owady, którymi żywią się nietoperze.

– Czy możemy czekać aż do zmroku? – rzekł Leif. – A jeśli Yelenie nie uda się z pomocą nietoperzy ustalić miejsca pobytu Daviianów? Wówczas tylko stracimy czas, który moglibyśmy wykorzystać na poszukiwanie naszego ojca.

– Yelena ich znajdzie – odezwała się matka.

Dotrzymała przyrzeczenia i w trakcie dyskusji panowała nad

emocjami. Jej wiara we mnie ogrzała mi serce, ale nie ukołała niepokoju. Stawką w tej grze było życie wielu ludzi.

– Co zrobimy, gdy już odnajdziemy Verminów? – zapytał Marrok.

– Mógłby ich pojmać oddział wojskowy klanu Zaltana – zaproponował Leif.

– Nie ma pewności, że to się powiedzie – stwierdził Księżycowy Człowiek. – Zależy od tego, ilu jest pośród nich warperów.

– Nie, to zbyt ryzykowne – po raz pierwszy zabrał głos Oran Zaltana. – Nie wyślę naszych żołnierzy, dopóki się nie dowiemy, z kim i czym mamy do czynienia.

Zerknęłam na podłogę pod otworem kominowym w suficie. Słoneczna plama wyraźnie się przesunęła, widomy znak, że za parę godzin zaczną zmierzchać.

– Najpierw znajdziemy Verminów i ustalmy, jaką siłą dysponują. Reszta niech się posili i odpocznie. Być może czeka nas długa i ciężka noc.

Gdy zaczęliśmy opuszczać świetlicę, mojego ramienia dotknął Chestnut, który podczas narady trzymał się na uboczu. W jego ciemnobrązowych oczach widniało zatroskanie.

– Bardzo lubię wuja Esaua. Daj mi znać, jeśli będę mógł w czymś pomóc.

– Na pewno, Chestnucie. – Poszłam za Leifem i Perl do mieszkania rodziców.

Matka posadziła nas na kanapie, którą Esau zrobił z winnych pnączy. Wypychające poduszki liście zaszeleściły pod moim ciężarem.

Perl weszła do kuchni, a po chwili wróciła, niosąc tacę z kolacją i herbatą, i stała nad nami, dopóki nie zjedliśmy. Nie miałam apetytu, ale zmusiłam się do przeżucia owoców i zimnego mięsa.

W końcu dopadło mnie znużenie po wędrówce przez dżunglę i zdrzemnęłam się na kanapie. Nękały mnie koszmarne sny o węzłach owijających się wokół mego ciała i syczących mi do ucha.

– Obudź się. Już się ściemnia.

Zamrugałam w szarym świetle zmierzchu. Perl spała zwinięta w kłębek na fotelu. W drzwiach stał Księżycowy Człowiek.

Zbudziłam matkę.

– Możesz sprowadzić starszych klanu? Kiedy znajdę Esaua, będziemy musieli obmyślić plan działania.

Perl wybiegła z mieszkania.

– Dokąd chcesz iść? – zapytał mnie Leif.

– Na górę, do mojego dawnego pokoju. – Ruszyłam do windy.

Leif, Księżycowy Człowiek i ja wsiedliśmy do kabiny wielkości szafy. Przez otwory w suficie i podłodze przechodziły dwie grube liny. Snujący opowieść musiał się pochylić, żeby się zmieścić. Oddychał urywanie i mamrotał coś o klanie Sandseed, równinie i duszności.

Gdy brat i ja pociągnęliśmy za liny, winda ruszyła i wjechaliśmy na piętro. Mój pokój znajdował się po prawej stronie korytarza. Odsunęłam bawełnianą kotarę i wprowadziłam Leifa i Księżycowego Człowieka do małej zagraconej klitki.

Kilka lat po tym, jak mnie uprowadzono, Esau zaczął używać tego

pokoju jako składziku. Przez czternaście lat gromadził próbki z dżungli, które spoczywały w szklanych pojemnikach najrozmaitszej wielkości i kształtu, wypełniających półki regałów. Jedynymi miejscami wolnymi od tych zbiorów było małe łóżko i drewniane biurko.

Położyłam się na łóżku, chcąc skoncentrować całą moją energię na próbie połączenia się z umysłami nietoperzy.

– Postarajcie się, żeby nic mi nie przeszkodziło, i bądźcie gotowi do pomocy.

Leif i Księżycowy Człowiek dali znak, że zrozumieli. Mieli sporo magicznej energii i w razie potrzeby mogli mi jej użyć. Wysłałam świadomość w kierunku wylotu jaskini, starając się odsunąć od siebie przerażające myśli o groźnym położeniu, w jakim znalazł się Esau. Nietoperze wkrótce wylecą z kryjówek na żer.

Napotkałam umysłem mroczną świadomość nietoperzy. Nie postrzegały świata wzrokiem, tylko wyczuwały przedmioty i ruch wokół siebie. Nie potrafiłam skierować ich do miejsca, które chciałam spenetrować, więc szybowałam wraz z nimi, przenosząc percepcję z jednego nietoperza do drugiego, i usiłując zorientować się w topografii dżungli. W nocnej ciszy rozbrzmiewały tylko trzepot skrzydeł i brzęczenie owadów.

Chociaż stado nietoperzy rozpierzchło się na przestrzeni wielu kilometrów, pozostawały ze sobą w psychicznym kontakcie, toteż po krótkiej chwili uzyskałam szczegółowy mentalny obraz dżungli. Był to widok z lotu ptaka pozbawiony kolorów – tylko kształty, rozmiary i ruch. W moim oglądzie poprzez zmysły nietoperzy drzewa i skały nie były widzialne, lecz jawiły się jako wiązki odbitych dźwięków.

Proste ściany budynków klanu Zaltana wydawały się nietoperzom dziwaczne. Ominęły osadę, lecz ja przeskoczyłam do umysłów tych spośród nich, które leciały na wschód.

Irytowało mnie, że nie mogę wpłynąć na kierunek lotu, tylko musiałam czekać i obserwować. Wreszcie jeden z nietoperzy odkrył niewielkie obozowe ognisko. Połączyłam się z nim mentalnie, gdy zanurkował i wleciał w słup wznoszącego się gorącego powietrza, chwytając owady tańczące nad ogniem.

Nietoperz instynktownie unikał istot zgromadzonych przy ognisku i pozostawał wysoko w powietrzu. Użyłam jego zmysłów, by określić liczbę Verminów. Trzech siedziało wokół ognia, dwóch przykucnęło na konarach drzew, a czterech pełniło straż na zewnątrz obozowiska. W pobliżu ogniska stały dwa namioty, a obok nich leżały nieruchomo trzy postaci. Skupiłam na nich uwagę i skonstatowałam z ulgą, że klatki piersiowe wznoszą się i opadają.

Zapamiętałam usytuowanie obozu Verminów i wycofałam się ze zbiorowej świadomości nietoperzy.

– Jest ich dziewięciu – oznajmiłam bratu i Księżycowemu Człowiekowi. – Ale nie wiem, ilu spośród nich to warperzy.

– Myślę, że w klanie Zaltana mamy wystarczająco wielu magów, by ich pokonać – stwierdził Leif. – Jeśli ich zaskoczymy, to zyskamy przewagę. Czy potrafisz utworzyć tarczę neutralizującą? – zapytał Księżycowego Człowieka.

– Niestety, nie.

Usiadłam. Zakręciło mi się w głowie i musiałam się pochylić, dopóki zawroty nie ustąpiły. Nawiązanie kontaktu z umysłami nietoperzy wyczerpało moje siły. Snujący opowieść krzepiąco położył dłoń na moim łokciu i przepłynęła przeze mnie jego energia.

Pomyślałam o tym, co powiedział Leif. Jeśli zdecydujemy się zaatakować wielką grupą, Verminowie odkryją, że nadchodzimy, i albo

umkną i znów gdzieś się ukryją, albo stawiają nam opór. Tak czy inaczej, będą mieli dość czasu, by zabić jeńców. Element zaskoczenia odgrywał kluczową rolę, ale w jaki sposób mamy go osiągnąć?

– Czy Tauno mógłby zranić i unieruchomić wartowników strzałami zanurzonymi w kurarze? – zapytał Leif. – Albo może wystrzelimy zatrute kurarą strzałki z trzciniowych dmuchawek.

– Rośnie tam zbyt wiele drzew – orzekł Księżycowy Człowiek.

– I po ciemku trudno byłoby wycelować – dorzuciłam. – Będziemy musieli podejść bliżej i ukłuć ich ostrzami z kurarą.

– Ale co ze strażnikami na drzewach? Nie wiem, czy uda się nam podejść do nich niepostrzeżenie, by nie mogli wystarczająco wcześnie wszcząć alarmu – zauważył Leif.

Gdybym potrafiła sterować ruchem nietoperzy, mogłabym ich użyć do odwrócenia uwagi strażników. Potrzebowaliśmy czegoś innego do wywołania zamieszania. I dzięki logice znalazłam rozwiązanie.

Leif wyczuł mój dobry nastrój i spytał z uśmiechem:

– Co knujesz, siostrzyczko?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie mieliśmy czasu do stracenia. Zbiegliśmy do mieszkania rodziców. Perl wróciła już z Oranem i Violet.

– Odnalazłaś ich? – zapytała.

– Obozują mniej więcej pięć kilometrów na południowy wschód.

– Będziemy potrzebowali kilku magów i żołnierzy – rzekł Leif do Orana.

Ten zaś spytał mnie:

– Jak wielu jest tam Verminów i co zamierzają?

– Dziewięciu. I nieważne, co planują. Mają Esaua i waszych zwiadowców. Musimy ich uratować.

– Powinniśmy skonsultować się z radnym Bavolem... – wyjąkał starszy klanu.

– Bawol przebywa w Cytadeli. Uzyskanie od niego odpowiedzi zajmie wiele tygodni – odparłam, pohamowując chęć złapania Orana za gardło.

– Nie możemy pozostawić naszej osady bez ochrony – odezwała się Violet. – Zwołamy zebranie i zaapelujemy, by zgłosiło się kilku ochotników.

Sycjanie! – pomyślałam ze złością. Nie potrafią nic zrobić bez powołania komitetu.

– Dobrze, zwołajcie zebranie. Róbcie, co chcecie – rzuciłam,

a potem bez ceremonii wyprosiłam Orana i Violet za drzwi.

– Yeleno... – zaczęła z wyrzutem matka.

– Zrugasz mnie później. Teraz wychodzimy. – Gdy Leif i Księżycowy Człowiek popatrzyli na mnie, czekając na polecenia, dodałam: – Weźcie Tauna i Marroka. Dołączę do was u stóp drabinki.

– Dokąd idziesz? – spytał Leif.

– Zabrać coś, czym odwrócimy uwagę Verminów.

Pośpiesznie opuścili pokój, a ja już miałam podążyć za nimi, gdy matka chwyciła mnie za ramię.

– Zaczekaj chwilę – rzekła. – Jest was tylko pięcioro. Co planujesz? Powiedz mi natychmiast albo pójdę z wami.

Emanował z niej upór rodu Zaltana i wiedziałam, że to nie jest czcza pogroźka. Przedstawiłam jej więc pokrótce mój plan.

– To się nie uda bez pomocy – stwierdziła.

– Ale ja zamierzam...

– Potrzebujesz silniejszego czynnika. Mam coś, co nada się w sam raz. Idź. Spotkamy się pod drabinką.

Po kilku minutach gorączkowych poszukiwań znalazłam to, czego potrzebowałam. Gdy ześliznęłam się po drabince, wszyscy już czekali. Jasne księżycowe promienie przenikały przez poszycie dżungli, dając dość światła, byśmy mogli rozróżnić ciemne zarysy pni drzew.

Powiedziałam Taunowi i Marrokowi, w jaki sposób powinni podejść do obozu Verminów, i poinstruowałam, gdzie mają zająć

pozycje.

– Żadnych hałasów. Zachowajcie bezpieczną odległość i czekajcie na mój sygnał do ataku.

– Jaki sygnał? – zapytał Marrok. Jego twarz stężała w posepnej determinacji, lecz w oczach czaiła się niepewność. Dawniej to wprawdzie Cahil wydawał rozkazy, jednak w rzeczywistości żołnierzami dowodził Marrok.

– Będzie głośny i okropny – odpowiedziałam.

– To nie pora na żarty. – Zmarszczył brwi.

– Wcale nie żartowałam.

Po krótkim wahaniu Marrok i Tauno ruszyli w drogę. Księżycowy Człowiek odprowadził ich wzrokiem, po czym spytał:

– A co my mamy robić?

Z góry dobiegł cichy szelest, gdy ktoś chwycił sznurową drabinę, i po kilku chwilach na ziemi pojawił się Chestnut. Był ubrany w ciemne spodnie i tunikę, u pasa miał przytroczony bębenek. Zmył już ze skóry zieloną farbę i spłukał barwnik z włosów.

– Cieszę się, że będę mógł pomóc – oświadczył. – Ale musicie wiedzieć, że nigdy dotąd tego nie robiłem.

– Czego nie robiłeś? – spytał Leif. – Yeleno, o co tu chodzi?

– Liczę na to, że Chestnutowi uda się przywołać kilka węży boa i skłonić je, żeby zajęły się Verminami.

– Ach, więc to jest twój sposób odwrócenia ich uwagi – rzekł

Księżycowy Człowiek.

– Jak blisko musisz podejść? – spytałam Chestnuta.

– Na jakieś półtora kilometra, ale to zależy od tego, ile węzów jest w okolicy. – Zawahał się. – Przywykłem odstraszać węże, a nie zwabiać. Co będzie, jeśli mi się nie uda?

Jakby na zawołanie sznurowa drabinka zakołysała się i zeszła po niej Perl. Poruszała się sprężysto i z gracją. Dałabym głowę, że Nutty nie była jedynym dzieckiem w klanie Zaltana, które nauczyło się wspinać po drzewach, nim jeszcze zaczęło chodzić.

– Masz. – Podała mi dziesięć kapsułek wielkości owoców winogron oraz kilka szpilek. – Weź to, na wypadek gdyby twój pierwszy plan nie wypalił.

– A jeśli ten drugi plan również się nie powiedzie? – rzucił Leif.

– Wtedy po prostu wtargniemy do obozu, licząc, że nam się uda. Chodźcie.

Włożyłam kapsułki do kieszeni, szpilki wpięłam w koszulę, poprawiłam plecak na ramionach, by ciężar rozkładał się równomiernie, i ujęłam kij.

– Bądźcie ostrożni – powiedziała Perl.

Uściskałam ją i ruszyliśmy przed siebie. Wprawdzie poleciłam Marrokowi i Taunowi, by wybrali dłuższą, określoną drogę, jednak naszą czteroosobową grupkę zamierzałam poprowadzić prosto do obozu Verminów. Ponownie nawiązałam mentalną łączność z latającymi nad nami nietoperzami. Posługując się ich mapą kształtów, poruszałam się z łatwością wąską ścieżką, mimo że w niektórych miejscach gęste korony drzew przesłaniały bladą poświatę księżyca.

Nocne odgłosy dżungli rozbrzmiewały echem w wilgotnym powietrzu. Sowa pohukiwała głośno. Valmur wspinał się po drzewach i przeskakiwał z konaru na konar. Szelesty i drżenie gałęzi i krzaków świadczyły o niewidzialnej aktywności mrowia nocnych stworzeń.

Mniej więcej półtora kilometra od obozowiska Verminów wstrzymałam marsz. Gdy Chestnut oparł czoło o pień drzewa, poczułam na skórze muśnięcie magicznej energii.

– W pobliżu jest tylko jeden wąż – oznajmił. – Czeka, aż trzech mężczyźni na drzewach wpadną w jego pułapkę. Wężę boa nie są aktywnymi łowcami. Wołają leżeć nieruchomo i czekać, wykorzystując element zaskoczenia. – Popatrzył na mnie. – A ja nie chcę ich nauczyć, jak mają polować na ludzi.

– Słuszna uwaga – stwierdził Księżycowy Człowiek.

– I co teraz? – spytał Leif.

– Właśnie się nad tym zastanawiam – odrzekłam.

– Więc się pośpiesz.

Jeden wąż nie wystarczy, pora więc skorzystać z propozycji Perl. Wręczyłam każdemu dwie kapsułki i szpilkę.

– Podejdźcie do strażników najbliżej, jak zdołacie. Potem zróbcie w kapsułce małą dziurkę i tryśnijcie płynem obok nich. Tylko nie wylejcie go na siebie – poleciłam.

– Dlaczego?

– Ponieważ przywabcie węża boa, który będzie usiłował z wami spółkować.

– O rany, Yeleno! Tak się cieszę, że do nas wróciłaś – burknął Leif. – Dobrze wiedzieć, że nasza matka pożytecznie spędza czas.

– Sądziłem, że produkuje perfumy – odezwał się Księżycowy Człowiek.

– Wszystko zależy od punktu widzenia – powiedział Chestnut. – Dla samca boa to najcudowniejsze perfumy.

– Verminowie wystawili sześciu wartowników. Księżycowy Człowiek, Leif i ja spryskamy po dwóch. – Zdjęłam plecak i ukryłam go za drzewem. – Chestnut, ty zostaniesz tutaj. Kiedy zjawią się węże, czy zdołasz je powstrzymać, żeby nas nie zaatakowały?

– Spróbuję. Mają doskonały węch, więc kiedy już spryskacie strażników, dobrze się oczyśćcie.

– A co z tymi na drzewach? – spytał Leif.

– Musimy ich niepostrzeżenie zestrzelić.

Brat coś mamrotał, gdy zaczęliśmy się podkradać do warty Verminów. Zajmowaliśmy pozycje, a Chestnut został, by przywołać drapieżne gady. Kiedy zgodnie z naszym planem powstanie zamieszanie i strażnicy będą zajęci opędzaniem się od podnieconych węży, Leif i Księżycowy Człowiek dołączą do Marroka i Tauna i zaczekają na mój sygnał, a ja wyśledzę Daviianów w obozie.

Popęzłam przez konary drzew, wypatrując strażników. Zerwałam mentalną łączność z nietoperzami i wysłałam świadomość na poszukiwanie Verminów.

Wiedziałam, że za zewnętrzną linią warty w obozie znajduje się sześcioro ludzi – trzech Daviianów i trzech członków klanu Zaltana –

jednak nie potrafiłam ich wykryć za pomocą magii, co oznaczało, że utworzono tarczę neutralizującą. Zatem co najmniej jeden z Verminów jest warperem i być może właśnie odprawia kolejny etap rytuału kirakawy, podczas gdy my skradamy się w ciemnościach. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że odgłosy dżungli ucichły.

Moje serce waliło szybko, a żołądek ścisnął skurcz lęku. Wyczułam nad głową czyjąś obecność i wniknęłam w umysł mężczyzny przykucniętego na niższej gałęzi drzewa. Był zaniepokojony oznakami zbliżania się nieznanych intruzów, ale nie wykrył mnie. Przekłułam dziurkę w kapsule i spryskałam pień drzewa, a potem oddaliłam się bezszelestnie.

Pięć minut później odnalazłam strażniczkę. Również mnie nie dostrzegła, więc trysnęłam na krzaki blisko niej perfumami. Miałam nadzieję, że się o nie otrze.

Wycofując się, potknęłam się o gruby korzeń i upadłam. Odwróciłam się na plecy i zobaczyłam wycelowaną we mnie strzałę.

– Nie ruszaj się! – krzyknęła strażniczka, mocno dzierżąc łuk. – Ręce do góry.

Uniosłam ręce, przeklinając w duchu swoją nieostrożność oraz fakt, że nie nawiązałam ponownie mentalnej łączności z nietoperzami. Gdybym patrzyła przez ich oczy, nigdy nie zawadziłabym o korzeń.

Zawołała drugiego strażnika, a potem poleciła mi:

– Wstań powoli i zostaw broń.

Mój kij leżał na ziemi poza zasięgiem ręki. Strażniczka podeszła bliżej i przyjrzała mi się w półmroku, po czym powiedziała z westchnieniem:

– Poszukiwaczka Dusz.

Gdy cięciwa brzęknęła, przeturlałam się w bok i chwyciłam kij. Strzała wbiła się w ziemię. Poderwałam się i szeroko zamachnęłam się kijem, podcinając strażniczce nogi. Upadła z głośnym przekleństwem. Spozrzegłam ciemny zarys sylwetki jej towarzysza, który biegł w naszą stronę.

Usłyszałam szelest, jakby ktoś przeciągał sznur przez drewniany pierścień. Ten hałas narastał i dochodził zewsząd. Wszyscy troje znieruchomieliśmy i zapominając o walce, usiłowaliśmy zlokalizować źródło osobliwego dźwięku.

Tuż obok moich nóg prześliznął się wąż boa, po czym z zadziwiającą prędkością owinał się wokół strażniczki. Moje wyobrażenia o tym, że węże poruszają się powoli, okazały się całkowicie błędne.

Strażnik spanikował i rzucił się do ucieczki, lecz drugi wąż błyskawicznie popełznął za nim. W piersi czułam vibracje ruchu ciał gadów i dźwięku bębna Chestnuta.

Wniknęłam do jego umysłu, by sprawdzić, jak sobie radzi. Utrzymał gady z dala od nas, ale nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła nad nimi zapanować.

– Lepiej się pośpieszcie – powiedział.

– Dobrze. – Przeniosłam świadomość do umysłu Księżycowego Człowieka. On i Leif skropili perfumami pozostałych czterech strażników i teraz razem z Marrokiem i Taunem czekali na mój sygnał.

Pobiegłam w stronę obozu, omijając węże i przerażonych strażników, i przebiłam się przez tarczę neutralizującą. Zachwiałam się, gdy zalały mnie fale rozmaitych myśli i emocji. Powietrze przenikały

magiczna energia i strach. Panika gnała mnie naprzód, ale zmusiłam się, by zwolnić.

Gdy dotarłam na skraj obozu Verminów, zgroza ścięła mi krew w żyłach. Trzej mężczyźni właśnie wyjęli żołądek jednemu z ludzi leżących bezwładnie na ziemi. Gdy mnie spostrzegli, zamarli, gapiąc się z rozdziawionymi ustami. Niesiona emocją, rzuciłam się naprzód i wpadłam w środek obozowiska, wrzeszcząc na nich, żeby przestali.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez moment wpatrywaliśmy się w siebie, mrugając w oszołomieniu. Z rąk Verminów ściekała krew. Potem podjęli makabryczną czynność, nie zwracając na mnie uwagi. Zdumiona ruszyłam ku nim, unosząc kij, gdy nagle zadano mi z tyłu druzgocące uderzenie jakby rozpaloną do czerwoności żelazną patelnią.

Upadłam ciężko, wypuszczając z ręki kij. Oddychałam chrapliwie, plecy przeszywał mi palący ból. Przeturlałam się po ziemi, przekonana, że moje ubranie płonie. Dyszałam i rzucałam się rozpaczliwie, póki nie spostrzegłam, kto mnie zaatakował. Wówczas zamarłam ze zgrozy. Obozowe ognisko Verminów było teraz trzy razy większe niż poprzednio, a pośród ryczących płomieni stał jakiś mężczyzna.

Był osmalony od stóp do głowy, a małe ogniki pokrywały jego ciało niczym pióra. Wyszedł z płonących dREW i ruszył ku mnie. Przewyciężyłam paraliżujący bezwład i rzuciłam się w tył. Mężczyzna przystanął. Płomienisty sznur łączył go z ogniskiem.

– Zaskoczyłem cię, mały nietoperzyku? – zapytał. – Doliczyłaś się dziewięciorga tam, gdzie było dziesięcioro. Mały palący podstęp.

A więc wiedział, że moja duchowa świadomość szybowiała z nietoperzami. Ale kim on jest?

Rozejrzałam się po dżungli, szukając moich towarzyszy. Dostrzegłam Leifa i pozostałych na skraju polany. Mieli ręce uniesione do twarzy, jakby chronili się przed palącym ognistym wiatrem, i odwracali wzrok od płomienistego człowieka. Na ich ubraniach widniały plamy potu i smugi sadzy.

– Nie oczekuj od nich pomocy, nietoperzyku – powiedział. – Spłoną, jeśli podejną bliżej.

Spróbowałam wniknąć w jego umysł, lecz nie zdołałam pokonać mentalnych barier. A zatem był warperem o niewiarygodnie potężnej magicznej mocy. Przygnieciona poczuciem obezwładniającej bezradności, zerknęłam za siebie i spostrzegłam mój kij.

Płomienisty warper uczynił gest ręką i pomiędzy mną a kijem pojawiła się linia ognia. Zerwałam się na nogi. Żar przypalił mi brwi, w ustach poczułam palącą suchość i smak popiołu. Ściana gorącego powietrza pchnęła mnie tuż przed warpera, który nadal był połączony płonąącym sznurem z ogniskiem.

– Ogień cię pokona, nietoperzyku. Nie potrafisz go nazwać ani kontrolować.

Piekłam się, jakby nadziano mnie na rożen nad olbrzymim paleniskiem. Wysłałam duchową świadomość do dżungli, mając nadzieję, że znajdę jakąś pomoc, jednak napotkałam tylko przerażone myśli moich przyjaciół oraz zaciekawione węże.

Gdy już niemal straciłam przytomność, mężczyzna rozpostarł ręce i moją rozpaloną skórę pieszczotliwie musnął bąbel chłodnego powietrza. Ulga od potwornego żaru była tak upajająca, że aż się zachwiałam.

– Ujmij mnie za ręce – rzekł warper. – Nie spalę cię. Powędruj ze mną przez ogień.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Ponieważ należysz do mnie.

– To mnie nie przekonuje. Każdy mógłby tak powiedzieć.

– Potrzebuję cię, bym mógł dokończyć moje zadanie.

– Jakie?

Płomienie na jego ramionach zamigotały jakby z rozbawieniem. Roześmiał się.

– Sprytna próba. Przyjmij moją propozycję albo spalę na popiół ciebie i twoich przyjaciół.

– Nie.

Języki ognia zajaśniały na nim i skoczyły w górę. Wzruszył ramionami.

– Mniejsza z tym – rzekł i chłodna bańka zniknęła, a ja znów zaczęłam ciężko dyszeć. Potworny żar wypalał powietrze w moich płucach. – Muszę tylko poczekać, aż uśniesz, a wtedy cię wezmę.

Gardło miałam ściśnięte, wzrok się zamglił. Przemknęło mi przez głowę, że uśnięcie to miła nazwa uduszenia się. Było to dziwaczne spostrzeżenie, lecz nasunęło mi pewien pomysł.

Resztką sił wyjęłam z kieszeni kapsułę i zgmiotłam ją w rękę. Lepka ciecz rozlała mi się po dłoni i spłynęła wzdłuż ramienia. Nogi się pode mną ugięły, upadłam na kolana. Ostatnie, co zapamiętałam, zanim świat roztopił się od potwornego żaru, to widok pełzającego ku mnie zielonego cielska węża.

Ocknęłam się drżąca i ujrzałam nad sobą zatroskaną twarz Chestnuta, który wpatrywał się we mnie i wachlował wielkim liściem. W jego brązowych oczach widniało znużenie.

– Przypuszczam, że tylko ten wąż odejdzie głodny – powiedział.

– Co masz na myśli? – Skrzywiłam się, czując w gardle ostry ból.

Gdy spróbowałam się podnieść, zobaczyłam, że jesteśmy na konarze drzewa.

Chestnut pomógł mi usiąść.

– Gdybyś umarła, pozwoliłbym temu wężowi cię pożreć – wyjaśnił z uśmiechem.

– Przykro mi, że go rozczaruję.

– Nieważne. Może uda nam się nakarmić go jeszcze kilkoma Verminami – rzekł już bez uśmiechu.

Poderwałam się, przypomniawszy sobie ostatnie wydarzenia.

– Ognisty Warper! Mój ojciec i pozostali! Co się z nimi...

Chestnut uniósł rękę.

– Kiedy wąż cię dopadł i wciągnął między drzewa, twój ognisty prześladowca zdumiał się i stracił czujność, co wykorzystał Leif, który przebił się przez ścianę żaru i z pomocą Księżycowego Człowieka zgasił płomienisty sznur łączący warpera z ogniskiem. – Chestnut wzdrygnął się i odwrócił wzrok. – Wówczas warper zniknął. Reszta Verminów rzuciła się do ucieczki, a Księżycowy Człowiek, Tauno i Marrok ruszyli za nimi w pościg.

– A Leif?

– Jest na dole z waszym ojcem. – Zanim zdążyłam zapytać, dodał:
– Esauowi nic się nie stało, niestety Stono raczej nie doczeka świtu.

Nagła chęć działania dodała mi sił.

– Pomóż mi zejść – poprosiłam.

Ręce i nogi mi się trzęsły, gdy ześlizgiwałam się w dół, łamiąc gałęzie. Upadłam ciężko na ziemię, ale nie zatrzymałam się, póki nie dotarłam do Leifa. Siedział na trawie, trzymając na kolanach głowę leżącego bezwładnie Stona. Odwróciłam wzrok od straszliwej krwawej miazgi, w jaką zmienił się jego brzuch. Ojciec i drugi zwiadowca leżeli obok nieruchomo, wciąż jeszcze sparaliżowani kurarą. Nigdzie nie dostrzegłam pozostałych przyjaciół.

– Gdzie reszta? – spytałam.

– Jeszcze nie wrócili. – Chestnut usiadł obok Leifa i ujął rękę Stona.

– Przynajmniej nie czuje bólu – szepnął Leif. Na jego twarzy widniały smugi sadzy i brudu. W ubraniu miał wypalone dziury, śmierdział dymem i potem.

Uklękłam przy nim, dotknęłam dwoma palcami szyi rannego i wyczułam słaby puls. Stono jęknął, jego powieki zadrgały.

– Nie został sparaliżowany jak pozostali, aby można go było użyć do odprawienia rytuału kirakawy – powiedziałam

– Zdołasz go uratować? – zapytał Leif.

Stono był śmiertelnie ranny. Nigdy dotąd nie uleczyłam nikogo znajdującego się w takim stanie. Gdy zamordowano Tulę, zmiażdżono jej tchawicę. Udało mi się wyleczyć to obrażenie, lecz nie zdołałam „obudzić” Tuli, której skradziono duszę. Ale właściwie dlaczego mi się nie powiodło, skoro zdaniem Roze posiadam moc utworzenia armii wskrzeszonych trupów pozbawionych dusz?

– Yeleno! – Zniecierpliwiony głos Leifa przerwał moje rozmyślenia. – Możesz go uratować?

Czyli czy zdołam uratować siebie, gdy przejmę jego rany?
Zadrżałam, po czym odetchnęłam głęboko. Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Zamknęłam oczy, zaczerpnęłam ze źródła mocy i owinęłam sobie brzuch grubymi pasmami magicznej energii. Potem sięgnęłam myślą do Stona i zmusiłam się, by za pomocą magii zbadać rozdętą krwawą miazgę jego brzucha. Gdy skoncentrowałam się na ranach, zaczęły pulsować jaskrawą czerwienią.

Nagle serce Stona przestało bić, a jego dusza opuściła ciało. Instynktownie wciągnęłam ją w siebie wraz z powietrzem i umieściłam w bezpiecznym zakamarku mojego umysłu. Ignorując chaotyczne myśli Stona, skupiłam się na ranach. W moim brzuchu eksplodował potworny ból, jakby wbito mi we wnętrzości milion ostrych noży. Przycisnęłam dłonie do żołądka i zwinęłam się w kłębek. Krew spływała po moich rękach i ściekała na ziemię, tworząc małe kałuże. Powietrze przeniknął ostry odór płynów ustrojowych.

Walczyłam, by odepchnąć od siebie ból, ale przywarł do mnie i przeżerał sobie drogę wzdłuż kręgosłupa do serca. W uszach ogłuszająco rozbrzmiał głos Leifa. Brat czegoś ode mnie chciał. Zirytowana jego natarczywością, przez moment skupiłam na nim uwagę i poczułam, że jego energia wpływa do mojego ciała. Wspólnie powstrzymaliśmy dalszy postęp bólu, ale nie potrafiliśmy go pokonać. Było tylko kwestią czasu, zanim nasze siły osłabną i przegramy tę bitwę.

W moim umyśle zabrzmiał zrezygnowany głos Księżycowego Człowieka:

– Ani na chwilę nie mogę zostawić cię samej. Jak mogłaś uznać, że zdołasz w pojedynkę przeciwstawić się potędze rytuału kirakawy?

– Ja nie...

– Nie wiedziałaś? Nie pomyślałaś? Jakże to ma teraz znaczenie?

Błękitna energia Księżycowego Człowieka dołączyła do energii Leifa i wspólnymi siłami odegnaliśmy ból.

Położyłam dłoń na gładkim brzuchu Stono.

– Wracaj – poleciłam jego duszy. Przez moje ramię przebiegło w dół delikatne pulsujące mrowienie. Kiedy poczułam, że Stono odetchnął, cofnęłam rękę.

Byłam zbyt wyczerpana, by się poruszyć, i usnęłam tam, gdzie leżałam.

Jakiś czas później czyjaś ręka potrząsnęła mną i częściowo odzyskałam świadomość.

– Gdzie jest theobroma? – zapytał Leif.

Miałam wrażenie, że jego głos dobiega z oddali. Moje myśli brnęły mozolnie przez mgłę sennego otępienia.

– W torbie – wymamrotałam.

– Gdzie? – Znów mną potrząsnął. Odepchnęłam jego rękę, ale nie dał za wygraną, tylko powtórzył: – Gdzie?

– Plecak... W dżungli... Wąż.

– Ja pójdę – rzekł Chestnut.

Odgłos jego oddalających się kroków ukołysał mnie do snu.

Gdy się obudziłam, dławił mnie jakiś wstrętny płyn. Usiadłam

i kaszłąc, wyplułam go.

– Mimo to będziesz musiała wypić resztę. – Ojciec podał mi kubek.

– Co to jest? – Zielona ciecz cuchnęła jak woda bagienna.

– Ten napar przywróci ci siły. No, pij.

Skrzywiłam się i przytknęłam kubek do warg, lecz nie mogłam się zmusić do przełknięcia zawartości.

Esau westchnął. Długie do ramion włosy były zmierzwione, brudne i zlepione krwią. Znużenie sprawiło, że się przygarbił i wyglądał na znacznie więcej niż swoje pięćdziesiąt lat.

– Yeleno, chciałbym wrócić do domu – powiedział. – Twoja matka z pewnością odchodzi od zmysłów.

Miał rację. Krzywiąc się z obrzydzenia, wypłam napar o zjełczałym smaku. Gdy go przełykałam, spalił moje obolałe gardło, ale po kilku chwilach poczułam się całkowicie obudzona i pełna energii.

Słońce stało wysoko na niebie, a polana była pusta.

– Gdzie są wszyscy? – spytałam.

Esau odchrząknął.

– Powiem ci po drodze do domu. – Wstał.

Dostrzegłam swój plecak. Sprawdziłam zawartość, a potem zarzuciłam go na ramiona. Mój kij leżał na ziemi obok szerokiego placka wypalanej trawy. Podniosłam go i pogładziłam hebanowe drewno. Z zaskoczeniem i zadowoleniem skonstatowałam, że kij

w ogóle nie ucierpiał podczas tego zamętu. Sądziłam, że Ognisty Warper spalił go na kupkę popiołu.

Na myśl o Ognistym Warperze przebiegła mnie gorąca fala strachu. Nigdy dotąd nie spotkałam tak potężnego maga. Byłam kompletnie nieprzygotowana do stawienia mu czoła i nie przychodził mi do głowy nikt w Sycji, kto mógłby dorównać mu magiczną mocą. A w Iksji? Moje myśli pobiegły ku Valkowi. Czy wrodzona odporność na magię uchroniłaby go przed płomieniami Ognistego Warpera? A może spłonąłby w jego ogniu?

– Chodźmy, Yeleno – rzekł Esau.

Otrząsnęłam się z posępnych myśli i opuściłam polanę w ślad za ojcem. Szedł szybkim krokiem. Kiedy się z nim zrównałam, zapytałam, co się wydarzyło po tym, jak zasnęłam.

Sapnął z rozbawieniem.

– To znaczy po tym, jak zemdlałaś?

– Dopiero co ocalałam życie Stonowi. I tobie też.

Esau przystanął i objął mnie mocno.

– Wiem. Postąpiłaś słusznie.

Puścił mnie równie szybko, jak wziął w ramiona, i ruszył przez dżunglę. Pośpieszyłam za nim.

– Gdzie są pozostali? – spytałam.

– Przespałaś cały dzień. Postanowiliśmy, że Leif i Chestnut zabiorą Stona i Barkena do naszej osady. Obaj członkowie klanu Sandseed oraz Iksjanin jeszcze nie wrócili.

Zatrzymałam się.

– Mogli wpaść w jakieś kłopoty.

– Dwóch wojowników klanu Sandseed i świetny iksjański fechmistrz przeciwko trzem Daviianom? Wątpię.

– A jeśli ci trzej Daviianie dysponują kurarą?

– Ach, do diabła! – Esau splunął. – Żałuję, że w ogóle wynalazłem tę diabelską substancję! – Walnął pięściami w uda. – Miałem nadzieję, że do tej pory Daviianie już zużyją porcję kurary, którą skradli klanowi Sandseed.

– Uzyskałeś ten specyfik z jakiejś winorośli rosnącej w dżungli?

– Tak.

– Więc skąd Verminowie mogli się dowiedzieć, jak wytworzyć kurarę?

– I gdzie ją produkują? – Esau rozejrzał się wokoło. – Może w dżungli. Wytnę wszystkie pędy kurary i spalę na popiół.

Położyłam mu rękę ramieniu.

– Pamiętaj, dlaczego jej szukałeś. Ma mnóstwo korzystnych zastosowań. Obecnie musimy się zająć losem Księżycowego Człowieka i jego towarzyszy. Spróbuj się z nim skontaktować.

Zaczerpnęłam magiczną moc i wysłałam świadomość w dżunglę. Mój umysł napotkał rozmaite przejawy życia. W koronach drzew baraszkowały valmury, na gałęziach siedziały ptaki, a inne małe stworzenia przemykały przez poszycie. Jednak nie udało mi się natrafić

na wyważone myśli Księżycowego Człowieka.

Czyżby Verminowie pojмали go i ukryli za tarczą neutralizującą? A może nie żyje? Spróbowałam odszukać Tauna i Marroka, lecz również bez powodzenia.

– Wróćmy do domu – powiedział ojciec. – Tam wymyślimy jakiś sposób, by ich odnaleźć. Wszystkich, także tego Vermina produkującego kurarę.

To mi przypomniało o innych strażnikach, których spryskaliśmy węzowymi perfumami.

– Możemy wypytać pojmanyh daviiańskich jeńców. Czy są w naszej wiosce?

Esau z zakłopotaniem skubnął skraj poplamionej tuniki, jakby rozważał, w jaki sposób ma mi przekazać niemiłą wiadomość.

– Ten boa, który cię porwał, bardzo się rozeźlił, gdy dotarło do niego, że nie jesteś samicą węża, więc Chestnut musiał popracować z całą mocą, by uchronić cię przed pożarciem.

– A to znaczy? – ponagliłam go, gdy zamilkł.

– Że stracił kontrolę nad pozostałymi wężami.

– Więc strażnicy nie żyją?

– Niefortunny rozwój wypadków, ale ma też swoją dobrą stronę – rzekł Esau.

– Jaką?

– Cztery węże boa tak się najadły, że przez długi czas nie będą

niepokoić klanu Zaltana.

W niewielkim strumyku, który płynie pod naszą napowietrzną wioską, zmyłam zaschniętą krew i lepki brud. Nie chciałam niepokoić matki swym pożałowania godnym wyglądem, choć niewątpliwie ucieszy się, gdy ujrzy mnie bezpieczną i zdrową.

Wspinając się po sznurowej drabince, rozmyślałam o ostatnich wydarzeniach. Być może w dżungli pracuje grupa Daviianów Verminów, którzy zbierają winorośle i destylują kurarę. Nie miałam pojęcia, dokąd udali się Cahil i Ferde ani gdzie się podziiali moi przyjaciele, a na swobodzie przebywa Ognisty Warper, który może wyskoczyć z każdego ogniska w Sycji. W porównaniu z tym, co obecnie przeżywałam, moje życie w Iksji jako testerki szukającej trucizn w potrawach komendanta wydawało się miłymi wakacjami.

Dlaczego postanowiłam opuścić Iksję? Istotnym powodem ucieczki do Sycji był wyrok śmierci wydany na mnie za to, że jestem maginią. Poza tym pragnęłam poznać rodzinę, której nie pamiętałam, dopóki Księżycowy Człowiek nie odblokował moich wspomnień z dzieciństwa. Cóż, poznałam swoich rodziców, a wyrok śmierci unieważniono. Kusila mnie myśl o powrocie do Iksji i do Valka.

Dotarłam na szczyt drabinki i weszłam do niewielkiego pomieszczenia zbudowanego z gałęzi powiązanych lianami. Dowiedziałam się od strażnika, że ojciec jest już na górze i oczekuje mnie w swoim mieszkaniu.

Zmierzając tam, byłam pełna podziwu, z jaką maestrią i pomysłowością zbudowano ten olbrzymi kompleks mieszkalny, prawdziwą osadę usytuowaną wysoko na drzewach w dżungli. Członkowie klanu Zaltana byli przedsiębiorczy, stanowczy i uparci, czyli odznaczyli się tymi wszystkimi cechami, których posiadanie mi zarzucano.

Zastanawiałam się, czy moje wady-zalety wystarczą, bym mogła stawić czoło Ognistemu Warperowi. Czy zdobyłam wystarczająco dużo doświadczenia i magicznej wiedzy, by odnaleźć Księżycowego Człowieka, schwytać Ferdego i powstrzymać Verminów przed kolejnymi zabójstwami?

Ten przytłaczający ogrom przyszłych zadań nie powstrzyma mnie przed podejmowaniem prób i narażaniem życia. Ale ilu jeszcze ludzi na tej drodze ucierpi lub zginie z mojego powodu?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nie dotarłam jednak do apartamentu rodziców, gdyż po drodze zatrzymała mnie Nutty i przekazała wiadomość, którą miałam zanieść do sali zebrań. Na widok mojego podartego i poplamionego stroju cmoknęła z niesmakiem.

– Mam w plecaku ubranie na zmianę – zapewniłam ją.

– Więc je obejrzymy. – Wyczekująco wyciągnęła długie szczupłe ręce.

Wiedziałam, że nie ma sensu się z nią spierać. Otworzyłam plecak i pokazałam jej drugi komplet odzieży: spódnicospodnie i bawełnianą bluzkę, które kiedyś dla mnie uszyła. Miałam wrażenie, że od tamtego czasu minęła wieczność, lecz w rzeczywistości upłynęły tylko dwie pory roku.

Nutty przyjrzała się ubraniom, wydymając pełne wargi.

– Będziesz potrzebowała kilku nowych strojów. Uszyję ci je. – Skinęła mi głową na pożegnanie i wskoczyła na konar drzewa ze zwinnością i gracją valmura, pogardliwie ignorując wygodny sznurowy mostek. – Och, na jad węża! – zawołała z góry. – Zapomniałam, że miałam sprowadzić wuja Esaua i ciocię Perl. – Zmieniła kierunek i zniknęła między gałęziami.

Zjawiłam się w świetlicy. Oran, Violet, Chestnut i dwaj zwiadowcy stali zbici w gromadkę. Gdy spostrzegłam, że w centralnie usytuowanym palenisku nie płonie ogień, poczułam olbrzymią ulgę, która mnie jednak zaniepokoiła. Jeśli boję się zwykłego domowego ognia, co będzie, gdy znów stanę twarzą w twarz z Ognistym Warperem? Odsunęłam od siebie tę kłopotliwą myśl i skupiłam się na aktualnych problemach.

Kiedy Stono mnie zobaczył, usiadł i zbladł tak okropnie, jakby miał zaraz zemdleć. Wymamrotał podziękowanie ze wzrokiem wbitym w podłogę, unikając mojego spojrzenia. Oran i Violet dalej wypytywali Chestnuta o węże boa.

On zaś jąkał się i wiercił zakłopotany.

– Chciałem tylko pomóc – tłumaczył się.

– Nie udzieliliśmy ci pozwolenia – rzekł surowo Oran. – A ilu ludzi przez ciebie zginęło?

– Sześcioro – odpowiedział cicho Chestnut.

– I bardzo dobrze zrobiłeś, Chessie – poparł go Stono. – Szkoda, że nie zabiłeś wszystkich. Trzeba było wyrwać im flaki i powiesić ich na nich. – W oczach zwiadowcy zamigotał morderczy błysk.

Starsi klanu podeszli do niego z zaszokowanymi minami. Pierwsza opanowała się Violet.

– Stono, przeżyłeś ciężkie chwile – powiedziała. – Idź trochę odpocząć.

Stanął na trzęsących się nogach i zrobił niepewnie kilka kroków, ale zatrzymał się przy mnie.

– Jeśli chcesz, zabiję tego węża, który próbował cię pożreć – szepnął mi do ucha. – Zabiję dla ciebie, kogo zechcesz, tylko mi powiedz.

Odwróciłam się do niego, żeby zaprotestować, ale już odszedł.

– Co on ci powiedział? – zapytał Oran.

No właśnie, co? Zapropował, że zemści się na wężu, czy też coś bardziej kłopotliwego?

– Powiedział, że chciałby mi pomóc.

– Nie wolno mu nic robić bez naszego zezwolenia – oznajmił Oran, dumnie wypinając pierś. – Nie możesz wykorzystywać członków naszego klanu jako swej prywatnej armii. Źle postąpiłaś, wciągając Chestnutę w niebezpieczną ekspedycję i narażając go na śmierć.

Miałam już serdecznie dość Orana Cinchony Zaltany. Podeszłam do niego i powiedziałam:

– Ale nie zginął. Gdybyśmy czekali na wasze pozwolenie, stracilibyśmy trzech członków klanu. I na waszym miejscu nie debatowałabym zbyt długo nad tym, jak zamierzacie odszukać Verminów, którzy najpewniej przebywają w waszej dżungli. Jeśli będziecie zwlekać, z pewnością zjawi się ich więcej.

– O czym ty mówisz? – rzuciła Violet.

W tym momencie dołączyli do nas Esau i Perl. Gdy usłyszeli moje ostrzeżenie, matka przycisnęła dłoń do piersi, a ojciec jeszcze bardziej spochmurniał.

– Ojczy, czy mógłbyś poinformować starszych klanu o tym, co nam zagraża? – poprosiłam. – Ja muszę się zająć innymi sprawami.

– Dokąd idziesz? – spytała Perl.

– Odszukać moich przyjaciół.

Znalazłam Leifa w apartamencie rodziców. Spał twardo na kanapie w salonie. Uświadomiłam sobie, że nawet nie wiem, czy ma własne

mieszkanie w osadzie Zaltana. Esau wyburzył ścianę pokoju Leifa, żeby powiększyć swoją pracownię. Nie chcąc obudzić brata, przeszłam obok niego na palcach do mojego pokoju. Wkrótce zajdzie słońce, a ja chciałam polecieć z nietoperzami.

Położyłam się na wąskim łóżku i poczułam, że ogarnia mnie senność. Aby ją zwalczyć, pomyślałam o Księżycowym Człowieku. O tym, że pomógł mnie i Leifowi wyleczyć śmiertelne rany Stona. Być może ten wysiłek wyczerpał go tak bardzo, że nie mógł odpowiedzieć na moje wezwanie.

Gdy zaczęło zmierzchać, zaczerpnęłam energię ze źródła magicznej mocy i wysłałam mój umysł do dżungli. Odnalazłam zbiorową świadomość nietoperzy i dołączyłam do nocnych poszukiwań pożywienia.

Przenosiłam się od jednego nietoperza do drugiego i za pomocą ich zmysłów wyczuwałam przestrzeń. Szybowałam, wypatrując ognisk lub innych śladów obecności ludzi, i czułam, że słońce zachodzi za horyzont. Zastanawiałam się, w jaki sposób nietoperze rozpoznają rozmiary i kształty, skoro nie widzą. Czy mogłabym nauczyć się tej umiejętności? Dzięki magicznym zdolnościom potrafiłam wyczuwać żywe istoty, ale nie martwe przedmioty.

Nietoperze penetrowały każdy leśny zakątek. Rozciągająca się u podnóża płaskowyżu Daviian dżungla nie była zbyt rozległa. Piechur przemierzyłby ją w dwa dni forsownego marszu. Przy zachodnim krańcu znajdował się Targ Illiais. Kilka nietoperzy zapuściło się w pobliże ognisk targu, ale unikały zapyłonego powietrza i hałaśliwych tłumów.

Wycofałam moją świadomość. Nie znalazłam w dżungli żadnych śladów Księżycowego Człowieka ani jego towarzyszy, więc zdecydowałam, że Leif i ja wybierzemy się jutro na Targ Illiais. Jeszcze na płaskowyżu ustaliliśmy, że właśnie tam się spotkamy. Jeżeli Księżycowy Człowiek, podążając za Verminami, opuścił dżunglę,

w końcu zacznie nas tam szukać. A przynajmniej miałam taką nadzieję.

Gdy obudziłam się następnego ranka w mieszkaniu rodziców, ujrzałam grupkę osób pogrążonych w ożywionej rozmowie.

– Teraz wypada twoja kolej. Ostatnim razem ja przyprowadziłam wóz pełen wielkich pomarańcz – powiedziała Nutty do Chestnuta. – Widzisz? – Uniosła prawą dłoń. – Wciąż jeszcze mam pęcherze od ładowania.

– Nie dam się nabrać. Tych pęcherzy nabawiłaś się od szycia przez całą noc ubrań, które masz dostarczyć Fern – odparł Chestnut. – Teraz ty powinnaś pojechać na targ.

– Esau, nie zdołasz zebrać wszystkich pnączy kurary. To by trwało wiele lat – powiedziała Perl. – I co z Verminami? Jeśli znowu cię schwytają... – Przycisnęła dłoń do piersi, jakby chciała powstrzymać lęk wzbierający w jej sercu.

– Tym się nie martwię – oświadczył ojciec. – Natomiast niepokoi mnie, do czego mogą użyć kurary!

– Jej działanie można zneutralizować theobromą – odezwał się Leif. – Musimy tylko dopilnować, żeby każdy miał ją przy sobie.

– To nie moja kolej – rzuciła Nutty.

– Moja też nie – zripostował Chestnut.

– Yeleno! – zawołała Nutty, widząc, że się obudziłam. – Uszyłam dla ciebie następną parę spódnicospodni. – Uniosła strój z jasnobłękitno-zielonym wzorem.

– Dzięki – odparłam. – Nie musisz jechać na targ, Nutty, sama dostarczę twoje ubrania. A ty, Leif, pamiętaj, że theobroma wprowadzie

pozwała odzyskać zdolność poruszania się, ale czyni bezbronnym wobec ataku za pomocą magii. Ojczy, czy mógłbyś coś wymyślić, by theobroma niwelowała wpływ kurary bez efektów ubocznych? To byłoby bardziej pomocne niż wyrywanie wszystkich pnączy. Poza tym nie znalazłam żadnych śladów, które dowodzą, że Verminowie zbierają pnącza kurary. Niemniej uważam, że powinno się co jakiś czas wysyłać zwiadowców, by przeszukiwali dżunglę.

– Mamy wśród nas Yelenę, więc możemy się już niczym nie martwić – zakpił Leif.

– Łatwiej przyjdzie mi rozwiązać kwestię theobromy, niż przekonać Orana i Violet do wysyłania na rekonesanse oddziałów zwiadowców – stwierdził Esau. – Marzą tylko o tym, byśmy przycupnęli w osadzie jak myszy pod miotłą.

– Poradzę sobie ze starszymi klanu – stanowczym tonem oznajmiła Perl, a potem odwróciła się do mnie. – Już nas opuszczasz?

– Musimy spotkać się w umówionym miejscu z naszymi towarzyszami i końmi – wyjaśniłam.

– Czy już dotarli na targ? – spytał Leif z nadzieją w głosie.

– Jest tam za duży tłok, żebym mogła to ustalić. W każdym razie i tak musimy poszukać śladów Ferdego i Cahila. – Mogli być gdziekolwiek i pławić się w potwornych czynach. Zadrżałam na wspomnienie zmasakrowanego brzucha Stona.

– Przed odejściem musicie zjeść śniadanie. – Perl pośpieszyła do kuchni.

– Pójdę przynieść ubrania. – Nutty również wyszła z salonu.

– A ja spakuję plecak – rzekł Leif, po czym dodał z uśmiechem: –

Przy tobie, siostrzyczko, nie sposób się nudzić.

– Czego będziesz potrzebowała? – zapytał mnie Esau.

– Skończył mi się zapas theobromy i kurary.

Ojciec wszedł do windy i wjechał na piętro. Chestnut rozejrzał się po nagle opustoszałym pokoju. Wiercił się zakłopotany, unikając mego wzroku. Było oczywiste, że chce porozmawiać o czymś innym niż to, czyja wypada kolej pojechania na targ.

– Teraz jest odpowiednia pora – powiedziałam. – Za chwilę wszyscy wrócą i...

– Nie potrafię... – Uniósł ręce, jakby chciał ściągnąć swoje myśli szybujące w powietrzu. – Nie umiem sobie z tym poradzić... – Objął się ramionami i zakołysał się z frustracją. – Jak możesz być tak spokojna? Stoisz tutaj, obmyślasz plany, wydajesz rozkazy. Zginęło sześcioro ludzi. Stono wrócił ze świata umarłych odmieniony...

– Jak to odmieniony?

– Pewnie to nic takiego, po prostu przeżył szok, ale zachowuje się bardziej twardo i szorstko. – Potrząsnął głową. – Nie o to chodzi. Rzecz w tym, że sześcioro ludzi zostało zabitych przez węże boa.

Wreszcie pojęłam, co go dręczy.

– Nigdy dotąd nie nasłałeś węży na ludzi? Nie pomogłeś w tym, by uśmierciły wrogów?

– Nigdy. Wiem, że to nie jest straszna śmierć. Przynajmniej ofiara umiera, zanim zostanie połknięta. Chciałem... zawsze mnie ciekawiło...

– Wzdrygnął się z poczucia winy.

– Chciałeś zobaczyć, jak wąż pożera ofiarę, a teraz czujesz się winy, bo nie powstrzymałeś tych węży?

– Tak...

– Pomyśl, co by się stało, gdyby węże oszczędziły Verminów.

– Zginęlibyście ty i Stono.

– Mnie też nie uszczęśliwia śmierć sześciorga ludzi, ale zważywszy na okoliczności, potrafię ją sobie zracjonalizować. – Dopóki za dużo o tym nie myślę, dodałam w duchu. – Pytasz, jak mogę być taka spokojna. Otóż nie mam czasu na żalobę. Chciałabym móc przeżyć głęboko żal i smutek i dopiero potem pójść dalej, ale to nie zapewniłoby nam sukcesu.

– A sukces jest najważniejszy, prawda, Yeleno? – rzekł Leif, wchodząc do pokoju. – Jedną z najważniejszych nauk, jaką pobrałem od pierwszej magini, gdy przybyłem do Twierdzy Magów, było to, żebym porzucił wszelkie sentymenty. Roze wierzy, że otrzymała dar magii po to, by został wykorzystany w pewnym celu, więc nie pozwala, żeby poczucie winy i wyrzuty sumienia jej w tym przeszkodziły. – Leif w zadumie potarł policzek. – Jesteś do niej bardzo podobna, Yeleno.

– Wcale nie! – zaprzeczyłam żywo.

– To był komplement. Roze i ty odznaczacie się wybitną inteligencją. Uwielbiasz działać i jesteś urodzoną przywódczynią.

Nie mogłam się z tym zgodzić. Nie zachowuję się jak pierwsza magini. Przecież Roze jest despotką. Myśli, że wie wszystko najlepiej i nie zadaje sobie trudu, by rozważyć alternatywne rozwiązania lub przeanalizować poglądy innych ludzi. Ja taka nie jestem. Absolutnie nie! A może jednak...?

– Chociaż Roze ma zły charakter – mówił dalej Leif. – Pomyliła się co do kierunku, w jakim udali się Ferde i Cahil, i to ją rozszło.

– Z tym się zgadzam – oświadczyłam.

– Z czym się zgadzasz? – spytał Esau, wracając z naręczem pojemników.

Zjawiła się Nutty ze stertą ubrań, potem wróciła Perl, niosąc tacę z owocami i herbatą. Zanim zjedliśmy śniadanie, minął ranek.

– Lepiej już ruszajmy, bo nie dotrzemy na targ przed zmrokiem – powiedział Leif.

– Yeleno, musisz wrócić i wreszcie pobyc z nami dłużej – rzekła matka. – Kiedy twoje życie wreszcie się uspokoi. – Zadumała się na moment. – Ale to chyba jeszcze nieprędko.

– Czy wiesz to dzięki swoim magicznym zdolnościom? – spytałam.

– Nie, kochanie, na podstawie znajomości twoich dotychczasowych losów. – Uśmiechnęła się, lecz zaraz przybrała swą zwykłą surową minę i upomniała mnie, żebym była ostrożna.

Leif i ja zarzuciliśmy na ramiona plecaki i zeszliśmy po drabince do dżungli. Brat ruszył energicznym krokiem, a ja pośpieszyłam za nim. Kiedy wreszcie zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek, cisnęłam plecak na ziemię i roztarłam obolałe plecy. Pomyślałam ze współczuciem, że już rozumiem, co muszą znosić juczne konie... Kiki!

– Leif, czy ten trakt pozostanie tak szeroki aż do targu?

– Tak, o ile ostatnio nie zatarasowały go zwalone drzewa. Klan Zaltana stale go oczyszcza, dbamy... Ale dlaczego pytasz?

– Chodzi mi o konie.

Uderzył się dłonią w czoło, a ja wysłałam świadomość na poszukiwanie Kiki.

Klacz ukrywała się wraz z Garnetem i Rusałką w lesie na zachód od targu.

– Późno – powiedziała w moim umyśle. – Brudno. Głodna.

– Możecie spotkać się z nami na trakcie w dżungli? Wtedy szybciej dotrzemy na targ i szybciej was oporządzimy.

Kiki się zgodziła. Przez jakiś czas Leif i ja maszerowaliśmy w milczeniu. Gdy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, brzęczenie owadów stało się głośniejsze.

– Wciąż zapominam, że potrafisz porozumiewać się z końmi – odezwał się Leif. – Pewnie jesteś pierwszą osobą w dziejach Sycji, która posiada tę umiejętność.

– Tak sądzisz?

– Wszyscy studenci w Twierdzy Magów muszą się uczyć o dawnych magach i ich talentach, ale tylko mistrz Bloodgood będzie to wiedział na pewno.

Bain Bloodgood, drugi mag, był żywym podręcznikiem historii. Lista pytań, które chciałam mu zadać, wydłużała się z każdym dniem. Musiałam się jeszcze tak wiele nauczyć o magii i historii Sycji. Ten ogrom wiedzy, którą będę musiała sobie przyswoić, przytłaczał mnie, a zarazem dobitnie uświadamiał, jak bardzo jestem jeszcze niedoświadczona i nieprzygotowana do czekających mnie wyzwań.

I skąd wziął się we mnie talent Poszukiwaczki Dusz? Żadne z moich rodziców nie posiadało wystarczających zdolności magicznych, by dostać się na studia do Twierdzy Magów, a zatem nie odziedziczyłam tego po nich. Czyżby to był zwykły ślepy traf?

Leif przerwał moje rozmyślania, gdy spytał:

– Czy znasz kogoś jeszcze, kto potrafi rozmawiać z końmi?

– Koniuszy twierdzi, że wyczuwa nastroje i zamiary koni, ale nie słyszy w umyśle ich słów. Kiedy zaś wspomniałam mu o tej mojej zdolności, popatrzył na mnie tak, jakby mi wyrosły skrzydła.

– A w Iksji?

Zamyśliłam się. Kiedy przed ponad szesnastu laty komendant przejął władzę, rozkazał Valkowi, szefowi ochrony, by wymordował wszystkich magów, a jeśli u któregoś z mieszkańców odkryto zdolności magiczne – zwykle ujawniały się w okresie dojrzewania – Valek zabijał taką osobę, o ile wcześniej nie zbiegła do Sycji. Po jakimś czasie w Iksji nie było już w ogóle magów. Chyba że był nim Porter, główny psiarz komendanta, który miał niezwykły dryg do psów i nie potrzebował smyczy ani gwizdka, żeby go słuchały.

– Myślę, że jest tam jeden taki człowiek, jednak nigdy się do tego nie przyzna, gdyż ściągnąłby na siebie wyrok śmierci.

– Może powinniśmy przeszmułować go do Sycji?

– Wątpię, czy chciałby tu przyjechać.

– Dlaczego? – spytał zdumiony.

– Wytlumaczę ci to później. – Obecnie nie miałam siły zaznajamiać Leifa z polityką komendanta. Mój brat wychował się

w Sycji, uważał więc Iksję za koszmarnie miejsce. Sądził, że jej mieszkańcy, zmuszeni do przestrzegania surowego Regulaminu Postępowania, noszenia mundurów i uzyskiwania zezwoleń władz na ślub czy przeprowadzkę, są bardzo nieszczęśliwi. Cóż, znałam ten kraj i miałam odmienne zdanie. Wprawdzie Iksja nie jest doskonałym państwem, ale życie w niej ma swoje zalety. Dla mnie jedną z nich był Valek.

Brakowało mi jego codziennej obecności, dyskusji o truciznach i taktykach walki. Tęskniłam do tej bratniej duszy, do człowieka, który zawsze wcześniej ode mnie wiedział, czego potrzebuję. Westchnęłam. Lepiej posiadać odporność na magię, tak jak Valek, niż być przerażoną Poszukiwaczką Dusz, kompletnie bezradną wobec potęgi Ognistego Warpera.

Wydaje się, że ostatnimi czasy komendant nieco złagodził swój stosunek do magii, choć nadal uważał, że magia oznacza chaos, który stwarza pole dla wszelkich nieprawości. Cóż, mogłabym z tą opinią ostro polemizować, wszystko jednak zależy od tego, z której strony na to spojrzeć. Przecież to, co zrobili Verminowie, by powiększyć swą magiczną moc, było potworniejsze od wszystkich zbrodni, które obserwowałam w Iksji.

– Leif, co sądzisz o Ognistym Warperze? – spytałam, jako że od potyczki w dżungli nie miałam czasu, by omówić z bratem tę kwestię. – Czy kiedyś już widziałeś, by jakiś mag wyszedł z ognia?

– Nie. Roze Featherstone potrafi wzniecić magią olbrzymi ogień, który pochłania całe domy, ale sama by spłonęła, gdyby zbyt blisko podeszła. Odkąd do nas wróciłaś, widziałem wszelkie najdziwniejsze rodzaje magii. Wydobywasz z ludzi to, co w nich najlepsze i najgorsze – spróbował zażartować.

Lecz jakoś wcale mnie nie rozbawił.

– Verminowie używają pradawnych magicznych rytuałów. Wiesz coś o nich?

– Potęga snujących opowieść z klanu Sandseed jest wręcz legendarna. Dawniej nazywano ich wojownikami ludu Efe. Dotąd sądziłem, że opowieści o nich są przesadzone. – Zamilkł na chwilę. – Dwa tysiące lat temu, na długo przed zjednoczeniem sycjańskich klanów, plemię Efe panowało nad wszystkimi pozostałymi. Efeńczycy posługiwali się krwawą magią, nikt nie mógł dorównać im potęgą. Podbite klany dawały im wszystko, czego tylko zażądali – żywność, złoto, ofiary z ludzi – byle tylko zaspokoić ich chciwość i uniknąć represji. Aż wreszcie wśród władców ludu Efe nastąpiły spory i wybuchła wojna domowa. Doszło do walnej bitwy, w trakcie której zrównano z ziemią góry Daviian.

– Góry?

– Obecnie jest to płaskowyż.

– O rety!

– No właśnie. Po zakończeniu wojny nowy przywódca, Guyan, objął władzę nad niedobitkami ludu Efe. Ogłosił, że założy nowe plemię na piaskach, które powstały po zniszczeniu gór. Przyjęło nazwę Sandseed, a jego magów po jakimś czasie nazwano snującymi opowieść.

Leifowi przerwał tętent. Z radością znów ujrzałam pysk Kiki, chociaż w niebieskich oczach klaczy widniało znużenie, a miedzianej barwy sierść była ubłocona. Garnet i Rusałka nie wyglądały lepiej.

Leif i ja nakarmiliśmy i napoiiliśmy konie. Chciałam je oporządzić, ale brat mocno nalegał, żebyśmy najpierw dotarli na targ.

– W nocy w lesie wychodzi na łowy wiele drapieżników – powiedział. – Zapach koni zwabi wszystkie lamparty.

– Targ niedaleko – odezwała się w mojej głowie Kiki. – Dżungla pachnie... dziwnie.

Dosiedliśmy wierzchowców i pogalopowaliśmy w kierunku targu. Będąc z nami, konie nie musiały się kryć, i o zachodzie słońca wyszczotkowaliśmy je w pobliżu obozowego ogniska klanu Zaltana, za straganami. Wiele klanów urządziło stałe miejsca pobytu dla swoich członków, którzy przybywają tutaj, by sprzedawać lub nabywać towary.

Targ Illiais zamyka się dopiero późnym wieczorem. Po zapadnięciu zmroku handlowano przy świetle licznych pochodni, chociaż tłum klientów spierających się, targujących i kupujących nieco się przerzedził.

Kiedy oporzędziliśmy konie, przeszłam się między straganami z bambusów o dachach krytych słomą. Większość kupców spuściła żaluzje, chroniąc się przed zimnym nocnym wiatrem. Poprzednim razem odwiedziłam targ w gorącej porze roku i wtedy wszystkie zrobione z bambusa żaluzje były podniesione dla chłodnego przewiewu.

Omiotłam wzrokiem tłum kłębiący się na targu, szukając Księżycowego Człowieka. Zagadnęłam kilka osób, pytając, czy widzieli moich przyjaciół. Jeden ze straganiarzy przypomniał sobie, że parę dni temu zauważył kilku mężczyzn biegnących przez targ, ale nie potrafił ich opisać.

Rozigrana wyobraźnia natychmiast podsunęła mi obraz Księżycowego Człowieka, Tauna i Marroka ciśniętych na ziemię i oczekujących bezradnie na krwawy rytuał kirakawy. Jeżeli zostali ukryci za tarczą neutralizującą, nie zdołam ich odnaleźć, a każda minuta zwłoki działała na korzyść Cahila i Ferdego.

Musiałam skupić się na aktualnym zadaniu. Aby uspokoić nerwy, głęboko odetchnęłam pełnym różnych woni powietrzem. Zapach

egzotycznych przypraw sprzedawanych przez kupców z klanu Greenblade mieszał się z wonią pieczonego mięsiwa. W brzuchu zaburczało mi z głodu, uznałam jednak, że zanim rzucę się na jedzenie, najpierw dostarczę paczkę ubrań.

Fern, drobna kramarka, na mój widok westchnęła z ulgą.

– Już myślałam, że Nutty nie zdąży ich uszyć na czas – radośnie powiedziała zza stołu, na którym piętrzyły się bele materiałów.

– Sądziłam, że handlujesz tylko tkaninami.

– Rozszerzam działalność. Kunszt krawiecki Nutty zdobywa coraz większy rozgłos.

– To dobrze czy źle?

– Jedno i drugie – odparła Fern. – Kilka kobiet z klanu Greenblade ma już dość zielonych tunik oraz legginsów i zapragnęły barwniejszych strojów. Kupują wszystkie uszyte przez Nutty bluzki, sukienki i spódnicospodnie. Dostarczam jej materiały i dzielimy się zyskami. Jednak starszyźnie klanu Greenblade nie podoba się takie łamanie tradycji.

Ponieważ klan Greenblade zamieszkuje lasy, więc nosi ubiory w leśnych kolorach. Spojrzałam wokół i zauważyłam kilka kobiet w uszytych przez Nutty kreacjach z bawełny w jaskrawych barwach. Dotychczas sądziłam, że pochodzą z klanu Zaltana, lecz gdy dokładniej im się przyjrzałam, dostrzegłam, że mają jaśniejszą cerę o klonowej barwie, typową dla klanu Greenblade.

W Iksji rozpoznawałam mieszkańców różnych Dystryktów Wojskowych po kolorach mundurów, natomiast w Sycji należy wiedzieć, jakie ubiory preferuje każdy klan. Interesujące.

– Yeleno, potrzebujesz jakichś tkanin? – Fern wyjęła spod stołu belę materiału. – Właśnie ukończyłam ten piękny zielony wzór. Widzisz? – Uniosła pochodnię, żebym mogła lepiej się przyjrzeć. – Jest haftowany cienką złotą nitką. Doskonale by do ciebie pasował.

– Jesteś świetną sprzedawczynią – odparłam ze śmiechem – ale Nutty dopiero co uszyła mi inny strój.

Niezrażona Fern wydobyła inną belę. Gdy tylko ją rozwinęła, moją uwagę przykuł ciemnozłocisty kolor materiału.

– Ten nadawałby się na bluzkę – powiedziała. – Mam ją wysłać do Nutty, by ci ją uszyła?

– Jesteś okropna – ofuknęłam ją żartobliwie.

– Staram się tylko jak najlepiej dogodzić moim klientom – odparła rozbawiona.

– I jak najwięcej zarobić.

Przez jej twarz przemknął pełen chciwości, a nawet drapieżny uśmieszek. Zapłaciłam za materiał i wyszłam, zanim zdoła mnie przekonać, że potrzebuję czegoś jeszcze. Nabyłam avibiański miód dla koniuszego, a potem kupiłam trochę wołowiny pieczonej na rożnie i jadłam ją, zwiedzając inne stragany. Na sprzedaż lub wymianę wystawiano tu wyroby rękodzielnicze, odzież, owoce i pieczywo.

Przystanąłam, by obejrzeć misternie wykonany srebrny pierścionek z czarnym kamieniem księżycowym. Odłożyłam go, porzucając myśl o kupnie. Z pieniędzy, które zarobiłam jako asystentka czwartej magini, zostało mi tylko kilka drobnych monet.

Poza tym nosiłam już wisiołek przedstawiający motyla i bransoletę w kształcie węża. Obie te ozdoby wyrzeźbił i podarował mi Valek.

Pomyślałam o nim, dotykając wisiorka na mojej piersi.

Czy Valek jest teraz w swojej pracowni i rzeźbi kolejną figurkę przedstawiającą jakieś zwierzę? A może omawia z Arim i Jankiem militarne taktyki albo stacza pojedynki na miecze z Maren? To właśnie ona nauczyła mnie szermierki na kije, w czym, mówiąc nieskromnie, osiągnęłam znaczną biegłość i potrafiłam pokonać uzbrojonego w miecz wojownika. Byłam przekonana, że od tamtego czasu mistrzyni Maren jeszcze bardziej udoskonaliła swe umiejętności. Być może ona i Valek pracują obecnie nad jakimś skomplikowanym projektem. Może Valek o mnie zapomniał, zadowolony, że ma przy sobie Maren...

Nie! Wysiłkiem woli odepchnęłam tę myśl. Mam mnóstwo prawdziwych zmartwień i nie powinnam dokładać sobie urojonych. Zdecydowanym krokiem ruszyłam do naszego obozu. Może gdy ponownie zbadam teren targu za pomocą magii, odnajdę Księżycowego Człowieka i jego towarzyszy.

Cały następny dzień Leif i ja daremnie czekaliśmy na jakiś sygnał od snującego opowieść. Krążyłam po targu, klnąc pod nosem. Każda minuta opóźnienia zmniejszała nasze szanse ponownego schwytania Cahila i Ferdego. Połączyłam się mentalnie z leśnymi zwierzętami i zbadałam dżunglę, lecz nadal nikt nie zakłócał spokoju.

Tej nocy dyskutowaliśmy, jakie ma być nasze następne posunięcie. Siedziałam przy ognisku i wpatrywałam się w płomień. W zasięgu ręki miałam kij, ale wątpiłam, czy ta broń wyrządziłaby wielką szkodę Ognistemu Warperowi.

– Wracajmy do Cytadeli – stwierdził Leif. – To najrozsądniejsze rozwiązanie.

– A co z klanem Sandseed? – zaoponowałam. – Zostali bez obrony i mogą potrzebować pomocy, poza tym powinniśmy powiadomić ich o losie Księżycowego Człowieka i Tauna.

– I co im powiemy? Że ich zgubiliśmy? Wolałbym pogawędzić o tym, że Tauno ma lęk wysokości, a Księżycowy Człowiek cierpi na klaustrofobię.

A ja wolałabym, żeby byli z nami. By odwlec podjęcie decyzji, oznajmiłam:

– Bez względu na to, czy udamy się do Cytadeli, czy na Równinę Avibiańską, droga wiedzie na północ. Jutro wyruszemy.

Leif wyraził zgodę. Rozłożył posłanie przy ognisku i wyciągnął się na nim. Podłożyłam pod głowę siodło Kiki, otuliłam się płaszczem i usiłowałam ulokować się jak najwygodniej na zimnej ziemi obok brata.

– Przysuń się bliżej do ognia, bo zmarzniesz – powiedział Leif.

– Tutaj jest mi dobrze.

Milczał przez chwilę, a potem rzekł:

– Być może Księżycowy Człowiek i pozostali zabłądzili w dżungli.

– Wątpię. Gdyby tak było, odnalazłabym ich.

– Marrok bał się zabłądzić – powiedział cicho. – A ty boisz się...

– Śpij, Leif. Jutro czeka nas ciężki dzień.

Odwróciłam się na bok plecami do niego. Nie chciałam, by nazwał mój lęk. Nadanie nazwy mogło sprawić, że ten lęk się ziści.

Było mi zimno i niewygodnie. Rzucalam się, usiłując zasnąć, jednak gdy tylko zapadłam w drzemkę, nawiedzał mnie sen o łagodnie

płonącym ognisku. Taki był początek, bo po chwili płomienie strzelały iskrami i rosły, a sen zmieniał się w dręczący koszmar o śmierci i okrutnym ogniu, który spala wszystko na czarny popiół. Budziłam się zrana potem, krztusiłam, jakby moje gardło zaatakował prawdziwy dym.

Aby uniknąć okropnych majaków, obserwowałam, jak księżyc wznosi się nad wierzchołki drzew. Gdy jakiś czas temu Ferde dokonywał okrutnych kradzieży dusz, mistrzowie magii i ja wysunęliśmy hipotezę, że rytualne morderstwa są powiązane z fazami księżyca. Jednak się pomyliliśmy. Po prostu Ferde potrzebował czasu, żeby torturować ofiary, by całkowicie je sobie podporządkować i móc po ich śmierci skraść im dusze. Rytuał i pradawne symbole ludu Efe uczyniłyby go najpotężniejszym magiem w Sycji, gdyby zgodnie ze swym planem zdołał zgromadzić dusze dwunastu ofiar.

Valek i ja powstrzymaliśmy go przed wchłonięciem duszy Gelsi i dokończeniem rytuału, ale teraz był wolny i mógł zacząć od nowa. A pomagał mu Cahil. Jak to możliwe? Nie potrafiłam uwierzyć, że Cahil się w to zaangażował, choć przecież doskonale wiedział, co Ferde uczynił tamtym dziewczynom. A jednak pomógł Ferdemu uciec ze ściśle strzeżonego więzienia Twierdzy Magów, a teraz towarzyszy mu w podróży. Czy również pragnie zdobyć magiczną moc? Nie mógł już rościć sobie praw do tronu Iksji, więc może zamiast tego chce objąć władzę w Sycji?

Przyjrzałam się księżycowi. Przybywało go, za kilka dni nastanie pełnia. Jasny krąg oświetlał okolicę. Zadumałam się nad potęgą księżyca i nad tym, dlaczego do odprawiania pewnych obrzędów, takich jak rytuał kirakawy, niezbędny jest księżycowy blask. Rozpoznawałam niewidzialną powłokę magii spowijającą niebo, ale nie wyczuwałam żadnej magicznej energii płynącej z księżyca.

Nagle księżycowa poświata delikatnie zamigotała i jakby przywołany moimi myślami, wyłonił się z niej Księżycowy Człowiek. Stał obok naszego ogniska nagi i bez broni.

– Czy mi się śnisz? – zapytałam go mentalnie.

Na jego twarzy malowało się krańcowe wyczerpanie, ale zdobył się na uśmiech i odpowiedział:

– Może zawsze byłem snem. Jak myślisz?

– Myślę, że jestem zbyt zmęczona, by dyskutować z tobą o filozofii snujących opowieść. A jeśli nie jesteś rzeczywisty, to przynajmniej przydad się na coś i powiedz, gdzie naprawdę przebywasz!

– Jestem tutaj. – Osunął się na kolana.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zerwałam się na nogi i podbiegłam do Księżycowego Człowieka klęczącego obok ogniska. Narzuciłam płaszcz na jego muskularne ramiona i podzieliłam się z nim moją energią.

– Nic ci nie jest? Co się stało? Gdzie pozostali?

– Wszystko w porządku. Wyjaśnię ci później – wymamrotał i naciągnął na twarz skraj płaszcza.

– Na pewno? A może podasz tylko kilka niejasnych szczegółów, jak to mają w zwyczaju snujący opowieść?

Zamiast odpowiedzi usłyszałam jego ciche chrapanie.

Powstrzymałam się przez przekazaniem kolejnej porcji energii i obudzeniem Księżycowego Człowieka. Sen najlepiej przywróci mu siły, które stracił, używając magii. Niestety, ja nie potrafiłam usnąć. Wyjęłam z juków Leifa dodatkowy koc i przykryłam Księżycowego Człowieka, gdyż płaszcz nie wydawał się dostateczną ochroną przed nocnym zimnem. Pomimo moich obaw dorzuciłam kilka polan do ogniska. Zapłonęło jaśniej i zaczęło promieniować ciepłem. Wpatrywałam się w tańczące płomienie, myśląc o tym, jakie jeszcze niespodzianki mnie czekają. Dowiem się w swoim czasie, lecz wciąż pozostawało niewiadomą, czy zdołam stawić im czoło.

Nawet głośnie okrzyki klientów i straganiarzy nie zakłóciły Księżycowemu Człowiekowi snu. Obudził się, dopiero gdy słońce znalazło się w najwyższym punkcie swojej drogi. Zanim zjadł śniadanie, które zapobiegliwie przyrządził dla niego Leif, niecierpliwość rozsadzała mnie tak bardzo, że mogłabym wspiać się na gładki pień drzewa bez pomocy liny.

– Opowiedz nam wszystko – zażądałam, zanim zdążył przełknąć ostatni kęs.

– Mhm... – Uśmiechnął się na moje wzburzenie. Twarz wciąż miał ściągniętą ze zmęczenia, ale w oczach migotały wesołe błyski.

– I nie próbuj żadnych zagadkowych sztuczek snującego opowieść, bo inaczej...

– Co zrobisz? – spytał.

– Walnę cię, i to mocno. Więc lepiej mów.

Zerknął na Leifa.

Mój brat wzruszył ramionami.

– Widziałem, jak wywijała tym swoim kijem. Chociaż gdybyś miał szablę...

– To byłoby zbyt ryzykowne – rzucił żartobliwie, lecz ujrawszy furie w moim wzroku, roztropnie rozpoczął relację: – Po tym, jak ty i Leif odwróciliście uwagę Ognistego Warpera, zaczęliśmy ścigać Verminów przez dżunglę. I byśmy ich schwytali, gdybyś nie potrzebowała mojej pomocy przy uleczeniu tego zwiadowcy. – Zmierzył mnie przenikliwym spojrzeniem. – Jak on się czuje?

– Jest żywy i zdrowy – odpowiedziałam.

– I taki sam jak przedtem?

Zawahałam się, ale nie chciałam, żeby Księżycowy Człowiek zmienił temat.

– Nic mu nie jest. Mów dalej.

– Użyczenie ci energii kompletnie mnie wyczerpało, musiałem więc odpocząć. Marrok tropił Verminów aż do Targu Illiais, a potem dalej na północ do Booruby. To duże miasto, zgubiliśmy ślad przez te wielkie tłumy. – Wzdrygnął się.

Przypomniałam sobie uwagę Leifa, że Księżycowy Człowiek cierpi na klaustrofobię. Ludne miasto stanowiło całkowite przeciwieństwo rozległych otwartych przestrzeni jego ojczystej równiny. Miasto Booruby leży na północnym krańcu terenów klanu Cowan, od wschodu graniczy z Równiną Avibiańską. To zbyt daleko, bym mogła sięgnąć tam magią.

– Gdzie są pozostali? – spytał Leif.

– Wynajęliśmy pokój w oberży. Postanowiłem do was dołączyć, ale zostawiłem Tauna i Marroka, żeby zebrali wszelkie dostępne informacje o Daviianach.

– Właściwie jak się tu dostałeś? – Leif rozejrzał się po obozowisku.

– To sekret magii snujących opowieść – odparł z uśmiechem Księżycowy Człowiek.

– Użyłeś blasku księżyca – powiedziałam.

– Przebyłem świat cieni. – Rozpromieniony z aprobatą pokiwał głową, zerkając na mnie. – Światło księżyca odsłania tamta krainę i umożliwia dostęp do niej.

– Czy to tam ukazałeś mi historię mojego życia? – zapytałam, wspomniawszy mroczną równinę, która przekształciła się w obraz mojego dzieciństwa.

– Tak. Właśnie w tym miejscu rozplątuje wątki opowieści, by pomóc ludziom zaczerpnąć naukę z ich przeszłości, gdy tkają swą przyszłość.

– Czy to miejsce jest rzeczywiste? – Byłam tam dwukrotnie. Za drugim razem Księżycowy Człowiek przyprowadził Leifa i mnie, żebyśmy rozplątali węzły gniewu i wrogości. Jednak w obu przypadkach miałam wrażenie, że jestem niematerialna, jakby moje ciało zmieniło się w dym.

– Istnieje w cieniu naszego świata – odrzekł snujący opowieść.

– Czy ktoś obdarzony magiczną mocą może dostać się do świata cieni?

– Jak dotąd potrafili to tylko snujący opowieść, jednak spodziewam się, że znajdzie się ktoś wystarczająco odważny, by oznajmić, że posiada ów talent.

Gdy Księżycowy Człowiek napotkał moje spojrzenie, ujrzałam w jego oczach cień.

Odwróciłam wzrok.

Zapadła cisza, którą przerwał Leif:

– Jakkolwiek tu przybyłeś, musisz jeszcze popracować nad swoimi zdolnościami przenoszenia się z miejsca na miejsce. Może następnym razem uda ci się zjawić w ubraniu.

Kupiliśmy dla Księżycowego Człowieka jasnobrązowe spodnie i tunikę oraz nabyliśmy prowiant na drogę. Pakując juki, odczytałam myśli koni. Księżycowy Człowiek pojedzie na Garnecie aż do Booruby.

Wyruszyliśmy na północ, wybierając uczęszczany szlak przez las.

Na wszelki wypadek zbadalam otoczenie za pomoca magii, choc uwazalam, ze raczej nie grozi nam wpadniecie w zasadzke na drodze pelnej kupieckich karawan i podroznych. Leif rowniez uzył magii, probujac wywachać zamiary Verminów, lecz niczego nie odkrył.

Kiedy dotrzemy do Booruby, odnajdziemy naszych towarzyszy i wspólnie zdecydujemy, co dalej robic. Rozmyslam o tym, ze zgubilismy trop Verminów i niepokoilam sie, dokad skierowali sie Cahil i Ferde. Z powrotem na rownine czy na plaskowyz? A moze powzieli inny plan zyskania magicznej mocy?

Jakis czas temu Ferde porwal Tule z jej rodzinnego domu w Booruby. Byla jego jedyna ofiara, ktora odnaleziono zywa, i zostala odtransportowana do Twierdzy Magów. Uleczyłam ciało Tuli i odnalazłam jej duszę, lecz Ferde ponownie zawladnal jednym i drugim. Za gardło ścisnęło mnie poczucie winy. Zamartwiałam się, że wciąż przebywa na wolności.

Mocniej ściągnęłam cugle, na co Kiki parsknęła z irytacją.

– Przepraszam – powiedzialam, wyraźnie się odprezajac. – Rozmyslam o Ferdem i Cahilu.

– Facet od Miętówek jest jak jabłko – rzekła, majac na myśli Cahila.

– Dlaczego tak mówisz? – spytałam, wiedzac, że Kiki przepada za tymi owocami.

– On jest czarnym jabłkiem. Nikt go nie chce. – W moim umyśle pojawil się obraz gnijacych jabłek lezacych na ziemi. – Zły. Ale przyjdzie dobre. – Kiki ukazala mi, jak nasiona wewnątrz jabłka wypuszczaja korzenie i wyrasta z nich drzewo po tym, gdy owoc juz zgnil.

– Twierdzisz, że Facet od Miętówek może sprawić jakieś dobro?
Czy to, że jego śmierć przyniesie korzyść?

– Tak.

Kolejna zagadkowa końska rada? No cóż, gdy już ją usłyszałam, będę mogła umrzeć szczęśliwa.

Po dwóch dniach podróży dotarliśmy do Booruby. Na obrzeżach miasta napotkaliśmy skupiska drewnianych i kamiennych domów. Las został za nami, a czyste dotąd powietrze zgęstniało od kłębow dymu, pyłu węglowego i trocin, unoszących się nad budynkami przy głównej ulicy. Dusił nas smród śmieci i ludzkich ekskrementów. Chodnikami śpieszyły tłumy, a drogi były zakorkowane przez wozy pełne towarów. Sklepy i stragany wciskały się między fabryki i biura.

Na twarzy Księżycowego Człowieka widniały zakłopotanie i niepokój, gdy przeciskaliśmy się konno przez zatłoczone ulice. Powiodł nas do oberży Pod Trzema Duchami, która mieściła się w trzypiętrowym kamiennym budynku przylegającym do sąsiedniego domu. Zaprowadziliśmy wierzchowce wąską alejką do pustej stajni mogącej pomieścić najwyżej sześć koni.

Boksy były czyste i zaopatrzone w świeże siano i wodę. Gdy rozsiodłaliśmy konie, zjawił się milkliwy chłopak stajenny i pomógł nam je oporządzić i nakarmić. Gdy dałam mu napiwek, podziękował nieśmiałym uśmiechem.

– Dlaczego zatrzymaliście się właśnie w tej gospodzie? – zapytałam Księżycowego Człowieka, gdy wnosiliśmy ciasną alejką nasze bagaże. – Przecież wjeżdżając do miasta, minęliśmy wiele innych zajazdów.

– Spodobała mi się jej nazwa. Chociaż...

– Chociaż co? – ponagliłam.

– Nie napotkałem tu trzech duchów. Może tobie bardziej dopisze szczęście.

– Chyba nie wierzysz w duchy, co? – rzuciłam ze śmiechem.

Zatrzymał się tak nagle, że na niego wpadłam. Gdy odwrócił się do mnie, ujrzałam jego zszokowaną minę.

– Jak możesz w nie nie wierzyć? Są zagubionymi duszami, a ty pomagasz im odnaleźć drogę, jak uczyniłaś z duszą Reyada.

Wyciągnęłam rękę, by odzyskać równowagę.

– Reyad był... – Urwałam. Był człowiekiem, którego zabiłam w Iksji. Właśnie z tego powodu oczekiwałam na egzekucję, aż wreszcie Valek zaproponował mi posadę testerki sprawdzającej, czy potrawy dla komendanta nie są zatrute. – Skąd wiedziałaś, że...?

– Jestem snującym opowieść, pamiętasz? Znam wszystkie nitki, z których jest splecione twoje życie.

– Sądziłam, że jego duch jest tylko wytworem mojej wyobraźni. Przejawem moich lęków. Dlaczego nie widziałam żadnych innych duchów? Jeżeli im pomogłam, to dlaczego nie ma ich wszystkich wokół mnie?

– Być może są, tylko nie chcesz ich dostrzec.

– To upiorne – skomentował Leif.

Podzielałam jego opinię. Dostałam gęziej skórki, gdy wyobraziłam sobie, że otaczają mnie niewidzialne duchy.

– Mógłbym cię nauczyć... – zwrócił się do mnie Księżycowy Człowiek.

– Wejdźmy do środka – przerwałam mu stanowczym tonem, nie pozwalając dokończyć tej propozycji. Umiejętność dostrzegania duchów nie zajmowała pierwszego miejsca na mojej liście umiejętności, których chciałam się od niego nauczyć.

– Tak, wejdźmy. Jestem głodny – poparł mnie Leif, klepiąc się po brzuchu.

Weszliśmy do wąskiej sali jadalnej, w której stały zniszczone drewniane stoły i długie ławy. W palenisku trzaskał ogień, lecz pomieszczenie było puste.

A jednak nie całkiem, bo w głębi sali opierała się o framugę jakaś kobieta, która powiedziała:

– Kolacja będzie za kilka godzin. – Gdy rozpoznała snującego opowieść, uśmiechnęła się i podeszła do nas. – Pan Księżycowy! Tak się cieszę, że pan wrócił. Pańscy przyjaciele wyszli rano, ale przypuszczam, że zjawią się na kolacji. Pan Tauno przepada za moją potrawką z jarzynami. – Oberżystka przyjrzała się Leifowi i mnie niebieskimi oczami, w których błyszczała inteligencja. Jej spojrzenie zatrzymało się na moich dłoniach, a potem powróciło do snującego opowieść. – Będziecie potrzebowali drugiego pokoju?

– Tak, pani Floranne. Przedstawiam pani moich przyjaciół, Yelenę i Leifa.

Wytarła dłonie w fartuch, zanim uścisnęła nam ręce.

– Wobec tego zaprowadzę was do waszych pokojów.

Weszliśmy za nią po schodach. Na drugim piętrze przystanęła,

a potem poprowadziła nas wąskim korytarzem i otworzyła drugie drzwi po lewej.

– To będzie pokój panny Yeleny. Czy pan Leif zamieszka z panem, panie Księżycowy, czy może będziecie potrzebowali jeszcze jednego pokoju?

Na twarzy snującego opowieść pojawił się kroplisty pot. Rozejrzył się po ciasnym korytarzu, jakby szukał drogi wyjścia.

– Leif może zostać u mnie – powiedziałam, widząc w małym pokoju dwa łóżka. Gdy pani Floranne aż zeszywniała z wielkiej dezaprobaty, szybko dodałam, by unikać zbędnego komentarza: – To mój brat.

– Zadzwońię dzwonkiem, kiedy kolacja będzie gotowa – powiedziała całkiem już uspokojona. – Nie spóźnijcie się. – Zeszła na dół.

Leif stłumił chichot, po czym powiedział:

– Interesujące miejsce wybrałeś, panie Księżycowy.

– Gdyby Leif nie był moim bratem, tylko kochankiem, czy pozwoliłaby nam zostać razem?

– Nie wiem – odparł Księżycowy Człowiek.

– Być może duchy nie lubią nieprzyzwoitego zachowania – rzekł ze śmiechem Leif.

Snujący opowieść wszedł do swojego pokoju na końcu korytarza, żeby sprawdzić, czy Tauno lub Marrok nie zostawili jakiejś wiadomości. Gdy kładliśmy nasze rzeczy na łóżkach, zamyśliłam się nad ostatnią uwagą brata.

– Czy uznano by za nieprzyzwoite, gdybyśmy Valek i ja...? No wiesz...

– Yeleno! – zawołał Leif z udawanym oburzeniem. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że ty i Valek...

– Po prostu odpowiedz na pytanie.

– Niektóre klany, na przykład Bloodgood, wyznają bardzo surowe zasady. Mężczyzna i kobieta mogą zamieszkać razem dopiero po ślubie. W innych klanach, takich jak Zaltana, preferuje się sakramentalne związki, ale nie robi się problemu, gdy jakaś para chce żyć na kocią łapę. I jest jeszcze klan Sandseed, który w ogóle nie uznaje instytucji małżeństwa. Każdy robi, co chce. – Leif szeroko rozłożył ramiona. – Zważywszy na ich niechęć do noszenia ubrań, nie pojmuję, dlaczego w klanie Sandseed nie roi się od dzieci.

– Ostrożnie rozsiewamy nasze nasiona życia – odezwał się od progu Księżycowy Człowiek. – Nie znalazłem żadnej notki. Chcecie się przespacerować po mieście? Ja muszę stąd wyjść. – Omiótł wzrokiem pokój. – Lepiej czuję się na zewnątrz.

– Sam nie wiem – odparł zgłodniały Leif. – Nie chciałbym się spóźnić na kolację. Potrawka z jarzynami... brzmi wspaniale.

– Nie martw się, usłyszymy dzwonek. Gdy w oberży Pod Trzema Duchami je się kolację, wie o tym całe miasto.

Wyszliśmy z gospody i powędrowaliśmy przez ulice. W kilku miejscach próbowałam za pomocą magii wytropić Verminów, ale wokoło było zbyt wielu ludzi. Ich myśli i emocje napierały na mnie, aż wreszcie musiałam się od nich odciąć, żeby mnie nie przytłoczyły. Leifa też zalały fale rozmaitych zapachów. Przemierzyliśmy miasto, daremnie próbując pochwycić choćby strzęp przydatnej informacji.

W pewnym momencie moje spojrzenie przyciągnął jakiś błysk. W sklepowej witrynie stały rzędy pięknych szklanych figurek zwierząt, lśniąc barwami, jakby w ich wnętrzu został schwytyany ogień. Pomyślałam o Tuli, która rzeźbiła takie figurki w rodzinnej fabryce szkła. Czy te zostały wykonane przez nią? Czy to sklep jej rodziców?

Zerknęłam przez okno wystawowe, lecz niczego nie wypatrzyłam. Czy powinnam wejść i zapytać? Być może jej rodzina wolałaby ponownie nie spotykać się ze mną. Zważywszy na to, co spotkało Tulę i jej siostrę Opal, nie zdziwiłabym się, gdyby ich rodzice mnie znienawidzili. Przecież po śmierci Tuli porwano Opal wyłącznie po to, by wymienić ją na mnie. Przez cały czas sądziłam, że zrobił to Ferde, okazało się jednak, że uwięziła ją Alea Daviian, szukając zemsty za śmierć swojego brata, Mogkana, kolejnego człowieka, do którego śmierci się przyczyniłam.

Mogkan był żądny władzy i pragnął rządzić Iksją. Przejął kontrolę nie tylko nad umysłem komendanta Ambrose'a, lecz również nad umysłami trzydziściorga niewinnych ludzi. Według mnie zasłużył na śmierć, lecz Alea myślała inaczej, a teraz ona także już nie żyła.

Westchnęłam ciężko. Powinnam trzymać się z dala od Opal i jej rodziny. W ślad za mną wciąż podąża śmierć.

A może również duchy? Czy nękają mnie duchy Alei lub Mogkana? Wyciągnęłam ręce i obróciłam się wokoło, lecz na nic nie natrafiłam.

Pół przecznicy ode mnie stali Leif i Księżycowy Człowiek, pogrążeni w rozmowie. Ruszyłam ku nim.

– Yeleno! – zawołał ktoś za moimi plecami.

Chodnikiem szybko szła kobieta, niosąc niewielką skrzynkę.

Chociaż włosy zakrywała białą chustą, a twarz i ręce miała umazane sadzą, rozpoznałam promienny uśmiech Opal. Cóż, przed chwilą myślałam, że powinnam jej unikać, ale uściskałam ją serdecznie.

– Co ty tu robisz? – zapytała.

– Mam parę spraw do załatwienia – odrzekłam wymijająco i zanim zdążyła spytać, jakie to sprawy, wskazałam okno wystawowe. – Czy ten sklep należy do twojej rodziny?

– Nie, nasza fabryka jest po wschodniej stronie miasta, niemal na równinie. Sprzedajemy szklane wyroby do wielu sklepów w Booruby. Musisz koniecznie nas odwiedzić! Jeśli... – Zakłopotana splotła dłonie. – Jeśli chcesz... – Odwróciła głowę. – Chodzi mi o to, że po tym, co zrobiłam... – Wbiła wzrok w ziemię, a potem zaskakująco przenikliwie spojrzała mi w oczy. Uświadomiłam sobie, że nie jest już tą nieśmiałą dziewczyną, która trafiła do Twierdzy Magów. – Pozwól, że ci to wynagrodzę, Yeleno. Przyjdź do nas.

– Nie zrobiłaś niczego złego – rzekłam z przekonaniem. – Nie musisz mi niczego wynagradzać.

– Nie? Przecież ukłułam cię ostrzem zatrutym kurarą!

– Zmusiła cię do tego Alea Daviian. I muszę przyznać, że to był całkiem sprytny fortel. – Sądziłam wówczas, że gdy Opal została uwolniona, zagrożenie minęło. Lecz pomyliłam się i ten błąd omal nie skończył się dla mnie tragicznie.

– Ale...

– Nie możesz pozwolić, żeby przeszłość zrujnowała twoją przyszłość. Zapomnijmy o tym i zacznijmy od nowa.

– Dobrze. Możesz przyjść dziś wieczorem na kolację? – spytała,

i nagle na jej twarzy pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia pomieszanego ze strachem.

Zwalisty Księżycowy Człowiek stanął za mną, przesłaniając słoneczne światło.

– Nie spóźnijcie się na kolację – powiedział Leif, naśladowując melodyjny głos pani Floranne.

Na jego widok Opal trochę się uspokoiła.

– Ty też przyjdź – rzekła. – A... Wasz przyjaciel?

Pojmowałam jej lęk. Księżycowy Człowiek na pierwszy rzut oka przypominał Ferdego. Jednak Opal widziała Ferdego tylko przez chwilę we wspomnieniach swej siostry, toteż nie mogła porównać tych dwóch mężczyzn.

Gdy ich sobie przedstawiłam, snujący opowieść oznajmił:

– Powinienem poczekać na powrót Tauna i Marroka, ale ty i Leif idźcie. Spotkamy się wieczorem. – Dał mi znak, unosząc brwi.

Otworzyłam przed nim umysł.

– Jej rodzina może mieć jakieś informacje o Verminach – przekazał mi mentalnie. – Wypytaj ich.

– Rozkaz – odrzekłam.

Zanim odszedł, obdarzył mnie uśmiechem. Opal pośpiesznie weszła do sklepu, by dostarczyć towar. Czekając na nią z Leifem, znów zaczęłam oglądać szklane figurki zwierząt w oknie wystawowym. Brat też im się przyjrzał.

– Spójrz, jak błyszczą! – powiedział. – Którą byś wybrała? Węża?

– Nie. Mam już na całe życie dość węży. Podoba mi się ten koń, ale ma niewłaściwy kolor oczu. Powinny być niebieskie.

– A inne być nie mogą? Jesteś uprzedzona – skomentował ze śmiechem. – Ja kupiłbym tego lamparta. Zdziwiająco wiernie odtwarza to zwierzę, ze wszystkimi szczegółami. Ciekawe, jak artysta zdołał tak wiernie oddać wzór zielono-żółtego ubarwienia?

– Ten wzór znajduje się w środku – wyjaśniła Opal, wychodząc ze sklepu. – Na powierzchni jest cienka warstwa przezroczystego szkła.

– Czy to Tula wykonała te figurki? – zapytałam.

Opal zamruwała, by powstrzymać łzy.

– Nie. Figurki stworzone przez Tulę są dla nas zbyt cenne, byśmy mogli je sprzedać.

– Opal, ja...

– Nic nie mów – przerwała mi. – Zaczynamy od nowa, pamiętasz?

– Tak.

– Dobrze. Chodźmy. – Ruszyła, gestem wskazując nam drogę.

Obawiałam się, że rodzice Opal nie okażą się równie wyrozumiali i skłonni do wybaczenia, ale przywitani nas ciepło. Ich dom i huta szkła, z jakichś powodów zwana fabryką, stały na skraju miasta, otoczone z trzech stron przez Równinę Avibiańską. To tłumaczyło, dlaczego Ferde wybrał Tulę. Przez całą noc podtrzymywała ogień w piecach do wypalania szkła i była w hali sama, toteż mógł ją wprowadzić łatwo i bez świadków.

Opal oprowadziła nas po rodzinnym przedsiębiorstwie. Poznaliśmy jej drugą siostrę Marę oraz młodszego brata Ahira.

Kolacja składała się z duszonej wołowiny podanej w miseczkach z chleba.

– Mniej naczyń do mycia – wyjaśniła z uśmiechem matka Opal, Vyncenza.

Leif usiadł obok Mary i zaczął zawzięcie flirtować. Poszedł nawet za nią do kuchni, by pomóc w zmywaniu. Nie dziwiłam mu się. Dziewczyna miała piękne, sięgające do ramion złocisto-brązowe włosy, wielkie jasne łagodne oczy i słuchała jak urzeczona opowieści Leifa.

Podczas gdy pozostali sprząтали ze stołu, ojciec Opal, Jaymes, zabawiał mnie, opowiadając o swojej rodzinie i fabryce.

– ...nie uważała i niechcący podpaliła fartuch swojej matki! Dopiero po upływie czterech pór roku pozwoliliśmy Tuli ponownie pracować z żelazną rurką do wydmuchiwania szkła. – Roześmiał się i zaczął opowiadać następną historyjkę.

Kiedy wyczerpał już wszystkie anegdoty, zapytałam go o nowiny z Booruby.

– Starszyzna klanu Cowan stale spiera się o to, ile drzew należy wyciąć, a teraz chcą obciążyć podatkiem piasek, który sprowadzam od nich do wyrobu szkła. – Cmoknął z niezadowoleniem. – Nieustannie plotkuje się o różnych klanach. W tym roku krążą pogłoski o Daviianach. Wszyscy niepokoją się z ich powodu, ale magowie uwięzili zabójcę Tuli, i jestem pewien, że ludzie z klanu Sandseed zajmą się resztą. Zawsze tak robią.

Przytaknęłam, ale dręczyło mnie, że Jaymes sądzi, iż Ferde nadal

przebywa w więzieniu. To niedobrze. Dlaczego Rada nie powiadomiła ludności o jego ucieczce? Prawdopodobnie nie chciała wywołać paniki. Ferde jest jeszcze słaby i radni mieli nadzieję, że wkrótce zostanie schwytany. Czy powinnam wyjawić Jaymesowi prawdę? Ma przecież jeszcze dwie córki. Należy również poinformować tutejszych mieszkańców o odprawianiu przez Daviianów rytuału kirakawy. Mogliby wówczas pomóc wytropić Verminów i obronić swoje rodziny. Ale może zamiast tego wpadną w panikę i przeszkodzą nam w pościgu?

Stałam przed trudnym wyborem i musiałam sama go rozstrzygnąć. Wreszcie zrozumiałam, jak przydatna jest Rada, która głosuje i decyduje w najważniejszych kwestiach, a żaden radny nie ponosi osobistej odpowiedzialności za błędny osąd.

By odwlec podjęcie decyzji, zapytałam Jaymesa, czy jego dzieci nadal pracują w nocy samotnie w fabryce.

– Nie, nie. Ja podtrzymuję ogień przez całą nocną zmianę. Dostaliśmy bolesną nauczkę i już nie damy się ponownie zaskoczyć.

– To dobrze. Bądźcie nadal czujni. Przywódcy klanu Cowan mają rację, obawiając się Daviianów.

Wróciła rozchichotana Opal. Jej długa spódnica była pochlapana wodą. Wetknęła pod chustę kilka wilgotnych kosmyków włosów.

– Bitwa wodna – wyjaśniła i zanim ojciec zdążył ją zganić, dodała:
– To mama ją zaczęła!

Jaymes westchnął, lecz nie wyglądał na rozgniewanego. Opal chwyciła mnie za rękę i oprowadziła po domu. Pokój, który dzieliła z siostrą, znajdował się na pierwszym piętrze kamiennego budynku. W powietrzu unosił się zapach kapryfolium. Nad pustym łóżkiem wisiała żałobna flaga Tuli z białego jedwabiu, tradycyjnie używana podczas ceremonii pogrzebowej. Sycjanie wierzą, że po wciągnięciu

takiej flagi na maszt dusza zmarłej osoby wznosi się do nieba. Gdy uwolniłam duszę Tuli, którą więził Ferde, przekonałam się, że ten obyczaj w istocie służy jedynie pocieszeniu rodziny zmarłej osoby.

– Dlaczego flaga wisi nad jej łóżkiem? – spytałam.

– Aby zapobiec powrotowi duszy Tuli na ziemię – wyjaśniła Opal.
– Wszystkie rzeczy, po które mogłaby zechcieć wrócić, są ukryte pod flagą, by ich nie widziała.

Zajrzałam tam i zobaczyłam małą półkę wypełnioną szklanymi figurkami zwierząt. Były misternie wykonane i wyglądały jak żywe, lecz nie miały w sobie schwytanego ognia, jak tamte, które oglądałam na wystawie.

– Tula rozdała w prezencie kilka posążków, a wiele innych sprzedała, ale te zachowała dla siebie. Próbowałam zrobić kopie, lecz wyszły inaczej. Udało mi się sprzedać tylko kilka – poinformowała mnie Opal, wzruszając ramionami.

– Stworzyłaś te, które widziałam w witrynie sklepowej, prawda?

– Tak. – Znów wzruszyła ramionami. – Właścicielka sklepu jest uprzejma. Wiedziała, że dzisiaj przyjdę, więc umieściła je na wystawie. Zrobione przeze mnie figurki zwierząt wyglądają nieciekawie w porównaniu z tymi, które wyrzeźbiła Tula.

– Opal, są olśniewająco piękne! Jakiego sposobu użyłaś, że tak się jarzą?

Przycisnęła dłonie do serca, jakby nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Widzisz to światło?

– Oczywiście. Przecież wszyscy je...

– Nie! – zawołała. – Tylko ja je widzę... a teraz i ty! – Z radości okręciła się wokoło.

– I Leif – dodałam. – On też je zobaczył.

– Naprawdę? Jakie to dziwne. Nikt spośród mojej rodziny i przyjaciół nie dostrzega tego wewnętrznego światła. Uważają, że zwariowałam, ale dla świętego spokoju przyznają mi rację.

– W jaki sposób wykonujesz te figurki?

Wyjaśniła mi proces wydmuchiwania szkła bardziej szczegółowo, niż potrzebowałam, ale zrozumiałam podstawy.

– Zazwyczaj formuje się figurki zwierząt z jednolitego kawałka szkła, ale kiedy próbowałam tak robić, wychodziły nieforemne kluchy. Aby wykonać szklankę czy wazon, trzeba wdmuchnąć do szkła bąbel powietrza. Tego też nie potrafię. Robię się purpurowa, usiłując wydmuchać początkowy bąbel, lecz nigdy mi się to nie udaje. Jednak wówczas kształtuję ten kawałek szkła, żeby go nie zmarnować. I właśnie wtedy osiągam zadowalające rezultaty. Moje szklane zwierzątka nie tylko wyglądają jak prawdziwe, ale w dodatku pozostaje w nich iskra ognia, nawet kiedy szkło już ostygnie.

– Ale przecież w końcu wewnątrz figurki też się ochładza – stwierdziłam po chwili namysłu. – Co więc sprawia, że nadal się jarzy?

– Nie wiem. – Rozłożyła szeroko ręce, oznajmiając tym gestem poczucie bezradności. – Za to wiem doskonale, że wkładam całe serce w tworzenie tych posążków.

Już wiedziałam, w czym rzecz.

– A więc to magia, Opal.

– Nie. Mistrzynie Jewelrose mnie przetestowała. Nie mam wystarczająco wielu magicznych zdolności, by pozostać w Twierdzy.

– Zatem powinna zbadać cię ponownie. – Przypomniały mi się kpiny Daksa z dziwacznych magicznych uzdolnień. Gdyby Opal urodziła się w klanie Zaltana, test wyglądałby inaczej. – Masz dość magicznej mocy, by schwytać ogień wewnątrz twoich posążków – dodałam z uśmiechem.

– Więc dlaczego nikt inny go nie widzi?

– Być może chodzi o to, że aby go dostrzec, trzeba być obdarzonym określoną magiczną zdolnością. Jeśli tak jest, powinnaś sprzedawać te figurki na targu w Cytadeli, gdzie przebywa wielu magów.

– Istotnie, nie spotkałam w życiu wielu magów – powiedziała zadumana. – Czy możesz zabrać jeden z moich posążków i sprawdzić swoją teorię?

– Oczywiście, choć pod pewnym warunkiem.

– Zrobię wszystko, co zechcesz!

– Że pozwolisz mi za niego zapłacić.

– Och, przecież...

– Powiedziałaś – wpadłam jej w słowo, wzmacniając to gestem ręki – że zgodzisz się na wszystko.

– Dobrze, ale policzę ci cenę hurtową – odparła ze śmiechem. – Wiem, którą figurkę ci dam. Jest w fabryce. – Zbiegła po schodach

i wypadła na dwór.

Zimny powiew nocnego powietrza przypomniał mi, że musimy wracać do zajazdu. Podziękowałam rodzicom Opal za kolację. Powiedzieli mi, że Leif poszedł z Marą do fabryki.

Znalazłam tam Opal, która wręczyła mi paczuszkę wielkości pięści, owiniętą w kilka warstw materiału dla ochrony kruchej zawartości.

– Otwórz ją później – powiedziała. – Zamierzałam dać ci inną figurkę, ale ta do mnie... zawołała. Wiem, że to zwariowane.

– Słyszałam dziwniejsze rzeczy. Po powrocie do Twierdzy zawiadomię cię w liście, jak przebiegł eksperyment. – Ostrożnie włożyłam paczuszkę do plecaka i zarzuciłam go na ramiona, a potem zapłaciłam za posążek. – Nie wiesz, gdzie się podział Leif?

Opal oblała się rumieńcem.

– Myślę, że spodobała mu się Mara. Są na zapleczu w mieszalni. Mara powinna tam odmierzać porcje piasku.

Przeszłam pomiędzy piecami do wypalania szkła, stołami warsztatowymi i skrzynkami z gotowymi wyrobami. Rozgrzane powietrze przypiekało mi skórę. Z płonących węgli unosiły się cienkie smużki szarego dymu i przez kominy wypływały na zewnątrz. Rodzina Opal używała do ogrzewania pieców specjalnego białego węgla, wydobywanego w kopalniach w Górach Szmaragdowych.

W pomieszczeniu na zapleczu przy tylnej ścianie stał długi stół pełen głębokich mis do mieszania piasku. Leif i Mara pochylali się nad jedną z nich, ale zamiast spoglądać na jej zawartość, wpatrywali się w siebie nawzajem. Maseczki z materiału, mające chronić przed unoszącym się w powietrzu drobnym pyłem, mieli zsunięte na szyje.

Odczekałam chwilę, zanim im przeszkodziłam. Dłonie Mary były pokryte piaskiem, który oprószył też włosy Leifa. Mój brat wyglądał młodziej niż zwykle, a jego twarz promieniała z radości. Takim nigdy go dotąd nie widziałam. Pomyślałam, czy w Twierdzy ma jakąś dziewczynę, na której mu zależy? Uświadomiłam sobie, jak niewiele wiem o jego prywatnym życiu.

Cofnęłam się kilka kroków, żeby mnie nie zobaczyli, a potem zawołałam Leifa na tyle głośno, by usłyszał pomimo hałasu pieców. Kiedy znów weszłam w pole widzenia, mój brat stał z dala od Mary, a z jego włosów zniknął piasek.

– Robi się późno. Musimy wracać – powiedziałam.

Leif skinął głową, ale się nie poruszył. Pojęłam aluzję i wyszłam z fabryki.

Na dworze silny wiatr przeganiał chmury, a prześwitami między nimi wlewał się blask księżyca. Po chwili brat dołączył do mnie i ruszyliśmy z powrotem do gospody. Ponieważ się nie odzywał, zagadnęłam:

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie – odparł, a po kilku krokach zapytał: – Dowiedziałaś się od Jaymesa czegoś o Verminach?

– Mieszkańcy Booruby obawiają się ich, ale nie wiedzą, gdzie mogą przebywać, o ile w ogóle są w mieście. – Opowiedziałam mu też o szklanych zwierzątkach Opal.

Wydawał się zaintrygowany magicznym wątkiem tej sprawy.

– Powiadomiłeś Marę o ucieczce Ferdego z więzienia? – spytałam.

– Nie. Ostrzegłem ją tylko, żeby była bardzo ostrożna.

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu. Zimny wiatr przenikał przez moją bluzkę. Żałowałam, że nie wzięłam płaszcza. Booruby leży na skraju strefy o umiarkowanym klimacie i po ciepłych popołudniach następują tu chłodne noce.

– Lubię ją – oświadczył Leif, przerywając ciszę. – Dotąd nigdy nikogo nie lubiłem. Byłem zbyt zmartwiony i zaabsorbowany poszukiwaniem ciebie, bym mógł troszczyć się o kogoś innego. Dręczyłem się tym, że nie potrafiłem zapewnić ci bezpieczeństwa, a kiedy cię uprowadzano, nie ruszyłem palcem w twojej obronie. Dlatego odnalezienie ciebie stało się dla mnie ważniejsze niż moje własne życie.

– Leif, miałeś wtedy osiem lat i zginąłbyś, gdybyś próbował powstrzymać Mogkana przed porwaniem mnie. Postąpiłeś słusznie.

– Wolałbym zostać zabity. Wtedy przynajmniej nie odczuwałbym wyrzutów sumienia, niepokoju ani strachu. Troska o kogoś innego jest czymś okropnym, a jednocześnie cudownym. Nie wiem, czy mam dość siły, by troszczyć się jeszcze o kogoś innego oprócz ciebie. Jak sobie z tym radzisz?

– Skupiam się na cudownych aspektach i staram się jakoś przetrwać te okropne, wiedząc, że kiedyś przeminą.

– Czy polubiłaś Valka od pierwszego wejrzenia?

– Nie. Początkowo nasze stosunki miały charakter wyłącznie zawodowy. Kiedy go poznałam, zaoferował mi wybór: stryżek albo zostanie kolejną testerką sprawdzającą potrawy komendanta. Rodzice wiedzą, że przyjąłem tę funkcję, lecz nie znają powodu. Któregoś dnia opowiem im o torturach, którym poddawał mnie Reyad.

– A kiedy narodziło się w tobie uczucie do Valka?

– To trudne pytanie... Zapewne wtedy, gdy pierwszy raz uratował mi życie.

Opowiedziałam Leifowi o iksjańskim święcie ognia i o tym, jak Irys wynajęła czterech zbirów, by mnie zgładzili, ponieważ obawiała się, że moja magia może wybuchnąć w niekontrolowany sposób i zniszczyć źródło magicznej mocy.

– Zatem gdy pierwszy raz spotkałaś mistrzynię Jewelrose, usiłowała cię uśmiercić? A wcześniej powiedziałaś mi, że Valek też dwukrotnie próbował cię zabić. O rety, Yeleno, nie jesteś zbyt lubianą osobą, co?

– Wtedy okoliczności wyglądały zupełnie inaczej – broniłam się.

– Wszystko to wydaje się nazbyt skomplikowane. Nie powinienem wiązać się z Marą.

– To byłby wybór łatwej i bezpiecznej drogi. Ale bezpieczeństwo jest nudne. Dlaczego ją lubisz?

– Pachnie jak dżungla w piękny bezchmurny dzień. To delikatna woń kwiatów ylang-ylang zmieszana ze słodkim aromatem soczystej trawy i mocnym zapachem orzechów. Zapach Mary może cię otulić i ukoić. Tak pachną tylko suche słoneczne dni, a są tak rzadkie jak nieskazitelnie białe valmury. – Leif odetchnął głęboko. – Ona ma kojącą harmonijną duszę.

– A więc zapewne warto starać się ją zdobyć. Może być wiele deszczowych dni, ale te piękne i pogodne sprawiają, że zapomina się o deszczu.

– Czy mówisz to z własnego doświadczenia?

– Owszem.

Dotarliśmy do oberży Pod Trzema Duchami i weszliśmy do środka. Księżycowy Człowiek i Tauno siedzieli przy jednym ze stołów w sali jadalnej, obecnie pełnej gości.

Tauno przyciskał do skroni zakrwawioną szmatkę, dolna warga krwawiła.

– Co się stało? – zapytałam, gdy dosiedliśmy się do przyjaciół. – Gdzie jest Marrok?

Na twarzy Tauna malowało się przygnębienie. Zerknął na snującego opowieść, jakby pytając o pozwolenie.

– Znaleźliśmy Verminów – rzekł i skrzywił się. – A raczej powinienem powiedzieć, że oni nas znaleźli. Pięciu żołnierzy oraz Złodziej Dusz i Cahil. Otoczyli nas, zawlekli do jakiegoś budynku i zagrozili, że nas zabiją. Cahil odciągnął Marroka na bok i rozmawiał z nim na osobności. Roześmieli się i wyszli razem jak para najlepszych przyjaciół. – Tauno przyłożył dłoń do żeber i wzdrygnął się z bólu. – Pozostali rzucili się na mnie. Straciłem przytomność, a gdy się ocknąłem, dom był pusty.

– Kiedy to się stało? – spytałam.

– Dziś rano.

– Oczywiście bardzo się cieszę, że Tauno żyje, ale zastanawiam się, dlaczego go nie zabili – odezwał się Księżycowy Człowiek.

Po chwili namysłu powiedziałam:

– Urowadzenie jeńca ludnymi ulicami byłoby trudne, a gdyby
zaczekali do zmroku, żeby użyć go przy odprawieniu rytuału kirakawy,
ryzykowaliby, że ktoś ich znajdzie.

– Więc dlaczego po prostu go nie zamordowali? – rzucił
Księżycowy Człowiek.

– Ponieważ chcą, byśmy wiedzieli, że mają Marroka – rzekł Leif.

– Jako zakładnika? – spytał snujący opowieść.

– Nie. Marrok wyszedł z Cahilem. Jawnie chełpią się tym, że jest
teraz po ich stronie – powiedziałam. – I dowiedzieli się od niego
wszystkiego, w tym także i to, w której oberży się zatrzymaliśmy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Sądzisz, że nas tutaj zaatakują? – zapytał Leif.

Zerknęłam na ogień płonący w kominku jadalni. Czy Ognisty Warper zaryzykuje ujawnienie się przed innymi gośćmi?

– Mogą obserwować gospodę i podążyć za nami. Zaczekają, aż znajdziemy się w jakimś ustronnym miejscu i dopiero wtedy przypuszczą atak – powiedział Księżycowy Człowiek.

– To bardzo pocieszające – mruknął Leif.

Sięgnęłam myślą do Kiki. Drzemała w stajni, ale obudziła się, gdy nawiązałam z nią delikatny mentalny kontakt. Gdyby Verminowie czaili się w pobliżu zajazdu, ona i pozostałe konie byłyby niespokojne.

– Jakiś zapach? – spytałam.

– Noc. Słoma. Słodkie siano.

Czyli chwilowo wszystko w porządku.

– Kiki ma pomóc? – zapytała. – Będzie patrzeć, nasłuchiwać i węszyć dla ciebie.

– A jeśli się zmęczysz?

– Wtedy Rusałka. I Garnet. Po kolei.

– Dobry pomysł. Przyjdę otworzyć bramę.

– Niech Lawendowa Pani zostanie. Kiki to zrobi.

Uśmiechnęłam się, przypomniawszy sobie, jak otworzyła zamknięte na zasuwę drzwi boksu w stajni Twierdzy, kiedy zaatakował mnie Goel, jeden z ludzi Cahila, który żywił do mnie urazę. Goel nie zauważył Kiki i chyba nawet nie wiedział, kto go kopnął, dopóki nie ocknął się pośród potrzaskanych desek płotu pastwiska.

– Yeleno, śpisz? – Leif szturchnął mnie w ramię.

– Skądże!

– Więc co zrobimy? – spytał.

– Dziś jest już za późno na przeprowadzkę do innego zajazdu. Kiki i pozostałe konie będą obserwować otoczenie oberży i zaalarmują mnie, jeśli ktokolwiek się zbliży.

– Och, końska straż. Jak miło – rzucił ironicznie i wskazał na kominek. – A jeśli Ognisty Warper wyskoczy z paleniska? Nie sądzę, że wpadnie tu tylko dlatego, że skusi go potrawka pani Floranne.

– Może w takim razie zgasimy ogień?

– Nie, bo w oberży robi się zbyt zimno, a rano pani Floranne nie będzie miała płonących węgli, żeby przyrządzić śniadanie.

– Leif, czy ty zawsze myślisz tylko o swoim brzuchu? – burknęłam.

– Nie ma żadnego innego sposobu?

– No dobra, wystawimy wartę w budynku – powiedziałam z westchnieniem. – Ile drzwi wejściowych ma gospoda? – zapytałam Księżycowego Człowieka.

– Dwoje. Frontowe wychodzą na ulicę, natomiast tylne są

w kuchni.

– A co z piętrem? Czy z kuchni prowadzą na górę drugie schody?

– Tak, ale możemy zaryglować drzwi do naszego korytarza.

– Świetnie. Każde z nas obejmie dwugodzinną wartę. Będę musiała odpocząć po wyleczeniu Tauna, więc nie wezmę pierwszej zmiany. Zacząć może Księżycowy Człowiek, a potem straż przejmie kolejno Leif, ja i Tauno.

Wyszliśmy, zostawiając w jadalni snującego opowieść. Pomogłam Taunowi dojść do jego pokoju. Sztywny i obolały, poruszał się powoli i ostrożnie. Kiedy ułożył się wygodnie w łóżku, zaczerpnęłam ze źródła magicznej mocy i zbadłam Tauna. Nie licząc dwóch złamanych żeber, doznał jedynie lekkich obrażeń. Wpatrywałam się intensywnie w jego rany, dopóki nie przeniosły się na mnie. Zgięłam się wpół z bólu, który potem odepchnęłam od siebie.

Tauno podziękował mi uściśnięciem ręki i niemal natychmiast usnął. Poczłapałam do swojego łóżka, jednak nie czułam się tak wyczerpana jak poprzednio. Niewykluczone, że moje zdolności uzdrowicielskie rozwinęły się wskutek praktyki. Albo może przywykłam polegać na mojej magii?

– Yeleno, zbudź się! – zawołał Leif, potrząsając mnie za ramię.

Zerknęłam na niego spod ciężko opadających powiek. Postawił na stole latarnię.

– Sama ustaliłaś rozkład wart. Wstawaj. – Ściągnął ze mnie koc. – Zwykle dowódcy nie pełnią straży razem ze swoimi żołnierzami. Wysypiają się w nocy, żeby rano podjąć trafne decyzje.

Trąc oczy, usiadłam na skraju łóżka.

– Nie jestem dowódcą, a wy nie jesteście żołnierzami.

– Mylisz się. Prowadzisz nas i wiesz, co należy robić.

– Ja...

Leif przytknął mi palec do ust.

– Nic nie mów. Chcę... nie, muszę wierzyć, że wiesz, co robisz. Dzięki temu jest mi o wiele łatwiej wypełniać twoje polecenia, zwłaszcza gdy odgrywam rolę przynęty dla piętnastometrowego węża.

– Doskonale. Zatem trzymam wszystko w garści i nie potrzebuję wiele snu, ponieważ mam już obmyślane wszelkie kroki, które musimy podjąć. I jak, zadowolony?

– Tak. – Wyciągnął się na łóżku.

– Spokojnych snów. – Wzięłam latarnię.

– Teraz już takie będą.

Korytarz gospody był ciemny i cichy. Sprawdziłam drzwi wychodzące na schody kuchenne. Były mocno zaryglowane. Świetnie. Schodząc do jadalni, rozmyślałam o słowach Leifa. Może istotnie podejmuję decyzje, ale nie uważałam, że posiadam wystarczający zasób wiedzy, aby być dowódcą. Nadal kierowałam się głównie instynktem.

Valek nauczył mnie strategii wojskowej i przeprowadzania tajnych operacji, a moi iksjańscy przyjaciele, Ari i Janco, wyćwiczyli mnie w walce wręcz. Dzięki odbywanym późną nocą lekcjom z Jankiem potrafię wytrychem otwierać zamki. Niestety moje zajęcia z Irys z zakresu magii przerwało dążenie Ferdego do zdobycia władzy nad Sycją.

Musi istnieć jakiś magiczny sposób odnalezienia Ferdego i przeciwstawienia się Ognistemu Warperowi. Ponieważ jednak nie przeczytałam wszystkich tych uczonych ksiąg z dziedziny magii i historii, a także nie spenetrowałam moich magicznych talentów, by poznać ich granice, Ognisty Warper był dla mnie egzaminem, do którego się nie przygotowałam, testem, którego zapewne nie zaliczę. Czułam się bezradna i zagubiona.

Moje kroki rozbrzmiały echem w pustej sali jadalnej. Obeszłam cały parter, by się upewnić, że nie wtargnął żaden intruz, dopiero potem zapaliłam latarnię i wyszłam do koni. Zimne nocne powietrze przenikało przez mój płaszcz.

Kiki stała w alejce obok gospody. Ciemna sierść wtapiała się w mrok, ale biała strzałka na pysku odbijała światło księżyca.

– Zapachy? – Podrapałam ją za uszami.

– Świeże. Żadnych złych.

– Jakież kłopoty?

Parsknęła z rozbawieniem.

– Dwaj mężczyźni i kobieta.

Odtworzyła w moim umyśle obraz dwóch mężczyzn okradających kobietę. Byli tak pochłonięci przeszukiwaniem pakunków, że nie zauważyli podchodzącej cicho Kiki. Cicho, ponieważ Kiki, podobnie jak wszystkie inne konie klanu Sandseed, odmawiała noszenia metalowych podków.

Klacz odwróciła się i z wytrawną precyzją wierzgnęła zadnimi nogami. Rabusie wylądowali pół przecznicy dalej, a kobieta wgapiła się

w Kiki oczami szeroko rozwartymi ze zdziwienia, a potem popędziła w przeciwnym kierunku. Ciekawe, co robiła na ulicy o tak późnej porze?

– Pewnie zaczniesz rozpowiadać wszem i wobec, że uratowałam ją
duch konia – rzekłam do Kiki. – Może od tej pory oberża będzie się
nazywać Pod Czterema Duchami.

– Lubię duchy. Są ciche.

– Widzisz je?

– Tak.

– Gdzie?

– Tutaj. Tam. W różnych miejscach.

– Tutaj? – Rozejrzałam się wokoło. Ulica wydawała się pusta. –
Nie widzę żadnego ducha.

– Zobaczysz. – Trąciła nosem mój płaszcz i zaczęła węszyć po
kieszeniach. – Lubię też miętówki.

Dałam jej parę.

– Powiesz mi coś więcej o tych duchach?

– Nie.

Wycofała się w głąb alejki, a ja wróciłam do gospody. Płomień
latarni migotał, gdy robiłam kolejny obchód kuchni oraz pokoiów na
piętrze. Następnie usadowiłam się w pobliżu paleniska. Węgla jarzyły
się resztką żaru. Tłumiąc obawy, dorzuciłam kilka polan, by rozpalić
niewielki ogień i zagotować wodę na herbatę. Miałam nadzieję, że
maleńkie płomyczki nie wystarczą, by mógł się z nich wyłonić Ognisty

Warper.

Być może jego rozmiar zależy od wielkości ognia. Roześmiałam się, wyobraziwszy sobie kilkunastocentymetrowego Ognistego Warpera wyskakującego z paleniska. Jednak świadomość, że wystarczy mu jeden płomień, by rozniecić ogień, zwarzyła mój dobry humor.

Szukając w plecaku liści herbaty, natrafiłam na paczuszkę od Opal. Byłam ciekawa, które szklane zwierzątko ją wezwało, więc rozwinęłam grubą tkaninę. Grafitowo-szary nietoperz z zielonymi oczami niemal ożył w moich rękach. Zaskoczona, omal go nie upuściłam. Jednak chociaż skrzydła wielkości dłoni miał rozpostarte, nie wzleciał w powietrze. W jego wnętrzu pulsowała magia Opal, a nie życie. Przyjrzawszy mu się dokładniej, dostrzegłam na tułowiu i skrzydłach srebrzyste ciapki.

Przez moje ramię przebiegło ożywcze mrowienie. Zadumałam się nad zaletami wynikającymi z tego, że się jest nocnym stworzeniem. Czy teraz, gdy całe miasto śpi, potrafiłabym namierzyć Marroka albo Cahila? Wyciągnęłam nitkę z koca magicznej energii, wysłałam umysł na zewnątrz i napotkałam pogmatwany splot licznych marzeń sennych. Wokoło wciąż było zbyt wielu ludzi, bym mogła ich rozróżnić, więc się wycofałam.

Woda w czajniku nad paleniskiem zaczęła wrzeć. Niechętnie włożyłam figurkę z powrotem do plecaka i znalazłam liście herbaty. Znad parującej filiżanki przyjrzałam się niewielkiemu ogieńkowi i rozważyłam, czy nie spróbować skontaktowania się z Bainem Bloodgoodem. Drugi mag mógłby mi poradzić, jak mam znaleźć konkretnego człowieka pośród tych tłumów.

Cytadela znajdowała się w odległości trzech dni konnej jazdy. W zwykłych okolicznościach to zbyt wielki dystans, bym mogła sięgnąć tam umysłem, jednak desperacja zwiększała mój zasięg. Niestety traciłam kontrolę nad kierunkiem, w którym wysyłałam duchową

świadomość. Poza tym Bain mógł spać, a wówczas jego mentalna obrona byłaby nie do pokonania. Postanowiłam więc poczekać do rana.

Ogarnęła mnie nieprzeparta senność. Kilkakrotnie obeszłam jadalnię, żeby nie zasnąć. Kiedy usiadłam, mój wzrok przykuły płomienie pełgające w palenisku. Pulsowały w rytmie uderzeń mego serca. Ich taniec zdawał się tworzyć sensowny układ, jakby usiłowały mi zakomunikować coś ważnego.

Uklękłam przy palenisku. Pomarańczowe i żółte języki płomieni przyzywały mnie.

– Chodź – zapraszały. – Przyłącz się do nas. Obejmij ramionami ogień.

Przysunęłam się jeszcze trochę bliżej. Fale żaru pieściły mi twarz.

– Przyjdź. Musimy ci coś powiedzieć...

– Co? – Gdy nachyliłam się nad ogniem, płomienie zatrzeszczały, syknęła płonąca żywica i rozszedł się ostry swąd spalonych włosów.

– Yeleno!

Chłodny, rozsądny głos Księżycowego Człowieka otrzeźwił mnie i wyrwał z transu. Gwałtownie odskoczyłam od paleniska i zatrzymałam się dopiero na tylnej ścianie jadalni. Przebiegł mnie zimny dreszcz.

– Dziękuję – wyjąkałam.

– Wyczułem, że dzieje się coś złego – powiedział, schodząc po schodach. – Obudziłem się i miałem wrażenie, że mój koc się pali.

– Dobrze, że przyszedłeś.

– Co się stało?

– Nie jestem pewna. – Szczelniej owinęłam się płaszczem. –
Chyba ujrzałam w ogniu jakieś dusze.

– Uwięzione?

Parsknęłam ostrym śmiechem. Gdybym powiedziała o tym komukolwiek innemu, uznałby to za bredzenie wariatki, lecz Księżykowy Człowiek chciał tylko usłyszeć szczegóły, których jednak nie potrafiłam mu podać.

– Nalegały, bym się do nich przyłączyła.

Zmarszczywszy brwi, zapatrzył się w palenisko.

– Nie powinnaś zostawać sama przy ogniu. Dokończę wartę Tauna.

– Tauno? – powtórzyłam zdziwiona.

Spojrzałam w okno. Zasłona ciemności już zbladła. Straciłam poczucie czasu i nie obudziłam Tauna, żeby przejął po mnie straż. To zły znak.

– Idź się przespać – powiedział snujący opowieść. – Kiedy się obudzisz, będziemy musieli obmyślić plan działania.

Ze snu wyrwał mnie ogłuszający dźwięk dzwonka pani Floranne. Leif usiadł na łóżku, zasłaniając uszy przed hałasem. Po chwili z ulgą powitaliśmy ciszę.

– Za chwilę znów zaczniesz dzwonić, jeśli nie zejdziemy na śniadanie – powiedział.

Nie potrzebowałam innego bodźca. Odrzuciłam koc i wyszłam z pokoju w ślad za bratem. Dosiedliśmy się w jadalni do Księżycowego Człowieka i Tauna. W zatłoczonej gospodzie rozbrzmiewał gwar licznych rozmów. Właścicielka nalewała herbatę, pracownicy roznosili śniadanie. Powietrze przesycił zapach słodkiego syropu.

Dobrze przespana noc posłużyła Taunowi. Z jego twarzy znikła opuchlizna, a sińce, jeszcze wczoraj jaskrawoczerwone, wyraźnie zbladły. Poruszając się, już nie krzywił się z bólu.

Przy śniadaniu, złożonym z chleba, miodu i jajek, omówiliśmy nasze następne posunięcie.

– Powinniśmy przeszukać miasto – stwierdził Leif. – Dzielnicę po dzielnicy, aż znajdziemy Verminów albo ustalimy, że ich tu nie ma.

– To by zabrało zbyt wiele czasu – zawyrokował Księżycowy Człowiek, nakładając jajecznicę na kromkę chleba.

– Oni wyjechali – oznajmił Tauno.

– Skąd wiesz? – Przestałam jeść.

– Mówili, że zamierzają opuścić Booruby.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam tego wieczorem? – Mocno wbiłam widelec w jajko.

– Byłem oszołomiony bólem, dopiero teraz sobie przypomniałem.

– Czy to czyni jakąś różnicę? – rzucił Leif.

Dobre pytanie. Tauno, choć podleczony, nadal był w kiepskiej formie, lecz jego obrażenia nie zagrażały życiu, więc mogłabym zostawić go tutaj. Tylko co potem? Mam zbadać okoliczne lasy za

pomocą magii? Nie wiedziałam, w jakim kierunku udali się Verminowie, którzy mieli nad nami niemal cały dzień przewagi.

– Prawdopodobnie nie. – Westchnęłam. – Tauno, czy pamiętasz coś jeszcze? Mówili, dokąd pójda?

– Wyczułem tylko, że się śpieszą. Być może właśnie z braku czasu mnie nie zabili.

– Myślę, że najlepszą dla nich strategią byłoby utrzymanie nas w niepewności co do losu Marroka, żebyśmy zachodzili w głowę, czy jest martwy, czy żyje, i co ewentualnie im powiedział. – Wypiłam łyk herbaty. – Jednakże Cahil uważa się za sprytniejszego od wszystkich i zapewne sądzi, że wiadomość o zdradzie Marroka każe nam zwątpić w naszą intuicję i spowolni pościg. – Cahil już wcześniej próbował ze mną tej taktyki. Gdy sądził, że jestem szpiegiem Iksji, zwabił mnie w pułapkę, a potem, by osłabić moje morale, usiłował mnie przekonać, że to sprawka Leifa. Lecz ten podstęp mu się nie udał, teraz też się nie powiedzie.

– Więc co robimy, Yeleno? – spytał brat.

Drzwi jadalni otworzyły się z hukiem i w progu stanął Marrok z zakrwawionym mieczem w ręku.

Zerwaliśmy się od stołu, dobywając broń. Rozmowy gości urwały się, w sali zapadła martwa cisza.

– Chodźcie. – Marrok, wciąż stojąc w drzwiach, skinął na nas mieczem. – Ruszajmy, zanim nas dopadną.

– Kto? – zapytałam.

– Cahil i jego... jego... kompani. – Wycedził te słowa z obrzydzeniem, jakby splunął. – Uciekłem im. – Twarz miał bladą

z przerażenia, z rany na szyi ciekła krew. – Zgubiłem ich, ale wiedzą, że tu jesteście.

– Ilu ich jest?

– Siedmiu. – Marrok się wyprostował.

– Jak są uzbrojeni? – dociekałam dalej.

– Mają miecze, szable i kurarę.

– Kiedy mogą się tu zjawić?

Zerknął przez ramię i zamarł. Upuścił miecz, który upadł z brzękiem na kamienną podłogę. Mocarna dłoń pchnęła Marroka i przygniotła go do ziemi. Do sali wpadli Cahil, Ferde i pięciu Verminów.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Verminowie i Cahil ruszyli z bronią wymierzoną w nas. Dwaj Verminowie mieli szable, dwaj miecze, a jeden trzymał przy wargach dmuchawkę ze strzałką.

– Niech nikt się nie rusza – polecił Cahil.

Jego długi pałasz wyglądał groźnie. Goście w jadalni pozostali na swoich miejscach. Byli to kupcy i sprzedawcy, ani jednego żołnierza.

Marrok nie podniósł się z podłogi. Jeden z Verminów stanął nad nim, mierząc ostrzem szabli w gardło.

Zerknęłam na Tauna.

– Powiedziałaś, że wyjechali z miasta.

Twarz miał bladą i chociaż trzymał w ręku łuk, jednak nie nałożył strzały na cięciwę. Księżycowy Człowiek przyglądał się Verminom, jakby oceniał odległość między ich szyjami a swoją szablą. Maczeta Leifa błyszczała w promieniach słońca wpadających przez otwarte drzwi.

– Zmiana planów – rzekł Cahil.

Jego jasne włosy urosły, sięgały do ramion i nie były związane. Poza tym wyglądał tak samo jak dawniej: szary strój podróżny, czarne buty do konnej jazdy, bladoniebieskie oczy i wyraz zajadłej nienawiści na zarośniętej twarzy.

– Mój przyjaciel pragnął wymienić Marroka na Yelenę – powiedział, wskazując głową Ferdego.

Zauważyłam, że użył słowa „przyjaciel”. Jak może nazywać tę kreaturę swoim przyjacielem?

Ręcznie tkane spodnie i tunika Złodzieja Dusz zakrywały większość czerwonych tatuaży na jego ciele. W jednej ręce trzymał szablę, w drugiej dmuchawkę, spoglądając na mnie z chłodnym wyrachowaniem. Był szczupły, sprężysty i mocno zbudowany, wyczułam jednak, że jego zdolności magiczne nadal są osłabione. Niemniej serce ścisnął mi skurcz lęku.

– Mam nadzieję, że zabrałeś ze sobą jeszcze kilku warperów – rzekłam do Cahila. – Ten Złodziej Dusz w żadnym razie nie jest w stanie pokonać trojga magów.

– Może nie udało mi się zdobyć władzy – odezwał się Ferde. – Ale teraz służę innemu, który opanował krwawą magię.

Jeszcze nim dosięgła mnie fala żaru, usłyszałam ryk płomieni. Zerknęłam przez ramię i stwierdziłam, że ogień w palenisku spotężniał. Zgroza popchnęła mnie do działania, jeszcze zanim pojawił się Ognisty Warper.

Wyciągnęłam nić z koca magicznej mocy i posłałam ją Księżycowemu Człowiekowi.

– Załatw mężczyznę z dmuchawką. Ja zajmę się Ferdem. – Gdy potwierdził, powiedziałam: – Leif, zaatakuj tego nad Marrokiem, a potem zwiąż walką Cahila.

– Kiedy? – spytał.

– Teraz! – zawołałam i wysłałam moją świadomość do umysłu Ferdego. Ominięłam mentalną obronę i przejęłam kontrolę nad jego ciałem. Nauczyłam się tego fortelu, kiedy pojmał mnie Goel. Zakuta w łańcuchy i pozbawiona broni z wyjątkiem magii, przeniosłam moją

duszę do ciała Goela.

Gdy Ferde się zorientował, że wdarłam się do jego umysłu, skupił całą energię na tym, by mnie wyrzucić. Nie zważałam na jego wysiłki, choć groził, że zabije mnie tak jak inne swoje ofiary.

Uderzyła we mnie fala wspomnień: kakofonia rozpaczliwych krzyków, stęchły zapach krwi i widok potwornie okaleczonych ciał. Mroczne pragnienie Ferdego zdobycia władzy poprzez tortury i gwałty nappełniło mnie wstrętem.

Aby go powstrzymać, ścisnęłam jego duszę i wyzęłam ją, odsłaniając wszystkie ukryte lęki oraz przeżycia z dzieciństwa, które wywołały w nim potrzebę panowania i dominacji. Ukochany wujek związał go i zgwałcił. Starsza siostra dręczyła go, a ojciec nim pomiatał. A w końcu, gdy zaufał matce i zwierzył się jej, co go spotkało ze strony wuja, oskarżyła go o kłamstwo i za karę odesłała z powrotem, by nadal u niego mieszkał.

Jakiś snujący opowieść mógłby pomóc Ferdemu rozsuptać splątane w węzeł nici życia, lecz ja wyszarpnęłam je i rozerwałam. Znów stał się bezbronną ofiarą. Przejrzałam jego pamięć, szukając każdego strzępka informacji o Daviianach Verminach. Kiedy skończyłam, spojrzałam przez jego oczy.

Moje ciało spoczywało na podłodze w stanie śpiączki. Księżycowy Człowiek walczył z jednym z Verminów, a obok leżał bezgłowy trup drugiego. Cahil natarł na Leifa, którego maczeta nie mogła sprostać dłuższemu pałaszowi. Mój brat wkrótce będzie musiał się poddać. Tauno nadal był w tym samym miejscu, jakby wrósł w ziemię. Marrok zdołał wstać i walczył na miecze z Verminem w pobliżu innych zwłok. Goście zajazdu utworzyli łańcuch i podawali sobie wiadra wody, by zgasić ogień w palenisku.

Choć wydawało mi się, że przebywam w ciele Ferdego już całą

wieczność, w rzeczywistości minęły zaledwie sekundy. Uniosłam jego ręką dmuchawkę do warg i wycelowałam najpierw w Cahila, a potem wystrzeliłam zatrute kurarą strzałki w pozostałych przy życiu Verminów, kładąc w ten sposób kres bitwie.

Wiedziałam, że woda nie powstrzyma Ognistego Warpera, gdy jednak jego kohorta została pokonana, sam też zrezygnował z walki.

– Do następnego razu, nietoperzyku – rzucił do mnie.

Po chwili ogień zgasł z sykiem i buchnął kłęb tłustego czarnego dymu.

Powróciłam do swojego ciała. Członki ciążyły mi jak z ołowiu. Leif pomógł mi dźwignąć się na osłabłe nogi.

Zjawiła się pani Floranne, nerwowo mnąc skraj fartucha.

– Co mamy teraz zrobić? – spytała bezradnie.

– Niech pani wyśle kogoś po straż miejską. Będziemy potrzebowali pomocy przy odtransportowaniu jeńców do Cytadeli – powiedziałam.

– Tak, już wysyłam chłopca stajennego.

– Czy wszyscy zostali trafieni kurarą? – zapytał Leif, wskazując na leżące ciała.

Popatrzyłam na Ferdego, który osunął się bezwładnie na podłogę.

– Wszyscy oprócz niego. Przejrzałam jego duszę. Nie sprawi nam już żadnych kłopotów.

– Jak długo?

– Nigdy.

– Uważasz, że postąpiłaś rozsądnie? – zapytał Księżycowy Człowiek. Na piersi miał krzyżujące się cięte rany, szabla ociekała krwią. – Mogłaś osiągnąć ten sam rezultat, nie niszcząc jego umysłu.

– Ja...

Leif natychmiast stanął w mojej obronie:

– Chwileczkę, czy nie ty niedawno powiedziałaś, że chcecie wytepić wszystkich Verminów? Gdybyś miał okazję, odrąbałbyś mu głowę. Poza tym zasłużył na to, co go spotkało. Zresztą to i tak bez znaczenia. Roze zrobiłaby z nim to samo, gdyby zjawił się w Cytadeli. Yelena tylko oszczędziła jej fatygi.

Poczułam w sercu lodowate ukłucia igiełek lęku. W głowie ponownie rozbrzmiały mi słowa brata: „Roze zrobiłaby to samo”. Miał rację. Podjęłam magiczną akcję wobec Ferdego, nie zadając sobie trudu, by najpierw rozważyć jej konsekwencje.

Jakbym ogłosiła wszem wobec:

– Nie wchodźcie mi w drogę. Jestem wszechmocną Poszukiwaczką Dusz!

Wezbrał we mnie wstręt do samej siebie. Książki historyczne nie przedstawiały Poszukiwaczy Dusz w korzystnym świetle. W moim umyśle wyłonił się obraz Płomienistej Mnie palonej na stosie. Może członkowie Rady i Roze mają rację, że się mnie obawiają. Po tym, co uczyniłam Ferdemu, lękałam się, że mogę się stać żądnym władzy tyranem.

– Musimy jak najszybciej opuścić miasto – powiedział

Księżycowy Człowiek.

Znów zebraliśmy się w sali jadalnej. Straż miejska uwięziła wczoraj Cahila i pozostałych. Cały dzień zajęło nam wyjaśnienie włodarzom Booruby, dlaczego ścigaliśmy grupę Cahila, aż wreszcie udało się nam ich przekonać, żeby odesłali więźniów do Cytadeli. Leif i Marrok mieli wyruszyć tam z oddziałem strażników. Ja zamierzałam wraz z Księżycowym Człowiekiem i Taunem udać się do siedziby klanu Sandseed na Równinie Avibiańskiej.

– Niepokoisz się o swój klan – zwróciłam się do snującego opowieść.

– Tak. Poza tym uważam, że zanim znów zetrzemy się z Verminami, musimy dowiedzieć się więcej o rytuale kirakawy i Ognistym Warperze, a także lepiej poznać zakres twoich magicznych zdolności.

– Ale przecież wasz klan zapomniał szczegółów tego rytuału – odezwał się Leif. – Skąd chcesz zdobyć wiedzę o nim?

– Możemy poradzić się Gedego. Jest, podobnie jak ja, snującym opowieść, a także potomkiem Guyana, więc być może ma więcej informacji na temat rytuału kirakawy – odrzekł Księżycowy Człowiek, po czym podwędził mi imbirową babeczkę.

Chociaż miałam ochotę usłyszeć coś więcej o tym, jak Guyan ponownie zjednoczył klan Sandseed po wojnie domowej z wojownikami ludu Efe, jednak uwaga Księżycowego Człowieka przypomniała mi, że powinnam skontaktować się wreszcie z Irys i zrelacjonować jej ostatnie wydarzenia.

Skończyliśmy śniadanie i poczyniliśmy przygotowania do drogi. Księżycowy Człowiek i Tauno poszli osiodłać konie, natomiast ja i Leif zamierzaliśmy porozumieć się z czwartą maginią.

Wróciliśmy do naszego pokoju i położyłam się na łóżku.

– Myślisz, że uda ci się nawiązać z nią kontakt z takiej odległości?
– zapytał Leif.

– Mam nadzieję, ale mogę potrzebować zastrzyku twojej energii.

Usiadł na skraju mojego łóżka. Zamknęłam oczy, zaczerpnęłam magiczną moc i wysłałam świadomość w kierunku Twierdzy Magów. Po drodze ominęłam chaotyczną plątaninę umysłów mieszkańców Booruby i dotarłam do rozległych pól na wschodniej granicy terenów klanu Greenblade. Napotkałam kilka zwierząt domowych, które kuliły się przed porywistym wilgotnym wiatrem.

Przebyłam jałowe ziemie uprawne i skierowałam się ku białym marmurowym murów Cytadeli, lecz moja świadomość rozciągnęła się już w cieniutką nić. Gdy Leif ujął mnie za rękę, poczułam, że fala energii pchnęła mój umysł dalej. Jednak nie potrafiłam sforsować murów Cytadeli, gdyż wysiłek pokonania tak wielkiego dystansu całkowicie mnie wyczerpał.

Brat ścisnął mi rękę i wstał. Zaczął grzebać w swoim plecaku i zanim zdołałam zapytać, czego szuka, podał mi zwinięty żółty liść.

– Zjedz go – polecił. – Pokrzepi twoje siły.

Liść pachniał miętą ogrodową i rozmarynem. Dziwne połączenie. Gdy go zgryzłam, poczułam intensywny gorzki miętowy smak i liść rozpuścił mi się w ustach jak bibułka.

– Fuj! Co to jest?

– Liść krzewu baka. Jedno z odkryć naszego ojca.

Po chwili poczułam się lepiej. Spakowaliśmy plecaki i dołączyliśmy w stajni do Księżycowego Człowieka i Tauna. Wsiedliśmy na konie. Leif i Marrok pojechali na Rusałce do miejskiego garnizonu, gdzie kapitan miał pożyczyć wierzchowca od strażników na drogę do Cytadeli.

Reszta nas ruszyła na wschód zatłoczonymi ulicami Booruby. Tauno siedział ze mną na Kiki, a Księżycowy Człowiek dosiadał Garneta.

Gdy znaleźliśmy się na Równinie Avibiańskiej, konie przeszły w swój bieg szybki jak poryw wiatru. Podróżowaliśmy aż do zachodu słońca. Dopiero wtedy zatrzymaliśmy się na nocleg w ponurej i jałowej części równiny. Z piasku wyrastało tylko kilka źdźbeł trawy, nie było żadnych drzew, które dostarczyłyby drewna na ognisko.

Gdy tylko zeskoczyliśmy z siodła, Tauno udał się na obchód terenu. W tym czasie Księżycowy Człowiek i ja zajęliśmy się końmi. Kiedy były już nakarmione, napojone i wytarte, wyjął olejne orzechy, które dostał od Leifa. Było to jedno ze znalezisk mojego ojca. Olejne orzechy palą się wystarczająco długo, by można było ugotować warzywa na wodzie. Nocne powietrze pachniało wilgocią, co zapowiadało deszcz.

Ułożyłam krąg z orzechów wielkości pięści, a Księżycowy Człowiek podpalił je, krzesząc iskrę dwoma kamieniami. Ciekawe, że snujący opowieść nie potrafią wzniecać ognia za pomocą magii.

Wrócił Tauno z dwoma królikami ustrzelonymi z łuku. Obdarł je ze skóry i włożył mięso do gotujących się warzyw.

Po kolacji zapytałam Księżycowego Człowieka o Guyana.

– Co zaszło między władcami ludu Efe?

– Przed ponad dwoma tysiącami lat Efeńczycy byli pokojowo nastawionym koczowniczym plemieniem. Pędzili bydło przez równinę w ślad za zmieniającymi się porami roku. – Księżycowy Człowiek oparł się o siodło Garneta i mówił z rosnącym zapalem: – Młodzi mężczyźni, zanim zostali uznani za pełnoprawnych członków plemienia, musieli odbyć roczną pielgrzymkę i przynieść z niej nową opowieść. Do naszych czasów dotrwał przekaz, że Hersh wędrował wiele lat i powrócił do plemienia z wiedzą o krwawej magii. Najpierw nauczył kilku magów z ludu Efe, zwanych wojownikami, jak powiększyć magiczną potęgę za pomocą prostych obrzędów wymagających kropli ich krwi. Ta dodatkowa moc mogła być użyta tylko do określonego celu i zniknęła po jego osiągnięciu. Później Hersh pokazał im, jak mają mieszać swoją krew z atramentem i tworzyć tatuaże na skórze. Uzyskiwana w ten sposób moc była trwała, dzięki czemu stali się potężniejszymi wojownikami. Szybko odkryli, że użycie krwi innych ludzi daje większą moc, a największą zapewnia krew wzięta z komór serca. – Wstał zapatrzony w czarne niebo. – Problem z wykorzystywaniem krwawej magii polega na tym, że człowiek coraz bardziej się od niej uzależnia. Chociaż wojownicy ludu Efe stali się potężni, wciąż pragnęli większej mocy. Dla dopełnienia obrzędu nie zabijali członków własnego ludu, tylko kupowali jeńców od sąsiednich klanów. Nie zadowalało ich już pędzenie bydła przez równinę i poszukiwanie pożywienia. Zamiast tego zaczęli kraść innym wszystko, czego potrzebowali. Te rabunki ciągnęły się przez wiele stuleci i trwałyby dalej, gdyby Guyan nie położył im kresu. Zachował czystość swojej magii i wstrząśnięty potwornościami, których był świadkiem, zgromadził stronników i wydał wojownikom bitwę. Jej szczegóły z czasem zostały zapomniane, ale wiadomo, że zaczerpnięto taką ilość magii, która wystarczyła, by zrównać z ziemią góry Daviian i rozerwać powłokę magicznej energii. Po odniesieniu zwycięstwa Guyan zgromadził ocalałych członków klanu i ustanowił funkcję snującego opowieść. Magowie obdarzeni tą godnością pod przewodnictwem Guyana ostatecznie zjednoczyli plemię i zszyli powłokę magicznej mocy – zakończył Księżycowy Człowiek i ziewnął.

Porównałam jego opowieść z tym, czego wcześniej dowiedziałam się o historii Sycji.

– Naprawdę można naprawić źródło magii? Czytałam o magu, który owinał się powłoką magicznej energii i trzeba było dwustu lat, żeby ją wygładzić.

– Guyan był pierwszym snującym opowieść – odezwał się Tauno, który przez cały czas trwania relacji Księżycowego Człowieka siedział w kamiennym bezruchu. – Dzięki niewiarygodnej potędze potrafił zszyć powłokę mocy, lecz od tego czasu nie pojawił się nikt, kto posiadałby ten nadzwyczajny dar.

Księżycowy Człowiek przytaknął skinieniem głowy, po czym dodał:

– Powłoka nie jest bez skazy. Są w niej dziury, rozdarcia i przetarte miejsca. Pewnego dnia może ulec całkowitemu zniszczeniu, a wtedy uprawianie magii przestanie być możliwe.

Od strony ogniska dobiegł głośny trzask. Zerwałam się na nogi. To pękł i rozpadł się ostatni olejny orzech, pozostawiając naszą trojkę w ciemnościach. Tauno zaoferował się, że pierwszy obejmie wartę, więc Księżycowy Człowiek i ja rozłożyliśmy nasze posłania.

Lecz nie mogłam usnąć. Leżałam w płaszczu, trzęsąc się z zimna, i rozmyślałam o źródle magicznej mocy. Kiedy jakiś czas temu dowiedziałam się o dziurach w powłoce magicznej energii, zwanych Otchłaniami, przeżyłam przykre zaskoczenie. Zostałam zawleczona przez Aleę Daviian do obszaru pozbawionego magii, gdzie zamierzała mnie torturować, a potem zabić. Czułam się kompletnie bezradna, gdyż nie mogłam uzyskać dostępu do magicznej energii, a poczucie bezsilności dodatkowo potęgował fakt, że byłam przywiązana do wozu. Lecz Alea popełniła błąd, gdyż nie przeszukała mnie, dzięki czemu mogłam posłużyć się nożem sprężynowym i uciec.

Alea chciała też zebrać moją krew. Pomyślałam teraz, czy zamierzała użyć jej do odprawienia rytuału kirakawy. Zapewne już nigdy się tego nie dowiem. Nie mogę przecież zapytać martwej kobiety. A może jednak mogę? W moim umyśle pojawił się obraz unoszących się nade mną niewidzialnych duchów. Przebiegł mnie lodowaty dreszcz strachu.

Rano zjedliśmy na śniadanie zimną suszoną wołowinę i ser. Księżycowy Człowiek oceniał, że późnym popołudniem dotrzemy do głównego obozu klanu Sandseed.

– Próbowałem skontaktować się mentalnie ze starszyzną – oznajmił – jednak teren obozowiska otacza mocna bariera ochronnej magii. Albo mój lud zdołał odeprzeć szturm Verminów, a magiczna tarcza stanowi obronę przed kolejnym atakiem, albo Daviianie zdobyli obóz i sami się chronią.

– Miejmy nadzieję, że wydarzyło się to pierwsze – powiedziałam.

Jechaliśmy cały dzień, tylko raz przystając na krótki popas. Pod wieczór zatrzymaliśmy się, zanim dotarliśmy do miejsca, gdzie można by nas dostrzec z obozu. Tauno miał udać się na zwiady.

Zdjął łuk i kołczan, a potem w ubraniu oblał się wodą i wytarzał w piaszczystej ziemi. Piasek przyłgnał do niego, dzięki czemu Tauno tak doskonale wtapiał się w otoczenie, że gdy ruszył naprzód, niemal natychmiast straciliśmy go z oczu.

Przechadzałam się nerwowo tam i z powrotem, natomiast Księżycowy Człowiek był spokojny i pogodny.

– Denerwowanie się niczego nie zmieni – odrzekł na moje niewypowiedziane pytanie. – Wolę zachować energię na czas działania.

– Naturalnie, masz rację, ale niekiedy logika przegrywa z emocjami.

Wzruszył ramionami. Opanowałam niepokój i skoncentrowałam się na tym, co mogłam teraz zrobić.

– Zapachy? – zapytałam Kiki.

– Słodkie. Dom – odpowiedziała. – Swędzi.

Do jej sierści o miedzianej barwie przyłgnęły grudy błota. Poszperałam w plecaku i znalazłam szczotkę oraz zgrzebło. Wciąż jeszcze wyczesałam klacz, gdy wrócił Tauno.

– Obóz jest bezpieczny – oznajmił. – Jeśli zaraz wyruszymy, dotrzemy przed zmrokiem.

Kiedy przygotowywaliśmy się do drogi, opowiedział nam, co zobaczył:

– Wszystko wyglądało normalnie. Yanna prała odzież, a Jeyon obdzierał ze skóry zająca. Podpełzłem bliżej i ujrzałem, że starsi klanu zażarcie spierają się o coś przy ognisku. Dzieci odbywały lekcje, a młodzieńcy ćwiczyli szermierkę drewnianymi mieczami. W słońcu suszyło się wiele głów.

– Czyich głów? – spytałam.

– Naszych wrogów – wyjaśnił Księżycowy Człowiek rzeczowym tonem, jakby wystawianie na pokaz odciętych ludzkich głów było czymś najzwyczajniejszym w świecie.

– To dobry znak. Świadczy o tym, że wygraliśmy tę bitwę – zauważył Tauno, jednak nie wyglądał na zadowolonego.

– Rozmawiałeś z kimś? – zapytałam.

– Tak. Jeyon zapewnił mnie, że wszystko jest w porządku. Nie chciałem tracić czasu przed zapadnięciem zmroku na wypytywanie o szczegóły. – Popatrzył w niebo. – Z przyjemnością zjem w obozie gorący posiłek i ogrzeję się przy ogniu.

Przyznałam mu rację. Wsiadł ze mną na grzbiet Kiki, a Księżycowy Człowiek dosiadł Garneta. W świetnych humorach pogalopowaliśmy do obozowiska Sandseed. Zmierzchało, gdy ujrzelśmy białe namioty oraz licznych członków klanu zgromadzonych wokół ogniska. Kilku mieszało kipiącą zawartość wielkich kotłów, a ja rozpoznałam rozkoszny zapach duszonej sarniny. Mniemam. Inni machali do nas, gdy się zbliżaliśmy. Zwolniliśmy do kłusa.

Rozgrzane powietrze drżało. Spenetrowałam teren magią, ale wyczułam tylko silną barierę ochronną, o której wspomniał Księżycowy Człowiek. Obóz nie sprawiał wrażenia iluzji, lecz miałam niewielkie doświadczenie w jej wykrywaniu.

Gdy przekraczaliśmy magiczną barierę, zdwoiłam czujność. Nawet Tauno, który siedział za mną w siodle, mocniej objął mnie w pasie. Lecz widok się nie zmienił, członkowie klanu Sandseed wciąż wyglądali tak samo. Gdy wstrzymaliśmy konie, podeszło do nas trzech mężczyzn i dwie kobiety, podczas gdy reszta powróciła do swoich zajęć.

Na twarzach kobiet malował się niepokój, a może nawet smutek i żaloba. Widocznie klan w walce poniósł straty. Mężczyźni chwycili wierzchowce za uzdy, co mnie zdziwiło, jako że przecież tresowali swoje konie, by zachowywały się spokojnie. Kiki się cofnęła. Trzymałam ją za grzywę, gdy wyrwała się mężczyznom.

– Zły zapach – powiedziała.

Blask ognia zaśnił na stali. Odwróciłam się i zobaczyłam, że

z namiotów wypada tłum uzbrojonych Verminów.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Brzęknęła cięciwa łuku Tauna.

– Uciekajmy! – wrzasnęłam.

Kiki się wyswobodziła, ale dwaj ludzie z klanu Sandseed mocno trzymali Garneta za uzdę. Zerknęłam w bok i zorientowałam się, że od najbliższego z Verminów dzielą nas tylko trzy metry.

Wyciągnęłam z uchwytu plecaka kij. Kiki odwróciła się i wierzgnięciem zadnich nóg powstrzymała nadbiegających Daviianów, a ja rąbnęłam w skroń człowieka z klanu Sandseed trzymającego Garneta. Gdy osunął się na ziemię, poczułam wyrzuty sumienia. Najpewniej zmuszono go, by wciągnął nas w zasadzkę. Nie pozwoliłam jednak, by współczucie powstrzymało mnie przed zaatakowaniem drugiego z mężczyzn trzymającego Garneta.

– Uciekajmy! – zawołałam znowu.

Wiedziałam, że mimo szabli Księżycowego Człowieka, strzał Tauno i mojego kija, którym posługiwałam się jak maczugą, nie sprostamy w walce przeważającym siłom wroga. Było tylko kwestią czasu, kiedy nas pokonają. Pośród tętentu, zgrzytu stali i bitewnych okrzyków nasze konie odbiegły od obozowiska i przeszły w swój bieg szybki jak poryw wiatru.

Jechaliśmy niemal przez całą noc, by jak najbardziej oddalić się od Verminów. Wreszcie konie zwolniły i zwiesiły łby, dysząc ciężko. Ich sierść lśniła od potu.

Do świtu pozostały zaledwie dwie godziny. Zsiedliśmy z wierzchowców i rozsiodłaliśmy je. Podczas gdy oprowadzałam konie, aby ochłoneły, Księżycowy Człowiek i Tauno poszli upolować coś do

jedzenia i poszukać drew na ognisko.

Nikt z nas się nie odzywał. Wciąż jeszcze byliśmy wstrząśnięci nieoczekiwaną napaścią. Konsekwencje tego zdarzenia wydawały się zbyt potworne, by je teraz rozważać.

W milczeniu znów zjedliśmy potrawkę z królika. Zastanawiałam się, jak powinniśmy teraz postąpić.

– Starsi klanu... – Głos Księżycowego Człowieka zabrzmiał nienaturalnie głośno w wilgotnym nocnym powietrzu.

– Jeszcze żyją – rzekł Tauno. – Na razie.

– Czy ich zabijają? – Przeszedł mnie dreszcz na wspomnienie czaszek suszących się w słońcu.

– Zasadzka na nas się nie powiodła, więc już ich nie potrzebują – stwierdził Księżycowy Człowiek, a potem dodał po namyśle: – Choć być może zatrzymają ich jako niewolników. Verminowie lubią wyręczać się innymi w codziennych zajęciach.

– Za to chętnie własnoręcznie dokonują rytualnych mordów, by zyskać magiczną potęgę – powiedziałam – Mieliśmy szczęście. – Znów przemknęły mi przez głowę obrazy niedawnej potyczki. – Sądzicie, że niektórym z waszych ludzi udało się zbiec?

– Możliwe. Jednak w takim razie opuścili równinę – odrzekł Księżycowy Człowiek, po czym dumął przez chwilę. – Klan Sandseed nie utrzymuje już ochronnej magicznej bariery nad Równiną Avibiańską, więc przebywanie w tym rejonie byłoby dla jego członków zbyt niebezpieczne. Obecnie Verminowie używają ochronnej magii, by ukryć swoją obecność. Jednak ponieważ im uciekliśmy, przypuszczam, że posłużą się nią, by nas odszukać i ponownie zaatakować.

– Zatem nie powinniśmy pozostawać tu zbyt długo. Czy zdołamy się zorientować, jeśli nas odnajdą?

– Możemy utworzyć magiczną barierę, która zaalarmuje nas o ataku i być może powstrzyma wstępny szturm.

– Trzeba osiodłać konie, na wypadek gdybyśmy musieli szybko uciekać – powiedziałam, wstając.

– To rozsądny pomysł – stwierdził Księżycowy Człowiek i także się podniósł, by mi pomóc.

Kiki parsknęła zirytowana, gdy zacisnęłam popręg.

– Zmęczona – powiedziała. – Nie trzeba. Pachnie dobrze.

– Na razie, ale gdy pojawi się zły zapach, będziemy mogli szybciej odjechać. – Dałam jej kilka miętówek i podrapałam za wielkimi uszami. Westchnęła i przymknęła oczy.

Gdy konie były już przygotowane do drogi, znów usiedliśmy przy ognisku.

– Może zgaśmy ogień. – Nie śmiałam posłużyć się magią, jako że Ognisty Warper mógłby wyczuć mnie poprzez płomienie.

Księżycowy Człowiek zalał ognisko wodą i w powietrze uniosły się kłęby szarego dymu.

– Yeleno, wyciągnij nić magicznej energii, a ja zrobię resztę – powiedział.

Skoncentrowałam się i zebrałam pasma magii. Księżycowy Człowiek wziął je ode mnie i utkał z nich sieć wokół nas. Zaniepokojony Tauno przyglądał się nam z napiętym i ponurym

wyrazem twarzy. Z nas trojga on jeden nie posiadał magicznych zdolności, toteż nie mógł dostrzec otaczającej nas bariery ochronnej.

Kiedy Księżycowy Człowiek ukończył swoje dzieło, odłączyłam się od źródła magicznej mocy. Czułam się kompletnie wyzuta z sił. Sieć pulsowała magiczną energią, choć już jej nie dostarczaliśmy. Dziwiłam się, jak może nadal działać. W trakcie moich wcześniejszych prób magia zniknęła, gdy tylko wypełniłam zamierzone zadanie. Z wyjątkiem stałej mentalnej łączności z Kiki i Irys, ilekroć chciałam kogoś uzdrowić lub wysłać na zewnątrz moją świadomość, musiałam zaczerpnąć ze źródła magicznej energii. Jednakże magowie klanu Sandseed potrafili tworzyć bariery ochronne bez konieczności ich nieustannego podtrzymywania, a także posługiwać się innymi zaklęciami, których efekt również był trwały.

Z mojej pamięci wypłynął obraz noża w apartamencie Valka. Kiedy Valek zabijał króla Iksji, konający władca rzucił przekleństwo, aby jego krew na zawsze splamiła ręce zabójcy. Ponieważ jednak Valek jest odporny na wszelką magię, klątwa przeszła na narzędzie zbrodni. Na ostrzu noża wciąż widać krew króla, równie żywą i jasną jak w dniu, gdy został zamordowany.

Zapytałam Księżycowego Człowieka, jak to się dzieje, że ochronna sieć przez cały czas pozostaje aktywna.

– Zazwyczaj po prostu przepuszczamy magiczną energię przez nas, lecz niekiedy udaje się nam zapętlić jej przepływ i zawrócić do źródła. To bardzo trudne, teraz zdołałem tego dokonać, ponieważ poleciłem ci zaczerpnąć magię, dzięki czemu zachowałem dość sił, by związać ją i skierować z powrotem do źródła. Aby stworzyć olbrzymie bariery ochronne, takie jak pokrywająca Równinę Avibiańską i strzegąca klanu Sandseed... – Urwał, gdyż załżała go fala żalu i smutku. Zamknął oczy i dopiero gdy zapanował nad emocjami, podjął: – Utworzenie ogromnych magicznych pętli wymaga zbiorowego wysiłku wielu magów, ale za to mogą funkcjonować przez długi czas. Ochronna

bariera, którą właśnie stworzyliśmy, przetrwa tylko kilka godzin, po czym zniknie, to jednak wystarczy, by konie odpoczęły.

– A co zrobimy potem? – zapytałam, lecz on tylko popatrzył na mnie w milczeniu. Wspomniałam słowa Leifa, że to ja pełnię funkcję dowódcy, i sama odpowiedziałam sobie na to pytanie: – Opuścimy równinę, ruszymy do Cytadeli i powiadomimy Radę o działaniach Verminów.

– Mam nadzieję, że radni już będą o tym wiedzieli. Niedobitki klanu Sandseed zapewne udały się do Cytadeli. – Księżycowy Człowiek spochmurniał. – O ile w ogóle ktokolwiek ocalał.

Czekanie, aż konie odzyskają nieco sił, okazało się niełatwe. Ochronna sieć rozbłyskiwała, ilekroć Verminowie za pomocą magii przeszukiwali ten rejon. Jak dotąd sieć skrywała nas przed nimi, lecz każda kolejna próba osłabiała włókna.

Chęć ucieczki walczyła we mnie z potrzebą snu. Starłam się zachować czujność, na wypadek gdyby Verminowie zaatakowali, ale co chwila zapadałam w drzemkę, aż wreszcie niebo rozjaśnił brzask jutrzeńki.

Koniom wystarczyło tych kilka godzin odpoczynku. Dosiedliśmy ich i ruszyliśmy szybkim galopem na północny zachód. Podczas krótkich popasów Księżycowy Człowiek sprawdzał, czy Verminowie nie wytropili nas magią, a ja wysyłałam na zwiady świadomość, by ustalić, czy nie podążają za nami. W pośpiechu pozostawialiśmy na równinie wyraźny ślad, który dostrzegały nawet moje niewprawne oczy.

Gdy byliśmy dwie godziny jazdy od granicy Równiny Avibiańskiej, zatrzymaliśmy się na dłuższy odpoczynek. Księżycowy Człowiek oznajmił, że Verminowie zgubili nasz trop, a ja nie wyczuwałam ich w pobliżu.

Podróżowaliśmy od piętnastu dni i osiągnęliśmy już zamierzony cel, choć Daviianie nadal nam zagrażali.

Gdy wytarłam i oporządziłam konie, poczułam zapach gotującej się nad ogniskiem potrawy z królika. Obok garnka siedział zgarbiony Tauno, jakby przygniatał go wielki ciężar. Od wczoraj wypowiedział jedynie kilka słów. Być może czuł się winny, że wpakował nas w zasadzkę. Rozważyłam przedyskutowanie z nim tej kwestii, ale uznałam, że może wolałby porozmawiać o tym z Księżycowym Człowiekiem. Ciekawe, czy Księżycowy Człowiek jest jego snującym opowieść? Każdy członek klanu Sandseed ma swojego snującego opowieść, który przez całe życie kieruje nim i udziela rad.

Rozejrzałam się i zdałam sobie sprawę, że Księżycowy Człowiek nie wrócił z poszukiwania drewna, chociaż przy ognisku leżała sterta suchych gałęzi.

– Tauno, gdzie on poszedł? – zapytałam.

Odpowiedział, nawet nie podnosząc głowy:

– Wezwano go do świata cieni.

– Wezwano? Czy to znaczy, że jakiś inny snujący opowieść ocalał po ataku Verminów?

– Będziesz musiała jego o to spytać.

– A kiedy wróci?

Tauno zignorował moje pytanie. Zirytowana przeszukałam pobliski obszar i znalazłam leżące na ziemi ubranie Księżycowego Człowieka. Zawróciłam w kierunku ogniska i wpadłam na niego.

Zachwiałam się zaskoczona i pewnie bym upadła, gdyby nie

chwycił mnie za ramię.

– Gdzie byłeś? – spytałam.

Przyjrzał mi się z niepokojącą intensywnością. W jego brązowych oczach zamigotał błękitny ogień. Próbowałam się wyswobodzić, lecz mnie nie puścił.

– Oni są martwi – rzekł bezbarwnym głosem. – Wszyscy snujący opowieść i reszta klanu Sandseed nie żyją. Ich dusze nawiedzają świat cieni. – Mocniej ścisnął mi ramię.

– Jesteś ranny... – zaczęłam.

– Możesz im pomóc.

– Ale ja nie...

– Samolubna dziewczyno! Wolałabyś stracić swoje magiczne zdolności, niż ich użyć. I właśnie tak będzie. Staniesz się czyjaś niewolnicą.

– Stale używam moich zdolności – odparłam wstrząśnięta.

– Każdy mag potrafi leczyć, ale ty uciekasz przed swoją prawdziwą mocą, a inni przez to cierpią.

Dotknięta i zraniona, daremnie usiłowałam uwolnić się z jego chwytu. Aby nie wyrządzić mu krzywdy, wniknęłam w jego umysł. Oplatały go grube szare pasma magicznej energii. Wciąż jeszcze znajdował się we władzy świata cieni. Moje starania, by przeciąć te więzy, nie powiodły się.

– Wzywa nas świat cieni – powiedział.

Zaczął znikać, a moje ciało stało się półprzezroczyste. Zamierzał zabrać mnie w miejsce, gdzie, jak się obawiałam, nie będę mogła uzyskać dostępu do magii. Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam nóż sprężynowy. Otworzyłam go i cięłam Księżycowego Człowieka po brzuchu. Zadrżał i puścił mnie, a potem osunął się na ziemię, przewrócił się na bok i zwinął w kłębek.

Popatrzyłam na jego nieruchomą postać. Szare pasma magicznej mocy zniknęły, ale nie byłam pewna, w jakim jest stanie psychicznym. Być może załamał się pod wpływem szoku i żalu, nie bardzo jednak w to wierzyłam, ponieważ dotąd zachowywał się spokojnie i rozważnie.

Uklękłam przy nim. Jego koszula przesiąkła krwią płynącą z rozciętego brzucha. Zaczerpnęłam magiczną moc i skupiłam się na ranie. Zaczęła pulsować czerwonym światłem, po chwili ból przeszył mój brzuch. Skuliłam się, skoncentrowałam na ranie, która przeniosła się na mnie, i uleczyłam ją.

Kiedy skończyłam, Księżycowy Człowiek chwycił mnie za rękę. Próbowałam ją wyrwać, ale ścisnął mocno. Wzdrygnęłam się, gdy do mojego umysłu wtargnęły obrazy ciał pozbawionych głów. Tłoczyły się wokół mnie tak blisko, że czułam smród rozkładu, i domagały się pomsty. Nastąpił kolejny wstrząs i moje zmysły zaatakowała wizja masakry. W nozdrza uderzył mnie swąd płonących ludzkich płynów ustrojowych i odór śmierci. Widziałam krew wsiąkającą w piasek. Potwornie okaleczone zwłoki leżały rzucone bezładnie, z pogardą pozostawione na żer sępom.

Księżycowy Człowiek usiadł i popatrzył mi w oczy.

– Czy właśnie to widziałeś w świecie cieni? – spytałam cicho.

– Tak. – W jego oczach pojawiła się zgroza.

– Przekaż mi te wspomnienia. – Gdy wyczułam jego wahanie,

dodałam: – Nigdy ich nie zapomnę.

– Czy pomożesz tym ludziom?

– A ty nie potrafisz?

– Umieję pomagać tylko żywym.

– Powiesz mi, jak mam to zrobić, czy znów uraczysz mnie niejasną brednią?

– Nie chcesz się uczyć. Odmawiasz ujrzenia tego, co cię otacza.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Jego twarz wykrzywił grymas bólu, a blask w oczach zmatowiał. Pojęłam, że Księżycowy Człowiek nie będzie w stanie żyć ze straszliwą wiedzą o cierpieniach swego ludu.

– Oddaj mi te wspomnienia – powtórzyłam. – Spróbuję pomóc twoim ludziom, ale jeszcze nie teraz.

W myśli dołączyłam ukojenie zmarłych członków klanu Sandseed do długiej listy spraw do załatwienia. To będzie drobnostka po tym, gdy już poradzę sobie z Ognistym Warperem. Chociaż wiedziałam, że oszukuję samą siebie, dodałam do tej listy również zdobycie umiejętności latania i zmieniania kamieni w złoto. Cóż, trzeba mierzyć siły na zamiary.

Księżycowy Człowiek uwolnił się od zamętu wywołanego potwornymi wizjami. Nie zapomni tych obrazów, ale nie będą go już dręczyć i przygniatać. Przyjęłam do swojej duszy jego żal, poczucie winy i ból. Tyle cierpienia i krwi. I wszystko po to, by wzmóc potęgę Verminów. Tylu umarłych... zbyt wielu. Jak ich ukoić? Być może powstrzymując Verminów przed powiększaniem ich mocy. A jeśli

spróbują ponownie? Może powinnam zniszczyć powłokę magicznej energii, by uniemożliwić wszystkim ludziom posługiwanie się magią? Byłby to drastyczny i desperacki sposób, być może w ogóle nieosiągalny.

Księżycowy Człowiek puścił moją dłoń i wstał.

– Czy to prawda, co powiedziałeś o mojej przyszłości? – spytałam.

– Tak. Staniesz się czyjąś niewolnicą. – Uznavszy rozmowę za zakończoną, wrócił do ogniska.

W milczeniu zjedliśmy potrawkę z królika, potem spakowaliśmy się, dosiedliśmy koni i puściliśmy się galopem ku granicy Równiny Avibiańskiej. Kiedy dotarliśmy do drogi biegnącej między równiną a polami uprawnymi klanu Greenblade, skręciliśmy na północ w stronę Cytadeli i spowolniliśmy do stępa. O tak późnej porze droga była zupełnie pusta.

Wydostawszy się poza Równinę Avibiańską, zyskaliśmy przynajmniej iluzję bezpieczeństwa, niemniej zdecydowałam, że przejedziemy jeszcze spory kawałek, zanim zatrzymamy się na noc.

Następne trzy dni wlokły się niemiłosiernie. Prawie w ogóle nie odzywaliśmy się do siebie, i ta cisza stawała się coraz bardziej kłopotliwa. W głowie wciąż słyszałam słowa Księżycowego Człowieka o mojej przyszłości, które rozstrajały mi nerwy niczym irytujący przenikliwy zgrzyt. Pragnęłam się dowiedzieć, kto i kiedy zmusi mnie do zostania niewolnicą, lecz snujący opowieść odpowiadał na moje pytania zagadkowymi uwagami, a mnie brakło sprytu, by je rozszyfrować. W miarę jak posuwaliśmy się na północ, aura stawała się coraz bardziej zimna i wilgotna, a jednej nocy spadł deszcz ze śniegiem, czyniąc naszą wędrówkę jeszcze bardziej uciążliwą.

Trzeciego dnia moim oczom ukazał się wreszcie upragniony widok

białych marmurowych murów Cytadeli i przynagliłam Kiki do galopu. Od osiemnastu dni przebywałam poza Twierdzą Magów i zatęskniłam za Irys, moją mentorką, która odpowiadała na moje pytania z krzepiącą bezpośredniością, oraz za pozostałymi przyjaciółmi.

Wjechaliśmy przez południową bramę w zewnętrznym murze i poprowadziliśmy konie ulicami Cytadeli. Po chodnikach pełnych błota śpieszyli mieszkańcy w strugach przeraźliwie zimnego deszczu, a posępne szare światło spowijało marmurowe budowle. W powietrzu unosił się zapach wilgotnych wełnianych ubrań. Skierowaliśmy się do gmachu Rady, ulokowanego wraz z innymi rządowymi budynkami w południowo-wschodniej części Cytadeli.

– Dom? – spytała Kiki, spoglądając tęsknie na cztery wieże Twierdzy Magów.

– Już niedługo – odpowiedziałam. – Na razie odpoczniesz tutaj. – Stajnie dla wierzchowców radnych mieściły się na tyłach gmachu. – Przynajmniej schronicie się przed deszczem.

Odprowadziliśmy konie do stajni i weszliśmy do holu. Strażnik poinformował nas, że zebranie Rady właśnie się skończyło, więc powinniśmy się pośpieszyć, jeśli chcemy zastać radnych, zanim opuszczą budynek. Weszłam do wielkiej sali obrad i spostrzegłam Irys pogrążoną w rozmowie z Bainem Bloodgoodem, drugim magiem. Radni i ich asystenci stali w niewielkich grupkach, dyskutując żywo. Z ostrych i pełnych napięcia głosów wywnioskowałam, że obrady nie przebiegły gładko. Ogarnął mnie lęk.

Księżycowy Człowiek i Tauno podeszli do radnego ich klanu, Haruna Sandseeda. Trzymałam się na uboczu, nie chcąc im przeszkadzać. Lecz Irys zbliżyła się do mnie szybko z surową oficjalną miną czwartej magini. Była wyraźnie zatroskana. Przyjrzałam się uważniej grupkom radnych i odkryłam powód jej niepokoju.

Cahil stał z Roze Featherstone i jednym z radnych. Śmiał się i rozmawiał. Najwyraźniej czuł się tutaj całkiem swobodnie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Podeszłam do Cahila. Powinien gnić w więziennym lochu za pomaganie mordercy, a nie stać pośrodku wielkiej sali obrad i rozmawiać z Roze. Mój niepokój wzrósł, kiedy spostrzegłam również kilku Verminów.

Jednak Irys złapała mnie za ramię i odciągnęła na bok.

– Teraz nie pora na to – powiedziała.

– Co tu się dzieje? – rzuciłam niecierpliwie.

Rozejrzała się po sali. Kilku radnych stało na tyle blisko, że mogli nas podsłuchać, toteż przeszła na naszą myślową komunikację.

– Cahil utrzymuje, że przez cały ten czas wykonywał tajną misję – powiedziała. – Twierdzi, że nie uwolnił Ferdego.

– Dlaczego ktokolwiek miałby mu uwierzyć?

– Ponieważ Roze potwierdziła jego wersję wydarzeń.

Doznałam niemal fizycznego wstrząsu. Miałam nadzieję, że błędnie ją zrozumiałam, jednak posepna mina Irys harmonizowała z jej słowami.

– Sprawa przedstawia się jeszcze gorzej – ciągnęła. – Cahil mówi, że przyłapał Marroka, kiedy uwalniał Ferdego, a podczas przesłuchania kapitana ustalił, że Ferde zdąży już na spotkanie z innymi Verminami. Cahil rzekomo śledził Złodzieja Dusz, by poznać jego zamiary.

– To absurd. Wiemy przecież, że Cahil skatował Marroka, bo chciał poznać prawdę o swoim pochodzeniu.

– Mamy tylko słowa Cahila przeciwko słowom Marroka, ponieważ nie istnieje żaden dowód świadczący o tym, kto naprawdę uwolnił Ferdego. Zwłaszcza że nie możemy przesłuchać Złodzieja Dusz. – Irys zmarszczyła brwi. – O twoich działaniach porozmawiamy później, ale cokolwiek wydobyłaś z umysłu Ferdego, nie może zostać wykorzystane jako dowód.

– Dlaczego?

– Ponieważ można podejrzewać, że nie byłaś bezstronna wobec Złodzieja Dusz. Wiem, że to nieprawda – dodała szybko czwarta magini, uprzedzając mój protest – ale kiedy radni odkryją, co zrobiłaś Ferdemu, pogłębi się ich strach przed tobą jako Poszukiwaczką Dusz i poświadczy zasadność ostrzeżeń wygłaszanych przez Roze.

Westchnęłam. To potwierdziło również moje obawy.

– Gdzie jest teraz Ferde?

– W więzieniu Cytadeli. Czeka, aż Rada podejmie decyzję, co z nim zrobić. Osobiście uważam, że wyrok śmierci będzie dla niego łaską.

Bardzo mnie zabolalo jej potępienie, a zarazem poczułam wyrzuty sumienia, jednak zdołałam odsunąć od siebie myśli o Ferdem i skupiłam się na Cahilu. Musi istnieć jakiś sposób ukazania Radzie prawdy o jego postępowaniu.

– A gdzie Marrok? I co powiedział?

– Został zatrzymany w celu przesłuchania. Twierdzi, że nie uwolnił Ferdego, argumentuje, że nie miał żadnego powodu, by to zrobić. Jednak Cahil utrzymuje, że Marrok chciał go obciążyć odpowiedzialnością za ucieczkę więźnia, gdyż pragnął stanąć na czele

jego oddziału. Mówi również, że został okłamany przez Marroka co do swego pochodzenia, bo naprawdę jest potomkiem królewskiego rodu.

Poczułam w głowie zamęt. Cahil najwyraźniej miał odpowiedź na każdą wątpliwość.

– Czemu więc podróżował z Ferdem?

– Twierdzi, że działał w ramach tajnej misji. Kiedy dogonił Ferdego, przekonał go, że chce wesprzeć plany jego i pozostałych Verminów. Mówi, że kiedy z nimi wędrował, udało mu się przeciągnąć kilku z nich na naszą stronę. – Irys wskazała grupę Daviianów w sali obrad.

– Czy wspomniał o Ognistym Warperze i o tym, że Verminowie posługują się krwawą magią?

– Nie, ale Leif usiłował to zrobić i zdyskredytować Daviianów w oczach Rady. Wielu radnych uznało, że twój brat przesadza i przedstawia Verminów w nazbyt czarnym świetle. Niestety Leif ma opinię pesymisty, który wszędzie wietrzy zagrożenia, co obniża jego wiarygodność.

– Czy Cahil wyjawiał, jakie są plany Verminów? – zapytałam, choć nie do końca chciałam usłyszeć odpowiedzi Irys. Przygotowałam się na najgorsze.

– Według niego przywódcy Daviianów mają konszachty z komendantem Iksji. Wspólnie zamierzają wymordować członków Rady oraz mistrzów magii, a kiedy zapanuje chaos, zaoferują Sycjanom pomoc w walce z Iksjanami. Jednak w rzeczywistości nie dojdzie do żadnej wojny, a Verminowie obejmą w Sycji dyktatorską władzę.

Było to całkowicie zgodne z obawami żywionymi przez Radę, odkąd komendant Ambrose przejął rządy w Iksji. Jeśli dodać do tego

wrogość, jaką wzbudziła w Sycji wizyta pani ambasador Iksji, nie ulegało wątpliwości, że radni chętnie uwierzą w kłamstwa Cahila. Dojdą do wniosku, że Roze miała rację, ostrzegając ich przed komendantem, a ja nie dysponowałam żadnym dowodem, który mógłby ich przekonać, że się mylą.

– A co z moim szkoleniem? – zapytałam.

Irys, choć to wydawało się niemożliwe, jeszcze bardziej sposepniała.

– Radni zezwolili, by Roze oceniła twój udział w tych wydarzeniach i ustaliła, jak wielkie zagrożenie stanowisz dla Sycji.

– Nie wątpię, że ta ocena będzie całkowicie bezstronna – rzekłam zgryźliwie. – Czy przysługuje mi w tej kwestii prawo głosu?

– Nie, ale mistrzowie magii wystąpią w charakterze świadków. Wszyscy z wyjątkiem mnie, ponieważ z powodu naszej przyjaźni zakwestionowano mój obiektywizm.

Księżycowy Człowiek i Tauno skończyli rozmawiać z Harunem i ruszyli w naszym kierunku.

– Czy słyszałaś o masakrze dokonanej na klanie Sandseed? – zapytałam Irys.

– Tak. To straszna wiadomość. Dostarczyła Cahilowi kolejnego dowodu na realność zagrożenia ze strony Daviiianów. Rada przygotowuje armię sycjańską do wojny. – Nie musiałam nic mówić, gdyż Irys ujrzała pytanie w moich oczach. – Wojny przeciwko Daviiianom i Iksji – sprecyzowała.

A więc tyle zostało z mojej funkcji rozjemcy. Dotąd miałam nadzieję zapobiec zbrojnemu starciu pomiędzy Sycją a Iksją, jednak

Dawianie Verminowie muszą knuć coś jeszcze. Wiedziałam, że komendant Ambrose nigdy nie pójdzie z nimi na współpracę. Posługiwali się krwawą magią, a on nie zgodzi się na wykorzystanie żadnych magicznych sił. Poza tym może zaatakować Sycję bez pomocy Verminów. Lecz na to również nie miałam żadnych dowodów.

Księżycowy Człowiek i Tauno podeszli do nas.

– Przeżyło zaledwie około tuzina członków klanu Sandseed – oznajmił ten pierwszy. – Przybyli do Cytadeli i na razie tu zamieszkają. Oprócz mnie ocalał tylko jeden snujący opowieść. To Gede i właśnie z nim musimy porozmawiać o Ognistym Warperze.

– Kto...? – zaczęła Irys.

Jednak Księżycowy Człowiek nie dał jej dojść do słowa, zwracając się do mnie:

– Mówiłaś, że mistrz Bloodgood ma kilka książek o plemieniu Efe, tak?

– Owszem.

– Powinniśmy je przejrzeć. Gede i ja jutro rano przyjdziemy do Twierdzy Magów. – Po tych słowach odszedł bez słowa pożegnania.

Spoglądałam za nim z zakłopotaniem. Od kiedy bezskutecznie próbował wciągnąć mnie do świata cieni, jego stosunek do mnie całkowicie się zmienił. Zupełnie jakby przestał na mnie liczyć.

– Potraktował cię szorstko – zauważyła Irys.

– Wiele ostatnio przeszedł – usprawiedliwiłam go.

– Ty też. Opowiedz mi o Ognistym Warperze. Leif ma o nim

jedynie mglistą wiedzę.

Gdy opuściliśmy gmach Rady i udałyśmy się do Twierdzy, zrelacjonowałam Irys wszystkie nasze przygody.

Nazajutrz rano zebraliśmy się w gabinecie Baina Bloodgooda. W tym pomieszczeniu, które zajmowało całe drugie piętro wieży, wzdłuż wszystkich ścian stały regały pełne książek. Okalały nawet wysokie wąskie okna. Pośrodku stało kilka drewnianych krzeseł oraz zniszczony fotel, z wyglądu równie wiekowy jak Bain. Powietrze przenikała ostra woń atramentu, którego plamy widniały na blacie biurka i dłoniach drugiego maga. Sterty książek piętrzyły się także na podłodze, a jedyną wolną przestrzenią była wąska ścieżka biegnąca od drzwi do biurka.

Niemal fizycznie wyczuwałam panujące w pokoju napięcie. Potężny Księżycowy Człowiek z trudem zmieścił się na krześle. Nie czuł się swobodnie, wciąż zerkał tęsknie przez okno. Podzielałam jego zakłopotanie. Nawet ja miałam wrażenie, że w tym ciasnym gabinecie tłoczy się zbyt wielu ludzi. Za biurkiem zasiadł Bain, a przy nim stał jego asystent Dax Greenblade, posiadający rzadką umiejętność czytania w starożytnych językach, dzięki której odegrał istotną rolę w wytropieniu Ferdego i ocaleniu Gelsi.

Gede przybył razem z Księżycowym Człowiekiem i bezceremonialnie wkroczył do gabinetu jak do siebie. Irys przyglądała się mu ze źle skrywaną niechęcią. Zwalista postać snującego opowieść emanowała władcą aurą i sprawiał wrażenie wyższego, niż był naprawdę. Dopiero kiedy stanął obok Irys, okazało się, że w rzeczywistości jest jej wzrostu, czyli mierzy sobie około stu siedemdziesięciu centymetrów.

– Te książki należą do mnie – oświadczył.

Po tej deklaracji zapadła cisza. Po prostu osłupieliśmy. Dax

popatrzył na mnie z wyrazem bezbrzeżnego niedowierzania.

– Moi przodkowie dołożyli starań, aby cała wiedza o krwawej magii znikła na zawsze w otchłani niepamięci – mówił dalej Gede. – A jednak te księgi są tutaj. – Wskazał otwarte tomy na biurku Baina. – Każdy może do nich sięgnąć i zapoznać się z ich mroczną treścią.

– Wątpię, by ktokolwiek oprócz Mistrza Bloodgooda i Daksa – oznajmiła Irys – rozumiał język, w jakim...

– Nie trzeba niczego więcej – przerwał jej Gede. – Wystarczy, że jeden człowiek przeczyta je, zrozumie i zacznie eksperymentować z zawartą w nich wiedzą. Krwawa magia różni się od wszystkich innych rodzajów magii. Kiedy zaczniesz ją uprawiać, już nigdy nie potrafisz przestać.

– Jednak wygląda na to, że Verminowie odkryli wiedzę o krwawej magii bez tych ksiąg – wtrąciłam.

– Skąd wiesz? – rzucił Gede, po czym z jawną podejrzliwością spojrzął na Daksa. – Może ktoś przekazał im te informacje.

Zanim Dax zdążył zabrać głos w swojej obronie, stanęłam przed Gedem i rzekłam:

– Z pewnością nikt stąd. Poza tym posiadanie tych ksiąg może okazać się dla nas przydatne. Twój przodek zwyciężył lud Efe. Być może w tych tomach znajdziemy wskazówki, jak przeciwstawić się krwawej magii Verminów i pokonać Ognistego Warpera.

– Wręcz przeciwnie, jest to kolejny powód, by oddać je mnie – stwierdził Gede. – Ludzie z klanu Sandseed wywnioskują z nich, jak stawić czoło Daviianom. Zresztą to nasz problem.

– Już nie tylko. Sprawy wykroczyły daleko poza wewnętrzne

sprawy waszego klanu – rzekł Bain. – Te książki zostaną u nas. Zapraszamy cię, żebyś przestudiował je razem z nami.

Lecz Gede nie chciał zrezygnować ze swych roszczeń, a Bain nie zamierzał ustąpić. W końcu Gede wstał i ruszył do wyjścia. Po drodze zatrzymał się przede mną i obrzucił mnie chłodnym taksującym spojrzeniem.

– Wiedziałaś, że Guyan był Poszukiwaczem Dusz?

– Nie – odparłam zaskoczona. – Sądziłam, że był pierwszym snującym opowieść.

– Był jednym i drugim. Nic nie wiesz o Poszukiwaczach Dusz. – Zmierzył gniewnym spojrzeniem Księżycowego Człowieka, a potem znów skierował wzrok na mnie. – Poziom twojej edukacji jest żałosny. Ja mogę cię nauczyć, jak zostać prawdziwym Poszukiwaczem Dusz.

Serce skoczyło mi w piersi. Perspektywa zdobycia większej wiedzy o Poszukiwaczach Dusz ekscytowała mnie, a jednocześnie przerażała.

Gede musiał dostrzec moją rozterkę, gdyż dodał:

– Nie potrzebujesz tych książek, żeby pokonać Ognistego Warpera.

To brzmiało zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe. Wiedziłam, że musi w tym tkwić jakiś haczyk.

– Przypuszczam, że będziesz mi udzielał nonsensownych mglistych rad.

– Skądże! – prychnął Gede i znów popatrzył gniewnie na Księżycowego Człowieka. – Nie ma na to czasu. Jesteś zainteresowana

moją propozycją?

Logika walczyła we mnie z emocjami. W końcu emocje zwyciężyły i odpowiedziałam:

– Tak, chcę, żebyś mnie uczył.

– Świetnie. Zatrzymam się w Cytadeli w kwaterze dla gości. Przyjdź do mnie o zmierzchu. Do tego czasu powinien już wzejść księżyc. – Po tych słowach Gede energicznym krokiem wyszedł z gabinetu, w ślad za nim podążył Księżycowy Człowiek.

Irys uniosła brwi, spoglądając na mnie.

– Nie uważam...

– ...aby to była najlepsza decyzja – dokończyłam za nią. – Pozwoliłam sobie zareagować spontanicznie i mam nadzieję, że mi się uda.

Irys wygładziła rękawy tuniki.

– Nie. Nie ufam mu.

Stałam dłuższą chwilę przed wieżą Roze Featherstone i rozważałam sytuację. Bałam się, że spotkanie z nią, Bainem i Zitorą jest pułapką. Pierwsza magini może podstępem skłonić mnie do przyznania się, że spiskuję przeciwko Sycji, albo da mi szansę oczyszczenia się z podejrzeń. Miło mieć wybór.

Drzwi otworzył mi Bain.

– Wchodź, dziecko – powiedział. – Na dworze jest zimno.

Już nie miałam odwrotu. Weszłam za nim do domu Roze.

W kominku z trzaskiem płonął wielki ogień, który spaliłby wytarty dywan na podłodze, gdyby Roze nie gasiła zabłąkanych rozżarzonych węgielków za pomocą magii. Wciąż doskonale pamiętałam, jak przypuściła na mnie ogniowy atak, dlatego wybrałam krzesło stojące najdalej od kominka.

Temu niemal pustemu i urządzonemu po spartańsku pokojowi brakło przytulnej wygody mieszkania Irys czy akademickiej atmosfery gabinetu Baina. Zitora, trzecia magini, przycupnęła na brzeżku twardego krzesła z prostym oparciem i wpatrywała się w dłonie splecione na podołku. Bain zasiadł w jedynym wygodnym wyściełanym fotelu, pokrytym wytartym i wystrzępionym obiciem. Ilekroć Roze zerknęła na Baina, na jej twarzy pojawiał się gniewny wyraz, z czego wywnioskowałam, że drugi mag zajął jej ulubione miejsce.

– Zaczniemy już – zaproponowałam, przerywając krępującą ciszę.

– Zdenerwowana? – spytała Roze.

– Nie. Po prostu za godzinę mam umówione spotkanie, a muszę jeszcze umyć włosy.

Pierwsza magini z sykiem wciągnęła powietrze, nie kryjąc irytacji.

– Bardzo was proszę, moje panie – odezwał się Bain ugodowym tonem. – Sytuacja i bez tego jest już wystarczająco trudna. Odrzucmy niesnaski i oceńmy nasze położenie.

Roze chciała coś odpowiedzieć, lecz powstrzymała się. Doprawdy, imponujące. Sztywno skinęła głową Bainowi, który najpierw wygładził fałdy togi, a potem oznajmił, patrząc na mnie:

– Yeleno, zniszczyłaś duszę Ferdego.

– Ja...

– Nie przerywaj mi, dopóki nie skończę.

Jego surowy ton przejął mnie dreszczem lęku. Spośród zgromadzonych w tym pokoju Bain Bloodgood ustępował magiczną potęgą tylko Roze.

– Tak jest – odrzekłam potulnie.

Usatysfakcjonowany moją pokorą podjął kazanie:

– Twoje nierozważne postęпки wzbudziły niezadowolenie wśród członków Rady. Po pierwsze, działałaś bez naszego pozwolenia. Po drugie, twoja zdolność zniszczenia dusz zaniepokoiła radnych, w tym również mnie. Zawiodłaś nasze zaufanie, toteż informacje, które wydobyłaś od Ferdego, są bezwartościowe.

Próbowałam pochwycić wzrok Zitory, ale odwróciła głowę.

– Dlatego niniejszym rozkazujemy ci, abyś trzymała się z dala od spraw Sycji, gdy będziemy zmagać się z nowym zagrożeniem ze strony Daviiian. Roze zezwoliła ci na pracę z Gudem, mającą na celu odkrycie zakresu twoich magicznych talentów. Następnie ponownie ocenimy, w jaki sposób możesz w wesprzeć nasze wysiłki – zakończył Bloodgood i gestem ręki dał znak, że udziela mi głosu.

Pragnęłam gwałtownie zaprotestować, ale zmusiłam się do chłodnej logicznej reakcji. To spotkanie było ukartowaną zasadzką. Oni nie chcieli mnie wypytać, tylko narzucić swoje zdanie.

– A co z Cahilem? Chyba mu nie uwierzyliście? – zwróciłam się do Baina.

– Nie ma żadnego dowodu na to, że skłamał. Pierwsza magini za niego ręczy.

– On zawsze był egoistą – rzekła Roze. – Poparcie Daviianów w walce przeciwko Sycji byłoby sprzeczne z jego dążeniami. Cahil potrzebuje naszej pomocy, by rozpocząć kampanię wojskową w celu zdobycia władzy nad Iksją. Gdyby nasz kraj pogrążył się w wojnie domowej, nie moglibyśmy w żaden sposób mu w tym pomóc.

Ten rozsądny i logiczny wywód zaniepokoił mnie bardziej niż gniew Roze.

– A co z Ognistym Warperem?

Z kominka eksplodowała nagle jaskrawa ogniowa kula i zawisła nad nami. Zmrużyłam oczy przed ostrym oślepiającym blaskiem. Twarz owionął mi żar płomieni. Roze zacisnęła pięści i ognista kula zniknęła. Następnie rozwarła dłonie i zgasiła ogień w kominku, pogrążając nas w chłodnym półmroku.

– Nie bez powodu jestem pierwszą maginią, Yeleno. Mój największy talent to władza nad ogniem. Nie musisz się obawiać Ognistego Warpera. Ja się nim zajmę.

Rozbłysły płomienie i w palenisku znów zapłonął jasny ogień.

Nie potrafiłam ukryć powątpiewania, tymczasem Roze mówiła dalej:

– Naprawdę sądzisz, że pozwolę, by Daviianie i Ognisty Warper zapanowali nad Sycją? Przecież nie potrafiliby odpowiednio zadbać o mój kraj. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, by nie zdobyli władzy, zatem także obronię cię przed Ognistym Warperem.

Teraz już jawnie mi groziła.

– Pragniesz mojej śmierci – powiedziałam.

– Owszem. Stanowisz zagrożenie dla Sycji, jednak nie mam na to żadnego dowodu. Rada nie chce poprzeć mojego wniosku o skazanie cię na śmierć. Ale kiedy zdobędę dowód, postawię na swoim.

To było bardziej podobne do tej Roze, którą znałam i której nienawidziłam. Zmierzyłyśmy się gniewnymi spojrzeniami.

Bain odchrząknął.

– Dziecko, okazując posłuszeństwo Radzie i pracując z Gedem Sandseedem, zdobędziesz zaufanie radnych.

Zawsze pragnęłam w pełni poznać moje magiczne zdolności. Ferde nie był już groźny, a Rada dowiedziała się o zagrożeniu ze strony Daviianów. Skoro chcą wierzyć Cahilowi, co mnie to obchodzi? Armia komendanta Ambrose'a go pokona. Usiłowałam nie dopuścić do wojny, ale nie mam żadnego wpływu na decyzje Rady. Mogłam choć raz w życiu okazać się samolubna, trzymać się z dala od polityki i zajmować się zgłębianiem moich magicznych talentów.

Zgodziłam się więc z Bainem. Jednak lekka ulga, którą poczułam, nie usunęła dręczących mnie wątpliwości. W głowie wciąż rozbrzmiewały mi słowa Księżycowego Człowieka, że stanę się czyjąś niewolnicą.

Wróciłam do mojego pokoju w dziewięciopiętrowej wieży Irys w Twierdzy Magów. Czwarta magini oddała mi do użytku trzy piętra. Mozolnie wspięłam się po schodach, zaniepokojona, przestraszona i zirytowana. Oby przechwałki Roze, że poradzi sobie z Ognistym Warperem, okazały się prawdą. Należące do Bloodgooda księgi ludu Efe opisywały potężne symbole i krwawe rytuały, ale nie znalazł w nich żadnej wskazówki, jak się im przeciwstawić. Nie zawierały też nawet najmniejszej wzmianki o Ognistym Warperze.

Dax przetłumaczył większość tekstów, lecz pozostało jeszcze kilka rozdziałów. Zamierzał popracować nad nimi przez całe popołudnie. Zaniepokoił mnie również komentarz, który wygłosił na temat Gelsi, drugiej asystentki Baina. Gelsi była ostatnią ofiarą Ferdego, lecz powstrzymałam go w porę, ożywiłam jej ciało i sprowadziłam z powrotem duszę.

Kiedy zagadnęłam o nią Daksa, odpowiedział dość mgliście, co skłoniło mnie do dalszych pytań.

– Prawdę mówiąc, zaszła w niej zmiana – wyjął wreszcie.

– Jaka? – drążyłam.

– Gelsi stała się bardziej szorstka i wydaje się nieszczęśliwa. – Gestem zdradzającym bezradność przetarł twarz. – Już nie cieszy się życiem. Bardziej interesuje ją śmierć. Trudno to wyjaśnić. Pracuje z nią mistrz Bloodgood. Mamy nadzieję, że Gelsi przezwycięży ten stan i nie ugrzęźnie w nim na stałe. – Wzruszył ramionami. – Może ty mogłabyś z nią porozmawiać?

Obiecałam, że ją odwiedzę. Coś mnie w tym wszystkim uderzyło. Sprowadziłam dusze dwojga ludzi, Gelsi i Stona, do ich martwych ciał, i obie powróciły odmienione. Czy zmianę osobowości spowodowało coś, co zrobiłam, kiedy dusze przebywały we mnie? Coraz bardziej lękałam się, czego się dowiem dzięki Gedomu o moich zdolnościach Poszukiwaczki Dusz.

Serce ścisnął mi niepokój i wspomniałam, jak Roze zaatakowała Płomienistą Mnie, która formowała armię pozbawioną dusz. Wprawdzie ten incydent nie wiązał się z Gelsi i Stonem, ale przypominałam sobie, że zwiadowca zaproponował, iż będzie zabijał zamiast mnie.

Pogrążona w posępnych rozmyślaniach, dotarłam do swojej kwatery w wieży. Chociaż Irys użyczyła mi trzech pięter, miałam tylko

tyle mebli, by zająć jedno. Szafa na ubrania, biurko, pojedyncze łóżko i nocny stolik niemal ginęły w wielkim owalnym pokoju. W wolnej chwili będę musiała dokupić trochę rzeczy, lecz odnalezienie dusz było ważniejsze od wypatrzenia w sklepie ładnego mebelka gustownych zasłon. Później będę mogła zostać wszechmocną Poszukiwaczką Zasłon, zdolną w godzinę udekorować pokój.

Gdy roześmiałam się głośno, ktoś zapytał za moimi plecami:

– Co cię tak rozbawiło?

Na dźwięk tego głosu serce radośnie podskoczyło mi w piersi.

Valek stał oparty niedbale o framugę drzwi, jakby odwiedzał mnie codziennie. Miał na sobie szare spodnie i tunikę, czyli strój służących Twierdzy.

– Myślałam o zasłonach. – Ruszyłam ku niemu.

– Zasłony są zabawne?

– Tak, przynajmniej w porównaniu z innymi problemami. Lecz spotkanie z tobą, mój panie, to najmiłsze, co przydarzyło mi się przez cały dzisiejszy dzień, cały miniony tydzień, a po namyśle mogę stwierdzić, że nawet przez całą ostatnią porę roku.

– To najmiłsze powitanie, jakie dzisiaj usłyszałem.

Mogłam sobie tylko wyobrażać, co knuje. Umiejętność Valka wkradania się niepostrzeżenie do każdego budynku budziła postrach w całej Sycji, a jego absolutna odporność na magię przerażała mistrzów magii i czyniła z niego najgroźniejszą broń komendanta Ambrose'a przeciwko nim.

– Czy chciałabym wiedzieć, dlaczego się tu zjawiłeś? – zapytałam.

– Nie.

– A czy powinnam się tego dowiedzieć? – Tym razem spytałam z westchnieniem.

– Owszem, ale nie teraz.

Nasze usta się spotkały, i już nie było ważne, dlaczego.

Blask popołudniowego słońca obudził mnie i przypomniał o umówionym spotkaniu z Gedeem. Szturchnęłam Valka, by też go zbudzić. Leżeliśmy pod kocami w lodowato zimnym pokoju wtuleni w siebie, by się ogrzać.

Valek zaczął się podnosić z łóżka.

– Rozpalę ogień w kominku.

– Nie! – Powstrzymałam go, gwałtownie chwytając za ramię.

Przyjrzał mi się z troską. Podziwiałam jego ciemnoszafirowe oczy kontrastujące z bladą cerą.

– Musisz ponownie nałożyć maskujący makijaż, by przyciemnić skórę. – Odgarnęłam mu z twarzy kosmyk czarnych włosów.

Przytrzymał moją rękę.

– Sprytne, ale masz mi wyjaśnić, dlaczego nie chcesz, żebym rozpalił ogień.

– Tylko jeśli potem powiesz, po co tu przybyłeś.

– Zgoda.

Zrelacjonowałam serię wydarzeń z udziałem Cahila, Ferdego i Ognistego Warpera.

– Absurdalny pomysł! Komendant miałby współdziałać z Verminami? – powiedział w zadumie. – Więc Cahil, ten niewydarzony pseudokról, postanowił zignorować prawdę o swym plebejskim pochodzeniu. Musisz przyznać, że perfekcyjnie oszukał całą Radę.

– Nie całą. Irys mu nie wierzy, a jestem pewna, że są też inni. – Machnęłam ręką. – Mniejsza z tym. To nie moje zmartwienie. Polecono mi, że mam być gorliwą studentką, pilnować własnego nosa i nie wtrącać się w cudze sprawy.

– Akurat ich posłuchasz! – parsknął Valek.

– Zgodziłam się.

Wybuchnął gromkim śmiechem.

– Ty... się... nie wtrącasz! – Urwał, by złapać oddech. – Kochanie, tkwisz w kłopotach po uszy, odkąd zaczęłaś testować potrawy komendanta, i nigdy się z nich nie wyplącesz.

Zaczekałam, aż obetrze z policzków łzy śmiechu.

– Wtedy nie miałam wyboru. Tym razem jest inaczej.

– Czyżby? A więc teraz masz wybór?

– Tak. Niech Rada zajmie się Verminami, a ja będę się trzymała z dala od problemów.

– Ale wiesz, że radni nie zdołają odeprzeć ataku Verminów.

– Nie chcą mojej pomocy.

Valek gwałtownie spoważniał, w jego oczach zamigotał twardy błysk.

– Co będzie, gdy Verminowie zwyciężą?

– Osiadę z tobą w Iksji.

– A co się stanie z twoimi rodzicami? Z Leifem? Księżycowym Człowiekiem? Irys? Czy także stąd wyjadą? A jeśli warperzy, którzy władają niewiarygodnie potężną krwawą magią, podążą za tobą do Iksji? Jaki wówczas będziesz miała wybór? – Przyjrzał mi się uważnie. – Nie możesz pozwolić, by twój lęk przed Ognistym Warperem powstrzymał cię przed...

– Powstrzymała mnie Rada – warknęłam z irytacją. – To oni występują przeciwko mnie. – Poza tym nie zamierzałam martwić się o moją rodzinę. Są dorośli i potrafią sami o siebie zadbać. Ale w takim razie czemu nękały mnie wątpliwości i poczucie winy?

– Sama przed chwilą powiedziałaś, że masz kilku radnych po swojej stronie. Kiedy wieczorem cała Rada usłyszy zeznania Marroka, uwierzy ci, że ten niewydarzony pseudokról ich oszukał.

– Skąd wiesz o Marroku? – spytałam zaskoczona. Irys dopiero dziś rano poinformowała mnie o planowanym przesłuchaniu kapitana. Nalegałam, by pozwolono mi w nim uczestniczyć, ale odparła, że posiedzenie Rady będzie zamknięte, poza radnymi i mistrzami magii nikt nie zostanie wpuszczony.

Na twarz Valka powrócił wyraz rozbawienia.

– Od służących. Poczta pantoflowa tutejszych pracowników dalece przewyższa sieć wywiadowczą korpusu wyszkolonych szpiegów. –

Zamilkł na chwilę, po czym dorzucił niedbałym tonem: – Dziś wieczorem opowiem ci o przebiegu tego zebrania.

– Ty draniu! To zamknięte posiedzenie. Tylko ktoś taki jak ty mógłby spróbować się tam wkłęcić.

– Znasz mnie, kochanie.

– Owszem, znam. Jesteś szalenie pewny siebie i uwielbiasz ryzyko.

– Nie nazwałbym tego szaleństwem – zripostował z uśmiechem. – Odpowiednia doza pewności siebie jest niezbędna, zwłaszcza w mojej profesji. – Spoważniał. – I w twojej.

Zignorowałam implikacje tej uwagi, powiedziałam natomiast:

– Skoro mowa o twojej profesji, to zawarliśmy układ. Powiedz mi, dlaczego tu przyjechałeś? – Gdy się przeciągnął i ziewnął, udając że zastanawia się nad moim pytaniem, szturchnęłam go w żebra. – Valek! Mów!

– Przysłał mnie komendant.

– Po co?

– Żeby wymordował wszystkich członków sycjańskiej Rady.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Przecież wymordowanie Rady pomoże Verminom i wesprze dążenia Cahila do objęcia tronu Iksji.

– Nie możesz... – zaczęłam.

– Masz rację, nie zrobię tego, jako że obecnie byłoby to błędne posunięcie. Komendant podjął tę decyzję na podstawie analizy sytuacji w Sycji sprzed wystąpienia Verminów, jednak pozostawił mi pewien margines swobody przy wypełnianiu misji. Musimy się dowiedzieć, co się dzieje.

– My?

– Tak, my.

Westchnęłam. Angażując się w sprawy Sycji, znów sprzeciwie się jednoznacznym poleceniom Rady. Czy kiedykolwiek naprawdę się im podporządkowałam, czy też w głębi duszy pozostałam Iksjanką i jedynie udaję bezstronność? Być może sesja z Gedem okaże się dla mnie pożyteczna. Potrzebuję wskazówki, a także informacji.

Uzgodniłam z Valkiem, że spotkamy się wieczorem w moim pokoju, po czym wyszedł.

Ubrałam się i wyruszyłam do apartamentów dla gości. Aura lęku wirowała wokół mnie jak gęsta mgła. Zmierzchało, małe chmurki na niebie pociemniały. Na chodnikach tłoczył się gwarny tłum zmierzający pod koniec dnia do domów. Latarnicy zaczęli zapalać uliczne lampy tworzące rozległą sieć. Główne arterie będą jasno oświetlone, jednak boczne alejki pozostaną pogrążone w mroku.

Mój niepokój narastał, gdy mijałam licznych Verminów, którzy swobodnie spacerowali ulicami, jakby byli u siebie. Unikałam ich spojrzeń i dziwiłam się, że radni dali się tak omamić Cahilowi. Być może jakiś warper oddziałął na nich magią i uczynił podatniejszymi na perswazje.

Kwatery dla gości mieściły się w budynku za gmachem Rady, nieopodal stajni. W jednopiętrowym domu było wiele apartamentów i wypatrywałam w mroku, usiłując ustalić, który z nich zajmuje Gede. Obok wejścia ktoś się poruszył i z cienia wyłonił się Księżycowy Człowiek, który powiedział:

– Tędy. – Jego nieprzenikniona twarz nie wyrażała żadnych emocji. Zniknęły gdzieś poczucie humoru i figlarny błysk w oczach.

Zatęskniłam za nimi.

– Posłuchaj, ja... – zaczęłam.

– Nie możesz kazać czekać Gedemu – przerwał mi beznamietnym głosem. – Twój snujący opowieść cię oczekuje.

Wprowadził mnie do środka i zamknął za nami drzwi na klucz. Poczułam na skórze napór żaru, jakbym znalazła się w rozpalonym piecu. W kominku buzował jaskrawy ogień, oświetlając salon, w którym wszystkie meble odsunięto pod ściany. Gede zasiadał ze skrzyżowanymi nogami na macie przed paleniskiem, a pośrodku pokoju siedziało kilku ludzi z klanu Sandseed.

– Wejdz i usiądź. – Gede wskazał mi miejsce na macie naprzeciwko siebie. Gdy zawahałam się, dodał: – Jesteś Poszukiwaczką Dusz. Nie powinnaś bać się ognia. Siadaj albo niczego się nie nauczysz.

Zdjęłam płaszcz, zrzuciłam plecak i położyłam je przy wejściu. Miałam ochotę wyjąć kij z uchwytu, ale zapanowałam nad tym

odruchem i usiadłam przed Gedem na podłodze. Po jego owalnej twarzy spływał pot, skóra w blasku ognia wydawała się czarna. Migoczące płomienie oświetliły nagie ramiona Gedego i pośród licznych blizn dostrzegłam misterne tatuaże. Znikły jednak, gdy zamrużałam.

– Jako Poszukiwaczka Dusz możesz spenetrować każdą duszę, wyżyć ją, zatrzymać i zawrócić. Potrafisz też wysyłać swoją duszę w ciała innych ludzi, a także do innych światów, a potem wrócić stamtąd, nie doznając żadnej cielesnej szkody – oznajmił Gede.

– Do innych światów?

– Do ogniowego świata, do niebios i do świata cieni. O tym ostatnim wiesz od Księżycowego Człowieka. Bramą do świata cieni jest światło księżyca. Niebios to ostateczne miejsce spoczynku, do którego trafiają nasze dusze. Ogniowy świat jest tym, co niektórzy nazywają podziemną krainą umarłych. Nie mam pojęcia, jak wygląda, ale wiem, że zamieszkuje go Ognisty Warper. I właśnie tam musisz się udać.

– Dlaczego? Dlaczego akurat ja?

Gede zgarbił się, nie kryjąc rozczarowania.

– Jesteś Poszukiwaczką Dusz, a tam przebywa dusza Ognistego Warpera.

Panujący w pokoju żar był nie do zniesienia. Mokra od potu koszula przyłgnęła mi do pleców.

– Jak się tam dostanę?

– Przez ogień – odrzekł Gede, a gdy milczałam, mówił dalej: – Jedynie ty możesz wejść do ogniowego świata i wrócić bez szkody. Daviiańscy magowie karmią ten stwór noszący miano Ognistego Warpera duszami używanymi w rytuale kirakawy, przez co jego moc

rośnie.

Płomienie w palenisku zamigotały nagle i urosły na wysokość człowieka. Popatrzyłam z lękiem na Gedego, ale wydawał się spokojny.

– On na ciebie czeka. Idź do niego – powiedział.

– Nie. – Wstałam. – Nie jestem gotowa. Nie wiem nawet, jak z nim walczyć. Jakiej magii mam użyć?

Gede prychnął pogardliwie.

– Nie wiesz, tak? Tym lepiej.

Zdezorientowana zerkałam to na niego, to na ogień, spodziewając się, że z szalejących płomieni wyłoni się Ognisty Warper.

– Przyszedł po ciebie. Jeśli nie zechcesz pójść dobrowolnie, zdopinguję cię. – Strzelił palcami. – Księżycowy Człowieku, pokaż swojej uczennicy, co ma zrobić.

Księżycowy Człowiek energicznym krokiem podszedł do ognia. Płomienie sięgnęły ku niemu. Gdy wyciągnął dłonie, ogniste języki liznęły mu ręce.

– Nie! Wracaj! – wrzasnęłam. Złapałam go za ramiona i bezskutecznie usiłowałam odciągnąć.

Płomyki skoczyły naprzód i popęzły po moich rękach. Poczułam ekscytujące gorące mrowienie. Setki dusz uwieczonych pomiędzy światami wiły się w męce w ognistej otchłani. Wlokły nas ku sobie.

W pierwszym odruchu chciałam się im oprzeć, lecz przez moje ciało przeniknęło ich pragnienie wolności i oswobodzenia się od katuszy. Musiałam im pomóc. Objęłam ramieniem Księżycowego

Człowieka i ruszyłam naprzód. Ogień palił mi skórę, ale ból był do zniesienia, a po drugiej stronie czekał chłód niosący ulgę. Gdybym tylko zdołała się tam przedrzeć...

Chwyciła mnie jakaś ręka, którą w gwałtownym odruchu próbowałam strząsnąć.

– W porządku, te dusze mnie potrzebują – powiedziałam po chwili.

Czyjeś ramię sięgające spoza ogniowego świata oplotło i przydusiło moją szyję. Wciąż kurczowo trzymałam Księżycowego Człowieka, który był uwięziony w ogniowym świecie.

– Nie, przestań. Ja muszę... – mówił z trudem.

Dusze zaprzestały błagań i wzdrygnęły się.

– Zaczekajcie – wychrypiałam, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Lecz one kulily się ze strachu i kryły się przede mną. – Przybyłam, żeby wam pomóc...

– Ale kto pomoże tobie, mój mały nietoperzyku? – odezwał się Ognisty Warper.

Puściłam snującego opowieść. Brakło mi tchu, nie mogłam wydusić słowa, więc wysłałam do niego myśl:

– Zrób coś!

– Nie mogę – odparł. – Tutaj moja magiczna moc nie działa.

Ogniowy świat rozmazał się w bezkształtną pomarańczowo-żółtą plamę. Usiłowałam oderwać ramię ściskające mi szyję, ale moje ręce ważyły dziesiątki kilogramów. Płomienista plama rozlała się w czern.

Obudziłam się, leżąc na plecach. Mrużyłam oczy i mrugałam, póki mój wzrok nie przyzwyczyił się do ciemności. Chłodne powietrze otulało moje rozpalone ciało jak delikatny jedwab. W głowie pulsowało, a pokryte pęcherzami dłonie i ramiona piekły z bólu. Wyciągnęłam nić magicznej energii i użyłam jej, by ukoić ból głowy i wyleczyć oparzenia.

– Może mnie też byś pomogła? – Leif wyciągnął ku mnie spalone ręce.

Siedział przy mnie w alejce Cytadeli. Zaczepiłam magiczną moc i uleczyłam jego oparzenia, co podkopało moje siły. Zakręciło mi się w głowie i oparłam się plecami o ścianę budynku.

– Co się stało? – wychrypiałam, czując zaciskającą się w gardle obręcz bólu.

– Miałem dziś wieczorem sprawę do załatwienia w Cytadeli i pomyślałem, że zaczekam na ciebie w pobliżu apartamentów dla gości. Nagle ni stąd, ni zowąd pojawił się Valek. – Leif przerwał, lecz gdy nie udzieliłam żadnego wyjaśnienia, podjął: – Wymamrotał coś o zebraniu Rady i zapytał, gdzie jesteś. Łatwo się tego domyśliłem z blasku ognia w oknach. Valek otworzył drzwi wytrychem i zajrzeliśmy do środka w samą porę, by ujrzeć, jak płomień ogarniają ciebie i Księżycowego Człowieka. – Rękawem otarł z twarzy sadzę. – Valek natarł na ludzi z klanu Sandseed i krzyknął, żebym wyciągnął cię z płomieni. Natomiast Gede wrzasnął na mnie, żebym zostawił cię w spokoju, gdyż musisz zdobyć wiedzę. Valek jest bardziej przerażający niż Gede, więc usłuchałem jego, ale nie mogłem odciągnąć cię od ognia. Wobec tego zacząłem cię dusić, aż straciłaś przytomność, a wtedy wyniosłem cię tutaj.

Dotknęłam obolałej szyi.

– Czy to samo zrobiłeś Księżycowemu Człowiekowi?

– Był za daleko ode mnie, nie zdołałem do niego sięgnąć – rzekł z wielkim smutkiem. – Czy Ognisty Warper go pojmał?

– Nie wiem. To wszystko było bardzo dziwne i tak naprawdę nie bardzo wiem, co właściwie się wydarzyło. – Miałam wrażenie, że mózg mi się przypalił i przywarł do ścian czaszki jak zwęglona skórka chleba. Nie potrafiłam logicznie myśleć, bardzo potrzebowałam cudzej opinii. – Gdzie jest Valek?

– Ulotnił się, ale zostawił twój płaszcz i plecak... a także rozkazy. – Leif uśmiechnął się smętnie. – Mamy jak najszybciej opuścić Cytadelę.

– Wyjaśnił, dlaczego?

– Nie. Nakazał tylko, że mamy się z nim spotkać trzy kilometry na południe od Cytadeli.

Wstałam, otuliłam się płaszczem i narzuciłam plecak na ramiona. Nogi się podę mną uginały.

– Weźmy z Twierdzy konie i zapasy prowiantu.

– Nie, nie. Valek powiedział, żebyśmy pod żadnym pozorem nie wracali do Twierdzy.

Co to mogło oznaczać? Valek dostał się na zamknięte posiedzenie Rady, na którym przesłuchano Marroka. Widocznie jego zeznania nie świadczyły na naszą korzyść. Zatem złamię obietnicę daną Gelsi i nie odwiedzę jej.

Uciekliśmy z Cytadeli i rozbiliśmy obóz na polu uprawnym, na zachód od głównego traktu. Ponieważ nie mieliśmy zapasów żywności i nie pozwoliłam Leifowi rozpalić ognia, czekała nas ciężka noc.

W ciemnościach przytuliliśmy się do siebie.

Leif bardzo narzekał na Valka, który wysłał nas tutaj, jednak nie wiadomo po co. Przekląłam swoją głupotę. Przecież nie muszę czekać na Valka, tylko mogę skontaktować się z Irys.

Poprosiłam Leifa, żeby objął wartę.

– To lepsze niż zamarznąć na śmierć – stwierdził.

Położyłam się na twardej ziemi i wysłałam myśli do Twierdzy Magów. Wieża Irys tętniła życiem. Wbrew moim oczekiwaniom czwarta magini nie spała, tylko ślęczała w gabinecie nad stertą książek. Ponieważ łączyła nas stała psychiczna więź, więc jej umysł był dla mnie zawsze otwarty.

– Irys – pomyślałam.

– Yelena? Dzięki losowi! Nic ci nie jest?

– Wszystko w porządku.

– Gdzie jesteś?

– Nie wiem, czy powinnam ci powiedzieć. Co się wydarzyło na posiedzeniu Rady?

Nastąpiła długa chwila ciszy, wreszcie Irys oznajmiła:

– Marrok się przyznał.

– Do czego? On nie zrobił nic złego.

– Do uwolnienia Ferdego i spiskowania przeciwko Sycji.

Przez chwilę czułam w głowie zamęt.

– Co... co nim powodowało?

– Tak jak powiedział Cahil, Marrok chciał doprowadzić do jego uwięzienia i objąć dowództwo nad oddziałem. Ale... – urwała.

– Mów dalej – przynagliłam ją.

– Pojawił się nowy problem. Marrok zamierzał potajemnie współdziałać z Ferdem i Daviianami, by sprowokować wojnę z Iksją.

– To nic nowego. Wiemy już, że Daviianie dążą do wojny.

– Nowe jest to, że Marrok ujawnił swoich współników. – Kolejna długa pauza. – Ciebie i Leifa.

Zdrętwiałam.

– Wprost nie do wiary! Ktoś musiał zmusić go do takiego zeznania. To wszystko kłamstwa. Nie wyczułaś, że użyto magii? Jak Rada mogła mu uwierzyć? – Moje chaotyczne myśli goniły jedna drugą.

– Rada wydała nakaz aresztowania ciebie i Leifa, chyba, że potrafisz dowieść, iż Marrok kłamie. Chcą was pojmać, by należycie dokonać egzekucji.

Niemal się roześmiałam na słowa „należycie” i „egzekucja”. Cała ta sytuacja była absurdalna.

Tymczasem Irys ciągnęła:

– Nie powinnam ci o tym mówić. Jeśli Rada się dowie, mogą mnie wtrącić do lochu. Już i tak przyglądają się podejrzliwie Bainowi i mnie, ponieważ nie zgadzamy się z ich decyzją. Oni naprawdę oszaleli.

– To łagodnie powiedziane.

– Co teraz zrobisz? – zapytała.

– Szaleństwo Rady musi mieć jakąś przyczynę. Chcę ją odkryć. – Teraz dopiero zacznę naprawdę wtykać nos w sprawy Sycji. Nic cię tak nie zmotywuje jak wiszący nad tobą wyrok śmierci.

– Yeleno, to strasznie niebezpieczne. Wszystkie klany zostaną powiadomione o nakazie aresztowania. Mówi się też o nagrodzie za ujęcie ciebie. Nigdzie w Sycji nie będziesz bezpieczna.

– Coś wymyślę. Chyba przez pewien czas nie powinnam się z tobą kontaktować. I tak już jesteś podejrzana, a ja nie chcę cię jeszcze bardziej narażać.

– Słusznie. Bądź bardzo ostrożna, Yeleno.

– Postaram się. Ale znasz mnie.

– Owszem, znam, i właśnie dlatego powtórzę: bądź nadzwyczaj ostrożna.

Zerwałam łączność i wycofałam moją świadomość. Ogarnęło mnie przemożne znużenie i na pewno bym zasnęła, gdyby Leif nie klepnął mnie w ramię.

– Och, wykluczone siostrzyczko. Byłaś tak długo nieobecna duchem. Powiedz mi, co się dzieje.

Zapoznałam go z sytuacją. Był tak zszokowany, że zapadł w milczenie, co mu się rzadko zdarza.

– Więc co zrobimy? – spytał wreszcie.

– Zaczekamy na Valka.

Valek zjawił się przed świtem. Przyjechał na Kiki, przyprowadził też Rusałkę. Juki przy siodłach pękały od zapasów.

Na jego twarzy widniało znużenie.

– Już wiesz? – Spojrzał na mnie badawczo.

– Tak.

– I dobrze, bo to nam oszczędzi czasu. – Zeskoczył z siodła. – W Cytadeli i Twierdzy Magów roi się od szukających cię żołnierzy.

– Jak udało ci się wydostać konie? Manewrem tajnego szpiega?

– Nie. Odwróciłem uwagę wartowników przy bramie Twierdzy, a strażnikom pilnującym południowej bramy Cytadeli dałem łapówkę.

– Więc już wiedzą, gdzie jesteśmy – ponuro powiedział mój brat.

– Chciałem, by pomyślano, że udaliście się na południe, ale teraz powinniście wyjechać jak najdalej.

– Tylko dokąd? – spytał Leif.

– Do Iksji.

– Do Iksji? Niby dlaczego? – Leif zacisnął szczęki. Wiedziałam, jak bardzo potrafi być uparty.

W oczach Valka zamigotał niebezpieczny błysk, jednak powstrzymał się od sarkastycznej repliki, mówiąc tylko:

– W tej chwili sprawy biegną zbyt szybko. Musimy się przegrupować i obmyślić plan działania. Potrzebujemy wsparcia.

Valek miał rację. Jedyne w Iksji będziemy bezpieczni.

– Musimy natychmiast ruszać – powiedziałam.

– Spotkamy się w zamku komendanta – rzekł Valek, podając mi wodze Kiki.

Klacz trąciła mnie pyskiem w ramię, lecz to zignorowałam.

– Nie jedziesz z nami? – spytałam Valka.

– Nie. Nadal mam w Cytadeli kilku swoich ludzi. Muszę ich poinformować o rozwoju sytuacji. Dołączę do was później w zamku.

Zanim odjechał, odciągnęłam go na bok i objęliśmy się czule.

– Uważaj na siebie – powiedziałam.

– To nie mnie wciągają w ogień, kochanie – odparł z uśmiechem.

– Skąd się dowiedziałeś, że jestem w tarapatach?

– Kiedy usłyszałem, że radni wydali na ciebie wyrok śmierci, miałem dziwne przeczucie, że Rada to najmniejszy z twoich problemów.

– Dziękuję, że mnie uratowałeś.

– Wokół ciebie stale się coś dzieje, najdroższa. Bez ciebie życie byłoby nudne.

– Czy tylko tym dla ciebie jestem? Rozrywką?

– Gdyby to było takie proste.

– Domyślam się, że przywrócono mnie do służby. – Zdobyłam się na uśmiech.

Valek pocałował mnie na pożegnanie.

– Pojedźcie do Iksji okrężną drogą. Granice na północ od Cytadeli najpewniej będą strzeżone.

– Rozkaz.

Valek odjechał i zrobiło się zimno. Zadrżałam. Gdy Kiki skubnęła mnie w rękaw, otworzyłam przed nią umysł.

– Zostanę przy Lawendowej Pani. Ogrzeję.

– Cieszę się, że tu jesteś. – Poszukałam w kieszeniach jakiegoś smakołyku, lecz nic nie znalazłam.

– Duch włożył miętówki do torby.

Roześmiałam się. Kiki zawsze wiedziała, gdzie znaleźć te przysmaki. Zdziwiłam się, że Valek tracił czas na zapakowanie miętówek, jednak imię, które nadały mu konie, doskonale do niego pasowało. Zjawiał się, robił swoje i znikał niczym prawdziwy duch.

– Którędy pojedziemy? – zwrócił się do mnie Leif.

Dobre pytanie. Valek powiedział, żebyśmy wybrali okrężną drogę. Najlepiej będzie udać się na północny zachód przez pola klanu Stormdance, a potem skręcić na północ w kierunku Iksji, omijając tereny otaczające Cytadelę. Przedstawiłam bratu mój plan.

– Prowadź – rzekł zrezygnowanym tonem. – Nigdy nie byłem

w Iksji.

Przez cały dzień nasza wędrówka przez pola nie zwróciła niczyjej uwagi, niemniej nadal czuliśmy się niepewnie w świetle słońca. Dlatego zdecydowaliśmy z Leifem, że będziemy podróżować nocami. Zatrzymaliśmy się na krótki popas, żeby zjeść kolację, a potem ruszyliśmy dalej w ciemnościach.

O świcie natrafiliśmy na sad z jabłoniami. Kiki obwąchała równe rzędy drzew, ale już zebrano z nich owoce. W chłodnej porze roku w tym rejonie nic nie dojrzewa. Postanowiliśmy rozbić obóz pod osłoną sadu i znaleźliśmy miejsce niewidoczne z kilku okolicznych gospodarstw.

– Czy wjechaliśmy już na tereny klanu Stormdance? – zapytałam Leifa, rozsiadując Kiki.

– Jeszcze nie. Widzisz to pasmo górskie? – Wskazał na północny zachód.

– Tak.

– Tam przebiega granica. Ziemie klanu Stormdance są przeważnie kamieniste. We wschodniej części znajduje się kilka farm rolnych, ale zachodnie połacie to tylko pokłady łupków ilastych na skalistym podłożu. Sztormy szalejące na Morzu Nefrytowym wyrzeźbiły w skałach na wybrzeżu fantastyczne kształty, ale w tamtym rejonie nikt nie mieszka. Ludzie z klanu Stormdance przybywają tam tylko po to, aby tańczyć – zakończył edukacyjną opowieść Leif, po czym usiadł na ziemi i zaczął układać patyki na ognisko.

Przysiadłam obok niego. Po wielu godzinach spędzonych w siodle czułam się obolała i wyczerpana, toteż chciałam trochę odwlec oporządzenie Kiki.

– Po co tańczą?

– Aby wykorzystać potęgę sztormów. Chwytają energię burz w szklane kule. To niebezpieczny taniec, ale wart ryzyka. Jeśli im się powiedzie, ochronią swoje ziemie. W Sycji mamy tylko łagodne deszcze, ale tereny Stormdance nawiedzają gwałtowne ulewy i huragany. Dodatkowa korzyść dla członków klanu polega na tym, że mogą wykorzystać szklane kule do dostarczania energii fabrykom. – Gdy zachęcałam go gestem, by powiedział mi więcej, rzucił ze śmiechem: – Nie uważałaś na lekcjach?

– Moje lekcje były stale zakłócone przez rozmaite przyziemne wydarzenia, choćby takie, jak ściganie Złodzieja Dusz. W przyszłości postaram się ignorować takie incydenty.

– O rety, kiedy jesteś zmęczona, stajesz się zrzędliva. – Leif rozniecił niewielki ogień i nalał wody do kociołka. – Ten garnek wyprodukowano w klanie Stormdance. Wytapiają rudę żelaza i wytwarzają metalowe przedmioty, między innymi sycjańskie monety. Produkują też pergamin oraz atrament uzyskiwany z roślin indygo, które uprawiają w farmach na wschodzie.

Zamyśliłam się nad tym, co usłyszałam od Leifa. Ilekroć kupowałam towary na targu, zawsze zastanawiałam się, kto je wytworzył. W Iksji każdy Dystrykt Wojskowy dostarcza krajowi odmienny rodzaj usług lub produktów, które stają się przedmiotem handlu lub wymiany. Wyglądało na to, że Sycja funkcjonuje w podobny sposób, chociaż to, czego dowiedziałam się o klanie Stormdance, stanowiło pewne novum. Ciekawe, czy potrafiliby wykorzystywać energię nawałnic śnieżnych w Iksji, nadciągających od strony północnych pól lodowych? W Pierwszym, Drugim i Trzecim Dystrykcie Wojskowym podczas chłodnej pory roku życie zmienia się w dramatyczną walkę o przetrwanie.

Czy komendant Ambrose, wielki wróg magów, jest w stanie

zastanowić się nad zniesieniem represyjnego prawa wymierzonego przeciwko nim, co pozwoliłoby złagodzić szalejące sztormy? Dorastał w Trzecim Dystrykcie Wojskowym i pracował w kopalniach diamentów, więc dobrze poznał niszczycielską moc burz śnieżnych. Nawet Valek, który mieszkał w Pierwszym Dystrykcie, widział, jak śnieżyce zrujnowały zakład przemysłowy jego ojca, w którym produkowano wyroby rymarskie.

Zadumałam się nad łańcuchem wydarzeń, który zapoczątkowało zawalenie się dachu w tej fabryce. Ojciec Valka nie miał dość pieniędzy, by wyremontować budynek i zakupić zniszczone sprzęty, utrzymać rodzinę i zapłacić podatki królowi Iksji. Kiedy poprosił żołnierzy, którzy przybyli po coroczną daninę, o odroczenie terminu, bo nie ma za co wyżywić najbliższych, ci, by mu „ulżyć”, zabili trzech spośród czterech jego synów. To sprawiło, że Valek postanowił zemścić się na królu, który pozwala swoim żołnierzom prześladować poddanych, a nawet mordować niewinne dzieci. Valek stał się najsprawniejszym zabójcą w Iksji, aż w końcu połączył siły z Ambrose'em. Razem pokonali króla i zdobyli władzę nad państwem.

Zastanawiałam się, czy król nadal by panował, gdyby ten dach się nie zawalił albo gdyby Ambrose znalazł do pomocy mniej sprawnego zabójcę. I czy ja w ogóle trafiłabym aż tutaj?

Odsunęłam od siebie te myśli i skupiłam się na obecnej sytuacji. Leif i ja musieliśmy pilnować naszego obozowiska. Objął pierwszą wartę, a ja usiłowałam usnąć.

Ognisko zgasiliśmy zaraz po ugotowaniu posiłku, lecz w moim umyśle sny wirowały jak iskry unoszące się z buzującego ognia. Za każdym razem, gdy zawrotny pęd obrazów na moment zwalniał, przenikała mnie zgroza. Rozpruty brzuch Stona zmieniał się w boa dusiciela. Krew tryskała w dżungli Illiais. Odcięte głowy szybowały nad piaskami równiny, a moją skórę lizały języki ognia. Żar każdego płomienia palił mnie, a jednocześnie podniecał.

Wzdrygnęłam się i obudziłam, czując w ciele mrowienie. Bałam się znowu usnąć, więc kazałam Leifowi się położyć i zastąpiłam go na straży.

Przez następne dwie noce także spałam niespokojnie. Trzymaliśmy się z dala od ludzkich oczu, gotowaliśmy posiłki na małym ogniu, a potem wygaszaliśmy płomień i trzęśliśmy się z zimna na zlodowaciałej twardej ziemi. Trzeciego dnia wkroczyliśmy na obszar klanu Krystal i skręciliśmy na północ w kierunku granicy z Iksją.

Pofałdowane tereny klanu Krystal, leżące dokładnie na zachód od Cytadeli i ziem klanu Featherstone, usiane są kępami sosen, a między zalesionymi obszarami znajdują się liczne kamieniołomy. Klan Krystal wydobywa marmur używany w budownictwie, a także eksportuje wysokiej jakości piasek niezbędny producentom szkła w Booruby, przez co powstają w ziemi głębokie jamy.

Ominęliśmy tętniące życiem rejony wokół kopalń odkrywkowych i pojechaliśmy przez sosnowe lasy. Po kolejnym dniu wędrówki dotarliśmy do granicy Iksji. Należało zbliżyć się do niej nadzwyczaj ostrożnie, gdyż sycjańscy żołnierze mogli urządzić na nas zasadzkę. A jeśli uda nam się przekroczyć granicę, będę musiała przedstawić jakąś przekonującą historyjkę iksjańskim strażnikom, by uniknąć aresztowania.

Jednak ostatecznie na nic się nie zdały nasze plany oraz czas i energia, które poświęciliśmy z Leifem na znalezienie najlepszego miejsca przekroczenia granicy, by nie zaalarmować Sycjan. Gdy tylko wjechaliśmy na trzydziestometrowy pas ziemi niczyjej pomiędzy Sycją a Iksją, z sosnowego zagajnika wyłonili się dwaj jeźdźcy i pogalopowali ku linii granicznej.

Dwa aspekty sytuacji sprawiły, że ten incydent z jedynie niefortunnego zbiegu okoliczności przekształcił się w śmiertelnie groźny

przypadek. Jeźdźcy skierowali się prosto na nas, a pomiędzy drzew
wypadł ścigający ich oddział sycjańskich żołnierzy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Pozostało nam tylko jedno wyjście. Pogalopowaliśmy ku granicy, mając nadzieję, że iksjańscy strażnicy nie zabiją nas bez dania racji, tylko wysłuchają naszej historii, i dopiero potem zdecydują, co z nami zrobić. Dwaj nieznajomi jeźdźcy zrównali się z nami, gdy zagłębiliśmy się w iksjański Wężowy Las.

W końcu zatrzymaliśmy się. Jak przypuszczałam, sycjańscy żołnierze nie podążyli za nami na terytorium Iksji.

– Nie ruszajcie się – rozkazał ktoś spośród drzew. – Jesteście otoczeni.

Wiedziałam, że iksjańska straż szybko nas odnajdzie, lecz nie spodziewałam się, że aż tak szybko. Na przekroczenie granicy wybrałam poranek, aby uniknąć zmiany warty. O tej porze służbę pełnił tylko jeden oddział żołnierzy.

– Rzućcie broń i zsiądźcie z koni – polecił ten sam niewidzialny strażnik.

– Topaz. Garnet – powiedziała Kiki i zarżała na powitanie.

Koń Cahila? Wyciągnęłam kij i natarłam na jeźdźców, ignorując polecenie strażnika. Dwóch ludzi siedziało na Topazie, a Księżycowy Człowiek na Garnecie.

– Co? Jak to? – zawołałam.

Jeden z mężczyzn na Topazie trzęsącymi się rękami ściągnął z głowy kaptur, odsłaniając pobladłą twarz, a potem osunął się w siodle. Tauno chwycił go mocno i podtrzymał.

– Marrok! Co...? – urwałam, gdy obok mnie strzała wbiła się w drzewo.

– Rzućcie broń i zsiądźcie z koni albo następna strzała trafi ją w serce! – zawołał Iksjanin.

Cisnęłam kij na ziemię i skinęłam na pozostałych, żeby poszli za moim przykładem. Tauno ześlizgnął się z Topaza, ułożył na trawie Marroka, a potem zdjął z pleców łuk i kołczan. Księżycowy Człowiek gniewnie zmarszczył brwi, ale wypuścił z ręki szablę i zsiadł z Garneta. Leif rzucił maczetę obok mojego kija.

– Odsuńcie się od broni i podnieście ręce.

Uśluchaliśmy, a ja przy okazji zbliżyłam się do Marroka i zobaczyłam, że strzała przebiła mu bok.

Wokół nas zacieśnił się krąg iksjańskich żołnierzy. Doliczyłam się czterech mężczyzn i dwóch kobiet. Uzbrojeni w kusze i miecze, ruszyli na nas.

– Możecie mi podać przynajmniej jeden powód, dlaczego nie miałbym odesłać was z powrotem żołnierzom z południa? – powiedział iksjański kapitan.

Miał na sobie czarny mundur z naszytymi na rękawach i nogawkach rzędami żółtych rombów, dzięki czemu wiedziałam, że wkroczyliśmy na teren Siódmego Dystryktu Wojskowego.

– Choćby taki, że nie byłoby dyplomatycznie zawrócić sycjańską delegację – odrzekłam.

Kapitan wybuchnął śmiechem, po czym powiedział:

– Delegacja przybywa z honorową eskortą, a nie z paroma

umykającymi jeźdźcami. Przedstawisz mi jakiś inny powód?

– Nazywam się Yelena Zaltana, jestem rozjemcą i chcę rozmawiać z komendantem, chociaż moja wizyta nie została zaaprobowana przez sycjańską Radę.

– Yelena? Ta, która była testerką komendanta i uratowała mu życie? – upewnił się kapitan straży.

– Tak.

– Ale przecież posiadasz magiczne zdolności. Dlaczego chcesz wrócić do Iksji? Mógłbym cię zabić i uznano by mnie za bohatera.

– Jak widzę, twoja reputacja cię wyprzedziła – rzekł z uśmiechem Leif.

Miałam nadzieję, że jego dobry nastrój wynika z ulgi, iż ujrział Księżycowego Człowieka żywego i w dobrym zdrowiu, a nie z faktu, że grozi mi śmierć. Spiorunowałam brata wzrokiem. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, w jak niebezpiecznej sytuacji się znaleźliśmy. Pogróżka kapitana była całkiem realna. Nie wątpiłam, że wieść o wydanym na mnie wyroku śmierci rozniosła się po całej Iksji, natomiast fakt, że komendant Ambrose podarł ten wyrok, kiedy zgodziłam się zostać rozjemcą, raczej nie był powszechnie znany. Przecież wszyscy w Sycji i Iksji sądzili, że komendant pozostał w swoim zamku, gdy parę miesięcy temu delegacja iksjańska odwiedziła Sycję. W rzeczywistości Ambrose pojawił się przebrany za ambasador Signe, a ktoś na tym stanowisku nie może unieważnić wyroku wydanego przez komendanta. Przede mną jednak Ambrose się ujawnił i odbyliśmy nadzwyczaj ważną rozmowę, tyle że w tajemnicy przed innymi.

Dlatego moja sytuacja była bardzo niepewna, jako że w Iksji obowiązywał edykt zabraniający przebywania magom na terytorium tego kraju, chyba że zostali oficjalnie zaproszeni. Chociaż zabicie nas

wszystkich nie przyszłoby kapitanowi straży łatwo, mógł się powołać na wciąż obowiązujący rozkaz, by na miejscu wykonywać wyroki śmierci na magach. Jednak jeśli to zrobi, będzie musiał stawić czoło Valkowi.

Porzuciłam te rozmyślania i oświadczyłam:

– Komendant wezwał mnie jako rozjemcę w rokowaniach z Radą Sycji. Zajmuję pozycję neutralną, dlatego nie przybywam z sycjańską eskortą, lecz z przyjaciółmi. Tamci strażnicy ścigają jego. – Wskazałam Marroka, który leżał bezwładnie na ziemi. – Muszę natychmiast omówić z komendantem pewną ważną kwestię.

Kapitan z wahaniem opuścił kuszę. Musiał rozważyć moją odpowiedź. Wyciągnęłam nić magicznej energii i przeszukałam jego umysł, dotykając tylko powierzchniowych myśli i uczuć. W dowódcy straży ambicja toczyła walkę z rozsądkiem. Był już znużony pilnowaniem granicy, pragnął awansu i przydzielenia do ważniejszych zadań, a zabijając magów z południa, mógł zyskać rozgłos i rangę majora. Ale jeśli Yelena mówi prawdę? – dręczyło go uporczywe pytanie. Komendant Ambrose nie będzie zadowolony, że zabito jego rozjemcę. Jednak sprowadzenie magini w pobliże komendanta może się okazać niebezpieczne. A jeżeli Yelena kłamie i zamierza go zamordować? – brzmiało kontrpytanie.

W taki sposób pokierowałam jego myślami, by nam zaufał i uwierzył, że jeśli zaprowadzi nas do swego zwierzchnika, dokona chwalebego czynu.

– Pojedziecie ze mną i moim oddziałem – zdecydował w końcu. – Skonfiskujemy wasze konie i broń, musicie natychmiast wykonywać wszystkie moje rozkazy. Przy najmniejszym przejawie buntu lub nieposłuszeństwa zostaniecie ścięci. – Dał znak swoim żołnierzom. – Przeszukać ich. Co z nim?

Spojrzałam na Marroka.

– Pozwól mi zająć się jego ranami, kapitanie...

– Nytik – przedstawił się, po czym skinął na jednego z podwładnych. – Poruczniku, sprawdźcie, czy nie ma broni.

Gdy porucznik odebrał miecz Marrokowi, kapitan Nytik pozwolił mi go zbadać. Strzała przebiła prawy bok, omijając żebra. Nie ugrzęzła głęboko, Marrok nie stracił wiele krwi. Więc dlaczego był nieprzytomny?

Za pomocą magii zbadałam go dokładniej. Okazało się, że Marroka pobito. Miał złamane dwa żebra i obojczyk, pękniętą szczękę i mnóstwo sińców na całym ciele.

– Leif, będę potrzebowała pomocy. Uleczenie tak poważnych i rozległych obrażeń wyczerpie wszystkie moje siły, a muszę zachować rezerwę, na wypadek gdyby kapitan zmienił zdanie.

– Może wystarczy gorący okład? – zapytał Leif i ukląkł obok mnie.

– Nie. Wątki jego życia są postrzępione. – Księżycowy Człowiek położył dłoń na czole Marroka.

Spiorunowałam go wzrokiem.

– Trzymaj się od niego z daleka. Leif, najpierw zajmijmy się fizycznymi urazami.

Księżycowy Człowiek się wycofał, a Leif i ja zaczerpnęliśmy magiczną moc ze źródła. Z pomocą brata przyjął na siebie rany Marroka i wyleczyłam je. Kiedy się ocknął, Leif podał mu wodę, a potem wzmacniający tonik.

Zapytałam Marroka, co mu się przydarzyło i dlaczego znalazł się tutaj, ale tylko gapił się na mnie dzikim wzrokiem. Zaniepokoiłam się o stan jego umysłu, dlatego wysłałam do niego moją świadomość.

Umysł Marroka zalewały potoki chaotycznych obrazów. Wspomnienia, emocje i sekretne myśli zostały wydobyte z ukrycia i odsłonięte, a teraz kłębiły się szaleńczo, jakby ktoś wtargnął do biblioteki pełnej książek, podarł je i rozrzucił na podłozę. Ten zamęt obezwładnił Marroka, który nie potrafił złożyć dwóch myśli w spójne zdanie.

Wśród tego chaosu natrafiłam na pierwszą maginię, Roze Featherstone, która radośnie rwała na strzępy to, co zostało z umysłu Marroka.

Odwróciła się do mnie i wysłała mentalny przekaz:

– A więc jesteś Yelena. Wiedziałam, że cię tu znajdę, jeśli dobrze poszukam. Wreszcie poznam prawdę, gdzie się ukrywasz.

Natarła na mnie, ale nie cofnęłam się przed nią.

– Nie jestem wspomnieniem, Roze. Nie zdołasz niczego ze mnie wydobyć.

– Nie bądź tego taka pewna. Zbytńia pewność siebie świadczy o słabości.

– Już dwukrotnie bez powodzenia próbowałaś wnikać w mój umysł. Nie mam wątpliwości, że i tym razem ci się nie uda. Dlaczego zniszczyłaś umysł Marroka?

Rozejrzała się po otaczającym nas mentalnym chaosie.

– On jest przestępcą, a ty nie powinnaś być tym taka zszokowana.

W taki sam sposób zniszczyłaś umysł Złodzieja Dusz.

Zignorowałam tę uwagę.

– Dobrze wiesz, że Marrok nie jest przestępcą. Czy zmusiłaś go do złożenia fałszywych zeznań?

– Był szczery, w przeciwieństwie do ciebie. Okłamujesz nas i samą siebie, skoro sądzisz, że możesz pomóc Sycji. Rada już poznała niebezpieczeństwo i uzyskałam jej zgodę, by wyeliminować zagrożenie, którym ty jesteś dla nas.

I znów jej groźby nie zrobiły na mnie wrażenia.

– Jak Marrok i pozostali nas odszukali?

Roze się uśmiechnęła.

– Będziesz musiała sama znaleźć odpowiedź na to pytanie.

– Sugerujesz, że w moim otoczeniu jest szpieg?

– Nieuczciwi ludzie często lgną do siebie, Yeleno. To cena, którą płacisz za przestawanie z kryminalistami. Szczerze mówiąc, byłam zaskoczona, że Rada już wcześniej nie zezwoliła mi na unieszkodliwienie ciebie. Jak radni mogli zaufać kochance człowieka, który budzi w Sycji największy postrach? Zastanów się nad tym. Jak mogłabyś zostać rozjemcą, skoro jest oczywiste, czyją stronę trzymasz? Gdy tylko pojawiły się pierwsze kłopoty, uciekasz do domu. Ale powiem ci jedno: w Iksji nie będziesz bezpieczna. – Gdy milczałam, wybuchnęła śmiechem, po czym dodała: – Dowiedziałam się tego, czego chciałam. Życzę ci powodzenia w próbach ponownego złożenia do kupy umysłu Marroka. – Znikła z jego świadomości.

Stojąc pośród ruin i zgliszczy, które po sobie zostawiła,

zrozumiałam, że nie uda mi się przywrócić ładu w umyśle Marroka. Po prostu nic w tej sprawie nie mogłam poradzić, dlatego wycofałam się z powrotem do swojego ciała.

Pierwsza magini uzyskała poparcie Rady w batalii przeciwko mnie. Gdybym nie znała prawdy, sama pewnie bym uwierzyła w sieć kłamstw rozsnutą przez Cahila. Roze ze swojego punktu widzenia postępowała słusznie. Skoro była tak oddana sprawie Sycji, jak twierdziła, jej próby zdyskredytowania mnie miały sens. Dlaczego miałyby mi ufać? Jestem Poszukiwaczką Dusz, a przecież magowie obdarzeni tym talentem wyrządzili w Sycji wiele zła. Najgorsze, że nie miałam żadnych twardych dowodów na swoją obronę, a bardzo ich potrzebowałam, bo bez nich nie miałam szans obalić wymierzonych we mnie kłamliwych oskarżeń Cahila.

– Księżycowy Człowieku, jak nas odnaleźliście? – spytałam.

– Dzięki logicznemu rozumowaniu. Wiedziałem nie tylko to, że udacie się do Iksji, ale i to, że nie pojedziecie przez Równinę Avibiańską, gdyż będziecie chcieli okrążyć ziemie klanu Featherstone. Pozostał więc kierunek zachodni. Tauno odnalazł wasz trop na terenach klanu Krystal.

Uznałam, że zbyt wiele tu pomyślnych zbiegów okoliczności.

– Leif widział, jak zniknąłeś w ogniu. A co z Marrokiem i końmi? Jak je odzyskaliście? – dociekałam, dochodząc do przekonania, że Księżycowy Człowiek postanowił współpracować z Radą. Został wysłany przez Cahila lub Roze, bo obecnie pracuje dla nich.

– Gede wyciągnął mnie z ognia. Marroka zostawiono w szpitalu bez straży. Konie zjawiły się, kiedy ich potrzebowaliśmy.

Wszystko to wydawało się zbyt proste.

- Dlaczego Gede nalegał, żebym weszła w ogień?
 - Będziesz musiała jego zapytać. Jest teraz twoim snującym opowieść. Ja już nie mogę tobą kierować – powiedział ze smutkiem.
 - A dlaczego ty wszedłeś w ogień? – spytał Leif.
 - Gede to jedyny ocalały przywódca mojego klanu. Wypełniam jego rozkazy.
 - Nawet ryzykując własne życie?
 - Tak. Lojalność wobec klanu jest ważniejsza niż osobiste bezpieczeństwo.
 - Na przykład godzenie się na to, by zostać przynętą dla węża boa?
 - Leif spojrzał na mnie.
 - Właśnie – przytaknął Księżycowy Człowiek.
 - Czy wasz ranny będzie mógł iść? – Kapitan Nytik stał nieopodal, przyglądając się nam z wyraźnym niesmakiem. – Musimy ruszać.
- Marrok nie mógł iść, ale mógł dosiąść konia. Kiki i Topaz zetknęły się łbami. Połączyłam się mentalnie z ogierem i spytałam:
- Pojedziesz do domu? Tęsknisz do Faceta od Miętówek?
 - Nie. Zostanę.
 - Dlaczego? – spytałam zdziwiona. Wiedziałam, że Topaz od dawna należał do Cahila.
 - Zły zapach. Krew.

Odwróciłam się do kapitana i powiedziałam:

– Pojedzie na swoim koniu.

Porucznik ruszył przodem, a Księżycowy Człowiek, Leif, Tauno i ja podążyliśmy za nim. Kapitan i pozostali żołnierze tworzyli straż tylną. Podróżowaliśmy na północ przez Wężowy Las. Na mapie przypomina cienki zielony sznur biegnący zakolami wzdłuż całej granicy Iksji od Morza Nefrytowego na zachodzie do Gór Szmaragdowych na wschodzie.

Po wędrówce trwającej pół dnia przybyliśmy do posterunku straży i koszar.

Musiałam udzielić kolejnej serii wyjaśnień, zanim wreszcie pozwolono nam oporządzić konie i zjeść obiad. Siedzieliśmy pośrodku jadalni w strażnicy otoczeni przez pięćdziesięciu żołnierzy, którzy w trakcie posiłku rzucali na nas podejrzliwe i wrogie spojrzenia. Księżycowy Człowiek z łagodną cierpliwością opiekował się Marrokiem, który musiał od nowa nauczyć się wszystkich podstawowych czynności, na przykład takich jak jedzenie czy mycie.

Podczas obiadu, złożonego z chleba i zimnej suszonej sarniny, objaśniłam moim towarzyszom obowiązujący w Iksji system uniformów.

– Każdy mieszkaniec Iksji musi nosić mundur. Standardowe kolory koszul, spodni i spódnic to czerń i biel, ale każdy Dystrykt Wojskowy ma własne barwy. Jesteśmy w Siódmym Dystrykcie zarządzanym przez generała Rasmussena, który podlega komendantowi. Kolorem Rasmussena jest żółty, toteż zobaczycie na wszystkich tutejszych mundurach linie żółtych rombów. – Wskazałam na strażników wokół nas. Ich mundury były takie same jak mundur kapitana, ale różniły się dystynkcjami na kołnierzykach. – Uniform kucharza jest całkowicie biały z wdrukowanym na koszuli szeregiem

rombów. Ich barwa informuje, w którym dystrykcie pracuje dany kucharz. Kolorem komendanta jest czerwień.

– Kto to jest? – Leif wskazał zmierzającą ku nam kobietę. Była ubrana na czarno, tylko na kołnierzyku miała wyszyte dwa czerwone romby. Jasne włosy były ściągnięte do tyłu w ciasny węzeł. W rękach trzymała dwa kije.

– To doradczyni komendanta. – Rozpoznałam rangę po wzorze na uniformie. Wstałam z uśmiechem.

Cisnęła mi mój kij. Chwyciłam go i w tej samej chwili wszystkie rozmowy w sali ucichły.

– No dobra, Rzygaczko, zobaczmy, czy solennie ćwiczyłaś – rzekła z wesołym, lecz zarazem drapieżnym błyskiem w oczach.

– Doradczyni Maren, czy matka nie nauczyła cię, że nie należy nikogo przezywać? – Uniosłam kij. – A zwłaszcza ludzi uzbrojonych.

Lekceważąco machnęła ręką.

– Później będzie czas na konwenanse. Ugrzęzłam na tej prowincji i od dawna nie miałam okazji stoczyć przyzwoitego pojedynku na kije. No, dalej! – Przeciskając się przez zatłoczoną salę jadalną, skinęła na mnie, żebym wyszła za nią.

– Czy powinniśmy się o ciebie martwić? – spytał Leif.

– Maren nauczyła mnie wszystkich swoich trików, ale od naszej ostatniej walki poznałam kilka nowych. To może być... interesujące.

– A zatem miłej zabawy.

Przemierzyłam cichą salę, w której ogłuszający gwar wybuchł

dopiero po moim wyjściu. Tłum żołnierzy podążył w ślad za mną na dwór.

Maren napięła mięśnie i ujęła kij. Wysoka i szczupła, była wymagającą przeciwniczką. Zwinnie zamachnęła się oburącz niemal dwumetrowym orężem. Miała niewielką przewagę, jako że mój kij mierzył tylko półtora metra. Zdjęłam płaszcz i potarłam gładkie drewno, nakierowując świadomość na strefę koncentracji, której wreszcie używam podczas walk. Ten stan umysłu, niezupełnie związany z magią, pozwalał odczytywać zamiary przeciwnika.

Gdy już byłam gotowa, Maren zaatakowała dwoma szybkimi ciosami wymierzonymi w żebra. Sparowałam i odpowiedziałam ciosem w rękę. Pojedynek zaczął się na dobre.

W powietrzu rozbrzmiewał trzask naszej broni. Uchyliłam się przed ciosem w skroń i pchnęłam końcem kija w kierunku żeber. Maren cofnęła się i machnęła bronią, próbując podciąć mi nogi. Podskoczyłam i kopnęłam ją w ramię. Wycofała się o kilka kroków, a potem natarła na mnie serią sztychów.

– Czy miałaś już dosyć ciągłego przegrywania pojedynków z Jankiem i poprosiłaś o przeniesienie na prowincję? – zapytałam, odbijając ciosy i sama zadając błyskawiczne uderzenia. Maren, podobnie jak moi przyjaciele Ari i Janco, była kapitanem w oddziałach specjalnych komendanta.

– Dostałam awans. – Powstrzymała moje natarcie i zamarkowała uderzenie w lewo.

Wyczuwając jej zamiar, zignorowałam pozorowany atak, dzięki czemu w porę zablokowałam cios w głowę.

– No tak, awansowano cię na doradcę. To brzmi podejrzenie. Dałaś łapówkę komuś, kogo znam?

– Kiedy pokonałam Valka, mogłam wybrać każde stanowisko w Iksji.

Zaskoczona znieruchomiałam na moment, przez co Maren trafiła mnie w ramię i obaliła na ziemię. Przeturlałam się, unikając pchnięć, ale wykorzystywała przewagę i już po chwili siedziała mi na piersi, przyciskając kij do mojej szyi. Tłum żołnierzy zaczął wiwatować.

– Poddajesz się? – spytała.

– Tak.

– Rewanż? – Z uśmiechem pomogła mi wstać.

– Daj mi chwilkę. – Otrzepałam ubranie.

– Co to za spódnica?

– Nie spódnica, tylko spodnie. Widzisz? – Rozpostarłam materiał, ukazując nogawki.

Parsknęła z rozbawieniem.

– Musimy wsadzić cię z powrotem w mundur, Yeleno.

To, że zwróciła się do mnie po imieniu, oznaczało, że przynajmniej mój szermierczy kunszt wywarł na niej wrażenie. To mi przypomniało jej uwagę, która mnie zdekoncentrowała.

– Co to za gadka, że pokonałaś Valka? Sprawnie posługujesz się kijem, ale jego przecież nie mogłaś zwyciężyć!

Valek rzucił wyzwanie każdemu w Iksji. Oświadczył, że jeśli ktoś pokona go w walce wybraną przez siebie bronią, zostanie jego zastępcą.

Wielu żołnierzy próbowało, lecz nikomu się nie powiodło.

– Sprawnie? – Wybuchnęła śmiechem. – Myślę, że kiedy znów cię pokonam, wówczas właściwie ocenisz moje umiejętności.

– Raczej jeśli mnie pokonasz. Poza tym nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– Miałam wsparcie. Teraz jesteś zadowolona? Valek nigdy nie powiedział, że mamy go pokonać w pojedynku. Skrzyknęliśmy się we troje, zwyciężyliśmy i zdobyliśmy prawo wyboru dowolnych stanowisk w Iksji. Ja postanowiłam zostać doradcą komendanta. Do Siódmego Dystryktu Wojskowego przydzielono mnie tylko czasowo, żebym rozwiązała kilka... – zerknęła na żołnierzy – spraw.

W walce troje na jednego Valek nadal miałby większe szanse. Ciekawiło mnie, kim była pozostała dwójka, i zaraz sama się domyśliłam.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że twoimi partnerami byli Ari i Janco? – Rozgoryczona mina Maren potwierdziła moje przypuszczenie. – Z Janca już wcześniej był nieznośny pyszałek. Teraz pewnie nie da się z nim wytrzymać.

– Valek zmodyfikował swoje wyzwanie. Ponieważ Ari i Janco awansowali na jego zastępców, jeśli inni żołnierze zechcą zdobyć to stanowisko, będą musieli pokonać ich obydwu, ale atakując w liczbie nie większej niż sześciu. Każdy zastępca Valka powinien poradzić sobie z trzema przeciwnikami. Jeśli jakiś żołnierz chce zyskać szansę pojedynku sam na sam z Valkiem, musi najpierw zwyciężyć kogoś z nas trojga.

– Mieć Janca za dowódcę podczas nieobecności Valka, to musi być koszmar.

– Poznasz, co to jest prawdziwy koszmar, kiedy będziesz błagać mnie o łaskę! – zawołała Maren i zamachnęła się kijem.

Sparowałam cios i przeszłam do kontrataku. Zaczęłyśmy toczyć drugi zacięty pojedynek, lecz tym razem ani na moment nie straciłam koncentracji. Błyskawicznym uderzeniem podciąłam nogi Maren, a gdy upadła, nastąpiłam na jej kij, zanim zdążyła odturlać się na bok. Zwyciężyłam w tej rundzie i zostałam nagrodzona radosnymi okrzykami Leifa, który przyłączył się do widzów. Księżycowy Człowiek wraz z pozostałymi towarzyszami trzymał się na uboczu i przyglądał mi się z kamienną miną.

– Dogrywka? – rzuciła Maren i nie czekając na odpowiedź, rozpoczęła trzecie starcie.

Walczyłyśmy długo, aż wreszcie jednomyślnie zgodziłyśmy się na remis. Wówczas odezwał się Leif, przerywając nam, zanim zaczęłyśmy następną rundę:

– Chociaż z radością patrzę, jak moja siostra dostaje lanie, jednak naprawdę musimy porozmawiać z komendantem. Traciecie czas.

Maren z pełną powątpiewania miną spojrzała na Leifa.

– Nie dostrzegam rodzinnego podobieństwa – orzekła.

Przedstawiłam brata, po czym powiedziałam:

– Wprawdzie niechętnie, ale muszę przyznać Leifowi rację. Powinniśmy już wyruszyć w drogę.

– Jeszcze nie teraz. – Maren potrząsnęła głową. – Najpierw chce z tobą pomówić generał Rasmussen. Ci żołnierze mają rozkaz zatrzymać cię tutaj, dopóki nie pozwoli ci wyjechać.

– Ale przecież już wyjaśniłam...

– Wszystko z wyjątkiem tego, o czym konkretnie chcesz rozmawiać z komendantem.

– To tajna sprawa.

– Właśnie tego się obawiałam. – Maren wsparła się na kiju. – Generał z wiekiem stał się... ostrożny. Nie wypuści cię stąd, dopóki nie wyjawisz mu powodu przybycia do Iksji.

Z jej słów wywnioskowałam, że kryje się za tym coś jeszcze. Maren pracowała dla komendanta, lecz pomagała również generałowi Rasmussenowi, a zapewne informowała też o wszystkim Valka.

– Wobec tego porozmawiamy z generałem – zgodziłam się niechętnie.

– Świetnie. Zorganizuję wam audiencję na jutro.

– Na jutro? Nie mamy czasu do stracenia.

– Przykro mi, ale generał wcześniej udaje się na spoczynek i dziś już nikogo nie przyjmie.

Leif otworzył usta, by zaprotestować, ale powstrzymałam go stanowczym gestem. Maren pojedynkowała się ze mną przez całe popołudnie i przypuszczałam, że miała w tym ukryty cel.

– Dobrze, zaczekamy do jutra. Ile czasu zajmie nam dotarcie do rezydencji generała? Może powinniśmy już teraz wyruszyć?

– Nie, wyruszycie jutro rano. To pół dnia drogi. – Maren zaprowadziła nas do murowanego domku. – Przenocujecie w kwaterach dla gości. Zatrzymuje się tu większość podróżujących z Szóstego

Dystryktu Wojskowego.

Kompleks zamkowy komendanta znajdował się na południowym krańcu Szóstego Dystryktu, zaledwie dwa i pół dnia konnej jazdy na północ od sycjańskiej Cytadeli. Interesujące, że oba ośrodki politycznej władzy są ulokowane tak blisko siebie, choć style rządzenia państwem dzieli przepaść.

Weszliśmy do domku. Choć umeblowanie w salonie było skromne, wydawał się wygodny. Strażnicy zostali na zewnątrz, ale dowodzący nimi porucznik podążył za nami do środka.

– Łóżka! Mają tu łóżka z puchowymi materacami! – zawołał z sypialni Leif.

– Na tyłach jest drewno na opał, a kolację możecie zjeść z żołnierzami. Powiadomię generała o terminie waszego przybycia. – Maren wyszła wraz z porucznikiem, jednak przed frontowymi drzwiami zostawiono dwóch wartowników.

Wyjrzałam ukradkiem przez boczne i tylne okna i przekonałam się, że wokół domu rozlokowano więcej strażników. A więc byliśmy otoczeni. Zamyśliłam się nad tym, co usłyszałam od Maren. Nie wszystko z tego, co nam powiedziała, trzymało się kupy. Ciekawe, do czego zmierza. W każdym razie w moich planach nie było wizyty u generała Rasmussena.

Dołączyłam do moich towarzyszy w sypialni. Księżycowy Człowiek siedział na łóżku obok Marroka, który leżał na plecach i gapił się w sufit. Tauno przycupnął na brzeżku krzesła.

Leif wyciągnął się na innym łóżku i westchnął z zadowoleniem.

– Nie spałem w łóżku od... od... już nawet nie pamiętam, od jak dawna!

– Nie mość się tak wygodnie – powiedziałam.

– Co znowu? – jęknął.

Przytknęłam palec do ust, a potem nawiązałam mentalny kontakt:

– W pobliżu jest zbyt wiele niepowołanych uszu – przesłałam mu komunikat.

– O co chodzi, Yeleno?

– Nie będziemy tracić czasu na rozmowę z generałem – odezwał się myślą Księżycowy Człowiek.

Zaskoczona, popatrzyłam na niego gniewnie. Całkiem zapomniałam, że potrafi porozumiewać się z nami mentalnie.

– Odkąd wybrałaś Gedego na swojego przewodnika, mogę łączyć się z tobą myślowo jedynie za pośrednictwem Leifa – wyjaśnił.

Nie zważając na zakłopotanie brata, odparłam:

– Więc się rozłącz. To prywatna rozmowa.

Księżycowy Człowiek milczał przez chwilę, aż wreszcie rzekł:

– Dobrze, wycofam się.

– Powiesz mi wreszcie, o co tu chodzi? – dociekał zaniepokojony Leif.

Poinformowałam go o mojej rozmowie z Roze, i dodałam na koniec:

- Księżycowy Człowiek to szpieg.
- Niemożliwe! Nie wolno ci w to uwierzyć.
- Twierdzisz, że Roze kłamie?
- Nie. Mówię tylko, że reagujesz przesadnie. Księżycowy Człowiek przyznał, że podlega Gedemu. Ich klan został zdziesiątkowany przez Verminów, toteż Gede i Roze mają teraz wspólny cel. Przypuszczalnie Gede polecił Księżycowemu Człowiekowi, aby nie spuszczał cię z oka.
- A czym to się różni od szpiegowania?
- Najpewniej przybył tu, żeby cię chronić, zapewnić bezpieczeństwo, dopóki nie zostaniesz oczyszczona z zarzutów.
- Najlepiej byłoby go o to zapytać, ale jestem pewna, że ma już przygotowaną jakąś zagadkową odpowiedź, która niczego nie wyjaśni.
- Jesteś niesprawiedliwa. On był świadkiem masakry swego klanu. Chociaż istotnie chciałbym, aby stał się znów dawnym sobą – przyznał Leif. – Myślę, że Iksja doskonale się do tego nadaje. Jeśli nie uśmiercą mnie za to, że jestem magiem, może znajdę pracę w tutejszym przemyśle aptekarskim. Czy mają specjalne mundury dla aptekarzy?
- Wrócimy do Sycji.
- Na pewną śmierć? Nie, wielkie dzięki! Może komendantowi przyda się któreś z moich ziółek?
- Musimy porozmawiać z komendantem i spotkać się z Valkiem. – W każdym razie miałam nadzieję, że nam to się uda.
- Pamiętaj, że jesteśmy otoczeni przez strażników?

– Owszem, i mają nad nami przewagę liczebną. Szkoda, że nie możemy posłużyć się magią, żeby ich uspić. A jeszcze lepsze byłoby użycie kurary. Żałuję, że nie mam w plecaku dmuchawki.

– Skłonność do sarkazmu to brzydka cecha, siostrzyczko. Powinnaś się jej wystrzegać.

– A ty zbyt łatwo się poddajesz. – I jesteś zbyt ufny, dodałam w duchu, ale nie powiedziałam mu tego.

– To przez ten puchowy materac. Odebrał mi wszelką chęć działania. Jeśli w moim mieszkaniu nad apteką będzie wygodne łóżko, chętnie osiadę na stałe w Iksji.

– Leif! – rzuciłam ostrzegawczo.

– No, już dobrze. Zrobię dla ciebie kilka dmuchawek, na wypadek gdybyśmy mieli uspić wszystkich strażników. – Leif niechętnie zwał się z łóżka i podszedł do swojego plecaka.

Zastanawiałam się, co powinnam powiedzieć Taunowi i Księżycowemu Człowiekowi. Dopóki w pobliżu nie ma żadnego ognia, mogę uprzedzić ich o moich planach. Poza tym wolałam mieć ich stale na oku.

– Musimy wcześniej pójść spać, żeby odpocząć przed jutrzejszym dniem – powiedziałam do nich z naciskiem.

Wyglądało na to, że pojęli aluzję. Kiedy iksjańscy żołnierze zapadną w sen, uciekniemy.

Zamierzałam zjawić się na zamku komendanta, zanim strażnicy z Siódmego Dystryktu odkryją naszą ucieczkę. Zdawałam sobie sprawę, że gdy zbliżymy się do głównej bramy kompleksu zamkowego bez

iksjańskiej eskorty, natychmiast wzbudzimy podejrzenia, uznałam jednak, że rozwiążę ten problem w swoim czasie.

Po kolacji, którą zjedliśmy z żołnierzami, otaksowałam wzrokiem nową zmianę strażników. Wiedziałam, że Tauno i Księżycowy Człowiek nie będą mogli uchodzić za Iksjan, pozostaliśmy więc tylko ja i Leif. Któraś z nas dwojga musi włożyć mundur i udawać iksjańskiego żołnierza, póki nie dotrzemy do komendanta. To ja powinnam się przebrać, ale wątpiłam, czy przy moich stu sześćdziesięciu paru centymetrach wzrostu znajdę pasujący na mnie uniform.

Nawet nie rozpaliliśmy ognia i wcześniej udaliśmy się na spoczynek. Przespałam kilka godzin. Łóżko było tak wygodne, że niełatwo przyszło mi je opuścić. Zmusiłam się jednak, żeby wstać, i obudziłam pozostałych, dając im znaki, by zachowali ciszę.

Leif nie posiadał magicznej zdolności uśpienia naszych strażników, ale mógł uzupełnić moją energię. Uniosłam rękę i wysłałam świadomość do kręgu żołnierzy. Wartę pełniło trzech mężczyzn i kobieta. Sięgnęłam dalej i nawiązałam kontakt z naszymi końmi w stajni.

– Gotowa? – zapytałam Kiki.

– Tak.

Dwaj chłopcy stajenni spali na belach siana zadowoleni, że mają przy sobie konie. Dla nich ostry zapach wierzchowców, nawozu i siana był rozkoszny niczym wygodne łóżko.

Spenetrowałam umysłem baraki koszar, szukając ewentualnych przeszkód. O godzinie drugiej w nocy w garnizonie panował spokój. Nie mogłam uśpić całej załogi, ale miałam nadzieję, że jesteśmy wystarczająco daleko, by jej nie zbudzić. Wróciłam świadomością do drzemających chłopców stajennych i sprowadziłam na nich głęboki sen.

Wartownicy strzegący naszej kwatery okazali się odporni na próbę uśpienia. Iksjański wojskowy trening wziął górę nad moją magią i obawiałam się, że będę musiała się uciec do użycia kurary. Zanim zerwałam mentalną łączność, jeden ze strażników drgnął zaskoczony, gdy ostry szpic ukłuł go w szyję. Wzrok mu się zamglił, kiedy specyfik dostał się do krwi. Zanim stracił przytomność, wycofałam się z jego umysłu.

Leif puścił moją dłoń.

– Pora ruszać – powiedziałam, zbierając się szybko. Mieliśmy wsparcie i z radości serce podskoczyło mi w piersi. Tylko jeden człowiek zawsze wiedział, kiedy go potrzebuję. Gwałtownie otworzyłam drzwi, spodziewając się ujrzeć Valka. Lecz w progu stała Maren. Wciągnęła do środka jednego z nieprzytomnych strażników. Za nią weszli trzej żołnierze w mundurach Siódmego Dystryktu. Każdy wniósł bezwładnego strażnika i rzucił na podłogę.

– Chyba mieliśmy ten sam pomysł – oświadczyła. – Moi ludzie będą udawać waszą eskortę w drodze do zamku.

– Długo pozostaną nieprzytomni? – Trąciłam czubkiem buta jednego z uśpionych strażników.

– Co najmniej przez sześć godzin. Użyłam mikstury nasennej Valka – wyjaśniła z szelmowskim błyskiem w oczach.

– Doradco Maren, czy ty przypadkiem nie dorabiasz na boku w oddziale Valka? – Cmoknęłam z udawanym zatroskaniem. – Skąd wiedziałaś, kiedy uderzyć?

– Gdy wasze konie opuściły stajnię, pomyślałam, że zapewne jesteście już gotowi do drogi.

– Wybierasz się z nami? Umiesz jeździć konno?

– Tak. Mój wierzchowiec jest niedaleko stąd. Będę jednak musiała wrócić do rezydencji generała, zanim odkryją moją nieobecność. Odprowadzę was do granicy Szóstego Dystryktu i przedstawię żołnierzom w tamtejszym posterunku. Będą wam towarzyszyć aż do zamku komendanta. Wasza broń jest na zewnątrz. Ruszajmy.

Leif, Księżycowy Człowiek, Tauno i ja dźwigaliśmy siodła, póki nie znaleźliśmy się na tyle daleko, by nie można już było usłyszeć tętentu galopujących koni. Księżycowy Człowiek i Marrok pojechali na Topazie. Marrok nadal się nie odzywał, ale usłuchał, gdy snujący opowieść polecił mu dosiąść wierzchowca.

Maren okazała się doświadczoną amazonką, toteż przebyliśmy drogę do granicy Szóstego Dystryktu w rekordowym czasie. Zanim powiadomiła przydrożnych strażników, zapytałam ją:

– Co będzie, gdy generał Rasmussen dowie się o naszej ucieczce?

– Kiedy znajdziecie się już w zamku komendanta, nie przyzna się, że próbował opóźnić wasze przybycie, ponieważ musiałby wyjaśnić swoje pobudki. Najpewniej rozkaże swoim ludziom, by przemilczeli cały ten incydent, a Valek, jak go znam, pozwoli generałowi wierzyć, że uszło mu to na sucho, oczywiście do czasu, gdy będzie czegoś od niego potrzebował. – Na twarzy Maren znów pojawił się drapieżny uśmiech.

Szybko i bez przeszkód dotarliśmy do Szóstego Dystryktu Wojskowego i zostaliśmy przekazani pod opiekę żołnierzy generała Hazela. Nasz nowy przewodnik nosił mundur kapitana, tak jak Nytik, ale zamiast żółtych rombów miał wyszyte niebieskie.

Reszta podróży do zamku komendanta również przebiegła gładko. Bez przeszkód wpuszczono nas przez bramę w obręb zamkowych murów. Wiedziałam, że powinnam nacieszyć się tymi kilkoma

spokojnymi godzinami, gdyż po spotkaniu z komendantem Ambrose'em niewątpliwie zaczną się kłopoty.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Po przybyciu do kompleksu zamkowego zaczęliśmy na zewnętrznym dziedzińcu. Wielu mieszkańców zamku zerkało na nas z zaciekawieniem i wiedziałam, że służący wkrótce złączą plotkować i zakładać się o to, kim jesteśmy i po co przyjechaliśmy. Przepuszczalnie nie rozpoznali mnie bez dawnego uniformu testerki.

Stajenni zajęli się końmi. Chciałam zostać z Kiki, ale polecono nam wejść do zamku i poczekać na spotkanie z komendantem.

Moi towarzysze wydali okrzyki zdziwienia na widok osobliwego wyglądu budowli. Mający wiele kondygnacji o niezwykle geometrycznych kształtach, zamek przypominał dziecięcy domek z klocków. Wsparty był na prostokątnej podstawie, a wyższe piętra stanowiły kombinację sześcianów, stożków, a nawet walców, wzniesionych bezładnie jedno na drugich. Na niektórych poziomach wykorzystano wszystkie te trzy bryły. Okna zamku również odzwierciedlały upodobanie architekta do form geometrycznych, w tym także ośmioboków i okręgów.

Ostatni raz byłam tu przed rokiem. Dorastałam tutaj i widując zamek codziennie, przywykłam do jego dziwaczного stylu. Teraz jednak widok tej budowli wstrząsnął mną i poczułam lekki dreszcz lęku.

Umieszczone w rogach cztery wieże sprawiały na obserwatorze wrażenie niejakiej symetrii. Przewyższały o kilka pięter główny budynek i miały w oknach szyby z kolorowego szkła. W czterech rogach Twierdzy Magów też były wieże. Przystanąłam, zastanawiając się nad tym podobieństwem.

Służący zaprowadził nas do umeblowanej z prostotą poczekalni, pozbawionej niemal wszelkich wygod. Gdy podano napoje orzeźwiające, odruchowo sprawdziłam, czy nie ma w nich trucizn,

wprawiając Leifa w zdumienie tym, że przepłukałam gardło sokiem. Gapił się na gołe ściany; prawdopodobnie zastanawiał się, gdzie się podziały legendarne zamkowe obrazy i zwierciadła w złoconych ramach. Przypuszczałam, że komendant kazał zniszczyć wszystkie skarby pochodzące z czasów panowania króla, ale przypomniawszy sobie uwagę Cahila o olbrzymich sumach niezbędnych do utrzymania Iksji, zastanowiłam się, czy Ambrose aby nie przehandlował tych drogocennych przedmiotów w zamian za rozmaite usługi.

– Mieszkałaś tutaj? – spytał Leif.

– Przez dwa lata. – Z czego rok w lochu. Niewielu ludzi w Sycji słyszało o Reyadzie. Wolałam zachować dla siebie szczegóły wydarzeń z tamtego okresu, jednakże większość Iksjan wiedziała, że zabiłam Reyada.

– Gdzie była twoja kwatera?

– Miałam pokój w apartamencie Valka.

– O rety, szybko się uwinęłaś – mruknął z niedowierzaniem.

– A ty zbyt wiele przypuszczasz – odparowałam. Kiedyś opowiem bratu i rodzicom o męce, którą tu przesłam. Ale nie dzisiaj.

Leif pogрузił się w rozmyślaniach, a Tauno zapadł w drzemkę na drewnianym krześle. Podziwiałam, jak ludzie z klanu Sandseed potrafią nawet wciśnięci w wąską klitkę sprawiać wrażenie, że jest im wygodnie. Przez ten czas, który spędziliśmy razem, Tauno przystosował się do przebywania w zamkniętych pomieszczeniach.

Natomiast Księżycowy Człowiek wiercił się niespokojnie w krześle. Nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy czuł się niepewnie, ponieważ znalazł się w zamkniętej przestrzeni, czy z powodu wrogości, którą mu okazywałam. Twierdził jednak, że mam nowego snującego

opowieść, i dzięki temu nie musiał mówić mi prawdy.

Cahil, który wiedział, że udamy się do Iksji, niewątpliwie zaplanował ucieczkę Marroka. Pogoń sycjańskich strażników stanowiła zapewne część tego fortelu.

Zapragnęłam przejść się po pokoju. Oczekiwanie ciągnęło się jak wąż boa. Nie było tu niczego, co odwiódłoby mnie od rozważania długiej listy zmarłych. Na jej czele nadal znajdował się Valek. Gdzie się podziewa? Do tego czasu powinien już wrócić do Iksji. Myśli gorączkowo wirowały mi w głowie. Aby się od nich oderwać, usiadłam na krześle przy oknie i wyjrzałam na rząd baraków koszar i plac ćwiczeń, gdzie mieszkali i szkolili się żołnierze komendanta. Ten widok przypomniiał mi o moich wojskowych przyjaciółach, Arim i Jancu, którzy według słów Maren byli obecnie zastępcami Valka.

Wstałam, przepełniona chęcią działania. Być może powinnam udać się prosto do gabinetu komendanta. Wiedziałam, jak się tam dostać, lecz z niesmakiem poczułam nerwowe sensacje w żołądku. Dlaczego jestem taka zdenerwowana?

Gdy wreszcie zrozumiałam, odczułam to jak nagły cios i ponownie opadłam na krzesło. W tych murach zawsze byłam więźniem – albo za kratami lochu, albo wskutek przekonania, że połknęłam truciznę o nazwie Motyli Pył i nie ucieknę daleko bez codziennej dawki antidotum, rzekomo utrzymującej mnie przy życiu. I teraz cała logika świata nie potrafiła przekonać mojego ciała, że jestem wolna.

W końcu zjawił się jeden z doradców komendanta i poprowadził nas szerokimi korytarzami zamku. Gdy weszliśmy do głównego holu, Leif westchnął cicho ze zdumienia na widok wiszących w strzępach złocistych jedwabnych gobelinów. Podzielałam jego reakcję. Czarna farba splamiła słynne niegdyś kilimy, przedstawiające wszystkie prowincje z okresu panowania króla Iksji. Obecnie symbolizowały przejście władzy przez komendanta. Dawne prowincje rozerwano

i wyrysowano nowe granice, tworząc osiem Dystryktów Wojskowych o regularnych kształtach.

We wszystkich wnętrzach tej kamiennej budowli widoczna była pogarda komendanta Ambrose'a dla bogactwa, zachłanności i braku umiaru. Zamek odarto z wszelkich oznak świadczących, że niegdyś był siedzibą króla, i tym samym zrabowano mu duszę i przemieniono w zwykły funkcjonalny budynek.

Przekształcenie, któremu uległa sala tronowa, stanowiło kolejny przykład braku poszanowania komendanta dla tradycji. Z pomieszczenia usunięto tron, podium, wystawne ozdoby oraz grube dywany. Obecnie kłębili się tu liczni doradcy oraz oficerowie ze wszystkich Dystryktów Wojskowych. Nasza piątka z trudem przecisnęła się przez salę gęsto zastawioną biurkami urzędników.

Gabinet komendanta nie różnił się od reszty zamku. Był urządzony surowo, schludnie i funkcjonalnie. Brakowało mu indywidualnego charakteru, ale doskonale odzwierciedlał osobowość właściciela.

Kiedy tam weszliśmy, komendant Ambrose stał w dopasowanym czarnym mundurze z diamentami lśniąco przy kołnierzyku. Przedstawiając mu moich towarzyszy, przyjrzałam się jego starannie ogolonej twarzy i dostrzegłam jedynie nieznaczne podobieństwo do ambasador Signe. Jakby naprawdę byli kuzynami, a nie tą samą osobą.

Jednak jego władczy wzrok się nie zmienił. Serce trwożnie zatrzepotało mi w piersi, gdy skupił na mnie spojrzenie złotych oczu.

– To dość nieoczekiwana wizyta, rozjemco Yeleno. Ufam, że miałaś dobry powód, skoro ominęłaś rutynowy protokół – powiedział, unosząc brwi.

– Bardzo dobry powód. Uważam, że Sycja zamierza podjąć ofensywę przeciwko tobie.

Rozważając te słowa, komendant zerknął na moich towarzyszy. W jego krótko przyciętych czarnych włosach w ciągu tego roku pojawiło się więcej siwizny. Podeszedł do drzwi gabinetu i zawołał do jednego ze swoich ludzi:

– Doradco Reydon, proszę zaprowadzić naszych gości na obiad do sali jadalnej, a potem do pokoi gościnnych. – Odwrócił się do moich towarzyszy. – Rozjemca Yelena zje obiad ze mną i dołączy do was później.

Gdy Leif popatrzył na mnie pytająco, otworzyłam przed nim umysł.

– Chcesz, żebyśmy odeszli? – zapytał.

– Nie macie wyboru.

– On nie jest moim komendantem. Nie muszę się go słuchać.

Był to przejaw dziecinnego uporu. Być może Leif poczuł się pominięty i zlekceważony.

– Okaż się uprzejmym gościem i zastosuj się do jego polecenia. Zrelacjonuję wam przebieg rozmowy z komendantem.

– Jesteś pewna, że nie potrzebujesz mojego wsparcia? Ten facet działa mi na nerwy.

– Leif! – rzuciłam ostrzegawczo.

Opuścił gabinet z wyraźnym ociąganiem i zanim podążył za doradcą, posłał mi gniewne spojrzenie.

Gdy pokój opustoszał, komendant wskazał mi fotel przed swoim

biurkiem. Zakłopotana przycupnęłam na brzeżku.

Zanim zasiadł za biurkiem, poczęstował mnie filiżanką herbaty. Ostrożnie łyknęłam napój, sprawdzając, czy nie zawiera trucizny. Komendant, dowodząc potężną armią i mając pod sobą ośmiu ambitnych generałów, niewątpliwie potrzebował osoby testującej potraw.

– Po co przyjechałaś? – zapytał.

– Już ci mówiłam. Sycja planuje...

Przerwał mi lekceważącym machnięciem ręką.

– Dobrze wiesz, że to stara wiadomość. Po co naprawdę przyjechałaś?

– By cię poprosić, żebyś odwłókł uderzenie na Sycję.

– Dlaczego?

Milczałam przez chwilę, zbierając myśli. Komendanta mogło przekonać jedynie logiczne rozumowanie.

– Sycjańska Rada drastycznie zmieniła swoje stanowisko od chęci porozumienia i nawiązania stosunków handlowych do strachu przed tobą.

– Tak. Są bardzo chwiejni.

– Ale nie aż tak chwiejni. Ktoś wpływa na ich opinię.

– Za pomocą magii? – Komendant wyglądał, jakby wymówienie tego słowa sprawiło mu ból.

W przeszłości generał Brazell i Mogkan – ludzie, którzy mnie porwali – posłużyli się wobec Ambrose'a magiczną mocą, aby zapanować nad jego umysłem, choć stanowczo zabronił uprawiania magii. Wprawdzie złagodził już nieco swoje stanowisko, jednak nadal traktował magów podejrzliwie. Wyrażenie zgody na to, abym działała na rzecz Iksji jako rozjemca, było jego pierwszym i jak dotąd jedynym widomym ustępstwem.

Valek przypuszczał, że komendant boi się magów, jednak według mnie miało to raczej związek z tym, co Ambrose nazywał swoją mutacją. Urodzony z ciałem kobiety, wierzył, że ma duszę męczyzny, i lękał się, że jakiś mag ujawni jego sekret. Lecz podczas mojego spotkania z komendantem, gdy występował w kobiecym przebraniu jako ambasador Signe, wyczułam w nim obecność dwóch dusz.

Stojąc teraz przed nim, pohamowałam chęć, by wniknąć w głąb jego umysłu. Byłoby to poważne naruszenie protokołu, a poza tym wydawało się niewłaściwe.

– Magia mogła tu odegrać pewną rolę, lecz na Radę musiał też wpłynąć inny czynnik lub jakiś człowiek – odpowiedziałam. – Chwilowo nie wiem tego jeszcze na pewno, ale zamierzam się dowiedzieć. Jeśli wymordujesz wszystkich członków Rady, wcale nie rozwiążesz problemu, a zabitych zastąpią jeszcze gorsi.

– To brzmi dość mgliście. Być może w tym dokumencie znajdziesz więcej danych. – Pomachał zwojem pergaminu, a potem podał go mnie.

Z każdym przeczytanym słowem rosły we mnie niepokój i oburzenie.

– I jak widzisz... – rzekł Ambrose, pochylając się nad pergaminem i stukając palcem w miejsce na samym dole – ten list podpisali wszyscy radni oprócz dwojga mistrzów magii. Dziwne.

Nie tyle dziwne, co katastrofalne, pomyślałam. Zaniepokoiłam się o Irys i Baina. Jeżeli Rada próbowała zmusić ich do podpisania listu, co się z nimi stało, gdy odmówili? Skoncentrowałam się na pergaminie. Martwieniem się nie pomogę Irys i Bloodgoodowi.

Krótko mówiąc, w tym liście sycjańska Rada ostrzegła komendanta przede mną jako renegatką i sugerowała, abyśmy ja i moi zdradzieccy towarzysze zostali niezwłocznie straceni. Zapewne dlatego Roze uważała, że nie będę w Iksji bezpieczna.

– Chcą podkopać twoją wiarygodność, a jednocześnie zamierzają nas zaatakować. Czy mają mnie za durnia? – Ambrose rozsiadł się wygodnie w fotelu i westchnął. – Wyjaśnij mi szczegółowo sytuację.

– Gdybym znała szczegóły, nie mówiłabym tak mgliście. – Teraz z kolei ja westchnęłam. Przetarłam dłonią twarz, zastanawiając się, jak mam opowiedzieć komendantowi o Cahilu. Czy powinnam wspomnieć o Ognistym Warperze? Nie miałam pojęcia, jaką rolę odgrywa w tej intrydze, i na tym właśnie polegał problem.

Tak więc powiedziałam tylko, że Cahil pomógł Ferdemu w ucieczce z więzienia Twierdzy Magów, a potem przekreślił wszystko na opak, aby wrobić Marroka, Leifa i mnie.

– Wygląda na to, że wymordowanie Rady byłoby korzystne dla Sycji – rzekł komendant.

– Dostarczyłoby Cahilowi i jego stronnikom dowodu, że mieli rację, podejrzewając ciebie. Sycja udzieliłaby im wsparcia. Valek zgadza się w tym ze mną. Nie zwrócił się jeszcze przeciwko Radzie. Jest już w drodze powrotnej, niebawem się tutaj zjawi.

Nawet jeśli ta wiadomość zaskoczyła komendanta, nie pokazał tego po sobie.

– Więc już opóźniłaś moje uprzedzające uderzenie – stwierdził. – Jednak nie potrafisz dowieść prawdziwości swoich słów.

– Istotnie. Właśnie dlatego chcę, abyś wstrzymał się z podjęciem ataku. Potrzebujemy więcej informacji. Valek i ja...

Drzwi gabinetu otwarły się i weszła Star, niosąc tacę z jedzeniem. Na mój widok znieruchomiała zszokowana. Obecnie to ona była testerką. Serce zabiło mi mocniej, gdy zobaczyłam, że mój dawny uniform nosi teraz była kapitan Star, przywódczyni gangu zajmującego się wymuszeniami i rządzącego czarnym rynkiem, zanim Valek nie wykrył jej machinacji.

Rzuciła mi mordercze spojrzenie. Nieudany zamach na moje życie nasłanego przez Star zbira doprowadził do jej pojmania. Uprzedzona o pułapce zastawionej na nią przez Valka, mogła zniknąć i ukryć się w swojej podziemnej sieci. Zamiast tego uległa małostkowemu pragnieniu zemstczenia się na mnie i oto teraz próbowała, czy jedzenie komendanta nie jest zatrute.

– Przynajmniej przetrwałaś szkolenie – powiedziałam do niej.

Odwróciła wzrok. Długie rude włosy miała związane w niechlujny węzeł. Patrząc na nią, przede wszystkim rzucał się w oczy wydatny nos. Postawiła tacę na biurku komendanta. Chociaż znajdował się tam obiad dla dwóch osób, spróbowała tylko jego potraw, a potem wyszła.

Przyjrzałam się swojemu jedzeniu. Star wyglądała na zaskoczoną moją obecnością, ale mogła udawać. Być może wciąż żywiła wobec mnie pragnienie zemsty. Komendant podał mi talerz. By nie zachować się nieuprzejmie, ostrożnie ugryzłam kawałek pieroga z mięsem, przeżułam go powoli i obróciłam na języku. Wołowinę przyprawiono rozmarynem i imbirem. Nie była zatruta, w każdym razie nie wyczułam żadnej z zapamiętanych przeze mnie trucizn. Straciłam apetyt, gdy

przypomniałam sobie uwagi Księżycowego Człowieka o nauce poprzez praktykę i o tym, jak łatwo zapomnieć informacje poznane z drugiej ręki.

Podczas posiłku rozmawialiśmy o nieistotnych drobiazgach. Kiedy przy deserze cytrynowym pochwaliłam nowego szefa kuchni, Ambrose oznajmił mi, że to stanowisko zajmuje teraz Sammy.

– Ten trzynastoletni chłopiec, pomocnik Randa? – spytałam.

– Pracował z Randem przez cztery lata i okazało się, że tylko on zna wszystkie składniki jego sekretnych receptur.

– Ale jest jeszcze taki młody. – W trakcie przygotowywania posiłków w kuchni panował chaos, krzyżowały się sprzeczne polecenia. Dawniej żelazną ręką trzymał to w ryzach Rand.

– Dałem mu tydzień na udowodnienie, że się nadaje. I wciąż tu pracuje.

Zapomniałam, że dla komendanta wiek nie ma znaczenia. Mógłby zmusić Sammy'ego do wyjawienia receptur, ale bardziej liczyły się dla niego zdolności niż doświadczenie czy płeć. Mój sycjański młody przyjaciel Fisk, który z żebraka stał się przedsiębiorcą, w Iksji świetnie by prosperował.

Kiedy skończyliśmy obiad, komendant odsunął tacę i przestawił figurkę śnieżnego lamparta. W czarnym kamieniu zaśniły srebrzyste błyski. Ten posążek – jedyną ozdobę w gabinecie – wyrzeźbił Valek. Zabicie śnieżnego lamparta uważa się za niemożliwe. Mieszkańcy Iksji unikają spotkania z tym śmiertelnie groźnym zwierzęciem, żyjącym na polach lodowych na północy kraju. Grozę budzi w nich nadnaturalna zdolność lamparta unikania śmierci.

Komendant Ambrose był jedynym człowiekiem, któremu udało się

wytropić i zabić to zwierzę. Tym czynem udowodnił samemu sobie, że pomimo swej mutacji potrafi przeniknąć do świata mężczyzn, tak jak potrafił żyć w świecie śnieżnych lampartów. Wierzył, że jego kobiece ciało jest tylko przebraniem dla męskiej duszy. Jedynie komendant i ja znaleźliśmy sekret polowania i dwoistej osobowości. Kazał mi przysiąc, że zachowam to w tajemnicy, kiedy uwolniłam go od kontroli, którą Mogkan sprawował nad jego umysłem.

– Zanim Star przyniosła obiad, wspomniałaś, że chcesz zdobyć więcej informacji o sycjańskiej Radzie – powiedział. – Jak zamierzasz dokonać tego teraz, gdy jesteś ściganą przestępczynią?

– Miałam nadzieję, że uda mi się wkraść do Cytadeli i porozmawiać z którymś z radnych. Obawiam się jednak, że mistrzowie magii dzięki swoim talentom mogliby wykryć moją obecność. Dlatego chcę pożyczyć Valka i kilku jego ludzi, by pomogli nam w nawiązaniu kontaktu z radnym.

– Z którym?

– Bavolem Cacao Zaltaną z mojego klanu. Zawsze mnie wspierał, a jeśli spojrzysz na jego podpis... – Wzięłam z biurka sycjański list i wskazałam odpowiednie miejsce. – Nie podpisał się rodzowym nazwiskiem Cacao, tak więc z formalnego punktu widzenia ten podpis jest nieważny. Pewnie w ten sposób przesłał mi wiadomość, że mogę się z nim skontaktować.

Komendant popatrzył w głąb pokoju, rozważając moje słowa. Po chwili ponownie zwrócił wzrok na mnie.

– Chcesz, żebym naraził na ryzyko szefa mojej ochrony, by pomógł ci w zdobyciu informacji, a tymczasem ja mam biernie czekać i mieć nadzieję, że Sycjanie nie zaatakują, zanim nie zorientujesz się w sytuacji?

– Tak – odrzekłam, chociaż wiedziałam, że mój plan źle zabrzmiał w uszach komendanta. Nie było sensu tuszować powagi zagrożenia, a ostatnie, czego chciałam, to narażać na niebezpieczeństwo Valka lub kogokolwiek innego. Lecz należało to zrobić.

Ambrose wsparł podbródek na splecionych dłoniach.

– Ta informacja nie jest warta aż takiego ryzyka. Mogę poczekać i zobaczyć, jak zachowa się Rada, a potem podjąć stosowne kroki.

– Ale...

W oczach komendanta zamigotał ostrzegawczy błysk.

– Yeleno, dlaczego tak cię obchodzi los Rady? Radni odwrócili się od ciebie. Nie możesz wrócić do Sycji. Najlepiej pomożesz mi, zostając tutaj jako mój doradca.

Rozważyłam tę nieoczekiwaną propozycję.

– A co z moimi towarzyszami?

Komendant skrzywił się z niesmakiem.

– To magowie?

– Dwóch z nich tak.

– Jeśli zechcesz, mogliby należeć do twojego zespołu, ale bez mojego zezwolenia nie wolno im będzie używać magii przeciwko obywatelom Iksji.

– A co z moją magią? Na mnie również nałożysz takie ograniczenie?

– Nie, Yeleno. Ufam ci – rzekł spokojnym, wyważonym tonem.

Znieruchomiałam na chwilę zszokowana. Jego zaufanie było zaszczytem. Rozważyłam ostatnią reakcję sycjańskiej Rady wobec mnie. Pokusa, by przyjąć propozycję komendanta i zostać jego doradcą, walczyła we mnie z emocjami. Prawdopodobnie byłoby prościej pozostać tutaj i pokonać Cahila z tej strony granicy.

– Nie musisz odpowiedzieć od razu, Yeleno. Porozmawiaj ze swoimi towarzyszami. Wkrótce powinienem otrzymać wiadomość od Valka, potem znów się z tobą spotkam. Czy potrzebujesz czegoś?

Pomyślałam o naszych kurczących się zapasach jedzenia. Jeśli stąd wyjedziemy, będziemy potrzebowali więcej prowiantu.

– Mógłbyś mi wymienić sycjańskie pieniądze na tutejsze? – Poszperałam w plecaku, wyjmując rozmaite przedmioty i kładąc je na biurku, aby dogrzebać się do monet.

– Daj je doradcy Wattsowi. Pamiętasz mojego księgowego?

– Tak, oczywiście. – Na samym dnie plecaka znajdowała się paczuszka z posążkiem nietoperza od Opal. Wyjęłam ją i odwinęłam szklaną figurkę.

Komendant wbił wzrok w wyrzeźbionego nietoperza i wyciągnął rękę, jakby chciał go chwycić.

– Mogę obejrzeć? – zapytał.

– Naturalnie.

Błyskawicznie wyrwał mi z dłoni posążek i obrócił go, przyglądając mu się pod wszelkimi możliwymi kątami.

- Kto go wykonał?
- Moja przyjaciółka Opal z Sycji. Tworzy wyroby artystyczne ze szkła.
- Ten posążek świeci, jakby miał w środku płynny ogień. Jak ona to zrobiła?

Wgapiłam się w komendanta. A więc widział to wewnętrzne światło! Jedyne magowie potrafili je dostrzec.

Zatem Ambrose posiada magiczne zdolności.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Komendant ujrzał blask jarzący się w szklanej figurce nietoperza. Zakładałam, że tylko magowie mogą dostrzec wewnętrzne światło, ale mogłam się mylić. Może powinnam przetestować reakcję na ten posążek na większej liczbie ludzi. Gdyby komendant rzeczywiście posiadał magiczne zdolności, jego magia do tego czasu eksplodowałaby w niekontrolowany sposób, uśmiercając go. Mistrzowie w Sycji już dawno odkryliby jego magiczne uzdolnienia. Irys wyczułaby je, gdy stała obok niego.

Odepchnęłam od siebie absurdalne myśli i odpowiedziałam na pytanie komendanta o wytwarzanie wyrobów ze szkła.

– Ale co sprawia, że ten posążek świeci? – naciskał.

Wiedziałam, że jeśli odpowiem: „magia”, upuści figurkę, jakby sparzyła go w ręce. Toteż zamiast tego odparłam, że ten wewnętrzny blask jest rodzinnym sekretem producentów.

Zwrócił mi posążek.

– Nadzwyczajne. Gdy następnym razem będziesz się widziała ze swoją przyjaciółką, poproś ją, żeby wykonała jeden taki dla mnie.

Wreszcie znalazłam monety, których szukałam, i przepakowałam plecak. Dopiero gdy już zarzuciłam go na ramiona, uświadomiłam sobie, że zapomniałam ponownie zawinąć figurkę nietoperza.

Komendant wziął sycjańskie monety, podszedł do drzwi gabinetu i wezwał doradcę Watta. Poprosił go, by wymienił pieniądze i zaprowadził mnie do skrzydła dla gości.

Pojęłam, że audiencja jest zakończona, i poszłam za Wattsem do

sali tronowej, trzymając w ręku figurkę nietoperza. Doradca zauważył ją, kiedy wręczał mi iksjańskie pieniądze.

– Sycjańska sztuka? – zapytał.

Przytaknęłam.

– Nieźle uchwycone podobieństwo, ale w sumie rzeźba dosyć przeciętna – stwierdził. – Sądziłem, że Sycjanie mają więcej wyobraźni.

Zastanawiałam się nad uwagami komendanta Ambrose'a i Wattsa, idąc za doradcą przez zamek. Wciąż nie mogłam zrozumieć, jak komendant potrafił dostrzec światło jarzące się wewnątrz figurki. Lecz musiałam odłożyć te rozmyślenia na później, kiedy weszliśmy do apartamentu dla gości.

Gdy tylko przekroczyłam próg, Leif zarzucił mnie tysiącem pytań. Kwatery dla gości były urządzone dość wystawnie jak na iksjańskie standardy. W salonie znajdowały się miękkie fotele i wygodna sofa, a także kilka biurek i stołów. W powietrzu unosił się słaby zapach środków dezynfekcyjnych. Do salonu przylegały cztery sypialnie, po dwie z każdej strony. Przez półkolisty rząd okien w tylnej ścianie wpadały promienie słońca, ogrzewając obszerne pomieszczenie.

Powstrzymałam spojrzeniem pytania Leifa, po czym rzuciłam:

– Gdzie reszta?

Wskazał drugie podwójne drzwi na prawo.

– Wszyscy odpoczywają. Księżycowy Człowiek i Marrok są w dużym pokoju obok kwatery Tauna.

– A gdzie jest mój pokój?

– Drugie drzwi na lewo, obok mojego.

Weszłam do środka. Leif podreptał za mną jak zabłąkany szczeniak. Proste umeblowanie niewielkiej sypialni składało się jedynie z łóżka, szafy na ubrania, biurka i nocnego stolika, wykonanych z dębu. Pościel wyglądała świeżo i kusząco. Pogłodziłam miękką narzutę. Powietrze przesyciła woń sosen. Brak kurzu przypomniiał mi o gospodynie Valka, Margg. Uprzykrzała mi życie, kiedy zostałam testerką komendanta. Odmawiała sprzątaniamojego pokoju i pisała palcem w kurzu złośliwe uwagi. Miałam nadzieję, że nie natknę się na nią podczas pobytu na zamku.

Brat znów zaczął mnie wypytywać, więc poinformowałam go o przebiegu spotkania z komendantem. Nie wspomniałam jednak, że Ambrose potrafi dostrzec blask we wnętrzu figurki czarnego nietoperza. Nie sądziłam, by komendant posiadał magiczne zdolności, i z pewnością nie zamierzałam przekonywać o tym Leifa ani kogokolwiek innego.

– Czarny i czerwony nie należą do moich ulubionych kolorów – oświadczył. – W którym Dystrykcie Wojskowym obowiązuje zieleń? Mógłbym otworzyć tam sklep z ziołami.

Ten żart nie wydał mi się zabawny.

– W Piątym Dystrykcie nosi się czarno-zielone uniformy. Niegdyś rządził nim generał Brazell, ale obecnie przebywa w lochu komendanta – powiedziałam, zastanawiając się, kto został jego następcą.

– Co teraz zrobimy?

– Nie mam pojęcia.

Leif udał, że jest zszokowany.

– Przecież jesteś naszą nieustraszoną przywódczynią i masz już

wszystko zaplanowane, nieprawdaż?

Wzruszyłam ramionami.

– Zamierzam wziąć długą gorącą kąpiel. Co ty na to?

– Brzmi nieźle. Mogę pójść z tobą do łaźni?

– O ile obiecasz, że nie spędzisz tam całego dnia. – Wyjęłam z plecaka czyste ubranie.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Uznałeś puchowy materac za luksus. Zaczekaj, aż zobaczysz łaźienki w zamku komendanta!

Gorąca kąpiel spłukała ze mnie zmęczenie.

Leif z uśmiechem dołączył do mnie na korytarzu.

– Z łatwością przystosuję się do życia w Iksji. Baseny i wodotryski są cudowne. Czy w każdym mieście jest taka łaźnia?

– Tylko zamek komendanta posiada takie udogodnienia. To pozostałość po okresie monarchii. Komendant Ambrose zazwyczaj gardzi luksusami, jednak łaźnię pozostawił.

Podczas kąpieli długo i intensywnie rozmyślałam o naszej sytuacji i ofercie komendanta. Pokusa, by pozostać w Iksji, zaczynała brać we mnie górę nad rozsądkiem. Wiedziałam jednak, że musimy wrócić do Sycji. Verminowie już unicestwili klan Sandseed, a Cahil i Ognisty Warper nadal stanowili zagrożenie.

Wciąż nie miałam pojęcia, jak sobie z nimi poradzę. Nie mogłam już ufać Księżycowemu Człowiekowi, Taunowi ani Marrokowi.

Pozostaliśmy więc tylko Valek, Leif i ja przeciwko Daviianom, Ognistemu Warperowi oraz Cahilowi i jego armii.

A co się stanie, jeśli ujawnię współpracę Cahila z Verminami? Rada mu ufa, więc będę musiała przekonać radnych o jego oszustwie. Aby mi uwierzyli, potrzebuję niezbitego dowodu... którego nie mam.

Prawdę mówiąc, im dłużej zastanawiałam się nad tą sytuacją, tym bardziej wątpiłam, czy zdołam znaleźć jakieś rozwiązanie.

Leif i ja wróciliśmy do apartamentu dla gości. Księżycowy Człowiek i Tauno czekali na nas w salonie.

– Jak się czuje Marrok? – zapytałam.

– Lepiej – odparł Księżycowy Człowiek.

– Może już mówić?

– Jeszcze nie.

– Ale wkrótce będzie?

– Możliwe.

Wpatrzyłam się w niego. Odpowiadał w typowy dla snującego opowieść niejasny sposób. Pohamowałam chęć, by potrząsnąć nim i siłą wydobyć informacje, i zamiast tego zapytałam:

– Dowiedziałeś się czegoś, pracując nad psychiką Marroka?

– Odkryłem tylko nieistotne drobiazgi i luźne strzępki wspomnień. Doświadczane przez Marroka poczucie zdrady utrudnia mi dotarcie do niego. On mi nie ufa.

Księżycowy Człowiek pochwycił moje spojrzenie i zobaczyłam w jego oczach to, czego nie wypowiedział.

– Zaufanie musi być obustronne – stwierdziłam.

– Milczę nie z powodu braku zaufania, tylko z powodu braku akceptacji z twojej strony, Yeleno.

– A ty się obawiasz, co mogłabyś odkryć, gdybyś zaakceptowała swoją rolę w tej sytuacji, prawda? – zwrócił się do mnie Leif.

Pukanie do drzwi wybawiło mnie od konieczności udzielenia odpowiedzi. Jedna z pokojówek wręczyła mi wiadomość od komendanta. Zapraszał nas na kolację do sali wojennej.

– Nie odpowiedziałas mi – rzekł Leif, gdy pokojówka opuściła pokój. – A co odpowiesz komendantowi? Zamierzasz zostać tutaj i objąć funkcję jego doradcy?

– Sama nie wiem. Właściwie nie mam pojęcia, co robię ani co powinnam zrobić. – Weszłam do swojego pokoju i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Sala wojenna mieściła się w jednej z czterech zamkowych wież. Gdy weszłam do owalnego pomieszczenia z wysokimi oknami o szybach z witrażowego szkła odbijających blask lamp, miałam wrażenie, że znalazłam się wewnątrz kalejdoskopu.

Rozmawialiśmy o przyziemnych sprawach, jedząc kurczaki z przyprawami i zupę jarzynową. Leif pożerał wszystko z wyraźną rozkoszą, natomiast ja jadłam powoli, próbując ostrożnie każdą potrawę. Kilku gwardzistów stało w pobliżu komendanta, a Star trzymała się tuż obok niego, gotowa sprawdzić każde zaserwowane danie. Księżycowy Człowiek i Tauno w trakcie posiłku się nie odzywali.

Przedyskutowaliśmy kwestię awansu pułkownika Ute z Trzeciego Dystryktu Wojskowego na generała i zarządcę Piątego Dystryktu. Komendant uważał za korzystne objęcie dowództwa tego dystryktu przez oficera z zewnątrz, innymi słowy przez osobę lojalną, niemającą nic wspólnego z dokonaną przez generała Brazella próbą przejęcia władzy nad Iksją.

Kiedy rozmowa zeszła na temat obaw generała Kitvivana przed zbliżającą się porą śnieżyc, opowiedziałam komendantowi, w jaki sposób klan Stormdance radzi sobie z burzami nadciągającymi od morza.

– Magowie mogliby okiełznać potęgę śnieżyc i uchronić mieszkańców Pierwszego Dystryktu przed śmiercionośnymi huraganami – powiedziałam. – Następnie można by wykorzystać zgromadzoną w ten sposób energię do zasilenia tartaków generała Dinny.

Dinno wykorzystywał do napędzania tartaków siłę wiatru, nie mogły więc pracować w bezwietrzne dni.

– Nie będzie żadnej dyskusji na temat magów i magii – odparł komendant.

Jego surowy ton dawniej mnie przerażał, lecz teraz nie zrobił na mnie wrażenia.

– Chcesz, abym została twoim doradcą, ale nie zamierzasz rozważyć użycia magii dla dobra twoich ludzi. Ja jestem maginią, więc jak w takim razie mogę skutecznie udzielać ci rad?

– Możesz mi doradzić, jak mam przeciwstawić się sycjańskim magom. Nie interesuje mnie, co za pomocą magii można zrobić dla Iksji. – Ambrose zaznaczył stanowczym gestem, że dyskusja dobiegła końca.

Lecz ja nie zrezygnowałam.

– A co będzie, jeśli któryś z twoich generałów zachoruje lub zostanie ranny, a ja będę mogła uratować mu życie moją magią?

– Nie pozwolę ci na to. Jeżeli umrze, awansuję na jego miejsce kolejnego pułkownika.

Z mieszanymi uczuciami rozważyłam jego słowa. Wiedziałam, że jest nieugięty i nie porzuci wojskowego stylu rządzenia krajem. W Iksji obowiązuje Regulamin Postępowania, który twardo narzuca obywatelom sposoby zachowania w różnych sytuacjach i nie dopuszcza żadnych odstępstw. Miałam jednak nadzieję, że gdy komendant zobaczy, jakie korzyści magia przynosi poddanym, być może złagodzi swoje stanowisko.

Jakby czytając w moich myślach, Ambrose rzekł:

– Magia deprawuje. Widziałem to już u królewskich magów. Zaczynali od pomagania ludziom i dokonywali wspaniałych rzeczy, lecz szybko ulegali żądzy władzy i pragnęli zdobyć jej coraz więcej bez względu na cenę. Pomyśl, co się stało z klanem Księżycowego Człowieka. Prawdę mówiąc, dziwię się, że coś takiego nie wydarzyło się już wcześniej.

– Mój klan się odrodzi – oświadczył Księżycowy Człowiek. – Nie mam co do tego wątpliwości.

– A ja nie mam wątpliwości, że nawet jeśli Verminowie zostaną pokonani, wkrótce pojawi się kolejny mag dążący do przejęcia władzy w Sycji. Zdolność panowania nad umysłami i ciałami innych ludzi jest kusząca i upajająca. Lepiej całkowicie zabronić uprawiania magii i zlikwidować wszystkich magów.

Ciekawe czy komendant zmieniłby zdanie, gdyby się dowiedział,

że być może sam posiada magiczne talenty? Znów przypomniałam sobie jego zdolność dostrzeżenia wewnętrznego światła w figurce nietoperza wykonanej przez Opal i zadumałam się nad konsekwencjami tego faktu.

– Czyli uważasz, że lepiej zabijać ludzi w tradycyjny sposób? – Leif nie krył oburzenia. – Twierdzisz, że zdobywanie władzy za pomocą trucizn, sztyletów i mieczy jest lepsze niż posługiwanie się magią. Szczerze mówiąc, nie widzę żadnej różnicy.

– Magia zmusza ludzi do robienia rzeczy, których wcale nie chcą. Obezwładnia ich wolę. – Komendant pochylił się naprzód, a w jego oczach błysnęła pasja.

Leif skulił się pod jego przenikliwym spojrzeniem, lecz nie dał za wygraną.

– A czyż wasz Regulamin Postępowania także nie zmusza obywateli do zachowań, których wcale nie chcą? Czy wszyscy w Iksji naprawdę pragną nosić mundury i uzyskiwać zezwolenia na wzięcie ślubu czy przeprowadzkę do innego dystryktu?

– To tylko drobne niedogodności życia w kraju, w którym nie ma głodu ani korupcji, i w którym każdy zna swoje miejsce w drabinie społecznej i dokładnie wie, czego się od niego oczekuje. U nas ludzie są nagradzani za swoje zdolności i wysiłki. Nikt nie jest uprzywilejowany z racji wysokiego urodzenia i płci.

– Ale nagrodą za posiadanie magicznych uzdolnień jest śmierć – rzekł Leif. – Jestem pewien, że rodziny niedoszłych magów nie uważają utraty swych bliskich jedynie za drobną niedogodność. Dlaczego zamiast ich uśmiercać, nie wysyłasz takich ludzi na wygnanie do Sycji?

– Żeby można było użyć ich przeciwko mnie? – rzucił komendant z nutą niedowierzania w głosie. – To byłaby kiepska strategia militarna. – Gdy Leif nic nie odpowiedział, dodał, rozpierając się wygodniej

w krześle: – Żaden rząd nie jest doskonały. To, że pewni ludzie utracili wolność czy nawet życie, zostało przyjęte z zadowoleniem przez większość mieszkańców Iksji, zwłaszcza przez tych, którzy cierpieli pod skorumpowanymi rządami króla. A takich była zdecydowana większość. Zdaję sobie jednak sprawę, że młodsze pokolenie się buntuje i wkrótce podniesie tę kwestię. – Przyjrzał się Leifowi, jakby zastanawiał się nad przyszłością. – Yeleno, jak widzę, inteligencja jest u was cechą rodzinną. Mam nadzieję, że ty i twój brat zdecydujecie się pozostać w Iksji.

Leif stanowczo zacisnął szczęki. Wiedziała, że potrafi być uparty, a teraz, jak mi się zdawało, postawił sobie za cel zmianę stosunku komendanta do magów.

W tym momencie zjawił się posłaniec i wręczył Ambrose'owi zwój pergaminu. Komendant przeczytał wiadomość i wstał.

– Proszę, dokończcie kolację. Muszę załatwić kilka spraw. – Wyszedł, zabierając ze sobą strażników i Star, która od drzwi rzuciła mi badawcze spojrzenie.

Wracając do kwatery dla gości, zastanawiałam się nad opinią Ambrose'a o magii i magach. Wprawdzie zgadzałam się z bratem, że magów nie powinno się zabijać, jednak zdawałam sobie sprawę, że magia rzeczywiście deprawuje. Uległa temu nawet Roze, najpotężniejsza magini w Sycji. Mogłam zrozumieć jej obawę przed moimi zdolnościami Poszukiwaczki Dusz, lecz czymś zupełnie innym było poparcie udzielone Cahilowi.

Gdy znaleźliśmy się w naszym apartamencie, wciągnęłam Leifa do mojego pokoju.

– O co chodzi? – zapytał.

– Chcę się skontaktować z Irys. Musimy wiedzieć, co się dzieje

w Cytadeli.

– A ja chciałbym wiedzieć, co się dzieje z tobą.

– To znaczy?

– Od przekroczenia granicy zmieniłaś się, Yeleno. Traktujesz Księżycowego Człowieka jak zdrajcę i nikomu nie ufasz. Jeśli zdecydujesz się zostać w Iksji jako doradca komendanta, to ty okażesz się zdrajczynią. Zapomniałaś już, że chciałaś być neutralnym rozjemcą?

– Aby móc być rozjemcą, muszę wspierać obie strony. Pomożesz mi? Czy zamierzasz dalej mnie pouczać?

Leif burknął coś z nadąsaną miną, ale ostatecznie zgodził się użyć mi swojej energii. Położyłam się na łóżku, zaczerpnęłam ze źródła magicznej mocy i wysłałam świadomość do Twierdzy Magów. Ominięłam zaferowane myśli mieszkańców Cytadeli i przepatrzyłam mentalnie kampus w poszukiwaniu Irys. Nie znalazłam czwartej magini w jej wieży, ale wyczułam nikłe echo, jakby ulotny ślad zapachu jej duszy po tym, jak już opuściła pokój. Dziwne.

Zbadałam pozostałe wieże Twierdzy, mając nadzieję, że Irys wybrała się z wizytą do innego mistrza magii. Myśli Zitory były odgradzone mentalnym murem uniemożliwiającym wstęp intruzom. W wieży Baina natrafiłam na ten sam dziwny ulotny ślad co u Irys. Potem odbiłam się gwałtownie od twardej, zimnej bariery umysłu Roze. Cofnęłam się, lecz lodowaty wicher wessał mnie z powrotem ku niej. Tym razem szlaban był podniesiony. Zimna dłoń uchwyciła moją świadomość i wciągnęła mnie do umysłu pierwszej magini.

– Szukasz kogoś? – zapytała Roze. Gdy nic nie odpowiedziałam, roześmiała się, a potem dodała: – Ułatwiłaś mi zadanie. Wiedziałam, że spróbujesz skontaktować się z Irys. Niestety, nie będziesz mogła z nią porozmawiać. Rada uznała, że Irys i Bain dopuścili się zdrady, dlatego

przebywają w więzieniu Twierdzy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– Roze, jak ci się udało zrobić w zradę dwoje mistrzów magii? – zapytałam, tłumiąc szok i oburzenie.

– Odmówili podpisania listu do komendanta i niezłomnie bronili ciebie i twego brata. – Słowo „brat” wymówiła z zacieklą pogardą. – Wątpili w prawdziwość słów Cahila, który na własną rękę zwiększył potęgę naszej armii, pozyskując wsparcie wojowników Daviian.

– Ci wojownicy nie zamierzają wam pomóc, tylko posłużyć się wami.

– Nie prosiłam cię o radę. – Roze mocniej ścisnęła moją świadomość. – Jesteś kretynką, która zaraz utraci władzę nad swym intelektem. – Obierała kolejne warstwy mojego umysłu. Myśli przeszył mi na wskroś jakby nóż z lodu, odsłaniając te, które dla bezpieczeństwa trzymałam w ukryciu. – Zastanawiasz się, czy zostać doradcą komendanta. Śmiechu warte! Gdy się z tobą rozprawię, nie będziesz nawet w stanie doradzić niemowlęciu, jak ma ssać kciuk.

Nie mogłam wyrwać się z tej pułapki i wpadłam w panikę. Poczułam, że Leif wlał we mnie swoją energię, lecz mimo to nadal nie potrafiłam się wyswobodzić. Odarta przez arktycznie lodowatą magię Roze, czułam się kompletnie bezradna.

– Valek był w Sycji i zamierzał wymordować całą Radę. Hm... bardzo interesujące – stwierdziła pierwsza magini.

Zdesperowana, wiedząc, że nie zdołam wyzwolić się z chwytu Roze, sięgnęłam do niej bliżej, szukając sfery, nad którą mogłabym zapanować. Jej dusza. Szarpnęłam za tę widmową duszę, poczułam jej zgniły odór i zdałam sobie sprawę, że rwie się, jakby rozpadała się na wiele odrębnych osobowości.

Roze wzdrygnęła się i wypuściła mnie z uścisku. Gdy uciekałam, dobiegły mnie jej słowa:

– Spróbuj uratować Irys i Baina. Przybądź do Cytadeli. Już na ciebie czekamy. – Błyskawicznie wzniosła między nami mur obronny, zrywając mentalne połączenie.

Powróciłam do swego ciała. Czułam się wyczerpana i osłabła. Leif pochylił się nade mną.

– Co się stało? Utraciłem z tobą kontakt.

– Schwytała mnie Roze... – Przypomniałam sobie, co powiedziała o Irys i Bainie.

– I co?

– Uwolniłam się, zanim zdążyła dokonać inwazji na wszystkie moje myśli.

– A czego zdołała się dowiedzieć?

Wyjaśniłam, że Roze już wie o propozycji komendanta i o pobycie Valka w Sycji.

Leif w zamyśleniu zmarszczył brwi.

– To, że dowiedziała się o wizycie Valka, może okazać się korzystne. Rada podejmie środki bezpieczeństwa, na wypadek gdyby tam wrócił.

– O ile Roze ostrzeże radnych. Ich śmierć może być jej na rękę.

– Nie. Roze szczerze pragnie dobra Sycji. Jest uparta i przekonała

swoimi argumentami wielu członków Rady, ale nie wierzę, by posłużyła się morderstwem lub magią dla prywatnych celów.

Potrząsnęłam głową. Po ostatniej napaści wiedziałam, że Roze nie zawaha się przed niczym, by dopiąć swego.

– Byłeś jej studentem, więc nic dziwnego, że zachowałeś do niej życzliwy stosunek.

– Po prostu znam ją lepiej niż ty – odparł Leif poirytowanym tonem. – Miałem z nią do czynienia przez dziewięć lat jako uczeń, a później asystent. Owszem, Roze stosuje surowe metody, ale ma na celu wyłącznie dobro Sycji. Zawsze wspierała dążenia Cahila do objęcia tronu Iksji. Uważa, że twoje zdolności Poszukiwaczki Dusz stanowią zagrożenie dla Sycji... a ja zaczynam podzielać jej pogląd. – Wypadł z pokoju.

Zastanowiłam się, co naprawdę go tak zdenerwowało. Według mnie Roze jest morderczynią. Nie uśmiercała ciał, ale bez skrupułów unicestwiała umysły. Wystarczy wspomnieć, co się stało z Marrokiem. Lecz przecież ja zrobiłam to samo Ferdemu. Przynajmniej jednak przyznałam, że jestem zabójczynią. Czy to czyni mnie lepszą od niej? Nie.

Zanalizowałam informacje uzyskane od Roze. W tej chwili najważniejsze jest uratowanie Irys i Baina. Potrzebowałam oczu i uszu wewnątrz murów Cytadeli oraz jakiegoś sposobu przesłania wiadomości do Twierdzy Magów – i musiałam osiągnąć to dyskretnie i niepostrzeżenie, nie narażając nikogo na niebezpieczeństwo. Nie mogłam się już posłużyć magią. Jeśli wyślę świadomość w pobliże Twierdzy, Roze znów mnie schwyta. Pozostały mi do dyspozycji wyłącznie przyziemne metody.

W moim umyśle pojawił się pewien plan i serce zabiło mi mocniej, gdy pomyślałam o wynikających z niego możliwościach. Gdybym nie

była tak wyczerpana z energii, mogłabym rozpocząć przygotowania już tej nocy. Zamiast tego obmyślałam wszystkie kroki niezbędne do tego, abym mogła wrócić do Sycji.

Przystanęłam przed drzwiami pracowni Dilany. Szwaczka komendanta siedziała w złocistej plamie porannego słońca, miękkie jasne loki lśniły jak świeży miód. Coś sobie nuciała i zwinnymi palcami naprawiała parę spodni.

Zawahałam się w progu, nie chcąc jej przeszkadzać, jednak potrzebowałam informacji, więc w końcu weszłam do pokoju. Zaskoczona Dilana podniosła na mnie wzrok. Serce mi zamarło. Przygotowałam się na jej spodziewaną reakcję – nienawiść i gniew.

– Yelena! – Zerwała się na nogi. – Słyszałam, że wróciłaś. – Uściskała mnie serdecznie, a potem wypuściła z objęć i przyjrzała mi się uważnie. – Wciąż jesteś zbyt chuda. I co ty masz na sobie? Ten materiał jest zdecydowanie za cienki na iksjańską pogodę. Pozwól, że przyniosę ci odpowiednie ubranie i coś do jedzenia. Mam świeży bochenek cynamonowego chleba.

Ruszyła do drzwi, lecz chwyciłam ją za ramię.

– Zaczekaj, Dilano. Już jadłam śniadanie i nie jest mi zimno. Usiądź, chcę z tobą porozmawiać.

Jej urody lalki nie przyćmiły czas ani żałoba, jednak mimo uśmiechu dostrzegłam w jej oczach cień smutku.

– Cieszę się, że znów cię widzę. – Pogładziła mnie po ramieniu. – Ależ zbrazowiałaś! Opowiedz mi, co robiłaś w Sycji poza opalaniem się na plaży.

Zaśmiałam się z tej wizji, jak wyleguję się na słońcu, lecz zaraz spoważniałam. Dilana usiłowała zmienić temat. Chciała uniknąć

rozmowy o powodzie, dla którego, jak sądziłam, może wciąż jeszcze darzyć mnie nienawiścią. Lecz ja nie mogłam pominąć tej kwestii.

– Dilano, przykro mi z powodu Randa.

– Nie ma potrzeby. – Lekceważąco machnęła ręką. – Ten wielki niezdara miał konszachty ze Star, wplątał się w jej nikczemne sprawy. To nie twoja wina.

– Ale to przecież nie on był prawdziwym celem jej ataku, tylko ja i...

– Uratował ci życie. Ten głupi osioł zginął jak bohater. – Zamrugła, by powstrzymać łzy piekącego żalu. – Dobrze, że się nie pobraliśmy, bo w wieku dwudziestu pięciu lat zostałamby wdową. – Odetchnęła głęboko. – Pozwól, że przyniosę ci kromkę chleba. – Wyszła, zanim zdążyłam ją powstrzymać.

Kiedy wróciła z talerzem, już się opanowała. Zapytałam ją o najnowsze plotki.

– Uwierzysz, że Ari i Janco pracują teraz z Valkiem? Byli u mnie w zeszłym miesiącu. Przymierzali nowe uniformy i podziwiali siebie w lustrze.

– Wiesz, gdzie są teraz?

– Wypełniają jakąś misję razem z Valkiem. Musiałam dla każdego z nich uszyć maskujący kombinezon. Zużyłam cały zapas czarnego materiału na tego wielkiego osiłka Ariego. Potrafisz sobie wyobrazić zwalistego przygłupa, jak podkrada się niepostrzeżenie?

Nie potrafiłam. Ari nie wydawał mi się typem urodzonego zabójcy. Był raczej wojownikiem walczącym twarzą w twarz z wrogiem. Podobnie Janco nie czułby się dobrze, gdyby miał kogoś

zabić inaczej niż w uczciwej walce. Dlaczego więc współdziałali z Valkiem?

Dilana trajkotała dalej. Kiedy wróciła do tematu mundurów, zapytałam ją o możliwość zdobycia uniformu doradcy.

– Komendant poprosił mnie, żebym została tu i przyjęła tę funkcję, a w sycjańskim stroju za bardzo się wyróżniam. – Nie było to jawne kłamstwo, niemniej poczułam lekkie wyrzuty sumienia.

– Chociaż ci do twarzy w kolorze koralowym, jednak w mundurze będzie ci cieplej. – Dilana poszperała w stercie ubrań i wybrała czarne spodnie oraz koszulę, po czym wygoniła mnie za zasłonę przebieralni. – Przymierz.

Dotknęłam dwóch czerwonych rombów wszytych w kołnierzyk koszuli. Kiedy ostatnio tutaj stałam, zamieniałam czerwony ubiór więzienny na uniform testerki chroniącej komendanta przed otruciem. Ściągnęłam koszulę i ujrzałam na przedramieniu bransoletkę w kształcie węża. Już od tak dawna ją nosiłam. Stłumiłam wzbierający we mnie śmiech. Zatoczyłam pełen krąg, ale obecnie wkładałam uniform doradcy. Leżał na mnie lepiej niż mój dawny mundur testerki, dopasował się do mojego ciała niczym druga skóra. Komendant chce, żebym mu pomagała, natomiast sycjańska Rada pragnie mojej śmierci. Rok temu sytuacja wyglądała dokładnie odwrotnie. Ale galimatias... Tym razem pozwoliłam sobie na parsknięcie głuchym śmiechem.

– Coś nie tak? – spytała zza kotary Dilana.

Wyszłam z przymierzalni.

– Spodnie są trochę za obszerne.

Chwyciła wszywany pasek, zebrała fałdę materiału i zaznaczyła kredą.

– Każę je dopasować, do obiadu będą gotowe.

Przebrałam się z powrotem w mój iksjański strój, podziękowałam Dilanie i wyszłam odwiedzić Kiki i pozostałe konie. Stajnie komendanta ulokowano w pobliżu psiarni. Konie i psy miały wspólny plac treningowy, a przy murach zamku znajdowało się pastwisko.

Kiki drzemała w nienagannie utrzymanym boksie. Obejrzałam pozostałe wierzchowce. Ich sierść lśniła w promieniach słońca. Wyglądały na zadowolone i zadbane. Pochwaliłam stajennych. Podziękowali kiwnięciem głów i powrócili do swoich obowiązków. Zachowywali się z powagą dorosłych. Ciekawe, czy w ogóle mają jakieś rozrywki?

Wracając do zamku, spostrzegłam Portera, głównego psiarza komendanta. Nigdy nie trzymał psów na smyczy, lecz zawsze były mu zadziwiająco posłuszne. Przystanęłam i obserwowałam, jak tresuje sforę szczeniaków. Ukrył na boisku przysmaki i uczył pieski, jak je znaleźć. Szczeniaki często zapominały o swoim zadaniu, ale Porter przywoływał do siebie każdego z nich, dotykał psiego nosa i rzucał polecenie:

– Szukaj!

Przynaglony szczeniak zaczynał węszyć, a potem ruszał prosto do smakołyku. Byłam pod wrażeniem.

Porter zauważył, że mu się przyglądam, i oschle skinął głową. Przyjaźnił się z Randem, z którym, jak sobie przypomniałam, kiedyś odbyłem o nim rozmowę. Rand nie wierzył w pogłoski, że Porter dzięki magii nawiązuje kontakt z psami. Ponieważ nie było na to żadnego dowodu, dochował wierności ich przyjaźni, podczas gdy wszyscy inni unikali kontaktów z głównym psiarzem. Dopóki Porter był użyteczny i nie zwracał na siebie uwagi, mógł bez przeszkód pracować u komendanta.

Zamyśliłam się nad kwestią magii. Jeżeli Porter istotnie posiadał magiczne zdolności i mógł się nimi bezkarnie posługiwać, w takim razie niewykluczone, że w Iksji żyją inni podobni mu ludzie. Porter służył królowi przez wiele lat, zanim władzę przejął komendant Ambrose, miał więc mnóstwo czasu, by nauczyć się wykorzystywać i ukrywać swoją moc. Być może umiejętność komunikowania się z psami była jego jedynym magicznym talentem.

Istniał tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć. Wyciągnęłam nic magii i nawiązałam mentalną łączność z jedną z suczek. Węszyła zawzięcie i z entuzjazmem, chwytając jeden zapach po drugim. Gdy spróbowałam się z nią porozumieć, nie usłyszała mnie albo zignorowała. Jej nozdrza wypełniał łagodny zapach z domieszką ostrej wilgotnej woni. Zaczęła ryć w ziemi, szukając glisty. Kiedy Porter zawołał ją serdecznie i czule, porzuciła kopanie i pognęła do niego.

Dał każdemu ze szczeniaków pałeczkę z suszonej wołowej skóry i napełnił wodą rząd misek. Przeniosłam moją świadomość do jego umysłu i przejrzałam powierzchniowe myśli. Krążyły wokół codziennych zadań do wykonania, ale wyczułam też niepokój dotyczący mnie. Po co ona tu przybyła i czego chce?

– Chcę pomóc Iksji – powiedziałam w umyśle Portera.

Wzdrygnął się, jakby któryś z psów ugryzł go w nogę, i spiorunował mnie wzrokiem.

– Słyszysz mnie, prawda? – ciągnęłam. – A więc plotki o twoich magicznych zdolnościach są prawdziwe.

Ruszył ku mnie energicznym krokiem. Rozejrzałam się po pustym dziedzińcu. Wprawdzie znałam sztukę samoobrony, jednak uświadomiłam sobie, że wysoki i muskularny Porter, choć już niemłody i siwy, wciąż może być groźnym przeciwnikiem.

Zatrzymał się kilkanaście centymetrów ode mnie.

– Przybyłaś pomóc Iksji? – Gdyby miał sierść na grzbiecie, niewątpliwie by się zjeżyła. – Najlepiej nam pomożesz, zostawiając nas w spokoju.

Nie miał na myśli jedynie siebie i psów. Pochwyciłam w jego umyśle przelotny obraz innych Iksjan.

– Chyba jest coś, co mogę zrobić dla Iksji?

– Tak jak zrobiłaś dla Randa? Nie, wielkie dzięki! Sprawisz jedynie, że nas pozabijają.

Odwrócił się, ale dotarł do mnie wypowiedziany przez niego w myśli koniec zdania:

– ...albo zniewolą.

Przeniknął mnie zimny dreszcz lęku. Czyżby ktoś w Iksji posługiwał się magami wbrew ich woli? Dlaczego mnie to dziwi? Przecież magia i deprawacja zawsze idą w parze. Czy ja też ulegnę demoralizacji? Używałam magii, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Łącząc się mentalnie z Porterem, mogłam sprowadzić na niego śmierć, a zrobiłam to tylko po to, by zaspokoić ciekawość. Skoro już teraz tak lekkomyślnie używam magii, to jak będę z nią postępowała w przyszłości? Czy uzależnię się od niej jak od narkotyku? Zaczynałam dochodzić do wniosku, że lepiej, abym w ogóle jej nie stosowała.

Ruszyłam w stronę zamku, ale powstrzymało mnie rzenie Kiki. Pośpiesznie zawróciłam do stajni, lecz klacz już otworzyła bramę i spotkała się ze mną na dróżce.

– Kopyto boli – poskarżyła się.

Poszła za mną na teren treningowy i zgięła prawą przednią nogę, żebym mogła dokładnie się przyjrzeć. W strzałce kopytowej utkwiał kamyk.

– Kiedy to się stało?

– W nocy. Wtedy nie bolało.

Na dworze w świetle słońca nie wydała mi się już tak zadbana, jak wcześniej sądziłam.

Parsknęła.

– Lawendowa Pani się mną zaopiekuje.

– Nie pozwolisz, żeby zrobił to chłopiec stajenny?

– Zbyt szorstki. Zaczekam na ciebie.

– Jesteś okropnie rozpuszczona.

Zostawiłam Kiki na dziedzińcu i poszłam po dziobak, szczotkę i zgrzebło. Gdy wróciłam, klacz znów podniosła nogę, a ja usunęłam kamyk, a potem zaczęłam wyczesywać jej sierść koloru miedzi. Przy tym zajęciu zgrzałam się i musiałam zdjąć płaszcz. Kiedy skończyłam oporządzać Kiki, kłaczki sierści przyłgnęły do mojego przepoconego ubrania.

– Jesteś już piękna, a ja muszę się wykapać – powiedziałam. – Pastwisko czy stajnia?

– Stajnia. Pora drzemki.

– Przecież już drzemałaś, zanim cię wyczesalam.

– To była przeddrzemka.

Ach, beztroskie życie koni! Sprawdziłam, czy Kiki ma w wiadrze świeżą wodę. Wychodząc ze stajni, wpadłam na Portera.

– Dobrze dbasz o swojego konia – stwierdził, a ja czekałam, wyczuwając, że chce powiedzieć coś jeszcze. – Może rzeczywiście mogłabyś nam pomóc. – Rozejrzał się. Nieopodal pracowało kilku chłopców stajennych. Zniżył głos: – Dziś wieczorem mamy naradę w Podzamczu. Aleja Brzoskwiniowa, dom numer czterdzieści trzy, tylne drzwi. Przyjdź w porze kolacji. Tylko niech nikt się nie dowie, dokąd idziesz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Oddalił się szybkim krokiem. Planowałam, że dziś wieczorem będę już w drodze do Sycji. Wizyta u Portera mnie opóźni, ale uczestnictwo w naradzie wydawało się zbyt ważne, bym mogła to zignorować.

Po wypadzie do stajni zjawiłam się przed drzwiami apartamentu dla gości równocześnie z posłańcem od Ambrose'a. Komendant chciał, żebyśmy spotkali się z nim dziś po południu w sali wojennej. Gdy weszłam do naszej kwatery, ujrzałam Tauna, który chodził po salonie od okna do okna jak dzikie zwierzę w klatce.

– Może wyjdź na dwór – zaproponowałam. – Żołnierze ćwiczą biegi wokół kompleksu zamkowego. Jeśli chcesz, możesz się do nich przyłączyć.

Przystanął zaskoczony.

– Mogę opuścić ten pokój bez eskorty doradcy?

– Komendant przydzielił wam doradców powodowany wyłącznie uprzejmością, abyście nie zabłądzili. Jeżeli wyjdiesz na zewnątrz sam, napotkasz kilka podejrzliwych spojrzeń, ale dopóki będziesz się trzymał miejsc publicznych, nikt cię nie zaczepi. Tylko postaraj się wrócić na spotkanie z komendantem. – Powiadomiłam go o wezwaniu dostarczonym przez posłańca.

Księżycowy Człowiek siedział na kanapie obok Marroka, który wpatrywał się w nas z napięciem, jakby usiłował pojąć sens rozmowy.

– Interesujące, że postrzegasz obecność doradców jako przejaw uprzejmości komendanta, podczas gdy Tauno uważa ich za pilnujących nas strażników – zwrócił się do mnie Księżycowy Człowiek.

Zignorowałam jego uwagę i poinstruowałam Tauna, jak ma trafić do wyjścia z zamku. Pomimo moich zapewnień otworzył drzwi pokoju z lękiem, jakby się spodziewał, że ktoś go zatrzyma.

Kiedy wyszedł, zapytałam snującego opowieść:

– Czy Marrok już coś powiedział?

– Nie, ale coraz więcej rozumie. W przeciwieństwie do ciebie.

Zmarszczyłam brwi.

– Co masz na myśli?

Księżycowy Człowiek nie odpowiedział. Z biegiem czasu coraz bardziej kusiło mnie, żeby pozostawić moich towarzyszy w Iksji, bym mogła szybciej podróżować przez Sycję. Komendant ich przypilnuje, a ja nie będę się musiała martwić, że któryś z nich mnie zdradzi.

Rozejrzałam się po salonie.

– Gdzie Leif?

– W swoim pokoju – odrzekł Księżycowy Człowiek.

Z burknięcia, jakie brat rzucił mi przez drzwi, wywnioskowałam, że nadal jest na mnie zły. Poinformowałam go o spotkaniu z komendantem i wycofałam się do siebie.

Grupka moich towarzyszy podążała za mną w milczeniu do sali wojennej. Tauno wrócił z biegania i wydawał się spokojniejszy, odkąd wyładował rozpierającą go energię. Księżycowy Człowiek jak zwykle był opanowany, a mina Leifa wskazywała, że jest wściekły na cały świat, w szczególności zaś na mnie. Mój brat naprawdę potrafi się dąsać.

Komendant przygotował dla nas niespodziankę. Razem z nim przy owalnym stole siedzieli Valek, Ari i Janco. Na ich widok ogarnęła mnie radość.

– Valek właśnie przedstawia mi aktualny stan spraw w Sycji – rzekł komendant. – Mów dalej.

– Stwierdziłem, że sytuacja jest tam dość... hm... niezwykła. – Valek rozparł się w fotelu, przyjrzał się uważnie moim towarzyszom i w zamyśleniu wydał wargi. Ostre rysy kanciastej twarzy łagodniały tylko wówczas, gdy się uśmiechał.

– To dość oględne określenie. – Janco potarł bliznę po odciętym płatku prawego ucha. Ten gest nieodmiennie świadczył o niepokoju.

– Powinno się ją nazwać alarmującą – dorzucił Ari.

Poczułam, że zaczyna mnie ogarniać panika. Ari zazwyczaj powściągał chłodną logiką skłonność Janca do przesady. Już samą swoją obecnością hamował ekscesy przyjaciela. Całkowicie różnili się od siebie wyglądem. Żyłasta postura Janca odzwierciedlała jego bystry dowcip i szybki jak błyskawica styl walki, podczas gdy muskularny Ari dominował nad większością przeciwników ogromną siłą fizyczną.

– Alarmująca to trafne określenie – zgodził się Valek. – Wymordowanie członków Rady nie sprawi, że następni przywódcy okażą się rozsądniejsi. Tak naprawdę skłoniłoby to wszystkich mieszkańców Sycji do wydania nam wojny. Zaznaczam przy tym, że ostatnio zyskali kilku nowych sprzymierzeńców, którzy mogliby przechylić szalę bitwy na ich korzyść.

– Sprzymierzeńców? Łagodne określenie... To trzej wstrętnei i przerażający magowie. Złowrogie demony. – Janco aż się wzdrygnął.

Valek rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, po czym powiedział:

– Muszę zdobyć więcej informacji, by ocenić skalę zagrożenia i ustalić najlepszy sposób przeciwdziałania.

– Dlaczego wróciłeś z Sycji? – spytał komendant.

Tym razem Valek zerknął na mnie, po czym odpowiedział:

– Potrzebuję wsparcia. Sytuacja nawet dla mnie zrobiła się zbyt niebezpieczna.

A więc tyle zostało z moich planów udania się do Sycji samotnie.

W sali zapadła cisza, gdy komendant rozważał usłyszane wiadomości.

– Czego potrzebujesz? – zapytał wreszcie Valka.

– Pomocy Yeleny i jej brata.

Nie zdziwiłam się, gdy Valek wybrał mnie, jednak nie spodziewałam się, że będzie chciał także Leifa. Poznałam po minie brata, że jest równie zaskoczony jak ja.

– Yelena jeszcze się nie zgodziła zostać moim doradcą, toteż nie mogę jej rozkazać, by ci towarzyszyła – oświadczył Ambrose.

– Więc będę musiał ją poprosić – stwierdził Valek, spoglądając na nas.

– Dobrze – powiedziałam.

Leif jednak odmówił.

– Pamiętajcie, że jestem Sycjaninem? Nie mogę pomagać Iksji w podboju mojej ojczyzny.

– Nie chcę podbić Sycji – oznajmił komendant. – Chcę tylko uniemożliwić Sycjanom inwazję na Iksję i podejmę środki zapobiegawcze, by ich powstrzymać.

– Pomagając nam, pomożesz też swojemu krajowi – dorzucił Valek.

– Możemy dokonać tego sami – odparł Leif. – Nie potrzebujemy pomocy waszej ani Yeleny. – Odwrócił się do mnie. – Nigdy nie zostaniesz prawdziwym rozjemcą, siostrzyczko. Odkąd znaleźliśmy się w Iksji, dowiodłaś, wobec kogo jesteś lojalna.

– Naprawdę w to wierzysz? – spytałam oburzona.

– Fakty mówią same za siebie. Gdy tylko zaczęły się kłopoty, uciekłaś do Iksji, a przecież mogliśmy wrócić do Cytadeli i wyjaśnić wszystko Radzie.

Jego oskarżenia zabolaly mnie jak pchnięcie nożem.

– Radni by nam nie uwierzyli. Powtórzyłam ci przecież, co powiedziała Irys.

– A jeśli skłamałaś? Wiesz, że nie potrafię porozumiewać się za pomocą myśli. Nie ufasz nam, więc dlaczego my mielibyśmy zaufać tobie?

Zatem najpierw zaatakowała mnie Rada, a teraz rodzony brat.

– Wierz sobie, w co chcesz – rzekłam. – Valek, czy poradzimy sobie bez niego?

– Owszem.

Komendant spojrział na Valka.

– Ale zanim znowu się ulotnisz, wyjawisz mi swoje plany.

– Tak jest.

– Dobrze. Spotkanie zakończone – oznajmił Ambrose, wstając.

– A co będzie z nami? – zapytał Leif, wskazując na Księżycowego Człowieka i Tauna. – Możemy wrócić do Sycji?

– Do czasu, aż ta niefortunna sprawa zostanie rozwiązana, uważajcie się za gości Iksji – odrzekł Valek.

– A jeśli już nie chcemy być waszymi gośćmi? – rzucił Księżycowy Człowiek.

– Wówczas zostaniecie naszymi pierwszymi jeńcami wojennymi i wasze warunki zakwaterowania przestaną być tak luksusowe. Wybór należy do was – powiedział komendant i opuścił salę.

Leif spiorunował mnie wzrokiem. Miałam ochotę wybuchnąć śmiechem. Reakcja brata przypominała do złudzenia jego zachowanie podczas naszego pierwszego spotkania po czternastu latach rozłąki. Czyli kolejny zatoczony pełny krąg. Zakręciło mi się w głowie. Być może to znak, że powinnam zostać tutaj, zamiast tracić czas i siły po to, by w efekcie za jakiś czas znaleźć się znów w tym samym miejscu.

Valek odwrócił się do Ariego i uczynił ręką drobny gest. Ari kiwnął głową i wstał tak energicznie, że kosmyk jasnych włosów spadł mu na czoło.

– Z przyjemnością odprowadzimy was do waszych kwater.

Gdy moi byli towarzysze wychodzili za nim z pokoju, na ich twarzach malowała się cała gama emocji. Leif z trudem hamował furję, Tauno wyglądał na zaniepokojonego, a Księżycowy Człowiek wydawał się zamyślony.

Idący na końcu pochodu, Janco rzucił mi wyzywający uśmieszek.

– O czwartej na placu ćwiczeń.

– Potrzebujesz kolejnej lekcji? – Też się uśmiechnęłam.

– Chciałabyś!

Gdy drzwi się za nim zamknęły, uśmiech spęzł mi z twarzy. Valek z poważną miną siedział nadal po przeciwnej stronie stołu. Poczułam się niepewnie.

– Jest aż tak źle? – spytałam.

– Nigdy dotąd nie spotkałem się z taką sytuacją. Naprawdę się niepokoje.

– O Iksję?

– O ciebie, ukochana.

– O mnie?

– Zawsze mnie zadziwiało, z jaką maestrią potrafisz ściągnąć na siebie niepożądaną uwagę i gniew ludzi obdarzonych władzą. Jednak tym razem udało ci się rozgniewać cały kraj. Na miejscu komendanta przeczekałbym polityczny konflikt, który rozgorzał w Sycji, a potem bym cię wydał zwycięzcom, w zamian za to, że zostawią Iksję w spokoju.

– A zatem dobrze, że nie jesteś komendantem.

– Owszem. I powinniśmy opuścić Iksję, zanim Ambrose sam wpadnie na ten pomysł. Co planowałaś zrobić?

Usiłowałam przybrać minę niewiniątka.

– Ja? To ty masz plan działania.

– A uniform doradcy, który kazałaś dopasować Dilanie? Chyba nie zamierzałaś wymknąć się do Sycji beze mnie, co?

Kolejna zdrada!

– Więc ona ci powiedziała?

– Podarłem swoje ulubione spodnie. Kiedy przyniosłem je Dilanie do szycia, poprosiła, żebym zaniósł ci twój uniform doradcy, rzucając przy tym przebiegłe spojrzenie. Przypuszczam, że służący już się zakładają, który z nich pierwszy zobaczy nas razem. – Westchnął. – Gdyby informacje mojego wywiadu docierały do mnie tak szybko i skutecznie, jak plotki docierają do służby, miałbym o wiele mniej kłopotów.

Wstał sprężysto i podszedł do mnie krokiem swobodnym i pełnym gracji jak u pantery. Wyczułam w nim potężną energię. Oparł się o poręcz fotela, na którym siedziałam, i nachylił się. Czarne włosy spadały mu na ramiona, a wyraz twarzy miał śmiertelnie groźny.

– Pytam cię jeszcze raz. Uwzględniłaś mnie w swoich planach, prawda? – Gdy wcisnęłam się głębiej w fotel, rzucił ostrzegawczym tonem: – Yleno!

– Sam powiedziałaś, że nigdy jeszcze nie zetknąłeś się z podobną

sytuacją. To całkowita niewiadoma. Nie chcę ryzykować...

– Czego?

– Że cię utracę. Ponieważ jesteś odporny na magię, więc gdybyś został ranny, nie mogłabym cię uleczyć!

– Chcę zaryzykować.

– Ale ja nie chcę ci na to pozwolić.

– Wybacz, kochanie, ale to nie ty decydujesz, tylko ja.

Jęknęłam. Wypadki znów biegły w zawrotnym tempie i traciłam nad nimi kontrolę. Wciąż tylko kręciłam się w kółko i niczego nie osiągałam.

– Dobrze, przyrzekam, że nie wyjadę do Sycji bez ciebie. – Jednak ta obietnica nie dotyczyła wieczornego spotkania z Porterem.

– Dziękuję. – Valek musnął wargami mój policzek.

Poczułam rozkoszny dreszcz.

– Więc jaki masz plan? – Daremnie usiłowałam zachować rzeczowy ton, gdy owionął mnie męski zapach Valka.

– Nie powiem ci. – Podeszedł bliżej i pocałował mnie, a we mnie rozlała się gorąca fala i ustąpił skurcz paniki ściskający gardło. Odepchnęłam od siebie lęki. W tej chwili istniał tylko Valek. Objęłam go ramionami, ale nie wystarczał mi dotyk muskularnego ciała przez koszulę. Szarpnęłam ją, pragnąc dotknąć nagiej skóry, poczuć Valka blisko, jak najbliżej.

Wyprostował się i odsunął ode mnie.

– Tutaj, w sali wojennej, kochanie? A jeśli ktoś nagle wejdzie?

Wstałam i zdjęłam mu koszulę.

– Wówczas będzie miał do opowiedzenia ciekawą historię.

– Tylko ciekawą? – powtórzył z udawaną urazą.

– Dowiedz mi, że się mylę.

Oczy mu rozbłysły.

Po chwili Valek i ja znaleźliśmy się pod okrągłym stołem w sali wojennej. Leżeliśmy objęci i po raz pierwszy od wielu tygodni czułam się bezpieczna. Dyskutowaliśmy o wydarzeniach w Sycji.

– Ledwie mogłem się poruszać w obrębie murów Cytadeli – wspominał. – Powietrze było tak gęste od magii, że czułem się, jakbym pływał w syropie.

– Ale nikt cię nie wykrył?

Odporność Valka na magię była potężną bronią. Bez niej nie pokonałabym Ferdego.

– Nie, choć wiedziałem, że to tylko kwestia czasu. Przebywało tam tylu... jak ich nazywasz?... aha, warperów, że w końcu moja obecność spowodowałaby powstanie zauważalnej martwej strefy.

Zamyśliłam się nad tym, jak szybko sprawy w Cytadeli uległy zmianie. Przed zaledwie dwudziestoma dwoma dniami Księżycowy Człowiek przypuszczał, że wśród Daviianów jest tylko ośmiu warperów. Lecz kiedy zorientował się, że odprawiają rytuał kirakawy, stało się jasne, jak bardzo zaniżona to liczba. By jednak ją sprecyzować,

musielibyśmy wiedzieć, ile ofiar wykorzystali w tym obrzędzie i jak daleko w nim zaszli. Należało też uwzględnić fakt, że aby stworzyć nowego warpera, trzeba złożyć w ofierze człowieka posiadającego magiczne zdolności.

Jeżeli Daviianie już od dłuższego czasu przygotowywali ofensywę przeciwko Iksji, kim wobec tego były ich ofiary? Na pewno nie wykorzystali członków własnego klanu, a ludzie z klanu Sandseed od razu by zauważyli, gdyby zniknął choć jeden snujący opowieść. To samo dotyczy innych klanów. Nie mogąc znaleźć odpowiedzi na to pytanie, zadałam je Valkowi.

– Prawdopodobnie porywali bezdomnych – odparł. – Nikt nie zauważy w wielkim mieście zniknięcia kilku żebraków.

– Żebracy? Przecież to muszą być ludzie obdarzeni magicznymi talentami.

– Gdy przyszły mag osiąga dojrzałość, w pierwszym roku przeżywa trudności i jest bezbronny. Połowa takich ludzi w tym szczególnym okresie życia w ogóle nie zdaje sobie sprawy ze swych magicznych zdolności, a pozostali nie mają pojęcia, jak je wykorzystać. Warperzy mogli przeczesywać ulice miast, szukając osób będących w tym niepewnym przejściowym wieku.

Im więcej dowiadywałam się o magii i w jaki sposób jest wykorzystywana przez ludzi, tym mocniej utwierdzałam się w przekonaniu, że powinnam przestać jej używać.

Valek i ja zaplanowaliśmy trasę powrotu do Sycji i ustaliliśmy, jak skontaktujemy się z Bavolem Zaltaną.

– Zostawię tutaj Ariego i Janca – oznajmił. – Nie będą tym zachwyceni, ale bramy Cytadeli są ściśle strzeżone i łatwiej przenikniemy do środka tylko we dwoje. Dwóch moich ludzi już tam

schwytano. – Wstał z ociąganiem. – Mam kilka spraw do załatwienia. Spotkamy się wieczorem w moim apartamencie i omówimy szczegóły naszej podróży. Każę tam przenieść twoje rzeczy.

Powinam sama zabrać z kwatery plecak, ale uświadomiłam sobie, że nie mam ochoty na spotkanie Leifa i całej reszty. Jednak to mi coś przypomniało, dlatego spytałam:

– Dlaczego chciałeś, żeby Leif pojechał z nami?

– I tak byś się nie zgodziła – mruknął Valek.

– Na co?

– Żeby Leif pozwolił się pojmać, a ty nawiązałabyś z nim mentalną łączność i dowiedziała się, jak wygląda sytuacja w Cytadeli. Ale teraz jesteś na niego wściekła, więc może...

– Nie. Zostałby zabity. Nie jestem na niego aż tak zła, by życzyć mu śmierci. – Było coś jeszcze. Gdybym użyła magii w pobliżu Cytadeli, nie pomogłyby mi już żadne, nawet najstaranniej przemyślane przygotowania.

– Ona walczy szybko i pięknie, ale i tak mnie nie dosięgnie – zaśpiewał Janco, parując mój cios w żebra.

– Musisz popracować nad rymami albo ja poprawię umiejętności szermiercze. – Zamarkowałam uderzenie w skroń, a potem podciąłam mu nogi. Upadł, ale zanim zdążyłam wykorzystać przewagę, odtoczył się szybko i wstał.

– Zawahałaś się – zauważył stojący z boku Ari. – Za dużo gadasz.

Ponowiłam atak, lecz Janco z łatwością go odparł. Walczyliśmy na wojskowym poligonie, na którym ćwiczyło wielu żołnierzy, ale kiedy

zaczęliśmy z Jankiem nasz pojedynek, wszyscy zgromadzili się wokół nas.

– Nie można jednocześnie rozmawiać i walczyć. Koniec ceregieli.
– Janco zakręcił młynka kijem.

Cofając się, odbijałam grad uderzeń, dopóki nie zmienił rytmu... i nagle poczułam, że powietrze eksploduje w moich płucach, gdy dostałam w splot słoneczny. Zgięłam się wpół, kaszląc i dysząc rozpaczliwie.

– Dziwne. – Janco pogładził kozią bródkę. – Zwykle nie pokonywałam cię tak łatwo. Czyżby udało mi się ukryć przed tobą myśli?

Kiedy doszłam trochę do siebie i wyprostowałam się, uśmiechnął się do mnie miło. Gdy ostatnio toczyliśmy pojedynek w Sycji, dowiedział się o mojej strefie bitewnej mobilizacji, na poły magicznym stanie umysłu, który pozwala mi odczytywać zamiary przeciwnika podczas walki. Tym razem próbowałam pokonać go, nie uciekając się do tego sposobu.

– Nie. Nadal jesteś zanadto skoncentrowany na sobie i przesadnie pewny siebie.

– A ty jesteś mocna tylko w gębie.

– Chcesz trochę odpocząć? Teraz, kiedy zajmujesz kierownicze stanowisko i wyhodowałeś wielki bandzioch, zapewne szybciej się męczysz.

Zamachnął się kijem, celując w moje nogi, i rozpoczęliśmy kolejne starcie, które również przegrałam. Lecz wciąż od nowa rzucałam Jancowi wyzwanie, aż wreszcie poczuliśmy, że jesteśmy kompletnie wyczerpani.

– Z każdą kolejną rundą walczyłaś lepiej – orzekł Ari – ale nie jesteś w szczytowej formie. – Popatrzył na mnie, oczekując wyjaśnienia.

Wzruszyłam ramionami.

– Próbowałam nowego sposobu walki.

– Tyle że bez powodzenia. Lepiej powrót do dawnego stylu.

– A mnie się podoba jej nowy styl – obwieścił Janco. – Poprawia mi samopoczucie.

Ari zmarszczył brwi i skrzyżował na piersi muskularne ramiona.

– Podczas walki na śmierć i życie wróć do moich trików – zapewniłam go. – Nie martw się.

Poweselał, a ja nie skłamałam. W razie niebezpieczeństwa znów użyję magii. Lecz tu powstawał kolejny problem. Magia mnie rozleniwiała i kiedy napotykałam zagrożenie, sięgałam po nią bez namysłu. Muszę popracować nad innymi umiejętnościami, gdyż magia nie pomoże mi w starciu z Ognistym Warperem.

Zmieniłam temat, pytając przyjaciół o nowe obowiązki. Janco uraczył mnie opowieścią o pojedynku z Valkiem. Ilekroć Ari w trakcie tej relacji potrząsał głową, wiedziałam, że Janco przesadnie wyolbrzymił jakiś szczegół.

– Jak to jest być zastępcą szefa wywiadu Iksji? – zapytałam.

– Nie lubię tych wszystkich podchodów i skradania się – odrzekł Ari. – W Iksji dzieje się o wiele więcej, niż sądziłem. I jest tyle roboty. Valek to mistrz zwalania pracy na innych.

– A ja wykorzystuję moje talenty włamywacza. – W oczach Janca zamigotały szelmowskie ogniki. – Zdobywamy mnóstwo informacji. Czy wiedziałaś, że generał Dinno...

– Janco – rzucił ostrzegawczo Ari. – Ta praca zaczyna nam sprawiać przyjemność, a przecież nie tego oczekiwaliśmy.

– Naturalnie – przytaknęłam.

Ze zmęczenia bolały mnie wszystkie mięśnie. Skinieniem ręki pożegnałam przyjaciół i poszłam do łaźni. Zanim dołączyłam do nich na placu ćwiczeń, zabrałam z kwatery plecak i schowałam go w przebieralni. Teraz wzięłam długą kąpiel. Na spotkanie z Porterem włożyłam uniform doradcy, uważałam bowiem, że w nim będę mniej rzucała się w oczy niż w stroju sycjańskim.

Wycięłam otwór w prawej kieszeni spodni i przymocowałam paskiem do uda nóż sprężynowy. Nie chciałam pojawić się na spotkaniu uzbrojona w kij, ale uznałam, że roztropnie będzie mieć przy sobie nóż. Na koniec związałam włosy w długi warkocz na plecach.

Chociaż w brzuchu burczało mi z głodu, pamiętałam, że Porter polecił, abym przybyła w porze kolacji. To miało sens, gdyż większość mieszkańców zamku będzie zajęta serwowaniem posiłków lub ich spożywaniem, a w miasteczku Podzamcze zapanuje względny spokój.

Wyszłam na dwór i po drodze zatrzymałam się przy pastwisku, żeby sprawdzić, czy nikt za mną nie idzie. Między budynkami przebiegło kilku służących, lecz żaden nie zwrócił na mnie uwagi. Ochłodziło się i zerwał się wiatr. Dałam Kiki i pozostałym koniom kilka jabłek.

– Jakież zapachy? – spytałam klacz.

– Duży śnieg.

– Kiedy?

– Przy półksiężycu.

Czyli za trzy dni. A zatem Valek i ja będziemy musieli wyruszyć wcześniej, niż planowaliśmy.

– Kiki pojedzie? – zapytała.

– Oczywiście. Garnet także.

Westchnęła z zadowolenia, gdy poskrobałam ją za uszami. Upewniwszy się, że nikt mnie nie śledzi, poszłam ku południowej bramie. Dołączyłam do grupy mieszkańców miasta, którzy po pracy w zamku wracali do domów. W iksjańskim wełnianym płaszczu, który zakrywał uniform doradcy, niczym się wyróżniałam. Szybko przebyliśmy trawiastą łąkę otaczającą zamkowe mury. Komendant po zdobyciu władzy kazał wyburzyć wszystkie budynki w promieniu pół kilometra od zamku. Zmienił też nazwę miasta Jewelstown, nazwanego tak na cześć byłej królowej Jewel, na niezbyt oryginalną, czyli Podzamcze.

Gdy dotarliśmy do przedmieścia, grupa się rozproszyła i każdy udał się do swego domu. Symetryczny układ miasta z równymi rzędami drewnianych budynków kłócił się z asymetrycznym stylem architektonicznym kompleksu zamkowego. Logiczne rozplanowanie sklepów i zakładów rzemieślniczych ulokowanych między domami mieszkalnymi ułatwiało orientację. Każda dzielnica wzięła nazwę od sprzedawanych w niej produktów. Aleja Brzoskwiniowa znajdowała się w dzielnicy Ogrodowej.

W pobliżu krzątało się kilku mieszkańców zajętych swoimi sprawami. Szłam energicznym krokiem, starając się sprawiać wrażenie osoby zdążającej w jakimś określonym celu, by nie ściągnąć na siebie

uwagi miejskich strażników patrolujących ulice.

Zapadał zmierzch, ściany budynków szarzały. Czułam się, jakbym wkraczała w pozbawiony barw świat cieni, a pograżające się w mroku miasto wydało mi się upiornym miejscem zaludnionym przez duchy.

Potknęłam się o krawężnik, co gwałtownie przywróciło mnie do rzeczywistości. Otrząsnęłam się z niesamowitego nastroju i pomyślałam trzeźwo, że zapewne wywołał go głód. Przyśpieszyłam kroku, by odnaleźć wskazany adres, zanim pojawią się latarnicy zapalający uliczne lampy. Aleja Brzoskwiniowa wydawała się całkiem opustoszała. Dopiero gdy weszłam w boczną uliczkę, dostrzegłam oznaki życia.

W oknach domu oznaczonego numerem czterdzieści trzy zobaczyłam blask ognia z kominka. Trzymając się w cieniu, zbliżyłam się do tylnych drzwi. Wyciągnęłam nić magicznej mocy i zbadałam otoczenie. Ustaliłam, że w środku czekają Porter i dwie młode dziewczyny. Byli zdenerwowani, bali się, że zostaną wykryci, jednak nie wyczułam w nich fałszu.

Znieruchomiałam, uświadomiwszy sobie, jak bardzo uzależniłam się od magicznych zdolności. Dzięki nim nie tylko lokalizowałam napastników, lecz także porozumiewałam się z Kiki. Czy zdołam całkowicie zrezygnować z posługiwania się magią? Chyba będzie to trudniejsze, niż sądziłam.

Gdy cicho zapukałam, Porter natychmiast otworzył, jakby czekał tuż za drzwiami. Wciągnął mnie do środka i zamknął je.

– Czy ktoś cię zauważył? – zapytał.

– Nie. – Rozejrzałam się po małym przytulnym saloniku, którego umeblowanie stanowiły jedynie kanapa i fotel. Spostrzegłam też trzy psy. Zdenerwowane dziewczęta siedziały na brzeжку kanapy, sztywno wyprostowane, ubrane w uniformy studentek, czyli proste czerwone

płócienne fartuchy. Były blade jak kreda i nerwowo rzucały spojrzenia to na Portera, to na mnie.

– Powiedziałeś, że mogę wam pomóc – zagadnęłam.

– Bardzo ryzykujemy, obdarzając cię zaufaniem. – Porter podniósł z podłogi na wpół zżutą pałeczkę z niewyprawionej skóry. Ściskając w rękach psi przysmak, popatrzył na mnie przenikliwie. – Musisz przyrzec, że nie opowiesz Valkowi ani nikomu innemu o tym, co tu usłyszysz.

– Nie mogę niczego obiecać, dopóki się nie dowiem, o co chodzi.

Pałeczka w dłoniach Portera pękła. Zerknął na dziewczęta i westchnął, a potem odprężył się i wskazał mi fotel.

– Usiądź. Wyjaśnienie zajmie trochę czasu.

Uśluchałam. Jeden z psów podszedł do mnie i położył łeb na moich kolanach. Kudłata szara sierść spadała mu na oczy, ale wpatrywał się we mnie, oczekując pieszczot. Pogłaskałam go i podrapałam za uszami, a on zamerdał ogonem. W powietrzu unosił się duszny zapach wilgotnej psiej sierści zmieszany z dymem płonącego drewna.

Porter zaczął mówić, lekko uderzając skórzaną pałeczką o udo:

– Zorganizowałem w całej Iksji sieć ludzi, którzy pomagają mi wywozić potajemnie dzieci z kraju.

Zaniepokojona pochyliłam się naprzód. Mogkan uprowadzał z Sycji do Iksji dzieci, które następnie wykorzystywał do swoich podłych celów.

– Dzieci? – powtórzyłam.

– Dla mnie są jak dzieci. – Rzucił dziewczętom uśmiech dobrotliwego dziadka. – Nastolatki, które ledwie co odkryły swoje magiczne zdolności. Młode osoby, takie jak Liv i Kieran. – Znow spjrzał na nie. – Pomagam im zbiec do Sycji, zanim inni dowiedzą się o ich magicznej mocy. Ale wydaje się, że ostatnio coś idzie źle. – Pograżył się w zadumie.

– Co? – ponagliłam go.

– W zeszłym miesiącu byłem w Siódmym Dystrykcie Wojskowym. Generał Rasmussen ma pięknego wilczura, którego chciałem skrzyżować z moją suką. Jeden z moich agentów, zatrudniony w stajniach generała, doniósł mi, że ostatnia osoba, którą wysłałem do Sycji, nie pojawiła się tam, a dwie inne, którym zorganizowałem ucieczkę, nie dotarły do naszego człowieka na granicy. Wszyscy troje zaginęli bez śladu.

Serce ścisnął mi lodowaty skurcz.

– Myślisz, że zabił ich Valek?

– Nie wiem, a nie mogę podpytywać ludzi, to zbyt ryzykowne. Jeżeli siatka zostanie rozbita, nie będę mógł wysłać za granicę Liv i Kieran, i tylko czekać, jak zostaną zdemaskowane.

Twarze dziewcząt, choć wydawało się to niemożliwe, jeszcze bardziej pobladły. Przez chwilę rozważałam relację Portera, po czym poprosiłam:

– Opisz mi, jak działa twoja siatka.

– Mam czworo agentów rozlokowanych między tym miastem a granicą z Sycją. Zaledwie kilka osób wie o mojej działalności. Przysyłają do mnie synów i córki jako praktykantów. Komendant powierzył mi kierowanie psiarnią, mam pełną swobodę, nikt się nie

wtrąca i nie zwraca uwagi na moich uczniów. Zjawiają się u mnie, a potem wyjeżdżają po odbyciu szkolenia w zakresie hodowli zwierząt, jak mówię, gdy jednak ktoś się spyta. Działanie tuż pod nosem Valka jest ryzykowne, ale z drugiej strony dzięki temu zwykle wiem, gdzie przebywa, i wysyłam moich podopiecznych, kiedy wyjeżdża w sprawach służbowych. – Porter zaczął nerwowo spacerować po pokoju. – Przydzielanie im przewodnika byłoby zbyt niebezpieczne, więc tylko ich instruuję, jak mają odnaleźć pierwszego łącznika, a on przekazuje ich dalej, aż wreszcie docierają do człowieka, który przeprowadza ich przez granicę do Sycji. Oczywiście są zaopatrzeni w podrobione dokumenty, na wypadek gdyby zatrzymała ich straż. Choć zachowujemy maksymalną ostrożność, takie kontrole się zdarzają, ale jak dotąd żadnego z moich podopiecznych nie zdemaskowano i nie aresztowano, bo wtedy i ja bym wylądował w lochu komendanta – mówił Porter, żywo gestykulując.

– Jak mogę pomóc?

– Chcę... – Przystanął i spojrzał na mnie. – Chcę, żebyś wyruszyła w drogę z Liv i spróbowała się dowiedzieć, co tak naprawdę spotkało moich podopiecznych. W mundurze doradcy możesz podróżować po całej Iksji bez zezwolenia.

– To byłoby zbyt niebezpieczne dla Liv. Najlepiej będzie, jeśli przebiore się za studentkę i sama podążę waszą trasą do granicy.

– Zrobisz to dla nas? – Zaskoczony Porter uniósł brwi.

– Tak, choć niestety dopiero za jakiś czas.

Zdolność czerpania ze źródła magicznej mocy pojawia się u przyszłych magów na progu dojrzewania. Zazwyczaj dopiero po roku inni ludzie dostrzegają u takiej osoby ten talent, a przez następne trzy lata uczy się ona, jak okiełznać i wykorzystywać ów dar. Jeśli świeżo upieczony mag nie zdoła zapanować nad magiczną mocą, może

wybuchnąć w sposób niekontrolowany i naruszyć powłokę energii okrywającą świat, przyczyniając ogromnych kłopotów wszystkim magom. A im silniejszy jest początkujący mag, tym potężniejszą eksplozję może spowodować. Dotyczy to magów mających talent w kilku dziedzinach, natomiast umiejętność wykonywania tylko jednego magicznego triku, na przykład zdolność Opal do chwytania magicznej energii w przedmioty ze stopionego szkła, zazwyczaj bywa nieuświadomiona, nie wymaga specjalistycznego treningu i najczęściej nie stwarza takich zagrożeń.

– Ile czasu im pozostało? – spytałam, zerkając na dziewczęta.

– Liv najwyżej rok. Kieran jest młodsza, więc może wytrwać jeszcze około dwóch lat. Wolałbym jednak, żeby obie wyjechały z Iksji jak najszybciej. W ostateczności mogę ukryć je tutaj. Miałem u siebie kilkoro uciekinierów, którzy nie zdążyli popracować w psiarni.

– Daj mi dwa miesiące – powiedziałam. – Obecnie sytuacja w Sycji jest zbyt niepewna, by kogokolwiek tam wysyłać. Kiedy już załatwię inną sprawę, wrócę tu i pomogę wam. Na razie mogę nauczyć Liv i Kieran, jak mają opanować magiczną moc na tyle, by się nie zdemaskowały.

Dziewczęta uśmiechnęły się z ulgą. Przez następną godzinę instruowałam je. Irys byłaby dumna z tego, jak dobrze zapamiętałam jej wskazówki. Na wspomnienie czwartej magini przeszył mnie lęk. Miałam nadzieję, że wciąż jeszcze żyje.

Po skończonej lekcji Liv i Kieran opuściły dom Portera. Zaczekałam, aż się oddalą. Chciałam jak najszybciej wyruszyć w podróż do Sycji, gdyż niepokoiłam się o los Irys i Baina uwięzionych w lochu Twierdzy.

Za pomocą magii pośpiesznie zbadałam okolicę. Ruch zmniejszył się, gdyż większość ludzi zakończyła już codzienne zajęcia. W alejce

nikt się nie czał.

Pomachałam na pożegnanie Porterowi i wyszłam z domu. Na zewnątrz przystanąłam, by mój wzrok przywykł do ciemności, po czym ruszyłam energicznym krokiem w kierunku ulicy.

Mniej więcej w połowie drogi wyczułam za plecami czyjąś obecność. Odwróciłam się błyskawicznie i sięgnęłam po nóż sprężynowy. Coś ukłuło mnie w szyję i zobaczyłam, jak Star opuszcza cienką dmuchawkę.

Wyszarpnęłam strzałkę z szyi.

– Jak? – wyjąkałam.

– Jesteś taką wielką maginią, a przegapiłaś mój drobny magiczny talencik – powiedziała Star.

Zakręciło mi się w głowie i zachwiałam się. Star mnie chwyciła. Nie miałam siły, by ją odepchnąć.

– Jak? – powtórzyłam.

– Sok goo-goo Valka – wyjaśniła, trzymając mnie w ramionach. – Odpręż się, Yeleno. Dobrze się tobą, zaopiekuję, przekonasz się.

Moja ostatnia spójna myśl dotyczyła tego, że złowrogi wyraz twarzy Star przeczy jej łagodnym słowom.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Świat wokół mnie zawirował, a w mojej głowie bezładnie kłębiły się oderwane myśli. Kierowały mną czyjeś dłonie. Ilekroć mnie puszczały, grunt pod nogami zaczynał falować i upadałam.

Na moment przed kolejnym upadkiem pomyślałam, że się nie boję. Leżałam na ziemi i było mi dobrze. W pobliżu wyczułam ruch i zapach koni.

A zarazem zdawało mi się, jakbym była zamknięta w skrzyni.

Z trudem próbowałam się zastanawiać, co mam teraz zrobić. Jakies ważne rzeczy? Usiłowałam się skupić, dopóki blask słońca nie rozświetlił w powietrzu kłaczek kurzu. Obserwowałam unoszące się nade mną pyłki, które po chwili zmieniły się w sztylety. Chciałam je odepchnąć, ale ręce miałam związane na plecach i byłam zakneblowana skórzanym rzemieniem. Gdy słońce zaszło, wizja się rozviała.

Czas odpływał i przyływał. Wieko skrzyni otwierało się i zamykało. Do środka zaglądały jakieś twarze. Usta wymawiały słowa, które brzmiały niewyraźnie w moich uszach. Pochwyciłam coś jakby „jeść”, „pić” i „spać”. Inne przypominały gaworzenie niemowlęcia. „Goo-goo. Goo-goo”. Poczulałam ukłucie w ramię, a może w szyję lub w plecy. Powietrze wypełniły barwy. Moja skrzynka zakołysała się na falach niewidzialnego morza.

Przytomna część mojego umysłu pragnęła działania i wolności, lecz zwyciężyła otepiała większość i pozwoliłam, by świat przepływał obok mnie. Czułam się zadowolona w mojej skrzyni. Moja skrzynia. Moja skrzynia. Zachichotałam.

Obudził mnie ogień. Liznęły mnie języki płomieni. Gwałtownie szarpnęłam się do tyłu. Nie byłam już w skrzyni. Udało mi się nieco

skupić myśli. Rozjaśniło się i ujrzałam najbliższe otoczenie. Przygotowałam się na kolejne ukłucie, a gdy nie nastąpiło, wyteżyłam wzrok. Tuż obok dostrzegłam obutą nogę jednego z dwóch pilnujących mnie strażników. Leżałam na boku przy obozowym ognisku, z rękami skrępowanymi na plecach. Wokoło napierała ciemność.

Usłyszałam rozmowę. Nie było to już niemowlęce gaworzenie. Ale czy znów nie powróci? Starłam się zmusić umysł do wysiłku, lecz wciąż pracował wolno i ospale.

Jakiś mężczyzna powiedział:

– Raczej nie. Powinna pozostać uwięziona, dopóki nie dotrzemy do celu podróży. Jedynie Jał dysponuje wystarczającą potęgą, by przeciwstawić się jej magicznej mocy.

Znajomy Głos... od razu tak tego kogoś nazwałam... odparł:

– Złożyłem jej obietnicę. Chcę, żeby dowiedziała się, kim jest i co zamierzamy z nią zrobić.

Usłyszałam, że ktoś podchodzi do mnie. Usiłowałam przypomnieć sobie, jak naprawdę nazywał się Znajomy Głos, lecz mój umysł funkcjonował ociężale, jakby ugrzązł w rzeczonym bagnie.

– Zdejmijcie jej knebel – polecił Znajomy Głos.

Jeden ze strażników wyjął mi z ust skórzany rzemień. Poczułam ból, a zarazem ulgę. Gdy oblizałam popękane wargi, poczułam smak krwi. W środku mnie obudziły się też inne bóle i dokuczliwe skurcze. Usiłowałam nie zważać na nie, koncentrując wzrok na czarnych zakurzonych butach do konnej jazdy.

Potem spojrzałam wyżej, na bryczesy i szarą kurtkę jeździecką. Zmrużyłam oczy przed blaskiem ognia, mając rozpaczliwą nadzieję, że

widok tego człowieka jest tylko złudzeniem.

Gdy ujrzałam ten pewny siebie uśmieszek, serce mi zamarło. A kiedy kopnął mnie w żebra, porzuciłam wszelką nadzieję na miłą towarzyską pogawędkę z tym człowiekiem.

– To za trafienie mnie strzałką zatrutą kurarą. – Kopnął mnie ponownie. – A to dla przyjemności.

Jego głos dobiegał mnie jakby z oddali, gdy usiłowałam złapać oddech. Kiedy ostry ból w żebrach stępszał do dokuczliwego pulsowania, usiadłam z trudem i rozejrzałam się wokoło. W pobliżu stało czterech strażników. Spozstrzegłam też trzech Daviianów Verminów, ale nie mogłam się zorientować, czy są warperami.

– Cahil... – wydyszałam. – Nadal się mnie... boisz.

Roześmiał się, a w jego wodniście niebieskich oczach zamigotało rozbawienie.

– Skądże. To ty powinnaś się bać, Yeleno. – Ukucnął przy mnie.

Patrzyliśmy na siebie. Cahil uniósł strzałkę, na której czubku wisiała kropla przezroczystej cieczy. Serce ścisnął mi skurecz strachu, gdy poczułam słodki zapach kurary. Starłam się, by przerażenie nie odbiło się na mojej twarzy.

– To ja pozwoliłem ci na ten krótki moment przytomności. Posłuchaj uważnie. Pamiętasz, co ci powiedziałem podczas naszego ostatniego spotkania?

– Kiedy chciałeś wymienić mnie na Marroka?

– Nie. Kiedy przyrzekłem, że znajdę człowieka, który zdoła pokonać ciebie i Valka. To mi się udało. W istocie, już się zetknęłaś

z moim pupilem.

– Z Ferdem? – Udawałam naiwną, by przedłużyć rozmowę, licząc na to, że mój przymulony umysł wreszcie znajdzie jakiś sposób ucieczki.

– Zgrywaj głupią, ale mnie nie nabierzesz. Mój pupil wzbudza w tobie dreszcz lęku i pożądania. Ognistego Warpera wezwano na ten świat w jednym celu: ma schwytać ciebie. A ty jesteś wobec niego bezbronna. – Na twarzy Cahila pojawił się wyraz niezmaconej satysfakcji. – Dostarczę cię na miejsce, a wtedy dostaną ciebie on i Jal. Jal odprawi na tobie obrzęd wiązania rytuału kirakawy, odbierając ci magiczną moc, a Ognisty Warper zabierze twoją duszę.

Pragnęłam za wszelką cenę powstrzymać Cahila, jednak nie potrafiłam wymyślić nic sensownego. Nie mogłam nawet dotrzeć do źródła magicznej mocy.

– A co ty dostaniesz, Cahilu? – zapytałam.

– Będę oglądał twoją śmierć i męki twojego kochanka, zanim spotka go taki sam koniec.

– Rozumiem, ale wtedy Jal zyska magiczną potęgę, klucz do absolutnej władzy. Naprawdę wierzysz, że pozwoli ci panować w Iksji? A co z Ognistym Warperem? Miałby się cieszyć z tego, że po wykonaniu zadania musi wrócić tam, skąd przybył?

– Przybył tu wyłącznie po ciebie. Gdy już będzie cię miał, wróci. Wówczas Jal obejmie władzę w Sycji, a ja w Iksji.

Jednak dostrzegłam w oczach Cahila cień niepewności. Mój umysł otrząsnął się z otępienia wywołanego przez sok goo-goo i zaczął pracować.

– Wcześniej twierdziłeś, że wezwałeś Ognistego Warpera, a teraz mówisz, że sam się zjawił. Jaka jest prawda?

– To nie ma znaczenia.

– Owszem, ma. Jeśli go wezwałeś, sprawujesz nad nim kontrolę.

– Jal sobie z nim poradzi. – Wzruszył ramionami. – Zresztą nie obchodzi mnie to, skoro dostanę Iksję.

– A powinno cię obchodzić. Żądza władzy to potężna siła. Zapytaj swoich przyjaciół Verminów o historię klanu Sandseed i Gór Daviiańskich. Wtedy pojmiesz, że Jal nie zadowolony się panowaniem nad Sycją. Gdy przestaniesz być potrzebny, pozbędzie się ciebie.

– Próbujesz mnie omamić. Nie będę cię słuchał.

Wbił mi w szyję zatrutą strzałkę. Upadłam do tyłu, a gdy przygniótł mnie swoim ciężarem, zaczerpnęłam magiczną energię. Miałam zaledwie kilka sekund czasu. Zamknęłam oczy i skoncentrowałam magię w tym miejscu, gdzie dźgnął mnie strzałką, jak to zwykłam czynić z ranami. Wewnętrznym wzrokiem zobaczyłam kurarę jako pulsujące czerwone światło, które rozprzestrzenia się w moim gardle. Za pomocą magii wypchnęłam kurarę na zewnątrz przez małą dziurkę w skórze. Trucizna spłynęła po mojej szyi.

Kiedy otworzyłam oczy, napotkałam spojrzenie Cahila. Patrzył na mnie z mieszaniną triumfu i nienawiści. Oby tylko nie zauważył, że kurara wyciekła z ranki.

– Bądź czujny, Cahilu, a ujrzysz prawdę – powiedziałam ledwie słyszalnie.

Zachowywałam się, jakbym została sparaliżowana kurarą. Udawałam, że nie mogę skupić wzroku, a moje ciało wiotczeje.

Cahil odchrząknął i wstał.

– Już ujrzałem prawdę. Właśnie dlatego chcę twojej śmierci.

Verminowie dołączyli do niego przy ognisku. Obserwowałam ich kątem oka.

– Wyczułem nikły powiew magicznej energii. Czy ta dziewczyna użyła wobec ciebie magii? – zapytał Cahila jeden z Verminów.

– Nie. W porę ją obezwładniłem.

Przez chwilę rozmawiali o bieżących sprawach. Podśluchałam między innymi, że rano wyruszą w drogę. Kiedy reszta zajęła się rozbijaniem obozu, Cahil oświadczył stanowczo:

– Powiniennem zabić ją już teraz.

Zaniepokojeni Daviianie odpowiedzieli, że to byłoby nierozważne. Po raz pierwszy zgadzałam się z nimi.

– Jal jej potrzebuje, nie chcemy też rozgniewać Ognistego Warpera.

– Dlaczego miałbym się nim przejmować? – ze złością rzucił Cahil. – Ja dowodzę, a on mi podlega. To on powinien uważać, żeby mnie nie rozgniewać, zwłaszcza po klęsce, którą poniósł w dżungli.

Verminowie wymamrotali coś uspokajająco.

– Wsadźcie ją z powrotem do skrzyni – rzekł w końcu Cahil. – I dobrze zamknijcie, na wypadek gdybyśmy napotkali kłopoty.

Czyli jednak ta skrzynia nie narodziła się w mojej skołatanej

wyobraźni.

Dwaj Verminowie dźwignęli mnie z ziemi. Staralam się sprawić wrażenie bezwładnej. Ręce miałam związane, a nie mogłam użyć magii, gdyż to by ich zaalarmowało. Wiedziałam już, że co najmniej jeden z Verminów jest warperem, jednak nie miałam pewności co do pozostałych dwóch. Musiałam zdobyć więcej informacji. Postanowiłam więc poczekać na dogodniejszą sposobność, mając nadzieję, że się nadarzy.

Verminowie wnieśli mnie na wóz, wrzucili do skrzyni i zatrzasnęli wieko. Z trudem powstrzymałam okrzyk przerażenia, gdy w ciemnościach dobiegł mnie szarpący nerwy zgrzyt trzech zamykanych zasuw. Miałam wrażenie, że ściany skrzyni w kształcie trumny napierają na mnie. Kilkakrotnie odetchnęłam głęboko, by się uspokoić. Dostrzegłam między deskami wąską szczelinę, przez którą przesączały się powietrze i słaby migotliwy blask ogniska.

Wierciłam się, póki nie ułożyłam się trochę wygodniej, i zaczęłam gorączkowo myśleć o tym, jakie mam możliwości. Jediną bronią pozostawała magia. Kusiło mnie, żeby wysłać na zwiady świadomość i zbadać okolicę, wiedziałam jednak, że wówczas wykryto by, iż nie jestem obezwładniona kurarą, i straciłabym jakąkolwiek możliwość ucieczki. Czy śpiący warper wyczuje moją magiczną energię? Czy zdołam sprowadzić na Verminów i Cahila głęboki sen? Wprawdzie wtedy nadal będę uwięziona w skrzyni, lecz mogłabym wezwać kogoś, żeby mnie uwolnił.

Ale kogo? Tylko inny mag mógłby usłyszeć moje mentalne wołanie o pomoc, a nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Pomyślałam, że gdybym szczęśliwym trafem odnalazła jakiegoś tutejszego mieszkańca, może mogłabym ustalić miejsce pobytu.

Lecz to były tylko teoretyczne rozważania, a tak naprawdę nie byłam w stanie wymyślić żadnego sensownego planu. Musiałam więc

czekać na rozwój wypadków.

Zadumałam się nad swoją zdolnością wypchnięcia kurary z organizmu. To wzbudziło mój podziw do samej siebie. Gdybym wcześniej wiedziała, że posiadam tę umiejętność, nie znalazłabym się w tak beznadziejnej sytuacji. W każdym razie moje problemy z kurarą, miksturą nasenną i sokiem goo-goo zostały raz na zawsze rozwiązane. Trudno było mi się jednak z tego cieszyć, gdy tak tkwiłam zamknięta w skrzyni.

Odkąd przybyłam do Sycji, pragnęłam tylko nauczyć się jak najwięcej o magii, odkryć zakres magicznych zdolności i wrócić do mojej rodziny. Jednak wszystkie okoliczności tak bardzo sprzysięły się przeciwko mnie, że ledwie miałam czas odetchnąć, nie mówiąc już o studiowaniu magii.

Wypchnięcie kurary z ciała było nowym odkryciem. Ponieważ nie mogłam za pomocą magii przemieścić kurary, gdyż potrafiłam oddziaływać wyłącznie na byty ożywione, wniosek był jeden: zmusiłam do działania sparaliżowane mięśnie gardła.

Dopomogły mi desperacja i pierwotny instynkt przetrwania. Miałam nadzieję, że nadal mogę na nie liczyć, i chociaż coraz bardziej byłam przeciwna korzystaniu z magii, wiedziałam, że nie zdołam tego uniknąć. Postanowiłam jednak, że jeżeli dopisze mi szczęście i wykaraskam się z tej opresji, zrezygnuję z posługiwania się magicznymi talentami Poszukiwaczki Dusz i ograniczę się jedynie do mentalnego kontaktu z Kiki. Ciekawe, czy klacz wie, że mnie porwano? I czy Valek dowiedział się o tym oraz o roli, którą Star odegrała w tej intrydze?

W mojej głowie kłębiło się zbyt wiele pytań, na które nie znałam odpowiedzi. W końcu znów zaczęłam rozmyślać o konieczności rychłego działania, wiedziałam bowiem, że jeśli trafię w ręce Ognistego Warpera, źle się to dla mnie skończy.

– Ruszajmy. Jeśli się pośpieszymy, przed zachodem słońca dotrzemy do Równiny Avibiańskiej – powiedział Cahil.

Jego słowa wyrwały mnie z płytkiej drzemki. Przez dłuższą chwilę czułam się dezorientowana, zanim przypomniałam sobie moje trudne położenie i pojęłam słowa Cahila. Wtedy przeżyłam wstrząs. A więc już co najmniej od wczoraj jesteśmy w Sycji! Widocznie przez wiele dni znajdowałam się pod otepiającym wpływem soku goo-goo. Zatem wbrew swojej woli nie dotrzymałam obietnicy, że nie wyjadę do Sycji bez Valka. Gdzie on się podziewa?

– Mamy ją sprawdzić? – zapytał ktoś z iksjańskim akcentem.

– Nie. Jest sparaliżowana kurarą, może tylko oddychać – odpowiedział Cahil. – Dokończcie karmić dziewczyny. Zaczekamy, aż sok przestanie działać, zanim przygotujemy je do rytuału.

Zerknęłam przez szczelinę między deskami i zobaczyłam stojącą obok drugą skrzynię. Serce ścisnął mi lodowaty skurcz przerażenia. Ile jest tych dziewcząt i czy zdołam im pomóc? Stłumiłam ogarniający mnie pusty śmiech. Próbuję uratować innych, gdy sama jestem uwięziona w skrzyni!

Trzasnęły dwie inne pokrywy i moja skrzynia podskoczyła. Usłyszałam stukot końskich kopyt i hurgot wozu. Wyruszyliśmy w drogę.

W ciągu tego dnia doznawałam kolejno całej gamy rozmaitych emocji: przerażenia, nadziei i nudy. Zaczęłam nawet sporządzać listę moich utrapień: pragnienie, głód, bolące zebra, zdrętwiałe ręce, obolałe mięśnie i dokuczliwy skurcz w plecach między łopatkami. Wykorzystując hałas towarzyszący podróży, który zagłuszał wszystkie inne odgłosy, spróbowałam złagodzić niektóre z moich bolączek. Wiłam się i wierciłam tak długo, aż udało mi się precisnąć tułów i nogi przez

związane z tyłu ręce, by mieć je z przodu. Przydała się moja zwinność i drobna budowa. Gdy tego dokonałam, omal nie jęknęłam z ulgi.

Teraz mogłam już w ograniczonym stopniu posłużyć się rękami. Obmacałam prawe udo, szukając noża sprężynowego. Na próżno. Zabrano mi nawet pochwę do niego. Przyjrzałam się uważnie węzłom skórzanych rzemieni krępujących ręce, po czym zaczęłam je szarpać zębami. Rozwiązałam już kilka, gdy wóz nagle się zatrzymał. Postanowiłam jednak działać dalej, nawet ryzykując, że zostanę zdemaskowana.

– Rozbijamy obóz – oznajmił Cahil. – Kiedy już się z tym uporacie, wyciągnijcie dziewczyny ze skrzyń. Pewnie już odzyskały świadomość, więc możecie je przygotować do jutrzejszego rytuału kirakawy.

– A co z Poszukiwaczką Dusz? – zapytał jeden z Verminów.

– Drakke da jej wieczorem następną porcję kurary. Dopiero wtedy, bo zbyt wielka dawka mogłaby zatrzymać serce.

Nasłuchiwałam głosów mężczyzn rozbijających obozowisko, a jednocześnie nadal gryzłam i szarpałam więzy. Gdy dobiegł mnie zapach pieczonego mięsa, w brzuchu niepokojąco głośno zaburczało mi z głodu. Po pewnym czasie otwarto dwie skrzynie i dwa przestraszone głosy zaczęły zadawać pytania. Przez szparę w deskach mignął mi czerwony fartuch. Domyśliłam się, że dziewczyny są studentkami z Iksji, Liv i Kieran. Co za straszny czeka je los, pomyślałam, przynajmniej na razie mogąc im ofiarować tylko moje współczucie.

Znów zaczęłam się zastanawiać, jak Verminowie i Cahil zdołali przemycić nas z Iksji. Być może udawali handlarzy przewożących przez granicę wóz pełen towarów.

Udało mi się zerknąć na obóz. Rozstawiono namiot i doliczyłam

się trzech Verminów oraz czterech strażników. W dwóch rozpoznałam ludzi Cahila, natomiast pozostałej dwójki nie znałam. Wszyscy byli uzbrojeni w miecze lub szable. Poszukałam wzrokiem mojego plecaka. Ograniczone pole widzenia utrudniało mi zadanie, ale przypuszczałam, że zabrał go Cahil.

Gdy światło dnia zaczęło szarzeć, wznowiłam próby rozwiązania rzemieni wokół przegubów. Każdy przenikliwy okrzyk jednej z dziewcząt dopingował mnie do wzmożenia wysiłków. Szarpałam zębami węzły, nie zważając na ból, woń strachu i metaliczny smak krwi w ustach. Cahil wspomniał, że rytuał odbędzie się jutro. Tak więc jeśli nie ucieknę tej nocy, to nie ucieknę w ogóle.

Nie udało mi się rozplątać ostatniego węzła, na tyle go jednak rozmiękczyłam śliną, że trochę się rozluźnił. Przecisnęłam dłonie przez pętlę, zdzierając sobie przy tym skórę. Głęboko odetchnęłam z ulgi, odprężyłam się i czekałam, aż otworzą moją klatkę.

Miałam prosty plan, dający tyleż szans na sukces, co na porażkę. Czas włókł się niemiłosiernie. Zdawało mi się, że minęły lata, zanim wreszcie rozległ się zgrzyt i szcęk zamka. Splotłam dłonie za plecami i znieruchomiałam.

Miękki żółty blask ognia oświetlił twarz Vermina, który otworzył skrzynię. Jedną ręką uniósł wieko, a drugą sięgnął ku mnie. Między palcem wskazującym i kciukiem trzymał małą strzałkę.

Wtedy zareagowałam.

Złapałam go za dłoń i szarpnęłam ku sobie tak mocno, że stracił równowagę. Stęknął zaskoczony i naparł na mnie całym ciężarem. Wykręciłam mu rękę do tyłu i wbiłam strzałkę w bark. Wyswobodziłam się z jego chwytu i zatkałam mu dłonią usta, by stłumić krzyk.

Już po kilku sekundach kurara sparaliżowała mu mięśnie. Leżał

bezwładnie, przygniatając mi pierś, a kłapa skrzyni opierała się na jego plecach. By nikt nie zobaczył, co się dzieje, wciągnęłam go do skrzyni. Był to trudny manewr, gdyż musiałam uważać, by pokrywa nie zatrzęsnęła się zbyt głośno.

Kiedy sparaliżowany Vermin znalazł się obok mnie, wypełzłam spod niego, nieco uchyliłam kłapę i wyjrzałam na zewnątrz. Strażnicy nadal skupiali się przy ognisku, ale nigdzie nie dostrzegłam pozostałych dwóch Verminów. Rozebrane i związane dziewczyny leżały w pobliżu ognia. Na ich rękach i nogach widniały krwawe szramy. W tej chwili w żaden sposób nie mogłam im pomóc. Wszystko w swoim czasie.

Opuściłam się na dno skrzyni i rozważyłam możliwości. Czy mam wymknąć się ukradkiem i zniknąć cicho w mroku nocy, czy po prostu gwałtownie podnieść wieko i rzucić się do ucieczki?

Musiałam jakoś odwrócić uwagę moich prześladowców, lecz to wymagało użycia magii. Jednak zanim odkryją, skąd pochodzi magiczna energia, już mnie tu nie będzie. A przynajmniej taką miałam nadzieję.

Nad ogniskiem przemknął jakiś czarny kształt, co podsunęło mi pewien pomysł. Wyciągnęłam pasmo magicznej mocy i wysłałam mój umysł w kierunku nietoperza. Przefrunął nad płomieniami przez rozgrzane powietrze pełne owadów. Dotarłam do zbiorowej świadomości jego towarzyszy i przesłałam wszystkim wizję wielkich soczystych robaków pełzających po mężczyznach skupionych przy ognisku. Innymi słowy, wizję łatwej zdobyczy dla tysięcy wygłodniałych nietoperzy.

Czarne kształty zanurkowały z ciemnego nieba. Strażnicy wrzasnęli i zamachali rękami. Z namiotu wyszli Cahil i warper, by sprawdzić, co się dzieje. Warper zaczął krzyczeć, że wyczuwa magię, ale urwał, gdy nietoperze przypuściły atak.

Pchnęłam kłapę skrzyni i wyskoczyłam na zewnątrz. Rozejrzałam

się szybko, a upewniwszy się, że nikt mnie nie zauważył, pognałam w ciemność, starając się, by wóz odgradzał mnie od ogniska.

Natknęłam się na trzeciego Vermina, który oporządzał konie. Najwyraźniej spodziewał się mnie, gdyż natychmiast dobył szabli. Jednocześnie jego magiczna energia przebiła moją mentalną barierę obronną i zastygłam bez ruchu. Kolejny warper. Zakląłam, gdy zawołał swych kompanów, a potem uświadomiłam sobie, że nie kontroluje mojego umysłu. Wysłałam więc świadomość do dwóch koni.

Znużone, obolałe i zaniepokojone zapachem krwi wierzchowce z radością powitały nawiązanie przeze mnie mentalnego kontaktu. Poprosiłam je o pomoc.

– Źli ludzie chcą mnie skrzywdzić – powiedziałam w ich umysłach.

– Kopnąć go?

– Tak, proszę.

Jeden z koni cofnął się i wierzgnął. Warper błyskawicznie wyleciał w górę, a potem rąbnął głową o ziemię i natychmiast stracił przytomność, uwalniając mnie z magicznego chwytu.

– Dziękuję – rzuciłam i popędziłam dalej.

– Kopnąć innych?

Odgłosy pogoni się zbliżyły. Nietoperze straciły obraz owadów, gdy przeniosłam magiczne działanie na konie.

– Jeśli możecie. – Jeszcze bardziej przyśpieszyłam.

Dobiegły mnie okrzyki wyrażające zaskoczenie. Zerknęłam przez

ramię. Cztery postacie nadal mnie ścigały. Teren był płaski i pozbawiony roślinności, jakby stanowił część Równiny Avibiańskiej. W oddali obiecująco zamajaczył jakiś ciemny obły kształt. Być może to kępa drzew.

Mężczyźni mnie doganiali. Z każdym krokiem traciłam nadzieję, że zdążę dopaść kryjówki.

Wyciągnęłam nić magicznej energii, zamierzając zmącić myśli ścigających. Miałam nadzieję, że zdołam błyskawicznie wysłać dezorientujące obrazy kolejno do czterech umysłów. Tej nadziei zawierzyłam moje życie.

Z lewej pojawił się konny jeździec, zmierzający prosto na mnie. W blasku księżyca błysnął miecz. Mogłam albo oszołomić pieszych, albo powstrzymać konia.

Moja szansa powodzenia, i tak już wątpliwa, zmaląła do zera, gdy zimne żądło ukłuło mnie w plecy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Rzuciłam się na ziemię i zwinęłam się w kłębek. Magiczną energię, której przed chwilą używałam do zdezorientowania moich prześladowców, skierowałam ku drętwiejącemu miejscu na plecach. Wewnętrznym okiem zobaczyłam, jak kurara rozprzestrzenia się przez mięśnie, zmierzając ku naczyniom krwionośnym. Posłużyłam się magią jak miotłą i zagarnęłam zabójczą substancję do otworu w skórze. Poczułam, że ciepła ciecz wylewa się na koszulę.

Ten wysiłek mnie osłabił, dlatego zastanawiałam się, czy nie udać sparaliżowanej. Nagle ziemia zadrżała od kopyt i koń wpadł między mnie a strażników. W chłodnym nocnym powietrzu rozległ się dźwięk stali uderzającej o stal. Dźwignęłam się z ziemi i ukucnęłam.

Koń zawrócił.

– Yeleno! – krzyknął Valek, rzucając mi mój kij.

Pochwyciłam go, a Kiki zaryła kopytami i Valek zeskoczył z jej grzbietu. Rozległ się szcęk oreża, gdy wdał się w walkę z czterema przeciwnikami. Kiedy dołączyli do nich pozostali Verminowie i Cahil, pośpieszyłam go wesprzeć. Z czterema by sobie poradził, ale miał już przeciwko sobie sześciu.

Walczyliśmy ramie w ramie wspomagani kopnięciami Kiki. Cahil i warper trzymali się na uboczu. Wzmocniłam mentalną obronę, gdyż wyczułam, że warper przypuścił magiczny atak.

Valek odrąbał mieczem ramie jednemu ze strażników, który upadł na ziemię, wrzeszcząc z bólu. Zaatakowaliśmy pozostałych. Cahil rozkazał im, by zaprzestali walki. Usłuchali i cofnęli się. Valek rzucił mi pytające spojrzenie.

– Dziewczeta są w obozie – powiedziałam.

Kiwnął głową i natarliśmy na ustępujących mężczyzn. Warper wyrzucił ręce w górę i krzyknął:

– Zapłon!

Poczułam na skórze napór magicznej energii. Rozległ się świst gorącego powietrza i leżący na ziemi strażnik stanął w płomieniach. Valek i ja odskoczyliśmy od niego. Mężczyzna wrzeszczał i zwiwał się z bólu, a potem znieruchomiał, gdy strawił go rozpalony żar. Owionął nas gryzący, ohydny odór zwęglonego ciała. Zatkaną nos.

– Przybądź odnaleźć bratnią duszę! – zawołał warper, przekrzykując ryk ognia.

Pulsujące płomienie zaczęły przybierać ludzką postać.

– Co się dzieje? – spytał mnie Valek.

– Jedźmy. – Wgramoliłam się na grzbiet Kiki.

Gdy Valek usiadł za mną, klacz ruszyła z kopyta.

– Co z dziewczętami? – zapytał.

Ukłuło mnie poczucie winy, ale odpowiedziałam:

– Później.

Pozwoliłam Kiki wybrać drogę. W końcu dojechaliśmy do niewielkiego wiejskiego domu otoczonego równymi kwietnymi grządkami. Gdy Kiki zatrzymała się przy stajni, Valek zeskoczył na ziemię.

– Gdzie jesteśmy? – spytałam klacz.

– Dom Ducha. Smaczne siano. Miły chłopak stajenny.

Przyjrzałam się nieufnie drewnianemu budynkowi.

– Są tu duchy?

Kiki parsknęła i szturchnęła nosem Valka.

– To jest Duch.

Księżycowy Człowiek wyjaśnił mi kiedyś, że odporność Valka na magię czyni go niewidzialnym niczym duch dla istot obdarzonych magicznymi zdolnościami widzenia.

Popatrzyłam na Valka.

– Letni domek? Czy to nie jest trochę ryzykowne miejsce?

Uśmiechnął się.

– To bezpieczna kryjówka dla moich zwiadowców i baza naszych operacji.

– Jakież to dogodne!

Stajnia była pusta. Valek pomógł mi rozsiodłać i oporządzić Kiki, co odwlokło nieuniknioną rozmowę. Kiedy skończyliśmy, słałam się na nogach ze zmęczenia, ale musiałam się dowiedzieć, co Valek robił w czasie, gdy byłam uwięziona w skrzyni.

– Jak mnie odnalazłeś? Jak zwykle zjawiałeś się w najważniejszym momencie.

Wziął mnie w ramiona. Wtuliłam się w niego, szukając ciepła i pociechy. Zadrżałam, gdy z opóźnieniem dotarła do mnie groza niedawnych zdarzeń. Przed oczami stanął mi warper podpalający swego towarzysza.

– Zawsze do usług, kochanie – odpowiedział Valek. – Chciałem podkraść się i uwolnić cię, lecz mnie uprzedziłaś. Powinienem się lepiej przygotować, ale kiedy wczoraj wieczorem zobaczyłem, jak strażnik ukłuł cię kurarą, byłem pewien, że będziesz sparaliżowana. – Odsunął mnie od siebie. – Wejźmy do środka. Muszę się napić.

W środku ten wiejski dom nie wyglądał tak przytulnie jak z zewnątrz. Był urządzony funkcjonalnie, ze spartańską prostotą. Najwidoczniej tajni agenci nie przyjmowali tutaj gości. Valek zapalił kilka lamp, ale nie pozwoliłam mu rozniecić ognia w kominku. Usiedliśmy na kanapie, przytuleni do siebie, i popijaliśmy brandy.

– To biała brandy generała Kitvivana? – spytałam.

– Pamiętasz! – rzekł zaskoczony Valek.

– Niektóre smaki i zapachy przywołują wspomnienia. Ten trunek przypomina mi spotkanie przy brandy u komendanta.

– No tak, przy każdej kolejce musiałaś próbować z jego kieliszka. W efekcie upiłaś się i usiłowałaś mnie uwieść.

– A ty mnie odtrąciłaś. – Nie potrafiłabym określić, kiedy w Valku zrodziło się uczucie do mnie. Po prostu nic na to nie wskazywało, dlatego tak bardzo zaszokowało mnie jego miłosne wyznanie w lochu generała Brazella.

– Chciałem przyjąć twoje awanse, ale nie wiedziałem, czy płyną z głębi serca, czy są wywołane przez brandy. Obawiałem się, że możesz później bardzo tego żałować.

Wspomnienie Valka w eleganckim wyjściowym mundurze wzbudziło we mnie pragnienie, by znów go uwieść, jednak mieliśmy wiele spraw do przedyskutowania.

– Dość tych pogaduszek. Zrelacjonuj mi ostatnie wydarzenia – zażądałam.

– Cóż, Yeleno... Nie spodoba ci się to, co usłyszysz.

– W porównaniu z tym, przez co przeszłam w ciągu ostatnich... nawet nie wiem, ile czasu minęło. Trzy dni? Chyba nic nie może być gorsze.

– Wiedziałem, że ostatnio żeglowałaś po bardzo niebezpiecznych wodach, ale nie zdawałem sobie sprawy, że były aż tak burzliwe.

– Valek, do rzeczy!

Poruszył się niespokojnie. Serce ścisnął mi lęk. Widocznie wydarzyło się coś naprawdę potwornego. Nigdy dotąd nie widziałam go w takiej rozterce. Wstał z kanapy i zaczął przechadzać się po pokoju elastycznym bezszelestnym krokiem.

– Uprowadzono cię przed pięcioma dniami...

– Pięcioma?! – Przez ten czas mogło tak wiele się wydarzyć. Moje myśli pobiegły ku Irys i Bainowi. Być może już nie żyją.

Valek uniósł dłoń, uprzedzając moje pytania.

– Daj mi najpierw skończyć. Porwała cię Star, a udało się jej przemyścić cię tak daleko na południe, ponieważ... ja jej na to pozwoliłem. – Urwał, by dotarł do mnie sens tych słów.

Zdumiona przez jakiś tylko patrzyłam na niego, wreszcie spytałam:

– Wydałeś mnie Star?

– Tak i nie.

– Musisz mi to wyjaśnić.

– Przewidywałem, że zamierza zemścić się na tobie. Utrzymywała stały kontakt z podziemną siatką, a ja jej na to pozwalałem, ponieważ dzięki temu miałem wgląd w ich działalność. Mimo obowiązującego Regulaminu Postępowania zawsze będzie istniał czarny rynek na zabronione towary i fałszywe dokumenty. Chcę mieć podziemie stale na oku, aby mieć pewność, że jego członkowie nie posuną się zbyt daleko, choćby jak wtedy, gdy Star wynajęła zabójców, by udaremnić zawarcie traktatu handlowego z Sycją. A kiedy...

– Nie odbiegaj od tematu.

– Star wiedziała, że odwiedzisz kryjówkę Portera.

– Porter mnie wystawił?

– Nie sądzę. Pozwolisz mi dokończyć? – rzucił z irytacją Valek, ujmując się pod boki. Dałam mu ręką znak, żeby mówił. – Od paru lat wiem o operacji ratowniczej prowadzonej przez Portera, i pozwalałem mu ją kontynuować. Jednak od jakiegoś czasu wysyłane przez niego osoby zaczęły zniknąć, co, rzecz oczywista, bardzo mnie zaniepokoiło i zaintrygowało. Lecz to nie z tego powodu obserwowałem jego dom. Podążyłem za Star i trzema mężczyznami i z przerażeniem ujrzałem, że weszłaś na oślep prosto w ich pułapkę. Czy w ogóle nie widziałaś Star?

– Użyła subtelnej odmiany magii.

– Też nie wyczułem jej obecności, a przecież już od dłuższego czasu pracuje u mnie.

Powróciłam myślą do owej nocy, gdy mnie pojmano. Jedynym dziwnym aspektem tamtej sytuacji był fakt, że moja percepcja na chwilę uległa zmianie, po czym wróciła do normy. Być może Star oddziałała jakoś na moje postrzeganie.

– Valku, nie wychytujesz również mojej magii, a kilkakrotnie wybuchła w niekontrolowany sposób, gdy przebywałam w zamku komendanta.

– Zapamiętam to sobie – rzekł lodowatym tonem. – Rozumiałem, z jakiego powodu Star wciągnęła cię w zasadzkę, natomiast zdziwiło mnie, że ona i jej kompani porwali również te dziewczyny. Musiałem się dowiedzieć, dokąd was zabierają.

Przez chwilę szczegółowo rozważałam jego słowa, wreszcie spytałam:

– Czyli tamtej nocy mogłeś mi pomóc, ale wolałeś zaczekać?

– To było wykalkulowane ryzyko. Chciałem ustalić zakres operacji Star i dowiedzieć się, dlaczego uprowadziła dziewczęta. Nie miałem pojęcia, że znajdziesz się za granicą Iksji i trafisz w łapy tego niewydarzonego pseudokróla Sycji.

Valek uklęknął przede mną i chciał ująć mnie za rękę, ale skrzyżowałam ramiona na piersi. W moim sercu kipiał gniew. Straciłam pięć dni. Pięć dni, w trakcie których Ognisty Warper zwiększył swoją moc.

– Nie doszłoby do tego, gdybyś mi powiedziała, że wybierasz się do Portera – stwierdził Valek.

– To było wykalkulowane ryzyko – odparowałam. – Czy ci się to podoba, czy nie, jestem maginią i zrobię wszystko, by ocalić młode towarzyszki władające magią. Nie chciałam powiadomić o spotkaniu z Porterem zabójcy magów na usługach komendanta – rzuciłam ostro, lecz jednocześnie ukłuło mnie poczucie winy na myśl, że być może lepiej zabijać magów, niż pozwolić, by Ognisty Warper wykorzystał ich do wzmocnienia swej potęgi.

Valek zakołysał się na piętach. Jego twarz stężała, przypominała metalową maskę.

– Zabójcy magów? – powtórzył z urazą. – Więc tak o mnie myślisz?

– To jedno z zadań, które wykonujesz na zlecenie komendanta. Wiem, w jaki sposób postępujesz. Lubisz podejść swoją ofiarę, zanim się na nią rzucisz. Zgoda na funkcjonowanie podziemnej siatki Portera to typowa dla ciebie wstępna metoda postępowania.

Twarz Valka nadal była nieprzenikniona. Wiedziałam, że dałam się ponieść gniewowi, ale nadal czułam wściekłość. Jednak zmieniłam temat, pytając:

– Jak Star zdołała przetransportować nas do Sycji?

Valek odpowiedział oficjalnym tonem, jakby składał raport komendantowi Ambrose'owi:

– Umieściła was w skrzyniach, na których ustawiono sterty pudeł z towarami, a Star i jej towarzysze przebrali się za kupców. Mieli stosowne dokumenty. Na granicy nasi strażnicy przeprowadzili tylko pobieżną kontrolę i przepuścili was. – W jego oczach błysnęła gwałtowna irytacja. – Ci strażnicy otrzymają naganę i zostaną ponownie przeszkoleni. – Wstał. – Zamierzałem zaproponować, żebyśmy przespali się parę godzin, a potem spróbowali uratować te dziewczyny, ale

ponieważ jestem zabójcą magów, więc raczej nie będę się przejmował ich losem. – Wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Po wyjściu Valka miałam wrażenie, że z pokoju uszło życie. Moje ostre słowa przypisywałam znużeniu, ale w głębi duszy wiedziałam, że nie w tym rzecz. Odkąd znaleźliśmy się w Iksji, miałam głębokie poczucie, że straciłam kontrolę nad biegiem wydarzeń. Lecz tak naprawdę nigdy nad nimi nie panowałam. Od chwili, gdy w dżungli z płomieni wyłonił się Ognisty Warper, rządził mną strach. Jak dotąd utrzymywał mnie przy życiu, lecz zarazem wprowadzał chaos w moje poczynania. Incydent z Valkiem był tylko ostatnim z długiej listy.

Cóż, miałam powód, by się bać. Ognisty Warper przewyższał mnie potęgą i raczej nie da się go zgasić wiadrem wody. Skuliłam się na kanapie i zaczęłam obmyślać plan uwolnienia dziewcząt. Nie mogłam powstrzymać warpera, ale przynajmniej mogłam uniemożliwić Verminom zyskanie większej mocy.

Tylko w jaki sposób zamierzali przerzucić z Iksji następnych młodych magów? Z relacji Valka wywnioskowałam, że Star wniknęła w zakonspirowaną siatkę Portera i porywa jego podopiecznych, a potem sprzedaje ich Verminom do wykorzystania w rytuale kirakawy.

Po kilkugodzinnym niespokojnym śnie udałam się do stajni. Kiki drzemała w boksie, ale obudziło ją moje mentalne wezwanie.

– Masz dość sił na przejażdżkę? – zapytałam.

– Tak. Dokąd?

– Do miejsca, gdzie mnie znalazłaś.

– Zły zapach.

– Wiem, ale muszę tam wrócić i odnaleźć ich trop. Pewnie są już

daleko na równinie.

– Pojedziemy szybko.

– Na to liczę.

Wskoczyłam na grzbiet Kiki, nie tracąc czasu na osiodłanie. Wzięłam ze sobą tylko kij. Gdybym przeprosiła Valka, pojechałby ze mną, ale nie byłam jeszcze gotowa przyznać się do błędu. Przynajmniej dziś w nocy będzie bezpieczny.

Wkrótce dotarliśmy na skraj Równiny Avibiańskiej. Znalazłam ślady po obozowisku Verminów, a sądząc z liczby pozostawionych przedmiotów, Cahil i jego kompani opuścili to miejsce w wielkim pośpiechu. Do świtu pozostało zaledwie kilka godzin.

– Kiki, którą teraz? – spytałam.

Skierowała się na południe. Pozwoliłam, by klaczka sama dobrała tempo. Zanim znalazłyśmy się na równinie, biegła klusem, a potem przeszła w swój słynny krok szybki jak poryw wiatru. Pęd powietrza świstał mi w uszach, a ziemia błyskawicznie umykała spod kopyt. Jednak Kiki nie utrzymywała tej prędkości zbyt długo, ponieważ zwolniła, gdy wzmógł się zapach koni i płonących drzew.

Na równinie czekała na nas magia Verminów. W przeciwieństwie do klanu Sandseed, który tworzył obronną sieć, Daviianie woleli zastawiać pułapki, chwytając w nie niczego nieświadome ofiary. Kiki wyczuwała i omijała zdradliwe miejsca.

W oczach klaczy odbił się słaby blask ognia. Zatrzymałyśmy się. Ja planowałam następne posunięcie, natomiast Kiki stawała dęba i tańczyła na boki, zaniepokojona ostrym odorem krwi. Najchętniej rzuciłaby się do ucieczki, ale pogładziłam ją i uspokoiłam, choć sama byłam odrętwiała z przerażenia.

A więc nie zaczęli do następnej pełni księżyca! Zgarbiłam się na grzbiecie klaczy, przytłoczona poczuciem winy, gniewem i frustracją.

– Dziewczęta ranne? – zapytała Kiki.

– Tak.

– Jedź. Stój.

– Co? – spytałam zdezorientowana.

Jednak klacz, porzuciwszy rozmowę, pogalopowała w kierunku obozu.

– Kiki! – krzyknęłam.

– Pomóc. Policzyć się z nimi! – Kiki pognęła przez obozowisko, wierzgając i skacząc, jakby oszalała ze strachu.

Nasze nagłe pojawienie się zaskoczyło przeciwników. Strażnicy rozpierzchli się na wszystkie strony, uchylając się przed kopytami klaczy i ciosami mojego kija. Kiki zwała namiot Cahila, kopnięciem przewróciła wóz i rozpędziła konie.

Zamarłam ze zgrozy, spostrzegłszy dwóch warperów pochylonych nad bezwładnymi ciałami dziewcząt. Ręce mieli umazane we krwi aż po łokcie. Każdy z nich ostrożnie trzymał w dłoniach kawałek mięsa wielkości pięści i gładził go czule. Jęknęłam cicho, gdy rozpoznałam ludzkie serca. Serca Liv i Kieran.

Kiki stanęła dęba i zrzuciła mnie na ziemię. To przywróciło mnie do rzeczywistości. Wstałam, gotowa odeprzeć atak, ale warperzy nadal byli pochłonięci odprawianiem rytuału.

– Pomóż – poleciała mi Kiki, po raz kolejny okrążając obóz.

Zerknęłam na ognisko. Ognisty Warper jeszcze się nie pojawił. Zganiłam się w duchu za lęk przed nim i wyciągnęłam grube pasmo magicznej mocy. Obronna magia Verminów usiłowała je przerwać, ale sznur był tak gruby, że nie zdołała naruszyć ani jednej nitki.

Wystrzeliłam świadomość w warperów. Otaczał ich mglisty obłok magii. Nie znałam szczegółów krwawych rytuałów, domyślałam się jednak, że aby wchłonąć i utrzymać magiczną energię, muszą wycisnąć krew z serc ofiar i wstrzyknąć ją sobie pod skórę.

Rytuał kirakawy posiadał własną moc, toteż nie mogłam przeszkodzić warperom, natomiast ich mroczna żądza magii wzbudziła we mnie potężny wstręt. Przez chwilę wzrok zaćmił mi się krwią.

Lecz kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Duch Liv stał obok jej martwego ciała i starał się przykuć moją uwagę, uderzając pięścią w serce. Zamrugałam, ujrawszy tę zjawę. Czy to jej duch, czy dusza? W końcu pojęłam, co usiłuje dać mi do zrozumienia, i przeklełam własną głupotę.

Nie mogłam wpłynąć na przebieg rytuału, coś jednak mogłam zrobić. Skoncentrowałam się na sercach dziewcząt i sięgnęłam po ich dusze, które rytuał uwięził w swych zakamarkach. Wchłonęłam dusze w siebie, pozostawiając martwe zwłoki. Dzisiejszej nocy warperzy nie zdobędą żadnej magicznej energii.

Kiki podbiegła do mnie i zwolniła. Chwyciłam ją za grzywę i wciągnęłam się na grzbiet. Po dwóch krokach Kiki przeszła w swój bieg szybki jak poryw wiatru.

Gdy dotarliśmy do skraju równiny, poprosiłam Kiki, żeby się zatrzymała, chciałam bowiem uwolnić dusze Liv i Kieran. Słońce już wstało zza horyzontu i rzucało na ziemię długie cienie. Żałowałam, że

nie znam lepiej tych dziewczyn, gdyż wówczas mogłabym uszyć dla nich sycjańskie żałobne flagi. Zasługiwały na wciągnięcie flag na maszt przy akompaniamencie fanfar dla upamiętnienia życia Liv i życia Kieran, przerwanych w tak młodym wieku.

Jednak wobec braku jedwabiu i masztów flagowych musiałam poprzestać na wyrażeniu głębokiego żalu z powodu tego, że nie uratowałam dziewcząt. Mimo to czuły zadowolenie i ulgę, że są wolne. Ale co innego mogły powiedzieć, skoro posiadałam ich dusze?

Nagle przyszła mi do głowy potworna myśl. Zastanowiłam się, czy moja potęga wzmożła się dzięki temu, że miałam w sobie dusze tych dziewczyn. Może zdołam pokonać Ognistego Warpera, jeśli powiększę swoją magiczną moc? Drżąc z obrzydzenia na samą myśl o tym, uwolniłam dusze Liv i Kieran i wypuściłam je w niebiosy. Oddaliły się ode mnie szybko. Poczułam lekki dreszcz radości, a potem ogarnęło mnie przytłaczające znużenie.

Wróciłam do kryjówki Valka, starając się wymazać z pamięci tę wyprawę. Kiki skierowała się do stajni, a ja znalazłam jeszcze dość sił, by ją porządnie wytrzeć. Mijając stertę bel siana, nie potrafiłam się oprzeć pokusie. Położyłam się na jej szczycie i natychmiast zasnęłam.

Ścigała mnie cała armia płonących żołnierzy. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa, nie mogłam już biec szybciej, a ognista pogoń coraz bardziej się zbliżała. Leif pośpieszył mi na pomoc, ale gdy tylko znalazł się przy mnie, ogarnęły go płomienie. Pozostał mi jedynie Valek. Stał pośród pożogi, nietknięty przez palący żar. Niewzruszony i zimny niczym blok lodu, wydawał się obojętny na moje błagania.

– Przykro mi, kochanie – rzekł, wzruszając ramionami. – Nie mogę ci pomóc.

– Dlaczego?

– Bo mi na to nie pozwolisz.

Płonący żołnierze otoczyli mnie ognistym kręgiem. Języki płomieni liznęły moje ubranie, materiał zaczął się palić.

– Yeleno!

Wpatrywałam się z osobliwą fascynacją w jaskrawożółte i pomarańczowe płomienie, które żarłocznie pochłaniały mój płaszcz.

– Yeleno!

Poczułam, że spryskano mnie zimną wodą, a potem zalał mnie cały potop. Syknęła para. Wrzasnęłam i obudziłam się, krztusząc się i kaszłąc. Valek stał przy mnie z pustym wiadrem.

– Co... co się stało? – wyjąkałam i usiadłam. Ubranie i włosy miałam zupełnie mokre. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Śnił ci się jakiś koszmar.

– Nie wystarczyło mną potrząsnąć, żebym się obudziła? – spytałam z wyrzutem. Widziałam, że wciąż jest na mnie zły.

Zamiast odpowiedzi postawił mnie na nogi i wskazał w miejscu, gdzie spałam na szczycie sterty siana, wypalony ślad w kształcie ludzkiej sylwetki.

– Byłaś zbyt rozpalona, by można było cię dotknąć – wyjaśnił ze śmiertelną powagą.

Zadrzałam. Co by się ze mną stało, gdyby Valek się nie zjawił?

On zaś mówił dalej:

– Przypuszczam, że podjęta przez ciebie próba uratowania dziewczyn rozgniewała kilku potężnych ludzi. Widziałem, że ty i Kiki wywołałyście zamieszanie w obozie Verminów, rujnując moje plany. Co jeszcze zbroiłaś?

Okazało się, że Valek wczoraj nie poszedł spać, tylko udał się na ratunek Liv i Kieran. Kiki i ja mogłyśmy wybrać się razem z nim. Działając wspólnie, być może dotarlibyśmy do obozu na tyle wcześnie, by ocalić życie dziewcząt. Ogarnęło mnie przygnębiające poczucie winy. Niczego nie udało mi się zrobić dobrze. Nie odnalazłam na czas Cahila i Ferdego. Klan Sandseed unicestwiono. Irys i Bain zostali uwięzieni. Zirytowałam moich przyjaciół i brata... a także Valka.

Wpatrywał się we mnie z nieprzeniknioną miną. Wyrósł między nami niewidzialny mur. Z mojej winy czy jego?

Opowiedziałam mu, jak uwolniłam dusze dziewcząt i udaremniłam rytuał kirakawy.

– Powinnam była pozwolić, abyś zabił Cahila – zakończyłam.

Nawet jeśli Valka zdziwiła ta nagła zmiana tematu, nie dał niczego po sobie poznać.

– Dlaczego? – zapytał.

– Przecież jego śmierć by zapobiegła wszystkim późniejszym tragediom.

– Nie sędzę. Cahil dopiero niedawno dołączył do Verminów, a oni już dawno musieli zaplanować i zacząć przygotowania do tej operacji. Cahil pragnie jedynie twojej śmierci i tronu Iksji. Myślę, że cała ta sprawa z rytuałem kirakawy budzi w nim odrazę.

– Jeśli tak, to dlaczego pomógł w porwaniu?

– Ponieważ chciał dopaść ciebie. Wczorajszej nocy nie było go w obozie. Prawdopodobnie jest już w drodze do Cytadeli.

– Skąd wiesz?

Valek rzucił mi powściągliwy niewesoły uśmiech.

– Kiedy ty wpadłaś jak burza do obozu, ja zakradłem się do namiotu, zamierzając skrócić cierpienia tego niewydarzonego pseudokróla Iksji. Miałem tylko kilka sekund, by się zorientować, że Cahila tam nie ma, zanim namiot zważył mi się na głowę.

Stłumiłam chichot. Valek z irytacją zmarszczył brwi, z czego wywnioskowałam, że nie docenił mojego poczucia humoru.

– Ale znalazłem to – powiedział, wskazując mój plecak leżący na podłodze przy drzwiach boksu Kiki.

Krzyknęłam z radości i uklęknęłam, by sprawdzić zawartość. Zanim zaczęłam w nim grzebać, podniosłam wzrok, by podziękować Valkowi, ale już odszedł. Zastanawiałam się, czy powinnam go odszukać i wyjaśnić mu wszystko, lecz nie byłam jeszcze gotowa na uczynienie wyłomu w otaczającym mnie murze. Wewnątrz niego, w moim małym kokonie, mogłam udawać, że Ognisty Warper wcale nie zagraża ludziom, których kocham.

W plecaku odnalazłam moje sycjańskie ubrania, nóż sprężynowy, komplet wytrychów, fiołki z kurarą, grudki theobromy, suszone mięso, herbatę oraz szklanego nietoperza od Opal. Ciekawe, ale bijący z niego blask wydał mi się jaśniejszy.

Wpatrzyłam się w misterne sploty płynnego ognia i pomyślałam z podziwem o talencie Opal. Nagle świetlisty wir wewnątrz posążku przybrał kształt węża. W moich uszach rozbrzmiał mi dźwięk ognia

w piecu do wypalania. Ujrzałam dłonie trzymające metalową pincetę, którą nadawały kształt cienkiemu kawałkowi szkła, zanim ostygnie. Potem dotarły do mnie myśli Opal.

Spryskała wodą wyżłobienie w końcowej części figurki węża. Szkło trzasnęło. Opal wciągnęła rękawiczki z jednym palcem, ujęła posążek i włożyła do innego pieca z mniejszym żarem, by powoli go schłodzić.

– Opal, słyszysz mnie? – zapytałam myślą.

Nie odpowiedziała.

Kiedy moja świadomość powróciła do figurki nietoperza, pojęłam, że bez wielkiego wysiłku dotarłam umysłem do Booruby. Do miasta odległego o sześć dni jazdy konnej na południe! Będąc w Booruby, nie zdołałam osiągnąć myślą Baina, a przecież był to krótszy dystans. A gdyby Irys miała tego szklanego węża? Czy mogłybyśmy porozumiewać się na olbrzymie odległości, nie tracąc energii? Pośpiesznie rozważyłam wszystkie implikacje takiej możliwości.

Powiew zimnego powietrza ostudził moje podniecenie, a wilgotne włosy błyskawicznie zlodowaciały na wietrze. Przypomniałam sobie, że Kiki zapowiedziała opady śniegu. Znajdowaliśmy się na północ od Równiny Avibiańskiej, lecz nie miałam pojęcia, czy wiejski dom Valka stoi na terenach klanu Moon, czy klanu Featherstone. Tak czy owak, zanim burza dotrze do nas, zmieni się w deszcz ze śniegiem, a widząc nadciągającą z zachodu szarą ścianę chmur, przypuszczałam, że ta burza rozpęta się niebawem.

Zarzuciłam plecak na ramię i weszłam do domu. Valek rozpałił niewielki ogień w kominku w salonie. Usłyszałam jego miękkie kroki w pokoju nade mną. Prawdopodobnie po zarwanej nocy zamierzał się przespać.

Zawahałam się na progu pokoju. Moje ubranie było przemoczone, potrzebowałam więc ognia, by je wysuszyć i sama się ogrzać. Ostatecznie przebrałam się w sycjański ubiór, rozwiesiłam płaszcz przy kominku i zaparzyłam w dzbanku herbatę, unikając przy tym patrzenia prosto w ogień. Czując niejasny niepokój, zjadłam trochę suszonego mięsa i wypiłam herbatę, starając się trzymać możliwie jak najdalej od płomieni. Nie mogłam już dłużej wytrzymać przebywania w salonie. Zapragnęłam pognać na górę do Valka, lecz zamiast tego ściągnęłam koc z kanapy i pobiegłam do stajni, do Kiki.

Parsknęła z rozbawieniem, gdy umościłam sobie posłanie ze słomy w jej boksie. Napełniłam wodą dwa wiadra i ustawiłam obok siebie.

– Jeśli zacznę dymić, wylej je na mnie – powiedziałam do klaczy.
– Nie chcę wywołać pożaru stajni.

Niedługo po tym, jak się położyłam, deszcz ze śniegiem zaczął wystukiwać na łupkowych dachówkach dziwną melodię z akompaniamentem gwizdu wiatru w krokwiach. Ukołyszana tą muzyką burzy, zapadłam w sen bez marzeń.

Nazajutrz rano Kiki i mnie obudziło zjawienie się w stajni obcego konia. W każdym razie miałam nadzieję, że błada burzowa poświata oznacza początek, a nie schyłek dnia.

Valek wprowadził czarnego ogiera z białymi skarpetkami, który dzięki długim nogom i smukłemu tułowiowi przypominał konia wyścigowego. Wyciągnęłam nić magicznej energii i połączyłam się mentalnie z przybyszem.

– Zapachy tutaj są dobre – powiedziałam w jego umyśle. –
Poznasz nowych przyjaciół. Jak się nazywasz?

– Onyks.

Przedstawiłam go Kiki.

Valek osiodłał konia.

– Musimy wyruszyć do Cytadeli. W taką pogodę przejedziemy niezauważeni – powiedział.

Serce ścisnęło mi się ze smutku. Przyprowadził sobie wierzchowca, żeby nie siedzieć ze mną na Kiki.

– Jak daleko jesteście od Cytadeli?

– Dwa dni drogi. Mam następną kryjówkę mniej więcej o półtora kilometra na północ od Cytadeli. Tam obmyślimy dalszy plan działania.

W posepnym milczeniu poczyniliśmy przygotowania do podróży.

Następne dwa dni dłużyły mi się tak bardzo, jakby minęło ich dziesięć. Pogoda była paskudna, Valek zachowywał się oziębło, a niecierpliwość gnała mnie naprzód. Doprawdy, już chyba wołałabym spędzić ten czas w lochu komendanta.

Kiedy więc wreszcie przybyliśmy do kryjówki, przyjąłam to z tak wielką ulgą, z jaką wita się wybawienie. Jednak konieczność wspólnego zaplanowania dalszych kroków sprawiła, że napięcie między mną a Valkiem stało się wręcz nie do zniesienia. Lecz świadomie zacięłam się w uporze, gdyż uważałam, że taki dystans ułatwi mi podjęcie ryzykownych decyzji.

Gdy już rozgościliśmy się w letnim domku, wyruszyłam do Cytadeli. Znow zanosilo się na deszcz i krajobraz wygladał ponuro. Nagie drzewa i brunatne wzgórza wydawały się opuszczone i martwe, wiedziałam jednak, że jeśli spenetruję okolicę za pomocą magii, odkryję mnóstwo stworzeń, które czekają w ukryciu na poprawę pogody i ocieplenie. Byłaby to jednak z mojej strony wielka lekkomyślność,

gdyż taka wiedza nic by mi nie dała, a użycie magii blisko Twierdzy byłoby wielce ryzykowne.

Przebrałam się w kobiecy strój klanu Featherstone, czyli płócienną sukienkę z długimi rękawami i prosty płaszcz koloru piaskowego. Nie wzięłam kija, ale miałam przy sobie ukryty nóż sprężynowy. Włosy ściągnęłam w elegancki węzeł i spięłam spinkami, jak czynią kobiety z tego klanu.

Valek ułożył moją fryzurę sprawnie i z chłodną obojętnością, wskutek czego łatwiej przyszło mi powstrzymać się przed chwyceniem go za ręce i przyciągnięciem do siebie. Zręcznymi palcami zwijał pasma moich włosów, a mnie naszła dziwaczna wizja ognia spalającego mu ręce aż do barków.

Odeгнаłam ten obraz i naciągnęłam kaptur na głowę. Przy północnej bramie Cytadeli nie było takiego tłoku, na jaki liczyłam. Gdy znalazłam się wewnątrz murów, dostrzegłam na chodnikach zaledwie kilku przechodniów. Postępowali noga za nogą ze wzrokiem wbitym w ziemię, uginając się pod ciężarem paczek. Ta pustka nie była spowodowana złą pogodą, gdyż deszcz ustał, więc ulice powinny roić się od ludzi śpieszących na targ przed kolejną nawałnicą.

Nawet żebraków było niewielu. Stali w znacznych odległościach jeden od drugiego, a na ich twarzach malował się niepokój. Żaden nie podszedł do mnie, nie wyciągał ręki po monetę.

Białe marmurowe mury Cytadeli wydawały się wyblakłe i matowe. Zielone żyłkowania marmuru przypominały smugi błota, a całe miasto sprawiało wrażenie, jakby pokryła je warstwa brudu. W pęknięciach i szczelinach ścian domów zgromadził się szlam, który przeciekał do fundamentów. Miasto jakby straciło kolor, i to wcale nie z powodu brzydkiej pogody.

Potknęłam się zaskoczona, gdy ujrzałam pierwszego Daviiianina,

zaraz się jednak zorientowałam, że są wszędzie. Zgarbiłam się, nie szłam już, lecz się wlokłam, naśladowując mieszkańców, i przy pierwszej okazji skręciłam w boczną uliczkę wolną od Verminów. Krew pulsowała mi w uszach, a spojrzenia Verminów zdawały się przepalać moją duszę. Kiedy drogą na skrót dotarłam do targu, nogi trzęsły mi się z ulgi. Nadal jednak schodziłam wszystkim z oczu, choć sama skrycie przypatrywałam się ludziom przemykającym pośród straganów na głównym placu. Wszechobecna atmosfera strachu przytłumiła nawet upajający zapach przypraw i pieczonego mięsa.

Większe skupisko ludzkie oznaczało też większą liczbę Verminów. Gdy wypatrzyłam tego, kogo szukałam, wmieszałam się w tłum kupujących i zbliżyłam się do drobnego dziesięcioletniego chłopca. Musiałam stłumić uśmiech, gdy przysłuchiwałam, jak targuje się z właścicielem stoiska.

– Cztery miedziaki to moje ostatnie słowo – powiedział Fisk stanowczym, zupełnie niedziecięcym tonem.

– Za takie marne pieniądze nie wykarmię rodziny! – zaprotestował straganiarz. – No dobra, jesteś moim przyjacielem, więc policzę ci siedem miedziaków.

– Belladoora sprzedaje po cztery.

– Ale spójrz na jakość! To ręczny haft mojej żony. Popatrz na ten detal! – Straganiarz podniósł tkaninę.

– Pięć i ani miedziaka więcej.

– Zgódźmy się na sześć.

– Żegnam pana. – Fisk odwrócił się na pięcie.

– Zaczekaj! – zawołał straganiarz. – Niech stracę, no dobra, pięć.

Odejmujesz moim dzieciom chleb od ust. – Wciąż gderał, zawijając materiał w papier, ale uśmiechnął się, kiedy chłopiec dał mu pieniądze.

Poszłam za Fiskiem do jego klientki. Zapłaciła mu sześć miedziaków, a on wręczył jej paczkę.

– Przepraszam, chłopcze – zagadnęłam go. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Czym mogę pani służyć? – zapytał, potem oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia, a po chwili błysnął w nich niepokój. Rozejrzał się ukradkiem na boki i szepnął: – Idź za mną.

Wciąż zerkając wokół, powiódł mnie do wąskiej alejki i wprowadził do ciemnego mieszkania. Stałam w mroku, podczas gdy Fisk zapalił lampy. W oknach wisiały grube kotary, całe umeblowanie pokoju stanowiło tylko kilka krzeseł.

– Tu się spotykamy – oznajmił.

– Kto?

– Członkowie Cechu Pomocników. – Wreszcie się uśmiechnął, i to z wyraźną satysfakcją. – Tutaj wyznaczamy codzienne zadania, dzielimy pieniądze i wymieniamy się plotkami o klientach.

– To wspaniale. – Serce przepełniła mi duma z osiągnięć Fiska. Brudny żebrzący chłopak, którego spotkałam, gdy pierwszy raz przybyłam do Cytadeli, stał się przedsiębiorcą wspomagającym rodzinne dochody.

W jego oczach również błyszczała duma.

– To wszystko dzięki tobie, mojej pierwszej klientce! – oświadczył.

Zamiast żebrać o datki, Fisk i zwerbowani przez niego malcy zaczęli pomagać kupującym wybrać towary dobrej jakości, nosili sprawunki i wykonywali mnóstwo innych usług za drobną opłatą.

Gwałtownie spoważniał.

– Piękna Yeleno, nie powinnaś tu przychodzić. Wyznaczono nagrodę za schwytanie ciebie.

– Jak dużą?

– Pięć sztuk złota.

– Tylko tyle? Liczyłam na dziesięć lub piętnaście – zakpiłam.

– Pięć sztuk złota to mnóstwo pieniędzy. Tak dużo, że nie ufałbym nawet mojemu kuzynowi, czy cię nie wyda. Tutaj nie jesteś bezpieczna. Nikt nie jest.

– Powiedz mi, co się dzieje.

– Chodzi o tych ludzi z klanu Daviian, którzy przejęli władzę. To nowy klan, niewiele o nim wiadano. Z początku było ich kilku, a teraz są wszędzie. Krążą pogłoski, że wymordowali klan Sandseed, co napawa wszystkich przerażeniem. Mieszkańcy Cytadeli są wzywani na przesłuchania, wielu żebraków po prostu znikło. Mówi się w mieście, że członkowie Rady utracili kontrolę nad Sycją, lecz mimo to szykują się do wojny. – Fisk umilkł jakby przytłoczony swoimi słowami.

Był chłopcem nad wiek dojrzałym i rozsądnym. Ubolewałam nad jego utraconym dzieciństwem. Jako dziecko żebraków nigdy nie zaznał radości i ekstazy wieku dorastania, a twarde życie odebrało mu szansę popełniania błędów bez fatalnych konsekwencji.

– Co z Siedzibą Magów? – spytałam.

– Jest pilnie strzeżona przez całą drogę. Nikt nie może do niej wejść ani jej opuścić, chyba że pod eskortą uzbrojonych Daviiianów.

Czyli sprawy wyglądały nawet jeszcze gorzej, niż się spodziewałam.

– Posłuchaj, bardzo mi zależy, żebyś dostarczył moją wiadomość jednemu z radnych – powiedziałam.

– Komu?

– Mojemu ziomkowi Bavalowi Zaltanie. Ale nie możesz niczego zapisywać. To musi być słowny przekaz. Dasz sobie radę?

– To będzie trudne. – Fisk zmarszczył czoło. – Wszystkim radnym wychodzącym do miasta towarzyszy eskorta, ale być może uda mi się wywołać zamieszanie, które odwróci uwagę Daviiianów. – W zamyśleniu potarł ramiona. – Spróbuję, ale niczego nie obiecuję. Jeśli zrobi się zbyt niebezpiecznie, zrezygnuję. Poza tym to...

– Wiem, wiem. Będzie mnie kosztować. Ale nie wolno ci wyjawiać tej wiadomości nikomu innemu.

– Zgoda.

Uścisnęliśmy sobie ręce, pieczętując umowę, a potem powiedziałam Fiskowi, co ma powtórzyć radnemu Bavalowi. Wyszedł zwerbować paru pomocników, a ja wróciłam na targ, żeby kupić kilka drobiazgów i w ten sposób przeczekać, nie rzucając się w oczy.

Moje spojrzenie wciąż wędrowało ku wieżom Twierdzy Magów, zajmującej północno-wschodnią część terenu w obrębie marmurowych murów Cytadeli. Nie mogąc opanować chęci ujżenia wrót Twierdzy

okolonych filarami z różowego marmuru, powędrowałam w tamtym kierunku.

Kamienne ściany straciły swój miły i ciepły wygląd, teraz sprawiały wrażenie ponurych i nieprzystępnych. Zateęskniłam do moich przyjaciół i kolegów z Twierdzy. Gdzie są Dax i Gelsi? Czy pozwolono im kontynuować studia? Czułam się zdezorientowana, odtrącona, sfrustrowana i zagubiona. Jakbym została wygnana i miała ich już nigdy więcej nie zobaczyć.

Przy bramie obok strażników Twierdzy stali daviiańscy wartownicy. Nie chciałam, by mnie spostrzegli, więc zawróciłam do mieszkania, w którym rozmawiałam z Fiskiem. Czekałam na jego powrót, czas włókł się z otępiającą powolnością. W kącie pokoju mały pajak rozsnuwał rozległą sieć. By mu pomóc, chwytalam owady i umieszczałam w lepkiej pajęczynie.

Fisk zjawił się, gdy stałam na krześle i usiłowałam złapać mola. Dumnie wypiął pierś i oznajmił, że misja zakończyła się powodzeniem.

– Radny Zaltana powiedział, że spotka się z tobą dziś w nocy w swoim domu. – Wyraźnie spuścił z tonu, gdy dodał: – Ostrzegł, że jego siedziby pilnuje jakiś warper. Kto to jest warper?

– Daviiański mag – wyjaśniłam, rozważając wynikające stąd komplikacje. – O której godzinie?

– O dowolnej, ale jeśli znajdziesz się na ulicy po północy, straż cię arestuje. Najlepiej pójdź tam po kolacji. W mieście panuje wtedy duży ruch, gdyż zamyka się sklepy i wszyscy wracają do domów. – Fisk westchnął. – Dawniej to była dobra pora na zebranie. Ludzie, na których czekały ciepłe wygodne łóżka, czuli wyrzuty sumienia, gdy mijali bezdomne dziecko.

– To było kiedyś, Fisk, ale już minęło. Założę się, że teraz masz

ładne mieszkanie.

Znów wyprostował się dumnie.

– Wspaniałe! Ale to mi przypomina, że będzie lepiej, jak stąd wyjdiesz, zanim wrócą członkowie cechu. Spotykamy się tu każdego ranka, a potem późnym popołudniem.

Zapłaciłam Fiskowi i podziękowałam za pomoc.

– Jeśli kiedykolwiek Daviianie cię złapią, nie miej żadnych skrupułów i powiedz im o mnie. Nie chcę, żebyś ucierpiał z mojego powodu.

– Piękna Yeleno! – wykrzyknął. – Przecież mogą cię schwytać i zabić!

– Lepiej, żeby zabili mnie niż ciebie.

– Nie, piękna Yeleno. Sytuacja wygląda coraz gorzej. Mam okropne przeczucie, że jeśli zginiesz, nie będzie już po co żyć.

Wędrując przez Cytadelę, wciąż jeszcze rozmyślałam o złowieszczych słowach Fiska. Trzymałam się bocznych uliczek i kryłam za budynkami do czasu, aż zgodnie z przewidywaniami chłopca ulice wypełnił tłum mieszkańców śpieszących do domów. Gdy niebo pociemniało i latarnicy zaczęli zapalać uliczne lampy, wmieszałam się w tłum przechodniów. Mijając siedzibę Bavola, zwolniłam na tyle, by się zorientować, że nikogo tam nie ma.

Jeszcze raz okrążyłam ulicę, by się upewnić, że nikt mnie nie śledzi i nic mi nie zagraża, po czym wślizgnęłam się za budynek. Wytrychami otworzyłam tylne drzwi... i ujrzałam przerażoną kobietę.

– O rety! – Upuściła pogrzebacz, którym rozgarniała żar

w kominku. Uderzył z brzękiem o kamienne palenisko, a ogień przygasł.

– Nie chciałam cię przestraszyć – powiedziałam uspokajająco. – Mam pilne spotkanie z radnym Zaltaną.

– Nic mi nie wspomniał, że oczekuje gościa. A już z pewnością nie takiego, który zakrada się tylnymi drzwiami! – Podniosła pogrzebacz i demonstracyjnie zważyła go w wielkich dłoniach. Miała na sobie strój przypominający luźną tunikę noszoną przez kobiety z klanu Zaltana, lecz w półmroku nie mogłam się dokładnie przyjrzeć.

Zaryzykowałam, że się nie mylę.

– Umówiliśmy się na spotkanie dopiero dzisiaj. To dotyczy spraw klanu.

– Rety! – Pochyliła się nad paleniskiem i rozgarnęła węgle. Kiedy buchnął płomień, użyła go do zapalenia lampy i w jej świetle przyjrzała mi się badawczo. – O losie! Dziecko, więc wejdz. Zamknij drzwi. Wszystko jest takie niezwykle, ale właściwie nie powinnam się dziwić. Żyjemy w niezwykłych czasach. – Krzątała się gorączkowo po kuchni, powtarzając, że radny niebawem wróci na kolację.

Ofiarowałam się, że jej pomogę, i zapaliłam lampy w jadalni i salonie. Rezydencję Bavola ozdobiły przedmioty artystyczne wykonane z roślin pochodzących z dżungli Illiais oraz figurki valmurów. Na ich widok ogarnęła mnie tęsknota za rodzinnym domem.

Kiedy usłyszałam odgłos otwierania frontowych drzwi, schowałam się w kuchni.

– Pilnujący go szpicel nie wchodzi do domu – uspokoiła mnie kobieta. – Radny mu na to nie pozwala. Dzień, w którym strażnikowi wolno będzie wejść do środka, stanie się końcem sycjańskiej Rady.

To mnie trochę uspokoiło, ale tylko trochę. Czy ten warper aby nie użyje magii, by spenetrować wnętrze domu? Czy wyczuje jego magiczną energię? Na wszelki wypadek stanęłam przy tylnych drzwiach.

– Mów mi Petal. – Po tej prezentacji zaproponowała, żebym zjadła z nimi kolację, machnięciem ręką zbywając moje protesty i tłumaczenie o braku czasu. – Nonsens, moje dziecko. Pozwól, że powiadomię radnego o twoim przybyciu.

– Zaczekaj, Petal – powstrzymałam ją. – Może lepiej poproś go, żeby przyszedł tutaj. Szpicle mają dobry słuch.

Puknęła się w czoło i wyszła. Po kilku chwilach do kuchni wszedł Bavoł, a za nim Petal. Powitał mnie smutnym, pełnym znużenia uśmiechem.

– Postąpiłaś sprytnie, przybywając tu przede mną – powiedział cicho, pocierając sińce pod oczami. Twarz miał ściągniętą, garbił się, jakby dźwigał wielki ciężar. – Jeśli cię znajdą... – Urwał i przysiadł ciężko na skraju stołka. – Jeżeli usłyszą lub wypatrzą coś podejrzanego, warper wtargnie tutaj, a ja wszystko mu wyjawię.

Wygłoszona rzeczowym tonem uwaga przejęła mnie dreszczem lęku. Co takiego robią ludziom warperzy, żeby wyciągnąć od nich informacje i zmusić do współpracy?

– Zatem będę się streszczała. Dlaczego Rada pozwoliła przybyć tu Daviianom?

Przez twarz Bavoła przemknął wyraz niepokoju.

– Petal, proszę, czy mogłabyś przynieść mi szklaneczkę whisky?

Spojrzała na niego z irytacją. Chociaż mieszała w garnku duszone

mięso z warzywami na drugim końcu kuchni, jednak przez cały czas wychylała się ku nam, usiłując usłyszeć, o czym rozmawiamy. Teraz sapnęła oburzona i wyszła.

Bavol na moment przymknął oczy i skrzywił się. Lecz kiedy spojrzał na mnie, jego mina znów wyrażała stanowczość i pewność siebie.

– Należało pozwolić im umrzeć – rzekł twardym tonem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

– Pozwolić umrzeć komu?

Bavol jakby nie usłyszał mojego pytania, tylko mówił dalej:

– Początkowo Daviianie prosili nas o drobne sprawy, by utrzymać ich przy życiu. Na przykład żebyśmy głosowali tak lub inaczej. Z czasem ich żądania stawały się coraz częstsze i bardziej niepokojące. Zjawiało się coraz więcej gości, a potem, zanim się obejrzeliśmy, zgodziliśmy się na wszystko.

– Pozwolić umrzeć komu? – powtórzyłam twardo.

– Popełniliśmy błąd, ale teraz ty się zjawiłaś. Być może więc jeszcze nie jest za późno.

– Bavol, ja nie...

– Daviianie mają nasze dzieci.

Przez chwilę wpatrywałam się w niego w osłupieniu, wreszcie spytałam:

– Jak to się stało?

– Co za różnica? – Wzruszył ramionami. – Rodziny radnych przez większą część roku mieszkają na terenie klanu. Nie ma nas przy nich, żebyśmy mogli ich bronić.

– Kogo porwali?

– Moją córkę Jenniqillę. Zniknęła z Targu Illiais. Polecono mi, abym nikomu o tym nie mówił, ale z zachowania innych radnych

wywnioskowałem, że Daviianie dobrali się do całej Rady. W końcu zaczęliśmy rozmawiać o tym między sobą. Okazało się, że wszystkim radnym posiadającym dzieci Daviianie zabrali po jednym. Uprawdzili też męża radnej klanu Greenblade i żonę radnego klanu Stormdance.

– Gdzie ich trzymają?

– Gdybym wiedział, nie rozmawiałbym tutaj z tobą – burknął.

– Przepraszam – powiedziałam w zadumie. Cóż, miałam o czym myśleć.

Wróciła Petal z dwiema szklaneczkami whisky dla męża i dla mnie, po czym znów zaczęła mieszać w garnkach na kuchni.

– Kiedy to się stało? – To było ważne pytanie w świetle tego, co powiedział Valek, a mianowicie że Verminowie planowali tę akcję sporo wcześniej, nim przyłączył się do nich Cahil.

– Przed czternastoma dniami – odrzekł konspiracyjnym szeptem Baval.

Zaczęłam ustawiać wszystko w czasie, choć z uwagi na natłok dramatycznych wydarzeń czternaście dni wydało mi się czternastoma latami. Ustaliłam, że Verminowie porwali rodziny radnych tuż po tym, jak uciekłam z Cytadeli. Wyszło mi też na to, że obecna pozycja i postawa Roze są trudne do zdefiniowania. Rada podejmowała zgubne dla Sycji decyzje, Roze je akceptowała, ale raczej nie próbowała wpływać na to, jak radni głosują. Może się jednak myliłam.

– Czy mistrzowie magii o tym wiedzą?

– Mistrz Bloodgood i mistrzyni Jewelrose podejrzewali coś, kiedy wysłaliśmy pismo do komendanta Ambrose'a. Mistrzyni Featherstone uznała odmowę podpisania listu za akt zdrady, a Daviianie zmusili nas,

żebyśmy się z nią zgodzili, wydali nakaz aresztowania i pomogli osadzić mistrza i mistrzynię w więzieniu. Drugi mag i czwarta magini współpracowali ze sobą – dodał Baval, widząc moje zatroskanie. – Szkoda, że mistrzyni Cowan jest zbyt młoda, by mieć znaczący wpływ na mistrzynię Featherstone.

– Nie rozumiem postawy Roze. Sądysz, że jest w zмовie z Daviianami?

– Nie. Byłaby przerażona, gdyby się dowiedziała, że to oni podejmują decyzje. Intryga jest głębszej natury. Głosujemy zgodnie z jej życzeniem, więc jest zadowolona, a Daviianie oferują Roze Featherstone wsparcie w kampanii przeciwko komendantowi Iksji. Nie wie jednak, że ich plany sięgają znacznie dalej, a wszyscy radni są szantażowani i głosują zgodnie z tym, co służy dalekosiężnym interesom Daviianów.

– Nie mogła dowiedzieć się o waszych kłopotach, czytając w myślach?

Baval zmierzył mnie ostrym spojrzeniem, po czym stwierdził stanowczo:

– To byłoby poważne pogwałcenie Kodeksu Etycznego magów. Mistrzynie Featherstone nigdy nie posunęłyby się do ingerencji w nasze prywatne myśli.

Niezbyt wierzyłam w wysokie moralne standardy Roze, ale nie miałam żadnego dowodu na poparcie swoich podejrzeń.

– Czy mam ustawić dodatkowe nakrycie do kolacji? – zapytała Petal.

Baval i ja przecząco potrząsnęliśmy głowami. Jego zaniepokojona mina przypomniła mi, że powinnam jak najszybciej wyjść. Petal cmoknęła z niezadowoleniem i przyniosła z kuchni stertę talerzy.

Obecnie najważniejsze stało się odszukanie i uratowanie członków rodzin radnych. Tylko w jeden sposób mogłam ustalić, gdzie są przetrzymywani, ale musiałabym posłużyć się magią.

– Bovol, być może zdołam odnaleźć twoją córkę za twoim pośrednictwem, ale nie mogę zrobić tego w Cytadeli. Czy jest jakaś szansa, żebyś opuścił jej mury?

– Nie. Mój strażnik nie odstępował mnie ani na krok.

– Nie mógłbyś wymknąć się tylnymi drzwiami?

– Muszę kontaktować się z nim co godzinę. Tylko pod tym warunkiem zgodził się pozostawić mi trochę prywatności.

– A co się dzieje, kiedy śpisz?

– Siedzi w salonie. Petal nic o tym nie wie, gdyż wcześniej kładzie się i śpi jak kamień, jednak ja cierpię na bezsenność od czasu porwania Jenniqilli. Wstaję jeszcze przed świtem, wtedy strażnik wychodzi na dwór.

– Więc trzeba to zrobić w nocy. Poczynię niezbędne przygotowania. Tylko nie zdziw się, jeśli dziś wieczorem ktoś zjawi się w twojej sypialni. I zostaw otwarte tylne okno.

– Tam jest pokój Petal.

– Więc najpierw sprawdź, czy na pewno zasnęła.

– Tęsknię za spokojnymi czasami – rzekł z westchnieniem. – Jeszcze tak niedawno żyliśmy sobie szczęśliwie, bez tego straszego napięcia i dramatycznych zdarzeń. Już nigdy nie będę się uskarżał na upór radnego Sandseed ani na błahe problemy radnej Jewelrose.

– Kolacja gotowa! – zawołała Petal.

– Lepiej już idź – ponaglał mnie Baval.

– Czy wiesz, jak mogłabym dostać się do Twierdzy Magów?

– Tunelem ewakuacyjnym. Mógł się jednak zawalić albo zostać zamknięty. Magowie wykopali go podczas wojny klanów, gdy stawiali Twierdzę. Jeszcze niedawno w ogóle nie miałem o nim pojęcia, jednak Bain Bloodgood tuż przed tym, jak został aresztowany wraz z czwartą maginią, wspomniał mi o nim.

– Czy Bain i Irys są nadal więzieni w lochu Twierdzy?

– O ile wiem, tak.

– A czy Bain powiedział ci, gdzie znajduje się ten tunel?

– Wspomniał o wschodniej części Twierdzy. Jest duży, ponoć zmieści się w nim koń. – Baval wstał. – Zbyt długo już jesteś u mnie. Yeleno, czekam na twoją kolejną wiadomość. Zachowaj ostrożność. – Poszedł do jadalni.

Odczekałam chwilę, potem otworzyłam tylne drzwi i omiotłam wzrokiem ciemną alejkę. Wydawała się pusta, ale bez użycia magii nie mogłam być tego pewna. Zaryzykowałam jednak i wyszłam na zewnątrz. Zaniepokoiła mnie cisza panująca na ulicach Cytadeli. Dostrzegłam jedynie kilku przechodniów, przeważnie Verminów. Nawet oberże były ciemne i opustoszałe.

Miałam nikłe szanse przedostania się niepostrzeżenie przez północną bramę. Pomyślałam, żeby zatrzymać się w którymś z zajazdów, ale Verminowie mogli mieć w nich swoich szpicli. Jednak im dłużej pozostawałam na ulicy, tym bardziej ryzykowałam, że zostanę

schwytana.

Wreszcie wypatrzyłam w bocznej uliczce jakiś dom z zewnętrzną klatką schodową. Starając się robić jak najmniej hałasu, wspięłam się na szczyt schodów, a potem weszłam na poręcz i dosięgłam skraju dachu. Jednak gładkie marmurowe mury okazały się bardzo niebezpieczne. Gdy próbowałam wdrapać się po ścianie na dach, poślizgnęłam się i z najwyższym trudem zdołałam odzyskać równowagę, ratując się przed upadkiem z wysokości trzeciego piętra.

W końcu wykorzystałam mój trening akrobatyczny i zaryzykowałam skok na płaski dach, po czym zdyszana odpoczywałam, zadowolona, że nie ma tu Valka i nie widział moich nieporadnych prób. Wreszcie w pełni doceniłam jego kunszt wspinania się po murach. Ciekawe, czy się zmartwi, jeśli mi się nie powiedzie i nie wrócę? Może lepiej się stało, że zasiedziałam się u Bavola, bo przechodząc zbyt często przez bramę, wzbudziłabym podejrzenia wartowników.

Zapadła noc, robiło się coraz chłodniej. Szczelnie owinęłam się płaszczem i skulona usnęłam. Dręczyły mnie sny o ogniu. Bez względu na to, dokąd ucieknę czy gdzie się ukryję, te płomienie zawsze mnie odnajdują.

Obudziłam się o brzasku mokra od potu, obolała i drżąca z zimna. Perspektywa zejścia niepostrzeżenie z dachu i odszukania Fiska była równie pociągającą jak wzięcie zimnej kąpieli, jednak przynajmniej droga w dół okazała się łatwiejsza niż w górę. Choć wciąż łomotało mi w głowie, bez przeszkód zeszłam po schodach i wyszłam na uliczkę.

Znużona, z oczami zapuchniętymi z niewyspania, zaczęłam szukać Fiska na targu. Potem przypomniałam sobie o pokoju zebrań, więc ukryłam się w pobliżu i czekałam.

Uśmiechnęłam się na widok dzieci wychodzących z budynku.

Śpieszyły się do codziennych obowiązków, szły energicznym, zdecydowanym krokiem. Gdy znikły mi z oczu, obok mnie pojawił się Fisk.

– Czy coś się stało? – zapytał.

– Nic złego. Mam dla ciebie kolejne zadanie. – Powiedziałam mu, czego od niego oczekuję, a on uznał, że zdoła mi pomóc. – Ale nie chcę, by ktokolwiek wpadł przeze mnie w kłopoty.

– Nie martw się, wybrałaś odpowiednią porę.

– Dlaczego?

– Dziś wypada Noc Zimowego Przesilenia. Świątujemy przekroczenie połowy zimnej pory roku. W każdym człowieku budzi się wtedy nowa nadzieja. – Uśmiechnął się. – Czy w Iksji istnieje coś podobnego?

– Owszem, obchodzi się tam Święto Lodu. Ludzie wystawiają swoje wyroby rękodzielnicze i zbierają się razem, by porozmawiać w miłej atmosferze, zabawić się. Po prostu nie zdawałam sobie sprawy, że upłynęło już tyle czasu.

– Myślę, że w tym roku święto przebiegnie spokojniej, ale i tak wystarczająco hucznie, by ukryć naszą akcję – rzekł z uśmiechem, który tym razem miał odcień szelmowski i przypomniał mi Janca.

Założę się, że w dzieciństwie był takim samym urwisem jak Fisk. Dobrze, że przed opuszczeniem Iksji nie zirytowałam Janca i Ariego, choć pewnie im podpadłam za to, że nie wzięłam ich ze sobą.

Obmyśliliśmy z Fiskiem plan działania na wieczór, a potem powiedział mi, gdzie mogę przeczekać do zmierzchu. Kiedy wyszedł, udałam się do gmachu Rady. Okrążyłam go, starając się, by wyglądało

to na beztroski spacer. Na szerokich schodach prowadzących do frontowych drzwi roіło się od ludzi. W tym budynku mieściły się biura radnych, wielki hol, archiwum, biblioteka i więzienie Cytadeli. Mnie interesowało archiwum. Gromadzono tam informacje ze wszystkich klanów, a ja pragnęłam znaleźć jakąś wzmiankę o tunelu ewakuacyjnym. A może w bibliotece są plany Twierdzy Magów?

Najpewniej znalazłabym potrzebną mi informację w prywatnym księgozborze Baina Bloodgooda. Swoją drogą, drugi mag okazał się nadzwyczaj przewidujący. Powiadomił Bavola o istnieniu tunelu, ponieważ wiedział, że radny klanu Zaltana będzie pierwszą osobą, z którą się skontaktuję. To, co Baval uważał za zwykłą ciekawostkę, w rzeczywistości było wiadomością dla mnie.

Lecz problemem pozostawał brak szczegółowych danych. Wiedza o tym, że tunel znajduje się we wschodniej części Twierdzy Magów i zdoła pomieścić konia, na niewiele mi się przyda.

Przez frontowe drzwi gmachu Rady w obie strony przepływał potok ludzi, jednak w pobliżu kręciło się kilku Verminów, toteż zrezygnowałam z narażania życia dla ewentualnego zdobycia wiedzy o tunelu.

Kiedy zawróciłam w kierunku targu, doznałam dziwnego wrażenia, jakby po plecach pełzało mi tysiąc małych pajęczków. Skręcając za róg, zerknęłam ukradkiem przez ramię. Tuż za mną szedł jakiś Daviianin ubrany w czerwone pantaloney i krótką brązową pelerynę z kapturem. Skręciłam za następny róg, lecz wciąż podążał za mną. Jego szabla zaśniła w blasku słońca.

Weszłam na teren targu. Zatrzymałam się przy straganie z warzywami, licząc, że Vermin mnie minie, lecz też przystanął i oparł się o słup latarni. Poczulałam w lekkie ukłucie strachu. Jeśli ten Daviian jest warperem, nie zdołam go zgubić.

Przyłączyłam się do kobiet robiących zakupy, a Vermin dotrzymywał nam kroku. Musiałam jakoś odwrócić jego uwagę.

Jedna z kobiet akurat zapłaciła za naszyjnik z paciorków. Już od pewnego czasu, gdy podążałyśmy całą grupką od stoiska do stoiska, zachowywała się hałaśliwie i głośno wyrażała swoje opinie, a teraz dała mi jasno do zrozumienia, że irytuje ją moja obecność.

Kiedy straganiarz podał jej paczuszkę zawiniętą w papier, nachyliłam się ku niej i szepnęłam:

– W zeszłym tygodniu sprzedał mojej przyjaciółce identyczny naszyjnik za dwie sztuki srebra.

Kobieta przed chwilą zapłaciła dwakroć więcej, jak jednak przewidziałam, ostro zażądała takiej samej ceny, a skonfundowany sprzedawca starał się ją przekonać, że się myli. Rozgorzała sprzeczka, która zwabiła spory tłum gapiów, a ja wcisnęłam się między nich, mając nadzieję, że zgubię mego prześladowcę.

Lecz nie powiodło mi się. Daviian wypatrzył mnie i podążył za mną. Gdy jednak na moment kilkoro kupujących zatarasowało mu drogę, błyskawicznie przykucnęłam pod jednym ze straganów.

Nie było to najlepsze rozwiązanie, ale nie miałam wyboru. Skuliłam się pod stołem przykrytym fioletową tkaniną sięgającą aż do ziemi. Leżało tam kilka bel materiałów i pudło guzików.

Nie wiedziałam, jak długo powinnam tu się kryć, by Vermin uznał, że go przechytryłam i w ogóle zniknęłam z targu. Przybrałam wygodniejszą pozycję, uzbroiłam się w cierpliwość i czekałam.

Nagle zamarłam, gdy ktoś odsunął fioletową tkaninę i jakiś mężczyzna zajrzał przez szparę.

– Twój przyjaciel już sobie poszedł. Możesz bezpiecznie wyjść.

– Dziękuję – powiedziałam, ścierając brud z płaszcza.

– Nigdy nie należy ściągać na siebie ich uwagi – pouczył mnie z powagą. – Ostatnio ludzie znikają bez śladu, a już zwłaszcza ci, za których głowę wyznaczono nagrodę w wysokości pięciu sztuk złota.

Wysiłkiem woli uspokoiłam szaleńczo walące serce. Straganiarz wiedział, że ukryłam się pod jego stołem, a jednak mnie nie wydał, przynajmniej na razie. Może chce dobić targu? Na przykład dostać za milczenie sześć sztuk złota?

– Nie bój się. Jesteś przyjaciółką Fiska i jego cechu. A już sam fakt, że Daviianie są skłonni zapłacić za ciebie pięć sztuk złota, świadczy o tym, że ty jedna spośród wszystkich ludzi budzisz w nich strach. Ze względu na dobro mojej rodziny mam nadzieję, że lękają się ciebie, ponieważ potrafisz przywrócić nam nasze normalne życie.

– Rzeczywiście budzę lęk. – Pomyślałam o sycjańskich radnych, którzy bali się mojego talentu Poszukiwaczki Dusz. – Ale nie wiem, czy sama zdołam czegokolwiek dokonać.

– Pomaga ci Fisk.

– Dopóki nie skończą mi się pieniądze.

– To prawda. Ten mały nicpoń zmusza mnie, żebym uczciwie zarabiał na życie. – Zadumał się na moment. – Nikt inny cię nie wspiera?

– A ty byś mi pomógł?

– Jak? – Był wyraźnie zaskoczony.

– Nie wszyscy Verminowie to warperzy. Są uzbrojeni w szable i włócznie, lecz rozejrzyj się wokół siebie. Jest ich niewielu, prawda?

– Tak, wiem, ale warperzy dysponują potężną magią.

– A wy nie macie magów? Żaden nie zbiegł z Twierdzy? Nikt nie przybył z ziem swojego klanu?

W oczach mężczyzny błysnęło zrozumienie.

– To prawda, tyle że są rozproszeni po całej Cytadeli i ze strachu się ukrywają.

– Zatroskani obywatele powinni ich przekonać, żeby pomimo lęku zaczęli działać, zorganizowali mieszkańców, a w stosownym czasie poprowadzili ich do walki.

– Ty możesz nas poprowadzić, Yeleno. Jesteś Poszukiwaczką Dusz.

– Nie, nie. Moja obecność naraziłaby na szwank ich działalność, poza tym jestem potrzebna gdzie indziej. Jeśli będziecie wystarczająco zdeterminowani, znajdziecie odpowiedniego przywódcę.

Kramarz machinalnie wygładził materiał przykrywający stół. Był głęboko pogrążony w myślach.

– Kupcy nieustannie przyjeżdżają do Cytadeli – powiedział wreszcie cicho – i wyjeżdżają z niej, prowadząc karawany z towarami...

– Tylko bądźcie bardzo ostrożni. – Odwróciłam się, by odejść.

– Zaczekaj. Skąd będziemy wiedzieć, że nadszedł właściwy moment?

– Cóż... Mam niedobre przeczucie, że nie da się go przegapić.

Po zapadnięciu zmroku spotkałam się z Fiskiem i jego wujem. Ludzie spacerowali po ulicach w dobrych nastrojach mimo pilnujących ich Verminów i późnej pory. Podczas gdy Fisk poszedł poczynić przygotowania, zaprowadziłam jego wuja na dach. Stamtąd przeszliśmy po dachach innych budynków Cytadeli do domu Bavola. Ci z mieszkańców, którzy nie świętowali, położyli się już spać. Wyjęłam z plecaka linę, którą kupił dla mnie Fisk, i obwiązałam nią komin, a koniec spuściłam wzdłuż ściany.

Światło ulicznych latarni nie docierało do tylnej alejki. Miałam nadzieję, że Baval pamiętał o zostawieniu otwartego okna. Złapałam linę i zaczęłam się po niej spuszczać. Z ulgą znalazłam otwarte okno i zachowując najwyższą ostrożność, wśliznęłam się do pokoju Petal. Przez chwilę nasłuchiwałam jej miarowego oddechu, po czym szarpnęłam linę i przytrzymałam ją, gdy wuj schodził na dół. Wskakując do pokoju, narobił trochę hałasu. Oboje odczekaliśmy w bezruchu, aż oddech Petal znów się wyrówna.

Gotowy do wyjścia Baval niecierpliwie oczekiwał nas w swoim pokoju. Wuj Fiska wśliznął się do jego łóżka i nakrył się kołdrą aż po szyję, a radny podszedł ze mną do tylnego okna. Spędził całe życie w koronach drzew dżungli Illiais, toteż z łatwością wspiał się po linie, a ja podążyłam za nim.

Wędrówka po szczytach dachów przebiegła gładko, aż na koniec zeszliliśmy na ziemię. Dotarliśmy w pobliże północnej bramy i ukryliśmy się przed wartownikami. Na ulicy było całkiem pusto. Im dłużej to trwało, tym bardziej rósł mój niepokój.

Gdy już zaczęłam rozważać, czy mamy zaryzykować samotne przejście przez bramę, pojawiło się pijane męsko-damskie towarzystwo, które głośno się domagało, by wypuszczono ich na zewnątrz. Wywiązała się gwałtowna kłótnia, która przerodziła się w bójkę. Podczas gdy

strażnicy byli zaabsorbowani agresywnymi opojami, Baval i ja wymknęliśmy się przez wrota, a gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem wzroku strażników, puściliśmy się biegiem. Czas nas naglił.

Dotarliśmy do wiejskiego domu Valka. Miałam nadzieję, że znajduje się wystarczająco daleko od Cytadeli i warperów.

Gdy Kiki zarżała w boksie, otworzyłam przed nią umysł.

– Lawendowa Pani bezpieczna – stwierdziła z zadowoleniem. – Duch zdenerwowany.

– Porozmawiam z tobą później. Teraz nie mam czasu.

Wprowadziłam Bavola do domu. Valek siedział na kanapie. Na jego obliczu malowała się zimna furia.

Nie zważałam na jego gniew. Ze wszystkich ludzi właśnie on najlepiej powinien wiedzieć, że w tej operacji mogą się zdarzyć nieprzewidziane okoliczności. Rozumiałam jednak doskonale, dlaczego Baval zbladł na jego widok.

– Zdradziłaś mnie! – Gwałtownie się cofnął.

– Uspokój się – powiedziałam stanowczym tonem. – Gdyby Valek zamierzał wymordować członków Rady, już byś nie żył. On mi pomaga.

– Ja ci pomagam? – spytał ironicznie Valek. – Dziwne, ale jakoś nie pamiętam. Może dlatego, że ktoś nie pamiętał o mnie – zakończył z jadowitym sarkazmem.

Ponownie zignorowałam jego wściekłość i zrelacjonowałam mu to, co usłyszałam od Bavola. Gdy analizował te informacje, z jego twarzy zniknął zawzięty wyraz.

– Baval, usiądź, zamknij oczy i myśl o swojej córce – poleciłam.

Usadowił się na kanapie, a ja sięgnęłam po pasmo magicznej mocy i poczułam nagły przypływ ulgi. Od dwóch dni nie używałam magii, a gdy powróciłam do jej źródła, miałam wrażenie, że znalazłam się w serdecznych objęciach matki.

Wysłałam świadomość do Bavola. Jego przepełnione uczuciem myśli krążyły wokół małej córeczki. Oceniłam, że Jenniqilla ma około ośmiu lat. Była pięknym dzieckiem z długimi kasztanowymi włosami o złocistych pasmach i drobnymi piegami na śniadych policzkach. Podskoczyła wesoło na widok klonowego cukierka.

Sięgnęłam do niej myślą poprzez Bavola. W jego pamięci radość dziewczynki z powodu cukierka dorównywała radości ze spędzania czasu z ojcem. Odsunęłam te wspomnienia i spróbowałam odnaleźć Jenniqillę.

Rozpaczliwie i boleśnie tęskniła do ojca. Była przemarznięta i głodna, lecz bardziej niż jedzenia i ciepła pragnęła bliskości rodziców. Trzymała w ramionach dwuletniego chłopczyka i kołysała się w przód i w tył, starając się ukoić jego płacz, który udzielał się pozostałym dzieciom zgromadzonym w pokoju. Jakaś kobieta spacerowała z roczną dziewczynką na rękach, a mężczyzna usiłował uspokoić dwuletniego chłopczyka.

Do szopy przez wąskie szczeliny w deskach wpadało mętne światło. Nie było tu żadnych mebli, tylko dwa wiadra na nieczystości stojące za podartym parawanem. Sądząc z ostrego odoru, już od dawna ich nie opróżniano. Skórę Jenniqilli pokrywała warstwa brudu. Dziewczynka przyrzekła w duchu, że w domu już nigdy nie będzie wykręcać się od kąpieli. W jej nogi i plecy wsączało się lodowate zimno z brudnej podłogi.

– Jenniqillo – odezwałam się w jej głowie. – Gdzie jesteś?

Rozejrzała się wokoło, zastanawiając się, czy naprawdę ktoś wymówił jej imię. Nie dostrzegłszy nikogo, znów zaczęła śpiewać kołysankę małemu Leeviemu.

– Jestem twoją kuzynką Yeleną. Muszę wiedzieć, gdzie przebywasz, żebym mogła pomóc tobie i pozostałym.

Słyszała o dalekiej kuzynce, która dawno temu została uprowadzona, ale zdołała wrócić.

– Jeśli ona uciekła, to ja też mogę – pomyślała.

Jenniqilla była zbyt młoda, by mieć dostęp do źródła magicznej energii. Nie mogła porozumiewać się ze mną bezpośrednio, ale wyczuwała moje zamiary. Wspomniała, jak ją porwano. Zgubiła się matce na targu, a gdy błąkała się, szukając jej, chwycił ją jakiś człowiek ubrany w luźną tunikę klanu Sandseed. Zanim zdążyła krzyknąć, przycisnął jej do ust szmatkę o słodkim zapachu.

Gdy ocknęła się w skrzyni, zawołała matkę. Jakiś mężczyzna walnął pięścią w wieko i zagroził, że zabije ją, jeśli się nie zamknie. Wyczuła, że gdzieś ją wiozą, a kiedy skrzynia znieruchomiała i otwarto ją, ten sam człowiek z klanu Sandseed wyciągnął ją i zaniósł do starej stodoły śmierdzącej zgnilizną. Wewnątrz znajdowało się pomieszczenie, które pachniało świeżo piłowanym drewnem i było wyposażone w lśniące zamki w drzwiach.

Kiedy wepchnięto ją przez te drzwi, w kątach poruszyły się jakieś postaci. Zrozpaczona i zdezorientowana dziewczynka zaczęła płakać. Jedną z tych osób okazała się kobieta, która podeszła do niej i objęła serdecznie. Gdy Jenniqilla trochę się uspokoiła, Gale Stormdance wyjaśniła jej, dlaczego się tu znaleźli.

– Zapytaj Gale, gdzie jesteście – poprosiłam Jenniqillę.

– Myślę, że gdzieś na ziemiach klanu Bloodgood – niepewnie odparła Gale, a po wyrazie jej twarzy widać było, że głęboko się nad czymś zastanawia.

Wysłałam świadomość w jej kierunku, lecz natrafiłam na magiczną barierę obronną. Zszokowana Gale spojrzała na Jenniqillę, jednak z wahaniem rozsunęła barierę.

– Zjawiłam się tutaj, żeby wam pomóc. – Wyjaśniłam, kim jestem i w jaki sposób ją odnalazłam.

– Dzięki Bogu – odrzekła z wielką ulgą. – Liczyłam, że któryś z magów z Twierdzy nas odszuka. Dlaczego to trwało tak długo?

Przekazałam jej wszystko, czego się dowiedziałam, a potem znów zapytałam, gdzie się znajdują.

Niestety, odebrałam tylko niewyraźny obraz, wyczułam też ogromną frustrację Gale.

– Przypomnij sobie widok najbliższej okolicy – poleciłam.

Za stodołą wznosiły się zalesione wzgórza, a po prawej stała wielka kamienna wiejska rezydencja. Spojrzenie Gale przykuł dziwny błysk słonecznego światła odbitego od purpurowej sadzawki po lewej stronie. Lecz jeszcze dziwniejszy od barwy był jej kształt. Gale przetrząsnęła wspomnienia paniki i strachu, gdy wyciągano ją ze skrzyni i zamykano w stodole, i w tych poszarpanych fragmentach odnalazła tak pożądany obraz.

– Diament! – wykrzyknęła. – Ten staw ma kształt diamentu.

To już było coś, czego mogłam się uchwycić. Podziękowałam Gale za pomoc i przyrzekłam, że ich uratuję.

Wycofałam się z jej umysłu, a potem także z umysłu Jenniqilli, i wróciłam do Bavola. Wówczas zorientowałam się, że moja świadomość oplata cienie włókno, jakby czyjaś magiczna moc chwyciła mnie w pasożytniczy uścisk.

Poprzez zdezorientowany umysł Bavola powróciłam do swojego ciała. Walka nie było w pokoju, lecz nie to wprawiło mnie w panikę. Poczulałam gryzący zapach dymu.

Podbiegłam do okna.

Stajnia płonęła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

– Kiki! – wrzasnęłam w biegu. Wyobraziłam sobie klacz uwięzioną w boksie i ogarniętą płomieniami.

Ktoś wykrzyknął moje imię.

Na pastwisku stał czarny koń. Daviiański warper magią podsycił ogień, aby płonął wyżej, jaskrawiej i goręcej.

To nie miało znaczenia.

Pasożyt w moim umyśle przejął nade mną kontrolę.

Wbiegłam prosto do stajni i rzuciłam się w ogień.

Żar palił mi twarz i boleśnie wysuszał gardło i nos. Płomienie zatańczyły radośnie na moim płaszczu, z wesołą bez troską trawiąc materiał. Podeszwy butów zaczęły się topić. Dym wypychał mi powietrze z płuc. Poczulałam skurcz w krtani.

Wbiły się we mnie palące ostrza bólu. Przeżywałam mękę, gdy zwęglały się kolejne warstwy skóry. W uszach rozbrzmiało mi skwierczenie wrzącej krwi.

Nagle ból zastąpiła rozkosz, a barwy otaczającego mnie świata zmieniły się z rozpalonej bieli i oślepiającej żółci w krwawą czerwień i lodowatą czerń.

Z podziwem rozejrzałam się wokoło. Na wiele kilometrów we wszystkich kierunkach rozciągał się płaski krajobraz oświetlony łagodnym szarym światłem. Z ociąganiem zerknęłam na swoje ciało, spodziewając się ujrzeć spaloną skórę, lecz ku swemu zaskoczeniu nie dostrzegłam żadnych obrażeń. Doznawałam mrowiącego uczucia

nieważkości, a ręce i nogi były półprzejryste.

Czyżbym stała się duchem? Czy trafiłam do świata zmarłych? W takim razie gdzie są inni? Wszyscy ci ludzie z klanu Sandseed, którzy na mnie czekają. Czyżby byli tylko wytworem wyobraźni Księżycowego Człowieka?

Obok mnie rozbrzmiał cichy śmiech.

– Nie widzisz ich, ponieważ tak zdecydowałaś – powiedział ktoś.

Tego głosu lękałam się bardziej niż czegokolwiek innego. Stał przy mnie Ognisty Warper. Bez płaszcza z płomieni wyglądał jak zwyczajny mężczyzna. Barczysty, z krótko ostrzyżonymi czarnymi włosami, był wzrostu Księżycowego Człowieka. Jego ciało lśniło czernią jak wyrzeźbione z węgla.

Wyciągnął ku mnie rękę.

– Dalej, dotknij jej. Nie jest twarda.

Zawahałam się.

– Czytasz w moich myślach?

Znów się roześmiał.

– Nie. Ujrzałem to pytanie w twoich oczach. Pomimo strachu jest w tobie ciekawość. To godna podziwu cecha. – Czubkami palców pogładził moje ramię. Gdy mu się wyrwałam, spytał: – Tak się boisz, że spłoniesz? Wiem, że trzeba wielkiego ognia, by zwabić mojego małego nietoperzyka. Nie było tak źle, prawda?

– Wystarczająco źle. – Byłam tu z nim uwięziona, mój lęk zmienił się w rezygnację.

Ognisty Warper wydawał się zadowolony z mojej odpowiedzi. Zataczając ręką krąg, powiedział:

- Więc co sądzisz o moim ognistym świecie? Dostyc nudny, co?
- Tak. Myślałam, że będzie... – Urwałam, patrząc na monotonna czarną równinę ciągnącą się w dal pod purpurowym niebem.
- Gorętszy? Pełen płonących dusz? A może oczekiwałaś, że powita cię twój dawny dręczyciel Reyad i zaprosi na całą wieczność gwałtów i tortur?
- Spodziewałam się, że będzie pełen dusz. – Gdy wcześniej byłam wciągana w ogień, dostrzegłam liczne dusze.
- To dlatego, że przebywałaś z Księżycowym Człowiekiem. Zdecydował, że będzie widział te nieszczęsne dusze. Uwierz mi, przeżywają fascynujące historie, lecz ty zamknęłaś przed nimi swój umysł. Nie chcesz ich oglądać i nie pozwalasz Księżycowemu Człowiekowi, by ci je pokazał.
- Zobaczyłam je w krainie zmarłych i uwolniłam go od bolesnych obrazów – zaprotestowałam.
- Czyżby? Czy dręczą cię w snach? Czy współdziałaś z Księżycowym Człowiekiem, by je ukoić? – Ognisty Warper przerwał, a gdy nic nie odpowiedziałam, uśmiechnął się. – Oczywiście, że nie! Odcięłaś się od nich, podobnie jak usunęłaś ze swojego życia Księżycowego Człowieka, a także brata. Wkrótce to samo uczynisz z Valkiem.
- Przynajmniej będą bezpieczni.
- Nikt nie jest bezpieczny.

Znużona słownymi utarczkami, zapytałam go, czego chce. W jednej chwili z jego twarzy zniknął wyraz rozbawienia.

– Niebios. – Gdy tylko patrzyłam na niego zdumiona, wyjaśnił: – Panuję w ognistym świecie, a dzięki daviiańskim magom zdobyłem też władzę nad światem zmarłych. Lecz chociaż leży między ogniem a niebem, do nieba wciąż nie mam wstępu.

– Dlaczego chcesz się tam dostać?

– Kiedy zapanuję nad niebiosami, będę mógł powrócić do świata żywych.

Przeniknął mnie dreszcz zgrozy.

– Co znajduje się w niebie?

– Źródło wszelkiej magii.

Nie całkiem go rozumiałam. Przecież każdy mag ma dostęp do źródła magicznej mocy. Czyżby Ognisty Warper chciał odciąć od niej wszystkich innych?

– Żałośnie mało wiesz o magii – powiedział z taką miną, jakby go to zdumiewało.

Przyjrzałam mu się badawczo. Jego twarz zmieniła się z gładkiej w pokrytą bliznami po oparzeniach. Skóra marszczyła się, jakby się roztapiała.

– Do czego ci jestem potrzebna? – spytałam.

– Tylko ty jedna możesz wprowadzić mnie do niebios.

– Niby dlaczego miałabym to zrobić?

– Bo jeśli odmówisz, oto co uczynię twojej rodzinie i przyjaciółom. – Dotknął mojej ręki.

Płonący ból przeszył mnie aż do barku, a potem ogarnął głowę. Moje oczy stały się rozpalone i suche. Przez drżącą zasłonę żaru ujrzałam innych mieszkańców ognistego świata.

Dusze wiły się z bólu jak płomienie trawiące bierwiono. Skręcały się i rzucały w męce, a ich cierpienie uderzyło we mnie jak gwałtowna fala. Cofnęłam się w objęcia Ognistego Warpera.

Wskazał na dusze.

– Kilka pochodzi stąd, na przykład Hetoo i Makko. Pozostałe przysłali mi Daviianie, bym nakarmił się nimi i powiększył moc, a dzięki temu mógł dotrzeć do świata zmarłych i skraść więcej dusz. – Powlókł mnie przez to morze cierpienia. – Twój brat będzie świetnie pasował do mojej kolekcji. Włada potężną magią. No i Księżycowy Człowiek – dodał, rozkoszując się brzmieniem tego imienia. – Dostarczy mi orzeźwiającej błękitnej energii. A dusze twoich rodziców dodadzą mi jeszcze więcej sił. Lecz pozostawię ich wszystkich przy życiu, jeśli mi pomożesz.

– Jeśli ci pomogę, zapanujesz nad światem żywych, więc i tak ich nie uratuję.

– Okażę im wyjątkową łaskę.

Wiedziałam, że na pewno by się na to nie zgodzili, jednakże spędzenie wieczności w okrutnej męce też nie było szczególnie pociągającą perspektywą.

Ognisty Warper puścił moją rękę. Straciłam z oczu dusze i znów

ujrzałam płaską monotonną równinę.

– Znacznie przyjemniej, prawda? – zapytał.

– Owszem.

– To może być twoja wieczność. Niezbyt interesująca, ale przynajmniej bezpieczna. Tyle że... – Gdy urwał, w napięciu pochyliłam się naprzód. – Mogłabyś żyć w niebiosach – mówił dalej. – To miejsce spokojne i pełne radości.

– Dopóki ty się tam nie zjawisz.

– Wykorzystam je tylko przez pewien czas. Kiedy powrócę do żywych, pozwolę ci panować nad duszami, które mają przed sobą pełną szczęścia wieczność.

Była to kusząca propozycja, jednak Ognisty Warper sam sobie zaprzeczał. Wiedziałam, że nie mogę ufać żadnym jego słowom, żadnym obietnicom. Śmierć wcale by mnie nie uwolniła od odpowiedzialności. Wiedziałam też jednak, że jeśli znajdę się w niebiosach, być może uda mi się trafić do źródła magicznej mocy i powstrzymać Ognistego Warpera.

– Co miałabym zrobić? – spytałam.

– Musisz znaleźć duszę zmierzającą do nieba i podążyć za nią.

– A ty?

– Będę ci towarzyszył. – Gdy dostrzegł moje pełne konsternacji spojrzenie, wyjaśnił: – Kiedy trafisz do nieba, będziesz mogła zgłębić wszystkie aspekty magii. Jednak by się tam dostać, musisz wciągnąć w siebie czyjaś duszę. Gdy już ją posiadasz, wstąpisz w ogień, przybędziesz do mnie i razem dotrzemy do niebios.

– Już przecież jestem martwa. Czy nie mogę wziąć którejs z dusz nieprzynależących do tego miejsca?

– Nie jesteś martwa – zaprzeczył żywo. – Musisz kierować się własną wolą. Wyciągnąłem cię z płomieni, zanim strawiły twoje ciało. Poza tym miejsce wszystkich tych dusz jest tutaj. Nie zasługują na to, by trafić do nieba.

Kolejna sprzeczność. Nie wiedziałam, w co mam wierzyć, a ponieważ motywy Ognistego Warpera były dla mnie niejasne, spytałam:

– Dlaczego chcesz powrócić do świata żywych?

Jego spaloną twarz wykrzywił grymas gniewu, a z ramion buchnęły płomienie.

– On mnie tutaj zesłał, żebym spędził wieczność w cierpieniu. Jednak jego potomek mnie uwolnił i nappełnił magiczną energią w zamian za wiedzę i posłuszeństwo, które mu ofiarowałem. Mój mistrz i wybawca jest potężny, lecz nie aż tak potężny jak ja. Przewyższyłem go mocą, a teraz chcę odzyskać swoje życie, które mi skradziono.

– Kto cię tutaj zesłał?

– Guyan, zdrajca ludu Efe. A więc jak, dobijemy targu? Jeśli nie, pozostaniesz tutaj. – Wzruszył ramionami, oznajmiając tym demonstracyjnym gestem, że jest mu wszystko jedno, jaką decyzję podejmę.

Słyszałam o Guyanie. Był przodkiem Gedego. A zatem mój nowy snujący opowieść ma konszachty z Ognistym Warperem. Być może Gede i Jal, przywódca Daviianów, to jedna i ta sama osoba. Będę musiała pamiętać o tym szczególnie, gdy rozpocznę kolejną lekcję

z Gede. Na tę myśl stłumiłam śmiech. Nie miałam już co liczyć na żadne następne lekcje.

Ogarnęłam spojrzeniem płaską równinę i dostrzegłam jakąś postać jarzącą się czerwonym światłem. Z góry zanurkował ku niej szary kształt i zatoczył nad nią krąg. Podeszłam bliżej i rozpoznałam w nim nietoperza. Dziwne. Nie było tam żadnych owadów ani źródeł ciepła, które mogłyby go przywabić. Nagle nietoperz zaczął szarpać i rozrywać czerwoną postać. Czy to kolejna tortura nieszczęsnej duszy?

– Co tam widzisz, Yeleno? – zapytał mnie Ognisty Warper. – Swoją przyszłość?

– Być może. – Odwróciłam się od tego widoku.

– Wrócisz na ziemię?

– Tak.

Wyciągnął rękę, a ja ją chwyciłam. Świat przed moimi oczami błyskawicznie stopił się w palącym ogniu, a potem równie szybko ochłódł i przekształcił się w wir dymu i popiołów. Leżałam pośród zgliszcz spalonej stajni. Na ziemi wały się połamane zwęglone belki i poskręcane osmalone kawałki metalu, w powietrzu unosił się swąd spalonej skóry.

Zataczając się, zesłam ze sterty wciąż jeszcze ciepłego drewna. W ubraniu miałam mnóstwo wypalonych dziur, a na twarzy i rękach smugi sadzy. Zgubiłam gdzieś płaszcz, a gdy pomacałam głowę, zamiast na włosy natrafiłam na wypalone rzysko.

Podeszwy moich butów chrzęściły na resztkach spalonej stajni i szurały w kałużach pełnych popiołu, gdy powłóczę nogami, ruszyłam na poszukiwanie Kiki. Wołałam ją głosem i myślą, lecz nie dobiegła mnie żadna odpowiedź.

Nagle za moimi plecami głośno trzasnęły drzwi. Odwróciłam się i ujrzałam Valka stojącego w progu wiejskiego domu.

Wybuchnęłam śmiechem na widok jego osłupiałej miny. Potem nogi ugięły się pod mną, gdy uświadomiłam sobie, co naprawdę utracę, gdy dotrzymam obietnicy danej Ognistemu Warperowi. Dotąd tak dalece skupiałam wszystkie wysiłki na tym, by uratować jego i pozostałych bliskich, że nie wzięłam pod uwagę ceny, którą przyjdzie mi zapłacić za ich bezpieczeństwo. Osunęłam się na ziemię.

W jednej chwili Valek znalazł się przy mnie. Pieszczotliwie pogładził mnie po twarzy, lecz minę miał niepewną.

– To naprawdę ty? – zapytał. – Czy może tylko jakiś okrutny żart?

– Naprawdę ja. Byłam głupia, Valku. Nie powinnam była powiedzieć... Nie powinnam była tak postąpić... – Odetchnęłam głęboko. – Proszę, przebacz mi.

– Obiecasz, że już nigdy więcej tego nie zrobisz?

– Przykro mi, ale nie mogę.

– A więc to naprawdę ty. Istne utrapienie, ale właśnie taką cię pokochałem. – Przyciągnął mnie do siebie.

Przywarłam do Valka, przycisnęłam ucho do jego klatki piersiowej. Mocne, miarowe bicie serca przyniosło mi pociechę. Dusza Valka tkwiła w nim bezpiecznie, była niedosiężna dla mojej magii, lecz już dawno mi ją ofiarował.

– Dlaczego tak uparcie mnie od siebie odtrącasz, kochanie? – spytał.

– Ze strachu.

– Tyle razy go zmoǳaś. Co się zmieniło?

Dobre pytanie, za to odpowiedź mnie przerażała. Przez cały czas sądziłam, że chcę ochronić moich przyjaciół i rodzinę przed Ognistym Warperem.

– Boję się swojej magii. – Te słowa same mi się wyrwały, przebijając niewidzialną barierę, którą wzniosłam między nami. – Wiem, że jeśli zbiorę dostatecznie wiele dusz, zdobęde taką potęgę, która wystarczy, by pokonać wszystkich warperów, w tym także Ognistego. To kuszące. Tak bardzo kuszące, że powinnam chronić cię przede mną.

Valek cofnął się nieco, by spojrzeć mi w oczy, po czym powiedział:

– Przecież wystarczy, żebyś poprosiła, a bez wahania ofiarujemy ci nasze dusze, skoro tylko w ten sposób można zwyciężyć warperów.

– Nie. To się musi stać w inny sposób.

– W jaki?

– Kiedy się dowiem, ty pierwszy to ode mnie usłyszysz. – Zanim zdążył skomentować moje słowa, dodałam: – Nie odpowiedziałeś, czy mi wybaczasz.

– Tak, wybaczam ci. – Westchnął teatralnie. – A teraz wejdź do domu, ty śmierdząca dymem Zaltianko. – Pomógł mi wstać.

Przez chwilę chwiałam się na drżących nogach.

– Gdzie jest Kiki?

– Kiedy znikłaś w stajni, wybiegła i dotąd nie wróciła.

Chciałam odszukać ją i uspokoić, że nic mi nie jest, lecz brakło mi sił. Weszliśmy do domku. Był środek dnia, na nieboskłonie jaskrawo świeciło słońce. Widok nieba przypomniiał mi przerażającą umowę z Ognistym Warperem. Tak będzie zawsze, ilekroć spojrzę w górę. Poczulałam wielki lęk.

– Gdzie Baval? – spytałam, by odegnąć mroczne myśli.

– Daviiańscy warperzy pojмали go, gdy usiłował ugasić pożar. Czy go zabiją?

– Nie. Jeszcze przez pewien czas będą potrzebować wszystkich radnych, by utrzymać pozory, że Sycją rządzą mistrzowie magii i Rada.

– Ile to potrwa?

– Niezbyt długo.

– Czy przyjdą tu po nas?

– Nie. – Przecież wiedziałam, że Ognisty Warper już dostał to, co chciał. – Ale musimy odzyskać kontrolę nad sytuacją.

– My, ukochana? Sądziłem, że sama potrafisz sobie z tym poradzić.

Zamierzałam poradzić sobie z Ognistym Warperem, ale jeśli chodzi o pokonanie reszty, potrzebowałam jednak wsparcia.

– Myliłam się.

Valek podgrzał wodę, napełnił żeliwną wannę i zabrał moje

spalone ubranie. Zanim skończyłam kąpiel, przyniósł mi z plecaka czysty strój.

– Co to takiego? – spytał zaciekawiony, unosząc szklanego nietoperza.

Opowiedziałam mu o wizycie u Opal.

– Ty też jesteś artystą, więc powiedz, co sądzisz o tej figurce?

Valek dokładnie obejrzał ją ze wszystkich stron.

– To wierny wizerunek. Ubarwienie odpowiada gatunkowi niewielkich nietoperzy żyjących w dżungli. Ten posążek wprost ocieka magią. Wyczuwam ją, ale nie potrafię jej zobaczyć. Ty ją widzisz?

– Wewnątrz coś się jarzy, jakby uwięziono w nim roztopiony ogień.

– Musi to być fascynujący widok.

Przypomniałam sobie, co zrobił Ognisty Warper, aby ukazać mi swój świat. Dotknęłam ramienia Valka i otwarłam przed nim umysł, pozwalając mu zobaczyć posążek nietoperza moimi oczami.

– Och... naprawdę bardzo efektowne. Czy każdy może to dostrzec?

– Tylko magowie. A także ktoś jeszcze – zakończyłam niesłyszalnym szeptem, myśląc o komendancie.

– Doskonale. Zatem to rozstrzyga spór o moją osobę. Nie jestem magiem.

– Więc kim jesteś? Bo na pewno nie zwykłym człowiekiem. – Gdy udał zakłopotanie, fuknęłam: – Daj spokój! Twój bitewny kunszt jest

niemal magiczny. Umiesz też poruszać się bezszelestnie i znakomicie maskować. Potrafisz porozumiewać się ze mną na wielkie odległości, lecz ja nie mogę kontaktować się z tobą.

– Więc kim jestem? Antymagiem?

– Tak przypuszczam, choć założę się, że Bain mógłby znaleźć opis podobnego przypadku w którejś ze swoich ksiąg. – Opowiedziałam o podziemnym tunelu i o tym, co się stało z członkami rodzin radnych, a także opisałam purpurowy staw.

– To mi wygląda na Jezioro Diamentowe – rzekł po namyśle. – Znajduje się na terenach klanu Jewelrose, w pobliżu granicy z terytorium klanu Bloodgood. Klan Jewelrose zbudował szereg stawów o kształtach i barwie wody przypominających rozmaite klejnoty.

– Dlaczego Jezioro Diamentowe jest czerwone?

– Ponieważ klan Jewelrose słynie z tego, że szlifuje rubiny w taki sposób, by nadać im kształt diamentów. Nawet komendant Ambrose miał pierścień z takim sześciokarutowym rubinem, ale przestał go nosić po objęciu władzy w Iksji. Zastanawiam się... – Valek urwał, a jego wzrok znów stał się odległy i nieobecny.

– Nad czym?

Popatrzył na mnie w zadumie, jakby rozważał, czy ma podzielić się ze mną istotną informacją.

– Pokazałaś tę figurkę komendantowi?

– Tak.

– I co?

Zawahałam się. Przyrzekłam Ambrose'owi, że zachowam w tajemnicy to, co nazywał swoją „mutacją”. Czy opowiadając Valkowi o posążku, złamię obietnicę?

– Kochanie, znam sekret komendanta – rzekł Valek. – Jak mogłaś sądzić, że spędziłem przy nim dwadzieścia jeden lat i nie dowiedziałem się o tym?

– Ja...

– Przecież jestem antymagiem, zapomniałaś? – Zrobił groźną minę.

Roześmiałam się, zaraz jednak spytałam całkiem poważnie:

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Z tego samego powodu, dla którego ty tego nie zrobiłaś. – Zawinął posążek i włożył go z powrotem do plecaka.

– Komendant dostrzegł wewnętrzny blask – oznajmiłam. – Przypuszczam, że jego ciało zamieszkuje dwie dusze, ale nie mam pojęcia, jak to się dzieje ani dlaczego miałyby to być cecha magiczna. A jeżeli istotnie włada magią, to czemu nie wybuchnęła w sposób niekontrolowany, gdy osiągnął wiek dojrzewania?

– Dwie dusze? Gdy matka Ambrose'a zmarła przy porożeniu, powstał pewien zamęt. Akuszerka utrzymywała, że urodził się chłopiec, jednak ojciec wziął w ramiona córeczkę. Podejrzewano, że na świat przyszło dwoje dzieci, lecz mimo intensywnych poszukiwań nic takiego nie stwierdzono. W końcu uznano, że położna, wytrącona z równowagi przez śmierć pacjentki, po prostu się pomyliła. Ambrose zwykł obwiniać niewidzialną bliźniaczą siostrę, ilekroć wpadał w tarapaty, co, jak wynika z jego relacji, zdarzało się dość często. Rodzina rozpieszczała go i nie sprzeciwiała się, kiedy zaczął nosić chłopięce ubrania i używać

imienia Ambrose. Wydawało się to niewinne w porównaniu z jego innymi wyskokami.

– Czy matka Ambrose'a była maginią?

– Uważano ją za uzdrowicielkę, ale nie wiem, czy leczyła za pomocą magii, czy zwykłymi metodami.

Valek opróżnił wannę, a ja w tym czasie usiłowałam zrobić coś ze zrujnowanymi włosami. W niektórych miejscach pozostały nietknięte, a w innych spaliły się niemal do skóry.

– Pozwól, kochanie, że ja się tym zajmę. – Wyjął mi z rąk szczotkę, poszperał w łazience i znalazł brzytwę. – Przykro mi, ale tylko to można z nimi zrobić.

– Gdzie tak świetnie nauczyłeś się sztuki fryzjerskiej?

– Przez jedną porę roku służyłem królowej Jewel. Miała piękne gęste włosy.

– Chwileczkę. Sądziłam, że królowej usługiwały wyłącznie kobiety.

– Na szczęście nikomu nie przyszło do głowy, by zajrzeć pod moją spódnicę – odparł z szelmowskim uśmiechem, obcinając mi włosy.

Długie kosmyki spływały na podłogę. Przyglądałam się im, usiłując przekonać samą siebie, że utrata włosów nie ma dla mnie znaczenia... tym bardziej że nie będę ich potrzebowała w ognistym świecie.

Skończywszy, Valek stwierdził:

– Tak łatwiej będzie cię przebrać.

– Przebrać?

– Wszyscy cię szukają. Jeżeli przebierzesz się za mężczyznę, o wiele trudniej będzie cię zdemaskować. Chociaż... – Uważnie przyjrzał się mojej twarzy. – Jako mężczyzna nie przyciągniesz niczyjej uwagi, chyba że ktoś spostrzeże brak brwi.

Dotknęłam opuszką czoła nad oczami i wyczułam gładką skórę. Ciekawe, czy brwi odrosną? Och, to przecież bez znaczenia.

– Od czego zaczniemy? – spytałam. – Spróbujemy znaleźć tunel do Twierdzy Magów, o ile w ogóle istnieje, czy ruszymy na ratunek rodzinom radnych?

– Powinniśmy... – Valek pociągnął nosem, jakby wyczuł woń niebezpieczeństwa. – Ktoś nadchodzi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Dał mi znak, żebym zaczekała, i wyszedł bezszelestnie. Chwyciłam nóż sprężynowy i przekradłam się do salonu. Dobiegła mnie tam z kuchni cicha rozmowa kilku osób. Gdy zbliżyłam się do drzwi, otworzyły się gwałtownie. Zamierzyłam się nożem na zwalistą postać, która stanęła w progu.

– Co się stało z twoimi włosami? – zapytał Ari. – Nic ci nie jest?

Za nim wszedł Janco, który dodał:

– Tylko spójrz, co cię spotyka, kiedy wymykasz się bez nas.

– Wymykam się? Zostałam porwana i wywieziona w skrzyni do Sycji! – odparowałam.

Janco przechylił głowę na jedną stronę, a potem na drugą.

– Aha! Wyglądasz jak te kolczaste krzewy rosnące w Czwartym Dystrykcie Wojskowym. Gdybyśmy wypalili cię aż do szyi, moglibyśmy...

– Janco – warknął Ari.

– Panowie, jeśli już skończyliście, chciałbym się dowiedzieć, dlaczego złamaliście moje rozkazy – rzekł chłodno Valek.

Janco uśmiechnął się drapieźnie, jakby spodziewał się tego pytania i miał przygotowaną odpowiedź.

– Nie złamaliśmy żadnego z twoich rozkazów. Powiedziałeś, żebyśmy nie spuszczaali z oka tego wielkiego, groźnie wyglądającego faceta, czyli brata Yeleny, a także jego towarzyszy, więc tak zrobiliśmy.

Valek skrzyżował ramiona na piersi i czekał.

– Ale nie sprecyzowałeś, co mamy zrobić, jeśli nasi podopieczni wyjadą do Sycji – dodał Ari.

– Jak mogli uciec z zamku i przedostać się przez granicę? – spytał zirytowany Valek.

W oczach Janca błysnęła złośliwa satysfakcja.

– Bardzo dobre pytanie. Ari, powiedz, proszę, naszemu wspaniałemu dowódcy, w jaki sposób uciekli Sycjanie.

Ari rzucił przyjacielowi gniewne spojrzenie, które jednak w najmniejszym stopniu nie zmąciło dobrego nastroju Janca, a potem powiedział:

– Ktoś im pomógł.

Gdy Valek nadal milczał, Ari zaczął się niespokojnie wiercić, a ja zatkałam usta dłonią, by powstrzymać wybuch śmiechu. Ten potężny mężczyzna przypominał teraz małego chłopca, który wie, że nabroił i nie ominie go kara.

– My im pomogliśmy – wydusił.

– My? – spytał Janco.

– Ja im pomogłem – rzekł Ari żalonym tonem. – Wreszcie jesteś zadowolony?

– Tak. – Janco zatarł ręce. – To będzie ciekawe. Śmiało, Ari, powiedz Valkowi, dlaczego to zrobiłeś. Chociaż przypuszczam, że oni go zaczarowali.

– Nie posłużyli się magią, tylko zdrowym rozsądkiem i logiką – zaprotestował Ari, a gdy Valek uniósł brwi, mówił dalej: – Dzieją się tu dziwne rzeczy. Jeżeli ich nie wyjaśnimy, rozprzestrzenia się jak zaraza i uśmiercą nas wszystkich.

– Kto ci tak powiedział? – spytałam.

– Księżycowy Człowiek.

– Gdzie oni są? – zapytał Valek.

– Obozują mniej więcej półtora kilometra na północ – odrzekł Ari.

Zanim Valek zdążył to skomentować, dobiegł nas narastający tętent kopyt. Przez okno zobaczyłam Kiki, a za nią Topaza, Garneta i Rusałkę. Wszystkie konie niosły jeźdźców.

– Jak nas znaleźli? – rzucił Valek lodowatym tonem.

– Nie powiedziałem im, dokąd idziemy – tłumaczył się zaskoczony Janco. – Poleciłem, żeby poczekali na nasz powrót.

– Czyż to nie irytujące, kiedy nikt nie słucha twoich rozkazów? – z gryzącą ironią skomentował Valek.

Wyszliśmy na zewnątrz. Tauno dosiadał Kiki, która od razu podeszła do mnie i szturchnęła nosem w pierś, a ja otworzyłam przed nią umysł.

– Nie wchodź już więcej w ogień – rzekła.

Nic nie odpowiedziałam, tylko podrapałam ją za uszami, gdy Tauno zeskakiwał z jej grzbietu. Przywitał mnie chłodnym spojrzeniem i wrócił do pozostałych. Leif, Księżycowy Człowiek i Marrok trzymali

się w pobliżu koni i rozmawiali z Arim i Jankiem.

Z posepnych spojrzeń Leifa i pogardliwej miny Tauna poznałam, że wciąż są na mnie wściekli. Nie mogłam mieć im tego za złe, gdyż postąpiłam wobec nich bardzo brzydko. Twarz Marroka rozświetlał wyraz ożywienia. Miałam nadzieję, że Księżycowy Człowiek zdołał utkać jego umysł z powrotem w spójną całość.

Wszyscy weszli do domu, ja jednak zostałam na dworze i zajęłam się końmi. Wycesałam je na wpół zwęglonymi szczotkami i nakarmiłam przypalonym sianem. Płot pastwiska częściowo spłonął i zawalił się. Przyjrzałam się mu. Wiedziałam, że dobrze wytresowane konie klanu Sandseed nie potrzebują ogrodzenia, a Onyks i Topaz zostaną przy nich. Niemniej postanowiłam naprawić uszkodzony fragment. Trudziłam się tym, gdy słońce już zaszło, a nawet wtedy, kiedy konie uznały, że na pastwisku zrobiło się za zimno i poszły się ogrzać do pobliskiego zagajnika.

Valek zjawił się, gdy ciężkim kamieniem wbijałam słup. Powstrzymał mnie, wyjmując mi kamień z ręki.

– Wejź do środka, kochanie. Musimy omówić plan działania.

Z ociąganiem powlokłam się za nim przez lepkie błoto. Gdy weszłam do salonu, rozmowa natychmiast ucichła. Księżycowy Człowiek rzucił mi smutne spojrzenie. Zastanawiałam się, czy dowiedział się o mojej umowie z Ognistym Warperem, a może jest rozczarowany moim postępowaniem.

Rozpalono ogień w kominku. Usiadłam przy nim i ogrzałam zmarznięte i krwawiące dłonie. Już się nie bałam płomieni. Dostrzegłam uwięzione w ogniu dusze, które skręcały się w męce. Wyraźnie widziałam ich obecność i cierpienie. Dziwne, że wcześniej nie zwracałam na nie uwagi.

Odwróciłam wzrok od kominka. Wszyscy wpatrywali się we mnie w napięciu. Ari i Janco wstali, jakby szykowali się do natychmiastowej reakcji.

– Czy zdałam wasz test? – zapytałam. – Przez to, że nie skoczyłam w ogień?

– Nie w tym rzecz – odparł Janco. – Chodzi o to, że do twojego ramienia przywarł obrzydliwy nietoperz.

Istotnie, w lewy rękaw mojej koszuli wczepił się nietoperz wielkości dłoni i przyglądał mi się uważnie. W jego oczach błyszczała inteligencja. Zapraszająco wyciągnęłam prawą rękę, a on przeniósł się na grzbiet dłoni. Wyniosłam go na dwór i chciałam wypuścić, lecz nie zamierzał odlecieć. Usadowił się na moim ramieniu i wyglądał na zadowolonego, więc wróciłam do środka.

Nikt nie wygłosił żadnej uwagi na temat mojego nowego przyjaciela, tylko zaaferowany Leif badawczo mu się przyglądał.

Pozostali czekali w milczeniu. Dopiero po chwili pojęłam, na co czekają. Na to, że zabiorę głos, podejmę decyzję i zainicjuję jakieś działanie. Nawet po tym, gdy porzuciłam ich jako więźniów komendanta, nadal na mnie polegali. Lecz tym razem, zamiast odepchnąć ich i wycofać się, przyjąłam tę odpowiedzialność. Oczywiście wiedziałam, że mogą odnieść rany lub nawet zginąć, dlatego postanowiłam, że oddam życie, by powstrzymać Ognistego Warpera przed powrotem na ziemię.

– Leif. – Gdy wymówiłam jego imię, podskoczył nerwowo. – Chcę, żebyście z Księżycowym Człowiekiem udali się do biblioteki w gmachu Rady i odszukali wszystko, co zdołacie, na temat podziemnego tunelu do Twierdzy Magów. – Wyjaśniłam im komentarze Baina. – Księżycowy Człowiek może się przebrać za Vermina, a mam nadzieję, że ciebie nie schwytają. Od tej chwili w ogóle nie używajcie

magii, bo to tylko ściągnie na was ich uwagę. – Gdy skinęli głowami, spojrzałam w inną stronę. – Marrok.

– Na rozkaz – odrzekł.

– Jesteś zdolny do walki?

– Melduję, że jestem zdolny, gotowy i chętny.

Przełknęłam twardą kulę w gardle. Ze stanowczych min widziałam, że wszyscy są chętni do walki. Przynajmniej pełen zadowolenia uśmiech Valka był lepszy niż zrzędlawe: „A nie mówiłem?”.

– Dobrze – podjęłam. – Marrok i Tauno będą nam towarzyszyć. Pojedziemy na południe odbić zakładników.

Ari odchrząknął, jakby chciał zaprotestować.

– Rzeczywiście, zapomniałam o was dwóch. Chcę, żebyście weszli do Cytadeli i pomogli zorganizować ruch oporu.

– Ruch oporu? – powtórzył Valek. – Pierwsze słyszę.

– Podsunęłam ten pomysł jednemu z kupców. Myślę, że Ari i Janco w przebraniu handlarzy będą mogli swobodnie poruszać się po Cytadeli. Oczywiście Ari musi ufarbować włosy. Och, i znajdźcie chłopca o imieniu Fisk. Powiedzcie mu, że jesteście moimi przyjaciółmi, a on pomoże wam nawiązać odpowiednie kontakty.

– A kiedy i gdzie, o potężna Yelena, mamy stawić opór Verminom? – zapytał Janco.

– Przy bramie Twierdzy Magów. Nie mogę wam podać dokładnego terminu, ale będziecie wiedzieli, kiedy nadejdzie ta chwila.

Janco i Ari wymienili spojrzenia.

– Uwielbiam konspirację – stwierdził Janco.

– A kiedy rozpoczniemy, kochanie? – spytał Valek.

– Niech w nocy wszyscy dobrze się wyśpią, a rano poczynimy przygotowania. Wyruszymy wcześniej. Mamy kamuflujące ubrania dla czterech osób czy musimy je zdobyć? A może potrzebujemy pieniędzy?

– Masz na myśli napad na sieć pralni czy kradzież kilku portmonetek? – z uśmiechem rzucił Valek. – Nie. Moja kryjówka jest dobrze zaopatrzona we wszystko, czego tylko możemy potrzebować.

To oświadczenie zaniepokoiło tylko Leifa.

W pokoju zrobiło się gwarno. Obmyślano plany działania i zdecydowano o sposobach ich realizacji. Tauno był wyraźnie niezadowolony, że rozdziela się go z Księżycowym Człowiekiem. Zapytał, do czego nam się przyda. Wyjaśniłam, że potrzebujemy wytrawnego zwiadowcy.

– Nie wystarczy wam Marrok?

– Jego zdolności przydadzą się tylko wtedy, gdyby Verminowie przenieśli gdzieś jeńców. Wówczas będzie mógł wytropić nowe miejsce pobytu. – Poza tym bardzo chciałam porozmawiać z Marrokiem i dowiedzieć się, dlaczego oskarżył Leifa i mnie o pomoc Ferdemu w ucieczce.

Nazajutrz rano moja grupa osiodłała konie. Ponieważ nie mieliśmy przemierzać Równiny Avibiańskiej, Valek dosiadł Onyksa, Tauno – Garneta, a Marrok – Topaza. Valek wykorzystał szpiegowskie doświadczenie i przebrał nas za członków klanu Krystal. Włożyliśmy

jasnoszare tuniki, ciemne wełniane getry, krótkie peleryny z kapturami i czarne buty do kolan.

Zanim wyruszyliśmy, Leif wręczył mi pęczek ziół.

– Ponieważ nie możesz używać magii, pomyślałem, że ci się przydadzą. W paczuszce znajdziesz instrukcję, jak je stosować.

– Leif, ja...

– Wiem. Prawdę mówiąc, bardzo mi się nie spodobał ten opryskliwy i nieufny babsztyl, którym stałaś się w Iksji. Lecz ogień przywrócił mi moją prawdziwą siostrę. Uważaj na siebie, gdyż chciałbym przynajmniej jeszcze przez jakiś czas mieć cię przy sobie.

– Też bądź ostrożny i nie daj się złapać. Za nic nie chcę powiadamiać matki, że cię pojmano. Nie byłaby zachwycona.

Leif spojrział na Ariego i Janca. Sprzeczekali się o to, który z nich ma powozić wozem, a który stanowić eskortę.

– Czy oni się zawsze kłóca?

Roześmiałam się.

– To część ich uroku.

Leif westchnął.

– Zadziwia mnie, że zdołaliśmy dotrzeć do Sycji i nie zostaliśmy po drodze zdemaskowani. – Zadumał się na moment. – Może to i dziwne, ale będzie mi ich brakowało.

– Ja zawsze za nimi tęsknię.

Wyzaczyliśmy czas i miejsce ponownego spotkania nas wszystkich, wiedząc, że wiejski domek już nie będzie bezpieczną kryjówką. Pożegnałam się z Leifem i resztą, po czym ruszyliśmy na zachód, mając nadzieję dojechać przed zapadnięciem nocy do granicy terytorium klanu Krystal. Następnie podążymy wzdłuż niej na południe ku terenom klanu Stormdance. Przebędziemy je oraz ziemie klanu Bloodgood i dotrzemy do granicy klanu Jewelrose.

Na wypadek, gdyby ktoś nas zatrzymał, wymyśliliśmy wiarygodny powód naszej podróży. Dostarczamy próbki kwarcu klanowi Jewelrose. Klan Irys szlifuje i poleruje wszelkie rodzaje szlachetnych i półszlachetnych kamieni. Projektuje się tam i wytwarza niemal całą biżuterię dla Sycjan.

Ponieważ byłam przebrana za mężczyznę, przyjąłam imię Ellion i poprosiłam towarzyszy, by tak się do mnie zwracali.

Słońce świeciło jaskrawo i zrobiło się ciepło. Jechaliśmy szybko. Valek wyraził nadzieję, że ładna pogoda zwabi ludzi na drogi.

– Dlaczego to ma być dla nas korzystne? – zapytał Tauno.

– Bo wówczas będziemy jednymi z wielu podróżujących, a nie jedynymi – wyjaśnił Valek.

Wspólnie dosiadali konia i dyskutowali o tym, jak odnaleźć stodołę, w której przetrzymywano krewnych sycjańskich radnych.

Kiki trzymała się obok Topaza, gdyż stęskniła się za jego towarzystwem. Zastanawiałam się, czy Cahil żałuje utraty swojego konia. Miał go od wieku chłopięcego. Spojrzałam na Garneta i wzdrygnęłam się, wyobraziwszy sobie gniew koniuszego. Jego koń, Garnet, przebywał z nami już bardzo długo, a ja zgubiłam avibiański miód, który kupiłam, aby ugłaskać tego człowieka. Kiedy wrócę do Sycji, każe mi przez wiele tygodni czyścić uprzęż i szorować stajnie.

Parsknęłam z rozbawienia na myśl, że znalazłam przynajmniej jeden pozytywny aspekt spędzenia wieczności z Ognistym Warperem: nie będę musiała oczyszczać stajen z gnoju.

I nie będzie żadnych nietoperzy. Mój nowy towarzysz spoczywał wygodnie na moich plecach, wczepiony pazurkami w kaptur. Wydawał się zadowolony, przespiając na mnieienne godziny.

Marrok przez cały dzień się nie odzywał, chciałam się jednak dowiedzieć, co go spotkało w Cytadeli.

– Cahil mnie oszukał – odrzekł, gdy go o to zapytałam. – Dałam się nabrać na jego kłamstwa, że pozostał z Ferdem, by poznać zakres operacji Daviian. Spodobał mi się jego plan zwabienia Złodzieja Dusz z powrotem do Cytadeli. Ubolewałam wraz z nim, że przeszkodziłaś mu w realizacji jego zamysłów. Przekonał mnie, żebym się przyznał do uwolnienia Ferdego i oskarżył ciebie i Leifa o współudział. To miało mu pomóc przekonać Radę do zaatakowania Iksji. Obiecał... – Potarł prawy policzek. – A gdy już się przyznałem, odwrócił się ode mnie. Popełniłem błąd, za który drogo zapłaciłem. – Zadrżał. – Wciąż jeszcze płacę.

– Zdrady są okrutne – powiedziałam w zadumie.

Marrok spojrzał na mnie ze złością.

– Nie uważasz, że pozostawienie nas w Iksji na łasce komendanta też było zdradą?

– Nie, bo wcale nie zamierzałam was zdradzić. Przeciwnie, pragnęłam was ochronić i od początku byłam wobec was szczera. Nie byłam tylko szczera wobec samej siebie i na tym polegał mój błąd.

– Czy nadal za niego płacisz? – spytał Marrok z uśmiechem, który wygładził zmarszczki wyryte na jego surowej twarzy przez troski i czas.

– Tak. Kłopot z błędami, które popełniamy, polega na tym, że ich skutki zazwyczaj długo się za nami ciągną. Ale gdy już uporamy się z Verminami i Cahilem, zapłacę ostateczną i całkowitą cenę za wszystkie swoje błędy. – Marrok spojrział na mnie pytająco, ale nie chciałam się nad tym rozwodzić, dlatego spytałam: – Pamiętasz, jak wykradziono cię z Cytadeli?

– Niestety, nie – odrzekł ponuro. – Wtedy w ogóle nie byłem w stanie myśleć. Księżycowy Człowiek to prawdziwy cudotwórca. Zawdzięczam mu życie. – Rozejrzał się i zniżył głos. – Bez niego czuję się... bezbronny, a takie wyznanie niełatwo przychodzi staremu żołnierzowi.

Resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu. Około północy rozbiliśmy obóz. Ciekawe, że odruchowo, bez dyskusji, podjęliśmy swoje obowiązki. Tauno zapolował na króliki, ja oporządziłam konie, Valek poszukał drewna na ognisko, a Marrok przyrządził posiłek.

– Przywykłem w podróży do prostych żołnierskich racji żywnościowych, więc nie oczekujcie, że to będzie smakowało jak jedzenie gotowane przez Leifa – zaznaczył, wykładając na talerze swoją wersję potrawy z królika.

Danie miało trochę mdły smak, ale nas pokrzepiło. Po kolacji rozłożyliśmy posłania i ustaliliśmy kolejność wart. Położyłam się pod jednym kocem z Valkiem, pragnąc jego bliskości, i przytuliłam się do niego mocno.

– Co się dzieje, kochanie? – szepnął mi do ucha. – Rzadko bywasz tak milcząca.

– Po prostu martwię się o rodziny radnych.

– Myślę, że dobrze wszystko przygotowaliśmy. Używając mojej

mikstury nasennej wobec strażników i twojej kurary wobec warperów, a także wykorzystując element zaskoczenia, powinniśmy błyskawicznie odbić zakładników.

– A jeśli któryś z jeńców jest chory albo umierający? Jeżeli do ich uleczenia posłużę się magią, ryzykując, że Verminowie dowiedzą się, gdzie jestem i co robię?

– Zatem będziesz musiała zdecydować, czy ważniejsze jest życie jednej osoby, czy powodzenie operacji, od której zależy los Sycji. Ale martwienie się na zapas jest bezcelowe, Yeleno. Możesz natomiast spokojnie, bez emocji przemyśleć wszystkie potencjalne możliwości. To rozsądniejsze niż daremne nerwy.

Uznałam, że ma rację, i w końcu usnęłam.

We śnie dręczyły mnie cieniste postacie. Błąkały się po krainie zmarłych, zagubione i wylęknione. Ilekroć pojawiał się jaskrawy żar, kryły się i czekały, aż ognisty myśliwy zniknie. Lecz on za każdym razem chwycił ich więcej w płomienistą sieć. Nie pojmowały, dlaczego myśliwy przychodzi, i nie wiedziały nic o moście wiodącym do niebios. Trzymały się kurczowo tego świata, pragnąc zemsty i sprawiedliwości. Potrzebowały przewodnika, aby przekonał je do opuszczenia tego miejsca i wskazał im drogę.

– Ellionie... Ellionie... Yeleno! Zbudź się!

Odepchnęłam natrętą dłoń.

– Jestem zmęczona – wymamrotałam, próbując przewrócić się na drugi bok.

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni, ale teraz twoja warta – powiedział Valek, a gdy zamrugałam ciężkimi powiekami, dodał: – Na ogniu stoi dzbanek herbaty. – Kiedy wciąż się nie ruszałam, zepchnął mnie z maty

i wśliznął się pod koc na moje miejsce. – Ach, jak ciepłutko – mruknął z rozkoszą.

– Jesteś okropny – rzuciłam, ale udał, że już śpi.

Podróżowaliśmy już czwarty dzień, wykorzystując każdą minutę, aby przebyć siedmiodniowy dystans w pięć dni, a ponieważ Tauno jeszcze przed kolacją udał się na zwiady, by zbadać teren przed nami, ubyła nam jedna osoba do trzymania straży w obozie.

Mój nietoperz pikował w rozgrzanym powietrzu unoszącym się nad ogniskiem. Za dnia trzymał się mnie, a w nocy polował. Marzyłam o tym, by szybować wraz z nim wysoko nad ziemią.

Tauno wrócił rano i oznajmił, że na naszej drodze do granicy terytorium klanu Jewelrose nie natrafił na żaden ślad ludzi.

– Mniej więcej trzy kilometry na południe od granicy znalazłem dobre miejsce na rozbicie obozu. Dołączę tam do was. – Po tych słowach odjechał.

Zastanawiałam się, jak udaje mu się zwalczyć senność. W przeciwieństwie do Tauna, w nocy spałam dobrych kilka godzin, więc nie powinnam się uskarżać na brak snu.

Spakowaliśmy się i ruszyliśmy śladem zwiadowcy. Kolejny dzień minął bez przygód i z łatwością odnaleźliśmy miejsce na obozowisko. Znowu pojawił się Tauno z przytroczonymi do pasa królikami upolowanymi na kolację.

– Ustaliłem lokalizację stodoły – powiedział, oprawiając króliki. – Stoi sześć kilometrów na zachód stąd w niewielkim zagłębieniu.

Valek przez jakiś czas wypytywał go o szczegóły, po czym stwierdził:

– Będziemy musieli uderzyć po ciemku. Wyruszymy po północy, zostawimy konie ukryte między drzewami i przypuścimy atak.

– To najlepszy plan. – Tauno wrzucił do garnka pokrojone w kostkę mięso. – Pójdę się przespać – oświadczył na koniec.

Marrok zajął się mieszaniem potrawy, Valek sporządził trzciniowe dmuchawki, a ja osiodłałam konie. Garnet prychnął z niesmakiem, a może nawet rozeźlony, gdy mocno zaciągnęłam popręg.

– To niedaleko – powiedziałam na głos. – Potem będziesz mógł odpocząć.

Dołączyłam do Marroka i Valka, którzy siedzieli przy ognisku. Jedli duszoną potrawkę, Valek nałożył mi do miski moją porcję. Wywar smakował lepiej niż wczoraj, wyczułam nawet ślad przyprawy.

– Smaczne – pochwaliłam Marroka. – Zaczynasz się wprawiać. Czego dodałeś?

– Pewnego nowego składnika. Potrafisz go rozpoznać, Yeleno?

Spróbowałam następną łyżkę i przez chwilę trzymałam płyn w ustach, zanim go połknęłam. Posmak przypomniiał mi ulubioną recepturę Randa.

– Imbir?

Valek upuścił miskę i zerwał się na nogi, ale się zachwiał. Twarz wykrzywił mu grymas przerażenia.

– Korzeń maślany! – zawołał.

– Trucizna?

– Nie. – Upadł na kolana. – Środek nasenny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Valek osunął się na ziemię, lecz zanim przymknął oczy, mrugnął do mnie. Rozejrzałam się wokoło. Marrok pochylony nad miską zdawał się spać. Moje ciało ogarnęła fala obezwładniającego znużenia, ale pozostałam przytomna. Być może nie połknęłam wystarczającej ilości korzenia maślanego.

Nie chcąc, by odkryto, że zachowałam przytomność, skrywanym gestem wyciągnęłam nóż sprężynowy i ukryłam go w dłoni, trzymając kciuk na przycisku, po czym upadłam na bok. Wywar wylał mi się na kolana i ściekł na ziemię, wsiąkając w spodnie. Świetnie.

Udałam, że śpię. Mięśnie mi zesztyniały, wsączał się we mnie lodowaty chłód. Starając się nie drzeć z zimna, wyteżyłam słuch, by usłyszeć jakieś odgłosy, z których mogłabym wywnioskować, co się dzieje.

Konie zarżały niespokojnie. Po raz pierwszy od wielu dni otworzyłam umysł przed Kiki, mając nadzieję, że drobne użycie magii nie zwróci niczyjej uwagi.

– Zły zapach – powiedziała. – Cichy Człowiek związał wodze.

– Cichy Człowiek?

Kiki sapnęła zniecierpliwiona i ukazała mi obraz Tauna.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Garnet wie.

– Dokąd dziś jeździłeś, Garnet? – spytałam.

– Spotkać ludzi. Pachnieli strachem.

Zerwałam mentalną łączność z końmi, gdy usłyszałam narastające głosy.

– Jak łatwo nam poszło! Wszyscy tyle gadają o Poszukiwacze Dusz i Wojowniku Duchu, a spójrzcie na nich! Śpią jak niemowlęta – rzekł jakiś mężczyzna.

– Zaufanie to potężny sprzymierzeniec. Prawda, Tauno? – powiedziała kobieta z tą samą śpiewną intonacją klanu Sandseed.

Czy Tauno jest z nimi w zмовie? A może schwytali go i zmusili, by im pomógł?

– Owszem. I jest ślepe. Nikt mnie nie podejrzewał nawet po tej zasadzce na równinie. – Zwiadowca roześmiał się nieprzyjemnie. – Ufają tylko głupcy. Nawet starszyzna klanu Sandseed nie miała o niczym pojęcia, tylko podziwiali, z jaką łatwością odnajduję obozy Daviianów.

Zachichotali radośnie. Krew zawrzała mi z wściekłości. Tauno może mi w jednym zaufać. Już ja się postaram, że gorzko pożałuje swych podłych czynów.

Gdy dyskutowali, co powinni zrobić, doliczyłam się czterech różnych głosów. Dwaj mężczyźni, kobieta oraz zdrajca Tauno. Zamierzali użyć Marroka, by uspokoić Radę, a mnie zawieźć do Jala, ich przywódcy.

– Zabij Wojownika Ducha – rozkazał jeden z Verminów. – Pamiętaj, żeby poderznąć mu gardło i zebrać krew. To będzie zemsta za Aleę i jej brata.

Czekałam. Ktoś chwycił mnie za tułów, a ktoś drugi za nogi

i podniesiono mnie z ziemi.

– Teraz! – wrzasnął Valek.

Otworzyłam nóż sprężynowy i gwałtownym ruchem przyciągnęłam kolana do piersi, nadziejąc na ostrze zaskoczonego Vermina, który trzymał mnie za nogi. Gorąca krew trysnęła mi na dłonie. Wyszarpnęłam nóż z jego trzewi, zanim drugi Vermin upuścił mnie na ziemię. Gdy dobył szabli, błyskawicznie wstałam.

Nie miałam wielkich szans z nożem sprężynowym przeciwko szabli, zwłaszcza że zużyłam kurarę z ostrza na pierwszego przeciwnika. Nie zdołam długo stawić oporu. Zerknęłam na Valka. Walczył z Taunem i kobietą. Jego miecz przeciwko ich włóczniom to już lepsza proporcja sił. Miałam nadzieję, że wytrwam wystarczająco długo, by Valek mógł przyjść mi z pomocą.

– Rzuć broń – rozkazał Vermin.

Gdy nie usłuchałam, machnął szabłą, a ja zrobiłam unik w bok. Wykonał pchnięcie z wypadem. Cofnęłam się. Zamierzył się na moją szyję, lecz się uchyliłam. Potem ciął szeroko, a ja odskoczyłam.

– Poddaj się, a nic ci się nie stanie – powiedział coraz bardziej zdyszany.

Po kolejnym ataku pojęłam, o co tu chodzi.

– A więc nie wolno ci mnie zabić – stwierdziłam. – Ja! chce mnie mieć żywą, żeby rzucić na pożarcie swemu pupilkowi Ognistemu Warperowi!

Moja pewność siebie rozwścieczyła go. Wzmógł tempo zadawanych ciosów.

– Ale mogę cię zranić, pokaleczyć, torturować! – wykrzyczał w furii.

Ostrze szabli przecięło moją pelerynę. Cofnąłam się, gdy krew pociekła mi po ręce. Naprawdę znalazłam się w opresji. Vermin nacierał, a ja się cofałam, mając coraz więcej krwawiących ran. Zakręciło mi się w głowie, nogi poruszały się ospale. Energia wyciekała ze mnie w zastraszającym tempie.

Nagle pojawił się mój nietoperz. Pofrunął w kierunku Vermina, zanurkował i szarpnął go za włosy. Mój prześladowca zamachał rękami, wystawiając się na cios, ale nóż sprężynowy wydawał mi się straszliwie ciężki, a moje ciało reagowało zbyt wolno. Ten Vermin musiał być potężnym warperem. Niepostrzeżenie osłabił moją mentalną obronę.

Warper wbił wzrok w nietoperza i nieszczęsne stworzenie runęło na ziemię.

– Czy tylko tym dysponujesz? – zapytał. – A co z twoją wspaniałą duchową magią? Myślę, że Ognisty Warper będzie rozczarowany. – Wzruszył ramionami. – Rozkaz to rozkaz.

Zamachnął się szablą. Poruszyłam rękami, ale nie zdołałam zasłonić się przed uderzenia rękojeścią w skroń.

Wzrok mi się zamglił i padłam na ziemię. Świat wokół mnie zawirował. Potoczyłam się w kierunku kopyt Kiki i ogarnęła mnie ciemność.

W moją czaszkę walił młot. „Zbudź się – zdawał się mówić. – Otwórz oczy”. Znów zaczął uderzać. Odmówiłam. Po pewnym czasie w moją świadomość wdarł się tępy pulsujący ból. „No, otwórz oczy, otwórz – powtarzał monotennie. – Proszę”.

Obudziłam się, czując się jak deska do krojenia. Moje ręce i nogi

płoneły z bólu, a głowę miałam rozciętą. Valek polewał moje rany wodą, jeszcze bardziej je zaogniając.

– Au! Przestań! – zawołałam.

– Nareszcie – powiedział, ale dalej robił swoje. Przetarł rany i oczyścił poszarpane brzegi, a potem przysiadł na piętach. – Chwilowo to będzie musiało wystarczyć. Wstawaj, musimy stąd iść. – Gdy pomógł mi usiąść, poczułam silne mdłości. – Masz. – Wcisnął mi do rąk czerwone liście. – Znalazłem je w twoich sakwach. W notce napisano, że pomagają na ból głowy.

Przeżułam jeden liść. Niemiłe sensacje w żołądku ustąpiły, ale nadal widziałam niewyraźnie. Wpatrzyłam się w półmrok, domyślając się, że rozmazana biała plama na niebie to wschodzący księżyc. Czyżbym przespała cały dzień? W końcu dotarły do mnie słowa Valka.

– Dokąd mamy iść? – spytałam.

– Musimy odnaleźć tę stodołę. – Szarpnięciem postawił mnie na nogi.

Wciąż myślałam powoli, jakby moje myśli były pozlepiane syropem.

– Stodołę?

Valek wylał resztę wody z manierki na moją ostrzyżoną głowę. Przebiegł mnie dreszcz, gdy zimny wiatr owionął gołą i moką czaszkę.

– Kiedy Verminowie, których po nas wysłano, nie wrócą, pozostali zorientują się, że zaszło coś złego i zabiją zakładników albo przeniosą ich gdzie indziej. – Valek wymawiał każde słowo powoli i wyraźnie, jakby mówił do osoby o cięższej umysłowo. – Masz. – Wręczył mi ubranie. – Pośpiesz się.

Przebrałam się. Na widok jatki wokół naszego obozowiska znów mnie zemdliło, więc zaczęłam ssać następny czerwony liść. Valek zabił kobietę i zdrajcę Tauna. Marrok nadal spoczywał tam, gdzie upadł uśpiony. Warper, z którym walczyłam, leżał na boku. Głowę miał zmiażdżoną, jakby kopnął ją koń.

– Kiki – wezwałam myślą klacz.

– Zły człowiek. Nikt nie skrzywdzi Lawendowej Pani.

– Dziękuję ci.

– Miętówki?

– Kiedy już wszystko załatwimy. Dostaniesz też jabłka!

Włożyłam koralowe spódnicospodnie i koszulę. Mój strój jaskrawo odbijał światło księżyca. Nie ma mowy, żebym wtopiła się w tło! Valek miał na sobie strój warpera, nałożył też makijaż na twarz, by nadać skórze koloryt Verminów. Przeniknął mnie dreszcz strachu, gdy zdałam sobie sprawę, co zamierza. Cóż, przynajmniej tym razem nie będę przynętą dla węża boa.

Rozpętaliśmy konie. Zapach krwi je niepokoił, choć więc były znużone, cieszyły się, że opuszczają to okropne miejsce. Valek jechał na Onyksie, ja na Kiki, prowadząc pozostałe wierzchowce. W milczeniu przebyliśmy sześć kilometrów dzielących nas od stodoły. Gdy dotarliśmy na skraj lasu, wyteżyłam wzrok, starając się wypatrzeć kryjówkę Verminów. Nad Jeziorem Diamentowym unosiła się upiorna czerwona poświata. Niewielki budynek wydawał się opustoszały, ale po chwili spostrzegłam sylwetki strażników przy drzwiach.

– Którego konia weźmiemy? – spytałam.

– Onyksa. Kiki jest za bardzo znana.

Zeskoczyłam z klaczy i kazałam reszcie koni pozostać w lesie, póki ich nie wezwę.

– Zdejmij pelerynę i połącz się na siodle przede mną – polecił Valek, wyjmując stopę ze strzemienia.

Wgramoliłam się na koński grzbiet i położyłam się w poprzek siodła. Valek podał mi mój nóż sprężynowy. Był oczyszczony z krwi, ostrze schowane.

– Zanurzyłem go w kurarze. – Chwycił cugle lewą ręką, w prawej trzymał szablę. – Pamiętaj, jesteś nieprzytomna. – Cmoknął na Onyksa.

Wjechaliśmy na otwartą przestrzeń, mając nadzieję, że wyglądamy jak warper i jego zdobycz.

Udając nieprzytomną, podskakiwałam bezwładnie na siodle, co nie było zbyt przyjemne. Gdy zbliżaliśmy się do stodoły, powietrze przeszył radosny okrzyk. Natomiast ja czekałam na sygnał Valka.

– Gdzie pozostali? – zapytał jakiś mężczyzna.

– Nadjeżdżają – odrzekł Valek szorstkim tonem.

– Nareszcie ją mamy! – zawołał ktoś inny, ciągnąc mnie za nogi. – Pomóż mi.

Valek zeskoczył z siodła po drugiej stronie, by koń oddzielał go od Vermina.

Poczułam, że ktoś jeszcze złapał mnie za nogi.

– Będzie dostawać środek nasenny, aż przejmie ją Jal.

Sprowadźcie wóz, wyruszamy w nocy – polecił Vermin i chwycił mnie na ręce.

– Gdzie jest Jal? – zapytał Valek.

Gdy Vermin znieruchomiał, zerknęłam na niego. Ostrze szabli Valka dotykało jego szyi. Wprawdzie Vermin był uzbrojony w przypasane do pleców szablę i włócznię, ale ręce miał zajęte, bo przecież trzymał mnie.

– W Twierdzy Magów. No dalej, jedź tam! Tylko nie zapomnij wziąć jej ze sobą! – Vermin cisnął mną w Valka i zaczął wołać o pomoc.

Z tak bliskiej odległości nawet Valek nie zdążył się uchylić. Gdy uderzyłam go w pierś, upadliśmy na ziemię. Błyskawicznie sturlałam się z Valka i zerwałam na nogi, natomiast Valek zdążył się odtoczyć, by uniknąć cięcia szabli Vermina.

Biegło ku nam jeszcze czterech uzbrojonych przeciwników. Otworzyłam nóż sprężynowy i cisnęłam nim w Vermina atakującego Valka. Stęknął, gdy ostrze rozcięło mu ramię, ale dalej parł naprzód, jednak po kilku sekundach kurara sparaliżowała mu mięśnie. Chwyciłam jego włócznię. Valek wstał i podniósł swoją szablę tuż przed tym, jak dopadli do nas pozostali Verminowie.

Dalsze wypadki zwały mi się w jedną, ciągnącą się w nieskończoność walkę. Trzymałam przeciwników na odległość włóczni, nie pozwalając, aby dosięgły mnie szable. Zamarkowałam cios w tułów, a potem podcięłam nogi jednemu z Verminów i bez wahania wbiłam mu włócznię w szyję. Jego dusza uniosła się z ciała i zawisła nad nim. Czy powinnam jej pomóc?

Zanim zdążyłam to rozstrzygnąć, natarł na mnie kolejny napastnik, lecz nagle przystanął, a ja poczułam, że moją włócznię szarpnęły pasma magii. A więc był warperem, który potrafi poruszać przedmioty.

Włócznia wyskoczyła mi z ręki, obróciła się i wymierzyła ostrze we mnie.

– Jal chce mnie żywą – przypomniałam mu.

Ruszył naprzód.

– Dlaczego nie użyjesz magicznej mocy, żeby mnie powstrzymać? Boisz się, że Jal dowie się od Ognistego Warpera, co robisz?

– Brawo, cóż za zadziwiająca bystrość!

Ostrze włóczni zbliżyło się i szturchnęło mnie w szyję.

– Poddaj się albo nadzieję ją na rozeń! – zawołał warper do Valka.

Valek przerwał walkę i popatrzył na mnie pytająco.

– On tego nie zrobi – zapewniłam go.

– Masz rację – przyznał warper. – Więc poddaj się, bo podpale stodołę. – Wskazał ręką. – Chcesz być odpowiedzialny za śmierć dziesięciorga dzieci?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

– Nie! Nie rób tego! – krzyknęłam. – Wypuść dzieci, a pójde z tobą.

– Wiem, że pójdziesz – odparł warper. – Bardziej niepokoi mnie Wojownik Duch. – Spojrzał na Valka. – Rzuć broń!

Valek położył szablę na ziemi, ale gdy się wyprostował, zamachnął się i mała strzałka wbiła się w szyję warpera, który drgnął zaskoczony.

– Ruszaj – polecił mi Valek.

Okrećiałam się, unikając pchnięcia włóczni, ale nie byłam dość szybka i ostrze rozcięło mi szyję. Poczułam palący ból, lecz zapomniałam o nim, kiedy zobaczyłam, że warper się odwrócił i spod drzwi stodoły buchnął ogień. Potem osunął się na ziemię obok swego towarzysza, gdy wreszcie zadziałała mikstura nasenna.

Poczułam zapach dymu, który przywołał przerażające wspomnienia.

– Valek, biegnij! – Gwizdnęłam na konie.

Zjawily się natychmiast, a ja pognałam w kierunku stodoły.

– Kiki, pomóż – poprosiłam w myśli.

Valek już otworzył płonące drzwi, lecz płomienie sięgały dachu. Topaz i Onyks spłoszyły się i cofnęły przed żarem, ale Kiki i Garnet dzielnie stawily czoło ogniewi.

– Każ zakładnikom przejść na lewą stronę! – zawołałam do Valka,

przekrzykując ryk pożaru.

Błyskawicznie wbiegł do środka, a ja poprowadziłam Kiki i Garneta na prawo. Odczekałam kilka straszliwie wlokących się sekund, po czym stuknęłam pięścią w ścianę stodoły.

– Tu kopnijcie! – krzyknęłam i odskoczyłam na bok.

Kiki i Garnet strzeliły z zada i wybiły kopytami dziurę w ścianie. Powtórzyły to kilka razy, aż otwór był wystarczająco duży, by przeszli przez niego dorośli. Zajrzałam do środka i zawołałam do jeńców. Choć szalał ogień, było tam ciemno od dymu, ktoś jednak chwycił mnie za rękę. Szybko wyciągnęłam na zewnątrz kaszlące dzieci.

Dym zgęstniał, rozpętało się istne piekło.

Gdy z otworu wyczołgał się mąż radnej Greenblade z małym dzieckiem na plecach i niemowlęciem uczeponym klatki piersiowej, naliczyłam już dziesięcioro dzieci i jednego dorosłego.

– Gdzie Gale? – zapytałam.

Kaszląc z wysiłkiem, by wykrztusić dym z płuc, wskazał na otwór w ścianie.

– Zemdląca. – Chrapliwie wciągnął powietrze. – Nie mogłem zabrać... wszystkich. – Gdy chciałam wejść do środka, powstrzymał mnie rozpaczliwym uściskiem. – Dach... – wykrztusił i znów się rozkasłał.

Ledwie odgoniliśmy dzieci od stodoły, gdy z przerażającym hukiem zawalił się dach, wzniesając fontannę iskier.

Jeszcze raz policzyłam dzieci. Dziesięcioro plus jeden dorosły. Nie ma Gale ani Valka. Nadal jest w stodole!

Rzuciłam się w kierunku płonącego budynku, lecz straszliwy żar odepchnął mnie z powrotem. Pod zwałonym dachem zginęli Verminowie. Płomienie pożerały ich ciała i wciągały dusze w czeluście piekła.

Otworzyło się przede mną okno do ognistego świata. Mogłabym chwycić duszę któregoś z Verminów i zwrócić ją Ognistemu Warperowi, lecz nie byłam na to gotowa. Musiałam załatwić parę spraw i pożegnać się z kilkoma osobami, nim wezmę w objęcia płomienie.

Wówczas zatęsknię za ogniem. Życie na tym świecie bez Valka nie miało dla mnie żadnego sensu.

Pożar szalał całą noc. Do rana ze stodoły została dymiąca sterta, wciąż za gorąca, bym mogła poszukać śladów Valka i Gale. Zamiast tego zaprowadziłam dzieci do Jeziora Diamentowego, by się umyły. Staralam się nie zważać na straszliwy żal szarpiący moją duszę.

Mąż radnej Greenblade, Kell, pomógł mi nakarmić dzieci i opatrzyć rany. Kiki i Garnet napiły się wody z jeziora, a ja zmyłam sadzę z sierści. Woda była przejrzysta. Czerwony kolor pochodził z dna, jakby ktoś pomalował kamienie i żwir czerwoną farbą. Być może tak właśnie było. Przecież to tylko sztuczny staw, szumnie nazywany jeziorem.

Gdy dzieci były już najedzone i bezpieczne, wróciliśmy do obozu. Był tam Marrok, na którego spadł ponury obowiązek pogrzebania trupów.

– Wygląda na to, że przespałem bitwę – stwierdził. – Zwyciężyliśmy? – Popatrzył na trupa Tauna. – Czy przegraliśmy?

– Jedno i drugie. – Przepętniał mnie ból po śmierci Valka. Bałam się, że zacznę krzyczeć. Mocno zagryzłam wargi, aż poczułam krew.

– Możesz mi to wyjaśnić? – poprosił Marrok.

Zrelacjonowałam przebieg wydarzeń. Wieść o zdradzie Tauna skwitował ironicznym prychnięciem i krótkim, ale nadzwyczaj dosadnym komentarzem na temat zbytnej ufności.

– Przynajmniej nic się nie stało twojemu małemu przyjacielowi – powiedział, gdy skończyłam swoją opowieść.

– Jakiemu przyjacielowi?

Wskazał pobliskie drzewo.

– Myślałem, że jest martwy, ale kiedy chciałem go podnieść, odfrunął. Diabelnie mnie przestraszył.

Podeszłam do drzewa. Mój nietoperz wisiał głową w dół na dolnej gałęzi. Leciutko otworzył jedno oko, a potem usatysfakcjonowany znów je zamknął. Uświadomiłam sobie, że nawiązałam z tym stworzeniem emocjonalną więź, podobną do tej, która łączy mnie z Kiki.

Lecz to nie była odpowiednia pora na rozważanie moich relacji ze zwierzętami. Musiałam się zająć pilniejszymi sprawami, a w pierwszym rzędzie odszukaniem ciała Valka. Jednak najpierw powiedziałam:

– Trzeba znaleźć bezpieczną kryjówkę dla krewnych radnych.

Jenniqilla, córeczka Bavola Zaltany, pociągnęła mnie za pelerynę.

– Chcę do domu. – Chociaż była szczęśliwa, że ją uratowano, jednak w jej oczach widniał smutek, a na młodej buzi malowało się znużenie.

Ukucnęłam przy niej.

– Wiem, kochanie, ale bardzo cię proszę, żebyś przez jakiś czas udawała, że nadal jesteś zakładniczką. Możesz nam pomóc?

W jej wzroku pojawiła się determinacja, co przypomniało mi Fiska. Przydzieliłam wszystkim starszym dzieciom drobne zadania, by je czymś zająć i oderwać od tragicznych wydarzeń, a one skwapliwie zaczęły się krzątać.

– A co ja mam robić? – zapytał Kell Greenblade.

Uświadomiłam sobie, że ziemie jego klanu leżą na wschód od terytorium klanu Bloodgood.

– Czy znasz jakieś bezpieczne miejsce, gdzie moglibyśmy was ukryć?

Zapatrzył się w dal. Wysoki i żylasty, przypominał mojego przyjaciela Daksa, również pochodzącego z klanu Greenblade. Miałam nadzieję, że Daksowi i Gelsi nic się nie stało. Na myśl, że mogli zostać następnymi ofiarami rytuału kirakawy, ogarnął mnie niepokój i zapragnęłam natychmiast wyruszyć w drogę do Cytadeli.

Kell wyczuł mój nastrój i odpowiedział:

– Moja siostra ma farmę na przedmieściu Booruby, w której się pomieścimy.

– Na terenach klanu Cowan?

– Tak... Poślubiła mężczyznę z równin, ale to porządny chłop. Na pewno nam pomoże.

Spojrzałam na rozdokazywane dzieci. Booruby leżało dalej na wschód niż zamierzałam się udać, ponadto wiedziałam, że to będzie

długa i żmudna wędrówka.

Kiki zarżała cicho.

– Weź wóz – poradziła.

– Spłonął w pożarze.

Sapnęła zniecierpliwiona.

– Konie uciekły i pociągnęły wóz.

– Gdzie są?

– Utknęły. Chodź. – Kiki machnęła ogonem.

Dołączył do mnie Marrok. Dosiedliśmy Kiki i ruszyliśmy na południowy zachód przez niewielki las.

– Co z Onyksem i Topazem? – spytałam klaczkę.

Owionął mnie jej smutek.

– Nie czuję ich zapachu.

Dotarliśmy do wozu. Kiedy wybuchł pożar, ogarnięte paniką konie rzuciły się przez las, aż wreszcie wóz zaklinował się między drzewami. Zwierzęta już się uspokoily, ale uniesione łby i postawione uszy świadczyły, że nadal czują się niepewnie.

Wóz był wyładowany pustymi skrzyniami w kształcie trumien, ale pod podłogą znaleźliśmy skrzynkę z narzędziami. Wyciągnięcie go spomiędzy drzew okazało się niełatwe i zabrało nam sporo czasu.

Naprawiając złamane koło, Marrok w końcu stracił cierpliwość.

– Poganiasz mnie i tylko mi przeszkadzasz. Idź się przejść, Yeleno. To i tak robota dla jednej osoby. – Kiedy się zawałałam, dodał: – Idź go poszukać, gdyż inaczej nigdy nie zaznasz spokoju. My zresztą też nie.

Wolałabym się czymś zająć. Spacer przez cichy las nie odegnał ode mnie dręczących myśli i nie złagodził bólu. Miałam wrażenie, jakbym połknęła rozpalony do czerwoności węgiel.

Im bliżej byłam zgliszczy, tym więcej w powietrzu fruwało ciemnych drobinek, choć wiatr prawie całkiem przegnał już gryzącą woń spalenizny. Z pożaru ocalało jedynie kilka bocznych belek, reszta zmieniła się w szaro-biały popiół.

Pod moimi butami chrzęściły wypalone szczątki stodoły. Ten dźwięk brzmiał mi w uszach jak ponury symbol samotności i opuszczenia. Straciłam resztki nadziei, gdy znalazłam sztylety Valka. Ostrza były osmalone i na wpół stopione przez ogień. Upadłam na kolana i załkałam. Zanosiałam się płaczem, usiłując pozbyć się palącego smutku, aż rozbolewały mnie żebra i poczułam piekący ból w gardle. Przestałam szlochać, dopiero gdy wypłakałam wszystkie łzy. Przysiadłam na piętach i otarłam twarz, rozmazując smugi sadzy.

Gdy mój oddech trochę się uspokoił, zgarnęłam garść popiołu w pobliżu broni Valka i rozsypałam go na wietrze. Już wkrótce dołączę do ciebie, ukochany. Świadomość, że na tamym świecie niebawem znów się połączymy, była moją jedyną pociechą.

W końcu wróciłam do Marroka, który zreperował koło. Spojrzał na mnie i pokrzepiająco ścisnął mi ramię, widząc moje czerwone i spuchnięte od płaczu oczy. Na odnalezienie drogi pośród drzew strawiliśmy resztę dziennego światła. Gdy wróciliśmy do obozu, zobaczyliśmy, że Kell ułożył dzieciaki do snu przy ognisku. Chciałam poderwać wszystkich na nogi i natychmiast wyruszyć, ale przekonał

mnie, że dzieci zdenerwują się, jeśli obudzi się je w środku nocy i ukryje w pudłach. Przypomniałam sobie, jak okropnie sama czułam się w skrzyni przypominającej trumnę, i przyznałam mu rację.

Gdyby Valek nie zabił tamtego warpera, teraz mnie by zamknięto w jednej z tych skrzyń, a krewni radnych nadal by byli zakładnikami. Ale Valek i Gale by nie zginęli.

Zapatrzyłam się na śpiące dzieci. Jenniqilla opiekuńczo obejmowała Leeviego, a skulone obok niego niemowlę nawet przez sen ssało kciuk. Wyglądały na uosobienie niewinności, spokoju, radości i miłości. Valek, wchodząc do płonącej stodoły, zdawał sobie sprawę z ryzyka, a jednak się nie zawahał. Ja postąpiłabym tak samo. Uratowanie jedenastu ludzkich istnień w zamian za poświęcenie życia jednej osoby... Cóż, było warto.

Nawet wozem podróż do Booruby trwała cztery dni. Cztery dni niepokoju, frustracji, głodu, hałasu i niewyspania. Gdy dotarliśmy do miasta, znów poczułam wdzięczność dla rodziców, a ujrzawszy siostrę Kella, ucieszyłam się równie mocno jak ona na nasz widok. Serdecznie uściskała brata i długo trzymała go w objęciach. Przygryzłam wargę i odwróciłam się, czując bolesną pustkę.

Farma znajdowała się około trzech kilometrów na południe od Booruby, w sporej odległości od sąsiednich gospodarstw. Mimo to gospodarz szybko zagonił nas do domu. Dzieci dostały pierwszy gorący posiłek od kilku tygodni. Marrok i ja opracowaliśmy plan powrotu na umówione miejsce spotkania i dołączenia do naszych towarzyszy. Skupiałam się na działaniu, aby nie poddać się zżerającemu mnie bolesnemu żalowi.

Zamierzaliśmy zaryzykować przebycie zachodniego skraju Równiny Avibiańskiej. Dzięki szybkiemu jak poryw wiatru krokowi Garneta i Kiki nadrobimy czas stracony na podróż do Booruby.

Gdy wyruszyliśmy, Kell zapytał:

– Yeleno, skąd mam wiedzieć, kiedy dzieci będą mogły bezpiecznie powrócić do domów?

– Jeśli wszystko się uda, damy wam znać – odparłam po chwili namysłu.

– A jeżeli się nie uda? – spytał głosem zdławionym przez emocje.

Miał się czego bać. Jego żona jest radną i jeśli zawiodę, stanie się jedną z pierwszych spośród wielu ofiar.

– Jeśli w ciągu czternastu dni nie otrzymasz od nas żadnej wiadomości, będzie to oznaczało, że Daviianie nadal rządzą Sycją. Wówczas pozostanie ci tylko odesłanie dzieci do ich domów. I nadzieja.

– Nadzieja na co?

– Że kiedyś pojawi się ktoś na tyle potężny, by nie tylko wznieść bunt przeciwko Daviianom Verminom, ale i zwyciężyć.

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

– Mamy po swojej stronie czworo mistrzów magii i Poszukiwaczkę Dusz, a jednak Daviianie wciąż sprawują władzę.

– Tak już kiedyś było. Władzę objęły złe moce, lecz jeden człowiek dzięki swej sile, mądrości i determinacji zaprowadził w Sycji pokój – powiedziała z mocą, nie dodałam jednak, że ów człowiek w trakcie swoich działań zrównał z ziemią góry Daviian. Ciekawe, czy legendarny wojownik Sandseed odniósłby sukces w obecnej sytuacji? Lub chociaż czy mógłby nam pomóc, dołożyć swoją siłę do naszej, by przeważyć szalę? Przebiegłam myślą opowieść Księżycowego Człowieka o pochodzeniu klanu Sandseed i przypomniałam sobie, że

wojownik nosił imię Guyan. Uwięził Ognistego Warpera, a jego potomek Gede go uwolnił.

Tak oto historia zatoczyła pełen krąg.

Marrok i ja pożegnaliśmy się z Kellem i dziećmi, po czym ruszyliśmy na północny zachód, zamierzając okrążyć Booruby w drodze ku równinie. Mój nietoperzyk wisiał na grzywie Kiki, nic sobie nie robiąc ze wstrząsów.

Nasze plany uległy zmianie, gdy spostrzegłam w oddali fabrykę szkła rodziny Opal i nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Zanim zdążyłam rozważyć wszystkie jego konsekwencje, już staliśmy przed bramą. Marrok ze spokojem przyjął to nadłożenie drogi.

– Czy mam tu na ciebie poczekać? – zapytał.

– Tak. Niedługo wrócę. Kiki zostanie z tobą.

Gdy zbliżyłam się do wrót, z budynku fabryki wyszła Opal. Zawahała się, ale podeszła bliżej, przyglądając się podejrzliwie Marrokowi i mnie.

– Czym mogę służyć? – zwróciła się do mnie.

Zapomniałam o ostrzyżonych włosach. Ucieszyłam się, bo zyskałam dowód, że moje przebranie się sprawdza. Uśmiechnęłam się po raz pierwszy od wielu dni.

Opal przypatrzyła mi się uważnie.

– Yelena? – Spłoszona zerknęła wokół. – Wejdź do domu! Wyznaczono nagrodę za twoją głowę. – Wciągnęła mnie do środka. – Dzięki Bogu, że nic ci nie jest. – Uściskała mnie. – Co się stało z twoimi włosami?

- To długa historia. Są tu twoi rodzice?
- Pojechali do miasta. Ojciec odebrał dostawę piasku, w którym było pełno kamieni, więc udał się na skargę, a matka...
- Opal, potrzebuję twoich szklanych zwierzątek.
- Naprawdę? Czy sprzedałaś tamtego nietoperza?
- Nie, ale odkryłam, że przy ich pomocy mogę kontaktować się z innymi magami, nawet gdy są bardzo daleko, bez pomocy magii. Chcę kupić tyle figurek, ile zdołam.
- O rety! Nie miałam o tym pojęcia.
- Ile ich masz?
- Sześć. Są w fabryce.

Ruszyła szybkim krokiem, a ja poszłam za nią. Przemierzyliśmy podwórze i weszliśmy do budynku fabryki. Żar bijący od pieców do wypalania szkła sprawił, że wyschło mi w ustach. W ryku ognia podążyłam za Opal przez rozgrzane powietrze. Na stole przy tylnej ścianie stało rzędem pół tuzina szklanych zwierzątek. Wszystkie jarzyły się wewnętrznym ogniem.

Opal zapakowała figurki, a ja odliczyłam monety. Gdy wręczała mi paczuszkę, wpadłam na kolejny pomysł.

- Możesz mi pokazać, jak je wytwarzasz? – spytałam.
- Trzeba długo terminować, by się tego nauczyć.
- Nie, nie, chcę tylko zobaczyć, jak to robisz.

– Jasne, więc patrz. – Wzięła półtorametrową stalową rurkę i otworzyła drzwiczki pieca. Z wnętrza buchnęły jaskrawe pomarańczowe światło i intensywny żar, lecz niezrażona tym Opal zanurzyła koniec rurki w wielkim glinianym garnku stojącym wewnątrz pieca, pełnym roztopionego płynnego szkła. Obracając rurkę, zebrała ciągliwą kulkę, wyjęła ją i biodrem zatrzasnęła drzwiczki. Kulka pulsowała rozpalonym do czerwoności światłem, jakby była żywa.

– Ta rurka nosi fachową nazwę piszczel. Trzeba ją nieustannie obracać, gdyż inaczej szkło się zapadnie – powiedziała Opal, niemal zagłuszana przez huk ognia.

Potoczyła kulkę po metalowym stole, by przesunąć ją na koniec dmuchawy, i nadała jej kształt. Wyglądało to tak, jakby do rurki była przyczepiona przezroczysta piłeczka.

Opal, znacznie przyśpieszając działania, położyła rurkę na brzegu stołu i dmuchała w nią. Gdy wydeła policzki, poczułam na ramieniu muśnięcie magicznej energii. Szklanej bańki na przeciwnym końcu nie wypełniło powietrze. Zamiast tego została w niej uwięziona nić magii.

– Powinna się rozszerzyć, ale mnie nigdy nie udaje się do tego doprowadzić – oznajmiła Opal.

Znów podeszła do pieca i nabrała na powierzchnię kulki następny kęs płynnej szklanej masy. Zniosła rurkę na stół warsztatowy, na którym leżały metalowe narzędzia do formowania szkła. Obok stało wiadro z wodą.

Wzięła w prawą rękę stalowe szczypce i zaczęła nimi skubać i ścisnąć kulkę, a jednocześnie lewą ręką przez cały czas obracała rurkę.

– Trzeba się z tym bardzo śpieszyć, gdyż szkło szybko stygnie.

Kulka błyskawicznie przekształciła się w figurkę kota siedzącego na tylnych łapkach. Opal wstała i włożyła rurkę z powrotem do pieca, lecz tym razem tylko obróciła ją nad glinianym garnkiem.

– Należy przez cały czas utrzymywać szkło w bardzo wysokiej temperaturze, gdyż w przeciwnym razie nie można nadawać mu kształtu. – Usiadła przy stole warsztatowym i zamieniła szczypce na większe, długości przedramienia. – To chwytak, wspaniałe uniwersalne narzędzie. Odłamię nim szkło od rurki. – Gdy uznała kształt figurki za zadowalający, znów wzięła do ręki szczypce i zanurzyła je w wiadrze z wodą, a następnie strzepnęła kilka kropli na rurkę. – Nie wolno prysnąć na figurkę. W ten sposób zdejmuje się ją z piszczeli.

Szkło powlekające rurkę zasyczało i pokryła je pajęczyna pęknięć. Opal zniosła rurkę do innego pieca, stojącego obok tego do wypalania. Znajdowały się w nim półki z metalowymi tacami. Uderzyła w rurkę końcem szczypiec i szklany kot spadł na tacę, a wtedy zamknęła drzwiczki.

– Jeśli szkło ostygnie zbyt szybko, wówczas pęka. To piec żarowy. – Wskazała umieszczone pod nim szyny. – Żeby figurka schłodziła się powoli, przez następnych dwanaście godzin będzie się ją powoli odsuwać od pieca.

– Po co dmuchasz w rurkę, skoro nie udaje ci się rozdać szkła?

– To krok, którego nie mogę pominąć. – Uczyniła ręką nieokreślony gest, jakby gorączkowo szukała odpowiednich słów. – Kiedy Mara to robi, wytwarza piękne wazy i butle. Mnie zawsze wychodzą zwierzątka, a jeśli nie dmucham w rurkę, powstaje coś, co w ogóle nie jest do niczego podobne. – Wyjęła narzędzia z wody i osuszyła je, a potem odłożyła na miejsce. Stół warsztatowy musiał być starannie przygotowany do realizacji następnego zadania, gdyż pracując ze szkłem, nie ma czasu na szukanie narzędzi. – Uwielbiam tworzyć piękne przedmioty. Nic temu nie dorówna – powiedziała bardziej do

siebie niż do mnie, po czym dodała: – Praca ze szkłem to zmienianie ognia w lód.

Podziękowałam Opal za ten pokaz i wróciłam do Marroka, który stał oparty o Garneta.

– Mam wrażenie, że różnimy się w rozumieniu zwrotu „niedługo wrócę” – rzucił zamiast powitania. – Czy postanowiłaś znów zmienić plany?

– Owszem. Powinieneś już do tego przywyknąć.

– Tak jest – odrzekł z uśmiechem.

– Czyżbym usłyszała w twoim głosie sarkazm? Zbyt długo przebywałeś w towarzystwie Leifa. Co się stało z tym twardym starym wojakiem, który bez szemrania wykonywał rozkazy?

– Stracił umysł. – Już się nie uśmiechał, był śmiertelnie poważny.
– A kiedy go odzyskał, zmieniły się jego priorytety.

– Na lepsze?

– Czas pokaże.

Dosiedliśmy koni i ruszyliśmy ku zachodniemu skrajowi Równiny Avibiańskiej. Gdy się tam znaleźliśmy, Kiki i Garnet przeszły w swój krok szybki jak poryw wiatru i pędziły płynnie przez wiele kilometrów. Na noc zatrzymaliśmy się poza granicami równiny. Miałam nadzieję, że nasza wędrówka nie przyciągnie niczyjej uwagi. Wciąż jeszcze rozmyślałam o talencie Opal tworzenia wyrobów ze szkła. Lepsze to niż poddanie się rozpacz, co groziło mi, ilekroć pomyślałam o Valku.

Nasza podróż do miejsca spotkania trwała trzy dni. W tym czasie Marrok odkrył ślady przemarszu wielkiej armii, która nadciągnęła od

strony Równiny Avibiańskiej i skręciła na północ w kierunku Cytadeli. Nocami niebo na odległym horyzoncie rozświetlał blask licznych ognisk, a wiatr przynosił zapach dymu palonego drewna.

Ustaliliśmy, że spotkamy się z Księżycowym Człowiekiem i pozostałymi towarzyszami w Sowim Wzgórzu, małej miejscinie na terytorium klanu Featherstone. Leif zapewniał, że właściciel gospody Pod Liściem Koniczyny jest godny zaufania i nie doniesie na nas.

– Jest mi winien przysługę – wyjaśnił.

Sowie Wzgórze leżało na niewielkim wzniesieniu mniej więcej pięć kilometrów na północny wschód od Cytadeli. Z drogi wiodącej do miasteczka widać było cztery wieże Twierdzy Magów. Z Twierdzy bił jaskrawy pomarańczowy blask. Czyżby płonęło domowe ognisko Ognistego Warpera?

Marrok i ja, nadal przebrani za kupców z klanu Krystal, wjechaliśmy do miasteczka. Gospoda Pod Liściem Koniczyny stała w pobliżu skrzyżowania głównych dróg. W sali jadalnej roiło się od ludzi, ale stajnia była wypełniona tylko w połowie. Chłopiec stajenny uznał, że przybyliśmy na wczesną kolację, jako że w gospodzie stale zatrzymywały się kupieckie karawany.

– Dzięki temu podróżnicy zaoszczędzają racje żywnościowe na drogę – wyjaśnił, pomagając mi wytrzeć Kiki. – Poza tym kupcy wolą obozować w pobliżu gospody, zamiast spędzać noc w Cytadeli.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Krążą na ten temat rozmaite niedorzeczne pogłoski, więc sam już nie wiem, w co wierzyć. Ale kupcy powracający z Cytadeli twierdzą, że wszyscy tam boją się tych ludzi z nowego klanu Daviiian i że ci Daviiianie przekonali Radę, aby szykowała się do wojny.

– Z Iksją?

– Nie wiem. Powołują do wojska wszystkich krzepkich mężczyzn. Benn twierdzi, że Daviianie mają konszachty z Iksją i hipnotyzują każdego zwerbowanego rekruta. Zamierzają stworzyć z nich armię, aby zamienić Sycję w iksjański Dziewiąty Dystrykt Wojskowy!

Chłopiec stajenny zrelacjonował mi jeszcze bardziej szalone spekulacje. Wiedziałałam, że komendant nie współpracuje z Daviianami, ale możliwość użycia sycjańskiej armii przeciwko Sycji bardzo pasowała do taktyki stosowanej przez Verminów.

Skończyliśmy oporządzać konie i weszłam do gospody. Marrok już zapłacił za dwa pokoje na noc.

– Kończą się nam pieniądze – oznajmił.

– Czy pozostali już tu są? – zapytałam.

– Ari i Janco siedzą w jadalni. Leif i Księżycowy Człowiek jeszcze nie przybyli.

To mnie zaniepokoiło. Minęło już trzynaście dni, odkąd wyruszyliśmy na ratunek zakładnikom. To wystarczająco dużo czasu, by dowiedzieć się wszystkiego o podziemnym tunelu do Twierdzy Magów.

W odległym kącie jadalni brylowali Ari i Janco. Pili piwo z metalowych kufli otoczeni przez gromadkę kupców, którzy przysłuchiwali się im z powagą, gdy jednak weszliśmy, omietli nas podejrzliwymi spojrzeniami.

Zajęliśmy z Marrokiem stolik na końcu sali. Po pewnym czasie kupcy poszli sobie, a Ari i Janco przysiedli się do nas. Ari ufarbował czarne włosy, obaj przyciemnili cerę.

– Janco, czyżbym widziała na twojej gębusi piegi? – Nie zdołałam się powstrzymać, zachichotałam.

– Nie rzyj jak głupia. To przez to słońce południa. Jest środek zimnej pory, a jednak dni są słoneczne. – Zmierzył mnie wzrokiem. – Chociaż wolę mieć piegi niż świecić łysiną.

– Włosy już mi odrastają. – Przesunęłam dłonią po głowie.

– Dość tego – rzekł surowym tonem Ari, co natychmiast zwarzyło dobry nastrój. – Udało się wam uwolnić zakładników?

Pytanie Ariego przeszło mnie boleśnie, jakby jego słowa były rozpalonymi ostrzami sztyletów. Usiłowałam zebrać myśli i odegnąć dręczący żal, który nie chciał ucichnąć. Marrok spostrzegł, że nie zdołam wydukać choćby słowa, więc opowiedział o zdradzie Tauna, uratowaniu jeńców i śmierci Valka. Nie mogłam znieść refleksu mojego bólu widocznego w oczach przyjaciół. Przeprosiłam ich i wyszłam na zewnątrz.

Powędrowałam przez miasteczko, głęboko wciągając zimne nocne powietrze. Na niebrukowanych ulicach minęłam kilku przechodniów niosących latarnie. Nagle poczułam szarpnięcie za pelerynę i na ramieniu wylądował mój nietoperz. Wpatrzył się we mnie znacząco, a potem odfrunął w lewo. Wrócił, zatoczył krąg wokół mojej głowy i znów poleciał w lewą stronę. Sygnał był oczywisty, więc podążyłam za nim. Dotarliśmy do zrujnowanego budynku.

Nietoperz usiadł na dachu, jakby na coś czekał. Z lękiem otworzyłam spaczoną drzwi, ale w środku były tylko porzucone beczki i połamane koła od wozu. Kiedy już miałam wyjść, potknęłam się o drewnianą kulę. Była to dziecięca zabawka. Podniosłam ją i obejrzałam uważnie. Przecież nietoperzowi zależało, żebym tu coś znalazła lub zobaczyła.

Stłumiłam rosnącą irytację i skupiłam się, by się posłużyć innymi zmysłami. Zamknęłam oczy i wciągnęłam nosem powietrze. Dominował stęchły odór zgnilizny, ale odkryłam też nikłą woń cytryn. Podążyłam za tym czystym zapachem – co nie było łatwe, ponieważ co chwila się potykałam i uderzałam o rozmaite rupiecie – aż wreszcie stanęłam w odległym kącie pomieszczenia. Na skórze poczułam upiorne mrowienie.

– Ukaż się – wyszeptałam odruchowo i otworzyłam oczy.

Rozbłysło przede mną szare światło i przekształciło się w postać młodego chłopca, który siedział na jednej z beczek.

Duch. Zagubiona dusza.

– Gdzie moja matka? – zapytał drżącym cienkim głosem. – Też była chora. Odeszła ode mnie i nigdy nie wróciła, nawet kiedy ją wzywałem.

Podeszłam bliżej. Bijący od niego blask rozświetlał cały pokój. Połamana zardzewiała rama łóżka i inne przedmioty świadczyły, że niegdyś była tu dziecięca sypialnia.

Nietoperz zataczał koła nad głową chłopca. Odgoniłam go i wymamrotałam:

– Tak, tak, wiem. Rozumiem.

Nietoperz pisnął coś z irytacją, co brzmiało jak:

– Nareszcie! – i odfrunął.

Wypytałam chłopca o jego matkę i rodzinę. Jak przypuszczałam, mieszkali tutaj i zmarli przed wieloma laty.

– Wiem, gdzie są – powiedziałam. – Mogę cię do nich zaprowadzić.

Gdy chłopiec uśmiechnął się, wyciągnęłam do niego rękę, a on ją chwycił. Przytuliłam go i wciągnęłam w siebie jego duszę, a potem wysłałam ją do nieba.

To było prawdziwe zadanie Poszukiwaczki Dusz.

Nie ratowanie dusz i zawracanie ich z powrotem do ciał, tylko prowadzenie do miejsca przeznaczenia. W końcu rozbłysło przede mną moje prawdziwe powołanie. Powinnam była uwolnić dusze Stona i Gelsi i posłać je do nieba. Osobowości tych dwojga uległy zmianie na gorsze, ponieważ odmówiono im wiecznego spokoju, przez co byli nieszczęśliwi.

Śmierć nie jest końcem wszystkiego. Wiedziałam, że Valek na mnie czeka, ale nie będzie chciał się ze mną spotkać, dopóki nie dokończę mojego zadania. Muszę odnaleźć wszystkie nieszczęsne zagubione dusze i wysłać je do miejsca przeznaczenia.

Wiedziałam, że na świecie Poszukiwacz Dusz nie zjawił się przez ponad sto pięćdziesiąt lat. Dlaczego więc Sycja nie jest pełna zagubionych dusz? Czyżby były rzadkością?

Znów pomyślałam z determinacją, że muszę znaleźć sposób, by pokonać Ognistego Warpera. Wyszłam z budynku i przystanęłam. Na ulicy unosiło się pięć dusz. Suchy łopot skrzydeł oznajmił powrót nietoperza, który usiadł mi na ramieniu.

– Wezwałś je? – zapytałam. – Czy ja to zrobiłam?

Chyba powinnam była wyraźniej wezwać tego chłopca – albo może teraz nauczyłam się triku, nad którym nie panuję.

W drodze powrotnej do gospody zebrałam i uwolniłam wszystkie dusze, które dostrzegłam. Większość z nich skierowała się do nieba. Jedna męska dusza, która ociekała nienawiścią, opadła z powrotem na ziemię. Zaniepokoiłam się, że Ognisty Warper może ją wykorzystać do powiększenia swej mocy.

Zanim zdążyłam wejść do gospody, za moimi plecami rozległ się tętent. Gdy się odwróciłam, ujrzałam Leifa osadzającego w miejscu Rusałkę. Rozsadzająca go panika dotarła do mnie jeszcze wcześniej niż słowa.

– Schwymano... Księżycowego Człowieka! – wydyszał mój brat.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Weszłam z bratem do sali jadalnej gospody, po czym cała nasza piątka rozpatrzyła wszystkie dostępne fakty.

– W bibliotece gmachu Rady nie znaleźliśmy żadnej wzmianki o tunelu – oświadczył Leif. – Spotkaliśmy starego maga, który ukrywa się przed Verminami. Inny zapewnił nas, że doskonale zna Twierdzę Magów, cały jej plan ma w głowie, ale kiedy zaczęliśmy go wypytywać, podał nam tylko nieistotne i dość mętne szczegóły. Wiedział natomiast, jak wytworzyć neutralizującą tarczę i nauczył mnie tego. Jednak nie powinienem był próbować. Użycie magii zaalarmowało warperów, którzy zaatakowali nas, gdy wychodziliśmy z jego domu.

– Jak udało ci się uciec? – zapytał Janco.

– To było niesamowite – powiedział podekscytowany, żywo gestykulując. – Cisza, spokój, nic się nie dzieje, i nagle otaczają nas Verminowie. Chwila moment – i zwała nas z nóg gromada awanturujących się kupców i wrzeszczących dzieciaków. Powstało olbrzymie zamieszanie. Jakiś mężczyzna chwycił mnie za rękę i wyciągnął z tłumu. Ukrywałem się aż do zapadnięcia zmroku. Jeden z chłopców z Cechu Pomocników powiedział mi, że Księżycowy Człowiek nie zdołał uciec.

– Verminowie dowiedzą się, że tu jesteśmy – stwierdził Ari. – Musimy natychmiast opuścić miasto. Około trzech kilometrów na północ obozuje karawana kupców. Możemy do nich dołączyć.

– Dokąd udaje się ta karawana? – spytałam.

– Jutro mają dostarczyć towary do Cytadeli, a potem ruszą na południe, na tereny klanu Greenblade. A co?

– Och, nie! – zawołał Leif. – Ona znowu ma w oczach ten błysk. Co ty knujesz, siostrzyczko?

– Musimy się dostać do Twierdzy.

– To niemożliwe, bo otacza ją powłoka ochronnej magii. Nie zdołamy znaleźć wejścia do tunelu. Kilku warperów już osiągnęło mistrzowski poziom magicznej mocy. Jesteś potężna, ale daleko ci do nich. Natychmiast cię złapią. – Leif skrzyżował ramiona na piersi, jakby jego słowa zamykały dyskusję.

– To świetny pomysł – stwierdziłam.

– Jaki? – zapytał zdezorientowany Leif.

Zignorowałam go, zwróciłam się natomiast do przyjaciela:

– Ari, czy ludzie w Cytadeli są już gotowi do buntu?

– Są zorganizowani, mają trochę broni i wspiera ich kilku magów. Wprawdzie wolałbym jeszcze ich podszkolić przez parę dni, ale nie ma na to szans. Tak, Yeleno, są gotowi... na ile to możliwe.

– Czy kupcy z karawany pożyczą nam jeden ze swych wozów? – spytałam.

– Da się to załatwić. – Janco uśmiechnął się lekko. Zrozumiał, co planuję. – Jeśli dostarczymy cię do Twierdzy, to będziemy mogli zatrzymać tych pięć sztuk złota nagrody?

– Tylko pod warunkiem, że nas stamtąd wydostaniecie – odparłam.

– Chytry plan, choć szanse powodzenia niewielkie... – Mimo tych słów, Janco się rozpromienił. – Ale co tam, stanę po stronie przegranych.

– Niewielkie? W ogóle nie mamy żadnych szans. To samobójstwo – stanowczo stwierdził Leif.

– Spójrz na to od tej strony, że ta operacja ostatecznie zakończy nasz spór – rzekłam do niego.

– Jak to?

– Jeśli zginiemy, ty miałeś rację, a jeśli przeżyjemy, to znaczy, że ja.

– Rzeczywiście. Bardzo mi ulżyło.

– Sarkazm szkodzi duchowi współpracy – ofuknął go Janco.

– Naprawdę sądzisz, że nam się uda, Yeleno? – rzucił gniewnie Ari.

Nic nie odpowiedziałam. Po drugiej stronie czeka Valek. To będzie moja nagroda.

Opuściliśmy miasteczko. Kupcy z karawany zgodzili się, żebyśmy do nich dołączyli. Przez niemal całą noc przerabialiśmy nasz wóz. Kiedy skończyliśmy, omówiliśmy plan na następny dzień.

– Marrok pojedzie na Garnecie. Janco może wziąć Kiki, a ty, Ari, będziesz powoził. Bez względu na to, co się wydarzy, postaraj się, żebyśmy dotarli do bramy Twierdzy – poleciłam.

– Rozkaz.

– A co z tobą i ze mną? – spytał Leif.

– My jesteśmy ładunkiem. – Powiedziałam to z niejakim

obrzydzeniem. Dałabym wiele, żeby nie chować się ponownie w skrzyni, jednak nie było innego sposobu. – Jestem przepustką, tylko w ten sposób Ari wprowadzi nas do Twierdzy. Zażąda pięciu sztuk złota nagrody, gdy przekaze mnie Verminom.

– Nigdy nie sądziłem, że zatęsknię za czasami, gdy byłem przynętą dla węży boa – rzekł Leif.

– No dobra, wchodzimy do Twierdzy, i co dalej? – spytał Ari.

– To będzie sygnał dla mieszkańców Cytadeli do rozpoczęcia powstania, które powinno zaabsorbować większość, o ile nie wszystkich Verminów i warperów.

– Rozumiem, tylko jak sobie poradzimy z najpotężniejszymi warperami? – spytał Leif.

– Potrafisz wytworzyć tarczę neutralizującą?

– Tak – odparł po chwili wahania.

– Kiedy wybuchnie bunt, niech wszyscy magowie przybędą pod bramę Twierdzy i pomogą ci stworzyć i utrzymać tarczę neutralizującą – powiedziałam.

– Wiesz przecież, że nie przetrwa długo.

– Potrzebuję tylko trochę czasu.

– Na co?

– Żeby dotrzeć do Ognistego Warpera.

– Potrafisz go pokonać? – Brat patrzył na mnie ni to z podziwem, ni to z niedowierzaniem.

– Nie.

– Więc powtórz mi jeszcze raz, dlaczego to nie jest samobójcza misja.

– Myślę, że mogę mu przeszkodzić i zatrzymać go w ognistym świecie. A gdy to osiągnę, być może uda mi się wyciągnąć z warperów trochę magicznej energii. Jeżeli Bain i Irys nadal żyją, a ty zdołasz zgromadzić naprawdę wielu magów, powinniście zwyciężyć warperów.

– W tym planie jest mnóstwo „jeżeli” i „być może” – skomentował Janco.

– I żadnego „kiedy” – dodał Ari.

– A więc kiedy? – spytał Leif.

– Gdy ona wróci. – Ari wlepił we mnie wzrok. – Właśnie wtedy, prawda, Yelena? Kiedy wrócisz, tak?

– Mogę zatrzymać go w ognistym świecie tylko w ten sposób, że sama też tam zostanę. – Te słowa miały w moich ustach gorzki smak popiołu. Planowanie takiego ekstremalnego posunięcia było całkiem czymś innym niż złożenie oświadczenia na głos. Gdy wypowiedziałam te słowa, mój zamiar stał się nieodwołalną decyzją. Ale będzie tam Valek i ja go odnajdę. W tej kwestii nie ma żadnych „jeżeli” ani „kiedy”.

– Nie, siostrzyczko! – żywo zaprotestował Leif. – Potrafisz układać niezwykle pomysłowe plany, jesteś w tym najlepsza. Musi istnieć jakiś inny sposób.

– Nie tym razem.

Wszyscy milczeli.

Miałam już zaproponować, żebyśmy się trochę przespali, gdy brat spytał:

– A co będzie, jeśli nie zdołamy pokonać warperów?

W odpowiedzi dobiegło nas zza wozu:

– Wtedy bardzo wam się przyda ktoś odporny na magię.

Popatrzyliśmy po sobie. Wszystkim cisnęło się na usta pytanie: „Czy to głos ducha?”.

– Chociaż tym razem będę wdzięczny, jeśli mnie nie zostawicie – rzekł Valek, ukazując się nam.

Wyglądał jak żywy, jak z realnego świata. Po minie widać było, że jest i rozbawiony, i zirytowany. Na łysej głowie połyskiwała niska księżycowa poświata. Ubrany był jak członek klanu Bloodgood, to znaczy w brązowe spodnie i tunikę.

Gdy wciąż zszokowana z niedowierzaniem wyciągnęłam rękę, żeby go dotknąć, żarliwie przygarnął mnie do siebie. Mój świat wypełniły bez reszty widok, zapach i bliskość Valka.

Mogłyby minąć sekundy, minuty, dni czy pory roku, a ja w ogóle bym o to nie dbała. Kurczowo przywarłam do niego, jakbym stała na skraju przepaści. Słyszałam bicie jego serca współgrające z waleniem mojego, jakbyśmy stanowili wspólny krwiobieg. Wtuliłam się w Valka z całej siły, pragnąc stopić się z nim, by nie dzieliło nas już nic, nawet powietrze.

Ogarnęły mnie bezbrzeżna ulga i oszałamiająca radość, rozwiały się ból i żal... i nagle przypomniałam sobie obietnicę daną Ognistemu

Warperowi. Wówczas znów zalała mnie fala krańcowego smutku. Moja nagroda za opiekę nad Ognistym Warperem będzie musiała zaczekać. Lepiej mieć Valka na tym świecie.

Wzięłam się w garść. Wszyscy oddalili się, pozostawiając nas samych. Wargi Valka odnalazły moje usta. Nasze dusze zlały się w jedność, wypełniła się pustka ziejąca w moim sercu.

Oderwał się ode mnie bez tchu.

– Powoli, kochanie. – Jego zdyszany oddech przeszedł w kaszel.

– Jak zdołałeś przeżyć pożar? – spytałam. – Dach runął, a ty nie...

– Wydarzyły się dwie rzeczy jednocześnie... a przynajmniej tak myślę. – Posłał mi ironiczny uśmiech. – Kiedy wynosiłem Gale, runął dach. Wskutek impetu zawałowała się podłoga, a my wpadliśmy do piwniczki. – Skrzywił się, gdy potarł żebra.

– Jesteś ranny, a ja nie mogę cię uleczyć! – zawołałam zdesperowana, widząc paskudne obrażenia na czole i skroni.

– Tylko posiniaczony. – Ostrożnie przesunął dłonią po głowie. – Ogłuszyła mnie spadająca belka. Najpewniej bym zginął od dymu i ognia, ale Gale otoczyła nas bańką chłodnego powietrza. Mocno dostała deską z walącej się ściany, ale odzyskała przytomność i użyła magii. Wyczarowała wokół nas poduszkę powietrzną, dzięki czemu płonące szczątki stodoły nie zasypały naszej piwniczki.

– Dlaczego nie znalazłam cię nazajutrz rano? Dlaczego nie wołałeś o pomoc?

– Przykrywał nas zwalony dach, a ty nie mogłaś nam pomóc, dopóki nie wygaśnie ogień. – Znów delikatnie obmacał żebra. – Brakowało mi powietrza, by krzyczeć, a Gale potrzebowała całej

energii, żeby utrzymać nas przy życiu.

– Dlaczego nie mogła zdmuchnąć płomieni? Albo ocalić dzieci?

– Jej magiczne zdolności są ograniczone. Zdaje się, że czerpie energię wyłącznie z tańca podczas sztormów. – Wskazał ręką obok wozu. – Możesz ją zapytać, przyprowadziłem Gale ze sobą. – Na moje pytające spojrzenie dodał: – Potrzebujemy wszelkiego możliwego wsparcia.

Rzeczywiście, za wozem była Gale, przytrzymując wodze Onyksa i Topaza. Kiki już ich znalazła i trącała nosem Topaza. W pobliżu stał Garnet. Gale czuła się niepewnie otoczona przez konie, na jej twarzy malował się niepokój.

– Czy dowiedziałeś się czegoś jeszcze? – spytałam Valka.

– Tak. Tego, że kiedy się jest półnagim, znalezienie jakiegoś ubrania okazuje się trudniejsze, niż mogłoby się zdawać. A także tego, że spłoszone konie potrafią odbiec całkiem daleko w niewłaściwym kierunku, zanim się je odszuka. – Przyjrzał się wierzchowcom. – Onyks i Topaz są szybkie, ale kiedy naprawdę się śpieszysz, nie ma jak koń z hodowli klanu Sandseed. A chociaż zboczyliście do Booruby, niełatwo przyszło mi was dogonić.

– Mogłeś mnie powiadomić, że nic ci się nie stało. Na pewno był jakiś sposób, by to zrobić. Przez ostatni tydzień opłakiwałam twoją śmierć.

– Więc teraz już wiesz, jak się czułem, gdy wskoczyłaś do płonącej stajni. I wiesz, jak się będę czuł, jeśli nie powrócisz z walki z Ognistym Warperem.

Otworzyłam usta, a potem znów je zamknęłam.

– Podśluchiwałaś – wyjąkałam w końcu.

– Miałem nadzieję usłyszeć, jak wszyscy wspomnacie z żalem moje liczne zalety. Chciałem usłyszeć, jaki jestem mądry, szlachetny i bezinteresowny, a także to, że pod tym słońcem nie ma równie wspaniałego wojownika i kochanka. Chciałem usłyszeć, że niejaki Valek już za życia stał się legendarną postacią. – Łypnął na mnie okiem. – Lecz wy zamiast tego spokojnie omawialiście plany na jutro. To naprawdę interesujące przekonać się, że życie tak czy siak toczy się dalej. – Spowaźniał, patrząc na mnie intensywnie. – Kochanie, wiem, co to za plan... ekstremalny, jednym słowem... ufam jednak głęboko, że wymyślisz jakiś sposób, by stamtąd powrócić.

– Nie jestem wystarczająco bystra. – Serce ścisnęło mi okropne poczucie niemocy. – Za mało wiem o magii! – wrzasnęłam. – I pewnie nikt nie wie o niej więcej. Poruszamy się na oślep, używamy jej i nadużywamy. Wszyscy tak robimy!

– Naprawdę tak sądzisz?

– Tak... – Uspokoiliłam się nieco. – Chociaż przyznaję, że jestem hipokrytką. Gdy tylko napotykam jakiś kłopot, natychmiast uciekam się do magii. – Prowadzenie dusz do miejsca przeznaczenia właściwie w ogóle mnie nie osłabiało, w każdym razie nie tak bardzo, jak posługiwanie się magią. Nie czerpałam wówczas ze źródła magicznej mocy. To było coś całkiem naturalnego, jak oddychanie. – Kiedy myślę o magii, widzę tylko szkody, które powoduje w tym świecie.

– A zatem nie patrzysz tam, gdzie powinnaś.

– Och, lepiej zamilcz... – Mogłabym dodać: wymądrza się ktoś całkowicie odporny na wpływ magii! A ja widziałam rytuał kirakawy, krwawą magię, demoralizację władzy, masakrę klanu Sandseed i udręczone dusze. Trzeba położyć temu kres!

Valek przyjrzał mi się uważnie.

– Pomyśl o tym, co powiedziałaś o magii komendantowi.

– Tak, tak... Nie rozumiesz? Zgadza się z nim, że magia deprawuje.

– Więc dlaczego przekonywałaś go, że magia może pomóc w wykorzystaniu energii burz śnieżnych i ocalić jego ludzi, zamiast dyskutować o możliwości wykorzystania magicznej energii jako broni? Jeśli magia deprawuje, to dlaczego nie zdeprawowała ciebie? Albo Irys, Księżycowego Człowieka czy Leifa?

– Nie pozwoliliśmy jej na to.

– Właśnie! A zatem macie wybór.

– Jest obowiązek, twarda moralność, ale i jest pokusa. Strasznie silna pokusa. Władza uzależnia. To tylko kwestia czasu, by pójść tą drogą.

– No tak! Sycja od wieków walczy z warperami, chociaż trudno się tego domyślić, gdy się popatrzy na panujące tu pokój i pomyślność. – Słowa Valka wprost ociekały sarkazmem. – Zastanówmy się, jak dawno magowie ostatni raz wykorzystali krwawą magię? Zdaje się, że Księżycowy Człowiek wspominał o dwóch tysiącach lat. A zatem masz rację. To tylko kwestia czasu. Kwestia dwóch tysięcy lat. Bez wahania zgodzę się na taki przedział czasowy.

– Nawet nie przypuszczałam, że potrafisz być tak irytujący.

– Wiesz, że mam rację.

– Łatwo bym ci dowiodła, jak bardzo się mylisz. Mogę zostać zdemoralizowana przez magiczną moc. – Teraz z kolei ja zerknęłam na

niego.

Valek popatrzył na Janca i pozostałych. Skupili się wokół ogniska i starali się zachowywać jak gdyby nigdy nic, ale wiedziałam, że przysłuchują się uważnie każdemu słowu.

– Nie przy dzieciach, kochanie – rzekł. – Ale trzymam cię za słowo.

Noc minęła w okamgnieniu. Skończyliśmy przysposabiać wóz i zmodyfikowaliśmy nasze plany, uwzględniając w nich Valka i Gale.

Pozostali przyjęli powrót Valka bez zbytnej emocji, chociaż Janco wygłosił kpiący komentarz na temat jego utraconych włosów:

– Zauważyliście, jak czasami pary bardzo się do siebie upodabniają?

Valek zripostował, zachowując powagę na twarzy:

– W rzeczy samej. Właśnie myślałem o tym, że ty i Topaz jesteście do siebie uderzająco podobni.

Ari zachichotał z urażonej miny przyjaciela, a potem oznajmił:

– Karawana niebawem wyrusza. Które miejsce w szeregu ma zająć nasz wóz?

– Z tyłu, ale nie na samym końcu – polecił Valek. – Kiedy znajdziemy się poza zasięgiem wzroku wartowników przy bramie Cytadeli, skierujemy się ku Twierdzy Magów.

– Rozkaz. – Ari wyprężył się po wojskowemu.

Objęłam spojrzeniem naszą grupkę. Marrok przyglądał się

Valkowi z niechęcią, ale przybrał postawę żołnierza oczekującego rozkazów. Leif nerwowo przygryzał wargę. Gale pobladła ze strachu, ale z determinacją zacisnęła usta. Wyznała mi, że jej magiczna moc jest słaba w porównaniu z tą, którą dysponują Tancerze Burz z jej klanu, ale potrafi wywołać wiatr i wzbić wystarczająco dużo pyłu, by zdezorientować Daviian.

– Nie wiemy, co napotkamy w Twierdzy. Ściśle wypełniajcie rozkazy, nawet jeśli wydadzą się wam bezsensowne – powiedziałam.

– Tak jest – odpowiedzieli chórem wszyscy, nawet Gale.

Zanim zajęliśmy pozycje, wręczyłam trzy szklane zwierzątka od Opal Leifowi, a pozostałe trzy Gale.

– Po co nam one? – spytał brat.

– Zatrzymajcie sobie po jednym, a resztę rozdajcie Księżycowemu Człowiekowi, Irys, Bainowi i Daksowi, o ile jeszcze żyją. – Wzdrygnęłam na myśl o najgorszym. – Myślę, że za pomocą tych figurek będę mogła skontaktować się z wami, gdy znajdę się w ognistym świecie.

Leif popatrzył na mnie ze smutkiem, ale odwróciłam się, zanim zdołał cokolwiek powiedzieć.

– Dalej, wy pierwsi. – Wskazałam wóz.

Leif, Gale i Valek ukryli się w trzech skrzyniach na spodzie. Umieściliśmy na nich kupieckie towary oraz jeszcze jedną skrzynię, do której się schowałam.

Kiedy Marrok zamknął wieko i położono na wierzchu stertę dywanów, ogarnęła mnie panika, serce zaczęło szaleńczo łomotać w piersi, a gardło ścisnęła strach. Gdy wóz ruszył, zapragnęłam wydostać

się na zewnątrz. Czułam się uwięziona w pułapce. Pozostali mogli wyjść ze skrzyń przez ukryte klapy, które zamontowaliśmy w podłodze wozu, ale ja nie. To się nie uda, pomyślałam z rozpaczą. Verminowie odkryją nas, jeszcze zanim zdołamy dotrzeć do Twierdzy. A co stanie się potem?

Kilka razy odetchnęłam głęboko, by się opanować. Schwytają nas i zostanę oddana na pożarcie Ognistemu Warperowi, jak tego chciałam. Stracimy tylko element zaskoczenia. Przydałby się nam, uważałam jednak, że nawet z nim szanse pozostałych na przeżycie potyczki z Verminami są niemal równe zeru.

Te ponure rozmyślania jeszcze bardziej mnie rozstrajały, porzuciłam je więc i skupiłam uwagę na kołysaniu wozu. Miałam za sobą długą i wyczerpującą noc, toteż po pewnym czasie usnęłam.

Obudził mnie nieznany mi głos. Staliśmy, a z dobiegających słów wywnioskowałam, że dotarliśmy do północnej bramy Cytadeli. Ktoś z dużą siłą uderzył pięścią w moją skrzynię. Podskoczyłam i zacisnęłam usta, żeby nie krzyknąć.

– Co jest w środku? – zapytał strażnik.

– Najcieńsze jedwabne prześcieradła utkane w klanie Moon – odpowiedział kupiec. – Może chcesz nabyć jeden komplet? Tylko dotknij tego gładkiego materiału, a zyskasz pewność, że twoja żona bardzo się ucieszy.

– Nie muszę wydawać miesięcznej pensji, żeby spędzić noc z własną żoną – wesoło odparł strażnik. – Właśnie dlatego ją poślubiłem. – Śmiechy ucichły, gdy zaczął wypytywać kupca o powód jego przyjazdu do Cytadeli.

Miałam wrażenie, że upłynęły godziny, zanim wóz znów ruszył. Gdy Ari przyśpieszył, odgadłam, że odłączyliśmy się od karawany.

Dobiegły mnie odgłosy z targu i wóz zwolnił. Ari zawołał do straganiarzy, by ruszyli z wieścią o rychłym powstaniu. Spiskowcy mają czekać na sygnał. Walki wybuchną, kiedy nasz wóz wjedzie do Twierdzy.

Skreśliśmy za róg i nagle zatrzymaliśmy się gwałtownie. Ari zaklął, usłyszałam wokoło tętent wielu koni. Znajomy głos zawołał:

– O nie, to się wam nie uda!

Cahil...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

A zatem Cahil i jego ludzie nas wytropili. Uwięziona w skrzyni, mogłam jedynie czekać na nieuniknione. Miałam nadzieję, że Valek i pozostali mimo wszystko zdołają się wymknąć.

– Jak sądzę, macie tu gdzieś ukrytą w wozie Yelenę – rzekł Cahil.

– Kogo mamy, panie? – zapytał Ari, udając niewiniątko. – Wiozę tylko towary na targ.

– Na targ? Ciekawe, bo go minęliście, nawet się nie zatrzymując, żeby rozładować wóz. Mimo waszych przebrań i nieudolnych prób wyjaśnienia obecności w Cytadeli, wiem, kim jesteście i po co tu przyjechaliście. Mam rozkaz doprowadzić was do Twierdzy Magów.

Usłyszałam skrzypnięcie, gdy Ari poruszył się na ławeczce. Wychwyciłam też cichy szelest. Przypuszczalnie to Valek otworzył klapę.

– Spokojnie – rzucił Cahil. – Nie jestem tu po to, by was pojmać, tylko dołączyć do was. I kierując się dobrem nas wszystkich, bardzo liczę na to, że macie jakiś sensowny plan działania.

Dobrą chwilę trwało, zanim dotarł do mnie sens jego słów. Czyżby naprawdę powiedział, że chce się do nas przyłączyć?

– Plan, panie? – powtórzył Ari.

Cahil parsknął z irytacją, po czym zawołał z irytacją:

– Yelena! Leif! Wyjdźcie i powiedzcie waszemu mocarnemu przyjacielowi z północy, że mówię prawdę. Uwierzcie w moje dobre intencje. Przecież moi ludzie nawet nie dobyli...

Rozległ się głuchy odgłos, a potem okrzyk zdziwienia. Ari zszedł z wozu i ściągnął dywany z mojej skrzyni. Wieko się uniosło. Ścisnęłam w rękę nóż sprężynowy, ale uspokoiłam się nieco, widząc rozbawioną minę Ariego. Pomógł mi wstać. Valek przyciskał sztylet do gardła Cahila, którego ludzie pozostali w siodłach. Wyglądali na spiętych i zaniepokojonych, ale żaden z nich nie wyciągnął broni. Leif i Janco dołączyli do Ariego, wszyscy trzej dobyli mieczy. Marrok nadal siedział na Garnecie.

– Przekonaj mnie, dlaczego nie miałbym poderżnąć ci gardła – rzekł Valek do Cahila.

– Beze mnie nie dostaniecie się do Twierdzy. – Stał nieruchomo z rękami w górze.

– Skąd ta nagła zmiana frontu? – spytałam.

Cahil spojrzał mi w oczy. W jego wzroku wciąż pałała nienawiść, lecz dostrzegłam również ból zdrady.

– Miałaś rację – rzekł z wysiłkiem, jakby każde słowo sprawiało mu cierpienie. – Posłużyli się mną, a potem... – Urwał.

– A potem co? – przynagliłam.

– Zaczęły się morderstwa i krwawe rytuały, które rychło wymknęły się spod kontroli. Nie chciałem już dłużej brać w tym udziału. – Spojrzał na Marroka. – Nie wychowano mnie na zabójcę, lecz na przywódcę. Zdobędę należny mi tron w tradycyjny, staroświecki sposób.

Wprawdzie Marrok wciąż miał zacięty wyraz twarzy, ale trochę się odprężył.

– Skąd mamy wiedzieć, że mówisz prawdę? – sceptycznym tonem rzucił Ari.

– Yelena to wie dzięki swojej magii.

– Nie mogę jej użyć – zaproponowałam. – To by zaalarmowało Jala i naraziło na ryzyko nasze działania.

– Ona już wie, że tu jesteście. Wiele razy pokrzyżowaliście jej plany, chociaż obecnie byłoby to trudne, ponieważ dzięki rytuałowi kirakawy zyskała niewiarygodnie wielką magiczną moc.

– Ona? – zawołaliśmy chórem Valek i ja.

– Sądziliśmy, że Jal to Gede – dodałam.

Zdumiony Cahil przez chwilę patrzył na nas, wreszcie spytał:

– Naprawdę nie wiedzieliście? Czego jeszcze nie wiecie? Przecież planowaliście atak na Twierdzę Magów! Myślałem, że macie wszystko rozpracowane.

– Więc się myliłeś – odparłam poirytowana. – Musieliśmy spekulować, przyjmując jakieś założenia na temat tego, co się dzieje w Twierdzy.

– A zatem dowiodę wam mojej lojalności. Wszystko opowiem, a potem pomogę wam dostać się do środka. Zgoda?

Valek i ja porozumieliśmy się wzrokiem.

– Czy nadal mam go zabić? – zapytał.

– Tak, przy pierwszej oznace zdrady – odparłam twardo.

– A gdy cała ta sprawa już się skończy?

– Wówczas decyzja będzie należała do ciebie.

Cahil popatrzył na nas.

– Chwileczkę! Ryzykuję życie, żeby wam pomóc, więc chcę dostać jakieś gwarancje.

– Doszliśmy do punktu, w którym nikt z nas nie ma żadnych gwarancji – odparłam.

– To niezbyt pocieszające – stwierdził Cahil.

– I nie miało takie być. Kiedy igrasz z ogniem, powinieneś wiedzieć, co ci grozi. To, że w końcu sam spłoniesz. A teraz powiedz nam wszystko, co wiesz – poleciłam.

Valek odsunął sztylet od gardła Cahila i cofnął się. Cahil uważnie omiół wzrokiem otoczenie. Zgromadził się wokół nas spory tłum, ale spostrzegłam z ulgą, że nie ma w nim ani jednego Vermina. Tylko dlaczego? Zapytałam o to Cahila.

Rzucił mi sardoniczny uśmiech.

– Wszyscy Verminowie są w Twierdzy ponieważ Roze planuje ogromny rytuał kirakawy. Chce złożyć w ofierze tylu magów, ilu zdoła schwytać, by za jednym zamachem wzmocnić nie tylko swoją magiczną potęgę, ale i wszystkich jej ulubionych warperów. A ty masz być głównym daniem.

Ze zgrozy krew zakrzepła mi w żyłach.

– Roze?

– Tak, Roze Featherstone. – Cahil spojrzał na mnie z wyższością, komentując w ten sposób moją głupotę, jako że sama na to nie wpadłam.
– Pierwsza magini znana również jako Jal lub Jalila Daviian, pierwsza warperka i założycielka klanu Daviian.

Leif zbladł jak ściana.

– Jak to? Dlaczego?

– Nie miałem o niczym pojęcia, dopóki nie schwytano Ferdego. Roze poprosiła mnie, żebym go uratował w zamian za poparcie przez Radę inwazji na Iksję. Sądziłem, że to sekretna misja mająca na celu ustalenie, kto jeszcze stoi za jego próbą zdobycia władzy nad Sycją. Jednak muszę wyznać, że gdy odkryłem prawdę o Roze i innych warperach, wcale mnie to nie obeszło. Roze przyrzekła, że zaatakuje Iksję i uczyni mnie królem.

– Ilu warperów jest w Twierdzy i kim są przyszłe ofiary rytuału? – spytałam.

– Jest tam sześcioro nadzwyczaj potężnych warperów, w tym Roze i Gede. Starannie dobierali tych, których magiczna moc ma zostać spotęgowana. Udzielili kluczowych informacji o rytuale kirakawy tylko kilku wyselekcjonowanym osobom. Jest tam też pięćdziesięciu daviiańskich żołnierzy oraz dziesięciu warperów obdarzonych mniejszą magiczną mocą. Dwóch spośród nich ma uzyskać poziom mistrzowski w trakcie wielkiego rytuału. Jego ofiarami będzie troje mistrzów magii uwięzionych w celach Twierdzy, a także Księżycowy Człowiek i sycjańscy radni.

– A co ze studentami?

– Starszych praktykantów osadzono w więzieniu, a młodszy ze strachu podporządkowali się Daviianom.

– Jak Roze zamierza zapanować nad mistrzami magii?

– Dysponuje wystarczającą magiczną mocą, by tego dokonać, ale sądzę, że dla zaoszczędzenia sił sparaliżuje ich kurarą, a dawka theobromy osłabi ich mentalne bariery obronne.

– Wygląda na to, że Daviianie mają nieograniczone zapasy kurary
– rzekłam zamyślona.

– Dostarcza im ją Gede Daviian. Pomagał też zwerbować do klanu Daviian niezadowolonych członków klanu Sandseed, a kiedy pozyskał wsparcie Ognistego Warpera, zdobył bardzo mocną pozycję.

– No tak... – Przez chwilę analizowałam te informacje. – Jak zamierzasz wprowadzić nas do Twierdzy?

– Jako moich więźniów. Roze wie, że pojechałem was odnaleźć. Przyprawdę cię do niej, Yeleno, a ponieważ moje uczucia wobec ciebie się nie zmieniły, wcale nie będę musiał udawać, że cię nienawidzę. Nie wyczuwszy niczego podejrzanego, Roze prawdopodobnie poleci mi, abym zabrał pozostałych... – wskazał na Ariego i Janca – do więzienia.

– Dlaczego miałabym z tobą współdziałać?

– Ponieważ będę miał Leifa i zawrzemy układ, że zapewnię mu bezpieczeństwo w zamian za twoją współpracę.

Szybko przebiegłam w myśli możliwe opcje. Po raz pierwszy poczułam nadzieję, że moi przyjaciele ocaleją, po czym powiedziałam:

– Cahilu, gdy udasz się do więzienia, czy możesz uwolnić wszystkich jeńców?

– O ile ktoś odwróci uwagę Roze.

– Jaki masz plan, kochanie? – spytał mnie z uśmiechem Valek.

Powoli zbliżyliśmy się do bramy Twierdzy. Siedziałam przed Cahilem na jego koniu. Ari i Marrok jechali na wozie, mając ręce skrępowane na plecach. Valek i Janco ukryli się w skrzyniach na spodzie, a Leif jechał na Kiki razem z siedzącym za nim jednym z ludzi Cahila uzbrojonym w nóż.

Nie musiałam wcale udawać lęku i niepokoju o moich przyjaciół, jednak bez wahania przejechaliśmy przez bramę. Wcześniej Ari polecił mieszkańcom Cytadeli, żeby odczekali dziesięć minut, a potem rozpoczęli szturm na wrota Twierdzy. Dziesięć minut dla Cahila i pozostałych na uwolnienie więźniów oraz dla mnie na wskoczenie w ogień. Miałam nadzieję, że tyle nam wystarczy.

Wóz ominął budynek administracyjny i dojechał do miejsca, gdzie kwatery praktykantów tworzyły krąg z wolną przestrzenią pośrodku. Minęła nas szybkim krokiem grupka studentów. Wzrok mieli wbity w ziemię, zachowywali się tak, jakby całkowicie pochłaniały ich jakieś obowiązki.

Trawiasta dolina całkowicie zmieniła wygląd. Patrzyłam zszokowana na jałowy ugór. Spodziewałam się ogniska, ale nie tego, że trawa zostanie przysypana piaskiem zbrukanym brązowo-czerwonymi plamami krwi, a w ziemi będzie tkwiło mnóstwo pali.

Spoglądałam na pole śmierci rytuału kirakawy. A następna ofiara była już związana i przygotowana.

Jej brzuch, nogi i ręce pokrywały krwawe rany. Choć Księżykowy Człowiek cierpiał potworny ból, jednak zdołał się uśmiechnąć.

– Wreszcie możemy zacząć imprezę – powiedział.

Roze spoglądała na niego z marsową miną, gdy wił się w męce. Stała tuż przy nim, mając obok siebie Gedego. Inni warperzy otaczali kręgiem ognisko, przyglądając się wszystkiemu drapieżnym wzrokiem.

– Widzę, Cahilu, że wreszcie udało ci się czegoś dokonać – rzekła.
– Przeprowadź ją tutaj.

Cahil zeskoczył z siodła i chwycił mnie w pasie. Wiedział, że nie musi pomagać mi zsiść z konia, więc widocznie miał w tym jakiś ukryty cel. Pozwoliłam, by ściągnął mnie z siodła i cisnął na ziemię.

– Gdzie chcesz być? – spytał szeptem, gdy szarpnięciem stawiał mnie na nogi.

– Możliwie jak najbliżej ognia.

– Naprawdę? – rzucił z niedowierzaniem.

– Tak – potwierdziłam, chociaż moje walące serce odpowiedziało co innego: „Nie! Uciekajmy stąd!”.

Cahil mocno złapał mnie za ramię i pociągnął w kierunku Roze. Zatrzymaliśmy się metr od ogniska. Bił od niego żar. Poczułam, że pot spływa mi po plecach.

Roze skinęła na dwóch warperów.

– Jest jeszcze dwoje ukrytych w skrzyniach. Przeprowadźcie ich.

Warperzy i kilku żołnierzy podeszli do wozu. Usłyszałam łomot i przekleństwa, a potem Janca i Gale wywleczono ze skrzyń.

– Są tu trzy skrzynie, ale jedna jest pusta! – zawołał warper.

Gdy Roze popatrzyła na mnie pytająco, wyjaśniłam zgodnie z prawdą:

– Trzecia była dla mnie. Miałam dostać się w niej do Cytadeli. – Skupiłam się na aktualnej sytuacji. Nie pozwalałam sobie na rozmyślanie o Valku.

– Czy zdajesz sobie sprawę, Yeleno, że z tej odległości twoje mentalne bariery obronne są tylko cienką skorupką? Przejrzę na wylot każde twoje kłamstwo, zanim jeszcze powstanie w twoim umyśle. Pamiętaj o tym.

Skinęłam głową, zarazem wzmacniając mentalną barierę.

Roze się roześmiała i rozkazała żołnierzom zabrać pozostałych do więzienia.

– Później się nimi zajmę – oznajmiła.

Kiedy wóz zniknął z zasięgu wzroku, przyjrzała się badawczo mnie i Cahilowi, po czym powiedziała, marszcząc czoło:

– Zbyt łatwo dałaś się schwytać. Czyżbyś miała mnie za głupią? Ale to nieważne. Wystarczy, że odrobinę zwiększę magiczną moc, i od razu się dowiem, co knujesz.

Jej potężna magia wdarła się w mój umysł. Myślałam tylko o ocaleniu Księżycowego Człowieka, Leifa i pozostałych, gdy usiłowałam mentalnie odeprzeć atak Roze. Lecz to mi się nie udało. Aby odwrócić jej uwagę, zapytałam:

– Dlaczego?

– Sprytna próba, Yeleno.

Magia Roze skruszyła moje obronne bariery i przejęła kontrolę nad ciałem.

– Jesteś już w mojej władzy – dodała Roze. – Sycja została uratowana.

– Uratowana przede mną? – Przynajmniej wciąż jeszcze mogłam mówić. Nawet dysponując aż tak niewiarygodną magiczną potęgą, Roze mogła kontrolować tylko albo moje ciało, albo mój umysł, ale nie jedno i drugie jednocześnie.

– Przed tobą, komendantem, Valkiem – odrzekła. – Teraz naszemu sposobowi życia już nic nie zagraża.

– Osiągnęłaś to, mordując Sycjan i stosując krwawą magię.

– To niewielka cena za nasz trwały dobrobyt. Nie mogłam pozwolić, by komendant na nas najechał. Ponieważ Rada lekceważyła to zagrożenie, stworzyłam klan Daviian, naszą tajną broń, której w razie potrzeby będziemy mogli użyć. To się powiodło. W końcu Rada przyznała mi rację – zakończyła Roze z triumfalnym błyskiem w oczach.

Poprzez łączącą nas mentalną więź wyczułam, że nie pojmuje całej prawdy albo świadomie ją ignoruje.

– Daviianie zmusili radnych, by cię poparli. Porwali ich dzieci. – Po tych moich słowach na twarzy Roze odbił się gwałtowny gniew. Obrzuciła Gedego jadowitym spojrzeniem. Roztropnie milczał, ale jego mięśnie się napięły. Ja natomiast spytałam: – Jesteś pewna, że panujesz nad Daviianami?

– Oczywiście, a kiedy wybierzemy nową Radę, zaatakujemy Iksję i wyzwolimy jej obywateli. Z radością przyjmą nasz sposób życia – oznajmiła z uśmiechem.

– A więc uratowałaś Sycję, tak? Wobec tego powiedz mi, czym się różni złożenie radnych w ofierze krwawego rytuału kirakawy od wymordowania ich przez Valka?

Zmarszczyła brwi, a mnie zaatakował pulsujący ból. Moje myśli się rozpieczęły, gdy bezlitosna tortura skręciła mięśnie w okrutnej męce. Kiedy odzyskałam świadomość, leżałam na piasku i patrzyłam w górę na Roze.

– Czyż wybór nowych radnych nie jest tym samym co mianowanie nowych generałów? – rzuciła.

Przez mój kręgosłup przebiegła kolejna fala cierpienia. Wygięłam się w paroksyzmie bólu i wrzasnęłam. Pot ściekał mi po twarzy, dyszałam, rozpaczliwie łapiąc powietrze.

– Czy masz ochotę zapytać o coś jeszcze? – rzekła Roze z groźnym błyskiem w oczach.

– Tak. Czym twoje działania różnią się od postępowania komendanta? – Gdy milczała, wykorzystałam tę drobną przewagę i mówiłam dalej: – Chciałaś obronić Sycję przed komendantem, lecz sama się w niego zmieniałaś. – Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale nie dałam jej dojść do słowa. – Obawiasz się, że komendant podbije Sycję i przekształci ziemie klanów w dystrykty wojskowe. Ale sama zamierzasz najechać Iksję i zmienić jej dystrykty w klany. W czym tkwi różnica? Odpowiedz mi!

Spojrzała na mnie gniewnie i potrząsnęła głową.

– Ja jestem... on jest... – wyjąkała, a potem się roześmiała. – Dlaczego miałabym słuchać Poszukiwaczki Dusz? Pragniesz zapanować nad Sycją, więc próbujesz mnie omamić swoimi kłamstwami.

Gede odprężył się i także zachichotał.

– Ona przekręca twoje słowa. Powinnaś ją natychmiast zabić.

Gdy Roze tylko odetchnęła głęboko, zawołałam:

– Zaczekaj do rytuału! Mam coś, na czym ci zależy.

– Co możesz mieć takiego, czego sama nie mogłabym ci odebrać?
– rzuciła pogardliwie.

– Zgodnie z regułami rytuału dobrowolna ofiara uwalnia więcej energii niż przymuszona.

– A czego oczekujesz w zamian za poddanie się mojej woli?

– Oszczędzenia życia wszystkich moich przyjaciół.

– Nie. Zgodzę się tylko na jednego. Wybieraj.

– W takim razie Księżycowy Człowiek – oświadczyłam, mając nadzieję, że pozostali zdołają uciec.

Gdy wypuściła mnie z mentalnego chwytu, podniosłam się szybko, jednak Roze machnęła ręką i rozkazała:

– Leż na piasku.

– Czy mogę najpierw spytać cię o coś?

– Tylko jedno pytanie.

– Co stanie się z Ognistym Warperem po tym rytuale?

– Kiedy umrzesz, nasza umowa zostanie wypełniona. Obiecaliśmy

mu twoją moc w zamian za wiedzę o krwawej magii. Wówczas zyska wystarczającą potęgę, by rządzić krainą zmarłych.

Od strony Cytadeli dobiegł nas zgiełk. Wyczułam napór magicznej energii. Roze odwróciła się w tamtym kierunku i przywołała gestem warperów.

– Przypilnujcie jej – poleciła, a potem nieporuszona rzekła do mnie: – Wiesz, że nie zdołają do nas podejść. Moi warperzy i ja mamy dostateczną moc, by ich powstrzymać.

– Tak, wiem.

– Coś mi się zdaje, że jednak w to nie wierzysz. Patrz więc, czego potrafię dokonać. Dawniej to wyczerpywało wszystkie moje siły, lecz teraz wystarczy mi jedna myśl. – Wbiła wzrok w Księżycowego Człowieka.

Zbladł, wstrząsnął nim dreszcz, po czym znieruchomiał. Blask oczu zmętniał, gdy dusza opuściła ciało.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Rzuciłam się do Księżycowego Człowieka, który leżał bezwładnie na brzuchu, i wciągnęłam w siebie jego duszę, a potem runęłam na piasek.

– On miał być ofiarą rytuału – ze złością powiedział Gede.

Roze się roześmiała, po czym odparła:

– Nie martw się. Gdy wytnę jej serce, wezmę od niej aż dwa źródła magicznej mocy.

– Zawarliśmy układ, Roze. Moja dobrowolna współpraca w zamian za życie Księżycowego Człowieka. – Wstałam, otrzepując ubranie z piasku.

– A czyż nie będziesz ze mną współpracować, gdy przytknę nóż do gardła Leifa? – Z wyrazu mojej twarzy poznała, że się zgodzę. – Jesteś zbyt miękka, Poszukiwaczko Dusz. Mogłabyś stworzyć całą armię z ludzi pozbawionych dusz. Byliby niepokonani. Nie imałaby się ich magia, a jedynie ogień.

Powietrze przeszył kolejny krzyk, tym razem dochodzący z przeciwnej strony. Podbiegł do nas Vermin.

– Co znowu? – rzuciła Roze.

– Zaatakowano bramy Twierdzy – odrzekł zdyszany.

Popatrzyła na warperów walczących z magami Twierdzy Magów. W moim umyśle pojawił się obraz tej bitwy. Po chwili impet walki osłabł. Zniknęły dezorientujące iluzje stworzone przez magów, a wirujące pylnie demony Gale skończyły. Ludzie padali pokotem na

ziemię, trafiani strzałkami zatrutymi kurarą. Leif, Ari i Bain już leżeli sparaliżowani. Janco walczył z żołnierzem Verminów, starając się, aby odgradzał go od strzelających z dmuchawek. Poruszał się coraz wolniej, gdyż inny warper skoncentrował na nim magiczną energię. Warperzy Roze osiągnęli przewagę, ich zwycięstwo było tylko kwestią czasu.

– Nie został już nikt, kto mógłby cię uratować – rzekła do mnie.

Pojełam w pełni jej słowa, gdy odwołała z pola bitwy kilku warperów, by rozprawili się z buntem przy bramach.

Lecz pozostał jeszcze jeden człowiek, którego tu nie widziałam, człowiek, który dawał mi odrobinę nadziei.

– Roze, nie uwzględniłaś wszystkiego.

– A co takiego pominęłam? – Popatrzyła na mnie niepewnie. – Valka? Och, wiem, że tu jest. Być może magia na niego nie wpływa, ale nie jest odporny na działanie kurary.

– Nie. Mam na myśli Ognistego Warpera.

– A co z nim?

– Nie wzięłaś pod uwagę, że może mieć własne plany, odmienne od twoich.

– Jesteś żalosna – rzuciła z pogardą. – Gede i ja zasililiśmy go magiczną energią, to dzięki nam zyskał potęgę. Kto jeszcze mógłby mu pomóc?

– Ja. – Pobiegłam w kierunku ogniska. Roze krzyknęła, ale ledwie ją usłyszałam w ryku ognia. Żar objął mnie miłosnym uściskiem. Palący ból przemienił się w rozkoszne mrowienie. Lecz tym razem nie ujrzałam pogrążonej w ciemnościach monotonnej równiny. Mój świat wypełniły

dusze wijące się i krzyczące w mękach. Powietrze przenikał smród zgnilizny i zakażenia.

– Pomocy! Pomocy! – wołały dusze.

Ognisty Warper rozkazał im, by umilkły, i odepchnął je ode mnie.

– Ona wam nie pomoże. Przybyła tu dla mnie. – Spojrzał na mnie uważnie. – Przyniosłaś mi przysmak. Moją moc powiększy nie tylko dusza zmierzająca do nieba, lecz także jasna energia Księżycowego Człowieka.

Księżycowy Człowiek stał obok mnie i z umiarkowanym zainteresowaniem przyglądał się ognistemu światu.

– Przykro mi, że się tu znalazłeś – zwróciłam się do niego. – Nie chciałam, żebyś to był ty.

– Czemu nie? Jestem twoim przewodnikiem, Yeleno, w życiu i po śmierci. To się nigdy nie zmieni.

– Przecież powiedziałeś, że moim nowym snującym opowieść został Gede.

– Szukałaś łatwej drogi, a Gede ci ją zapewniał, lecz w każdej chwili mogłaś znów uczynić mnie swoim snującym opowieść.

– Jak?

– Wystarczyło poprosić, czy raczej błagać mnie, żebym do ciebie wrócił. To by bardziej polechtało moją dumę.

Ognisty Warper wszedł między nas.

– Cóż za urocze spotkanie – zakpił. – A teraz zabierz mnie do

nieba.

– Nie – odparłam.

– Nie możesz mi odmówić. Zawarliśmy układ.

– Przyrzekłam tylko, że tu wrócę, nic więcej.

– W takim razie ty i Księżycowy Człowiek zostaniecie tutaj, cierpiąc męki, a ja użyję waszej magicznej mocy, by dotrzeć do nieba. – Chwycił mnie za ramiona.

Moja skóra zawrzała, w całym ciele poczułam palące sztychy bólu. Krzyknęłam, ale Ognisty Warper nie mógł zabrać mi tego, czego chciał. Musiałam sama mu to dać.

Spróbował więc innej taktyki.

Gdy machnął ręką, otworzyło się okno i ujrzałam Roze i jej warperów. Leif, Bain, Ari, Janco, Gale, Cahil i Marrok byli przywiązani do pali wbitych w piasek.

– Oni są zgubieni – powiedział. – Jest jeszcze kilku, którzy wciąż stawiają opór, ale kiedy zostaną schwytani, zacznie się zabawa. Lecz jeśli zaprowadzisz mnie do niebios, powstrzymam Roze i uwolnię wszystkich twoich przyjaciół i rodzinę.

Spojrzałam z nadzieją na Księżycowego Człowieka, który powiedział:

– Jeżeli nie pomożesz Ognistemu Warperowi, utkwimy tutaj, a Roze przyśle ich wszystkich, by cierpieli w tym świecie wraz z nami.

Tego właśnie miałam nadzieję uniknąć.

– Twierdzisz więc, że powinnam mu pomóc? – spytałam zrozpaczona.

– Nie. Ja tylko wskazuję ci konsekwencje twoich wyborów.

– Więc co mam zrobić?

– Musisz sama podjąć decyzję. Jesteś Poszukiwaczką Dusz, zatem odnajdź swoją duszę.

Miałam ochotę go udusić, ale już był martwy.

– Nie mógłbyś choć ten jeden raz udzielić mi jasnej odpowiedzi? – rzuciłam ze złością.

– Owszem, mógłbym.

Zapatrzyłam się w dal, przytłoczona frustracją i poczuciem bezradności. Wyczuwając targającą mną rozterkę, Ognisty Warper pozwolił duszom zbliżyć się do mnie, bym mogła ujrzeć przyszły los moich przyjaciół. Krzyki torturowanych dusz brzmiały coraz bardziej rozdzierająco, a żar przypiekał mi skórę, utrudniając zebranie myśli. Poczulałam cuchnący odór.

– Patrz. – Ognisty Warper wskazał miejsce za ogniskiem. – Roze omotała Irys kokonem magii. Zmusi ją, by położyła się na piasku i pozwoliła się związać.

Istotnie, Irys podeszła do Roze i uklękła przed nią. Zanim warperzy rzucili ją na piasek i obezwładnili, zerknęła w bok. Spojrzałam w tamtym kierunku i zobaczyłam Valka.

Walczył z czterema warperami na miecze, ale wiedziałam, że koncentrują na nim także wszystkie zasoby magicznej energii. A sądząc ze skupionego wzroku Roze, ona również wymierzyła w niego całą moc.

Chociaż magia nie działała na Valka, jednak wyczuwał jej napór, co spowalniało jego ruchy. W pobliżu stał żołnierz daviiański z dmuchawką, który wyczekiwał okazji, by wystrzelić strzałkę z kurarą.

– A Valek będzie następny – powiedział Ognisty Warper. – Co zamierzasz zrobić? Patrzeć na śmierć swoich przyjaciół i kochanka? Czy może jednak zaprowadzić mnie do niebios?

Wyciągnęłam ręce do Księżycowego Człowieka i Ognistego Warpera, po czym powiedziałam:

– Chodźcie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Na twarzy Ognistego Warpera rozlał się triumfalny uśmiech, natomiast Księżycowy Człowiek pozostał niewzruszony. Trzymał mnie za rękę, a chociaż jego dłoń wydawała się bezcielesna jak z dymu, jednak czułam jej dotyk. Spojrzał na mnie. Owalny kształt jego oczu przypomniiał mi oczy Roze. Dlaczego dotąd nie dostrzegłam tego podobieństwa?

W mojej głowie wciąż dźwięczały słowa Roze. Czy potrafiłabym ożywić ciało Księżycowego Człowieka po wysłaniu jego duszy do nieba? Według Roze ciała pozbawione duszy nie podlegają wpływowi magii. Nasuwało się więc inne pytanie: czy mogłabym stworzyć oddział z takich postaci, by wesprzeć Irys i Valka?

Blisko mojej głowy przefrunął mój nietoperz. Dziwne. Jak się tu dostał?

Gdy Księżycowy Człowiek westchnął, zrozumiałam, że umknęło mi najistotniejsze. Ważne jest nie to, w jaki sposób nietoperz tu trafił, tylko dlaczego w ogóle się tutaj znalazł. Nietoperze... Szklany nietoperz Opal. Sięgnęłam do kieszeni, ale znieruchomiałam, gdy pojęłam odpowiedź. Siostra Opal. Tula!

Kiedy Ferde udusił Tulę i ukradł jej duszę, użyłam magii, by oddychać za Tulę, jednak gdy w końcu zrezygnowałam, jej oddech ustał.

Nie posiadam mocy stworzenia armii ludzi pozbawionych dusz.

Mag sprzed stu pięćdziesięciu lat nie był Poszukiwaczem Dusz, tylko Złodziejem Dusz. To ja jestem prawdziwą Poszukiwaczką Dusz. I wreszcie wiem, na czym polega moja rola.

Zniecierpliwiony tym, że tak bardzo się ociągam, Ognisty Warper

chwycił mnie za wolną rękę. Gdy się wyrwałam, nietoperz pisnął z radości i znikł.

Odszukałam umysłem Roze i zobaczyłam jej duszę oraz dusze wszystkich ofiar, które w sobie więziła. Pierwszej magini wstrzyknęto ich krew, by przywiązać je do niej. Wypchnęłam tę krew przez pory skóry, uwolniłam pojmane dusze i wysłałam je do nieba.

Roze krzyknęła i podwinęła rękaw. Z jej ramienia sączyła się czarna ciecz, która skapywała na piasek. Wstrętny odór zjełczałej krwi spowił ją całą niczym kłęb mgły. W miarę jak odbierałam Roze kolejne uwięzione dusze, słabła jej moc, aż w końcu pozostała jej tylko własna magiczna energia.

Następnie wysłałam świadomość do Gedego i uczyniłam z nim to samo, a na koniec wyrwałam innym warperom pojmane przez nich dusze, co bardzo ich osłabiło.

Ognisty Warper z ohydnyim przekleństwem rzucił się na mnie, lecz Księżycowy Człowiek przeszkodził mu i wdał się z nim w walkę. Dzięki temu mogłam znów skupić uwagę na Twierdzy.

Gdy odebrałam Roze moc, wypuściła z magicznego uścisku Irys, która użyła magicznych zdolności, by przyciągnąć do siebie nóż, który rozciął jej więzy. Uwolniona podbiegła do kilku osób, które podobnie jak ona nie zostały sparaliżowane kurarą, tylko unieruchomione za pomocą magii.

Gdy Gale i Marrok dołączyli do niej, we troje zaatakowali Roze. To odwróciło uwagę przeciwników Valka, który wykorzystał okazję i zarąbał ich mieczem. Żołnierz z dmuchawką uciekł, a wówczas Valek również natarł na Roze.

Zadowolona, że moi przyjaciele dają sobie radę, skoncentrowałam się na Ognistym Warperze. Trzymał mocno Księżycowego Człowieka

i ścisnął jego duszę, aby przywiązać ją do ognistego świata.

– Stój! – zawołałam. – Nie zdobędziesz dziś już niczyjej energii. – Za pomocą magii pociągnęłam Księżycowego Człowieka i wyrwałam go Ognistemu Warperowi. – Odnajduję dusze i sprawiam, że trafiają do miejsc swego przeznaczenia. Księżycowy Człowiek nie przynależy do ognistego świata. Ale ty tak. – Przeszłam obok niego.

Próbował mnie zatrzymać, ale był duszą, taką jak wszystkie inne, i miałam nad nim władzę. Przemierzyłam ognisty świat, odnajdując dusze, które nie powinny tutaj przebywać. Uwalniałam je i wysyłałam do nieba. Ognisty Warper wrzeszczał na mnie, ale nie zwracałam na niego uwagi. Minęło dużo czasu, zanim oswobodziłam wszystkie takie dusze, lecz z każdą kolejną przybywało mi energii.

– Dlaczego nie jestem zmęczona? – spytałam Księżycowego Człowieka.

– Pomyśl o tym, czego się dzisiaj nauczyłaś – odparł z uśmiechem.

Rozejrzałam się wokoło. Potęga Ognistego Warpera malała z każdą uwolnioną duszą. Być może kradnąc jego moc, powiększę własną?

– Nie – rzekł Księżycowy Człowiek.

Wydawał się nieco poirytowany tym, że jestem tak mało pojętna. Widok jego rozdrażnionej miny sprawił mi przekorną radość. Wreszcie po tylu nieudanych próbach zmusiłam go, by porzucił denerwująco chłodną, niewzruszoną postawę.

Ognisty Warper popatrzył na mnie spode łba.

– To tylko kwestia czasu, zanim odzyskam moc – oznajmił. – Zawsze znajdują się ludzie pragnący władzy, a ja będę na nich czekał.

– Nie pozwolę ci na to – odparłam.

– W takim razie będziesz musiała pilnować mnie przez całą wieczność. Ta wiedza już się rozpowszechniła i wkrótce następny głupiec dowie się, jak nawiązać ze mną kontakt poprzez płomienie.

Oczywiście miał rację. A ja byłam Poszukiwaczką Dusz. Żeby wykonywać swoje zadanie, będę musiała pozostać w świecie zmarłych i wysyłać dusze do miejsc przeznaczenia. Myśl o moich obowiązkach przypomniała mi obietnicę daną Księżycowemu Człowiekowi.

– Czy możesz zaprowadzić mnie do krainy zmarłych? – zapytałam go.

– Nie, za to ty możesz tam mnie zaprowadzić.

– Przecież nazywasz siebie przewodnikiem! – Gdy tylko uśmiechnął się łagodnie, zawołałam: – Nienawidzę cię! – i mocno chwyciłam go za rękę.

Pomyślałam o krainie zmarłych z jej szarą równiną pod tak samo szarym niebem. Czerwona poświata znikła i już po chwili rozciągał się przed nami rozległy monotony obszar.

– To tylko korytarz łączący światy, Yeleno. Spójrz głębiej, a zobaczysz prawdziwą krainę zmarłych.

Kolejna zagadkowa rada. Mimo wszystkich moich talentów nadal nie potrafiłam skłonić Księżycowego Człowieka do udzielenia mi prostej, jednoznacznej odpowiedzi. Stłumiłam irytację i skoncentrowałam się na tych, których próbowałam odnaleźć – ludziach z klanu Sandseed zamordowanych przez Verminów na Równinie Avibiańskiej.

Płaski teren zaczął falować, stał się nieco bardziej zróżnicowany. Małe skalne formacje powiększyły się, a na nagiej szarej ziemi wyrosła trawa i nieliczne krzewy. Pojawiło się skupisko płóciennych namiotów otaczających kręgiem ognisko. Ujrzały przeze mnie widok przypominał obóz klanu Sandseed, z tą jednak różnicą, że był pozbawiony kolorów. Tylko czerń i biel oraz wszelkie odcienie szarości.

Członkowie klanu Sandseed zgromadzili się w tym obozie na przemienionej Równinie Avibiańskiej, egzystując w cieniu rzucanym przez realny świat. Trzymali się kurczowo wspomnień o dawnym życiu, nie zdając sobie sprawy, że w niebie czeka na nich wieczysty spokój.

Weszłam między nich i zaczęłam rozmawiać. Zjawiało się ich coraz więcej, a ja musiałam się powstrzymać, by nie przypomnieć im grozy ataku Verminów i masakry. Przyrzekałam strzec pozostałych przy życiu członków klanu Sandseed, którzy podczas napaści zdołali się ukryć. Mogły minąć dni lub nawet miesiące, a ja wciąż przekonywałam ich, by ruszyli dalej. W tej krainie straciłam poczucie czasu.

A gdy wysyłałam kolejne dusze do nieba, moja moc za każdym razem rosła.

– Jest o wiele więcej dusz czepiających się kurczowo krainy zmarłych – powiedziałam do Księżycowego Człowieka, myśląc o wszystkich miastach i miasteczkach w Sycji i Iksji. – Pozwól, abym zawróciła cię do twojego ciała, a będziesz mógł opowiedzieć innym o moim losie.

– Nie mogę wrócić, Yelena. Moje ciało umarło, w przeciwieństwie do twojego. A nawet gdybyś zdołała mnie wskrzesić, byłbym nieszczęśliwy i pragnąłbym śmierci.

– Jak Stono i Gelsi?

– Tak, choć w końcu odnajdą drogę do właściwego miejsca.

– Wobec tego wyślę cię do nieba. Zaslugujesz na to, żeby się tam znaleźć.

– Nie, dopóki nie zrozumiesz wszystkiego.

– Ależ już rozumiem! Wykonuję swoje zadanie. Pogodziłam się z tym, że muszę żyć tutaj, by chronić Sycję i Iksję przed kolejnymi warperami. – Splotłam dłonie, by powstrzymać się przed złapaniem za gardło tego zadufanego Pana Wszystkowiedzącego.

– Naprawdę się z tym pogodziłaś? – zapytał.

– Ja... – Aż sapnęłam z irytacją. To oczywiste, że wolałabym wrócić do Valka, Kiki, rodziców, Leifa, Irys, Ariego, Janca i reszty moich przyjaciół. Poznałam swoją prawdziwą rolę, ale wciąż jeszcze pozostało mi do zbadania wiele aspektów magii, tej mojej i tej, która należała do innych magów. Wtedy przypomniał mi się unikalny talent Opal.

Szklany nietoperz.

Czy przetrwał ogień? Wsadziłam ręce do kieszeni. Dziwne, że moje ubranie nie spłonęło. Namacałam gładką bryłkę szkła i wyjęłam posążek. W jego wnętrzu jarzyła się magia. Gdy zapatrzyłam się w ten blask, ujrzałam zasmuconą twarz Leifa. Gdy się do niego uśmiechnęłam, popatrzył na mnie z ogromnym żalem, a potem z niedowierzaniem.

– Pozdrowienia z krainy zmarłych – powiedziałam.

– Yelena! Co u licha...? Gdzie ty...? Wracaj!

– Nie mogę. Powiedz mi, co się wydarzyło.

Opisał przebieg bitwy od momentu, gdy wskoczyłam w ogień.

Większość warperów zginęła, jedynie Roze, Gede i czworo innych pozostali przy życiu. Uwięzieni w lochach Twierdzy, czekali na proces.

– Zostaną powieszoni za zdradę i morderstwa. – Leif sposepniał. – W zeszłym tygodniu pochowaliśmy Księżycowego Człowieka.

– W zeszłym tygodniu? Ale...

– Nie było cię przeszło miesiąc. Utrzymywaliśmy nieprzerwanie płonące ognisko, bo mieliśmy nadzieję, że wrócisz. Zresztą Valek nie pozwalał nam go zgasić. Pomaga radnym i mistrzom magii dojść do siebie po przebytej męce i łagodzi stosunki Sycji z komendantem za pośrednictwem ambasador Signe. Przestał być plagą Sycji, stał się naszym narodowym bohaterem – oznajmił Leif z sardonicznym uśmiechem.

Valek. Jedyne człowiek, z którym zgodziłabym się spędzić całą wieczność.

– Wszyscy próbują jakoś sobie radzić ze skutkami tragicznych wydarzeń – mówił dalej Leif. – Verminowie zamordowali wielu studentów. Wciąż jeszcze ustalamy, kto przeżył. Twojemu przyjacielowi Daksowi nic się nie stało, ale Gelsi zginęła podczas walki z warperem.

Księżycowy Człowiek miał rację. Gelsi odnalazła drogę powrotną. Miałam nadzieję, że Stono nie przecierpi zbyt wiele, zanim jego dusza trafi do nieba.

Leif znów podjął po chwili milczenia:

– Armia sycjańska ściga rozpieczętanych Verminów, którzy marzą już tylko o tym, by ocalić głowę, a ludzie z klanu Sandseed powrócili na Równinę Avibiańską, by ponownie ją zaludnić. – Westchnął. – Wszyscy za tobą tęsknimy. Dlaczego nie możesz wrócić?

– Ktoś musi powstrzymać Ognistego Warpera przed odzyskaniem potęgi.

Leif w zamyśleniu zmarszczył czoło, aż nagle jego twarz rozbłysła nadzieją.

– Bain spalił stare księgi ludu Efe, by już nikt nie zdobył wiedzy o krwawej magii.

– Ale są tacy, którzy już wiedzą, jak odprawić rytuał. Nawet jeśli skazecie ich na śmierć, trafią tutaj, do ognistego świata, i będą mogli nawiązać łączność z kimś na ziemi, kto będzie chciał ich odszukać.

– Jesteś Poszukiwaczką Dusz, Yeleno. Nie możesz wysłać ich tam, gdzie nikt nie zdoła się z nimi skontaktować?

– Jest tylko jedno takie miejsce, ale oni nie zasługują na to, by trafić do nieba.

– Dlaczego nie? – wtrącił Księżycowy Człowiek.

Przebiegłam w myśli wszystko, co wiedziałam o niebiosach, czyli bardzo niewiele.

– Myślę, że by je skazili. Niebiosa są czyste, a ich plugawe uczynki zbrukałyby to miejsce.

– Nareszcie! – wykrzyknął. – Czym są niebiosa?

No właśnie, czym? Kiedy wysyłam tam dusze, czuję się orzeźwiona, pełna energii, chociaż zużywam swe siły, co zwykle mnie wyczerpuje. Powiększam liczbę dusz w niebie, tym samym zaś powiększam otaczającą świat powłokę magicznej mocy.

Źródło magii!

Dusza świata.

Księżycowy Człowiek uśmiechnął się do mnie promiennie.

– Teraz już możesz mnie tam wysłać! A potem będziesz mogła powrócić do swojego świata. – Zachichotał, gdy zobaczył moją niepewną minę. – Odnajdziesz drogę, Yeleno. Zawsze odnajdujesz.

– To twoja ostatnia zagadkowa rada?

– Potraktuj ją jako pożegnalny prezent. – Gdy zawahałam się, myśląc o tym, że kiedy Księżycowy Człowiek odejdzie, zostanę całkiem sama, dodał: – To następny z wielu powodów, żebyś opuściła to miejsce.

– Jednego nigdy mi nie będzie brakować – oświadczyłam.

– Czego mianowicie?

– Że stale czytasz w moich myślach i zmuszasz, żebym sama wszystko odgadywała.

– Jako twój snujący opowieść po prostu inny być nie mogłem, to wiązało się z tą funkcją. I wcale się nie skończy. Od czasu do czasu usłyszysz w głowie mój głos, który będzie ci udzielał niepowtarzalnych rad.

– Niech to... – jęknęłam dramatycznie. – A już byłam pewna, że nie może mnie spotkać nic gorszego od spędzenia wieczności w krainie zmarłych!

Zanim wysłałam Księżycowego Człowieka do nieba, patrzyłam na niego przez długą chwilę, by wryć sobie w pamięć jego rysy, w tym także sardoniczny uśmieszek. Kiedy zniknął, jego nieobecność stała się

jakby wyczuwalna, niczym lodowa skorupa pokrywająca skórę.

Uświadomiłam sobie, że wciąż trzymam w dłoni szklanego nietoperza Opal, jednak łączność z Leifem się urwała.

Wędrowałam przez krainę zmarłych, odnajdując zagubione dusze. Co pewien czas zaglądałam do ognistego świata, by się upewnić, że Ognisty Warper nie odzyskał swej potęgi. W zależności od nastroju przeklinał mnie, szydził lub próbował mi się podlizać.

Irys, Leif i Bain rozmawiali ze mną za pośrednictwem szklanych zwierzątek. Jedynie oni potrafili się nimi posługiwać. Przekazali mi, że Roze, Gede i inni warperzy zostaną wkrótce powieszani. Przygotowałam się do ich przyjęcia w ognistym świecie.

Często też wpatrywałam się w szklanego nietoperza, daremnie usiłując porozumieć się z Valkiem. Dręczyło mnie pragnienie, by z nim porozmawiać, objąć, przytulić się do niego. Moja frustracja z powodu niemożności nawiązania z nim kontaktu sprawiła, że otworzyło się okno do realnego świata i mogłam oglądać wydarzenia rozgrywające się wokół mojego ogniska. Zaśmiałam się ze swego silnego poczucia własności. Moje ognisko... Lecz po chwili spoważniałam. Wiedziałam, że po egzekucji Roze i pozostałych warperów ognisko zostanie zgaszone i moje okno zamknie się na zawsze.

Rada postanowiła powiesić Roze i jej kompanów na szubienicach wzniesionych na piasku splamionym krwią ich ofiar, a potem spalić ciała w moim ognisku. Była to poniżająca kara, którą wymierza się tylko zdrajcom.

Piasek zostanie następnie usunięty, a ogrodnicy zapewne posieją tu trawę lub posadzą jakieś drzewka albo kwiaty. A może stanie tu pomnik – podobny do któregoś z nefrytowych posągów lub fontann Cytadeli – by upamiętnić mnie i Księżycowego Człowieka?

Cóż, dramatyzowałam i popadałam w przesadny sentymentalizm. Byłam bliska naszkicowania owego pomnika. A co z piaskiem? Uznawałam, że najlepiej, gdyby został wywieziony do Booruby i przetopiony na szkło. Opal przemieniłaby ogień w lód...

Zamarłam wstrząśnięta, gdy w mojej głowie pojawił się pewien szalony pomysł. Analizując krok po kroku, znalazłam mnóstwo słabych punktów i tyle samo powodów, dla których nie da się zrealizować tego planu. Lecz bez względu na to, czy mi się uda, czy nie, przynajmniej będę mogła powiedzieć, że próbowałam. A już sama próba sprawi choć tyle, że Księżycowy Człowiek chociaż na jakiś czas powstrzyma się przed wysyłaniem mi dokuczliwych szpilek.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Wezwałam Leifa przez figurkę nietoperza, mając nadzieję, że wystarczy mi czasu. Oczywiście okazał się chętny do pomocy i natychmiast rozpoczął niezbędne przygotowania.

Aby mój plan się powiódł, wypadki muszą się potoczyć w określonej kolejności. Wróciłam do ognistego świata, gdyż najpierw mieliśmy wykonać próbę na Ognistym Warperze. Wyglądałam przez okno i czekałam na powrót Leifa. Nie lubiłam przebywać w ognistym świecie. Przenikliwy hałas wwierał mi się w czaszkę, powietrze przenikał wstrętny odór. Wolałam cichą i nudną monotonię krainy zmarłych.

Ognistego Warpera wyraźnie uradował mój niepokój.

– Spójrz, jak tęsknisz do powrotu na ziemię. Twoje cierpienie jest moją jedyną rozkoszą. I będę się nadal cieszył tym, że cię tutaj zatrzymuję. Już odkryłem pewnego nieszczęśliwego chłopca, który szuka pomsty na swoich dręczycielach. Jeżeli pragnienie zemsty się spotęguje, będę mógł z nim porozmawiać, chyba że ty temu zapobiegiesz.

Mój plan budził we mnie coraz więcej wątpliwości. Czy aby nie jestem samolubna? Czy będę mogła nadal ratować dusze zagubione w krainie zmarłych? Jednak uczyniłam to już wcześniej z duchami w Sowim Wzgórzu. Stłumiłam wszelkie obawy, puszczałam mimo uszu złośliwe komentarze Ognistego Warpera.

Minął okres, który wydał mi się najwyżej dwoma tygodniami, choć w rzeczywistości mógł upłynąć miesiąc albo i więcej. Z przelotnych zerknięć do Twierdzy Magów wywnioskowałam, że skończyła się już zimna pora roku i trwa w najlepsze pora ciepła. Leif przekazywał mi aktualne nowiny, jednak gdy wreszcie pojawiła się

szansa ucieczki, stawałam się coraz bardziej niecierpliwa.

Wreszcie przygotowania dobiegły końca. Wzniesiono szubienice i sprowadzono niezbędny sprzęt. Zaskoczyła mnie olbrzymia ulga, którą poczułam na widok Opal, która, przygotowując narzędzia, zaciskała usta w wyrazie krańcowej determinacji.

Przyszła mi na myśl inna niepokojąca kwestia. W krainie zmarłych nie odczuwałam zimna, gorąca, głodu ani pragnienia. Lecz jeśli przejdę z powrotem przez ogień, czy mnie nie spali? Wkrótce się o tym przekonam. Wyraźnie rozbawiony Ognisty Warper cały czas kręcił się przy mnie.

Opal mocno uchwyciła długą metalową rurkę i włożyła ją do pieca do wypalania. Ciekawe, skąd sprowadzili surowiec do produkcji szkła? Obróciła rurkę i wyjęła ją z pieca, a następnie zaczęła formować szklaną figurkę zwierzątka.

Gdy dmuchnęła w rurkę, wciągnęłam w siebie duszę Ognistego Warpera. Krzyknął zaskoczony i przypalił mi skórę, gdy wysyłałam go poprzez Opal do wnętrza szklanej bryłki. Wrzasnął w panice i zaczął się opierać, ale zapanowałam nad nim. Przecież był tylko duszą.

Opal drgnęła, jakby coś ją sparzyło, ale nie przerwała pracy i uformowała figurkę najgrubszej i najpaskudniejszej świni, jaką kiedykolwiek widziałam.

Gdy włożyła ją do pieca żarowego, zaczęło się oczekiwanie. Czy eksperyment się powiedzie? Jeżeli Ognisty Warper naprawdę zostanie uwięziony w szklanej figurce, wówczas zamkniemy w posążkach wszystkich warperów, którzy potrafią odprawiać krwawą magię, i uniemożliwimy im przekazanie tej wiedzy. A ja będę mogła wrócić do domu.

Minęło dwanaście najdłuższych godzin w moim życiu, zanim Opal

wyjęła z pieca figurkę świni i uniosła ją, by wszyscy mogli zobaczyć. Dopiero wtedy spostrzegłam, jak wielu ludzi przyszło obserwować nasz eksperyment. Spodziewałam się Leifa, mistrzów magii i radnych, wyglądało jednak na to, że Fisk przyprowadził cały Cech Pomocników, w ogóle gapiów było mnóstwo. Moi rodzice trzymali się na uboczu. Perl z niepokojem przyciskała dłonie do piersi, ale wyglądała na równie zdeterminowaną jak Opal.

Cahil i oddział żołnierzy, wśród których był też Marrok, stali na baczność. Ari i Janco czekali razem z Leifem. Janco marszczył brwi, demonstrując typową dla siebie zdecydowaną niechęć wobec magii.

Valek emanował własnym wewnętrznym ogniem. Dla tego mężczyzny z radością zaryzykuję przejście przez żar płomieni.

Skupiłam uwagę na posązku stworzonym przez Opal. Pulsował mętным czerwonym światłem. Wewnątrz był uwięziony Ognisty Warper.

Widzowie wiwatowali radośnie. Opal postawiła figurkę świni na piasku i nabrała na rurkę następną bryłkę roztopionego szkła, przygotowując celę dla kolejnej duszy.

Troje mistrzów magii zmusiło Roze do wejścia po stopniach szubienicy. Kat zacisnął pętlę na jej szyi, a potem się cofnął. Twarz pierwszej magini wykrzywił grymas wściekłości. Krzyknęła coś głośno.

Czas jakby zamarł, stanął w miejscu. Uświadomiłam sobie, jak bym się czuła, gdybym stała tam przerażona, czekając, aż podłoga otworzy się pode mną, a krótki trzask pękających kręgów szyjnych zakończy moje życie. Gdybym przed dwoma laty wybrała pętlę zamiast testerki żywności komendanta, mogłabym tego doświadczyć.

Roze zawisała jakby w zwolnionym tempie, aż wreszcie jej ciało szarpnęło się na końcu wyprężonej liny. Dusza uleciała, a ja ją

schwytalam.

Mój umysł wypełniły pełne nienawiści myśli Roze:

– Pasuje do ciebie rola strażniczki krainy zmarłych, Yeleno. Tutaj jest twoje miejsce. Chyba naprawdę nie wierzysz, że uda ci się stąd wrócić? Wszyscy będą się ciebie lękać, staniesz się znienawidzonym wyrzutkiem.

– Gdybym była Złodziejem Dusz, przyznałabym ci rację – odpowiedziałam. – Nie przestraszysz mnie, Roze. Nigdy ci się to nie udało, i dręczyło cię bardziej jeszcze niż fakt, że jestem Poszukiwaczką Dusz.

Opal znów dmuchnęła w rurkę. Wysłałam Roze w ostatnią podróż, a potem uczyniłam to samo z Gedeem i pozostałymi warperami. Było ich w sumie siedmioro, wliczając Ognistego Warpera.

Kiedy już wszyscy warperzy zostali uwięzieni w szklanych figurkach, wycieńczona Opal osunęła się na ziemię. Teraz mogłam opuścić krainę zmarłych. Rozejrzałam się, sprawdzając, czy czegoś nie pominęłam i czy nie pozostała tu jakaś dusza, która mogłaby sprawić kłopoty. Ostatnie słowa Roze o mnie zawierały ziarno prawdy. Bez względu na moje wyjaśnienia, będę budziła w Sycjanach lęk, a Rada jeszcze długo nie przestanie traktować mnie podejrzliwie i z rezerwą.

Lecz z radością powitałam te problemy, bo należały do ziemskiego życia, a ja zamierzałam cieszyć się każdą jego chwilą.

Gdy przechodziłam przez okno do Twierdzy Magów, najpierw usłyszałam ryk ognia, potem Leifa, który wykrzykiwał moje imię. Aż wreszcie pałacy żar odebrał mi oddech i boleśnie oślepił jaskrawożółty i pomarańczowy blask. Peleryna zajęła się ogniem. Rzuciłam się na piasek i turlałam się po nim, by zdusić płomień. Tak wyglądało moje imponujące wkroczenie w realny świat.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Pierwsze godziny po powrocie spędziłam wśród podekscytowanej paplaniny moich przyjaciół i rodziny. Wszystkich z wyjątkiem Valka. Lecz wiedziałam, że spotkam się z nim, gdy tłum się rozproszy.

Kiedy ognisko spełniło już makabryczne zadanie spalenia na popiół ciał zdrajców, zostało zgaszone. Wypełzył z niego gęsty tłusty dym, który snuł się nisko, tuż przy ziemi, aż wreszcie Gale Stormdance wytworzyła ożywczy wietrzyk, by go rozwiać.

Obserwowałam z wielkim zainteresowaniem, jak szybko życie powraca na utarte tory. Chociaż radni byli zadowoleni z mojego powrotu, lecz zaraz udali się na rutynowe zebranie, a Fisk i jego cech oddalili się pośpiesznie do pracy na targu.

Przed odejściem Fisk powiedział do mnie z promiennym uśmiechem:

– Piękna Yeleno, będziesz potrzebowała nowych ubrań na gorącą porę roku. Znam najlepszą szwaczkę w Cytadeli. Zgłoś się do mnie, kiedy już pozalatywiasz swoje sprawy.

Gorąca pora roku? Ari poinformował mnie, że właśnie się rozpoczęła. Spędziłam w krainie zmarłych siedemdziesiąt jeden dni i straciłam całą ciepłą porę roku. Myślałam o tym z mieszanymi uczuciami. Byłam zadowolona, że moja percepcja w krainie zmarłych nie pokrywała się z tą w realnym świecie. Było, minęło, ktoś mógłby powiedzieć, ale przecież nigdy nie wiadomo, czy nie będę musiała tam kiedyś wrócić. Zarazem jednak złościłam się, że zabrakło mnie tutaj, przez co nie wzięłam udziału w usuwaniu szkód wyrządzonych przez Verminów.

Ari i Janco narzekali na lepki upał i wciąż mówili o tym, że marzą

tylko o jednym, a mianowicie o powrocie do rodzinnej Iksji.

– Mieliśmy dobrą zabawę, siekąc wszystkich tych Daviian – oświadczył Janco – ale Maren z pewnością się za nami stęskniła.

Ari zrobił powątpiewającą minę. Zmył już z włosów czarną farbę, a jasną cerę spaliło jaskrawe słońce. Janco opalił się na kolor jasnobrązowego sycjańskiego stroju, który tutaj nosił.

– Ach, to? – powiedział, gdy wspomniałam o jego opaleniznie. – Straciłaś kilka naprawdę pięknych dni.

– Janco korzystał z każdej okazji, by wylegiwać się na słońcu – wyjaśnił Ari z nieskrywaną pogardą. – Twierdził, że podtrzymuje ogień w twoim ognisku, ale kilka razy przyłapałem go, jak chrapał na piasku.

– Tylko raz! – zaprotestował Janco.

Zaczęli się sprzeczać. Roześmiałam się i odeszłam, ale usłyszałam jeszcze, jak Ari zawołał:

– O piątej na placu ćwiczeń!

Odkąd tylko wróciłam, Kiki niecierpliwie wzywała mnie do siebie. Pośpieszyłam do stajni i spędziłam z kłaczą całą godzinę. Liczyłam, że może zjawi się Valek i będziemy mogli przywitać się na sianie.

Drapałam Kiki za uszami i karmiłam miętówkami, a gdy przybył koniuszy, ukryłam się za stertą słomy. Zapewne zamierzał mnie zbesztać za to, że pożyczyłam Garneta na tak długo.

– Lawendowa Pani już nie odejdzie – powiedziała Kiki w mojej głowie.

– Postaram się, ale niczego nie obiecuję.

Klacz sapnęła.

– Następnym razem Kiki też pójdzie.

– Czyżbyś była Poszukiwaczką Koni?

– Pomogę Lawendowej Pani – rzekła, jakby to zamykało dyskusję.

Chociaż stęskniłam się za moim mieszkaniem w wieży Irys, jednak rodzice nalegali, abym po wizycie w stajni przyszła do ich gościnnej kwatery w Twierdzy Magów. Towarzyszyli mi Leif, Irys i Bain. W sześcioro usiedliśmy w salonie przy herbacie. Wciśnięta na kanapie między ojca a matkę, poczułam się jak więzień. Pragnęłam odszukać Valka, ale to jeszcze musiało poczekać.

Baina i Irys najbardziej ciekawiło, co się działo w ognistym świecie i krainie zmarłych. Opisałam im to pokrótce, a potem Bain wymusił na mnie obietnicę, że odwiedzę go i zdam szczegółową relację, którą zamierzał wykorzystać w najnowszej książce.

– Zdałaś egzamin mistrzowski – oznajmiła Irys.

– Co takiego? – wyjąkałam zaskoczona i nagłą zmianą tematu, i samą treścią jej słów. Z tego wszystkiego aż się zakrztusiłam herbatą.

– Wkroczyłaś do krainy zmarłych i wróciłaś z duchowym przewodnikiem. Twoją próbą była walka z Ognistym Warperem, a jego klęska stała się twoim sukcesem.

– Przecież nie mam duchowego przewodnika! – zaproponowałam.

– Twój nietoperz! – wykrzyknął rozbawiony Leif. – Uważam zresztą, że to dość dziwaczne stworzenie, o czym jednoznacznie świadczy jego upodobanie do twojego towarzystwa.

– Leif, powinieneś być miłszy dla siostry – ofuknęła go Perl. –
A już zwłaszcza gdy wspomni się o tym, jak wiele dla ciebie uczyniła.

– Och, racja! Jak mógłbym zapomnieć, że zrobiła ze mnie przynętę dla węży, zostawiła w Iksji w areszcie domowym i przemyciła do Twierdzy Magów w trumnie. A ponadto...

Nie zważałam na jego paplaninę. Ciekawe, dlaczego akurat nietoperz? Czemu nie jakiś przerażający stwór, na przykład ziejący ogniem smok albo wąż boa? Irys miała jastrzębia, Bain drzewnego lamparta, a Zitora jednoroźca. Ach, biedna Zitora. Przypomniałam sobie, że muszę odwiedzić ją w szpitalu. Podczas walki z warperem została poważnie ranna i z trudem wracała do zdrowia.

Wciąż zerkałam przez okno, licząc, że ujrzę Valka. Przebiegałam w myśli rozmaite wymówki, które pozwoliłyby mi wyjść i poszukać go.

Bain przerwał Leifowi litanie skarg na ukochaną siostrę, oznajmiając:

– Zgodnie z naszymi regułami, Yelena została czwartą maginią.

Uniosłam dłoń, by położyć kres wszelkim dalszym szalonym pomysłom.

– Nie – oznajmiłam stanowczo. – Nie potrafię za pomocą magii rozniecać ognia ani poruszać przedmiotów, co powinni umieć mistrzowie. Jestem Poszukiwaczką Dusz. Moja rola polega na odnajdywaniu zagubionych dusz i wysyłaniu ich do miejsc przeznaczenia, w tym także dusz mieszkańców Iksji. Poza tym wciąż potrzebny jest rozjemca pomiędzy naszymi krajami. Zamierzam ponownie objąć tę funkcję. – W duchu zaś dodałam, że moim pierwszym zadaniem będzie ustalenie prawdziwych intencji Cahila. Owszem, jego pomoc w pokonaniu Roze i zdemaskowaniu

zakonspirowanych siatek Verminów okazała się dla Rady bezcenna, lecz nie byłam pewna, czy Cahil znów nie podejmie próby zdobycia tronu Iksji.

Leif zapytał:

– Co zrobimy ze szklanymi figurkami, w których uwięziono warperów? To prawda, są pilnie strzeżone, ale moim zdaniem to za mało, bo gdyby wpadły w niepowołane ręce... – Nie musiał kończyć, bo przecież sprawa była oczywista.

– Co się stanie, jeśli się stłuką? – dociekała Perl.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Przymuszona tym, wyjaśniłam:

– Jeśli dusze zostaną uwolnione, udadzą się do ognistego świata, chyba że pojawi się następny Poszukiwacz Dusz i umieści je w innym miejscu.

– To znaczy gdzie konkretnie? – Leif uniósł brwi.

– W innym ciebie albo w niebie. – Westchnęłam. – Będziemy musieli znaleźć dla tych figurek jakieś naprawdę bezpieczne miejsce.

– Twierdza Magów – powiedział Bain.

– W dżungli Illiais jest kilka głębokich jaskiń – podsunął Esau.

– Pod Górą Szmaragdowymi – rzekła Irys.

– Trzeba je zatopić w największej morskiej głębinie – stwierdził Leif.

– Zakopmy je pod północnym lodowcem – zaproponowała Perl.

– Wszystkie pomysły są dobre, ale to Rada będzie musiała rozważyć ten problem i podjąć decyzję – rzekłam.

Napotkałam spojrzenie Irys. Rzuciła mi kpiący uśmiech. Obie wiedziałyśmy, że radni będą się spierać całymi miesiącami, więc to ja powinnam znaleźć bezpieczną kryjówkę dla figurek.

Resztę popołudnia spędziłam z rodziną. Perl i Esau kazali mi przyrzec, że przyjadę ich odwiedzić.

– Ma to być miła, spokojna wizyta – zaznaczyła Perl. – Żadnego ścigania Verminów czy ratowania kogokolwiek. Będziemy siedzieć i gawędzić, a ja wyprodukuję dla ciebie nowe perfumy.

– Dobrze, mammo.

Zmusiła mnie, żebym przed wyjściem zjadła obiad. Potem pośpieszyłam na plac ćwiczeń, mając nadzieję, że zastanę Valka.

Lecz go tam nie było. Chyba celowo mnie dręczył! Być może rewanżował się za to, że kazałam mu na siebie czekać ponad dwa miesiące.

Ari i Janco toczyli treningowy pojedynek na miecze. Chociaż Janco nucił swoje wierszyki, a Ari używał brutalnej siły, byli równorzędnymi partnerami. Na mój widok przerwali walkę.

– No dalej, chodź tu – zachęcił mnie Janco. – Zanim wyjedziemy, Ari chce się upewnić, że jesteś w dobrej formie.

– Czyżby? – rzucił Ari.

– Jak najbardziej. W przeciwnym razie będziesz się o nią martwić.

– Naprawdę? – spytał Ari.

– Oczywiście. – Janco machnięciem ręki zbył sceptyczne komentarze przyjaciela. – Poza tym to tylko chwila ciszy przed kolejną burzą. Musimy być gotowi.

– Przed kolejna burzą? – powtórzyłam.

Janco westchnął teatralnie.

– Tak to już jest na tym świecie, że zawsze przychodzi następna burza. Śnieżyce, ulewy, huragany, burze piaskowe i ogniowe. Niektóre są gwałtowne, inne łagodne. Trzeba poradzić sobie z każdą z nich z osobna i stale mieć baczenie na to, co przyniesie jutro.

Ari przewrócił oczami.

– Poznaliśmy kolejny niepowtarzalny pogląd Janca na życie. Wczoraj porównał je do jedzenia.

– Janco, przygotuj się na moją burzę! – Zamachnęłam się kijem na jego nogi.

Przeskoczył nad nim zwinnie. Porzucił miecz, sięgnął po ćwiczebny kij i rozpoczęliśmy pojedynek.

Od powrotu z krainy zmarłych widziałam wszystkich niejako na wylot. W mgnieniu oka potrafiłam przeniknąć wzrokiem przez ciało każdego człowieka wprost do jego duszy. Poznawałam ich myśli, uczucia i zamiary tak samo dokładnie jak swoje. Dawniej musiałam zaczerpnąć magicznej energii ze źródła i wysłać na zewnątrz świadomość, lecz teraz, by nawiązać z kimś łączność, wystarczyło mi tylko o tym pomyśleć.

Komiczne zaskoczenie Janca, gdy trzema ciosami obaliłam go na ziemię, niemal zrekompensowało mi uciążliwą wędrówkę przez krainę

zmarłych. Niemal.

Sapnął, ryknął wściekle i próbował jakoś się usprawiedliwić. Przerwałam drugie starcie, by zaprowadzić do nieba dusze, których mnóstwo unosiło się wokół Twierdzy. Wiedziałam, że będę musiała przeszukać cały teren Cytadeli.

Janco obserwował z niesmakiem moje magiczne praktyki.

– Przynajmniej tracisz energię i łatwiej cię pokonam – stwierdził z uśmiechem.

– Chciałbyś! – Przegrawszy cztery starcia z rzędu, w końcu się poddał, a ja spytałam ze słodkim uśmiechem: – Czy jestem gotowa na kolejną burzę?

– Ty jesteś kolejną burzą.

Pomijając zranioną dumę Janca, przyjaciele byli zadowoleni z moich umiejętności szermierczych.

– Odnalazłaś istotę samej siebie – rzekł Ari z aprobatą. – Nie boisz się zaakceptować tego, kim jesteś. Janco już nie musi się o ciebie martwić.

– Pozwolę, żeby Ari martwił się za nas obu. Och, zaraz! Przecież już to robi.

– Wcale nie. To ty przez te wszystkie tygodnie jęczałaś i zamartwiałaś się o Ylenę.

– Nieprawda!

Rozpoczęli kolejną rundę kłótni. Nie sądziłam, że przysłuchiwanie się ich sprzeczkom kiedykolwiek sprawi mi przyjemność, ale teraz tak

było. Przynajmniej dopóki nie spostrzegłam Cahila zmierzającego w kierunku placu ćwiczeń.

W ręku miał długi ciężki miecz. Obserwowałam bacznie, jak się zbliża, by w razie potrzeby obronić się przed nim. Nowym wszechwidzącym wzrokiem przyjrzałam się emocjom Cahila. W jego uczuciach dominowały nienawiść, determinacja i lęk.

Przystanął przy ogrodzeniu.

– Nie przyszedłem tu walczyć – oświadczył. – Chcę z tobą porozmawiać.

Ari i Janco nie wydawali się zaniepokojeni jego obecnością i dalej wiedli spór. Lecz to nie oni byli obiektem gniewu Cahila. Podeszłam bliżej z kijem w ręku i stanęłam tak, by oddzielał nas drewniany płot.

– O czym chcesz rozmawiać? – spytałam.

Cahil głęboko wciągnął powietrze, po czym szybko je wypuścił.

– Chciałem...

– No, dalej. Powiedz, o co ci chodzi.

W jasnoniebieskich oczach Cahila błysnęła irytacja, ale stłumił ją.

– Chciałem wyjaśnić.

– Wyjaśnić, dlaczego jesteś złośliwy, okrutny, oportunistyczny...

– Yeleno, zamknij się! – zawołał, jednak moja mina musiała go ostrzec, gdyż dorzucił szybko: – Wydobywasz ze mnie najgorsze cechy. Możesz mnie wysłuchać? – Umilkł na chwilę, a potem dodał: – Proszę.

– Dobrze.

– Kiedy się dowiedziałem, że w moich żyłach nie płynie królewska krew, a tym samym mój jedyny cel w życiu okazał się fikcją, nie potrafiłem w to uwierzyć. Nawet gdy Marrok przyznał, że jestem synem prostego żołnierza, nie chciałem tego słuchać. Przeniosłem gniew na ciebie i Valka, postanowiłem też, że zmuszę Radę do poparcia ataku na Iksję, żebym mógł odzyskać tron. – Cahil spojrział na trzymany w rękę miecz. – Wiesz, co później zrobiłem. Zgubiłem swoją drogę i uwierzyłem we wszystkie kłamstwa Roze. – Wręczył mi miecz. Niegdyś ta broń należała do króla Iksji. Po zabójstwie króla została przejęta przez wrogów komendanta i przekazana Cahilowi jako atrybut jego praw do tronu. To, że jest królewskim siostrzeńcem, było oczywiście podstępem, spiskiem, by zwolennicy odbudowy monarchii mieli przywódcę z monarszego rodu.

– Oddaj go w moim imieniu komendantowi – powiedział Cahil. – Przecież tak po prawdzie powinien należeć do niego.

– Porzuciłeś marzenia o tronie? Już nie chcesz zdobyć władzy nad Iksją?

Gdy spojrział na mnie, ujrzałam w jego duszy nowy cel.

– Nie. Wciąż chcę uwolnić Iksję od twardych, autokratycznych rządów komendanta, ale już nie uważam, że powinienem odziedziczyć tron. Zamierzam dopiero zasłużyć na ten przywilej.

– A zatem to wywoła kilka ciekawych dyskusji między nami – powiedziałam, spoglądając mu prosto w oczy.

– Możesz być tego pewna.

Kiedy wyszłam z długiej gorącej kąpieli, nadeszło wezwanie od ambasador Signe. Zamieniłam zniszczoną pelerynę i osmalone ubranie

na czyste bawełniane spodnie i koszulę. Włosy mi nie odrosły, gdy przebywałam w krainie zmarłych, ale miały już jakieś dwa centymetry i układały się płasko na głowie. Cóż, dobre i to.

Ambasador czekała na mnie w budynku administracyjnym Twierdzy. Na czas pobytu w Sycji oddano przedstawicielce Iksji do dyspozycji pokój zebrań i gabinet. Wbiegłam po schodach i weszłam do marmurowej budowli, mając nadzieję, że spotkam Valka, niestety doznałam niemiłego rozczarowania. Poważnie zaczęłam się niepokoić, że Valek mnie unika.

Ambasador Signe przywitała mnie serdecznie i zapytała o zdrowie. Przyjrzałam się jej uważnie. Twarz miała bardzo podobną do delikatnych, niemal kobiecych rysów komendanta, jednak brakowało błysku władczej siły, stale obecnego w jego złotych oczach. Nowym wzrokiem ujrzałam dwie dusze walczące o dominację. Na przemian dochodziły do głosu, lecz dostrzegłam między nimi czerwoną spiralę konfliktu.

– Irys Jewelrose poinformowała mnie, że chcesz podjąć obowiązki rozjemcy. Czy to prawda?

– Tak. Stanowisko doradcy komendanta to bardzo kusząca propozycja, ale uważam, że moje zdolności powinny służyć zarówno Iksji, jak i Sycji. Pragnę budować przyjazne stosunki między obydwoma krajami i zaszczepić wzajemne zrozumienie.

– Tak... Zatem powinnaś zacząć od wynegocjowania pensji.

– Pensji?

– Nie możesz być opłacana tylko przez magów lub Radę. By zachować neutralność, musisz otrzymywać jednakowe pensje od Sycji i Iksji. – Uśmiechnęła się. – Zważywszy na to, ile ostatnio dokonałaś, sugeruję, żebyś wytargowała znaczną sumę.

– Niewątpliwie muszę wziąć pod rozwagę wiele kwestii w związku z moją nową rolą.

– Ufam więc, że już ukończyłaś edukację?

– Ona się nigdy nie skończy – odparłam z uśmiechem – jednak poznałam zakres i charakter moich zdolności.

– To dobrze. Nie mogę się już doczekać naszych negocjacji z Sycją.

Zanim ambasador zdążyła mnie odprawić, oznajmiłam:

– Mam coś do przekazania komendantowi. – Gdy spojrzała na mnie wyczekująco, dodałam: – Ta rzecz jest u twojego strażnika. Nie pozwolił mi jej tutaj wnieść.

Signe wstała zza biurka, otworzyła drzwi, wyszła z pokoju i po chwili wróciła z mieczem króla Iksji.

– Mogę pomówić z komendantem? – spytałam.

Przemiana z ambasador Signe w komendanta Ambrose'a zaszła w mgnieniu oka. Nawet cechy fizyczne zmieniły się z kobiecych w męskie. Już byłam świadkiem tej transformacji, lecz teraz obserwowałam ją nowym wzrokiem i zobaczyłam o wiele więcej.

– Po co mi to? – zapytał komendant, przyglądając się trzymanej w ręku broni.

– Cahil zwraca ci ten miecz. Przed ponad siedemnastu laty zyskał prawo korzystania z niego w boju.

Zamyślony komendant położył oręż na biurku.

– Cahil... Co mam z nim począć?

Powiedziałam mu o jego zamiarach, a na koniec dodałam:

– W przyszłości może ci sprawić kłopoty, choć mam nadzieję przekonać go, żeby zrezygnował ze swoich planów.

– Wiem, że Valek z radością by go zgładził. – Ambrose zamilkł, by powiedzieć po chwili zadumy: – Ale Cahil może się okazać użyteczny, zwłaszcza w spacyfikowaniu młodego pokolenia, które zaczyna się buntować. – Widząc moją zdezorientowaną minę, dodał: – To mu da zajęcie.

– Albo przywódcę tym młodym ludziom.

– Sądzę, że ta sytuacja może się okazać interesująca. Czy to wszystko?

– Nie. – Wręczyłam komendantowi jedno ze szklanych zwierzątek Opal. Obejrzał z podziwem figurkę drzewnego lamparta, po czym szczerze podziękował za podarunek. Wtedy dodałam: – Blask, który widzisz w środku, to magia. – Przeszył mnie ostrym wzrokiem. Zrozumiałam, że poczuł się przeze mnie zdradzony, jakbym go otruła. Postawił figurkę na biurku. Wyjaśniłam mu, dlaczego może dostrzec w niej ogień. – Widzę w tobie dwie dusze. Twoja matka, umierając podczas położu, nie chciała zostawić cię samego, dlatego pozostała z tobą. Jej magiczne zdolności pozwalają ci dostrzec wewnętrzny blask w tym posążku, a jej strach przed zdemaskowaniem sprawia, że lękasz się wszelkich przejawów magii.

Komendant Ambrose znieruchomiał, jakby w obawie, że nawet najmniejszy ruch zniszczy kruchą cielesną równowagę, przez co rozpadnie na tysiąc kawałków.

– Skąd to wiesz? – zapytał.

– Jestem Poszukiwaczką Dusz. Odnajduję zagubione dusze i wysyłam je do nieba. Czy twoja matka chce tam odejść? Czy ty chcesz, żeby odeszła?

– Nie wiem. Ja...

– Zastanów się nad tym. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. Nie musisz się śpieszyć.

Wychodząc, zerknęłam za siebie. Zatopiony w myślach Ambrose wpatrywał się w figurkę drzewnego lamparta.

W trakcie mojej rozmowy z komendantem zapadła noc. Idąc przez cichy kampus, wdychałam balsamiczne powietrze, upajałam się zapachami życia i powiewem ciepłego wietrzyku na mojej skórze. Rozglądałam się, szukając choćby śladu Valka.

Irys zapaliła wszystkie lampy w swojej wieży. Chociaż użyczyła mi trzech pięter, przyłapałam się na tym, że rozmyślałam o przyszłej pensji i wiejskim domku Valka na terenie klanu Featherstone. Byłoby miło mieszkać blisko Kiki i móc każdej nocy uciec od polityki Rady i komendanta. Poza tym domek stał w pobliżu granicy z Iksją, więc ta niewielka posiadłość byłaby czymś w rodzaju neutralnego terytorium.

Moje miejsce na ziemi. Nigdy nie miałam własnego mieszkania, pokoju czy celi. Stałoby się tak po raz pierwszy moim życiu, pomyślałam z rosnącą ekscytacją.

Mozolnie wdrapałam się na drugie piętro do sypialni. Skąpe umeblowanie pokryte warstwą kurzu nie wyglądało zachęcająco, chociaż łóżko było świeżo zasłane.

Podniosłam żaluzje, żeby przewietrzyć pokój, i wyczułam za

plecami czyjąś obecność. Nie odwracając się, rzuciłam:

– Dlaczego zabrało ci to aż tyle czasu?

Valek przytulił się do moich pleców i objął mnie w pasie.

– Mógłbym zadać to samo pytanie. – Obrócił mnie do siebie. – Nie chcę się tobą z nikim dzielić. Mamy mnóstwo do nadrobienia. – Pocałował mnie.

– Tak, mnóstwo. – Upajałam się jego bliskością, która kołała moją duszę. W końcu odsunęłam się i skłoniłam głowę na piersi Valka, zadowolona, że wyczuwam bicie jego serca.

– Straciłem cię już po raz drugi – powiedział. – Można by sądzić, że tym razem powinno mi być łatwiej, ale w rzeczywistości ani na sekundę nie mogłem ugasić płonącego bólu. Zupełnie jakby moje serce nabito na rożen i smażono nad ogniem. – Objął mnie mocniej, jakby w obawie, że mu się wymknę. – Błagałbym cię o obietnicę, że już nigdy więcej nie stracę cię z oczu, ale wiem, że jej nie złożysz.

– Nie mogę, podobnie jak nie mogę obiecać, że przestanę być lojalna wobec komendanta. Oboje mamy swoje zobowiązania.

Sapnął z rozbawieniem.

– Moglibyśmy się z nich wycofać.

– Mogę zrezygnować z funkcji rozjemcy, ale nigdy z tego, że jestem Poszukiwaczką Dusz. Wszędzie widzę mnóstwo zagubionych dusz, które muszę zaprowadzić do miejsca przeznaczenia.

Valek, jak zawsze myślący logicznie, odsunął się i zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

– Jak wiele? Minęło sto pięćdziesiąt lat, odkąd w Sycji spalono poprzedniego Poszukiwacza Dusz. Setki?

– Nie wiem. Znani w dziejach Poszukiwacze Dusz byli w istocie Złodziejami Dusz. Być może Guyan był jedynym prawdziwym Poszukiwaczem Dusz na przestrzeni ostatnich dwóch tysięcy lat. Bain aż się pali do tego, by mi udzielić wsparcia przy wykonywaniu tego zadania, lecz tak czy inaczej będę musiała podróżować po Sycji i Iksji, by pomóc tym wszystkim zabłąkanym duszom. Czy chcesz wybrać się ze mną? To może się okazać interesujące.

– Tylko ty, ja i ileś tam tysięcy duchów. Jakie to romantyczne – zakpił. – Ale przynajmniej już odnalazłaś jedną duszę, ukochaną.

– Księżycowego Człowieka?

– Nie, moją. I mam nadzieję, że jej nie zgubisz.

– Jedyna magia, która podziałała na osławionego Valka. – To mi przypomniało o pewnym pytaniu, które chciałam mu zadać. Przebywając w krainie zmarłych, miałam mnóstwo czasu na rozmyślanie o różnych cechach osobowości Valka. – Ile miałaś lat, kiedy ludzie króla Iksji zabili twoich braci? – Zignorowałam jego zdziwione spojrzenie i powtórzyłam: – Ile?

– Trzynaście. – Na jego twarzy odmalował się zadawniony smutek.

– To wyjaśnia tę kwestię!

– Jaka?

– Twojej odporności na wpływ magii. Właśnie w tym mniej więcej wieku zyskuje się dostęp do źródła magicznej mocy. Przerażony widokiem śmierci swoich braci, przypuszczalnie zaczerpnęłaś zbyt wiele

magicznej energii i wytworzyłeś tarczę neutralizującą, i to tak szczelną, że od tamtej chwili nie masz już dostępu do magii.

– Po krótkim pobycie w krainie zmarłych od razu stałaś się wybitną specjalistką od wszelkich spraw związanych z magią? – rzucił ironicznie.

Chociaż z miejsca odrzucił moją hipotezę, widziałam w jego wzroku, że jest wstrząśnięty tym, co ode mnie usłyszał.

– Jestem specjalistką we wszystkim, co dotyczy ciebie, Valku.

– Wobec tego rozważ to, kochanie. – Przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

Jednak gdy niecierpliwie zaczął rozpinać mi bluzkę, powstrzymałam go:

– Valek, chociaż ogromnie pragnę, żebyś przy mnie został, muszę cię poprosić o pewną przysługę.

– Wszystko co zechcesz, ukochana.

Uśmiechnęłam się, widząc w jego oczach szczere oddanie. Zgodził się bez chwili wahania, nawet nie wiedząc, czego od niego zażądam.

– Chcę, żebyś skradł szklane figurki z uwięzionymi w środku duszami warperów i ukrył je w bezpiecznym miejscu, gdzie nikt ich nigdy nie znajdzie. I nie wyjaw tej tajemnicy ani mnie, ani nikomu innemu.

– Jesteś pewna, że nie chcesz tego wiedzieć?

– Tak. Wciąż jeszcze mogę zostać zdeprawowana przez magię, więc jeśli kiedykolwiek zapytam cię, gdzie one są, nie odpowiesz mi bez

względu na okoliczności. Przyrzekasz?

– Tak.

– Świetnie – rzekłam z ulgą.

– To mi może zająć kilka dni albo nawet tygodni. Gdzie cię potem znajdę?

Powiedziałam mu, że zamierzam pozostać na stanowisku rozjemcy, po czym dodałam:

– Chcę zarekwirować pewien wiejski domek na ziemiach klanu Featherstone i ogłosić to miejsce terenem neutralnym.

– Zarekwirować? – powtórzył z uśmiechem.

– Tak. Posiadanie przez Iksję szpiegów na terytorium Sycji nie sprzyja szczeremu i otwartemu dialogowi między obydwoma krajami. Pragnę zachować wobec nich bezstronność.

– Będziesz musiała odbudować stajnię, a także zatrudnić chłopca stajennego – dodał z szelmowskim uśmiechem.

– Nie martw się o to. Mam już kogoś na oku. To lojalny i przystojny chłopak, gotowy na każde moje zawołanie.

Valek uniósł brew, w jego oczach błysnęło pożądanie.

– Jestem pewien, że ten chłopak nie może się już doczekać, kiedy podejmie swoje obowiązki. – Włożył dłoń pod moją bluzkę i pogładził nagą skórę.

Próbowałam się odsunąć, ale druga ręka Valka wśliznęła się pod bluzkę na plecach.

– Trzeba skończyć jedną rzecz, zanim się zacznie następną – powiedziałam.

– Noc dopiero zapadła. – Ściągnął mi bluzkę. – Mam mnóstwo czasu, żeby zająć się moją panią, zanim zacznę załatwiać jej sprawy. – Jego usta odnalazły moje, a potem delikatnie musnął wargami mój kark. – Muszę... – zaczął całować mnie w szyję, schodząc coraz niżej – pomóc mojej pani... – wziął mnie na ręce – położyć się do łóżka.

Istotnie, położył mnie na nim i rozebrał. Gdy pieszczoty rozpałyły moje zmysły, przestałam się martwić o szklane figurki. Istniał dla mnie tylko zapach Valka i jego dotyk. Moje płuca wypełnił oddech ukochanego. Moje serce pompowało jego krew. Myślałam jego myślami i dzieliłam z nim rozkosz. Ogarnęło nas poczucie szczęścia, spokoju i radości. Spleceni w miłosnym uścisku, mieliśmy dla siebie własny kawałek nieba.